

WACŁAW SOLSKI

MOJE
WSPOMNIENIA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1977

1977 W 833/g

1978 W 958/10

MOJE WSPOMNIENIA

« BIBLIOTEKA KULTURY »

TOM 270

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600-MAISONS-LAFFITTE

WACŁAW SOLSKI

MOJE
WSPOMNIENIA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1977

I

1.

Dzieciństwo. — Stryj spod Piotrkowa. — Ojciec i jego pacjenci. — Listy w skrytce starego biurka

Na samym początku przestroga, skierowana nie tyle do czytelnika, ile do samego siebie. Autorzy wszystkich chyba wspomnień, przeznaczonych do druku, trochę je upiększają, stawiają własną osobę w trochę miłszym świetle niżby należało, oraz dopełniają własną fantazją to co zachowali w pamięci. A ja jestem z zawodu pisarzem, więc dopełnienia i upiększenia byłyby dla mnie łatwiejsze, pokusy w tym kierunku silniejsze. Dlatego już na pierwszej stronie chcę obiecać czytelnikowi i sobie samemu że się tym pokusom oprę. Napiszę tylko prawdę, tak jak ją pamiętam. Ale nie wszystko napiszę. Pewnych przeżyć osobistych nie chce z nikim dzielić. Nie potrafiłbym tego zrobić nawet gdybym chciał. W powieści, gdzie prawda artystyczna zastępuje prawdę zwyczajną i jest od niej ważniejsza, tak — ale w tej książce nie.

Urodziłem się w Łodzi w roku 1897. Chciałbym coś napisać o moich przodkach. Często, w późniejszym wieku, usiłowałem się dowiedzieć, co to byli za ludzie, bo przecież musiałem odziedziczyć po nich jakieś cechy. Ich dzieje pomogłyby mi zrozumieć, dlaczego coś kiedyś zrobiłem albo czegoś zaniechałem, umożliwiłyby mi, co jest ważną rzeczą, zorientować się w samym sobie. Niestety nic prawie o nich nie wiem. Wiem tylko że mój ojciec urodził się w Busku, a matka w Zawierciu. Ojciec został sierotą mając niespełna dziesięć lat. Wychowywali go krewni, głównie stryj czy może wuj, jedyny mój dalszy przodek którego widziałem, zresztą tylko raz w życiu. Miałem wówczas jakieś sześć lat. Zawieziono mnie wraz z braćmi do Wiesbadenu, gdzie ten mój przodek odbywał kurację. Mieszkał

stale pod Piotrkowem. Był łysy i brzuchaty i mówił z chłopską. „Na kuniach trzeba się znać”, powiedział mi, „jak się będziesz znał na kuniach, to ci już jakoś pójdzie”. Miał majątek ziemski, hodował w nim konie. Pewnie na większą skalę, bo był bogaty. Podejrzewam, że nasza podróż była w jakimś związku z ewentualnym po nim spadkiem. Wkrótce potem umarł, ale zapisał wszystko co posiadał jednej pani, z którą bawił w Wiesbaden i którą przypominam sobie tylko mgliście. Całowała mnie krzykliwie w pokoju hotelowym i kupiła mi wiatraczek na kiju. Co się tyczy jego chłopskości, to udawał.

Na drzwiach naszego mieszkania w Łodzi wisiła miedziana tabliczka: „Dr Aleksander Pański, choroby nerwowe i umysłowe”*. Leczył jednak i inne. Uchodził za doskonałego diagnostę, wzywano go na konsultacje do innych miast i nawet czasami do Berlina. W Berlinie Profesor Krauss operował nowotwory mózgu. Ojciec określał, gdzie jest nowotwór — Röntgen nie zawsze to wykazywał — Krauss operował w miejscu wskazanym i nowotwór usuwał, po czym pacjent umierał. W tym czasie operacje mózgu prawie zawsze tak się kończyły. Ale dla rozwoju medycyny nie było bez znaczenia, że diagnoza się zgadzała. Ojciec opisał te operacje w jednej ze swoich prac, którą odnalazłem wiele lat później w paryskiej Bibliotece Narodowej.

Do medycyny ogólnej ojciec odnosił się dosyć sceptycznie. Przed swoimi pacjentami pewnie to ukrywał, ale przede mną nie. Któregoś wieczoru ktoś zadzwonił do drzwi. Poleciałem otworzyć, myśląc że to do mnie. Okazało się że do ojca. Była już siódma, ojciec o tej porze nie przyjmował.

— Ja tylko chciałem zapytać pana doktora, czy moja żona może jeść jabłka. Nazwisko Zieliński.

Ojciec siedział przy biurku i pisał.

— Ten pan przyszedł się zapytać, czy jego żona, Zielińska, może jeść jabłka.

— Może, odpowiedział ojciec, nie odwracając głowy. Jak najwięcej jabłek. Gotowanych, pieczonych, w kompcie, jak chce.

Zakomunikowałem to panu Zielińskiemu. W godzinę później ojciec mnie zawołał.

— Jak się nazywał ten pan, co tu był?

— Zieliński.

* Zmieniłem nazwisko na Solski, żeby nie przysparzać rodzinie kłopotów moimi politycznymi wyczynami, już w latach dwudziestych. O tych wyczynach później.

— A, Zieliński. Leczę jego żonę. Myślałem, że to zupełnie kto inny.

— Ale przecież ojciec powiedział, że jego żona może jeść jabłka!

— Jabłka każdy może jeść. Nikomu nie szkodzą.

I po chwili, widząc moje zakłopotanie, dodał:

— Może jej nawet jabłka pomogą. Jak pacjent ma zaufanie do doktora, to mu pomagają jego rady. Nie wiedziałeś tego? No widzisz.

Tak, pacjenci mieli niewątpliwie wielkie zaufanie do mojego ojca. Irena Tuwim powiedziała mi kiedyś, że Julian i ona zawdzięczają ojcu swoje życie. Byli w dzieciństwie wątłego zdrowia, ojciec, który ich leczył, kazał im pić kozie mleko. A ponieważ trudno je było dostać, ojciec kazał kupić dla nich kozę, co uczyniono. Trzymano ją w stajni w domu, gdzie Tuwimowie mieszkali.

— I niech mi pan wierzy, że wyzdrowieliśmy tylko dzięki tej kozie.

Myślę że i w tym wypadku pomogła raczej sugestia niż kozie mleko, ale tego pani Irenie nie powiedziałem. Innym razem sugestia nie pomogła, może dlatego, że została źle zrozumiana. Ojca wezwano do Kalisza na konsylium. Konsylia były wtedy w modzie, zwłaszcza jeżeli pacjent mógł sobie na nie pozwolić. Ten musiał być bardzo bogaty, bo ojciec pojechał do Kalisza specjalnym pociągiem: parowozem z jednym tylko wagonem. Zbadał kaliskiego pacjenta i poradził, aby ze względu na przekrwienie płuc posmarować mu plecy jodem. Miejscowy lekarz, stary i głuchy, rzekł:

— Jak pan kolega uważa że miodem, to można miodem.

Ojcu nie wypadało mu powiedzieć, że się przesłyszał. Posłali po miód, położyli pacjenta na brzuchu i wysmarowali mu plecy.

— No i co? — zapytałem. — Zaszkodziło mu?

— Nie zaszkodziło, ale i nie pomogło. Jodyna też by krwi nie odciągnęła. Nic mu już nie mogło pomóc, ale skoro mnie przywieźli specjalnym pociągiem, musiałem coś doradzić...

Teraz o matce. W naszym mieszkaniu było dużo fotografii i portretów z jej wczesnej młodości. Pamiętam je, zwłaszcza jeden, malowany na palecie. Matka była wówczas bardzo piękna. A i w latach późniejszych odznaczała się wielką urodą. Jeszcze teraz spotykam po świecie ludzi, którzy ją pamiętają i potwierdzają mi to. Wyszła za ojca z miłości, która była silna i obopólna. To już wiem nie z opowiadań lecz dokumentarnie i z całą pewnością.

Wiem to, ponieważ czytałem listy, które rodzice pisywali do

siebie na długo przed ślubem. W tak zwanym drugim gabinecie ojca stało bardzo stare biurko z palisandrowego drzewa. Były w nim, jak zwykle w takich biurkach, skrytki. Wyciągało się jakiś ozdobny filarek i znajdowało schowaną za nim szufladkę. Albo naciskało inny i otwierał się głęboki schowek. Otóż w jednej z takich skrytek mój starszy brat Antoni znalazł dużą paczkę listów, które mój ojciec pisał do matki jeszcze zanim się pobrali i listy matki z tego samego okresu. Rodzice byli w teatrze, młodszy brat spał. O istnieniu tej skrytki nie wiedzieliśmy, w innych, już nam znanych, nie było nic dla nas ciekawego.

Przeczytaliśmy owe listy w milczeniu, wręczając jeden drugiemu trochę już pozółkłe kartki i bardzo się wstydząc, że popełniamy taką niedyskrecję. Ale nie mogliśmy się powstrzymać. Potem ułożyliśmy listy w pudełku tak jak leżały i umieściliśmy je z powrotem w skrytce. Wtedy dopiero Antoni zmarszczył czoło, co czynił zawsze kiedy się wypowiadał w sprawach poważnych, i zreasumował sytuację. Nie powinno się, powiedział, czytać cudzych listów, ale skoro to już się stało, musimy dać sobie wzajemnie najświętsze słowo honoru że nigdy i nikomu nie opowiemy tego, cośmy przeczytali. Tak się też stało. Dobrze pamiętam niektóre z tych listów, ale nic o nich nie napiszę. Powiem tylko, że były pełne miłości, czystej i czułej, i że nas trochę żenowały, bo takie uczucia rodziców zawsze żenują dzieci w tym wieku. Mieliśmy wówczas po 10-12 lat.

Miałem dwóch braci. Jerzy był o trzy lata młodszy, Antoni o dwa lata starszy. Mieszkaliśmy w dwóch pokojach, do których rodzice rzadko wchodzili. Wychowywały nas bony i guwernantki, ale wychowywały dosyć słabo. Słyszeliśmy w dzieciństwie z awanturnictwa, hałaśliwości i niesforności, nasze pokoje wyglądały zawsze jak pobojozisko. Mieszkaliśmy w Pasażu Majera — obecnie Moniuszki — pod numerem piątym. Dom miał tylko jedno piętro i dwa mieszkania. Parterowe zajmował pan Sackheim, właściciel domu, ze swoją liczną rodziną, piętro my. Pamiętam że pewnego razu przyleciała do nas służąca z dołu z awanturą, krzycząc że pani Sackheim znowu musiała zmienić koszulkę, już trzecią w tym samym tygodniu. Rozweseliło to nas do tego stopnia, że nasze krzyki sprowadziły z gabinetu ojca. „Czego się wydzieracie, idioci?“, wołał ojciec, „nie wiecie, o jakie koszulki chodzi?“. Doskonale to wiedzieliśmy, ale udawaliśmy, że nie wiemy. Chodziło o koszulki Auera, podstawowy element lamp gazowych. Miały to do siebie że spadały, kiedy zbyt energicznie tupaliśmy w sackheimowski sufit. Mieszkanie naszego gospodarza nie miało jeszcze elektrycznego oświetlenia, u nas już ono było.

Kij, przywieziony z letniska. — Chleb z kawałkiem czekolady

Jeszcze o dzieciństwie. Pamiętam je plamami, ciemnymi i jasnymi, ale więcej było jasnych, bo miałem szczęśliwe dzieciństwo. Ale najpierw o bardzo ciemnej plamie, o przeżyciu, które wywarło na mnie wielkie wrażenie. Powinienem być wyciągnąć z niego wnioski na przyszłość, bo to było ostrzeżenie na całe życie, ale tego nie zrobiłem. Nie mogłem zrobić, bo to by się sprzeciwiało ludzkiej naturze.

Miałem wtedy jakieś pięć lat, z pewnością nie więcej, bo później wyjeżdżaliśmy z rodzicami w lecie za granicę, a do tego czasu posyłano nas na wieś. Opisałem tę sprawę w jednej z moich książek („Czarna spowiedź”), ale w trochę zmienionej, przelutnej powieściowo formie. To samo zresztą dotyczy kilku innych epizodów moich wspomnień, które też były budulcem moich utworów literackich. Tu opowiem je nago, bez upiększeń, tak jak było.

A było tak, że wracając z letniska przywiozłem ze sobą duży kij, ledwie ostruganą gałąź, którą ktoś dla mnie uciął. Ogromnie mi się ten kij podobał, nie rozstawałem się z nim przez kilka dni. Nie był to z pewnością miejski kij. Matka, kiedy zauważyła że zamierzam wyjść z nim z domu, zaprotestowała. Mieliśmy iść z boną do prywatnego ogródka, gdzie dzięki znajomościom ojca pozwalano nam się bawić. Przychodziły tam i inne dzieci, chłopcy i dziewczynki.

Matka zażądała, abym zostawił kij w domu. Kiedy odmówiłem, powołując się na to, że już byłem kilkakrotnie w ogródku z moim kijem, matka odebrała mi go. Powiedziałem, że bez niego nie pójdę. „No to zostaniesz w domu”, powiedziała matka. I tak się też stało. Bracia poszli z boną, a ja zostałem sam w pokoju, popłakując ze złości. Ale skoro oświadczyłem, że bez kija nie pójdę, musiałem się tego trzymać. Duma i upór nie pozwalały mi ustąpić. Matka prowadziła ze mną bezowocne rokowania, po czym wyszła z domu.

Ale w końcu wygrałem, bo nasza służąca miała dobre serce. Wiedziała, jaką wagę przywiązuje do zabawy w ogródku, wiedziała też, gdzie matka schowała kij. Przyniosła mi go i odprowadziła do ogródka, wbrew zakazowi matki.

Odprowadziła mnie aż do drewnianego płotu, oddzielającego ogródek od ulicy i wróciła do domu. Była tam furka, ale w płocie była też dziura od sęku, który wypadł. Przyłożyłem

do niej oko i zobaczyłem, że dzieci w ogródku utworzyły kółko, trzymając się za ręce. Pośrodku kółka była pusta przestrzeń.

Przyszedł mi wówczas do głowy pomysł, który uważałem za znakomity. Byłem przekonany że wszystkie dzieci wiedzą, dlaczego zostałem w domu, że sprawa z kijem już do nich dotarła i niewątpliwie bardzo je przejęła. Chciałem to wykorzystać, podkreślając mój triumf dramatycznym, prawdziwie teatralnym efektem. Uwielbiałem w dzieciństwie takie efekty, odzwyczyałem się od tego dopiero w znacznie późniejszym wieku.

Przerzucę, pomyślałem sobie, mój kij przez płot, zanim jeszcze zjawię się w ogródku. Kij spadnie między dzieci jakby z nieba, co będzie ogromną sensacją, jako że wszystkie one go znają. Rozlegnie się ogólny krzyk zdziwienia, najgłośniej krzyknie Alinka, o którą mi głównie chodziło, i z radości zaczną klaskać w dłonie. Bardzo lubiłem jak klaskała w dłonie. Alinka była moją pierwszą miłością.

Rzuciłem kij i zaraz spojrzałem przez dziurkę w płocie. Celnie go rzuciłem, upadł właśnie tam gdzie chciałem. Ale efekt się nie udał. Zupełnie się nie udał. Kij poznano, owszem. Tylko że nikogo nie obchodził, ani ja też. „Znowu ten głupi kij”, krzyknęła Alinka i odrzuciła go nogą, żeby im nie przeszkadzał w zabawie. I to było wszystko, nikt nic więcej nie powiedział, dzieci bawiły się dalej, jakby mnie nigdy nie było na świecie.

Nie wszedłem do ogródka. Wróciłem sam do domu i nie mogłem wytłumaczyć Agnieszce dlaczego płaczę. Sam sobie też nie mogłem tego wytłumaczyć. Dopiero po latach zrozumiałem, że zetknęłem się wtedy po raz pierwszy z brutalną prawdą, polegającą na tym, że to co wydaje się niesłychanie ważne każdemu z nas, nie jest wcale ważne dla innych. Że nikt nikogo wielce nie obchodzi. Główne nasze cierpienia płyną z tego źródła, z ludzkiej względem nas obojętności i z naszej obojętności względem nich.

Była w moim dzieciństwie jeszcze jedna sprawa, która też boleśnie utkwiła mi w pamięci i której sens też zrozumiałem dopiero po wielu latach. Mój brat Antoni był starszy ode mnie tylko o dwa lata, ale w dzieciństwie taka różnica wieku odgrywa dużą rolę. Byłem w niego zapatrzony, żądałem żeby mnie ubierano tak jak jego, starałem się mówić jak on i nawet chodzić jak on. Ale Antoni często mnie irytował, a może irytowało mnie to, że byłem w niego zapatrzony, może się przeciwko temu wewnętrznie buntowałem i chciałem z tej duchowej niewoli wyzwolić. Pewnego dnia panna Aurelia dała nam na podwieczorek po bułce z małą tabliczką czekolady. Musiało to być

w tym samym czasie co historia z kijem. Antoni miał siedem lat, ja pięć.

Antoni, który był łasuch, zjadł swoją czekoladę najpierw. A ja, całkiem świadomie, wiedząc co nastąpi, zostawiłem ją sobie na deser, zjadając najpierw bułkę.

Antoni, jak oczekiwałem, zażądał, żebym mu dał kawałek mojej czekolady, jako że ją jeszcze mam, a on nie. Jego rozumowanie nie trafiło mi do przekonania. Z jakiej racji, powiedziałem mu, mam ci dać, skoro miałeś taki sam kawałek, tylko go zjadłeś? Antoni aż się zdziwił. Dotychczas dawałem mu wszystko czego ode mnie żądał, cieszyło mnie że mogę mu dać, że się w ogóle do mnie zwraca. A tu nagle taka niezależna postawa! „Jak ci nie wstyd!”, krzyknął mój brat. „Musisz mi dać, *bo ty masz a ja nie mam!* Musisz się ze mną podzielić, a że ja swoją czekoladę zjadłem, to już się nie liczy!”.

Nie dałem mu czekolady. Zjadłem całą, powoli, do ostatniego kawałka. I wówczas Antoni się rozplakał. Z pewnością nie dlatego, że mu nie dałem czekolady. Bardzo rzadko płakał i nigdy z takich powodów. Tylko dlatego, że go upokorzyłem. Powiedział, że już nigdy o nic mnie nie poprosi. Silnie mnie to dotknęło, żałowałem już tego co zrobiłem i pewnie oddałbym mu chętnie w tej chwili wszystkie moje zabawki, gdyby tylko zechciał je wziąć.

I otóż ta sprawa męczyła mnie wiele lat. Zagadnienie polegało na tym, czy — abstrahując od chęci upokorzenia brata, która była z pewnością brzydka — miałem wtedy rację, czy nie. Wreszcie zrozumiałem że nie, że całkowitą rację miał Antoni.

Zrozumiałem to dopiero wtedy, kiedy zdobyłem swoją wiarę, swoje socjalistyczne przekonania. Z tych przekonań, powiedziałem sobie, powinien wynikać mój stosunek do ludzi, bo to jest w socjalizmie najważniejsze. Przypuśćmy teraz, mówiłem sobie dalej, że do doktora przychodzi chory, który sam jest winien swojej chorobie. Oczywiście że doktor powinien go leczyć. Nie powie mu „dobrze panu tak, sam pan sobie winien”, tylko będzie go leczył. No a socjaliści mają uleczyć ludzkość, usunąć krzywdy i tak urządzić świat, żeby wszystkim lepiej się żyło. Więc ważne jest nie to, że ktoś jest w biedzie z własnej winy. Ważne jest tylko to, żeby w niej nie był, żeby go z niej wydobyć. Tylko to zagadnienie istnieje w sensie społecznym, jak również w zwyczajnych ludzkich stosunkach. Nie zagadnienie przyczyn, tylko skutków. Przyczyny, zawinione czy nie, kapitalizm i dyktatury, trzeba naturalnie usunąć, ale to nie powinno przeszkadzać głównej sprawie ani jej przesłaniać. A główną sprawą musi być zawsze człowiek taki jaki jest teraz, dziś, niezależnie od tego,

jak się ten stan wytworzył. Kto tego nie wie i takiego nastawienia do ludzi nie ma, może być tylko socjalistą sztucznym i bezdusznym, książkowym i suchym, takim co to przestudiował wszystkich marksów i umie wypowiadać wąskimi wargami uczzone banały. Znałem kilku takich. Wyrastają zwykle w drugiej połowie życia, a często i wcześniej, na wielkie kanalie.

3.

Święta w Warszawie. — Wuj Edward i jego kometa

Rodzice wozili mnie do Warszawy kilka razy do roku, zwykle na Boże Narodzenie, na Wielkanoc, lub przy końcu lata. Zawsze tylko na dwa, najwyżej trzy tygodnie. Te wyjazdy były najbardziej intensywną, największą przyjemnością mojego dzieciństwa. Przeżywałem je na długo przedtem, widziałem w marzeniach przyjazd do Warszawy, jazdę dorożką z dworca i zabawy z moją warszawską kuzynką, w Ogrodzie Saskim, w Łazienkach i u niej w domu. Wyobrażałem sobie wieczorem, leżąc w łóżku, wszystkie po kolei fazy pewnej gry w piłkę, którą wymyśliliśmy sami, to że ja najpierw trafię piłką w drzewo (musiało być cienkie, inaczej się nie liczyło), później Anka i tak do końca gry. Radosne podniecenie, płynące z pewności, że to wszystko wkrótce nastąpi, nie pozwalało mi zasnąć. I choć przyszłość nie lubi, żeby ją podpatrywano, chociaż należy się tego wystrzegać bo można spłoszyć, jak sarnę w lesie, to czego się oczekuje, moje marzenia w tym czasie zawsze się sprawdzały. Widocznie dla dzieci przyszłość jest bardziej łaskawa. Choinka była taka sama, wysoka aż do sufitu, pachnąca żywicą i śmiejąca się do nas srebrnymi nitkami, i lukier na piernikach w Łazienkach tak samo topniał na języku i pies, wielki bernardyn w domu na Marszałkowskiej, tak samo ufnie na nas spoglądał, pozwalał się ciągnąć za uszy i chodził za nami wcale nie dumnie, tylko jak przyjaciel, choć miał dumny charakter i był od nas starszy.

Do Warszawy jeździło się w owych latach pociągiem ze stacji kolei Fabryczno-Łódzkiej. W Koluszkach trzeba się było przesiadać. Podróż trwała trzy albo cztery godziny, w zależności od tego, czy w Koluszkach czekało się dłużej czy krócej. Obfitowała w mnóstwo wesołych epizodów. Walizki ginęły i odnajdywały się cudem w innym przedziale, ziemianin w bekieszy i ze szronem na wąsach zapraszał moją matkę na polowanie na zające i za chwilę, po łyknięciu trunku z płaskiej butelki, zasypiał, budząc się w popłochu w Skierniewicach, gdzie wyskakiwał z pociągu,

zapominając o zaproszeniu. Za szybami pociągu przężniały druty telegraficzne, wznosząc się ku górze tylko po to, aby za chwilę, uderzone najbliższym słupem, spaść na dół, coraz niżej i niżej, aż wreszcie znikwały z okiennej ramy. Ale wkrótce wracały, krzyżąc, że nic im się nie stało, i znowu pięły się ku górze.

Plac przed Dworcem Wiedeńskim w Warszawie wybrukowany był płaską kostką kamienną, szarą i dźwięczną, stuk kopyt o ten bruk też słyszałem w moich marzeniach i ten pierwszy głos Warszawy rozlegał się znowu tak jak zawsze, i roznosił echem na moje powitanie. Dorożka zawoziła nas do kamienicy na Marszałkowskiej, tej samej gdzie w oknach wystawowych salonu mód Bogusława Hersego wypinały się gipsowe panie w puszystych futrach lub głęboko wyciętych u góry lecz niezmiernie długich taftowych sukniach, lśniących przetkanymi przez jedwabie i wełny szafirowymi nitkami, jak morze, w którym przegląda się księżyc. W tym domu na pierwszym piętrze mieszkał mój wuj, tak samo jak ojciec neurolog i psychiatra, doktor Edward Flatau. Nazywaliśmy go wujem, choć był tylko mężem kuzynki mojej matki. Ale są krewni bliscy, których się mało zna i mało lubi, i prawie-krewni, znacznie bliżsi od tamtych. Do takich należeli wuj Edward i ciocia Zosia, bardzo urocza, o miękkim, melodyjnym głosie i granatowych oczach. Miała srebrne włosy — osiwiła już w młodości i zawsze się uśmiechała. Do nas, do psa-bernardyna, albo do swoich własnych myśli. I każdemu z nas potrafiła już na dworcu powiedzieć coś przyjemnego, jakąś tajemnicę, przeznaczoną tylko dla niego i nikogo więcej.

W Ance, ich córce, kochałem się w tych moich przedszkolnych latach.

Anka czasami się we mnie kochała, czasami nie. Mówiła mi zawsze otwarcie, czy tego dnia tak czy nie. Kiedy odmawiała odpowiedzi wiedziałem że tak.

Anka była jedynaczką i wykorzystywała ten stan rzeczy. Rządziła się jak chciała i jeździła na bernardynie jak na koniu. On na to dobrodusznie zezwalał, choć później wymiotował. Anka mówiła, że to nic nie szkodzi. Miała swoje upodobania i zwyczaje, rodzice je tolerowali. Pies też miał swoje zwyczaje. W długiej, wąskiej salce w mieszkaniu stały pod kloszami w spirytusie szare mózgi, zwierzęce i ludzkie, które wuj badał. Bernardyn naciskał w nocy łapą klamkę, zdejmował zębami klosz i wyjadał mózg, zawsze tylko jeden. Klosz zdejmował delikatnie, umieszczając go po cichutku na stole. Wuj wykrywał to dopiero nazajutrz a czasami po kilku dniach, bo pracował w laboratorium nie codziennie. Zapowiadał wówczas, że bernar-

dyna wyrzuci. Anka wybuchła płaczem. Bernardyn spoglądał na wuja z wyrzutem i wolnym krokiem opuszczał pokój na znak protestu przeciwko tym groźbom.

Nocowałem zwykle na kanapie w gabinecie wuja Edwarda. Tam też gadałem bez końca, przeszkadzając mu pracować. Wuj Edward, podobnie jak mój ojciec, pisał wieczorami naukowe artykuły i książki. Któregoś wieczoru znalazł na mnie sposób. Powiedział, żebym jakąś godzinkę nic nie mówił, bo jest zajęty. Zamilkłem, trochę obrażony, ponieważ wuj Edward siedział przy biurku i nic nie robił. Potem wstawał, chodził po pokoju, znowu siadał i znowu nic nie robił.

— Ty przecież nie pracujesz, powiedziałem mu. Tylko sobie chodzisz albo siedzisz i więcej nic.

— Bo myślę — rzekł wuj Edward. — Myślę i ćwiczę się. Powiem ci jak się ćwiczę, ale w wielkiej tajemnicy. Niedługo kula ziemską zderzy się z wielką kometą. Nic strasznego się nie stanie, tylko że kometa obejmie ziemię i zdusi, więc nie będzie czym oddychać. Ale później odleci i na ziemi znów będzie powietrze. Ja się teraz wprawiam w taki sposób, że wciągam powietrze jak najgłębiej i trzymam je w sobie. Rób to samo, to jak przyleci kometa obejdiesz się bez powietrza i nie umrzesz.

Nie chciałem umrzeć, więc posłuchałem rady wuja Edwarda. Ćwicząc się nie mogłem mówić i w końcu zasypiałem.

Wuj Edward, tak samo jak mój ojciec, specjalizował się w diagnozach nowotworów mózgu. W jakieś pół wieku później rozpoznał nowotwór u siebie samego i zdecydował, że operować go nie można. Począł wówczas zapisywać mnożące się objawy tej strasznej choroby i prowadził ten dziennik, tę swoją ostatnią medyczną pracę, z całą dokładnością aż do chwili śmierci.



Pierwsze lata szkolne pamiętam źle. Zachowałem lepiej w pamięci wyjazdy na wakacje z rodzicami za granicę. Wyruszało się z dworca kaliskiego najpierw do Berlina, zawsze najpierw do Berlina. Na granicy rosyjski żandarm, aby sprawdzić czy osoba odpowiada temu co jest o niej napisane w paszporcie, świecił wszystkim pasażerom, nie wyłączając całkowicie małoletnich, latarką w oczy. Fotografii w paszportach jeszcze wówczas nie było, ale paszporty były, zresztą tylko w Rosji. I nie każdy poddany rosyjskiego imperium mógł je opuścić kiedy mu się podobało. Władze decydowały, kto może a kto nie, i na jak długo.

Natomiast za rosyjską granicą paszporty nie były znane, każdy mógł jechać dokąd chciał, do każdego kraju bez żadnej wizy. Wierzyć się nie chce, że panowały kiedyś takie dziwne zwyczaje.

W Berlinie cała rodzina udawała się na Leipzigerstrasse do uniwersalnego magazynu Wertheima. W sferach, z których pochodzę, panowało niezłomne przekonanie, że wszystko, co się kupuje w Berlinie, jest dobre i tanie i że wyroby krajowe nawet się nie umywają do zagranicznych. Ojciec, choć kończył niemiecki wówczas uniwersytet w Dorpacie i pisał swoje prace zwykle po niemiecku, nie lubił Niemców i wolałby robić zakupy w innych krajach, ale poprzestawał na złośliwych o tym narodzie uwagach. Nie mógł iść przeciwko prądowi.

Kupowało się u Wertheima wszystko dla nas: ubrania z marynarskim kołnierzem, kostiumy kąpielowe w paski, zapinane aż po szyję na czerwone guziki, i mnóstwo innych rzeczy. Raz mi ojciec kupił piłkę futbolową, i to nie niemiecką, tylko angielską, na której było wydrukowanych dużo angielskich napisów rozmaitej wielkości. Bardzo mi imponowały, chociaż ich nie rozumiałem, i moim kolegom w Łodzi też. Wymawiało się wówczas angielskie słowa tak jak były napisane. Pan Szrojt otworzył w Łodzi nowe kino na Zielonej i nazwał je The Bio Express. Mówiło się w skróceniu, że się idzie do Tche Bio. A co do Wertheima, to jeszcze pamiętam, że znalazł tani i świetny sposób na zjednywanie sobie klientów z Polski. Przy wejściu do sklepu pan w pasiastych spodniach, poznając ich z wyglądu, wręczał im specjalną książeczkę. Jeździło się z nią z jednego piętra na inne, sprzedawcy odnotowywali w książeczce co się kupuje i rachunek za wszystko razem płaciło się przy wyjściu. A później Wertheim przysyłał zakupy do hotelu z miłym liścikiem. Okazało się, pisał, że zaszła omyłka. Należy się nie zapłacić suma, tylko o 50 fenigów mniej. Zwracamy 50 fenigów i najmocniej przepraszamy, polecając się łaskawej pamięci. Matka była zachwycona tą skrupulatnością. Przestała się zachwycać dopiero kiedy się dowiedziała, że jej łódzcy znajomi otrzymywali takie same liściki.

Z Berlina jechaliśmy do Szwajcarii, albo do Scheveningen w Holandii, albo do Mariakerke, małej wówczas dziury koło Ostendy, gdzie była ogromna plaża, zalewana przyptywem morza aż do połowy. Odpływ zostawiał na twardym szarym piasku krewetki, brzydko-przezroczyste za życia, a czerwone po ugotowaniu, gwiazdy morskie, wypełniające fetorem pokoje hotelowe kiedy się je suszyło, różnej wielkości kraby, a także wszelakiego rodzaju muszle, podłużne i wąskie jak palce, wielkie ze spiralnym końcem i malutkie różowego koloru, z otwartymi połówkami,

puste, bo jak mi tłumaczył ojciec, ich mieszkańcy przeprowadzili się do większych lokali. Na białym piasku, do którego przyплыw nie docierał, niektórzy panowie, pragnąc się przewietrzyć, odpinali u szyi swoje kostiumy kąpielowe. Zjawiał się natychmiast osobnik w urzędowej czapce i zwracał uwagę, że na plaży nie wolno się rozbierać.

Plażę odgradzały od nadbrzeżnej ulicy granitowe skały, strome, ale nie tak strome, żeby nie można było się na nie wdrapać. Wspinałem się na nie w tajemnicy przed rodzicami, upadając raz po raz na plecy. Antoni też, mówiąc, że to wyrabia wytrzymałość i charakter.

Mariakerke służyło z muzeum, które miało tylko jeden eksponat: naturalnej wielkości rusałkę, do połowy ciała kobietę, do połowy rybę z ogonem jak delfin. Leżała na czarnym aksamicie pod szkłem z uśmiechem na twarzy. Podobno zrobili ją Japończycy, łącząc w jakiś przemyślny sposób tułów małpy i jej głowę, odpowiednio upiększoną, z dolną połową rekina czy delfina. Ale ja w to nie wierzyłem, wolałem wierzyć w rusałki.

W Szwajcarii okropnie się nudziłem. Łażenie po górach nie sprawiało mi żadnej przyjemności, a innych rozrywek nie było. W Brunnen, na Jeziorze Czterech Kantonów, był przynajmniej pociąg, wjeżdżający do tunelu, wywierconego w górze, na której stał nasz hotel, i wyjeżdżający z drugiej strony. Ciekawy bądź co bądź widok. Gdzie indziej były tylko góry, dalekie i bliskie, zalesione lub gołe. Jednym słowem widoki. „Jak tu pięknie”, mówiła matka, „można patrzeć godzinami”. A ja wzdychałem. Piękno natury nudziło mnie i wprawiało w melancholię. I teraz tak jest, bo natura, jak powiedział Czechow, jest tylko ekranem, na który rzucamy nasze uczucia i myśli.

Kiedy jeździliśmy do Szwajcarii, nie mogłem się doczekać powrotu do Polski, zwłaszcza że koniec wakacji spędzaliśmy na wsi, w Gałkówku, Andrzejowie, albo na innym letnisku. Te łódzkie letniska były dosyć nędzne, mętne stawy, po których pływały kaczki, nie dzikie, szaro-żółciste, tylko zwykłe białe, domowe, zastępowały rzeki, a przetrzebione zagajniki lasy. Ale za to na letniskach miałem wielu kolegów i przyjaciół, bez których za granicą źle się czułem. Często przed rozpoczęciem roku szkolnego zawożono nas jeszcze na krótko do Warszawy. Ale to już nie była Warszawa mojego wczesnego dzieciństwa. Anka chodziła już do szkoły, bardzo była tym przejęta, miała swoje szkolne przyjaciółki i nie mogła poświęcać mi dużo czasu. Miałem o to do niej żal. Rozwijałem się bardziej powolnie niż ona i wolniej niż bernardyn, który rozumiał że jest tak jak musi

być, nie narzucał się jej i spoglądał na mnie, siedząc sobie w kącie, mądrym wzrokiem, jakby chciał powiedzieć, że powinienem brać z niego przykład i pogodzić się z losem.

4.

Szkoła. — Skomplikowane oszustwa. — Dyskusja o matematyce. — Spotkanie w piekarni

W Łodzi, zaraz po przyjeździe, kładłem na siebie mundur szkolny, obowiązujący w szkole i poza szkołą. Nosiliśmy czarne mundury z niebieskimi wyłogami i francuskie kepi, takie jak napoleońscy żołnierze. Kepi upiększał znaczek z wyhaftowanymi literami G.P. (Gimnazjum Polskie). Początkowo mieliśmy znaczki metalowe, ale władze rosyjskie zdecydowały, że tylko uczniowie szkół rosyjskich mają prawo nosić metalowe znaczki i guziki, a my tylko haft. Chodziłem do gimnazjum z polskim językiem wykładowym. Szkoły polskie otworzono w zaborze rosyjskim dopiero po roku 1905 i wtedy też rozpoczął się bojkot szkół rosyjskich, trwający aż do pierwszej wojny. Szkoły polskie nie miały żadnych praw. Uniwersytety i politechniki w Rosji, jak również rosyjski uniwersytet w Warszawie nie przyjmowały maturzystów z polskich szkół. Matury te honorowano jednak za granicą. Ale znowu z zagranicznym dyplomem nikt nie mógł zostać lekarzem, inżynierem czy adwokatem, chyba że zdawał później, jako ekstern, rosyjską maturę, co było trudne i kosztowne. Nie bacząc na to, bojkot szkół rosyjskich był twardy i surowy. Uczniów tych szkół uważano za łamistrajków i nikt w naszej szkole z nimi się nie zadawał. Przepędzaliśmy ich z boisk futbolowych i tenisowych kortów, nawet z lasów, do których chodziliśmy na majówki, i mowy nie było o tym, żeby uczniowie albo uczennice polskich szkół pokazywały się z łamistrajkami w miejscach publicznych. W przepędzaniu łamistrajków brałem czynny udział. Nie przychodziło mi wtedy do głowy że bojkot szkolny, prócz jego strony chwalebnej i patriotycznej, miał jeszcze inną: tylko dzieci zamożnych rodziców mogły się kształcić na uniwersytetach zagranicznych. Innymi słowy, bojkot prawie że uniemożliwiał biedakom zdobycie wyższego wykształcenia.

Uczyłem się, od najmłodszych klas, bardzo źle, nie dlatego aby nauka sprawiała mi specjalne trudności, tylko z przekonania. Uważałem naukę za stratę czasu. Pociągały mnie inne sprawy, w różnych okresach różne, podczas gdy do takich rzeczy jak na przykład dodawanie ułamków albo ich dzielenie odczuwałem

nieprzeparaty wstręt. Brzmi to z pewnością nieprawdopodobnie, ale jest szczerą prawdą że nigdy nie nauczyłem się operować ułamkami, ani zwykłymi ani dziesiętnymi. Do dziś dnia tego nie umiem. Nie zapomniałem, tylko nigdy nie umiałem. Liczę też źle i zawsze liczyłem źle. Sam się sobie dziwię że mimo to prześliznąłem się jakoś przez życie. Trudności miałem zresztą tylko w szkole, później już nie. Później korzystałem, w razie potrzeby, z czyjejs pomocy. Na świecie jest mnóstwo ludzi umiejących doskonale liczyć i chętnie te umiejętności wykazujących. Ale w szkole musiałem się uciekać do skomplikowanych oszustw. Nosiłem stale w kieszeni watę, zabarwioną czerwonym atramentem. Kiedy zbliżało się niebezpieczeństwo w postaci wywołania mnie do tablicy — bo klasówki ściągałem lub załatwiałem tę rzecz w inny sposób, o którym później — pakowałem watę do nosa i podnosiłem rękę do góry. Nigdy krew nie ciekła mi z nosa, ale chłopcom w wieku szkolnym często się to zdarza. Nasi profesorowie — tak tytułowano w szkole nauczycieli — myśleli, że mi cieknie. „Idź do umywalni”, mówili łagodnie. No i szedłem, zwykle w asyście kogoś z przyjaciół, podkreślającego ruchami i wyrazem twarzy, jak bardzo mi współczuje. A później w nocy często mi się śniło, że moje oszustwa się wydały, że zostałem zdemaskowany i wyszło na jaw, że nie mam o niczym pojęcia.

Matematykę zawsze traktowałem wrogo, najpierw pewnie odruchowo, ale później świadomie, na podstawie wielce filozoficznych rozmyślań. Dwa i dwa, oświadczyłem kiedyś profesorowi Zawadzkiemu, nie jest wcale cztery. Jak to nie jest?, zdziwił się on. Nie jest, powtórzyłem twardo, bo jak na przykład zjem dwa jabłka, to mnie brzuch nie rozboli, a jak cztery, to rozboli. Z czego wynika, że dwa następne jabłka nie mają tego samego znaczenia co pierwsze dwa, czyli że dwa takie same jabłka nie są wcale równe innym takim samym dwóm. Czyli że cztery to nie dwa razy dwa, tylko co innego. Dodałem, dla oświecenia profesora Zawadzkiego, że każde dziesięć kopiejek różni się od innych dziesięciu kopiejek. Wszystko zależy od tego, kto je posiada. Dla człowieka biednego może być poważną sumą, dla bogatego znaczy tyle co grosz. A z tego wniosek, że znak równości powinno się stawiać między groszem i dziesięcioma kopiejkami. Wyraziłem nawet zdziwienie, że tak się nie dzieje. Kilku moich przyjaciół zawsze chętnie biorących udział w każdej hecy, poparło moje rozumowanie, bądź to anonimowym piskiem spod ławki, bądź to odważnym wystąpieniem po mojej stronie. Profesor Zawadzki, nie podnosząc rzuconej mu dialektycznej rękawicy, wyrzucił mnie za drzwi. Mało się tym przeją-

łem, bo wyrzucano mnie za drzwi z klasy niezmiernie często, ale chodząc po korytarzu mówiłem sobie, że tym razem ucierpiałem niewinnie, bo miałem rację, a profesor Zawadzki jej nie miał. Nie umiałem tylko objaśnić dostatecznie jasno, na czym moja racja polega, i teraz też nie umiem. Jestem jednak przekonany, że matematyka jest największym kłamstwem na świecie, zupełnie tak samo, jak fotografia. Fotografia dlatego, że pokazuje tylko wszystko z zewnętrznej strony, która jest najmniej ważna, a matematyka z tego powodu, że operuje abstrakcjami, które nic nie znaczą. Spraw naprawdę ważnych, głębokich i ludzkich, matematyka nie obejmuje i objąć nie może.

Przykład z kopiejkami i groszem, który zacytowałem profesorowi Zawadzkiemu, był prawdopodobnie związany z pewną sceną w piekarni na Piotrkowskiej, której byłem w tym czasie świadkiem. Jadało się u nas w domu biały chleb i bułki, ale ojciec lubił razowiec i często jadł go na podwieczorek. Któregoś dnia ojciec posłał mnie po czarny chleb do piekarni. Musiałem tam chwilę czekać. Starszy człowiek, źle ubrany, prosił o coś piekarza przyciszonym głosem. Piekarz nic nie odpowiedział, tylko pokręcił przecząco głową. Tamten wyszedł. Prosił, żeby mu dać na kredyt pół bochenka chleba, powiedział mi piekarz.

Opisałem tę scenę w powieści „Rysy twarzy”, dodając, że mój powieściowy bohater wybiegł z piekarni za tym człowiekiem, ale nie mógł go na Piotrkowskiej odszukać. Tak, niestety, nie było. Nie wybiegłem, wróciłem do domu z razowcem i jadłem go z apetytem, grubo posmarowawszy chleb masłem. Ale to co widziałem w piekarni żyło we mnie i kiełkowało. Było to jedno z tych przeżyć, o których nikomu nie mówiłem, z których się nikomu nie zwierzałem, bo taki miałem charakter.

Człowieka z piekarni widzę jeszcze teraz, kiedy to piszę. Jego szept był może pierwszym impulsem, który mnie pchnął na socjalistyczną drogę.

Ale wszedłem na nią później, kilka lat później, a w międzyczasie ulegałem kolejnym maniom, które mnie całkowicie pochłaniały. Jedną z nich miała nawet manię w samej nazwie. Mówię o kalkomaniach, kolorowych obrazkach z cienkiej gumy, które się kupowało w arkuszach i przeklejało z nich do kajetów. Nie do zeszytów, bo to słowo wprawdzie wówczas istniało, ale brzmiało pretensjonalnie. Cała klasa wymieniała kalkomanie. Wkrótce ten szal minął i przyszła kolej na zielniki. Profesor botaniki nauczył nas, jak należy umieszczać w zielniku, między bibułkami, trawy i rośliny, które zbieraliśmy w lesie. Wykładał on jednak botanikę również na pensji żeńskiej pani Okuszeko-Konarzewskiej i przyniósł kiedyś do klasy wielki zielnik, prawdziwe dzieło

sztuki, owoc pracy jednej z uczennic. Postawił nam ten zielnik za przykład do naśladowania, ale skutek był całkiem odmienny od zamierzonego. W wieku lat dziesięciu lub jedenastu ma się do panienek głęboką pogardę, do wszystkiego co czynią również. Zielniki zostały uznane za dziewczynskie zajęcie i rzucone w kąć.

Zajęciem całkowicie męskim stało się wówczas zbieranie znaczków pocztowych. Nie tylko zbieranie, lecz również ich wymiana, sprzedaż i kupno. Nie mówiło się zresztą wtedy znaczki, tylko marki. Myślę że to jest lepsze słowo, choć mniej polskie, bo znaczek jest słowem zdrobniałym i jak wszystkie słowa zdrobniałe zalatuje mieszczaństwem, fałszem i sacharyną.

Główny nasz dostawca, Chińczyk z czarnym warkoczem, którym podobno bił swoje dzieci, sprzedawał znaczki w podwórku na Wólczańskiej. Nabywaliśmy tam żółte Sudany z wielbłądem i inne Gwatemale, prawdziwe lub też podrobione, zwane fałszówkami. Fałszówki też miały swoją wartość, choć do albumu nie wypadało ich wklejać. Nie wiem, kto je fabrykował, może sam Chińczyk, może jakaś poważniejsza firma, ale na rynku było ich mnóstwo.

Na tym samym podwórku domu na Wólczańskiej funkcjonował lupanar dla ubogich. Mieścił się w przekrzywionym ze starości drewnianym parterowym domku, przed którym przepływał cuchnący rynsztok. W czasie rozruchów, będących ostatnimi echemi rewolucji 1905 roku, zdaje się że w roku 1907, w domku powybijano szyby. Wyrzucono też na podwórko łóżka i pierzyny i spalono je na stosie. Uczynił to rewolucyjny tłum. Skutki tej akcji widziałem na własne oczy, ale nie wiedziałem, co to jest dom publiczny i co się w nim dzieje. Miałem o tym wyobrażenie dosyć mętne. Trochę, ale nie całkowicie, oświecił mnie w tym względzie pan Kazimierz, który był czymś pośrednim między lokajem a pomocnikiem ojca w przyjmowaniu chorych, bo się kiedyś kierował na felczera. Pan Kazimierz był wyleczonym przez ojca wariatem. Ojciec protegował wielu swoich byłych pacjentów, utrzymując, że są całkowicie normalni, ale nie zawsze byli.

Do Niemców należały wówczas w Łodzi największe fabryki, mieli oni swoje kluby, swój niemiecki teatr, dwie codzienne niemieckie gazety i swoje szkoły z niemieckim językiem wykładowym. Ale najbogatszym człowiekiem w mieście nie był Niemiec, tylko Sucher Szeps, chodzący w chałacie i podobno tak niedokształcony, że nie umiał się podpisać. Opowiadano też o nim, że mówi do swojego stangreta „panie Bolesław”, a stangret odzywa się do niego w trzeciej osobie. „Panie Bolesław, zaprzęgnij mnie pan do wolanciu”, wołał z okna. „Już zaprzę-

gnięte, niech Sucher siada”, odpowiadał stangret z podwórka. Nigdy nie widziałem tego bogacza na własne oczy, ale pamiętam jego pałac w samym środku miasta. Niedaleko, po ulicy Zawadzkiej, Benedykta i Południowej, snuli się wychudzeni Żydzi z brodami na bakier, również w chałatach, wielcy nędzarze. Byli to faktorzy. Tym słowem określano w Łodzi pośredników najniższej kategorii, którzy się dowiadywali, że ktoś chce kupić kilka krzesła, albo wynająć mieszkanie, albo szuka tapicera. Zgłaszali wówczas swoje usługi, otrzymując za pośrednictwo drobne sumy. Inni, nie mając już siły ani odwagi do załatwiania nawet takich interesów, stali pod ścianami domów, patrząc w przestrzeń zaropiałymi od nędzy i chorób oczami. O nich to pisał później Tuwim:

*Stoją z pochyloną na bok głową ludzie
Może są zmęczeni, może śnią o cudzie
Stoją nieruchomi, w jeden punkt wpatrzeni
Szary jak szarzysta śródmiejskiej przestrzeni.*

Ci, którzy pracowali, mieli się nie o wiele lepiej. Żydowski krawiec z rozciętą dolną wargą, nazwiskiem Rozenes, który nam szył szkolne mundury, mieszkał i pracował w piwnicy. W tej samej piwnicy mieszkała żona i kilkoro dzieci. Bywałem u niego i widziałem, co jadł na obiad: suchy chleb z surową cebulą. Czytałem później opis wielkiej żydowskiej nędzy w „Ludziach bezdomnych”. Gdyby Żeromski był kiedyś w Łodzi na Bałutach, zobaczyłby że tam było gorzej. Ja byłem na Bałutach tylko jeden raz. Większej nędzy nie widziałem później nigdzie na świecie, ani w najbiedniejszych dzielnicach Londynu, Berlina czy Nowego Jorku, ani nawet w Dakarze, w Afryce, gdzie na murzyńskim rynku sprzedawano kartofle na sztuki, ani w Belem, straszliwym mieście w Brazylii, gdzie przynajmniej nędzarze szybko umierali na malarię. Kolorowe afisze w najbiedniejszych dzielnicach tego miasta reklamowały lekarstwa anty-malaryczne i środki na syfilis. Jedna mała flaszeczka, krzyczały afisze, wyleczy każdego w przeciągu krótkiego czasu. Spryciarze zbijali tam majątki na ludzkiej nędzy, tak samo jak wszędzie na świecie.

I tak samo jak w Łodzi. Ulica Piotrkowska, główna ulica mojego miasta, biegła od Nowego Rynku, graniczącego z Bałutami, do Rynku Geyera. Na Bałutach gnieździła się nędza żydowska, w okolicach Rynku Geyera katolicka. Mieszkali tam najgorzej opłacani chałupnicy, biorący pracę do domu. Nawet ślęcząc nad nią 15 godzin na dobę trudno im było wyżyć. Ale między tymi dwoma biegunami robiono wielkie interesy, powstawały

milionowe fortuny, fabrykanci, kupcy i bankierzy bogacili się w znacznie szybszym tempie, niż gdziekolwiek w Polsce. Nowe przedsiębiorstwa, nowe interesy wymagały nowych kapitałów, pieniądze stawały się coraz droższe, pożyczano je na lichwiarskie procenty i tylko na tak zwane prokuratorskie weksle. Te weksle wynaleziono właśnie w Łodzi. Wynalazek polegał na tym, że pożyczający, w obecności tego, od którego pożyczał, musiał na odwrotnej stronie weksła sfałszować podpis jakiegoś łódzkiego potentata: Scheiblera, Kunitzera, Bielszowskiego czy Oskara Kohna z Widzewskiej Manufaktury. Że niby ten potentat weksel żyruje. Jeżeli weksel nie został wykupiony w terminie, szedł do prokuratora. Fałszerz odpowiadał wówczas nie za to, że nie zwrócił pieniędzy, tylko za podrobienie podpisu, co było sprawą karną i za co dostawało się dobre kilka lat.

Nie wiedziałem naturalnie o tych sprawach w pierwszych latach szkolnych. Dowiadywałem się o nich stopniowo, z biegiem czasu, ale piwnicę krawca Rozenesa, człowieka z piekarni, Rynek Geyera, Bałuty i wiele innych rzeczy widziałem już wtedy, kiedy chodziłem z tornistrem na plecach, obowiązującym aż do drugiej klasy. Później tornister zastępował rzemień, ściskający książki, a jeszcze później teczka. Widziałem to wszystko, tylko że to były początkowo jakby nie wywołane zdjęcia fotograficzne, które nosiłem w sobie.

5.

Życie przez pryzmat powieści

Janusz Korczak napisał w jednej ze swoich książek, że uczniowie szkół średnich przeżywają kolejno trzy okresy: romantyczny, patriotyczny i filozoficzny. Odnosiło się to oczywiście tylko do ówczesnej Polski. Nie wiem jak jest teraz, ale wtedy tak było. Przeżywałem te okresy i ja, w takiej właśnie kolejności. Ale jeszcze przedtem nastąpił, niemal że wybuchnął, okres czytania, pochłaniania książek, który trwał długo, poprzez wszystkie okresy, ale który się rozpoczął kiedy miałem jakieś dziewięć albo dziesięć lat.

Czytywałem dwie lub trzy książki tygodniowo, a bywały okresy, że codziennie jedną. Wielu moich kolegów też czytało tak dużo. Książki braliśmy z półek rodziców, dostawaliśmy je od starszych braci i siostr, czasami wypożyczaliśmy z bibliotek, ale nie z biblioteki szkolnej, bo zawierała głównie książki dla

młodzieży. Nie interesowały mnie one zupełnie, w żadnym wieku. Nie pamiętam, abym kiedykolwiek choć jedną z nich przeczytał.

Lektura tych lat ukształtowała mój stosunek do świata i ludzi, prawdopodobnie na całe życie. Czytałem prawie wyłącznie powieści i patrzyłem na świat oczami powieściowych postaci. Nie wiem, czy to było dobrze, czy źle. Ale nie tylko na mnie literatura wywierała przemożny wpływ, nie tylko ja traktowałem ją nie jako rozrywkę, lecz jako rzecz bardzo ważną. Działo się tak dlatego, że urodziłem się w Polsce. Inne kraje miały może lepszych pisarzy, może większą literaturę, ale w żadnym z nich, z wyjątkiem przedrewolucyjnej Rosji, literatura nie odgrywała tak olbrzymiej roli, jak w Polsce.

Czułem zresztą wtedy już instynktownie to, co teraz wiem, a mianowicie że utalentowany pisarz więcej powiedzieć może na kilku stronicach powieści, niż ktoś wielce uczony w kilku tomach naukowego dzieła. Więcej dlatego, że więcej widzi, rozumie i czuje. Pomyślałem to sobie niedawno, czytając Freuda. Krótko przedtem czytałem, po raz już nie wiem który, wstrząsającą „Opowieść człowieka nieznanego” („*Razkaz niezwiastnawo człowieka*”) Czechowa. Jak głęboko, mówiłem sobie, sięga do duszy ludzkiej Czechow i jak płytkie, chwiejne, taniusienkie i dla wiedzy o człowieku w gruncie rzeczy mało warte jest to, co wyklada w swoich dziełach Freud!

Może to porównanie Czechowa z Freudem było trochę niesprawiedliwe, może powinienem był sięgnąć trochę niżej, bo Czechowa uważałem i uważam za pisarza, któremu żaden inny nigdy nie dorównał. To jest takie moje prywatne zdanie, nie zamierzam wytaczać argumentów w jego obronie, bo nie piszę polemicznego artykułu, tylko swoje wspomnienia. Dodam tylko, że czytam co rok albo dwa wszystko co Czechow napisał i bardzo chciałbym, żeby czytali go wszyscy, bo od czytania Czechowa człowiek robi się rozumniejszy i lepszy*.

Ale Czechowa czytałem dopiero później, już nie w Łodzi. W Łodzi zacząłem chyba od Jules Verne'a i jego kapitana Nemo, który grał na fortepianie, używając tylko czarnych klawiszy, i od „Nędzników”. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego Marius tak się obraził, kiedy mu poradzono, żeby zrobił z Cosety swoją metresę, bo nie wiedziałem, co znaczy to słowo, a kiedy się

* Używałem wielokrotnie pisać „tak jak Czechow”, wpaść w jego ton, przejąć jego melodię. Udało mi się to tylko raz, i to w małym stopniu, we „Wspomnieniach przechodnia”. Wzorowałem to opowiadanie — nie w treści, tylko w jego rytmie — na olśniewająco wspaniałym „Domu z mezoninem”, który Tołstoj, zamiast swoich utworów, czytał często na głos odwiedzającym go pisarzom.

dowiedziałem, to znowu nie mogłem pojąć, dlaczego mu tak bardzo zależało na tym, żeby ją poślubić, skoro mogli się kochać bez ślubu. Ale w Jeanie Valjean'ie wszystko było od razu zrozumiałe, wszystko porywające, został on moim „ulubionym bohaterem”, jak się wtedy pisało w wypracowaniach szkolnych, na długi czas, aż do chwili, kiedy się zaczął Żeromski. I zaraz po nim Prus, nie tylko w sensie czasu, lecz i gradacji. Ta gradacja później uległa zmianie. „Lalka” zajęła pierwsze miejsce, a także „Grzechy dzieciństwa”, „Kamizelka” i „Katarynka”. „Faraon” wcale mi się nie podobał (teraz też mi się nie podoba), a w „Emancypantkach” podobał mi się tylko pierwszy tom.

Co do Żeromskiego, to najgłębsze wrażenie wywarły na mnie pierwsze jego opowiadania. „Doktor Piotr”, syn pana Dominika Cedzyny, stał się dla mnie żywą, realną postacią, znacznie bardziej realną, niż ludzie, których znałem. Rozumiałem, że musiał zerwać ze swoim samotnym ojcem, rozumiałem też, że to była tragedia społeczna. Doktor Piotr nie mógł postąpić inaczej jak żył. Wciąż rozmyślałem nad tym opowiadaniem, jak również nad innym — „Siłaczka” — w którym Żeromski poruszył problem zdrady samego siebie i swoich przekonań. Bohater tego opowiadania, lekarz, walczył z kołtuństwem, aż mu powybijali szyby w mieszkaniu, ale później się ustatkował, utył, wszedł w spółkę z aptekarzami i zbijał gotówkę, płacąc dań ideałom swojej młodości tylko w ten sposób, że propagował palenie papierosów „w gilzach niesklejanych, zaszczytnie znanych pod godłem nieszkodliwych piersiom”. Te niesklejane gilzy stały się w moich rozmyślaniach skrótem myślowym i symbolem wszystkiego, co jest niby to śmiałe i rewolucyjne, a w istocie stęchłe, co jest sztandarem bojowym tchórzy i kretynów, których najłatwiej jest zawsze oszukać i wystawić do wiatru, bo lubią żeby ich oszukiwano i sami się chętnie oszukują. Wiedziałem już wtedy, że oszukiwanie samego siebie, zdrada samego siebie jest najgorszą zdradą, że to co ludzie mówią, wszystko jedno kto, i wszystkie książki, i wszystkie teorie — to wszystko może być dobre albo złe, ale trzeba postępować tak jak się samemu myśli i czuje, według swojego własnego kodeksu.

„Zmartwychwstanie” było pierwszą książką Tołstoja, która mi wpadła w ręce. Czytałem ją jednym tchem, w dzień i w nocy, aż skończyłem. W „Zmartwychwstaniu” nie ma żadnych tajemnic. Jest natomiast bardzo ważny problem, z którym zetknęłem się pierwszy raz, problem bezwzględnej, dożywotnej odpowiedzialności człowieka za swoje czyny, zwłaszcza takie, które w jakimś środowisku nie uchodzą za złe, chociaż nimi są. Mówiłem sobie, że ta książka zwraca się do mnie, że mnie

ostrzeża na samym początku mojego życia. Ale te myśli nawiedzały mnie dopiero po przeczytaniu książki. Podczas jej czytania kilka razy płakałem, i to wcale nie dlatego że rozczulały mnie dzieje Katuszy Małowej czy szlachetność księcia Niechljudowa. „Zmartwychwstanie” wzburzyło mnie swoją artystyczną prawdą. To zetknięcie ze Sztuką, prawdziwą Sztuką przez duże S, zawsze mnie wzruszało i wzrusza, i to odnosi się do wszystkich jej form. Oczy zachodzą mi łzami kiedy słyszę pewne utwory muzyczne, kiedy patrzę w teatrze na wielkich aktorów albo widzę na ekranie takie arcydzieła, jak na przykład „Światła wielkiego miasta” Chaplina. To zetknięcie jest zawsze niespodziane, instynktowne i wzruszenie zawsze nieporównanie większe niż to, które powinno wywoływać, ale nie wywołuje, jakieś zetknięcie ze smutnym lub tragicznym wydarzeniem rzeczywistym. Myślę, że to samo dzieje się z większością ludzi. Wyobraźmy sobie bowiem — powołałem się na ten przykład w jednym z moich opowiadań — że ktoś, po drodze do teatru, spotyka znajomego i dowiaduje się, że umarła jego żona, którą znał i lubił. Przykro mu, że umarła, ale go ten fakt nie wzrusza. I zaraz później widzi w teatrze sztukę, w której ktoś umiera. Wie, że to co widzi na scenie jest fikcją, jest wymysłem, że aktor gra tylko swoją rolę, że „udaje” — a jednak, jeśli to jest utalentowany aktor i jeżeli jest to sztuka utalentowanego pisarza, widz w teatrze wzruszy się do łez. Sztuka zaraża nas bowiem emocjonalnie, ożywia w nas uczucia, których nie wywołuje prawda rzeczywista, i wpływa na nas tym silniej, im jesteśmy młodszy. Dlatego książki, które czytałem w dzieciństwie i wczesnej młodości, kształtowały mnie wewnątrz. Różnica między oddziaływaniem na nas sztuki w naszych wczesnych latach i jej oddziaływaniem w latach późniejszych polega prawdopodobnie na tym, że w pierwszym wypadku wyciągamy dla siebie wnioski z naszych wzruszeń, że stają się one często naszymi drogowskazami. Emocje, jakich doznajemy przy zetknięciu ze sztuką kiedy się starzejemy mogą być równie intensywne, ale przemijają, nie pozostawiając w nas śladów. Są tylko tym, co w mowie potocznej zwie się przeżyciem artystycznym, i niczym więcej.

6.

Korso na Piotrkowskiej. — Hela. — Pierwsze wydrukowane opowiadanie

Za moich szkolnych czasów istniał w Łodzi uświęcony tra-

dycją zwyczaj. Między godziną szóstą i siódmą wieczorem młodzież szkolna spacerowała po Piotrkowskiej, tylko po jednej stronie ulicy i tylko na małym jej odcinku: między Przejazdem (teraz ulicą Tuwima) i Krótką (teraz Traugutta)*. Na jednym z dwóch rogów zawracało się i szło z powrotem. Dzięki temu podczas godzinnego spaceru spotkało się wielokrotnie tych samych znajomych i przyjaciół i obserwowało te same pensjonarki. Chłopcy chodzili oddzielnie i panienki oddzielnie. Dostawianie się podczas tego spaceru uważane było za nietakt. Można było najwyżej zatrzymać się na chwilę i ze znajomą panią porozmawiać, nie więcej.

Otóż tam, na Piotrkowskiej, przed cukiernią Roszkowskiego, zobaczyłem pierwszy raz Helę. Nazwisko jej zachowuję dla siebie.

Słyszałem o niej już przedtem. Miałem w tym czasie czternaście lat, Hela trzynastcie. Zjawiła się na naszym korsie pierwszy raz, dawniej nie pozwalano jej jeszcze chodzić na te przechadzki z powodu wieku.

Spacerowałem z Jankiem Polakiem i innymi przyjaciółmi, którzy mi Helę dyskretnie wskazali. Zauważyli ją już przedtem na ślizgawce. No i co powiesz? Że silnie przesadzacie, odrzekłem. Ładna, owszem, ale zbyt poważna i sztywna. Pewnie jest wpatrzona we własną urodę jak żeński narcyz. Skoro są męskie narcyzy, to muszą być i żeńskie. Żeby się męskie nie nudziły. A ta Jadzia, z którą chodzi, to przecież skończona idiotka. I w dodatku brzydka. Pewnie że brzydka, przyznał Janek, ładne zawsze chodzą z brzydkimi, tak już jest.

Plotłem jeszcze jakieś głupstwa, ale coś mnie tknęło. Nie wiem, czy zakochałem się w Heli wtedy „od pierwszego wejrzenia”, czy dopiero później, kiedy się z nią zapoznałem. Była to sztubacka miłość, platoniczna i czysta. Nie miała nic wspólnego z nocnymi imaginacjami które mnie nawiedzały i w których figurowały różne dziewczyny, z książek które czytałem albo z życia.

Kochałem się w Heli jakiś rok, absolutnie bez wzajemności. Mimo to rozpierało mnie szczęście, kiedy chodziłem z nią na ślizgawkę lub nawet tylko kiedy ja widziałem, choćby z daleka. Nie pamiętam rozmów z nią, ani brzmienia jej głosu (pamiętam głos wielu innych osób, nawet z tych odległych czasów). Zostało

* Pewien łódzki literat, omawiając w roku 1962 jedną z moich książek, w której to łódzkie korsu wspominałem, napisał, że ten zwyczaj przetrwał obie wojny i że teraz również młodzież szkolna przychodzi się po tym samym odcinku Piotrkowskiej. Wskazuje to, jak konserwatywne są pewne miejskie zwyczaje, obserwowane przez kolejne generacje.

mi w pamięci tylko kilka oderwanych epizodów tej sprawy. Miała kiedyś grać ze mną w tenisa i nie przyszła. Powiedziała że nie mogła, bo niespodzianie przyjechała z Warszawy jakaś jej krewna. Ale skłamała. Była w Helenowie z jednym z moich kolegów, który mnie we wszystkim przewyższał, który grał w tenisa o tyle lepiej ode mnie, że gra ze mną go nudziła. Zawiść, którą odczuwałem w stosunku do niego zatruwała mi krew, a teraz przyłączyła się do niej jeszcze zazdrość. Usiłowałem zrozumieć, pełen goryczy, co złego zrobiłem Heli, czym ją do siebie zraziłem, szukałem jasnego, namacalnego powodu, dla którego wolała spotykać się z nim niż ze mną. Specjalnego powodu oczywiście nie było, nigdy go w takich razach nie ma, ale ja tego wówczas nie wiedziałem. Postanowiłem wreszcie wyrazić to co czuję wierszem i ten wiersz jej posłać. Wiersz napisałem, kończył się wezwaniem do Heli, żeby „znowu była sobą”. Ale go podarłem. Wyciąłem natomiast szczyrykiem na moim sosnowym stole podłużny prostokąt, a wewnątrz prostokątu słowo „Miłość”. Prostokąt symbolizował moją miłość. Na moim cmentarzu były już inne groby. Leżała tam „Przyjaźń”, pochowana w dniu kiedy mój przyjaciel Stefek K. zdradził mnie, opowiedziawszy kilku kolegom jemu tylko powierzone sekrety. Obok spoczywała „Nadzieja”, pochowana wraz z „Radością życia”, nie wiem już dlaczego.

Jeszcze jedno pamiętam. Z Helą łączyły mnie niewidzialne, ale niewątpliwie istniejące fale, wysyłane przez nasze mózgi czy serca. Zawsze wierzyłem i teraz wierzę, że takie fale są na świecie. O ich istnieniu każdy sam może się przekonać, jeśli przypatrywać się będzie komuś, kto nie zwraca na niego uwagi. W dziewięciu wypadkach na dziesięć osoba ta „poczuje” na sobie jego wzrok i odwróci głowę. Fale, wysyłane przez Helę, działały na większą odległość. Nieraz, siedząc w swoim pokoju, zrywałem się z krzesła, wiedząc, że jest na jakiejś ulicy, w określonym jej miejscu — i to wcale nie na naszym korsie. Szedłem tam i to się sprawdzało. Te właśnie fale tłumaczą zjawiska telepatii. W czasach zamierzchłych ludzie podobno porozumiewali się przy ich pomocy, później cywilizacja stępiła w nich te zdolności.

W czasie, kiedy kochałem się w Heli, napisałem pierwsze moje opowiadanie i posłałem je pocztą do *Kuriera Łódzkiego*. Opowiadanie było krótkie i nazywało się „Życie”. Podpisałem je pseudonimem „Nel”. Miało być początkowo „Hel”, na cześć Heli, ale że jest półwysep Hel, zmieniłem H na N. W opowiadaniu była mowa o pewnej pani, która zdradzała męża. Tytuł zaprozczyłem od Maupassanta („Une vie”). Fakt, że opowia-

danie wydrukowano, świadczy o niezbyt wysokim poziomie łódzkiej prasy. Mogę dodać, że żadnego utworu literackiego, jeśli nie liczyć podartego wiersza, przedtem nie pisałem, a i później, w ciągu lat, też nie. Nie zamierzałem wcale zostać pisarzem. Znałem w tym czasie tylko jednego pisarza, pana Mariana Gawalewicza, który przychodził do nas w pelerynie i pluszowym tyrolskim kapelusiku i który nie bardzo mi się podobał. Chciałem być skrzypkiem, wspaniałym skrzypkiem, ale nie takim, który daje koncerty. To również, ale bardziej pragnęłem grać na skrzypcach w podrzędnej kawiarni. Widywałem takie kawiarnie podczas moich podróży za granicę z rodzicami. Ludzie chodzili do nich, żeby posłuchać muzyki, podczas gdy w eleganckiej kawiarni Komara w Łodzi nikt nie zwracał na muzykę najmniejszej uwagi.

Moje opowiadanie wydrukowano nie od razu, tylko dopiero po kilku miesiącach. W ciągu tych miesięcy kupowałem codziennie *Kurier Łódzki* i otwierałem go natychmiast na ulicy. Kiedy wreszcie ujrzałem w nim moje opowiadanie, zakreśliło mi się w głowie. Przeczytałem je z dziesięć razy tegoż dnia i wiele razy w ciągu dni następnych. Ale nikomu o nim nie powiedziałem. Byłem skryty, zamknięty w sobie i najważniejszych przeżyć z nikim nie dzieliłem. Umieściłem opowiadanie w kopercie i nosiłem tę kopertę przy sobie chyba ze dwa lata. Gdy koperta się niszczyła, zmieniałem ją. Jej zawartość była dla mnie źródłem wewnętrznej siły. Kiedy mój starszy brat wykazywał w sporach swoją wyższość nade mną, kiedy się na kimś zawiodłem albo ktoś ranił moją ambicję, dotykałem palcem piersi z kopertą. To mi wystarczało. To niweczyło kompletnie czyjąkolwiek negatywną ocenę mojej osoby, bo przecież nikt, zupełnie nikt w moim otoczeniu nie mógł pochwalić się tym czym mogłem pochwalić się ja gdybym tylko chciał.

Moje opowiadanie zamierzałem pokazać Heli, jej jednej i nikomu innemu. Spotkałem się z nią w tym celu, uprzedzając, że powiem jej coś bardzo ważnego, i cofnąłem się w ostatniej chwili. Zagadałem to jakoś, bo się bałem, że moje opowiadanie jej się nie spodoba, a to byłby dla mnie cios zbyt poważny. Zniszczyłyby źródło mojej siły i dumy.

Po wyjeździe z Łodzi w roku 1914 nigdy już Heli nie widziałem. Później, po kilkunastu latach, spotkałem byłego szkolnego kolegę z Łodzi, który mi opowiedział dalsze jej dzieje. Wysłała wkrótce po pierwszej wojnie za francuskiego oficera, który był w Polsce w jakiejś wojskowej misji i została ciężko ranna w wypadku samochodowym. Wyleczono ją, ale na jej twarzy pozostały na zawsze ślady tego wypadku. Chodziłem jak

osowiły wiele dni, kiedy się o tym dowiedziałem. Najbardziej mnie martwiło, że wypadek samochodowy zniekształcił jej usta.

7.

„*Maciej był uczciwy jak każdy Polak*”. — *Pan Łosjew*. — *Teatr na Cegielnianej*

W okresie międzywojennym matka przysłała mi do Paryża jeden z moich zeszytów szkolnych. Zawierał wypracowanie do mowy. Pierwsze zdanie wypracowania, krótkie i lakoniczne, brzmiało tak:

„*Maciej był uczciwy jak każdy Polak*”.

Musiałem pisać to wypracowanie w moim okresie patriotycznym, a raczej ultra-patriotycznym, który zazębia się z romantycznym, ściśle według Janusza Korczaka. Najwyższe nasilenie osiągnął ten okres w chwili, którą dobrze pamiętam. Na boisku sportowym w Helenowie urządzono popis gimnastyczny przy udziale uczniów i uczennic wszystkich polskich szkół. Demonstrowaliśmy, sprawnie i ochoczo, czego nas na lekcjach gimnastyki nauczono, a na zakończenie przemaszerowaliśmy przed trybunami. Na miejscu honorowym zasiadali tam rosyjscy dygnitarze: prezydent miasta, inspektor okręgu szkolnego i jakiś generał z orderami. Stąpaliśmy mocno, patrząc nie w stronę ich łoży, tylko w stronę boiska, bo tak żeśmy sobie postanowili. Pod naszymi krokami może nie drżała ziemia, ale zdawało się nam że drży, że cały świat drży, i aż się czerwieniłem ze wzruszenia i z dumy że jestem Polakiem, i mówiłem w duchu do Rosjan w łoży: patrzcie, to idą Polacy, idą i nic ich nie powstrzyma.

Ale wiadomo, że w tłumie uczucia patriotyczne uwydatniają się silniej, niż gdy się chodzi pojedynczo. Patriotyzm był wtedy chlebem powszednim, czymś co się rozumiało samo przez się. Od rewolucji 1905 roku minęło zaledwie kilka lat, w więzieniu przy ulicy Milsza siedzieli jeszcze bojowcy, od czasu do czasu prowadzono ulicami Łodzi skutych w kajdany więźniów, dorośli, w tej liczbie i mój ojciec, zbierali dla nich składki „na bloczki”. Ja w tym czasie, zaraz po moim okresie romantycznym, wyzywałem się w szkole w prześladowaniu profesora Łosjewa. Wykładał on, a właściwie miał wykładać, język rosyjski i geografję. Władze zastrzegły sobie, że w szkołach z polskim językiem wykładowym musi być wykładany język rosyjski oraz że geografia, nie wiadomo czemu, też ma być po rosyjsku. Tę dosyć

ograniczoną rusyfikację uosabiał w naszej szkole pan Łosjew, uprzejmy blondyn o miękkich manierach i głosie, który przychodził do szkoły codziennie w innym, ale zawsze pięknym krawacie. Wiedzieliśmy, że je kupuje w jedynym w mieście sklepie na Piotrkowskiej, gdzie takie krawaty można było nabyć, płacąc nieprawdopodobną sumę trzech rubli za sztukę.

Pan Łosjew nikogo w szkole nie zrusyfikował, sam natomiast uległ metamorfozie. Pozostał na stałe w Polsce i pracował, jako Polak z wyboru, w administracji jednego z łódzkich pism w okresie międzywojennym. Ale to nastąpiło później, nie mogłem tego przewidzieć. Byłem przewodnikiem wszelakiego rodzaju hec, kierowanych przeciwko niemu. Po rosyjsku oczywiście nie umiałem i byłem przekonany że uczenie się tego języka graniczy ze zdradą narodową. Moi szkolni przyjaciele całkowicie podzielali to stanowisko. Urządzaliśmy na lekcjach Łosjewa kocie muzyki, rzucaliśmy na sufit kule śniegowe w taki sposób, że się do niego przylepiały i tając kapały Łosjewowi na głowę, itd. Ktoś wykrył, że popularna sarmacka propozycja, której nikt jeszcze nie zaakceptował, nie istnieje w języku rosyjskim (później się dowiedziałem, że język francuski i jeszcze kilka innych również nie znają tego zwrotu). Postanowiłem to sprawdzić i zapytałem Łosjewa na lekcji, czy mógłby tę krótką rzecz przetłumaczyć dla nas na rosyjski, obalając w ten sposób niesłuszne pewnie mniemanie, że język rosyjski jest uboższy niż polski. Łosjew zbył to pytanie zakłopotanym uśmiechem.

Nie był zresztą jedynym profesorem, z którym wojowałem. Prześladowałem też innych, rdzennych Polaków, już nie ze względów patriotycznych, tylko dlatego, że odnosiłem się wrogo do wszelkich autorytetów i uważałem system nauczania za całkowicie błędny.

Wkrótce zaczął mnie pociągać teatr. W Łodzi był wówczas znakomity teatr. Jego głównymi filarami byli Stefan Jaracz i Aleksander Zelwerowicz. Występowali też tacy świetni aktorzy jak Mielewski, Bolesławski, Biegański, Janusz i wielu innych, którzy później wstawili się w Warszawie i w Krakowie. Z Warszawy przyjeżdżał na gościnne występy Frenkel i inni. Jaracz odnajmował pokój u pani Strzeleckiej, wdowy, mającej sklep z materiałami piśmiennymi. Jej syn Edward, późniejszy znany działacz socjalistyczny, przyjaźnił się z moim starszym bratem, a ja byłem w przyjaźni z jego młodszym bratem Marianem. Dostawałem przez nich często bezpłatne bilety, ale później duża grupa moich kolegów wraz ze mną chodziła do teatru bez biletów, na wolne miejsca, a gdy ich nie było, na miejsca stojące. Chodziliśmy często, kilka razy w tygodniu. Sztuki utrzymywały

się na afiszu krótko, bo publiczności, chodzącej wówczas do teatru, nie było w Łodzi dużo. Dzięki temu widziałem, i to w najlepszej obsadzie, cały repertuar teatralny tych czasów: od Rostanda i Maeterlinka do Gorkiego i Hauptmana, od Fredry i Moliera do Nowaczyńskiego i Wyspiańskiego. Wiele sztuk, jak „Moralność pani Dulskiej”, „Szczęście Frania”, „Głupiego Jakuba” i „Człowieka z budki suflera” widziałem dużo razy. Tylko Szekspira, o ile pamiętam, z wyjątkiem „Snu nocy letniej”, w teatrze na Cegielnianej nie grano. Grano go w innym teatrze, na ówczesnej Konstancyńskiej, ale był to teatr drugorzędny, do którego nie chodziłem. Widziałem tylko przechodząc afisz, który mi utkwił w pamięci: „Hamlet, tragedia Szekspira, opracowana i uzupełniona przez reżysera Zandberga”.

Niektóre sztuki, widziane w Łodzi, oglądałem w późniejszych latach w Berlinie i w Paryżu, ale to już nie było to samo. Nawet „Tkaczy” i „Dzwon zatopiony” grali w Łodzi o wiele lepiej, niż w Berlinie. Zdaję sobie sprawę, że widowisko teatralne odczuwa się o wiele silniej, kiedy się ma kilkanaście lat, ale wydaje mi się, że takiego zespołu jak teatr na Cegielnianej nie miał prawie żaden inny za granicą.

8.

Aresztowanie Antoniego. — Krystalizacja poglądów na świat i życie. — Rembał i jego poddasze. — Rembał w żandarmskim mundurze

Wstawaliśmy pewnego wieczoru od kolacji, kiedy rozległ się energiczny dzwonek u drzwi wejściowych. Nasza służąca Agnieszka pobiegła otworzyć. Do pokoju wkroczył pan w gumowym palcie, a za nim dwóch stójkowych. Pokazał ojcu swoją legitymację i powiedział, że przyszedł zrobić rewizję, nie w całym mieszkaniu, tylko w pokoju mojego brata Antoniego.

— No to niech pan robi, rzekł Antoni spokojnie, chociaż trochę przybladł.

— Ale najpierw proszę zamknąć za sobą drzwi, dodałem od siebie. Zostawił pan drzwi otwarte na schody, mogą wejść złodzieje.

Nie mam pojęcia dlaczego to powiedziałem. Miał to pewnie być dowcip, wykazujący że podobnie jak Antoni zachowałem pogodę ducha. Jegomość w palcie spojrział na mnie ze zdumieniem, ale wrócił do przedpokoju i zamknął drzwi. Następnie, w asyście całej mojej rodziny i stójkowych, poszedł do pokoju

Antoniego. Przejrzał książki na półkach, potem otworzył szufladę stołu i wy dostał z niej zeszyty szkolne.

— Czego pan właściwie szuka? — zapytała stłumionym głosem moja matka. Antoni spojrział na nią błagalnie, bojąc się, żeby nie powiedziała czegoś niestosownego, żeby z jej ust nie wyszła żadna prośba.

— Ja tylko robię co mi każą — odpowiedział niechętnie tajniak, nie przerywając rewizji. — Jaby m też wolał siedzieć teraz przy stole i jeść kolację.

Mówił po polsku, ale z rosyjskim akcentem. Nie znalazł w szufladzie nic podejrzanego, ale szukał dalej, w łóżku, pod łóżkiem, w szafie i za szafą. Policjanci stali w drzwiach, trzymając w rękach swoje czapki.

Antoni odnosił się do mnie w tym czasie dosyć różnie. Najczęściej uważał mnie za smarkacza, z którym nie warto rozmawiać o poważnych sprawach. Ale czasami darzył mnie zaufaniem i w jednej z takich chwil pokazał mi skrytkę, którą sam wydrążył scyzorykiem. Było to wgłębienie między tylną ścianką szuflady i deską stołu. Aby zobaczyć skrytkę trzeba było wyciągnąć zupełnie szufladę. Szpicel obejrzał tylko jej zawartość i odszedł od stołu, ale po chwili, wiedziony swoim policyjnym węchem, wrócił i znalazł skrytkę. Leżał w niej jeden tylko zwinięty w trąbkę arkusik. Tajniak wyciągnął go i odczytał na głos:

„Wezwanie do kolegów naszej szkoły w sprawie Niepodległości Polski”.

Dalszy ciąg wezwania czytał już przez telefon jakiejś swojej władzy, tłumacząc od razu na rosyjski. Potem zapytał brata:

— Kto to pisał? Pan, czy może jakiś kolega?

— Ja pisałem.

— Bo widzę, że pisane pana charakterem pisma, ale myślałem że pan może sobie przepisać dla pamięci...

Brat mój, kiedy go zabierano, zachował się wzorowo. Podał na pożegnanie rękę mnie i mojemu młodszemu bratu Jerzemu, ucałował w policzek matkę i ojca, a potem wyciągnął rękę do służącej Agnieszki, kucharki Janowej, oraz do Józefa, stangreta ojca, który nie wiadomo w jaki sposób też się znalazł w przedpokoju i od którego dosyć silnie zalatywało spirytusem. Bywał często tak pijany że ojciec bał się jeździć z nim do chorych. Brał dorożkę, a Józef jechał za nim powozem, wykrzykując, że już wytrzeźwiał. Ale ojciec za nic w świecie nie chciał się z nim rozstać.

Policja, jak się później okazało, aresztowała tegoż wieczoru kilku kolegów Antka, między innymi Edka Strzeleckiego. Sprawa

nie była jednak zbyt groźna. Wszyscy byli małoletni, pomogły też łapówki, wniesione stosownym osobom za pośrednictwem pewnego adwokata, bardzo zamożnego człowieka, słynącego w Łodzi z hulanki które urządzał i z tego, że sprowadzał sobie aż z Paryża profesjonalne panienki. Brata i kilku jego kolegów przetrzymano w więzieniu tylko dwa czy trzy tygodnie. Zabroniono im jednak chodzić do szkoły w Łodzi, wskutek czego musieli się przenieść do polskiej szkoły w Pabianicach, dokąd jechało się z Łodzi szybkobieżnym tramwajem. Zabroniono im także wyjeżdżać za granicę.

Antoni należał do sztubackiego kółka, kierowanego przez PPS. Przynosił do domu nielegalne broszury i czasami dawał mi je do przeczytania. Autorem jednej z nich był Henryk Walecki (Wit*), z którym wiele lat później zetknęłem się w X-tym Pawilonie a potem, już w innych krajach i innych okolicznościach, zaprzyjaźniłem. Jego broszura — nie pamiętam na jaki temat — była pierwszą broszurą nielegalną, którą czytałem.

Było to w roku 1912, może 1913. Rozpoczął się, znowu ściśle według Korczaka, filozoficzny okres mojego życia. Ale ten termin wymaga objaśnienia. Oznaczał on oczywiście nie filozofię w naukowym znaczeniu tego słowa, tylko światopogląd. W innych, wolnych krajach poglądy polityczne kształtują się w późniejszym wieku, albo często wcale. W Polsce za moich szkolnych czasów młodzież w wieku lat 15-17 należała już w większości do nielegalnych kółek szkolnych, które te poglądy formowały i wzmacniały. Tak przynajmniej było w szkołach polskich. W naszej szkole były kółka „samokształceniowe” — tak się wszystkie nazywały — kierowane przez PPS, SDKPiL (Socjal-Demokrację Królestwa Polskiego i Litwy) i przez endeków. Nie należeli do kółek tępaczy i prymusi. Do tych ostatnich odnosiłem się zawsze wrogo, ponieważ uosobiali w moich oczach konformizm, znieprawdopodobny przeze mnie we wszystkich postaciach i wszystkich dziedzinach od najwcześniejszych lat aż po dzień dzisiejszy.

W czasie, kiedy do naszego mieszkania zadzwonił pan w gumowym palcie moje poglądy nie były jeszcze skryształizowane. Niektóre rzeczy były dla mnie jasne, rozumiejące się same przez się — na przykład to, że carat jest wrogiem Polski i wrogiem ludzkości. Ale inne, szersze, wcale jasne nie były. Żeromski w jednym ze swoich wczesnych opowiadań opisuje wycieczkę szwajcarskich dzieci statkiem, szczęśliwych dzieci w wolnym

* Prawdziwe nazwisko: Maksymilian Horwitz — organizator w roku 1906, słynnej „ucieczki dziesięciu” z Pawiaka.

kraju, których śpiew wycisnął mu łzy na oczy, bo nasuwał porównanie z polską niewolą i polską krzywdą. Mówiliśmy kiedyś o tym opowiadaniu na majówce i ktoś rzucił zdanie, że Żeromskiemu wszystko się w Szwajcarii podoba, a tam przecież też są bogaci i biedni. Zabrał wówczas głos Rembal, mój świeży, najnowszy przyjaciel, i powiedział, że Żeromski jest pisarzem szlacheckim i że go ludzka nędza mało obchodzi. Zaprotestowałem gorąco, powołując się na doktora Judyma. Rembal odparł coś w tym guście, że to są wszystko „takie polskie banialuszki” i że Żeromski poza Polską nie widzi świata. A kto jest lepszym od niego pisarzem? Rembal oświadczył, że tylko i jedynie Liciński, który napisał „Z pamiętnika włóczęgi”. Czytaliśmy wszyscy tę zapomnianą już dziś książkę, bardzo mnie ona przejęła, ale nie mogłem się zgodzić, że Liciński „więcej widzi” od Żeromskiego i jest lepszym od niego pisarzem. Żeromski i Liciński byli zresztą w tym sporze tylko symbolami. Chodziło o to, czy „na pierwszym miejscu” powinno się stawiać Polskę czy też całą ludzkość, czy ustrój społeczny — choć nie używaliśmy pewnie jeszcze tego terminu — jest rzeczą najważniejszą, czy nie.

O Rembalu muszę powiedzieć więcej, bo odegrał w moim życiu dużą rolę. Przypominał trochę Andrzeja Radka z „Syzyfowych prac”, mówił, jak on, twardo i z chłopską i tak samo jak on od wczesnych lat ciężko borykał się z życiem. Przybył do naszej szkoły z innego miasta, do czwartej klasy. Jego matka była praczką, ojciec nie żył. Rembal utrzymywał się sam, częściowo dawaniami korepetycji, częściowo rąbaniem drzewa i noszeniem węgla w domu w którym mieszkał. Miał w czwartej klasie już jakieś szesnaście lat i był fizycznie bardzo silny. Mieszkał na strychu, w pokoiku z małym okienkiem, prawie bez mebli. Wpisowego w szkole nie płacił, ale zwolnienie od wpisowego było uwarunkowane dobrymi stopniami. Obkuwał się po nocach i był twardy, twardy jak kamień, w stosunku do samego siebie i kolegów, a w stosunku do nauczycieli hardy, na tyle tylko grzeczny, ile to było konieczne, bez cienia uległości. Nie był przez nauczycieli lubiany, ale mieli dla niego szacunek, odzywali się do niego inaczej niż do wszystkich, ostrożnie, może trochę ze względu na jego wygląd: był bardzo wysokiego wzrostu, miał zacięte usta i orli nos.

Ja też nabrałem do niego szacunku kiedy tylko go poznałem. Zaprzyjaźniłem się z nim nie od razu, bo Rembal był nieufny, odnosił się do kolegów w klasie trochę pogardliwie, ponieważ pochodziliśmy chyba wszyscy z burżuazyjnych rodzin, a on jeden był prawdziwym proletariuszem. Powoli, bardzo powoli przeko-

nał się jednak do mnie, badając mnie często wzrokiem, jakby chciał wywąchać, co we mnie siedzi. Później, kiedy ześmy się zaprzyjaźnili, wymykałem się z domu i przesiadywałem u niego na strychu, albo też chodziliśmy po ulicach i najpierw on mnie odprowadzał do domu, później ja jego, i tak do późnej nocy.

Rozmawialiśmy z Rembałem na najrozmaitsze tematy, ale najczęściej mówiliśmy o ludziach, o kolegach, o nauczycielach, o postaciach z książek, które czytaliśmy. Działo się to w stosunkowo spokojnych czasach, kiedy kalejdoskop historii obracał się powoli, kiedy wszystko było mniej więcej stałe, trwałe i wiadome, zwłaszcza dla nas, bo operowaliśmy kategorycznymi, czarno-białymi pojęciami. Ten był świnią, tamten porządnym facetem, ten kombinatorem, tamten kretyńcem. I wszystko na twardo, na pewno. W tej epoce, przynajmniej w naszym zasięgu, nie było pół-szubrawców, którzy sporządzili, ani byłych ideowców, którzy stali się kanaliami. Teraz dużo takich, i jednych i drugich, chodzi po świecie.

Rembał był socjalistą, głęboko wierzącym w słuszność swoich zapatrywań, członkiem podziemnego kółka młodzieżowego, kierowanego przez łódzką organizację SDKPiL. Wszedłem później także do tego kółka. Zanim jednak o tym opowiem, chcę opowiedzieć o pewnej nocy, spędzonej u niego na strychu.

Przy przechodzeniu z klasy do klasy dopuszczalne były w naszej szkole dwie, najwyżej trzy poprawki. Ja miałem zwykle trzy, zdając z nich egzaminy po wakacjach. Umiąłem po wakacjach nie więcej niż przed, ale się jakoś przepychałem do następnej klasy, trochę dzięki temu że mój ojciec, jak zresztą wiele innych osób, popierał szkołę finansowo. Bez tego poparcia nie mogłaby ona istnieć. Rembał dobrze się uczył, ale przechodząc do piątej klasy ściał się na egzaminie z łaciny. Zdawał na jesieni poprawkę i nie zdał. Oblał egzamin dlatego że się denerwował, wiedząc że profesor łaciny nie lubi go za hardość. Kiedy się dowiedziałem, że oblał egzamin, poszedłem do niego. Kupiłem po drodze butelkę wina, chciałem go jakoś pocieszyć i nie wiedziałem jak. Przyjął mnie wrogo. Nie chciał ze mną pić ani nawet rozmawiać, krzyczał że nie pozwoli żebym się nad nim litował ani podpatrywał jak się martwi. A mnie ogarnęło uczucie winy, z tego powodu, że byłem istotnie, jak mi powiedział, synem zamożnych rodziców i że takich jak ja przepychali kominem z klasy do klasy, podczas gdy przed nim zamykano drzwi szkoły, bo na pozostanie na drugi rok nie mógł sobie pozwolić.

Stopniowo Rembał się uspokoił. Przegadaliśmy całą noc, wypiliśmy wino i zaprzysięgliśmy sobie znowu dożgonną przyjaźń. Już nad ranem, włożywszy do kieszeni kilka brudnych

skarpetek, Rembal zaprowadził mnie na korytarz, wiodący w głąb strychu. Na końcu korytarza był rezerwuár z wodą. Rembal wdrapał się po drabinie na jego szczyt i wyprał w wodzie swoje skarpetki. Powiedział mi że ze zbiornika spływa woda do wszystkich burzących mieszkań i że kiedy burzuje, tak jak tego dnia, zalewają mu sadła za skórę, mści się na nich w ten sposób.

Naszą nocną rozmowę i jej epilog opisałem po latach w powieści „Rysy twarzy”, częściowo autobiograficznej. Rembal, aż do tej chwili, pokazany jest w niej tak, jakim był w rzeczywistości. Ale tylko do tej chwili. Prawda artystyczna, która nie zawsze zbiega się z prawdą zwyczajną — albo może raczej kompozycja powieści — wymagała, bym w dalszym ciągu powieści uczynił z Rembala, w wieku dorosłym, ideowego komunistycznego działacza. Późniejsze jego dzieje były jednak inne.

Na początku roku 1919 szedłem Alejami Ujazdowskimi w Warszawie. Było to zimowym wieczorem. Z powodów, o których będzie mowa później, wychodziłem wówczas z domu tylko po zapadnięciu zmroku, w niebieskich okularach i pożyczonym wielkim futrze, którego podniesiony kołnierz zasłaniał sporą część twarzy.

Szedłem szybko, zmniejszając w ten sposób niebezpieczeństwo że mnie ktoś pozna. Prześcignętem kilku przechodniów i znalazłem się za oficerem, smukłym i eleganckim, który szedł sam, z głową podniesioną do góry, krokiem zdobywcy, spoglądając na mijające go panie. Trzymał w ręku krótką trzcinową laseczkę, zakończoną skórną pętlą.

Jego figura wydała mi się znajoma. Opuściłem Łódź w roku 1914 i od tego czasu Rembala nie widziałem. Prześcignętem go i w przejściu, tak że tego nie zauważył, spojrziałem na jego twarz.

Tak, to był Rembal we własnej osobie. Nosił mundur z żółtymi patkami, mundur oficera żandarmerii. Żandarmeria, w tych pierwszych miesiącach istnienia Państwa Polskiego, zajmowała się głównie tropieniem komunistów i wszelakiego rodzaju wywrotowców.

Poszedłem szybko naprzód. Rembala nigdy więcej nie spotkałem.

9.

Kółko młodzieżowe. — Argumenty w sprawie Szwedów. — Wszystkie systemy filozoficzne powstają z racji uczuciowych

Rembal przeszedł wówczas do następnej klasy. Pozwolono

mu zdawać egzamin jeszcze raz, zdał go i na tym się skończyło. Do takiego załatwienia sprawy przyczyniła się interwencja mojego ojca oraz interwencja adwokata-hulaki, który nie znał Rembala, ani nie miał nic wspólnego z naszą szkołą, będąc bezdzietnym kawalerem. Ktoś mu widocznie o tej sprawie opowiedział. Adwokat, znana w Łodzi postać, nie cieszył się w mieście szacunkiem. Miano mu za złe, że pośredniczył między urzędnikami zaborczej władzy i rycerzami łódzkiego przemysłu i handlu, którzy woleli płacić łapówki niż uiszczać cła wwozowe. Miano mu też za złe owe sprowadzane z Paryża panienki. — Cóż to, nasze polskie blade już dla niego za mało dobre? — powiedziała raz z odcieniem obrażonej dumy narodowej w głosie nasza służąca Agnieszka do kucharki Janowej, nie wiedząc, że słyszę co mówi. Uważała pewnie to słowo, jako obcojęzyczne, za bardziej delikatne. Adwokatowi zależało widać na tym, żeby stworzyć o sobie opinię dobrego Polaka i pożytecznego obywatela, bo i w innych wypadkach wtrącał się do podobnych spraw i nawet, jak się później dowiedziałem, popierał finansowo podziemny ruch niepodległościowy.

Tak więc Rembal zasiadł znowu na jesieni na ławce szkolnej zaraz przede mną i wkrótce potem wprowadził mnie do kółka młodzieżowego, kierowanego, z ramienia Socjal-Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy, przez towarzysza Zygmunta, o którym jeszcze będzie mowa. Rembal bynajmniej mnie jednak nie zagitał, ani nawet do przystąpienia do tego kółka nie skłonił. Proust powiada w „Stronie Gourmantów”, że wszystkie systemy filozoficzne powstają, w umysłach ich twórców, z racji uczuciowych, a nie rozumowych. Najzupełniej się z tym zgadzam i sądzę również że te same uczuciowe powody kierują nami kiedy podejmujemy najważniejsze decyzje, kiedy ustalamy swój pogląd na świat i wybieramy nasze w tym świecie miejsce. Tak przynajmniej było ze mną. Broszurki polityczne, które mi dawał Antoni a później Rembal, nie wpływały na mnie, albo wpływały bardzo mało. Przystąpiłem do ruchu, jak się wówczas szumnie mówiło, powodowany tym co widziałem w piekarni na Piotrkowskiej i na ulicach Bałut. To we mnie żyło i to, w miarę jak podrastałem, zajmowało w hierarchii ważności najwyższe miejsce.

Dziś, kiedy o tej dalekiej przeszłości piszę, wyłaniają się ze zmroków mojej pamięci, poruszone przez sam proces pisania czy koncentracji, te dawne sprawy i ożywają nawet fonetycznie. Słyszę głos mojego brata, który bez pobłażliwości opartej na różnicy wieku, której tak u niego nie lubiłem, nawet nie z wyżyn, na które wniósł go krótki pobyt w więzieniu, obala moje argumenty co do Szwedów. Bo mu powiedziałem, że byłoby wcale

nieźle gdyby Polską rządili Szwedzi. Tak jest, Szwedzi, powtarzałem z uporem, Polacy z nimi wojowali i przegnali ich z Polski, i co komu z tego przyszło? Chodziło mi naturalnie nie o Szwedów, tylko o problemat państwowej niepodległości, o to, czy to jest rzeczywście takie ważne, ważniejsze od tego, jak ludzie w jakimś kraju żyją, bo przecież kraj powinien być dla ludzi, a nie ludzie dla kraju, i radość z tego że w przyszłej Polsce jej losami będzie kierował własny, rodzimy rząd, nie ogarnie tych, którzy i wówczas będą umierali z głodu. Antoni odparowywał to rozumowanie, mówił że najpierw musi być niepodległość, a dopiero później wszystko inne, i zwróć uwagę, że jak grają „Tkaczy” w teatrze na Cegielnianej, to mnie to, uważasz, nie przejmuje, bo to Niemcy, a jak się ktoś wydziera na narodowe tematy albo powiada, że to Polska właśnie, to mi ciarki przechodzą po skórze. Może tak nie powinno być, ale tak jest i twój Rembal nic na to nie poradzi.

— Rembal twierdzi że ty, w gruncie rzeczy, jesteś nacjonalistą — powiedziałem mu.

Antoni zdjął binokle, które wycisnęły głębokie ślady po obu stronach jego nosa i popatrzał na mnie uważnie swoimi zamglonymi oczami krótkowidza.

— E, nie... Wcale nie jestem. A zresztą może jestem. Ja bym też może wolał urodzić się w Szwecji, albo jeszcze lepiej w Paryżu, ale bocian mnie przyniósł na świat w mieście Łodzi, muszę z tego wyciągnąć konsekwencje. Rembal jest bardzo czytany i niegłupi, ale ty się lepiej nie poddawaj jego wpływom...

Nie, ja się nie poddawałem wpływom Rembala. Mój brat myślał, że był dla mnie autorytetem we wszystkim aż do czasu kiedy się zaprzyjaźniłem z Rembałem i że Rembal zajął jego miejsce. Miał do mnie o to żal, ale się mylił. Bardzo mojego brata kochałem, ale od wczesnych lat buntowałem się przeciwko wszelkim autorytetom. Z tym sprzeciwem przeciwko autorytetom i wodzom już się pewnie urodziłem, rósł on we mnie w miarę lat, i ta sprężyna jeszcze się we mnie dotychczas nie zluzowała. Zawsze myślałem, że trzeba żyć według własnego kodeksu, tylko według własnego kodeksu, i teraz tak myślę.

Rzecz jest tylko w tym, jak się do tego kodeksu dochodzi. To już jest bardzo trudno wiedzieć, bo pamięta się zwykle swoje decyzje i postęпки, ale rzadko ich głębsze motywy. Z mroków zapomnienia występują tylko odłamki, tylko niektóre cegiełki mozaiki i jest ich za mało by zbudować jakąś związaną logiką całość. Jedną z cegiełek byli Szwedzi, przypominam sobie jeszcze inną. Zadałem sobie wtedy pytanie, skąd się wzięło pojęcie patriotyzmu i jakie przechodziło koleje w historii. Nie ulega

przecież wątpliwości, mówiłem sobie, że w bardzo dawnych latach nikt nie miał ojczyzny, że to słowo musiało oznaczać zupełnie co innego niż oznacza dziś, bo nie było krajów jak teraz, a istniały tylko miasta, stanowiące niepodległe państwa, których granice były za ich rogatkami albo za otaczającym je murem. Nie było Włochów, tylko byli Wenecjanie, prowadzący krwawe wojny z mieszkańcami innych włoskich miast i wyruszający na ich podboje. Jeżeli więc ktoś urodził się w Wenecji, powinien był kochać to miasto i pałac nienawiścią na przykład do Genui, z którą Wenecja wojowała. I każdy obywatel Genui musiał uważać każdego weneccjanina za swojego śmiertelnego wroga, bo tego wymagał od niego jego wenecki patriotyzm. A jak było jeszcze dawniej, kiedy ludzie mieszkali w jaskiniach? Łatwo się domyśleć że musiał wtedy istnieć patriotyzm jaskiniowy.

Tak sobie wtedy układałem w głowie te sprawy. Doprowadziwszy pojęcie patriotyzmu do logicznego absurdu musiałem dojść do wniosku że kółku młodzieżowemu, do którego należał Rembal, przyswiecały wyższe cele niż pepesowskiemu kółku mojego brata, ponieważ pierwsze troszczyło się o całą ludzkość, podczas gdy pepesowców musiał krępować w ich działalności polski patriotyzm.



Przeczytałem powyższe wywody i wydaje mi się, że wymagają uzupełnienia. Powiniennem chyba dodać co teraz, pisząc wspomnienia, myślę o tych sprawach, żeby to wyjaśnić czytelnikowi, ale i samemu sobie. Piszę je bowiem głównie po to, żeby się samemu w sobie zorientować. Nigdy nie jest za późno na taki obrachunek ze sobą, a najlepiej robić go regularnie od czasu do czasu.

Był w moim życiu taki okres, że wynarodowiłem się doszczętnie. Istniały ku temu przyczyny obiektywne, o których opowiem na dalszych stronicach, ale nikt się nie wyzbywa polskości z powodów wyłącznie zewnętrznych. Było to na początku lat trzydziestych, w Paryżu. Napisałem dla fachowego pisma artykuł, dotyczący teorii filmu dźwiękowego. W Warszawie wychodził w tym czasie miesięcznik *Wiedza i życie*, wydawany przez Uniwersytet Warszawski. Zwrócił się do mnie z listem: chcielibyśmy Pana artykuł przetłumaczyć i wydrukować, prosimy o pozwolenie. List zawierał post-scriptum: sądząc z imienia i nazwiska jest Pan pewnie Polakiem. Jeśli tak, będziemy wdzięczni za krótki wstęp do artykułu po polsku.

Nie mogłem nie tylko napisać wstępu, ale nawet odpowiedzieć na list. Nie umiałem napisać poprawnie kilkunastu słów po polsku. Męczyłem się kilka godzin, w końcu napisałem po francusku i posłałem bratu do Warszawy z prośbą żeby przetłumaczył. Przepisałem tłumaczenie i posłałem do Warszawy. Owszem, było tam napisane, Polak i bardzo się czuję zaszczycony. Tylko przemilczałem że taki Polak, który nie umie pisać po polsku i mówić też nie. Krótko przedtem byłem przejazdem w mieście, gdzie mieszkało kilkunastu Polaków, wyznających zbliżone do moich poglądy, starych znajomych. Prosił mnie, żebym wygłosił dla nich referat, oczywiście po polsku. Nie mogłem im powiedzieć, że nie mogę tego zrobić, że po polsku zapomniałem. Nie uwierzyliby. Pomyśleliby, że się nie chcę z nimi zadawać, że mi dla nich szkoda czasu. Miałem w tym mieście przyjaciela-Węgra, namówiłem go żeby poszedł ze mną, to było jedyne wyjście. Powiedziałem tym moim rodakom, że Węgier też chciałby usłyszeć co powiem, ale po polsku nie rozumie, a przecież wszyscy oni rozumieją po niemiecku, więc jeśli pozwolą...

I jeszcze jedno wspomnienie, też z Paryża. Jechałem autobusem ulicą Vaugirard, ktoś w autobusie mówił po polsku, usłyszałem słowo chabry. Szukałem gorączkowo w pamięci co to słowo znaczy, wiedziałem że kiedyś je znałem. W tym dniu zacząłem się na nowo uczyć po polsku, z gramatyki, ze słownika. I znieść do domu polskie książki jakie się dało, tomy Biblioteki Dzieł Wyborowych w ciemno-wisniowych okładkach z wyciśniętym profilem autora, jak również Kraszewskiego i nawet Paska, żeby znowu poznać język u źródła. Nauczyłem się, ale niezupełnie. W roku 1940, w Londynie, redaktor *Wiadomości Polskich* prosił mnie, żebym coś dla tego pisma przysłał. Napisałem krótkie opowiadanie, ale po francusku. Nie chcieli przetłumaczyć. Powiedzieli że Polaków na polski nie tłumaczą i żebym napisał po polsku jak umiem. Napisałem. Ale poprosiłem Antoniego Słonimskiego, żeby poprawił. Zrobił to, z dobrego serca, ale siedział nad trzema kartkami, jak mi mówił, kilka godzin. Więc uczyłem się dalej, gniewnie, ze wstydem. Po pewnym czasie zawarłem umowę z jedną z polskich gazet, że będę pisywał opowiadania co tydzień, do każdego sobotniego numeru. Umyślnie to zrobiłem, dla wewnętrznej dyscypliny. I umowę wykonałem. Tych opowiadań, ani innych moich rzeczy w *Wiadomościach*, nikt już nie poprawiał.

To wszystko było dawno temu, ale to co teraz opowiem wydarzyło się całkiem niedawno, w roku 1967. Siedziałem w Warszawie przed telewizorem, nadawano z Sopotu międzynarodowy festiwal piosenek. Występowali Francuzi, Angielki, Gru-

zinka, Austriacy, Szwedzi, jakiś Murzyn śpiewał nawet stojąc na głowie. Występował też polski piosenkarz.

— Nie wiem, — powiedziałem przyjacielowi — czy obudził się we mnie polski szowinizm, ale wydaje mi się że żaden z tych zagranicznych gości nie wytrzymuje krytyki. Nie można ich nawet porównać z polskim piosenkarzem (był to Jerzy Połomski). To jest świetny śpiewak, a oni nie mają pojęcia.

Mówiłem później o tym festiwalu z kilkoma warszawiakami. Zarzucano mi oczywiście szowinizm, daleko posunięty szowinizm. I w sprawie festiwalu, i w kilku innych. A ja się zaczęłem zastanawiać, „nad wszystkim, nad całym”, jak pisał Tuwim. No, może nie stałem się szowinistą, ale bądź co bądź... Mieszkam od ćwierć wieku w Nowym Jorku, ale od dobrych kilku lat nie utrzymuję stosunków towarzyskich z Amerykanami. Miałem przyjaciół wśród amerykańskich pisarzy, sam pisałem po angielsku. Teraz nie widuję żadnego z nich. Pisałem w swoim długim życiu utwory beletrystyczne kolejno po polsku, po rosyjsku, po niemiecku, po francusku i po angielsku. Teraz piszę tylko po polsku. Nie-polscy czytelnicy przestali mnie interesować. Swoje własne książki, pisane w innym niż polski językach, oglądam z pewnym zdziwieniem. Nie mam ich, biorę je czasami do ręki w bibliotekach. Niedawno w jednej z bibliotek wzięłem z półki jedną z nich. Jakiś czytelnik dopisał na końcu ołówkiem swoje uwagi, na ogół nieprzychylnie. Przejrzałem książkę — pierwszy raz po przeszło trzydziestu latach — i napisałem pod jego uwagami, ale anonimowo, że się z jego sądem zgadzam. Nie była to zła książka, tylko taka sobie powieść, ale mnie raziło, że autor w obcym języku, jakby udając, że to jest jego język, pisze o obcych dla mnie dzisiaj sprawach.

Dosyć. Teraz wnioski. Uczucia patriotyczne, czy po prostu poczucie przynależności do jakiegoś narodu nie jest sprawą rozumową. Albo się je ma, albo nie. W pierwszym wypadku mędrkowaniem stłumić go nie można. Dalej. Stół po angielsku nazywa się *table*, a las po francusku *forêt*. Ale słowa mają nie tylko znaczenie, lecz również dźwięk, smak i zapach. Słowo las, znane z dzieciństwa, wywołuje skojarzenia, których *forêt* nie wywołuje. Jest na innej fali. Można oczywiście nastawić się czy przestawić na tę falę, ale trzeba wtedy zerwać z dzieciństwem. Trzeba je odrąbać, a to jest niebezpieczna operacja, bo życie każdego człowieka jest całością samą w sobie. Topór, który nas odcina od dzieciństwa niweczy tę całość. Są może ludzie, którzy mogą sobie na taką operację pozwolić i których ona duchowo nie okalecza, ale ja do nich nie należę. Odciałem się językowo i naro-

dowościowo od mojego dzieciństwa i wczesnej młodości i nie było mi z tym dobrze. Dlatego późno, ale jeszcze przed czterdziestką, stałem się znowu Polakiem.

10.

*Towarzysz Zygmunt. — Język łódzkich handlowców. —
Rozczarowanie po pierwszym zebraniu kółka.*

Towarzysz Zygmunt, kierownik naszego kółka, był z zawodu handlowcem i pracował w kantorze. Dziś by się powiedziało, że był pracownikiem biurowym, ale ten termin wcale nie pasuje do tamtych czasów, bowiem nie było wówczas w Łodzi ani pracowników biurowych, ani biur. Te ostatnie zastępowały ciemnawe, zakurzone izby, czyli kantory, zwykle z zakratowanym oknem wychodzącym na podwórko, a często i bez okna. Kupcy, którzy sprzedawali do Rosji towary włókiennicze za miliony rubli mieli przy składach z towarami takie izby, a w nich handlowcy, czasami młodzi a czasem bardzo starzy, prowadzili księgi. Czynili to zwykle stojąc przy pulpitach, nad którymi wisiły lampki elektryczne, opatrzone kloszami zielonymi z zewnątrz, białymi wewnątrz. Handlowcy pisali też listy do klientów. Maszyny do pisania uważane były jeszcze za zbyt cenny luksus, listy pisano od ręki, gęstym i ciemnym atramentem, bo inny źle odbijał się w prasie. Prasy były żelazne, duże, stojące na stołkach. Pod prasę kładło się list a na nim bibułkę i zakręcało się prasę wielką śrubą z mosiężnymi kulami na końcach, żeby zrobić z listu kopię. Handlowcy byli zwykle pół-inteligentami, kończyli trzy albo cztery klasy gimnazjalne, które to wykształcenie przewyższało jednak edukację kupców, nie uczęszczających przeważnie do żadnych szkół. Brali się do interesów w wieku młodzieńczym, co stawiło ich później na znacznie wyższy szczebel w hierarchii towarzyskiej. Były naturalnie wyjątki. Wielcy bogacze posyłali synów do szkół w Anglii i na praktykę do przędzalni w Manchesterze. Kosztowało to drogo, praktykanci musieli płacić za naukę grube pieniądze, zupełnie jak w szkole.

Łódzcy handlowcy wyznawali przeważnie religię mojżeszową i mówili językiem pełnym swoistego uroku. Dziś, kiedy o tym języku myślę, wydaje mi się że jego główny powab polegał na wprowadzaniu do mowy potocznej słów książkowych i kwiecistych — ale zawsze rdzennie polskich — albo nawet archaicznych, rzadziej pompatycznych, a jeśli już, to nie w ich pompatycznym, tylko w codziennym, zwykłym sensie. Słów tych handlowcy

i pokrewne im środowiska używali nie dlatego żeby się popisać, tylko dlatego że to były ładniejsze, mniej zaszargane, odświętniejsze słowa. Mówili że ktoś *udaje się* na spacer, albo że *przebywa*, czasami nawet *bawi* w Warszawie czy Łodzi, nie że tam po prostu jest. I że jakaś książka czy nazwisko *nie są im obce*. Albo że ktoś *przekłada* tego kompozytora nad innego. Mówili *kontentować się*, ale nie mówili *konstantować*, jak mówiło wielu mówców na robotniczych zebraniach. Używali w zwykłych rozmowach takich wyrażen jak *wytrawny mówca*, *światły umysł*, *cały krajobraz poglądów*, ale nie używali drugiego przypadku po przeczeniu, albo używali tylko wówczas, kiedy to było absolutnie niezbędne. Żaden z nich nie powiedziałby „nie mam ta książka”, ale mówili *on ten odczyt nie zrozumiał*. I nie uznawali, co było najbardziej charakterystyczną oznaką tej mowy, formy częstotliwej. Jeśli ktoś kiedyś chodził do szkoły w Warszawie, mówili o nim że *poszedł do szkoły w Warszawie*. A o takim, który jeździł do pracy tramwajem, mówili że *codziennie pojechał tramwajem*.

Mnie te skażenia języka nie raziły, tak samo jak mnie nie raziły i nie rażą takie wileńskie zwroty jak *włóż ta czapka* lub lwowskie *my tam poszli*. Spotykam jeszcze czasami w Ameryce ludzi, którzy się tym językiem posługują i serce mi się raduje kiedy go słyszę, bo mi przypomina dawną Łódź, której już nie ma. Często poznają nawet po tym wysławianiu się rodaka z mojego miasta, a już zawsze gatunek ludzi, do którego należy. Nie był on najgorszy. W ich sposobie wyrażania się, jak to często ze słownictwem bywa, ludzie typu towarzysza Zygmunta zamknęli swoje dążenia do duchowej lepszności, mozolne wspinanie się po drabinie do gwiazd i jednocześnie wyczuwaną pewność, że strąci ich z tej drabiny rzeczywistość.



Pierwsze posiedzenie kółka w którym brałem udział było dla mnie wielkim zawodem. Na tym posiedzeniu zostałem do kółka przyjęty. Myślałem że to będzie związane z jakąś uroczystością, co najmniej ze złożeniem przeze mnie przysięgi na wierność po wszystkie czasy, czy czegoś w tym rodzaju. I że przy tej okazji moi nowi przyjaciele, współwyznawcy mojej wiary, zechcą się dowiedzieć, jak do niej doszedłem. Przygotowałem sobie odpowiedź na to pytanie i zapisałem na kartce w skrócie najważniejsze myśli, które zamierzałem wyłożyć. Ale do tego nie doszło. Towarzysz Zygmunt powiedział, że na porządku dziennym stoi sprawa przyjęcia do kółka nowego towarzysza, jeśli nikt nie oponuje

to uważam go za przyjętego, i już. Nikt mnie o nic nie pytał. Było na zebraniu pięciu albo sześciu sztubaków, znałem tylko Rembala i jeszcze jednego ucznia z naszego gimnazjum, ale ze starszej klasy, innych, z Handlówki, widziałem pierwszy raz. Wcale się mną nie interesowali, nawet na mnie nie patrzyli. Pierwszy punkt porządku dnia został wyczerpany w ciągu kilku-nastu sekund, po czym towarzysz Ryszard z Handlówki — mieliśmy wszyscy konspiracyjne pseudonimy — wyłożył swoimi słowami, co przeczytał w rozdziale jakiejś książki, nie pamiętam jakiej. Wiem tylko że chodziło o sprawy od mojego nastroju w tym dniu dalekie, bo ekonomiczno-naukowe. Później wszyscy się rozeszli, ale nie razem tylko po kolei, ze względów konspiracyjnych, i znalazłem się na ulicy sam. Rembał też gdzieś poleciał. Było to na Benedykta — teraz i ta ulica inaczej się nazywa — bardzo blisko mojego domu, ale nie poszedłem do domu, tylko błąkałem się po ulicach. Wracałem wprost do domu ze szkoły, ze ślizgawki, z majówki, ze spaceru na Łódzkim deptaku, to były rzeczy powszednie i w domu czekały na mnie też powszednie i zwyczajne sprawy. Ten dzień nie był dla mnie powszedni. Ale tylko dla mnie. Dla całego świata był i niczym się nie różnił od żadnego innego.

Dopiero później, po innym zebraniu kółka, towarzysz Zygmunt wyszedł razem ze mną i zaproponował mi wspólną przechadzkę. Poszliśmy w stronę Promenady, jedynej w Łodzi bulwaru, z szeroką aleją pośrodku, nadającą się do rozmów. Towarzysz Zygmunt rozpiął palto i założył ręce z tyłu, unosząc je ku górze w taki sposób, że stało się trochę podobne do fraka. Taka metoda przewietrzania się była dosyć rozpowszechniona w mieście Łodzi. Nigdzie indziej później jej nie widziałem.

Towarzysz Zygmunt, uśmiechając się trochę tajemniczo, jakby wiedział coś, czego nikt inny nie wie — zawsze się tak uśmiechał i zanim otwierał usta, wznosił brwi do góry — zapytał mnie, z jakich powodów wstąpiłem do kółka. Może zadał mi to pytanie dlatego, że zauważył, że na zebraniu trochę zanadto się kręciłem, nie zwracając dostatecznej uwagi na to, co mówił kolejny referent, a może zapytał mnie tylko tak, dla zagajenia rozmowy. Byłem przygotowany na to pytanie, ale odpowiedziałem nie to, co sobie zapisałem na kartce przed pierwszym zebraniem, tylko to, co nosiłem w sobie. Nie wygłosiłem przygotowanej wtedy i prze-myślanej deklaracji, lecz powiedziałem jednym tchem, jednym wybuchem, zupełnie co innego. Moją odpowiedź ująłem w takie mniej więcej słowa:

— Mam powody, które mogę streścić w jednym zdaniu, nawet nie moim, tylko Boy'a, autora „Słówek”: „Dwie dusze

w jednym ciełe, flaki w niedzielę". Symbol mieszczańskiego życia w skorupie. Jeszcze do tego kotleciki, smażone na czystym maśle. Też jako symbol. Otóż ja nienawidzę tego życia i nie chcę, nie chcę, bo ono jest bezcelowe, głupie i ohydne.

Towarzysz Zygmunt przykrył oczy powiekami, w których drgały niebieskie żyłki, pokazując w ten sposób że rozumiał, co mam na myśli. Ale widocznie niezupełnie rozumiał.

— Bo ja się trochę zastanawiałem, powiedział po chwili, ze względu na waszego ojca. Ja o nim słyszałem i nawet raz byłem na jego odczycie. Wytrawny prelegent. Wzorowe opanowanie przedmiotu. Ale nie możecie zaprzeczyć, że nie pochodzicie z ubogiej rodziny, robotniczej albo w ogóle niemającej...

— Właśnie dlatego, odrzekłem mu. Właśnie dlatego że pochodzę z zamożnej rodziny. Widzę jak te rodziny żyją i mnie to mierzi. A zresztą, — wypaliłem zapominając o formalnym „wy”, do którego jeszcze nie zdążyłem się przyzwyczaić — pan też nie pochodzi z robotniczej rodziny.

Mój mentor uśmiechnął się jeszcze bardziej tajemniczo.

— Nie — odpowiedział mi. — Ale ja się urodziłem na Bałutach.

Przystanął na chwilę, a później ciągnął dalej, już teraz całkowicie swoją łódką mową, nie fryzując, jak przedtem, słów ani intonacji:

— Pan wie, jak jest na Bałutach? Niech pan weźmie majowe chrabąszcze i wysypie je z samolotu na pustynię Saharę. To one będą deptały jeden drugiego i szukały w piasku pożywienia, i chodziły, chodziły, chodziły, a jakie tam może być pożywienie? Ja też tak chodziłem, a jak się tak troszkę pochodzi, to się dopiero rozumie, z czego się wszystko bierze. Pan powiada ohyda mieszczańskiego życia. To już jest dobrze, bardzo dobrze, że pan w młodym wieku ją zauważył, można powiedzieć w samym zaraniu. Ale pan musi jeszcze trochę pomyśleć, jeszcze się troszeczkę zastanowić. Kiedy przychodzi takie zastanowienie? Ono może przyjść wszędzie i w każdej chwili. Widzi pan ten szyld? On wskazuje, że ktoś sprzedaje mydło do prania. On się troszczy tylko o jedno, żeby sprzedać dużo mydła do prania i dużo zarobić, i on się rzuci na konkurenta, który też chce zarobić, i odbierze mu zarobek, bo on myśli że nie ma na świecie nic innego jak tylko pieniądze i że każdy musi się wspinać na złotą górę, a jak się nie wspina, to on nie jest nic warty. Ja mówię ogólnikowo, pan mnie rozumie. Ja mówię o kapitalizmie. Jak ja mieszkałem na Bałutach, to ja też chciałem się wdrapać na złotą górę. I dopiero później rozumiałem, że jest jeszcze inna góra, o wiele wyższa. Jak się już na niej stanie, to wszystkie

inne wyglądają jak doliny. Nawet nie jak doliny, tylko jak przepaście, takie głębokie przepaście, że jak się do nich znowu spadnie z góry, to już na śmierć.

11.

Czerwony Dwór. — Wystrzał w jadalni. — Nienawiść do rodzinnego miasta. — Wybuch wojny. — Wyjazd z Łodzi

Nadszedł rok 1914. Wczesnym latem, już w czerwcu, wyjechałem na długie wakacje do Czerwonego Dworu pod Grodziskiem. Antoni spędzał wakacje gdzieś ze swoimi kolegami, rodzice zostali w Łodzi, mieli później pojechać za granicę. Pojechałem do Czerwonego Dworu z moim młodszym bratem Jerzym.

Byłem już tam poprzedniego lata. Od czasu jak Antoniemu nie wolno było opuszczać granic Rosji, rodzice wyjeżdżali za granicę sami, my spędzaliśmy lato w Czerwonym Dworze. Tak się nazywało gimnazjum z internatem, kierowane przez Henryka Rygiera, działacza społecznego i pedagoga, brata poety Leona Rygiera, który wykładał w tym gimnazjum literaturę polską.

Czerwony Dwór był szkołą trochę osobliwą. Uczniowie pochodzili z różnych polskich miast, był nawet jeden, nazwiskiem Lelewel — potomek tamtego — który przyjechał wprost ze Szwajcarii, z Fryburga, i paradował w białej czapce z niebieskim otokiem tamtejszej szkoły. Wśród uczniów było wielu takich, których wydalono z innych szkół, jak również gagatków, z którymi rodzice nie mogli poradzić sobie w domu. Ale Czerwony Dwór nie był zakładem poprawczym, całkiem przeciwnie. Uczniowie korzystali z większej swobody niż gdzie indziej, bo takie były metody wychowawcze dyrektora szkoły. O tych metodach zaraz opowiem, przedtem jeszcze kilka słów o samej szkole. Mieściła się w dużym starym domu, pewnie dawnym dworze, który otaczał wielki park, na wsi, w odległości dwóch czy trzech kilometrów od Grodziska, małego miasteczka, w którym nie było ani kina, ani cukierni czy kawiarni, ani w ogóle żadnych rozrywek. Był tylko zaśmiecony rynek, pusty i senny, gdzie starozakonni w chałatach usiłowali sprzedawać swoje nędzne towary innym starozakonnym, a w dniu jarmarczne okolicznym chłopom. W dużym domu z czerwonej cegły odbywały się lekcje, nie tylko podczas roku szkolnego, ale i w czasie wakacji, bo do Czerwonego Dworu przyjeżdżało sporo uczniów, mających poprawki. Mieszkało się w domkach i willach w pobliżu, po

dwóch lub trzech w pokoju. W każdej willi mieszkał też opiekun, zawsze bardzo młody. Ci wychowawcy byli świetnie dobrani. Ich autorytet opierał się wyłącznie na zaufaniu, który potrafili sobie zdobyć. Mój wychowawca nazywał się Alter, ale mówiło się do niego panie Ignasiu. Miał dwadzieścia trzy lata, był przyjacielski i wszystko wiedział. To znaczy wszystko, co nas interesowało. Mógł odpowiedzieć na każde pytanie z dziedziny literatury i z wielu innych dziedzin, prócz tego umiał naprawić każdy rower, każdą nadłamaną rakietę tenisową i, co było trudniejsze, każdy zepsuty humor.

Miałem w roku 1914, jak zwykle, kilka poprawek, już nie pamiętam ile i z jakich przedmiotów. Do pracy nikt mnie nie zapędzał. Metody wychowawcze polegały na łagodnej perswazji, która w moim wypadku, jeśli chodzi o naukę, nie działała, po pierwsze dlatego że w dalszym ciągu uważałem naukę za stratę czasu, a po wtóre z tego powodu, że miałem po wakacjach przenieść się do innej szkoły, a więc istniała możliwość, że się z egzaminów poprawkowych jakoś wykręcę. Dyrektor Czeraskiewicz w Łodzi dał ojcu dyskretnie do zrozumienia, że zarówno dla szkoły jak i dla mnie samego byłoby lepiej, gdybym uczęszczał do innej, może w innym mieście. W grę wchodził Kraków albo Czerwony Dwór, ojciec miał to rozstrzygnąć w końcu lata.

Czerwony Dwór bardziej mi odpowiadał. Polubiłem dyrektora Rygiera i jego żonę, bardzo uroczą panią Zofię. Podkochiwało się w niej, mimo różnicy wieku, wielu uczniów. Ja nie, ale, jak oni, byłem pod jej wpływem. Mogła mnie zawołać i powiedzieć przyciszonym głosem, z zażenowanym uśmiechem, żebym coś zrobił albo czegoś nie robił, i to zwykle wystarczało. Oczywiście nie zawsze. I pani Zofia nie wszystko mogła przewidzieć, na przykład to, że pewnego dnia w sali jadalnej rozlegnie się wystrzał. Niezbyt głośny, bo rewolwerowy, i rewolwer, kiedy wystrzelił, miałem w kieszeni spodni, co trochę stłumiło huk. Nie wiem zupełnie kto mi dał rewolwer, autentyczny brauning małego kalibru, i dlaczego nosiłem go w kieszeni. Prawdopodobnie ten instrument po prostu mi imponował. Posiadał bezpiecznik, którym się w czasie obiadu bawiłem, podnosząc go i opuszczając tak długo, aż rewolwer wystrzelił. Musiałem nieopatrznie poruszyć cyngiel. W sali jadalnej było tak gwarno, że na stłumiony huk nikt nie zwrócił uwagi. Ja zaś wstałem i poszedłem do gabinetu pana Henryka na pierwszym piętrze, wiedząc że tam była szafka z wata, bandażami i jodyną. Kula, która ugrzęzła w podłodze, otarła się po drodze o moją nogę powyżej kolana. Zacząłem właśnie opatrywać to krwawiące draśnięcie, kiedy pan Henryk wziął mi z rąk wate i jodynę i

sam obandażował mi nogę. Słyszał, jak się okazało, wystrzał i poszedł za mną, domyślając się, co się stało. Po zabandażowaniu nogi wyciągnął, nic nie mówiąc, dłoń, a ja, również milcząc, wręczyłem mu rewolwer. Pan Henryk ani mi nie robił wyrzutów, ani się nawet nie dziwił. Był zawsze na wszystko przygotowany. Wróciliśmy do sali jadalnej, żeby skończyć obiad. Kierownik Czerwonego Dworu nic nikomu nie powiedział, nawet żonie. Jego dyskrecja tak mnie wzruszyła że postanowiłem, całkowicie z własnej inicjatywy, przeprosić go i jednocześnie podziękować za opatrunek. Poszedłem do niego nazajutrz. Wysłuchał co miałem do powiedzenia i poradził mi, żebym sam też nikomu o tym wypadku nie opowiadał, ponieważ to, że nie umiem obchodzić się z bronią palną, nie stawia mnie w zbyt dobrym świetle. Potem się roześmiał i wskazał na stojące na biurku drewniane pudełko z wyrzeźbionym napisem „Zakopane”.

— Nie chcesz papierosa? Jak uważasz.

Dzięki temu pudełku odczył nas od palenia papierosów. Nie sprawiało nam ono żadnej przyjemności, ale paliliśmy w krzakach w parku, w sypialni w nocy albo w miejscach ustępowych, bo tego wymagał fason. Ale pewnego dnia dyrektor zawiadomił nas podczas kolacji, że w jego gabinecie, który był zawsze otwarty, stać będzie na biurku pudełko z papierosami. Każdy może sobie wziąć ile chce i palić gdzie mu się podoba. Cała operacja trwała wszystkiego tydzień. Początkowo braliśmy papierosy z pudełka, głównie żeby sprawdzić, czy dyrektor traktuje swoją propozycję na serio, czy nie ma w tym jakiegoś nabierania. I paliliśmy w jego obecności, też dla sprawdzenia, co się za tym wszystkim kryje. Ale nic się nie kryło. I oczywiście przestaliśmy palić, bo po co krztusić się dymem, skoro to nawet nie jest zabronione.

Bardzo mi się podobała w Czerwonym Dworze. Szkoła tego rodzaju może być piekłem dla jej wychowawców, albo rajem na ziemi, w zależności od tego, kto i jak nią kieruje. W Czerwonym Dworze panowała atmosfera szczerości, ludzkiej wspólnoty i przyjaźni. Z Warszawy często przyjeżdżał Leon Rygier i czytał nam albo deklamował wiersze. Czytał jakiś krótki urywek i pytał nas, kto to napisał? Mickiewicz, Norwid czy Słowacki? Czasami recytował własne utwory, które poznawaliśmy bezbłędnie, bo wiem pan Leon, niestety, nie był poetą brylantowego blasku. Ale udawaliśmy, że nie poznajemy, mówiąc że to z pewnością napisał Słowacki. Radowało go to ogromnie.

Jeździliśmy też często do Warszawy, tak sobie, na spacer. Do Warszawy było dwadzieścia dwa kilometry, bilet kosztował kilkanaście kopiejek, ale jeździliśmy na gapę, bo to taniej i przyjemniej. Znajomym konduktorom przynosiliśmy w podarunku

owoce z naszego sadu. Wspólnie z nimi osiągnęliśmy wielkie zwycięstwo nad niezbyt wybitnym, ale zbyt gorliwym reprezentantem carskich ciemnych, który się nazywał Aleksandrow i pełnił funkcje inspektora kolejowego. Aleksandrow prześladował jadących na gapę, jak również konduktorów, którzy to tolerowali. Mieliśmy z jego powodu dużo przykrości. Podmiejskie pociągi miały tylko jeden wagon drugiej klasy. Jeździł nim Aleksandrow, zwykle nie sam, zamykając się w przedziale, i to, jak wysłedziiliśmy, nie z tą samą panią, tylko z coraz to inną. Przyjechał raz z Warszawy tym samym pociągiem co i my. Postanowiliśmy zemścić się na nim za to, że nas prześladował i powiadomiliśmy naczelnika stacji w Grodzisku, który był z nami w dobrej komitywie, co się święci. Zawiadowca nie lubił Aleksandrowa, który robił na niego donosy. Zatrzymał pociąg i kazał konduktorowi otworzyć przedział swoim kluczem. Aleksandrow był podobno zupełnie bez niczego, a jego znajoma prawie. Odwołano go za to ze stanowiska i w ciągu długiego czasu mówiono o tym skandaliku nie tylko w Grodzisku, ale nawet w Warszawie, gdzie jedna z ciotek indagowała mnie na ten temat. Na horyzoncie europejskim już się w tym czasie zbierały chmury, już wiał od nich wiatr zbliżającej się wojny, ale jeszcze w nią nikt nie wierzył. Niefortunna podróż Aleksandrowa interesowała wszystkich o wiele bardziej, bo łatwiej i weselej było o tym mówić i myśleć. Jest rzeczą zastanawiającą, jak silna jest niechęć do myślenia o sprawach złych i strasznych. Ogromna ilość ludzi podczas pierwszej i drugiej wojny światowej zginęła tylko dlatego, że nie umiała odwrócić swoich przytulnych myśli w stronę nieodwracalnej rzeczywistości.

Nie ulegało wątpliwości, że wojna lada dzień się rozpocznie. Z Czerwonego Dworu spiesznie wyjechało wielu uczniów, wzywanych przez rodziców do domu. Przyjechało natomiast kilku panów, przyjaciół dyrektora. Chodzili po ogrodzie i zrywali jabłka, a wieczorem w sali jadalnej, za stołem dyrektora, gdzie tego dnia siedzieli tylko warszawscy goście i pan Henryk z żoną, toczyła się gorąca dyskusja. Nie wiem na jaki temat, choć mój stół był zaraz obok. Może mi to wywietrzało z pamięci a może nie słuchałem, obserwując pana Henryka i jego gości. Ludzie już wtedy interesowali mnie często tylko jako literackie tworzywo, przypatrywałem się jak wyglądają i obserwowałem ich ruchy. Dyskusja toczyła się ostro, z pewnością na zasadnicze tematy. Wszyscy byli tego samego zdania, tylko pan Henryk miał inne. Goście wstawali od stołu i znowu siadali, jeden, otyły, mówił dobitniej niż inni, nachylając się aż do samego talerza, żeby podkreślić słuszność swojego stanowiska. Pan Henryk mówił

mało, miał zmęczony wyraz oczu i nie patrzył, kiedy mówił, na nikogo. Kolacja dawno już się skończyła, spośród uczniów tylko ja jeden byłem jeszcze w jadalni. Fascynowało mnie że pan Henryk ma inne zdanie niż wszyscy i że go tak spokojnie, ale stanowczo broni. Nawet pani Zofia nie stanęła po jego stronie, rzucając mu tylko lękliwe spojrzenia.

Ktoś mnie zawołał, a kiedy wróciłem, dyskusja już się skończyła. Tylko pan Henryk siedział jeszcze przy stole, na którym położył ręce. Wzniósł do góry głowę i rozmyślał. Wyglądał wtedy, ze swoją jasną brodą, jak Chrystus, albo któryś z bohaterów sztuk Ibsena, które widziałem na scenie łódzkiego teatru.

Marna to była zresztą kolacja, a nazajutrz wcale nie było obiadu. Pan Henryk, świetny pedagog, nie znał się na sprawach gospodarczych. Nie umiał nawet prowadzić rachunków. Mój młodszy brat Jerzy, mający wtedy 14 lat, uporządkował mu je tego lata. Nauczył się gdzieś sam prymitywnej buchalterii, do której dyrektor Czerwonego Dworu odczuwał wstręt. Ale buchalteria braku pieniędzy nie leczy. Pan Henryk nie miał ich nigdy. W zimie wiązał jakoś koniec z końcem, teraz, kiedy wielu uczniów wyjechało, nie mógł sobie poradzić. Wsiadł, jak to zwykle czynił w podobnych okolicznościach, na swój starożytny rower i pojechał do Grodziska. Był to rower wysoki i krótki, bez łańcucha, który zastępowały koła zębate. Trzeba było jechać na nim powoli i ostrożnie. Po godzinie czy dwóch z Grodziska przywieziono trochę produktów. Pan Henryk dostał je pewnie na kredyt, a może pożyczył od kogoś pieniądze. Produktów było niewiele, starczyło ich tylko na kilka dni, a potem, nieoczekiwanie, uratował sytuację mój ojciec.

Moi rodzice ugrzęźli gdzieś w Europie. Przez Niemcy nie można już było jechać, więc wrócili drogą okrężną, przez Szwecję i Petersburg, i zjawili się w Czerwonym Dworze, żeby nas zabrać do Łodzi. Ale przedtem ojciec porozmawiał z panem Henrykiem, dał mu jakąś sumę, i prócz tego, przy pomocy kolegi Lelewela i mojej, sprowadził z Grodziska całą skrzynię szynek, sardynek w puszkach i innych przysmaków. Obiad tego dnia był wspaniały. Wieczorem wyjechałem do Łodzi wraz z bratem i rodzicami.

Wszystko to stało się tak szybko, że dopiero w pociągu przyszło mi do głowy iż zostałem niejako oszukany, bo przecież miałem się przenieść do szkoły w Czerwonym Dworze, a teraz wracam oto na stare śmiecie. Mój egoizm, który zawsze osiąga największe natężenie w wieku młodzieńczym i w starości, kazał mi zapomnieć o wojnie. Myślałem tylko, z nienawiścią, o szkole w Łodzi i o mieście Łodzi w ogóle. W pociągu zrobiłem ojcu

scenę, wyrzucając mu że przecież obiecał, przecież mówił, że na jesieni będę już w innej szkole i w innym mieście. Ojciec był tak zaskoczony moim wybuchem, że nawet mnie nie zbeształ. Powiedział tylko, że jak jest wojna, to trzeba przede wszystkim myśleć o wojnie.

Nienawiść o której mówię zrodziła się we mnie już przedtem. Wiem kiedy, bo w roku 1913 pisałem pamiętnik, który się później gdzieś zawieruszył, ale matka odnalazła go i przysłała do Paryża rok czy dwa lata przed wybuchem drugiej wojny światowej. Czytałem go wtedy uważnie. Był przepojony wrogością do wszystkiego, co się w moim mieście działo. Napisałem w nim, że „Łódź, to siedlisko fałszu i obłudy, musi być zmieciona z powierzchni ziemi”. Pamiętam to zdanie, zapamiętałem i inne, jeszcze mocniejsze.

Mój ojciec nie lubił Niemców. Nic mu pewnie — ani mojej rodzinie — nie groziło w razie zajęcia przez nich miasta, ale postanowił wyjechać. Nie była to dla niego łatwa decyzja. Miał w Łodzi ustaloną praktykę lekarską i wielu, bardzo wielu przyjaciół. Toteż wahał się do ostatniej chwili. Przechyliło wreszcie szalę to, że Niemcy zaraz po wybuchu wojny zajęli i spalili Kalisz.

Wyjechaliśmy z Łodzi końmi, bo pociągów już nie było, o szóstej rano. Całą noc pakowaliśmy rzeczy. Pomagała nam panna Elza, z którą nad ranem przeszedłem na ty, i rodzice też. Panna Elza była narzeczoną mojego brata Antoniego. Widziałem ją wtedy pierwszy raz, zaręczył się z nią w lecie. Wyjechała z nami, brat później ożenił się z nią. Jechaliśmy do Warszawy, nie zwykłą drogą, którą już przecięły wojska niemieckie, tylko przez Łowicz. W Łowiczu na rynku kobiety w kolorowych pasiastych sukniach sprzedawały z koszyków renklody. Matka powiedziała że te suknie są bardzo ładne, a ojciec że myślał że istnieją już tylko na obrazkach. Później nikt już nic nie mówił, pojechaliśmy dalej w milczeniu.

Wyjechałem z Łodzi w pierwszych dniach sierpnia 1914 roku. Miałem siedemnasty rok. Wróciłem do mojego rodzinnego miasta dopiero po czterdziestu sześciu latach, i to tylko na jedną dobę.

12.

Naruszona chronologia. — Dzień w Łodzi po pół wieku. — Poszukiwanie samego siebie

Piszę te wspomnienia w kolejności chronologicznej, ale teraz

ją naruszę. Opowiem, zabiegając naprzód, o tym krótkim pobycie w Łodzi, ponieważ łączy się on z poprzednimi kartkami.

A więc przyjechałem, a właściwie przyleciałem samolotem z Nowego Jorku do Warszawy wczesnym latem roku 1960. Warszawy, którą pamiętałem, nie było, była nowa Warszawa, jakby córka tamtej, której rysy przypominały tamtą, ale która miała swoją własną twarz, własny rytm, pospiesniejszy od tamtego i własne ruchy ulic, biegnących inaczej niż wtedy. Obejmowały miasto pętlą na Placu Unii Lubelskiej, przebijały się tunelem przez Krakowskie Przedmieście od strony Zamku Królewskiego, płynęły przez gęsto dawniej zabudowane okolice, a teraz pustynie, od Karowej poprzez Plac Teatralny i, jak wyschnięte strumienie, wsiąkały w ziemię i stawały bezradnie tam gdzie kiedyś była ulica Żelazna a teraz stały starannie porozwalane domy. Ulice przemawiały też do mnie innym głosem. Niektóre wskrzeszały w mojej pamięci ludzi, z którymi kiedyś się przyjaźniłem lub których blisko znałem: Władka Hibnera czy Juliana Leszczyńskiego. Z pierwszym siedziałem w więzieniu mokotowskim, później rozstrzelano go za zamach na prowokatora. Drugiego też rozstrzelano, w Moskwie. Wezwano go do Moskwy z Hiszpanii, z Brygady Dąbrowskiego, pojechał, choć pewnie przeczuwał, co go czeka. Jechał przez Paryż, widziałem go wtedy, był już zupełnie siwy. Ani on ani Hibner nie wiedzieli, że place i ulice warszawskie będą kiedyś przypominały żyjącym ich nazwiska.

Ale to jest wszystko o Warszawie, a miałem pisać o Łodzi. Pojechałem do Łodzi nie dlatego, że do niej tęskniłem. Tęsknota, po tak długim czasie, zamiera. Silnie tęskniłem w ciągu pierwszych lat po wyjeździe, Łódź codziennie mi się śniła, ale stopniowo tęskniłem coraz mniej. Pojechałem żeby wzbudzić w sobie dawne przeżycia i myśli, moją wczesną młodość. Żeby się, po prostu mówiąc, wzruszyć. To wzruszenie było mi potrzebne, nie dla odzyskania spokoju ducha, tylko przeciwnie, dla wzbudzenia, dla ożywienia go. Taka ożywcza kąpiel jest potrzebna każdemu, w każdym razie każdemu by się przydała, bo z wiekiem każdy człowiek podleje, wolniej lub szybciej, mniej lub więcej, i coraz częściej zawiera kompromisy ze swoim własnym sumieniem. Rolę wywaru z igieł sosnowych w tej kąpeli może czasami spełnić czytanie niektórych książek, znanych z bardzo wczesnych lat, rzadziej spotkania z ludźmi z tamtych czasów, rzadziej dlatego, że to są już inni ludzie, że się w międzyczasie zmienili, a książki nie. Ale i książki są za słabym bodźcem dla odtworzenia w sobie uczuć i myśli wczesnych lat, zawsze najlepszych i najczystszych,

uczuć, które się później stępią i nikną. Widok ulic i domów dzieciństwa, mówiłem sobie, podziała silniej.

Zawiózł mnie do Łodzi z Warszawy samochodem przyjaciół. Nie był łodzianinem, zamieszkał w Łodzi dopiero po drugiej wojnie. Jechaliśmy szosą, wykładaną czarną kamienną kostką, niespełna dwie godziny. Pytał mnie po drodze, czym się różni krajobraz polski od amerykańskiego, zaproponował, żebym zamknął na chwilę oczy i przypomniał sobie, jak tam wyglądają pola, oglądane z samochodu. Mogłem mu to powiedzieć bez zamykania oczu. W Polsce ziemię się uprawia, pokrajana jest na prostokąty, w każdym coś rośnie, coś się w każdym inaczej zieleni, a tam nie. Tam można jechać samochodem cały dzień szosą i nie zobaczyć ani jednego uprawianego pola. Dlaczego? Czy ziemia jest nieurodzajna? Owszem, bardzo jest urodzajna. Mój znajomy Polak, który się na tym trochę zna, założył sobie ogród warzywny i bardzo sobie tę amerykańską ziemię chwali, mówi że w całej Polsce takiej nie było. Ale w Ameryce jest bardzo dużo ziemi, nie opłaca się jej uprawiać, to się robi tam już na wielką skalę, tylko w niektórych stanach, na olbrzymich obszarach, a później rozwozi jarzyny i owoce po całej Ameryce. Wielce to jest imponujące, tylko że jabłka smakują tak samo jak gruszki, a fasola jak pomidory, a właściwie żadne jarzyny ani owoce nie mają smaku ani zapachu. Z powodu nadużywania sztucznych nawozów, jak również dlatego, że wszystko dojrzewa już podczas transportu, bez słońca. Strasznie bogaty kraj, mruknął mój przyjaciel. O tym że owoce i jarzyny nie mają w Ameryce smaku nic nie powiedział. Może nie uwierzył. W Polsce w takie rzeczy nie wierzą.

Mój przyjaciel mieszkał przy ulicy Narutowicza, która za moich czasów nazywała się Dzielną. Na jej końcu, tam właśnie gdzie mieszkał, grało się wówczas na polach w piłkę nożną. Pojechaliśmy najpierw do niego, a później na kolację do Tivoli, dużej restauracji pod gołym niebem, gdzie grała orkiestra i tańczono. Dawniej był tam ogródek Meisterhaus'u, niemieckiego klubu, nigdy tam w środku nie byłem. Siedzieliśmy przy długim stole, inne miejsca były wolne. Przysiadł się do nas błądy młodzieniec bez krawata z dwoma dziewczynami, wyglądającymi skromnie, jak i on, zapytał grzecznie o pozwolenie, zanim usiedli. Zjawił się kelner i powiedział, że tej trójce nic nie poda, ani do jedzenia ani do picia. Nie? — zapytał dla pewności młodzieniec. Kelner nic nie odpowiedział. Wszyscy troje wstali i spokojnie wyszli, wolnym krokiem. O co chodzi? Oni już wiedzą, o co chodzi, rzucił kelner. Ja ich znam. Nie mają pieniędzy. Liczą na to, że ktoś za nich zapłaci. Zrobiło mi się

nieprzyjemnie, bo to było trochę tak jak z człowiekiem w piekarni w moim dzieciństwie. Niezupełnie, ale trochę. I tak samo jak wtedy chciałem z nimi pobiec, i nie pobiegłem. Mój przyjaciel powiedział, że jeżeli im dam pieniądze, to się upiją.

Na Piotrkowskiej, kiedy wracaliśmy, było ciemno, ciemniej niż na warszawskich ulicach. Zielone neony na dachach wzywały do kupowania mebli. Czy w Łodzi jest tak dużo mebli? Nie, roześmiał się mój przyjaciel, wcale nie ma. Można czasami dostać, ale rzadko.

Pojechaliśmy do niego, bo zrobiło się późno. Na drugi dzień poszedłem do Helenowa, to było blisko, tuż obok. Wchodziło się za darmo, nie było zresztą za co płacić. Środkiem parku przeprowadzono szosę, część drzew wycięto, trawniki wydeptano, unosił się nad nimi kurz. Ogrodu zoologicznego nie było, ani zaczarowanej grotty na stawie, opatrzonej okienkami o kolorowych szybach, które barwiły twarz na seledynowo i na wiśniowo, wyglądało się wówczas jak upiór albo anioł, w zależności od tego, jaki wygląd dyktowała nam w danej chwili fantazja. Drzewa pewnie wycięto na opał, ale grotta? Na co mogła być komu potrzebna?

Pojechałem z Helenowa tramwajem, tym samym co za uczniowskich czasów. Wsiadłem przed Grand Hotelem i wszedłem w Pasaż Majera, teraz ulicę Moniuszki. Wyobraziłem sobie, że mam dziesięć albo dwanaście lat, że wracam do domu ze szkoły, na rogu stoi bezzębny gazeciarz, któremu kiedyś przywiozłem z Berlina fajkę z blaszaną pokrywką. Mijam go, spotykam brata, idę razem z nim do naszego domu pod numerem piątym...

Musiałem przerwać to zetknięcie z przeszłością, bo na oczy wystąpiły mi łzy. Wspomnienie było za silne, z trudem zahamowałem płacz. Ale to nie było wzruszenie z rodzaju tych, których szukałem. Nie otworzyło mi dawnego świata, a tylko kazało litować się nad sobą, że było kiedyś tak i że te czasy nie wrócą.

W domu pod numerem piątym mieściła się teraz przychodnia dla niemowląt. Wpuszczono mnie do mieszkania. Najpierw odbyła się w przedpokoju trochę szorstka rozmowa, młoda lekarka nie mogła zrozumieć o co mi chodzi, podejrzewała że były właściciel domu przyjechał aż z Ameryki, żeby się o swój dom upomnieć, takie wypadki, powiedziała, już się w Łodzi zdarzały. Ale zjawiła się pielęgniarka, starsza kobieta, ta miała inne podejście. Później przyszły jeszcze dwie, może lekarki, może pielęgniarki. Pokazały mi całe mieszkanie, wszystkie pokoje. Wcale się nie zmieniło. Tylko poczekalnia była teraz w dawnym stołowym i umeblowanie było wszędzie inne. Poszedłem, razem z pielęgniarkami, do mojego pokoju.

— Może pan tu chce sam chwilę posiedzieć? — zapytała jedna z nich.

Zostawiły mnie w pokoju samego. Patrzałem przez okno na ogródek, okno było ujęte w te same, znajome ramy, ogródek na dole też jeszcze istniał, ćwierkały w nim wróble. Ale długiego balkonu, obejmującego trzy pokoje, nie było. Sterczały tylko w powietrzu zardzewiałe szyny, na których się kiedyś trzymał. W całej Łodzi wystawały z domów takie szyny, jakby grożąc szeroko rozwartymi ramionami ulicom i przechodniom. Balkony pozdejmowano, bo się zawałyły ze starości, a remontować domów nie miał kto.

Siedziałem w swoim pokoju dobry kwadrans, trochę sztucznie uśmiechając się do siebie samego, że niby po tylu latach, patrzcie państwo... Ale nie przeżywałem żadnych emocji. Wreszcie wyszedłem. Po drugiej stronie ulicy nie było już ogródka Grand Hotelu. Zabudowano go, wznosił się tam nowoczesny gmach z czerwonej cegły. Żal mi było tego ogródka i balkonu w mieszkaniu, takie miałem uczucie jakby mnie ich pozbawiono, jakby mi ktoś odebrał te fragmenty przeszłości. Podobne uczucie ogarnęło mnie w dawnej cukierni Roszkowskiego, na rogu Piotrkowskiej. To była kiedyś przytulna, cicha cukiernia, do której czasem rodzice zabierali mnie na ciastka. Teraz obsadzili stoliki panowie o bystrych oczach. Wszystkie stoliki. Pytali mnie oczami, co chcę sprzedać albo kupić. Waluciarze. Była to teraz czarna giełda, ponura i goła. Właśnie goła. Może dawniej wisiły na ścianach obrazy, albo pokrywały je lepsze tapety, a może patrzyłem wówczas innymi oczami.

Poszedłem do mojej szkoły. Przypomniałem sobie po drodze przechodnią bramę z Piotrkowskiej na Wschodnią, długie podwórze gdzie wyładowywano z rolwag — tak się nazywały w Łodzi płaskie fury, które ciągnęły ogromne konie o włochatych nogach — jakieś towary, przypatrywały się temu żydowskie dzieci, a także dorośli Żydzi w chałatach, których jedynym zajęciem, jak się zdawało, było milczące, zadumane przypatrywanie się temu, że się coś dzieje. Teraz podwórze ziało pustką.

Jeszcze jedno podwórko po drodze, już na innej ulicy. Tu mieszkał mój szkolny kolega Mietek Sandmeier, zwany Bykiem. Chodził ze mną do kina „Casino”, nielegalnie, bo jego ojciec uważał, że Mietek powinien się uczyć o każdej godzinie, w szkole i w domu. Po kinie szedłem więc do niego, odgrywając rolę buforu, osłabiającego siłę ataku ojca. Pan Sandmeier, kiedy się denerwował, powtarzał ostatnie słowa tego co mówił dwukrotnie, specyficznie łódzkim wzorem, aby podkreślić ich wagę: „Gdzieś

ty był, gdzie”, mówił już w przedpokoju do syna, „ty smarkaczu, ty! W kinematografie, w kinematografie?”.

A oto moja szkoła. Było to teraz Gimnazjum imienia Kopernika. Wielki bohomasz w przedśionku prezentował Kopernika na olejno, z globusem i anielskim spojrzeniem, skierowanym ku niebu. W szkole tego dnia nie było lekcji. Do otwartych klas wchodzili profesorowie z karteczką, odczytywali z niej kto zdał egzaminy, za profesorami wchodzili uczniowie i czasami ich rodzice. Po korytarzu kręcili się uczniacy i osoby dorosłe, nikt na mnie nie zwracał uwagi. Chodziłem z klasy do klasy, pytałem o coś starszych chłopców. Odpowiadali bardzo grzecznie, ale trochę sucho: — Pan kiedyś uczył się w tym gimnazjum? — Spoglądali na mnie tak jakby chcieli powiedzieć: no i co z tego?

Sala rekreacyjna. Tu uroczyście obchodzono zakończenie roku szkolnego, najpierw były nudne przemówienia z cytatami z „Ody do młodości”, później mój kolega i przyjaciel Adaś Szubert grał na fortepianie Szopena, przypatrując się najpierw długą chwilę klawiszom z taką miną, jakby to byli żołnierze wrogiej armii. A potem były tańce, i intensywność wszystkich doznań, i chwila, kiedy wchłaniałem w siebie wyraz twarzy Heli, odgadując, że teraz lekko przygryzie wargę, a później przymknie oczy i robi ten ruch głową, na który czekałem. Tego dnia zaprowadziłem Helę do mojej klasy, prosiłem ją, żeby usiadła na mojej ławce, i ogarnęła mnie radość i wdzięczność dla niej, kiedy się zgodziła. Tańczyło się w białych skórzanych rękawiczkach, zdawało mi się że czuję jeszcze zapach benzyny, którą je czyściłem.

Przed gmachem szkolnym, kiedy wychodziłem, zaczął mnie wariat. Spokojny wariat. Poznał po moim ubraniu że przyjechałem z zagranicy. Opowiedział mi zawiłą historię o siostrze, która mieszkała kiedyś w Wiedniu. Poszedł za mną, i nagle powiedział, że muszę mu pomóc, że po powrocie do Ameryki muszę tam ogłosić w gazetach, że on tu jest, w mieście Łodzi, i żeby mu odesłali jego wynalazki, które mu wykradli, bo on i tak wie, kto wykradł. I jeszcze coś o Francuzach, którzy też przywłaszczyli sobie dużo jego wynalazków. Obiecałem że wszystko ogłoszę, przy pożegnaniu zdążył mi jeszcze powiedzieć że mieszka tam gdzie dawniej, w tym samym domu od sześćdziesięciu lat, pan przecież pamięta adres.

Sala koncertowa. Kiedyś ten gmach wydawał mi się szczytem sztuki architektonicznej. Jaki okropny, naprawdę wyjątkowo brzydki budynek. Znowu Grand Hotel. Za czasów mojej młodości za wysokie progi, nigdy tam w środku nie byłem. W kawiarni, najelegantniejszej w mieście, siadywała za lustrzaną szybą piękna pani z podłużnymi agatowymi kolczykami w uszach. Nie

zawsze tam siadywała, a tylko w czasie kiedy do Łodzi zjeżdżali moskiewscy kupcy, żeby nabyć manufakturę. Ta pani podobno wcale nie umiała po polsku, tylko po rumuńsku i po francusku. No cóż, może się napić kawy w Grand Hotelu? Nie, skoro wtedy tam nie bywałem to już niech lepiej tak zostanie.

Chodziłem po ulicach. Patrz, mówiłem sobie, wyjechałeś prawie pół wieku temu, ludzi których spotykasz jeszcze wtedy nie było na świecie, bo w tym kraju mało kto przeżył dwie wojny, nie ma tu nikogo z twoich bliskich, nikogo nie znasz, widzisz tylko obce twarze. Wariat który przetrwał tyle ciężkich lat jest wyjątkiem.

Po trzech godzinach spotkałem go znowu. Błąkał się widocznie po ulicach tak samo jak ja. I już miał do mnie urazę, podejrzewał, że mnie przysłali z Ameryki ci sami działacze kół finansowych, którzy mu wykradli wynalazki. Tak właśnie powiedział: działacze kół finansowych. I dodał, że od początku wiedział kim jestem, tylko udawał że nie wie, więc żeby nie myślał, że coś jeszcze od niego wyciągnę. Powtarzał to wiele razy, trudniej mi było uwolnić się od niego niż poprzednio. Wyglądał źle, pewnie go trapiła jeszcze jakaś fizyczna choroba. Powiedział mi że jest bardzo samotny, że wszyscy jego znajomi powymierali.

— Ale w Ameryce mnie znają, co? Znąją i pamiętają? Niech mi pan nie opowiada że nie, skoro pana tu posłali. Nie posłali? W takim razie co pan tu robi? Po co pan przyjechał? No widzi pan, nie może pan odpowiedzieć na moje pytanie.

Zostawiłem go na jakimś rogu. Kiedy przechodziłem przez ulicę pogroził mi z daleka pięścią.

Z nikim już więcej nie mówiłem. Późnym wieczorem wsiadłem do warszawskiego pociągu który mijał, nie zatrzymując się, łódzkie lotniska: Gałkówek, Andrzejów. Ale zapadła już ciemność, nawet drutów telegraficznych, z których ojciec przepowiadał nam kiedyś przyszłość, nie było widać.

Jechałem w przygnębionym nastroju. Źle mnie przyjęły łódzkie ulice, a na pożegnanie miasto pogroziło mi pięścią. To dwukrotne spotkanie z umyślowo chorym starsuzkiem nie mogło być przypadkowe, wszystko co się na świecie dzieje musiało nastąpić z jakichś poprzednio działających przyczyn, a wariaci często wyczuwają to, czego nie widzą tak zwani ludzie normalni. Więc ten jego gest coś znaczył, pewnie to, że nie wolno mi już było chodzić po ulicach Łodzi i szukać na nich wstrząsów i wzruszeń, bo za długo wałęsałem się po świecie i zdradziłem moje miasto.

Pociąg stanął na chwilę w Grodzisku. Po peronie ktoś chodził

twardym krokiem, słyszałem jego kroki jeszcze w chwili, kiedy pociąg ruszał. Nikt do pociągu nie wsiadł, ani z niego nie wysiadł, byłem w przedziale sam. No tak, powiedziałem sobie, ten wariat nie mógł wiedzieć co napisałem wtedy w dzienniku o moim mieście i jak bardzo chciałem z niego wyjechać, ale mógł to wyczuć.

II

1.

Szkoła Wróblewskiego. — Moskwa. — Pełna samodzielność. — Zostaję szoferem

W Warszawie przyjęto mnie do szkoły Wróblewskiego. Nie pamiętam jak się to odbyło ani gdzie się ta szkoła mieściła, wiem tylko że nosiłem maciejówkę z zielonym otokiem. Spędziłem w szkole Wróblewskiego rok szkolny, ale nie pamiętam ani jednego z moich profesorów, ani jednego kolegi, nie wiem nawet jak wyglądał gmach szkolny.

Mgła rozsiewa się dopiero w lecie 1915 roku. Po zakończeniu roku szkolnego wyjechałem na wakacje do Mińska. Miałem wrócić do Warszawy na jesieni, ale już w początkach sierpnia generał von Hindenburg, ten sam który później został Prezydentem Niemiec i mianował kanclerzem Hitlera, rozbił wojska rosyjskie na całym froncie i zajął Warszawę. Ojciec wysłał mnie więc do Moskwy, gdzie funkcjonowały dwie polskie szkoły średnie, ewakuowane z Warszawy. Miałem wstąpić do jednej z nich, a siostra mojej matki, która wyjechała wraz z mężem do Moskwy z Warszawy już na początku wojny, miała zdecydować na miejscu, do której i otoczyć mnie w Moskwie rodzinną opieką.

Tak to zostało listownie ułożone, ale w pociągu, który mnie wiozł z Mińska do Moskwy, powziąłem kilka postanowień, o których przedtem myślałem tylko mgliście. Po pierwsze zdecydowałem, że do szkoły nie wstąpię, ponieważ zgodnie z moimi dawnymi poglądami uważałem chodzenie do szkoły za stratę czasu. Po wtóre doszedłem do wniosku, że powinienem sam zarabiać na życie. Byłem w jak najlepszej komitywie z rodzicami i ojciec mógł mnie nadal utrzymywać. Ale chciałem się usamodzielnic, trochę ze względów zasadniczych, trochę pewnie dlatego, że się uważałem za dorosłego i pociągało mnie życie ludzi dorosłych.

Ojciec, po dłuższym listownym sporze, zaakceptował moje plany, ale tylko tytułem próby i tylko na rok. Musiałem mu obiecać, że po upływie roku sprawa ukończenia szkoły średniej zostanie postawiona na nowo. Tymczasem uzyskałem jednak swobodę działania.

Moje życie dorosłe i samodzielne zacząłem od tego, że dodałem sobie, całkowicie arbitralnie, dwa lata do mojego wieku. Miałem dopiero osiemnaście, za mało, żeby uzyskać przyzwoitą pracę zarobkową. Ale w Moskwie osiedliły się wielkie rzesze uchodźców z Polski i funkcjonował tam Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny. Dwóch świadków grzesznościowych, zwykle pracowników tegoż Komitetu, składało bez trudności podpisy na podaniu, wskazującym datę urodzenia. Sprawdzić jej nikt nie mógł, bo moja metryka leżała w łódzkim magistracie. Władze rosyjskie honorowały te dokumenty i wydawały na ich podstawie odpowiednie papiery.

Wstąpiłem na kursy szoferskie, zorganizowane przez „Zjemskij Sojuz” — Związek Ziemstw.

Ukończenie kursów szoferskich gwarantowało otrzymanie pracy w Związku Ziemstw. Kursy prowadzone były przez Politechnikę Moskiewską w jej gmachu przy ulicy Korowij Wał, profesorowie tej uczelni wykładali nam takie przedmioty jak historia motorów spalinowych i temu podobne. Kursy trwały dwa miesiące. Związek Ziemstw zakupił w Ameryce dużą ilość samochodów sanitarnych i chciał je powierzyć szoferom wyższej klasy, od których, jak głosił program, były wymagane zarówno wiedza teoretyczna, jak i odwaga, szybkość decyzji, oraz umiejętność prowadzenia samochodu, w razie potrzeby, pod ogniem nieprzyjaciela. Wszystkie te zalety okazały się później całkowicie zbyteczne.

Wykłady teoretyczne — po sześć godzin dziennie — nie przypadły mi do gustu, więc uczęszczałem na nie tylko z rzadka. Zajęcia praktyczne interesowały mnie bardziej. Nauczyłem się prowadzić dosyć dobrze najpierw samochody zwyczajne, a później ciężarówki, co jest trudniejsze. Uczył nas zawodowy szofer Szatow, lekcje odbywały się na drogach wielkiego zamiejskiego parku Sokolniki. Szatow pogardzał nami i posiadał niezwykle bogaty zapas przekleństw trzypiętrowych (*trioch-etaznaja rugań*), których odpowiedników nie ma prawdopodobnie w żadnym innym języku i których orok polega na tym, że można wygłaszać ordynarne słowa ze dwie minuty bez przerwy, nie powtarzając tych samych wyrazów ani razu. Zwracał się do nas na ty, dodając przeważnie jakiś barwny epitet, a my musieliśmy mówić do niego panie instruktorze. Pogardzał również wszelkimi teoriami, wy-

kładanymi na kursach. „Benzyna”, powiedział nam kiedyś, „wybuchu przy zetknięciu z ogniem. Tak was uczą wasi profesorowie, ale ja wam zaraz pokażę, że kłamią”. W garażu stała wielka żelazna beczka z benzyną. Szatow szybko włożył do niej zapaloną zapałkę. Zapałka zgasała. Trick, który nam ogromnie zaimponował, polegał na tym, że wybuchu nie benzyna, tylko jej opary.

W międzyczasie nadeszły z Ameryki oczekiwane samochody. Moja pierwsza szoferska praca polegała na transportowaniu ich z towarowej stacji kolejowej do garażu. Dla oszczędności benzyny, woziliśmy samochody „na buksirze”, to znaczy na łańcuchach. Jeden wóz ciągnął kilka innych. Tamowało to ruch uliczny i nie było szykowne, wobec czego wystąpiliśmy z pretensją, dowodząc może słusznie a może nie, iż samochód, ciągnący inne, zużywa tyleż benzyny co zużyłyby one, gdyby się poruszały własnym pędem. Ta argumentacja, jako że posiadaliśmy przecież bogate wykształcenie teoretyczne, została wzięta pod uwagę i jeździliśmy już później po Moskwie „z fasonem”.

Związek Ziemstw zakupił te samochody dla swoich oddziałów sanitarnych, miały to być specjalne wozy dla przewożenia rannych. Ktoś jednak, jak mówiono, dostał grubszą łapówkę i zakupił nie samochody sanitarne, tylko zwykłe, bez żadnych specjalnych urządzeń, tak że o przewożeniu w nich rannych nie mogło być mowy. Były to Fordy i auta marki Case, elegantsze ale słabsze od Fordów. Amerykańskie fabryki miały na składzie dużo zwykłych wozów, a specjalne trzeba było dopiero budować, więc wolały pozbyć się tych, które miały. To, że ktoś za łapówkę pozbawił rannych środków transportu nikogo wielce nie dziwiło ani nie oburzało. Działo się to w czasie, kiedy sporo żołnierzy rosyjskich na froncie nie miało butów. Te które dostali, na papierowych podszewkach, dawno się rozleciały, nowe posyłano niby to na front całymi pociągami, ale te pociągi istniały też wyłącznie na papierze. Afer tego rodzaju było mnóstwo i mówiono o nich głośno.

Samochody, które przywoziliśmy ze stacji kolejowej, były wysmienite, lśniąco czarnym lakierem i wygodne. Ustawialiśmy je na polu przed garażem, bowiem nikt nie pomyślał o tym, że powinny mieć dach nad głową i w garażu nie było dla nich miejsca. Nowiuteńkie wozy mokły na deszczu. Od czasu do czasu jeździliśmy w nich na spacer z panienkami.

Byłem szoferem niedługo. Związek Ziemstw pewnego dnia obliczył, że ma za dużo szoferów, a za mało dezynfektorów — tych ostatnich nie w Moskwie, tylko w Połoczanach, głównej swojej bazie na froncie zachodnim, w pobliżu Baranowicz. Absolwentów kursów szoferskich powiadomiono, że jeżeli zgodzą się

pojechać do Połoczan, zostaną mianowani nie zwykłymi dezynfektorami, lecz starszymi dezynfektorami. Przyjąłem, wraz z kilkoma kolegami, tę propozycję i wyjechałem do Połoczan. Zanim jednak o mojej pracy tam opowiem, chcę powiedzieć kilka słów o Związku Ziemstw, bardzo potężnej organizacji, która odgrywała dużą rolę w historii ruchu liberalnego w Rosji, a później często decydującą rolę w rewolucji lutowej 1917 roku.

2.

Związek Ziemstw. — Baza w Połoczanach. — Obiady z generałem

Wszechrosyjski Związek Ziemstw zorganizowany został podczas wojny przez tzw. ziemstwa, istniejące w Rosji już od roku 1864. Ziemstwa powstały wkrótce po oswoobodzeniu chłopów w Rosji. Chłopi nie mieli wprawdzie na nie żadnego wpływu, ale wyrosły one z reform na owe czasy liberalnych. Ziemstwa, zgodnie z ich ustawą, zajmować się mogły wyłącznie sprawami lokalnymi w tej czy innej guberni. Budowały drogi, pomagały chłopom walczyć z pasożytami na polach, itp., ale z czasem funkcje ich uległy rozszerzeniu: ziemstwu pozwolono budować szkoły i biblioteki, prowadzić kursy dla rolników, a w latach głodu organizować akcję ratowniczą. Jeszcze później ziemstwa walczyły z epidemiami, budując szpitale, szczepiąc ospę i posyłając na wieś lekarzy. Rząd carski tolerował działalność ziemstw, kiedy nie mógł się obejść bez organizowanych przez nie akcji ratowniczych, ale poza tym ziemstwa zwalczał i ograniczał ich działalność, ponieważ skupiała się w nich liberalna, a często i rewolucyjnie nastrojona inteligencja pracująca: lekarze, agronomi, weterynarze, nauczyciele, itd.

W roku 1916 na czele Związku Ziemstw stał książę Georgij Lwow, późniejszy premier pierwszego rządu rosyjskiego po rewolucji lutowej. Lwow był dosyć typowym rosyjskim liberałem. Stosunek liberałów do nielegalnych partii rewolucyjnych w tym czasie charakteryzuje fakt, że w Związku Ziemstw pracowali na wysokich stanowiskach wielu członków tych partii, o czym Lwow z pewnością wiedział. W Centralnym Zarządzie Związku dość poważną rolę odgrywał Jurij Stieklów, późniejszy wieloletni redaktor moskiewskich *Izwestii*, jeden z najstarszych członków partii bolszewickiej. Innym wybitnym bolszewikiem, zajmującym w Związku Ziemstw wysokie stanowisko, był Arkadiusz Rozengolc, późniejszy Ludowy Komisarz Finansów. A. W. Frunze, stary bolszewik, późniejszy Komisarz Ludowy do spraw Woj-

skowych, kierował jednym z wydziałów Związku Ziemstw na froncie zachodnim*. Nie brakło też mienszewików i eserów. Z wybitniejszych eserów, z którymi się w roku 1916 stykałem, pamiętam P. Złobina, a z mienszewików J. Cejtlina. Wreszcie jednym z pełnomocników (dyrektorów) tej organizacji był S. W. Petlura, późniejszy „ataman Petlura”, a wówczas ukraiński socjal-demokrata.

Połączony był główną bazą Związku na froncie zachodnim. Związek wybudował tam kilka dużych szpitali polowych, prócz tego funkcjonowały w Połoczanach rozmaite ośrodki sanitarne, wysyłające oddziały lotne, itd.

Moja praca w Połoczanach polegała początkowo wyłącznie na oblewaniu wapnem rozmaitych nieczystości na torze kolejowym. Ale nie ja nosiłem wapno w wiadrze, tylko młodszy dezynfektor. Ja mu wskazywałem, gdzie ma wapnem chlusnąć, a on chlustał. Mógłby to naturalnie czynić z równym skutkiem bez moich wskazówek, ale na przeszkodzie stała jego niższa ranga. Tylko ja ponosiłem odpowiedzialność za to, gdzie należy chlustać, a gdzie się obejdzie. Po pewnym czasie nauczono mnie uśmiercać bakterie chorób zakaźnych przy pomocy formaliny. Bierze się lampę formalinową, stawia ją na środku pokoju który trzeba zdezynfekować, zakleja paskami papieru wszystkie szpary przy drzwiach i oknach i zapala lampę, która rozpyla formalinę 24 godziny. Później trzeba pokój długo wietrzyć, bo brzydko pachnie. Mikro-bów gołym okiem nie widać, więc nie wiem, czy formalina istotnie je zabija, ale mogę stwierdzić, że pcheł ani pluskiew bynajmniej. Skaczą i pełzają jak przed dezynfekcją, może nawet chyżej.

W odległości dwudziestu kilometrów od Połoczan przebiegała linia frontu, który był wtedy ustabilizowany. A wokół rozposcierały się wielkie sosnowe lasy. Kiedy kończył się jeden, to zaraz zaczynał drugi. Na ich styku leżały nędzne białoruskie wioski z tonącą w błocie lub śniegu ulicą i chałupami, w których podłogi zastępowała ubita ziemia. Mieszkańców ich dawno wysiedlono. W izbach mieszkali żołnierze, w trochę lepszych oficerowie. A w niektórych wsiach Związek Ziemstw urządził prymitywne łaźnie. Na rozżarzone kamienie wylewano wodę z wiadra, buchała para, przenikając aż do głębin ludzkiego wnętrza, a jak ktoś był przeziębiony albo mu dolegała inna niezbyt

* Stieklów zmarł na zesłaniu w czasie czystek. Rozengole, jeden z oskarżonych w moskiewskich procesach, został skazany na śmierć i rozstrzelany. Frunze zmarł w szpitalu po operacji, którą kazał wykonać Stalin wbrew opinii lekarzy w roku 1926.

chroniczna choroba, to się rzucił, goły i czerwony jak dojrzały pomidor, wprost z łaźni w śnieg. Podobno pomagało znakomicie.

Bielizna i mundury żołnierzy, podczas gdy wyparzali się w łaźni, podlegały odwszeniu. Wrzucano to wszystko do kotłów dezynfekcyjnych, nie do wody, tylko na blachę, opatrzoną dziurkami. Przez te dziurki przedzierała się ze świstem para, ponieważ pod blachą gotowano wodę. Ale mundury i bielizna, po takiej operacji, kurczyły się do tego stopnia, że pasowały tylko na lili-putów. Problemat rozstrzygnięto wskutek tego drogą kompromisu. Kocioł nagrzewano, ale tylko troszeczkę. A ja miałem baczyć, aby nic się nie kurczyło, co osiągałem, odpowiednio regulując temperaturę. A ponieważ lepsze są mundury zawzione niż żadne, wszyscy byli zadowoleni. Znowuż jednak, z uwagi na moją wysoką dezynfekcyjną rangę, nie ja wznicałem w kotłach ogień i nie ja wrzucałem do nich co należy. Robili to moi pomocnicy. Ja zjawiałem się tylko na inspekcję, jeżdżąc z jednej wioski do drugiej.

Jeździłem konno i bardzo te przejażdżki lubiłem. Nauczyłem się jeździć konno, dzięki mojej zarozumiałości, w ciągu jednego dnia. W Połoczanach było mnóstwo koni wierchowych. Kilku kolegów zaproponowało mi przejażdżkę. Zapytali mnie, czy umiem jeździć konno. Odpowiedziałem że umiem, bo mi się wydawało, że tego nie potrzeba się uczyć, a duma nie pozwalała mi się przyznać, że nigdy w siodle nie siedziałem. Przejażdżka trwała od rana do wieczora, później przez jakiś tydzień bolały mnie najważniejsze kości, ale stałem się entuzjastą konnej jazdy. A konie, czym pewniej trzymałem się na ich grzbiecie, tym większą darzyły mnie sympatią. Dowodem ich przyjaznych uczuć było to, że kiedy przewracały się na gołoledzi, wrzucając mnie do zasp śniegowych, to wstając czekały na mnie spokojnie na drodze, choć mogły sobie gdzieś pobiec, choćby dla żartu, pozostawiając mnie na pastwę losu. Zawsze się bałem że to zrobią, ale nigdy tak ze mną nie postąpiły. Natomiast zaufaniem, jak się okazało, darzyły mnie niesłusznie. Namówiłem kiedyś konia, żeby przeszedł na drugi brzeg zamarznętej rzeki. Lód był cienki i trzeszczał, koń obawiał się że nie wytrzyma ciężaru i cofał się, aż wreszcie powiedział sobie, że ja pewnie lepiej wiem i poszedł. Lód załamał się w samym środku rzeki, wyłowili konia i mnie żołnierze, stojący na drugim brzegu. Ściągnęli ze mnie zaraz wszystko co na sobie miałem i dali mi żołnierską bieliznę, mundur i szynel. Spacerowałem po okolicy w tych żołnierskich szatach czekając aż moje wyschną i natknąłem się na młodego oficera, który wystąpił z pretensją, dlaczego nie oddałem mu wojskowych honorów. Zapominając, że mam na sobie żołnierski szynel, po-

wiedziałem mu coś ordynarnego. W tej samej chwili uprzytomniłem sobie co go wprawiło w błąd, ale oficer uznał się już za pokonanego i, jak mówi Dostojewski, „zgasił się” (*stuszewał-sja*) i poszedł sobie. Armia rosyjska w tym czasie już się zaczęła rozkładać, oficerowie bali się żołnierzy, mając ku temu wszelkie powody. Zabójstwa oficerów zbyt gorliwych lub po prostu nie-lubianych zdarzały się często, zwłaszcza na froncie, gdzie je pozorowano ogniem z okopów nieprzyjacielskich, i uchodziły bezkarnie. Ale oficerów zabijano nie tylko na linii frontu. Nocowałem kiedyś we wsi, w pobliżu Smorgoni, w odległości kilku kilometrów od linii frontu. Przyjechałem tam konno na inspekcję łaźni, ale zaczęła się zamieć śnieżna i bałem się, że nie znaję drogi do Połoczan. Komendant wsi, podoficer, umieścił mnie w czystej chałupie na samym końcu wsi. Nocowałem tam sam. W środku nocy obudził mnie krzyk, ledwie zdążyłem wyskoczyć przez okno. Chałupa stała w ogniu, nie ulegało wątpliwości że została podpalona, bo płomienie objęły ją jednocześnie ze wszystkich stron. Dowiedziałem się na drugi dzień, że miał w niej nocować jakiś zniechęcony przez żołnierzy kapitan, który nie przyjechał z powodu zamieci, o czym widocznie nie wszyscy wiedzieli. Wychodzący rano z łaźni żołnierze spoglądali na mnie z zażenowanym uśmiechem, jeden z nich powiedział mi, że w nocy „zaszła omyłka”.

Władze wojskowe wiedziały oczywiście, jakie nastroje ogarniają żołnierzy i walczyły z rozluźnieniem dyscypliny, ale to było trochę tak jak z kotłami dezynfekcyjnymi: walczono raczej na niby, żeby można było powiedzieć że coś się robi, pół na pół. Pewnego dnia zawiadomiono na przykład wszystkich starszych dezynfektorów, że nie wolno im korzystać z kuchni żołnierskich. Związek Ziemstw był organizacją para-militarną, chodziliśmy wszyscy w mundurach wojskowych, ale podział na żołnierzy i oficerów był czysto formalny. Wszyscy, otrzymujący pobory, odpowiadające poborom oficerskim w armii, uważani byli za oficerów, a więc i ja również. Związek Ziemstw miał niby to swoje własne epolety, ale nikt ich nie nosił, bo wyglądały z daleka jak generalskie (bardzo szeroki srebrny pasek bez gwiazdek) i wywoływały wskutek tego śmiech. Sprawa naszych epoletów była wciąż gdzieś debatowana, ale nigdy jej nie rozstrzygnięto. Nosiliśmy epolety oficerów piechoty, bo jakies trzeba było nosić, zwykle z jedną gwiazdką, to znaczy oficerów najniższej rangi. I jadaliliśmy najczęściej z żołnierzami, przydzielonymi do Związku Ziemstw z armii, w żołnierskich kantynach.

Władze postanowiły położyć temu kres. W pobliżu Połoczan,

w jakimś ocalałym dworku, mieścił się sztab większej jednostki wojskowej, nie pamiętam już, czy pułku czy dywizji, z autentycznym generałem na czele. Generał, w celach wzmocnienia dyscypliny, zażądał, aby wszyscy bez wyjątku „panowie oficerowie” z naszej bazy w Połoczanach jadali obiady w baraku, gdzie urządzono kasyno oficerskie. Przyjeżdżałem więc tam konno, w spodniach *galife* (największy szyk polegał na tym, aby były bardzo szerokie u góry i bardzo ciasne u kolan) i z ostrogami przy butach, i to nie zwykłymi, lecz s *malinowym* *zwonom*, to znaczy brzęczącymi jak malina. Ostrogi musiał mieć każdy oficer, jeżdżący konno. Po wejściu do baraku należało stać przy ścianie, czekając aż się zjawi generał. Na jego widok stawało się na baczność, generał łaskawie się uśmiechał, adiutant podsuwał mu krzesło i generał siadał. I my też.

Po krótkiej chwili milczenia, jeszcze zanim wjeżdżały na stół wazy z zupą, generał zaczynał mówić. Ludzie wyższej rangi zawsze i wszędzie korzystają z tego, że inni muszą ich słuchać. Generał mówił bez przerwy, milknąc tylko z rzadka żeby się nie zakrztusić kartoflem, ale jeśli ktoś próbował z tego skorzystać, połykał natychmiast wszystko co miał w ustach i znowu zabierał głos. Mówił zwykle o sobie. Jak to było na postoju tam i tam, kiedy był jeszcze pułkownikiem, jak się rozwijała, pod jego dowództwem, bitwa tu i tu. Jeśli komuś udało się wtrącić taką choćby niewinną uwagę, że zaczął padać deszcz, generał wyraz „deszcz” traktował jak hasło do ataku. „Deszcz?”, wołał, „pan pewnie chciał powiedzieć deszczyk? Bo deszcz, największy deszcz, jaki kiedykolwiek widziałem, padał wtedy i wtedy, kiedy nasz pułk szykował się do wymarszu na manewry tam i tam”.

Któregoś dnia generał przyszedł w specjalnie dobrym nastroju. Zawsze był zadowolony z siebie, ale tego dnia bardziej niż zwykle. Przypomniało mu się, że krótko przed wojną dowodził pułkiem, kwaterującym w jakimś miasteczku, zamieszkałym głównie przez Żydów. Było to w zimie, oficerowie mieszkali w żydowskich domach i skarżyli się, że ich gospodarze za mało palą w piecach. Generał napisał więc wezwanie, które sobie schował na pamiątkę i przyniósł do kasyna, żeby je nam przeczytać. Było ono skierowane do Żydów i zaczynało się od słów „Panowie Żydzi!”. Generał zwracał uwagę, że niedostateczne opalenie domów, w których mieszkają oficerowie, szkodzi zdrowiu tychże. „Rozkazuję”, napisał, „aby temperatura w mieszkaniach panów oficerów wynosiła co najmniej 13 stopni ciepła, a czy Celsjusza czy też Réaumura, to już wasz żydowski interes”.

Frunze i inni. — Strajk w pasie przyfrontowym. — Rozmowa z księciem Lwowem

Codziennie krótko przed północą z Połoczan wyruszał do Mińska pociąg towarowy Związku Ziemstw z jednym wagonem drugiej klasy. Odległość wynosiła tylko sto kilometrów, ale pociąg szedł w jedną stronę około czterech godzin i z powrotem tyleż, wracając do Połoczan o ósmej rano. Pociąg przywoził produkty i lekarstwa dla naszej bazy. Regulował jednocześnie, względnie umożliwiał, życie seksualne jej mieszkańców, a to dzięki owemu wagonowi drugiej klasy, z którego oczywiście w Mińsku nikt nie wysiadał. W Połoczanach spało się bowiem w ziemiankach, ciepłych i dosyć czystych, tylko że ciasnych, gdzie łóżka polowe stały rzędem jedno obok drugiego. A w naszej bazie było dużo sióstr miłosierdzia i pielęgniarek ze szpitali. Nie cieszyły się one dobrą reputacją, kursowało o nich mnóstwo dowcipów, jak na przykład taki, że prędzej *zachodzą*, niż przyjeżdżają na miejsce przeznaczenia. Ale ta zła reputacja była trochę przesadzona. Nie wiem jak było gdzie indziej, ale w Połoczanach rozpasanych obyczajów w dziedzinie seksualnej nie było. Nie było także pijaństwa.

Piszę o tych aspektach życia w Połoczanach dlatego, że przypominając sobie mój tam pobyt nie widzę w tej dziedzinie niczego, co wskazywałoby na zbliżającą się rewolucję. Rozkład obyczajowy zwykle ją w historii zwiastuje. Rasputin, który w tym czasie mianował i wyrzucał ministrów, cieszył się prawdopodobnie względami carycy oraz licznych dam dworu, ale to się działo w wyższych sferach i splendor tych igraszek przesadzili z pewnością twórcy skomponowanych znacznie później filmów i sztuk teatralnych. O Rasputinie mówiono, ale o rewolucji, która przeciw wybuchnęła niespełna rok później, nikt nie mówił i nikt się jej nie spodziewał.

Nie oczekiwali jej również, w każdym razie w najbliższym czasie, członkowie i sympatycy nielegalnych partii socjalistycznych. Ale i pracowników niższych stopni, takich jak ja, należących do tych partii, było tak wielu, że mówiło się „towarzyszu” — rok przed rewolucją — do kolegów, przypuszczając, zwykle słusznie, że albo należą do jednej z partii rewolucyjnych, albo przynajmniej zajmują stanowisko negatywne w stosunku do caratu.

Mówiłem już o M. W. Frunzem i A. P. Rozengolcu. Pierwszy z nich nosił zresztą wówczas inne nazwisko: nazywał się Michaj-

łów. Nie wiem które z jego dwu nazwisk było prawdziwe, ale przypuszczam że Frunze. Był on, o ile pamiętam, rumuńskiego pochodzenia, a frunze po rumuńsku oznacza liść.

Posyłano mnie od czasu do czasu do Mińska w sprawach służbowych. Spotykałem się tam z Frunzem i Rozengolcem. Obaj wiedzieli, że byłem w Polsce członkiem kółka młodzieżowego, kierowanego przez SDKPiL i dawali mi czasami polecenia, nic wspólnego z moją dezynfektorską pracą nie mające. Jedno z nich doprowadziło do grubszej awantury. A było to tak:

Pewnego dnia Frunze opowiedział mi, że do jakiejś miejscowości w pobliżu Połoczan przybyła z głębi Rosji artel cieśli i robotników. Było ich około pięćdziesięciu, przeważnie niepiśmiennych chłopów.

Frunze polecił mi zapoznać się bliżej z tymi ludźmi i dał mi do pomocy dwóch studentów, pracowników bazy w Połoczanach. Jeden był sanitariuszem, drugi szoferem, z tych samych kursów co i ja. Obaj byli sympatykami partii bolszewickiej.

Poczęliśmy jeździć w trójkę do arteli wieczorami, czasem ciężarówką, czasem konno. Pisaliśmy cieślom listy do rodzin, a kiedy zapoznaliśmy się z nimi bliżej, napisaliśmy, na ich prośbę podanie do władz wojskowych, dla których budowali baraki. Podanie, w którym domagali się oni lepszego wyżywienia i podwyższenia zarobków, nie odniosło skutków. Członkowie arteli poczęli się wówczas zastanawiać, czy ogłosić strajk.

Rozmawialiśmy z nimi na ten temat, ale raczej ogólnikowo. Frunze kazał nam pomagać im, ale do strajku nie namawiać, bo nie mieli pieniędzy i na długi strajk nie mogli sobie pozwolić. Ale artel — pamiętam, że dosyć dla nas niespodzianie — zastrajkowała. Wywarło to na mnie wrażenie tym większe, że jej członkowie byli mało rozwinięci, nie tylko politycznie, ale w ogóle. W swoich ziemlankach, obok świętych obrazków, mieli wycięte z magazynów portrety Mikołaja Drugiego. Jeden z nich pytał mnie kiedyś, czy to prawda że Rasputin jest aniołem, który, jeśli chce, staje się niewidoczny i którego zesłał na ziemię Pan Bóg „dla kontroli”.

Baza w Połoczanach była administracyjnie podporządkowana Dowódcy Mińskiego Okręgu Wojennego, którym był generał-baron von Trautenberg. Takich zruszczonych Niemców-generałów było w armii rosyjskiej, jak i w czasie wojen napoleońskich, bardzo wielu.

Strajk w pasie przyfrontowym uznany został za sprawę tak poważną, że doniesiono o niej generałowi-baronowi. Zostało zarządzone śledztwo. Wykryto szybko i bez trudności — ktoś z członków arteli musiał to wypaplać — kto w arteli bywał.

Ale dowodów naszej winy, tzn. tego, że wywołaliśmy strajk, nie było. Władze wojskowe zabroniły nam jednak pracować i nawet przebywać w pasie przyfrontowym. Generał-baron podpisał takie rozporządzenie, a myśmy je opatrzili swoimi sygnaturami, na znak, że je nam zakomunikowano. Odesłano nas do Moskwy, gdzie nasze dalsze losy miał rozstrzygnąć sam książę Lwow, który też uważał sprawę za dostatecznie ważną żeby się nią zająć osobiście. Strajk, nawiasem mówiąc, artel wygrała.

W Moskwie dowiedziałem się, że nie aresztowano nas tylko dzięki wstawiennictwu tegoż księcia Lwowa, któremu zależało na zatuszowaniu tej całej historii, bo aresztowanie pracowników Związku Ziemstw mogło Związkowi zaszkodzić. Lwow rozmawiał z każdym z nas oddzielnie w swoim gabinecie w Głównym Zarządzie Związku Ziemstw przy Łubianskiej Płoszczy (Plac Łubiański).

Rozmowę z nim dobrze pamiętam. Lwow przypatrywał mi się długą chwilę, a później zapytał:

— Bolszewik? Mienszewik? Es-er?

— Wasza Książęca Mość nie oczekuje z pewnością odpowiedzi na to pytanie, odrzekłem.

— Pewnie że nie, roześmiał się Lwow.

I tonem już bardziej służbowym dodał, że przejrzał moje *diето*, z którego wynika, że ukończyłem kursy szoferskie. Z jakiej racji zrobiono mnie dezynfektorem? Jeżeli mi to odpowiada, mogę wrócić do mojego poprzedniego zawodu, ale nie w Moskwie, tylko w Pskowie.

— Zostaniecie przydzieleni do naszej Północnej Kolumny Samochodowej. Mam nadzieję, że nie będę miał z wami więcej kłopotów. Starajcie się wystrzegać konfliktów z władzami wojskowymi i powiedzcie waszym politycznym przyjaciołom, że ich też o to proszę.

Ukłoniłem się sztywno i dumnie, ale w milczeniu, co mogło oznaczać, że albo przyjąłem do wiadomości jego prośbę albo nie. Wkrótce wyjechałem nowiutkim Fordem do Pskowa, wraz z innym szoferem, który właśnie ukończył szkołę przy Politechnice. Jechaliśmy bez przygód z Moskwy do Piotrogradu, prowadząc wóz na zmianę. Za Piotrogradem samochód nagle stanął. Ani on ani ja nie wiedzieliśmy dlaczego. W pobliskiej wsi nie znaleźliśmy koni, ale znaleźliśmy dwa rosłe woły. Ciągnęły nasz samochód po szosie, aż się przytrafił wojskowy wóz, jadący w przeciwnym kierunku. Prowadzący go żołnierz podniósł maskę naszego Forda, spojrzął na nas pogardliwie i powiedział, że karburator jest zatkany. Nie miałem powodu w to wątpić. Woły

wróciły do domu, a ja z moim towarzyszem dojechałem tryumfalnie do Pskowa.

Pracowałem tam krótko, prowadząc ciężarówkę. Zbliżał się początek nowego roku szkolnego. Ojciec, powołując się na naszą umowę, domagał się, żebym wstąpił do ostatniej klasy szkoły średniej w Moskwie. Napisałem mu, że po głębszym i dojrzałym namyśle to właśnie postanowiłem zrobić. W końcu lata 1916 roku wyjechałem do Moskwy.

4.

Moskwa. — Wuj Dionizy. — Śmierć wuja Bernarda. — Olenka

Ośmioklasowa Szkoła Realna W. Giżyckiego, ewakuowana z Warszawy w roku 1915, mieściła się w Strieleckim Zaułku, w pobliżu ulicy Pokrowki. Stawiłem się u jej dyrektora wkrótce po przyjeździe. Miałem na sobie mundur wojskowy ze spodniami *galife*, długie buty i szablę przy boku. Noszenie szabli było w Moskwie obowiązkowe. Patrole zatrzymywały chodzących bez szabli. Ostrogi przezornie zdjąłem. Poszedłbym w ubraniu cywilnym, ale go nie miałem.

Dyrektor był trochę oszołomiony. Nie mógł oderwać oczu od mojej szabli. Przeczytał dwukrotnie świadectwo ze szkoły Wróblewskiego w Warszawie i zapytał:

— Czy pan chciałby znowu się uczyć?

Zadał to pytanie żeby zyskać na czasie. Powiedziałem mu chwilę przedtem, że pragnę się uczyć. Ale peszył go mój wygląd. Obejrzał dokładnie swoje paznokcie i wreszcie powiedział:

— Pana świadectwo jest w porządku, ale musi do mnie przyjść ktoś z pana rodziny. Inaczej sobie nie wyobrażam. Ojciec albo jakiś dorosły krewny. I do szkoły będzie pan musiał chodzić bez szabli.

Na to byłem przygotowany, ale myślałem że się obejdzie bez krewnych. Miałem w Moskwie krewnych, owszem. Ciotkę i wuja, o którym już mówiłem, i dodatkowo stryjecznego wuja który miał na imię Dionizy i odpowiedni do imienia wygląd i charakter. Postanowiłem zacząć od wuja Bernarda. Na dalszych stronicach tych wspomnień czytelnik zapozna się z wieloma postaciami historycznymi. Mój wuj Bernard bynajmniej do nich nie należał. Trochę dlatego — dla przeciwwagi — chcę go tu wspomnieć. Pewnie by się ucieszył gdyby za życia wiedział, że go ktoś uwieczni w druku.



Wuj Bernard był w Warszawie ekspedytorem. Miał przed pierwszą wojną biuro ekspedycyjne na Żelaznej, w pobliżu dworca towarowego. To nie była wysoka pozycja społeczna.

Starsza siostra mojej matki, jego żona, pochodziła z lepszej rodziny i miała na imię Henrieta. Takie imię obowiązuje i często onieśmiela. Moja ciotka władała językami. Wuj Bernard mówił tylko po polsku i robił czasami błędy, wskazujące na braki w wykształceniu. Nie wiem dlaczego ciotka za niego wyszła. W rodzinie nikt się z nim nie liczył, nikt go w żadnej sprawie nie pytał o zdanie, traktowano go tak jakby nie istniał, albo istniał niepostrzeżenie.

Odpowiedział mi kiedyś, jak się ciotce oświadczył. Stało się to, zdaje się, w Częstochowie. Opowieść dotyczyła właściwie nie samych oświadczyń, tylko kota, z którym się zetknął w drodze do domu po oświadczyinach. Miasto już spało, kiedy wracał do domu. Mieszkał na krańcu miasta, daleko, miają po drodze puste, słabo zabudowane ulice i place. Duży czarny kot zeskoczył gdzieś z gzymsu i poszedł za nim. Bernard przystawał, kot też się zatrzymywał i hipnotyzował go swoimi fosforyzującymi oczami. Kiedy mój wuj skręcał w inną ulicę, kot cichutko robił to samo. Nie miauczał ani nic, tylko szedł za nim, ale się do niego nie zbliżał. Było ciemno, nawet księżyc nie świecił, ulice oświetlały tylko rzadkie i mgławie gazowe latarnie. Ogarnął go wtedy strach. Strach przed kotem i przed skutkami tego, co zrobił. Jego oświadczyń zostały przyjęte, i teraz się bał, jak to będzie w tym małżeństwie. Zaczął płakać. „Nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Kiedy przyszedłem do domu, nie rozumiałem, co się ze mną stało. Pewnie płakałem ze wzruszenia. Pewnie oświadczyń tak mnie zdenerwowały. A może ze strachu przed kotem. Tylko nie opowiadaj tego nikomu, bo się będą śmiali”.

Nikomu nie opowiedziałem o czarnym kocie. Byłem w wujem Bernardem w przyjaźni. Często uśmiechał się do mnie porozumiewawczo za plecami ciotki albo popisывał swoją specjalną sztuką. Polegała na tym, że śmiał się zupełnie bezgłośnie i nagle błyskawicznie zmieniał wyraz twarzy na całkiem poważny. Ciocia Henrieta nie lubiła tego. „Przestań błaznować”, mówiła sucho. Nielubiła też, kiedy Bernard podśpiewywał sobie przy szachach. Ale w tej sprawie wuj nie szedł na żadne ustępstwa. Uważał podśpiewywanie za swój przywilej, zdobyty po latach ciężkich walk, jeden z niewielu swoich praw i przywilejów.

Grał doskonale w szachy. Kiedyś, w Warszawie, brał udział w turniejach. W Moskwie nie miał z kim grać więc czasami grał ze mną, bijąc mnie bez najmniejszych trudności. I otóż

przy szachach mruzczał sobie różne melodie, a raczej strzępy melodii, powtarzając te same bez końca. Repertuaru nigdy nie zmieniał. Składał się z kawałków piosenki „Pani tak tańczysz jak żonka ma” („Rozwódka”), „Cesarzu, cesarzu” („Krysia Leśniczanka”) i „Cri-Cri” (operetka tejże nazwy). Czasami uzupełniał tę muzyczną wiązkę rosyjską „Gajda trojką, śnieg puszystyj”. Wszystkie te utwory wymrukiwał bez słów. Kiedy zrobiłem zły ruch, nucił głośniejsze i o całą oktawę wyżej. Oznaczało to najczęściej, że za chwilę dostanę mata. Prośby ciotki żeby przestał śpiewać, bo fałszuje, zbywał milczeniem, lub też, na znak protestu, podśpiewywał sobie głośniejsze. Fałszował istotnie, ale tylko trochę.

Kiedy go poprosiłem, żeby poszedł ze mną do dyrektora szkoły, wuj Bernard wyraził natychmiast zgodę. Tylko że to mało znaczyło. Zawsze się na wszystko zgadzał, trudniej było z wykonaniem. Ciocia Henrieta, zwana w skróceniu Jecią, zaraz mi powiedziała żebym na niego nie liczył, bo się nigdy nie wybierze. Poproś lepiej Dionizego, rzekła. Bernard za jej plecami zrobił straszliwą minę i natychmiast ściągnął rysy jak stangret rozbrykane konie. Powiedział że stanowczo pójdzie jak tylko będzie miał chwilę czasu. Nic w Moskwie nie robił, zupełnie nic, tylko codziennie siedział niedaleko hotelu, w którym z ciotką mieszkał. Widziałem go tam wiele razy. Siedział z dłońmi na kolanach i patrzył na ludzi, wsiadających do tramwaju. Ale do rozpoczęcia roku szkolnego brakowało jeszcze kilku tygodni, nie było powodu do pośpiechu.

Grałem więc z wujem Bernardem w szachy prawie codziennie, bo także nie miałem nic do roboty. Hotel nazywał się Victoria, był na Twerskiej, głównej ulicy miasta, która teraz nazywa się ulicą Gorkiego, ale nie na eleganckim jej odcinku w centrum miasta tylko na samym końcu, w pobliżu dworca kolejowego, z którego kiedyś wyruszały pociągi do Warszawy. Teraz dochodziły tylko do Mińska. Hotel nie wynajmował pokoiów na dni ani tygodnie, lecz tylko na miesiące. Kiedy grałem z wujem w szachy, ciotka siedziała przy oknie w fotelu z szydełkową robotą. Nosila stalowe okulary, jej obfite siwe włosy przybierały odcień błękitny. Miała dobre serce, słynęła w rodzinie z dobrego serca. W 1905 roku, podczas rewolucji, przywieziono mnie do Warszawy, tam miało być bezpieczniej. Chorowałem wtedy, ciotka pielęgnowała mnie, przesiadując nieraz przy moim łóżku całą noc.

Wuj Bernard zanucił „Trojkę” niemal ze dyszkantem, uniósł do góry wieżę i upuścił ją. Wieża upadła na szachownicę, przewracając kilka figur. Wuj Bernard opadł na krzesło i wydał

jeden tylko dźwięk, jakby zdziwione chrząknięcie. Głowa zwałała mu się na piersi.

Pobiegłem po doktora Goldmana, łódzkiego uchodźcę, który wuja leczył. Mieszkał tuż obok, siedział przy kolacji, na talerzu dymiła się jajecznicą. Doktor Goldman starannie wytarł usta serwetką. Miał tłuste, duże ręce, obrośnięte rudymi włosami. Zabrał zniszczoną torbę z czarnej skóry. „Twój wuj miał wadę serca”, powiedział mi po drodze, „i pewnie już nie żyje”.

Wuj Bernard siedział jeszcze w krześle. Doktor Goldman kazał ciotce podnieść rękaw marynarki Bernarda i, nie dezynfekując igły, zrobił mu dożylny zastrzyk.

— Kamfora, proszę kochanej pani. Zawsze w takich razach wstrzykujemy kamforę, dla porządku, bo już nic nie może pomóc...

Tak umarł mój wuj. Niepoważnie, jak owad, nie jak człowiek. Nazajutrz jego ciało przeniesiono do domu pogrzebowego, a w pokoju, przed wieczorem, siedzieli goście, popijając kawę. Ciotka siedziała w fotelu, w pewnym oddaleniu od stołu. Goście mówili mało, przyciszonym głosem jakby bali się kogoś zbudzić. O Bernardzie nie mówili wcale. Był wśród nich Dionizy, ten mój przyszywany stryjeczny wuj, całkowicie łysy, który nic nie mówił, tylko uśmiechał się boleśnie. Był także mój kuzyn, syn wuja Bernarda imieniem Stefan, starszy ode mnie o jakieś 15 lat. Przyjechał właśnie z Piotrogradu, pracował tam jako inżynier. Kiedy wracałem z Pskowa przez Piotrogród, zaprosił mnie na obiad do eleganckiej francuskiej restauracji na Newskim Prospekcie. Mówił że stale tam jada. Prawdopodobnie przesadzał, restauracja była niesłychanie droga, ale dobrze mu się powodziło, to nie ulegało wątpliwości. Kawę gotowała na przymusie w sypialni i przynosiła gościom panna Oleńka, mieszkająca w tym samym hotelu. Nie umiała ani słowa po polsku, moja ciotka nie mówiła po rosyjsku, ale się jakoś ze sobą dogadywały i przyjaźniły. — Naturalnie — powiedziała kiedyś ciotka Dionizemu — przyznaję ci rację, w Warszawie nie mogłabym jej u siebie przyjmować, ale tu, na obczyźnie, gdzie mieszkamy tylko chwilowo... — Wuj Dionizy nic nie odrzekł, tylko się smętnie uśmiechał, tak samo jak teraz. Oleńka, odrobinę za pulchna, z porcelanowymi oczami wyblakło-niebieskiego koloru, była utrzymanką oficera moskiewskiego garnizonu.

Mój kuzyn poznał się z nią tegoż dnia. — Niechże pani usiądzie — powiedział jej — wciąż pani biega z kawą, niech pani choć trochę odpocznie. — Oleńka podziękowała mu uśmiechem, krótkim i dystygowanym, miała dobre maniery, wiedziała jak się zachowywać. Usiadła przy stole, ale nie podniosła oczu. Miała cały czas spuszczone oczy.

Siedziałem obok niej. Przysunęła mi filiżankę kawy, chciałem do niej włożyć cukier, kawałek cukru upadł na dywan. Pochyliłem się szybko żeby go podnieść i zobaczyłem że mój kuzyn Stefan trzyma rękę na nodze Oleńki, trochę powyżej kolana.

5.

Szkoła w Moskwie. — Dwóch Łazowertów. — Trzydniowy bojkot w szkole

Szkołę otwierano za tydzień. Zdecydowałem się wskutek tego na krok stanowczy. Wiedziałem już wtedy, że jak się czegoś od kogoś chce, to nigdy nie należy zaczynać od ustępstw. Druga strona gwizdże na nasze ustępstwa. Wzmagają tylko jej podejrliwość. Lepiej iść ostro do celu, na całego, bez żadnych kompromisów. Miałem już cywilne ubranie. Ale umyślnie poszedłem do dyrektora szkoły w mundurze, przy szabli z ostrogami. Bezkompromisowo. Niech się krzywi. Poszedłem sam i powiedziałem mu, że nie mam w Moskwie krewnych, którzy mogliby przyjść. Chcę się uczyć, moje papiery są w porządku, rodzice mieszkają w Mińsku, mogą najwyżej napisać list. Więc niech już będzie list, leciutko westchnął dyrektor.

Nie żałował pewnie, że mnie przyjął do szkoły. Mam teraz przed sobą, gdy to piszę, moją maturę, która się gdzieś zachowała dziwnym trafem. Figurują w niej wyłącznie piątki i czwórki. Dziesięć czwórek i sześć piątek. Piątki z prawoznawstwa i kosmografii, czwórka z rachunku różniczkowego. Nie mam najmniejszego pojęcia, na czym polegały lekcje prawoznawstwa i kosmografii, przysiągłbym, gdyby nie ten dokument, że się nigdy takich przedmiotów nie uczyłem. O rachunku różniczkowym mogę powiedzieć więcej. Matematykę wykladał w mojej moskiewskiej szkole profesor Jansen, późniejszy dyrektor warszawskiego Obserwatorium. Nie rozumiałem oczywiście nic z jego wykładów. Ale miałem tak rozwiniętą pamięć słuchową że mogłem, na ochotnika, nieźle powtórzyć przy tablicy to co mówił. Robiłem to, ku uciesze znających mój sekret kolegów, tak często, że uzyskałem sławę świetnego matematyka. Zbierałem czwórki i piątki za nic, niejako z góry, na kredyt. Tego samego papuziego sposobu używałem jeśli chodzi o inne przedmioty. Uważany byłbym wskutek tego za dobrego ucznia i na tym jechałem. Myślę zresztą, że otrzymałem świadectwo dojrzałości tylko dzięki rewolucji. Z powodu rewolucji lutowej w 1917 roku egzaminów maturalnych w szkołach nie było, stopnie stawiano na podstawie

stopni rocznych. Gdyby nie ta okoliczność, moja renoma dobrego ucznia ulotniłaby się prawdopodobnie ze świstem jaki powoduje powietrze, uciekające z przebitej opony samochodowej.



Wkrótce po przyjęciu mnie do szkoły nawiązałem kontakt z towarzyszem Łazowertem, jednym z wybitniejszych działaczy SDKPiL na terenie Moskwy. Nie pamiętam jego imienia, ale dobrze pamiętam jak wyglądał. Był bardzo niskiego wzrostu i nosił długą, kanciastą brodę. Dalsze jego losy nie są mi znane, wiem tylko że podczas wojny polsko-sowieckiej był komisarzem politycznym jednej z sowieckich dywizji.

Spotykałem się z Łazowertem w polskiej stołówce przy ulicy Łubianskij Projezd, w pobliżu Placu Teatralnego. Stołówkę, mieszczącą się na pierwszym piętrze, utrzymywał Polski Komitet Pomocy Ofiarom Wojny. Jadałem tam codziennie kolację, a w niedziele także obiad. Łazowert, który zawsze przemierzał salę jadalną szybkim krokiem, z ręką w kieszeni spodni, rzucając ostre spojrzenia na prawo i na lewo, wyznał mi, że ma wielkie kłopoty z powodu swojego nazwiska. Pytają go ciągle, czy jest krewnym słynnego wówczas w Rosji doktora Łazowerta. Ktoś, pewnie w celach ośmieszenia go, rozpuścił pogłoskę, że doktor Łazowert jest jego rodzonym bratem. Ów doktor Łazowert był osobą bardzo wpływową. Pochodził podobno również z naszych stron, lecz, nie bacząc na nazwisko i wyznanie, został podczas wojny powiernikiem Puryszkiwicz, czołowego rosyjskiego antysemitę i reakcjonisty, jak również przyjacielem kilku rosyjskich arystokratów, między innymi księcia Feliksa Jusupowa, męża siostrzenicy cara. Dwaj wyżej wymienieni zamordowali później w pałacu Jusupowa Rasputina, przy udziale doktora Łazowerta, który sporządził ciastka nadziewane cyjankiem potasu. Rasputin spożył je, ale nie umarł, tylko zaczął tańczyć i śpiewać, wobec czego książęta, których prócz Jusupowa było jeszcze kilku, bili go po głowie czym się dało, aż doktor Łazowert stwierdził zgon. Dla pewności wpakowali Rasputina do worka, który wrzucili do Newy. Otóż towarzysz Łazowert przysięgał że nie ma z tamtym Łazowertem nic wspólnego, co niewątpliwie odpowiadało prawdzie.

Łazowert wprowadził mnie do kółka samokształceniowego, w którym było kilku studentów-Polaków z Uniwersytetu Moskiewskiego oraz dwóch kolegów z mojej klasy w szkole: Wojtyga (imienia nie pamiętam) i Stefan Lent, który był później w Warszawie adwokatem i w ruchu socjalistycznym nie brał udziału.

Wojtyga, zdaje się, był później pepesowcem. Kółek młodzieżowych, prowadzonych przez SDKPiL było wówczas w Rosji kilka, z jednym z nich, petersburskim, mieliśmy dosyć ścisły kontakt (nowa nazwa — Piotrogród — się nie przyjęła, mówiono po dawnemu Petersburg albo Piter). Z członków tego petersburskiego kółka, przyjeżdżających do Moskwy, pamiętam Łaganowskiego, Antoniego Korejszę, Bronisława Bortnowskiego i Kulikowskiego, który później zmienił nazwisko na Olski. Spotykałem się z nimi w późniejszych czasach, kiedy odgrywali dosyć wybitne role już jako komuniści sowieccy *). Wszyscy zginęli w czystkach w latach trzydziestych.

Nasze kółko było podzielone, ze względów konspiracyjnych, na dwie grupy, zbierające się kolejno u któregoś z nas, tak że w zebraniach brało zwykle udział nie więcej niż pięć osób. Czasem jednak całe kółko, wraz z Łazowertem, spotykało się u mnie. Mieszkałem już wtedy tuż obok szkoły, przy ulicy Ljalin Perieułok, odnajmując pokój u zruszczonego Niemca nazwiskiem Hoffman, zamożnego właściciela kilku aptek, który wycofał się już z interesów i przebywał zwykle na swojej „dacz” w Małachówce pod Moskwą. Wynajął mi pokój, żeby nie zostawiać swojego moskiewskiego mieszkania bez dozoru. Wiedząc że mówię z żoną po niemiecku, przemówiłem kiedyś do niego w tym samym języku, uzyskując w ten sposób jego całkowite zaufanie. Znajomość niemieckiego była w jego pojęciu równoznaczna z przynależnością do wyższego świata. Hoffman pozwolił mi korzystać z całego mieszkania podczas jego i żony nieobecności i przyjeżdżał do Moskwy coraz rzadziej.

Skorzystałem z pozwolenia i obszerne mieszkanie Hoffmana — sześć czy siedem pokoi — stało się wkrótce dosyć znanym w Moskwie lokalem konspiracyjnym. Nocowali w nim i często po kilka dni mieszkali esdecy i pepesowcy. Gościłem również peowiaków, najczęściej niejakiego Wiśniewskiego (nie wiem, czy to było jego prawdziwe nazwisko). Stosunki były wówczas tego rodzaju, że członkowie polskich organizacji nielegalnych pomagali sobie wzajemnie w sprawach noclegów.

Na posiedzenia kółka mogło do mnie przychodzić więcej ludzi także i dlatego że stróż domu, jak również sąsiedzi, byli przekonani że zajmujemy się wyłącznie grą w karty. Mieszkanie cieszyło się zresztą karcianą reputacją nie całkiem bez powodu. W pewnym okresie kilku kolegów i mnie samego ogarnął szal karciany.

* Polacy w Rosji, ani w rozmowach ani w publikacjach, nie używali wówczas terminu „radziecki”, używanego obecnie w Polsce. Będę więc nadal pisał „sowiecki”, a nie „radziecki”, bo to bardziej odpowiada czasom, w których ta książka się dzieje.

Graliśmy nieraz w karty całymi nocami, zawsze w pokera. Wygrywane i przegrywane sumy były nikłe. Nikt z nas innymi nie rozporządzał, pociągała nas nie wygrana, tylko sama gra. Ten karciany obłęd szybko minął.

Wśród uchodźstwa polskiego w Moskwie rej wodzili endecy. Propagowali całkowite i entuzjastyczne podporządkowanie się Rosji, w nadziei że car, kiedy wygra wojnę, da Polsce autonomię. Posyłałi do Petersburga wiernopoddańcze depesze, zdumiewająco przypominające znane oświadczenie Ribbentropa i Mołotowa po zawarciu paktu przez Hitlera ze Stalinem. „Krew, przelana przez synów Rosji i Polski”, napisali w jednej z tych depesz, stanie się rękojmią nowego życia i przyjaźni dwóch słowiańskich narodów”. W odpowiedzi na to car podziękował „mieszkańcom Królestwa za ich niezachwianą miłość i oddanie jemu i Rosji*”.

Orientację pro-rosyjską popierali również kierownicy obu polskich męskich szkół średnich w Moskwie, wielu nauczycieli i chyba większość uczniów. Kierownicy urządzili wielkie zebranie w sali gimnastycznej w naszej szkole. Zaprosili na nie wszystkich uczniów dwóch najstarszych klas z obu szkół. Na zebraniu odczytana została rezolucja, potępiająca Legiony i piętnująca Piłsudskiego, jako zdrającą narodu.

Wypowiedziałem się przeciwko rezolucji i propozycji, aby została przyjęta jednogłośnie przez aklamację. Powiedziałem coś w tym sensie, że ci, którzy popierają rząd carski, nie mają prawa sądzić tych, którzy walczą o niepodległość. Poparł mnie mój kolega Wojtyga i jakiś peowiak z tej innej szkoły. Nie pamiętam, co jeszcze powiedziałem podczas dyskusji która się wywiązała, ale musiało to być coś ostrego, bo rezultat zebrania był taki, że rezolucja została przyjęta ogromną większością głosów, ja zaś, za obrazę szkoły i kolegów, stanąć miałem przed sądem koleżeńskim mojej klasy. Odbył się on po kilku dniach. Zażądał, abym odwołał to co powiedziałem, co nie leżało w moim charakterze. Ukarano mnie więc trzydniowym bojkotem. Żaden z kolegów nie miał prawa rozmawiać ze mną w ciągu tego czasu. Postanowiłem wobec tego spędzić trzy dni w domu. Stefan Lent naruszył zakaz pierwszego dnia, na drugi odwiedziła mnie w domu duża grupa kolegów, na trzeci też. Mimo to bojkot wywarł na mnie wrażenie. Pierwszy raz społeczeństwo — bo to w jakiejś mierze było przecież społeczeństwo — uznało mnie za czarną owcę.

* Ustępy w cudzysłowie cytuję według materiałów, ogłoszonych przez prof. Wacława Lednickiego w jego „Wspomnieniach”. (Wyd. B. Świdorski, Londyn, 1967, tom II, str. 373).

Cała ta sprawa utkwiała mi w pamięci jeszcze z innego powodu. Stanowisko SDKPiL, dotyczące niepodległości Polski, jest ogólnie znane, wiadomo również że Lenin tego stanowiska nigdy nie podzielał*. O poglądach Lenina w tej sprawie nic pewnie wówczas nie wiedziałem, stanowisko SDKPiL było mi znane, ale mi nie odpowiadało. Nie pamiętam jak później, w sporze z Łazowertem, uzasadniałem swoje poglądy. Płynęły one prawdopodobnie z wrogości do rządu carskiego, który był przeciwnikiem widzialnym, namacalnym, codziennym. Odgrywały zapewne rolę także względy natury emocjonalnej. Legiony biły się o Polskę, podczas gdy emigracyjni przywódcy w Moskwie dopraszali się carskich łask.

Spór z Łazowertem toczył się na zebraniu naszego kółka. Łazowert powiedział, że zagadnieniem bardziej jeszcze zasadniczym niż sprawa niepodległości — co do której nie obowiązuje nas stanowisko SDKPiL, ponieważ nie jesteśmy jeszcze członkami tej partii — jest kwestia, czy w walce z endecją możemy łączyć się z piłsudczykami. — „Nigdy w życiu!” — wołał, podnosząc się na palcach. — „Piłsudczycy są bardziej niebezpieczni niż endecy, musicie to sobie zapamiętać!”.

Spór toczył się długo. Żaden z członków naszego kółka Łazowerta nie poparł.

6.

Revolucja lutowa. — Sprawność tłumy. — Spotkanie z Dzierżyńskim. — Róża Luksemburg i Marcin Kasprzak

Atmosfera w Moskwie wcale rewolucji nie zapowiadała. Miasto wyglądało tak jak zwykle, może tylko kolejki przed sklepami z żywnością były trochę dłuższe. Wymyślano na rząd, ale nikt nie przypuszczał, że Rosja jest na progu rewolucji. Działacze wszystkich partii politycznych, nie wyłączając bolszewików, przyznali zresztą później, że wybuchu rewolucji nie przewidzieli, że była ona całkowicie żywiołowa.

Opowiem kilka jej epizodów, to co widziałem na własne oczy. W ciągu kilku dni — nie pamiętam jak długo — nie chodziłem do szkoły, wszystkie szkoły zamknięto. Spędzałem całe dnie, do

* Warto tu może przypomnieć przemówienie Lenina, wygłoszone 12 maja 1917 roku: „Polscy towarzysze domagają się, abyśmy się wyrzekli wolności Polski, jej oddzielenia... Nic złego się nie stanie, jeśli Finlandia, Polska czy Ukraina oddzieli się od Rosji. Każdy, kto uważa to za zło, jest szowinistą” (Lenin, Dzieła, III Wydanie rosyjskie, tom 20, str. 275-278).

późna w nocy, na ulicach Moskwy. Zaraz pierwszego dnia byłem na Placu Teatralnym, gdzie stał w milczeniu tłum, prawie bez ruchu, jakby czegoś wyczekując. Na rogu Pietrowki i Placu Teatralnego jacyś ludzie szybko rozkleili dwa czy trzy afisze tej samej treści, jeden obok drugiego. Generał Szeremjakow — zdaje się że się tak nazywał — obwieszczał w tych afiszach, że policja strzelać będzie bez uprzedzenia do grup na ulicach, liczących więcej niż trzy osoby. Dalej było coś o niemieckich agentach, którzy wywołują rozruchy. Ledwo skończyłem czytać ten afisz, tłum poniósł mnie w kierunku Teatru Wielkiego, krzyżąc i świszcząc. Zobaczyłem wysokiego, siwego generała w rozpiętym szynelu, bez czapki, którego prowadziło dwóch żołnierzy, popychając go kolbami. Generał szedł szybko, nie podnosząc głowy. Był to ten właśnie Szeremjakow, komendant wojskowy Moskwy. W tłumie jakaś kobieta krzyczała, żeby go nie bić, inna zastąpiła mu drogę i plunęła mu w twarz.

Przedostałem się na Czerwony Plac*, gdzie tłum był rzadszy. Tu też ludzie stali, oczekując wypadków. Nastrój panował radosny, widziałem uśmiechnięte twarze, ale na niektórych malował się strach. Było cicho, rozmawiano zniżonym głosem, jak w kościele albo na cmentarzu. Nagle zjawiła się na Czerwonym Placu konnica, jeźdźców było może ze dwustu, jechali stępą, nie patrząc na nikogo. Tłum rozstępował się przed nimi w milczeniu. Mieli szable w pochwach i małe karabinki na plecach. Poczęli okrążać dużą grupę ludzi, w której się znalazłem. Było za późno żeby się wycofać, nikt zresztą nie próbował tego zrobić, wszyscy stali spokojnie. Po chwili ktoś zapytał jednego z żołnierzy, po co przyjechali. Tamten nic nie odpowiedział, tylko się krzywo uśmiechnął. Stałem tak blisko, że dotykałem mordu jego konia. Znowu ktoś postawił to samo pytanie, zaczęły się rozmowy żołnierzy z otoczonym tłumem, powolne, żartobliwe, obie strony wyczekiwały, co się stanie. Trwało to kilka minut, później jeden z żołnierzy zszedł z konia, a za nim inni. Rozległy się oklaski. Żołnierze przeszli, jak się wtedy mówiło, na stronę narodu. Odbędzie się to spokojnie, niemal że sennie, jakby wszystko było z góry ułożone. Ale tak nie było, żołnierze przyjechali żeby rozegnać tłum, jeszcze kilka minut przedtem byli gotowi do niego strzelać. Ścianka, dzieląca ich „tak” od „nie” musiała być nie-

* Czerwony Plac (*Krasnaja Płoszczad'*) nosi tę nazwę nie od czasu rewolucji, lecz od kilkuset lat. Słowo „krasnyj” nie znaczyło zresztą dawniej czerwony, tylko piękny (rosyjska krasota — piękno — krasawica, krasiwij itd. mają ten sam korzeń językowy). Tłumacze *Krasnaja Płoszczad'* na Czerwony Plac tylko dlatego, że tak już od dawna przekładają tę nazwę na inne języki, ale jest to, ściśle biorąc, tłumaczenie błędne.

skończenie cienka. Zeszli z koni sami pewnie jeszcze nie wiedząc, dlaczego to robią i że to zrobią i tak samo postąpiło miliony ludzi w całej Rosji, obalając carat. Nie umawiali się między sobą, ale jednocześnie ogarnął ich płomień buntu. Nikt jeszcze nie zbadał, kiedy i jak taki płomień powstaje, zmieniając dzieje świata*.

Tegoż dnia w wielopiętrowym, największym w Moskwie Domu Towarowym Miur i Meriliz widziałem scenę trochę podobną do tej, która się rozegrała na Czerwonym Placu. Zaczynał się strajk powszechny, ale wielki sklep był jeszcze otwarty. Widziałem jak wszedł jakiś człowiek, sam jeden, zatrzymał się przy wejściu, klasnął kilka razy w dłonie i krzyknął:

— Strajk! Wszyscy na ulicę!

Nie czekał nawet na rezultat swojego wezwania, tylko zaraz wyszedł, kierując się pewnie do innych sklepów. A sprzedawcy nie i kupujący, jakby tylko na niego czekali, byli już po chwili na ulicy, nikt nie oponował, nikt nic nie mówił. Sklep zamknięto.

Karność i jakaś specjalna sprawność zalegających miasto tłumów była w te dni zadziwiająca. Widziałem, jak pędzące samochody, pełne zbuntowanych żołnierzy, wpadały w tłum na jakiejś ulicy czy placu. Tłum rozsuwał się szybko i sprężyste, choć nikt nim nie dyrygował, nikt nie wydawał rozkazów. Tłum działał wtedy jak jeden człowiek, jeden organizm.

Tak samo sprawnie przepuszczał tłum mówców, występujących na ulicznych wiecach. Odbywały się one w wielu miejscach. Największe były przed pomnikiem Puszkina na szerokim bulwarze, który się nazywał Strastnoj (od pobliskiego klasztoru tej samej nazwy), w pobliżu Nikitskich Wrót i przed gmachem Rady Miejskiej. Mityngi zaczynały się rano i trwały do późnej nocy, a niektóre nigdy się nie kończyły, trwały bez przerwy całą dobę. Przemawiał każdy kto chciał, każdy mówił o tym co mu leżało na sercu, a jak się wygadał, to znikał w tłumie. Nikt na tych wiecach nie przewodniczył. Występowali żołnierze, studenci, robotnicy, inteligenci, bardzo często kobiety. Zdarzały się wystąpienia pogmatwane, mało zrozumiałe, ale nie było nudnych. Atmosfera na tych mityngach była podniosła, przyjacielska, można nawet śmiało powiedzieć, że braterska. Żadnego mówcy nie wy-

* Nosilem się kiedyś z zamiarem podjęcia badań które by wyjaśniły, choć w pewnej mierze, na zasadzie jakich impulsów i w jakich warunkach powstają żywiołowe ruchy społeczne. Nic z tego zamiaru nie wyszło, to co przeczytałem o psychologii mas i narodów mało mi dało, ale wydaje mi się, że punktem wyjścia mogłyby tu być studia nad odruchami warunkowymi mas, które to odruchy odgrywają prawdopodobnie większą rolę w postępowaniu mas ludzkich, niż jednostek.

śmiewano, żadnemu nie przerywano, choć niektórzy, przemawiając pewnie pierwszy raz w życiu, nie umieli sklecić kilku zdań i z pewnością, w innych warunkach, nie mogliby swoich przemówień zakończyć. Przed pomnikiem Puszkina występowała po południu kobieta, pewnie prostytutka, opowiadająca po pijanemu niestworzone historie o swoim dziadku, który opiekuje się nią z nieba (pijanych w tym czasie nie widziałem, ta kobieta była wyjątkiem). Publiczność śmiała się, ale krzyczała, żeby dać jej możliwość powiedzenia wszystkiego co chce.

Wiece studenckie odbywały się na Dziewiczym Polu, dalekim przedmieściu, gdzie było kilka instytutów naukowych i domów akademickich. Nasze kółko posłało mnie tam na jakieś zebranie, które mi się wydało zbyt akademickie, zbyt spokojne, nie odpowiadające wzburzonej atmosferze tych dni. Przemawiałem na tym zebraniu, nie wiem już w jakiej sprawie, ale więcej na Dziewicze Pole nie jeździłem. Wolałem żywsze wiece uliczne, na których byłem tylko słuchaczem i widzem.

Trochę mniejsze wiece odbywały się przed pomnikiem Skobieleva, obok hotelu Drezden. Któregoś dnia — było to na trzeci, może na czwarty dzień rewolucji — wszedł tam na zbitą z kilku desek trybunę człowiek bardzo blady i bardzo wychudły. Nosił pod paltem, które rozpiął, trykotową koszulę w czarne pasy. Ktoś wśród słuchaczy powiedział, że jest to koszula więzienna. Później się dowiedziałem, że takich koszul aresztanci nie nosili już od lat, że dawano im w więzieniach szare koszule z grubej bawełny.

Wygląd tego człowieka sprawiał duże wrażenie. Zrobiło się zupełnie cicho. Zaczął mówić, ale tak niskim głosem, że prawie nic nie można było usłyszeć. Poczęto się domagać, żeby mówił głośniejsz. Wypowiedział wtedy zdanie, które dobrze zapamiętałem:

— Proszę się przybliżyć, chciałbym żeby mnie słyszała cała cęła.

Nie od razu zrozumiał, dlaczego rozległ się śmiech. Kiedy to pojał, objaśnił swój językowy lapsus:

— Moje nazwisko — Dzierżyński. Wypuszczono mnie dopiero co z więzienia.

Wiedziałem, kim jest Dzierżyński, ale go nigdy przedtem nie widziałem. W roku 1914 skazano go na trzy lata katorgi, a w roku 1916 sądzono go ponownie, za działalność rewolucyjną w roku 1910, i skazano dodatkowo na sześć lat. W chwili wybuchu rewolucji Dzierżyński znajdował się w więzieniu Butyrskim w Moskwie.

Nie pamiętam zupełnie, co wówczas mówił. Przedstawiłem mu się, kiedy zakończył swoje przemówienie i powiedziałem, do

jakiego kółka należą. Dzierżyński prosił, żeby go odprowadzić. Poszliśmy w stronę Miasnickiej. Opowiadałem mu po drodze o działalności naszego kółka i innych kółek młodzieżowych, kierowanych przez SDKPiL.

W Moskwie kursowały przed rewolucją pogłoski, że wielu dorożkarzy służy w Ochronie (policja polityczna) i że tych agentów można poznać po metalowych okuciach specjalnej formy na lejcach. Każdy policjant, jak mówiono, mógł zatrzymać dorożkarza z tymi okuciami i zażądać od niego pomocy, jeśli mu była potrzebna. Nie wiem czy te pogłoski były prawdziwe, chyba nie, bo Ochrona nie afiszowałaaby tak otwarcie swoich agentów. Ale pogłoskom wierzono i podczas rewolucji tłum zatrzymywał często na ulicach dorożkarzy z takimi okuciami. Ściągano ich z kozła i bito. Natrafiliśmy na taką scenę na Miasnickiej. Dzierżyński oburzył się i powiedział, że niedorzeczne pogłoski rozpuszczają pewnie sami ochrannicy aby wnieść zamęt. I że podczas gdy prześladowane są niewinnych dorożkarzy, nikt nie troszczy się o to, aby archiwum Ochrony zostały zabezpieczone. Część ich spalił już w Moskwie tłum, podburzany niewątpliwie przez prowokatorów. Wielka szkoda, powiedział Dzierżyński, bo w archiwach były z pewnością nazwiska licznych niewykrytych agentów policji, działających wewnątrz partii rewolucyjnych.

Nie wiem czy Dzierżyński mieszkał wtedy na Miasnickiej czy też szedł do kogoś. Pamiętam tylko że szliśmy długo i że Dzierżyński, ze specjalnym rozdrażnieniem, mówił o prowokatorach w ruchu robotniczym. W związku z tym tematem wypowiedział wówczas poglądy, z którymi nie mogłem się zgodzić. A ponieważ chodziło o sprawy zasadnicze i bardzo ważne, to co mówił mocno utkwilo mi w pamięci.

Aby czytelnik zrozumiał to co dalej napiszę, muszę tu zrobić niewielką dygresję. Dzierżyński był wraz z Różą Luksemburg jednym z przywódców SDKPiL i dobrze ją znał. Rewolucyjnym mentorem Róży Luksemburg, kiedy była jeszcze bardzo młoda, był Marcin Kasprzak, wybitny działacz partii „Proletariat”. Kasprzak, który urodził się w roku 1860, miał 32 lata, kiedy usunięto go z partii jako prowokatora. Nie był prowokatorem i międzynarodowy sąd socjalistyczny pod przewodnictwem Augusta Bebla oczyścił go ze wszystkich zarzutów. Kasprzaka przyjęto znowu do partii, ale pogłoski, że był zdrajcą, krążyły nadal, nawet po jego śmierci. (Skazany został na śmierć i powieszony za to, że broniąc nielegalnej drukarni, wykrytej przez policję, zastrzelił dwóch policjantów).

Moja rozmowa z Dzierżyńskim o Kasprzaku wynikała prawdo-

podobnie z tego co Dzierżyński mówił o niesłusznie podejrzewanych moskiewskich dorożkarzach i o archiwach Ochrany. Dotoczyła ona jednak innego, mało znanego epizodu z życia Kasprzaka. Róża Luksemburg rozpoczęła działalność rewolucyjną w bardzo młodym wieku. W roku 1888, mając lat 17, musiała uciec z ówczesnego Królestwa Polskiego za granicę. Ucieczkę zorganizował Kasprzak. Znał jakiegoś księdza, mieszkającego w pobliżu granicy niemieckiej i namówił go, aby przewiózł młodą rewolucjonistkę nielegalnie przez granicę swoją bryczką. Kasprzak powiedział księdzu — co było nieprawdą — że jest ona córką rabina i ucieka od ojca, aby przejść za granicą na katolicyzm. Ksiądz w to uwierzył. Róża Luksemburg nic o tym fortelu Kasprzaka nie wiedziała. Dowiedziała się dopiero po drodze od księdza, jeszcze po rosyjskiej stronie, i zaraz powiadomiła go, że Kasprzak go nabrał i kim jest w istocie. Ksiądz zatrzymał bryczkę, chwilę myślał, a później pojechał dalej i przewiózł ją przez granicę.

Cała ta historia była wówczas dobrze znana w środowisku SDKPiL. Opowiedział nam ją na zebraniu naszego kółka Łazowert. Toczyliśmy gorące spory, czy Róża Luksemburg postąpiła właściwie, mówiąc księdzu prawdę, i czy słusznie postąpił Kasprzak, który księdza nabrał. Zdania w naszym kółku były podzielone, a co się tyczy Łazowerta, to nie zajął w tej sprawie żadnego stanowiska, uśmiechając się tylko trochę enigmatycznie.

Sprawa, w gruncie rzeczy, sprowadzała się do tego, czy rewolucjonista, dla osiągnięcia swoich celów, może i powinien imać się wszelkich środków, nawet takich, które są na ogół uważane za nieetyczne, czyli, innymi słowy, czy słuszna jest teza, że cel uświęca środki. O tym to właśnie mówiłem z Dzierżyńskim.

Powiedział mi, że to co wówczas zrobiła Róża Luksemburg jest bardzo charakterystyczne dla jej pochodzenia drobnomieszczańskiego, którego przesądów w tym czasie jeszcze się nie wyzbyła. Gdyby przyszła na świat w rodzinie robotniczej, zwłaszcza rodzinie, cierpiącej głód, potwierdziłaby bez żadnych skrępowań moralnych to co Kasprzak księdzu o niej powiedział. Co się zaś tyczy Kasprzaka, to postąpił on, zdaniem Dzierżyńskiego, zupełnie słusznie. Kiedy go zapytałem, czy to co zrobił Kasprzak było uczciwe — bo to właśnie słowo padało najczęściej na zebraniu naszego kółka, kiedy omawialiśmy tę sprawę — Dzierżyński popatrzał na mnie, tak jak się patrzy na kogoś bardzo młodego i bardzo naiwnego. Zapytał mnie też, tak niby od niechcenia, z jakiej pochodzę rodziny i powiedział coś w tym sensie że prawdziwy rewolucjonista nie zna pojęcia obiektywnej uczciwości, ponieważ ruch rewolucyjny nie może być obiektywny, co każdy

proletariusz czuje swoim klasowym węchem*. To co jest uczciwe w pewnych warunkach nie jest wcale uczciwe w innych, a dla rewolucjonisty uczciwe może być tylko to, co prowadzi do rewolucyjnego celu. Była to więc obrona maksymy, że cel uświęca środki, a to, że ją wyznawał Dzierżyński, którego przeszłość znałem, dodawało oczywiście w moich oczach tej maksymie specjalnej wagi. Mówiąc to, Dzierżyński powoływał się zresztą nie na żadne autorytety marksistowskie, tylko na Stendhala, którego czytał w więzieniu w Orle, gdzie siedział przed przeniesieniem go do Butyrek. W powieści „Czerwone i czarne” Stendhal, co później sprawdziłem, mówi ustami swojego bohatera Juliana Sorela, że gotów byłby „powiesić trzech ludzi, aby uratować czterech”.

To co Dzierżyński powiedział zabiło mi ćwieka w głowę. Gotów byłem zgodzić się z nim, że fortel Kasprzaka był dopuszczalny, ale za ogólną maksymą Juliana Sorela kryło się coś posępnie odpychającego, coś co jeśli nie przekreślało, to w każdym razie podważało podstawy socjalizmu, na których zbudowałem gmach swojej własnej socjalistycznej wiary.

Wydać się może dziwne, że tego rodzaju zagadnienia niepokoiły mnie i przejmowały podczas tych historycznych dni. Ale przejmowały one nie tylko mnie i dlatego o nich mówię. Podobnie jak ja myśleli inni członkowie naszego kółka. Nasze przekonania opierały się przede wszystkim na przesłankach natury etycznej. Nie ulegało zresztą dla nas wątpliwości, że zarówno Marks jak i wszyscy autentyczni socjaliści wychodzili z tych samych założeń, to znaczy że propagowali obalenie kapitalizmu ze względów moralnych i etycznych, w trosce o człowieka, a nie dlatego, że wyobrażali sobie historię ludzkości jako coś w rodzaju drabiny, na której po szczeblu z napisem „kapitalizm” musi, wskutek przyczyn natury ekonomicznej, nastąpić szczebel z napisem „socjalizm”. W naszym moskiewskim kółku studiowaliśmy „Kapitał” — bardzo to była trudna lektura — i wygłaszałyśmy referaty na temat poszczególnych rozdziałów „Ekonomii politycznej” Bogdanowa. Ale książką, która znacznie żywsze wśród nas wywołała dyskusje była powieść Edwarda Bellamy „W roku

* Pamiętam, że byłem wówczas przekonany, że Dzierżyński jest z pochodzenia robotnikiem. Później dopiero się dowiedziałem, że był pochodzenia szlacheckiego. Już pisząc te wspomnienia, sprawdziłem to w pierwszym wydaniu „Wielkiej Encyklopedii Sowieckiej” z czasów, kiedy nie zmieniano jej jeszcze stosownie do potrzeb dnia. Przeczytałem w niej że Feliks, syn Edmunda, Dzierżyński, polski szlachcic, urodził się w majątku rodzinnym Dzierżynowo, guberni wileńskiej, w roku 1877, że ukończył gimnazjum w Wilnie i że we wczesnej młodości pisywał wiersze o charakterze lirycznym.

dwuchtysięcznym". Książka ta ukazała się w Ameryce już w roku 1888, jej tytuł brzmiał po angielsku „Looking Backward: 2000-1887”. Nakład jej już w roku wydania osiągnął niesłychaną wówczas cyfrę przeszło miliona egzemplarzy. Przetłumaczono ją na kilkadziesiąt języków i od tego czasu nowe wydania wychodzą bez przerwy na całym świecie. W samych tylko Stanach Zjednoczonych wyszło w roku 1967 aż pięć jej nowych wydań, nakładem pięciu różnych wydawców. W środowiskach socjalistycznych, zwłaszcza młodzieżowych, cieszyła się ona na początku naszego stulecia tak wielką popularnością, że już choćby z tego względu trzeba o niej powiedzieć kilka słów.

Jest to powieść fantastyczna, dziejąca się w Bostonie w roku dwuchtysięcznym, w czasie, kiedy wszystkie zagadnienia społeczne zostały już rozwiązane. Zniesiony został wyzysk człowieka przez człowieka, istnieje powszechne i bezpłatne nauczanie, podstawowe, średnie i wyższe, aż do 21-go roku życia. Później wszyscy muszą pracować, ale tylko w ciągu 24 lat, co przy racjonalnej organizacji przemysłu i rolnictwa wystarcza w zupełności na zaspokojenie potrzeb całego kraju. Panuje absolutna równość, nikt nie jest od nikogo zależny i nikt nikogo nie wyzyskuje, ponieważ środki produkcji są w rękach społeczeństwa. Nikt się też nie bogaci, składy państwowe dostarczają wszystkim bezpłatnie wszystkiego co im potrzeba. Zainteresowania materialne znikają, miasta zmieniają wygląd, zmienia się również całkowicie psychologia człowieka. O to właśnie, o wyzwolenie człowieka, autorowi przede wszystkim chodzi, o tym głównie mówi w swojej książce. Przewidział w niej wiele rzeczy, między innymi radio. Uważał że muzyka, która uszlachetnia człowieka, powinna być dostępna dla wszystkich „w każdej chwili”. Dlatego też w Bostonie w roku 2000 „w każdym mieszkaniu znajduje się połączony z telefonem aparat, przy pomocy którego każdy może słuchać muzyki kiedy mu się podoba, bo jest ona nadawana bez przerwy w dzień i w noc”.

Autor tej pięknej utopii nie brał nigdy udziału w ruchu socjalistycznym i nigdy nie był członkiem żadnej partii politycznej. Krótko przed śmiercią stworzył nową religię, którą nazwał „Religią ogólnej solidarności”. Umarł na gruźlicę w roku 1898, w 48-mym roku życia. Jego nowa religia, wyśmiana jeszcze za jego życia, umarła razem z nim.

III

1.

Świadectwo dojrzałości. — Wyjazd do Mińska. — Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne. — Moje przemówienia na wiecach. — Dwa rodzaje tęsknoty

Kilka słów wstępnych do trzeciego rozdziału:

Rozdział ten obejmuje rewolucję październikową (bolszewicką) w Rosji, w której brałem udział, i przygotowania do niej, w których również uczestniczyłem. Ponieważ rewolucja październikowa była wydarzeniem o doniosłym historycznym znaczeniu, pracowałem nad tym rozdziałem znacznie dłużej niż nad innymi, sprawdzając w bibliotekach bieg wypadków i ich kolejność. (Pragnę przypomnieć, że wszystkie daty w tym rozdziale są starego stylu. Nowy, gregoriański, tj. obowiązujący na całym świecie kalendarz wprowadzono w Rosji dopiero w 1918 roku).

Studiowanie materiałów, dotyczących tych czasów, odświeżyło jednocześnie w mojej pamięci wiele wydarzeń i wyciągnęło z jej mroków inne. Dużo książek i pism z tego okresu odszukałem w dziale słowiańskim Biblioteki Publicznej w Nowym Jorku, inne przeglądałem w Muzeum Brytyjskim w Londynie i w Bibliotece Narodowej w Paryżu. Wreszcie dużo materiałów, i to takich, jakich nie ma w żadnej innej bibliotece, znalazłem w Bibliotece Zakładu Historii Partii w Warszawie, gdzie je czytałem w lecie 1967 roku. Okazało się wtedy, że ta biblioteka ma indywidualne teczki wszystkich Polaków, którzy w rewolucji bolszewickiej brali udział. Moja teczka nosiła numer 10916. Zawierała kilka pism z moimi artykułami i fotografiami z tych lat. Czytałem je z trochę dziwnym uczuciem. Nie poznałbym oczywiście, po pięćdziesięciu latach, swoich artykułów, gdyby nie było pod nimi mojego podpisu. Brzmiały one trochę jak głosy zza grobu, bo żaden z ludzi, których w artykułach wymieniałem, już nie żyje.

Ostatnia uwaga: wiem jak nieprzyjemne są odsyłacze w środku tekstu, odrywające od niego czytelnika. Są w tym rozdziale nieuniknione, ale zredukowałem je do minimum. Proszę mi wierzyć że w wypadkach, kiedy nie podaję w odsyłaczu źródła, potwierdzającego to czy inne wydarzenie, sprawdziłem niemniej przeto skrupulatnie ścisłość tego co piszę.



W maju roku 1917 ukończyłem gimnazjum i otrzymałem świadectwo dojrzałości. Rok szkolny, z powodu wypadków rewolucyjnych, został zakończony o miesiąc wcześniej niż zwykle, a egzaminów maturalnych, jak już pisałem, w ogóle nie było.

W tym samym miesiącu zostałem przyjęty do SDKPiL — Socjal Demokracji Królestwa Polskiego i Litwy. Właśnie w maju odbyła się w Petersburgu wszechrosyjska konferencja tej partii, na której uchwalono między innymi przyjęcie do niej wszystkich członków kółek młodzieżowych, którzy tego zapragną.

Przyjęto mnie nie tylko do partii, ale zostałem jednocześnie, zanim jeszcze wysechł atrament na podpisach na moim świadectwie maturalnym, zawodowym rewolucjonistą. Wezwano mnie do Petersburga i zaproponowano wyjazd do Mińska, gdzie miałem pracować wyłącznie politycznie, nie biorąc żadnej pobocznej pracy zarobkowej. SDKPiL nie rozporządzała wówczas prawie żadnymi funduszami, co jednak nie odgrywało wielkiej roli, bo w Mińsku mogłem mieszkać u rodziców, w każdym razie początkowo.

Mińsk był w tym czasie największym w Rosji skupiskiem Polaków. Z jednej strony, z frontu, który już się zaczął rozłatywać, napływali do miasta żołnierze-Polacy, z drugiej, z głębi Rosji, przybywały coraz większe rzesze ludzi, którzy opuścili Polskę na początku wojny, a teraz, przewidując jej rychły koniec, chcieli być jak najbliżej swojego kraju. Gromadzili się oni bądź w samym Mińsku, bądź w innych pobliskich miastach.

Jeszcze przed moim przyjazdem do Mińska powstało tam Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne, w skład którego wchodziły wszystkie trzy socjalistyczne partie polskie, działające na terenie Rosji: PPS - lewica, PPS - frakcja rewolucyjna i SDKPiL. Zjednoczenie powstało zaraz po rewolucji lutowej i działalność jego obejmowała Mińsk, Witebsk, Homel i Orszę. Podobne Zjednoczenie, o tej samej nazwie, stworzone zostało na Ukrainie, gdzie na jego czele stał znany działacz socjalistyczny Zygmunt Zaremba.

Organizatorami Zjednoczenia w Mińsku byli Jan Baryła, Adam Sławiński (Kaczorowski), Stefan Heltman i Stanisław Berson. Baryła i Sławiński byli esdekami, Heltman pepesowcem,

Berson w chwili rewolucji — ani przedtem — do żadnego ugrupowania politycznego nie należał. Żaden z nich już nie żyje. Sławiński i Heltman zginęli podczas czystek w Moskwie w latach trzydziestych, Baryła umarł w Polsce śmiercią naturalną. Berson został rozstrzelany przez wojska Dowbora-Muśnickiego już w roku 1919.

Heltman był przewodniczącym Polskiego Zjednoczenia Socjalistycznego, ale faktycznym jego kierownikiem został wkrótce Berson, późniejszy Komisarz Ludowy do spraw Narodowościowych na Białorusi, redaktor *Polskiej Prawdy* i Komisarz do spraw Polskich na Okręg Zachodni.

Berson pochodził z zamożnej warszawskiej rodziny bankierskiej. Znałem go jeszcze w czasach przedrewolucyjnych, kiedy przyjeżdżałem do Mińska z Połoczan. Był wówczas podoficerem w oddziale samochodowym. Prosił mnie kiedyś, żebym mu dał do przeczytania jakąś socjalistyczną literaturę. Dałem mu dwie czy trzy broszurki, które mi szybko zwrócił, bo go, jak mówił, znudziły: „To nie jest to, co myślałem, wyobrażałem sobie ten wasz socjalizm zupełnie inaczej”. Mówił mi też że w Szwajcarii, gdzie się przed wojną kształcił, zetknął się z kilkoma socjalistami, którzy, jako ludzie, niezbyt mu się podobali.

Berson był jednym z wielu ludzi których wciągnęła, jak wir, rewolucja i porwała fala wypadków. Odznaczał się ogromną energią i w przewrocie październikowym odegrał dużą rolę. W miesiącach, poprzedzających przewrót, odnoszono się do niego z pewną rezerwą, a to dlatego, że jego zapał rewolucyjny przerastał ramy wszystkich ugrupowań socjalistycznych. Baryła powiedział mi kiedyś, że jego pomysły i propozycje zbliżają Bersona do obozu L.Z.S. — tak nazywano wówczas w Rosji tych, którzy domagali się wszystkiego natychmiast i dla których żadna partia nie była dostatecznie rewolucyjna. L.Z.S. był skrótem rozpowszechnionego wtedy wyrażenia „*Ljewieje zdrawowo smysła*” — (na lewo od zdrowego rozsądku). Ale zapał Bersona był niewątpliwie szczery. Rozstrzelany został przez dowborczyków częściowo z własnej winy. Aresztowano go w pociągu, jadącym do Moskwy po ewakuacji Mińska. Pociąg zatrzymali dowborczycy, którzy zapytali Bersona, co by zrobił, gdyby dostali się w jego ręce. Berson odpowiedział, że kazałby ich niezwłocznie rozstrzelać. Oficer armii Dowbora, obecny przy egzekucji, stwierdził później, że Berson zachowywał się do ostatniej chwili odważnie i z godnością.

Moja działalność w Mińsku zaczęła się od przemówień na wiecach. Krótco przedtem, z okazji zakończenia roku szkolnego

i wręczenia nam świadectw dojrzałości, odbyła się w naszej szkole w Moskwie uroczystość, na którą zaproszono uczniów starszych klas, rodziców, krewnych, działaczy Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny, itd. Moja klasa uchwaliła, abym wygłosił przemówienie w imieniu maturzystów. Nastroje społeczeństwa w chwilach historycznych ulegają szybkim zmianom, a nasza klasa była w jakiejś mierze przekrojem społeczeństwa. Bojkot, któremu mnie kiedyś poddano, odegrał rolę w tej jednogłośniejszej decyzji moich kolegów. Wielu z nich doszło do wniosku że był on niesłuszny i że mi wyrządzono krzywdę. Starano się teraz ją naprawić. Ale większą jeszcze rolę odegrało prawdopodobnie to że w Rosji zwyciężyła rewolucja i socjalizm, który w tym endeckim środowisku był przedtem słowem niemal obelżywym wzniosł się nagle na niebosiężne wyżyny, a ja byłem socjalistą. Przygotowałem się do mojego przemówienia bardzo starannie. Napisałem je, a później nauczyłem się go na pamięć. I miałem ogromną treść. Ale bezpośrednio przed przemówieniem treść zupełnie mi przeszła. Zgniotłem w kieszeni kartkę, na której zapisałem sobie w skrócie to co zamierzałem powiedzieć i wygłosiłem przemówienie, mające mało wspólnego z tym, które przygotowałem. Mówiłem to co mi przychodziło do głowy, z przejęciem, bo byłem przejęty i dumny z tego że moi koledzy, nie bacząc na moje z nimi spory, mnie właśnie wybrali. Moje przejęcie udzieliło się słuchaczom, czułem to kiedy przemawiałem i czułem także że tak właśnie trzeba przemawiać, że na słuchaczy działa tylko to co jest oparte na rodzących się podczas samego przemówienia słowach i zdaniach, tylko to emocjonalnie ich zaraża. To co mówię odnosi się zresztą do wszystkich dziedzin sztuki. W literaturze pomysły zawczasu opracowane i przeżute przetwarzają się później w utwory, przypominające martwo urodzone dzieci. Obraz malarza czy sonata kompozytora jest sztuką tylko wówczas jeżeli powstaje w samym procesie tworzenia. A przemawianie na wielkich zebraniach, przemawianie do tłumów jest niewątpliwie sztuką, podlegającą tym samym prawom co każdy inny rodzaj sztuki.

Wkrótce zaczęłem przemawiać na wiecach. Miałem, rozpoczynając je, tylko kilka nieskonkretyzowanych myśli, wszystko inne zjawiało się automatycznie, kiedy zaczynałem mówić.

Umiejętność — czy sztuka — przemawiania do mas była w tym czasie niesłychanie ważna. W późniejszych latach sytuacja się zmieniła, ale wówczas rzeczą rozstrzygającą było żywe słowo. Wielotysięczne wiece zdecydowanych przeciwników partii bolszewickiej przyjmowały rezolucje, popierającą tę partię po przemówieniu jakiegoś utalentowanego bolszewickiego mówcy. A przyjęcie rezolucji było wtedy równoznaczne z przejściem jakiejś grupy

do innego obozu, ze zmianą jej nastawienia, często z decydującym poparciem już nie słowem, a czynem.

Nasze Zjednoczenie miało w Mińsku własny dom, noszący nazwę Domu Ludowego, z wielką salą na zebrania. Przemawiałem najczęściej w tej sali, ale też i pod gołym niebem, w Mińsku i w okolicznych miastach, jak również na froncie, do żołnierzy-Polaków. Czym więcej było słuchaczy tym łatwiej było mi mówić i na wiecach, których publiczność składała się choćby częściowo z przeciwników politycznych, przemawiałem chętniej i lepiej niż na wiecach zwolenników Zjednoczenia. Głównymi przeciwnikami i oponentami Zjednoczenia byli peowiacy. Endecy w owym czasie przychli, podnieśli głowy dopiero później, kiedy powstała armia Dowbora.

Na czele P.O.W. w Mińsku stał Ignacy Matuszewski, później minister i wybitny działacz polityczny dwudziestolecia. Był wówczas kapitanem armii rosyjskiej. Przychodził często na nasze zebrania w Domu Ludowym i występował przeciwko nam. Dopuszczaliśmy go zawsze do głosu, aby później obalić jego argumenty. W zamian za to Matuszewski zapraszał na inne zebrania naszych mówców i żądał, aby ich wysłuchano. Pamiętam wielki mityng żołnierzy-Polaków na Seriebriance — przedmieściu Mińska — w którym brało udział chyba ze cztery-pięć tysięcy żołnierzy. Wiec zwołany został przez Związek Wojskowych-Polaków, którego przewodniczącym był Zygmunt Nagórski, wówczas również oficer armii rosyjskiej. Był on, jak i Matuszewski, znakomitym mówcą. Nie pamiętam, czy występował na tym wiecu, ale pamiętam przemówienie Matuszewskiego. Przemawiałem bezpośrednio przed nim, odpowiadał na to co mówiłem, ale mu przerywano, nie chciano go słuchać. Powiedział mi wtedy — pół żartem — że bardzo żałuje, że mnie na ten wiec zaprosił. Był to dla mnie wielki komplement. Moja sława dobrego wiecowego mówcy była w tym czasie ustalona, z czego byłem bardzo dumny.

W kilka miesięcy później, już po przewrocie bolszewickim, słyszałem w Piotrogradzie jak na jakimś większym zebraniu przemawiał Wołodarski. Był to niewątpliwie największy mówca rewolucyjny tych czasów. Jego przemówienie zrobiło na mnie takie wrażenie, że jeździłem z nim, a raczej za nim, z zebrania na zebranie. Chciałem poznać jego sekret, który sprawiał, że gdy kończył mówić, przez długą chwilę panowała zwykle cisza i dopiero później sala, jakby się budząc, wybuchała oklaskami. Jeśli było kilku mówców, to po wystąpieniu Wołodarskiego jakoś już tak automatycznie przewodniczący zarządzał przerwę, bo sala była naelektryzowana, niezbędne było choć krótkie odprężenie. Było to tym bardziej uderzające, że Wołodarski wyglądał niepo-

zornie i mówił z trudnością po rosyjsku. Wyemigrował do Ameryki w bardzo wczesnym wieku, pracował tam jako krawiec i wrócił do Rosji dopiero po rewolucji. Prosiłem go kiedyś, żeby mi zdradził swoje sekrety. Wołodarski powiedział, że nie ma żadnych sekretów:

— To jest trochę tak, jak gra na skrzypcach. Grałem kiedyś na skrzypcach, przypomina mi się to teraz, kiedy przemawiam. Trzeba obejmować myślowo całą salę i wyczuwać jej nastrój.

Zapytałem go, czy pamięta co mówił na ostatnim wiecu. Nie, nie pamiętał. Zupełnie, ale to zupełnie nic. Jakby był w jakimś transie, jakby to nie on przemawiał tylko ktoś inny jego ustami*.



Tematem moich przemówień w tym czasie, to znaczy w maju-czerwcu 1917 roku, była przeważnie sprawa wojny i pokoju. Nie wiem, kto pierwszy puścił wówczas w obiegu powtarzane często na wiecach powiedzenie, że albo rewolucja zadusi wojnę, albo wojna zadusi rewolucję. Było to głęboko słuszne. Żołnierze na froncie nie chcieli się bić. Zmusić ich do tego aby się bili można było tylko przy użyciu ostrych środków, ograniczających to co się wówczas nazywało „zdobyciami rewolucji”: wolność słowa, wolność prasy, itd. — co naturalnie rozluźniało dyscyplinę w wojsku. Nasze Zjednoczenie przeciwstawiało się tym likwidującym rewolucję środkom i wypowiadało za pokojem z Niemcami, nawet za cenę porażki Rosji. Ja to stanowisko całkowicie popierałem. Kierowałem się pewnie, świadomie lub nieświadomie, nie tylko względami politycznymi. Koniec wojny wiązał się z powrotem do Polski, a ja w tym właśnie czasie, w niespełna trzy lata po wyjeździe z Łodzi, tęskniłem najbardziej.

Istnieją, jak mi się zdaje, dwa rodzaje tęsknoty. Pierwszy to tęsknota, którą odczuwamy w młodości, drugi — tęsknota w wieku dojrzałym lub w starości. Ta druga tęsknota sprawia więcej bólu, jest smutniejsza, beznadziejna i nieziszczalna. Oszukujemy samych siebie, myśląc że na starość odzywa się w nas tęsknota do rodzinnego kraju lub do miejsc naszych młodzieńczych wzruszeń. Ta druga tęsknota jest zawsze tęsknotą do naszej młodości, do lat które nie wrócą. Jest to więc niejako tęsknota fałszywa, ubierająca się w cudze szaty. Tęsknota młodości takiego przebrania nie potrzebuje. Jest ostra i gwałtowna, może dlatego, że jej przedmiot, powrót do rodzinnego kraju, jest osiągalny,

* Wołodarskiego zastrzelił w Piotrogradzie na ulicy w roku 1918 członek partii eserów.

że go się wyraźnie widzi na horyzoncie i że siłą woli, będącej motorem naszych działań można go przyspieszyć. Ostrość tego rodzaju tęsknoty wyraża się we wciąż powracających snach. Nie są one przecież niczym innym jak podświadomym myśleniem, tym tylko różniącym się od myślenia na jawie, że go nie ograniczają hamulce logiki. Dlatego też we śnie tak bujnie rozkwitają nasze dążenia i marzenia, które tłumi w dzień nasz rozsądek. W moich snach widziałem ulicę Piotrkowską w Łodzi, jej odcinek przed kinem „Casino”, mieszczącym się na dziedzińcu hotelu „Victoria”. We śnie, który wciąż się powtarzał, stałem przed kinem z moimi kolegami ze szkoły, widząc wyraźnie płyty trotuaru, nowe w tym miejscu i szerokie. Czekaliśmy na kogoś czy na coś. To czekanie we śnie, którego język przybiera formę symboli, wyrażało pewnie oczekiwanie powrotu do Łodzi. Wiem dobrze, że sny o powrocie miewałem w tym właśnie czasie, bo pamiętam, że opowiadałem je ojcu, który interesował się snami i często je zapisywał.

Na szybki powrót do Polski wcale się jednak nie zanosilo. Zbliżały się historyczne wypadki, które zmieniły oblicze świata. Aby oświetlić tło, na którym się one rozwijały, muszę powiedzieć kilka słów o sytuacji politycznej w Rosji w tym czasie.

2.

Powrót Lenina. — Dymisja Miljukowa. — Polscy esdecy w Piotrogradzie. — „Skakuny” i walka z nimi

Trzeciego kwietnia 1917 roku powrócił do Rosji ze Szwajcarii, gdzie mieszkał jako emigrant polityczny, Włodzimierz Uljanow-Lenin. Drogę przez Niemcy odbył w zaplombowanym wagonie. Fritz Platten, socjalista szwajcarski, uzyskał od rządu niemieckiego pozwolenie na przejazd Lenina przez terytorium niemieckie. Ów zaplombowany wagon odegrał później w historii rewolucji rosyjskiej dużą rolę. Lenina pomawiano o to, że jest agentem niemieckim, bo gdyby nim nie był, Niemcy nie ułatwiliby mu powrotu do Rosji. To są wszystko rzeczy znane. Mniej znany jest fakt, że Niemcy przepuścili wówczas nie tylko zaplombowany wagon Lenina, lecz trzy pociągi, pełne wracających do Rosji emigrantów politycznych. Jednym z nich przyjechał Juliusz Martow, przywódca rosyjskich mienszewików. Inny mienszewik, poseł do Dumy Czcheidze, przywitał Lenina na dworcu kolejowym w Piotrogradzie wielkim i serdecznym przemówieniem. Lenin odpowiedział na nie dosyć sucho, po czym pojechał do pałacu

baletnicy Krzesińskiej, zarekwirovanym już poprzednio przez jego zwolenników, i tam zamieszkał.

W Piotrogradzie był w tym okresie rząd koalicyjny, który sam siebie nazywał Rządem Tymczasowym i pod tą nazwą wszedł do historii. Składał się on z socjalistów (mienszewicy Cereteli i Skobielew) oraz z przedstawicieli partii burżuazyjnych (Minister Spraw Zagranicznych Tereszczenko i inni). Premierem i Ministrem Wojny był Aleksander Kiereński, należący przed rewolucją w Dumie do małej, bo liczącej zaledwie kilku członków „Partii Pracy” (*Trudowiki*). Rząd Tymczasowy powstał 5 maja. Poprzedni rząd musiał podać się do dymisji pod naciskiem mas kiedy jego Minister Spraw Zagranicznych Miljukow wystosował do aliantów i ogłosił w Rosji notę dyplomatyczną, w której oświadczył że po-rewolucyjna Rosja bynajmniej nie rezygnuje z celów wojennych Rosji przed-rewolucyjnej i że będzie prowadziła wojnę aż do zwycięskiego końca, domagając się m.in. Cieśnin Dardanelskich. Nota wywołała natychmiastowe masowe demonstracje uliczne w Petersburgu, w Moskwie i w innych miastach.

Nowy rząd nie miał jeszcze pełni władzy, którą musiał dzielić z Sowietami. Wtedy to właśnie rozpoczął się okres *dwojewładztwa* (dwuwładzy), trwający aż do rewolucji bolszewickiej. Drugim, współrzednym rządem, jeśli nie formalnym, to faktycznym, był Komitet Wykonawczy piotrogrodzkiego Sowietu i miejscowe Sowiety, które mu wprawdzie nie podlegały, ale działały w kontakcie z nim. Piotrogrodski „Ispołkom” (*Ispołnitelnyj Komitet*), jak nazywano w skróceniu Komitet Wykonawczy, był w rękach eserów i mienszewików. Popierali oni Rząd Tymczasowy, ale nie we wszystkim i nie zawsze. Sowiety zmieniały zresztą często swój skład, bowiem ich członkowie mogli być odwołani w każdej chwili i zastąpieni przez innych, jeśli ich stanowisko polityczne nie odpowiadało zmieniającemu się również stanowisku robotników, którzy ich wybierali. Kiedy bolszewicy, jak to miało miejsce w początkach czerwca w Mińsku, zdobyli większość w miejscowym Sowiecie, stosunki między mińskim Ispołkomem i Komisarzem Rządu Tymczasowego na Mińsk i Okręg Zachodni bardzo się zaostrzyły. Geograficznie wyglądało to tak: Komisarz rządu Kiereńskiego Żdanow zasiadał w dawnym pałacu gubernatorskim na głównym placu miasta, który nazywał się przed rewolucją Placem Katedralnym, a po — Placem Wolności (jeszcze później Placem Sowieckim). Tamże znajdował się największy i najlepszy w mieście hotel („Europejski”) i jeszcze kilka gmachów, zajętych przez biura Żdanowa. Ispołkom mieścił się w gmachu dawnej szkoły żeńskiej przy ulicy Jurjewskiej numer 2. Mieszkańcy Mińska mogli w owym czasie sami ocenić gołym

okiem, który z dwóch rządów jest w danej chwili mocniejszy, a który słabszy. Kiedy przed byłym pałacem gubernatorskim stało dużo samochodów, kiedy zbierały się przed nim grupy żołnierzy, kiedy wieczorem i w nocy rześcicie oświetlone okna wskazywały na ożywioną działalność, było to oznaką że Rząd Tymczasowy, za pośrednictwem swojego przedstawiciela, istotnie sprawuje władzę. Często jednak grupy żołnierzy i robotników zbierały się przed domem na Jurjewskiej i wojskowe oraz urzędowe samochody — prywatnych w tym czasie nie było — też się tam gromadziły. Oznaczało to, że ster władzy przejął na jakiś czas Sowiet, a właściwie jego Komitet Wykonawczy. Posiedzenia plenarne Sowietu odbywały się bowiem rzadko, stale funkcjonował tylko „Ispołkom”.

Delegatów do Sowietu w Mińsku wybierali robotnicy i żołnierze i nazywał się on „Sowietem Delegatów Robotniczych i Żołnierskich”. Komisarz Rządu Tymczasowego nie uznawał jednak tej nazwy, ani faktu, że żołnierze mają w Sowiecie swoich przedstawicieli. Instrukcje Rządu Tymczasowego zabraniały wyraźnie żołnierzom tworzenia sowietów, ponieważ to osłabiałoby dyscyplinę wojskową. W rozporządzeniach i wszelakiego rodzaju obwieszczeniach Zdanow mówił wskutek tego zawsze o „Sowietach robotniczych”, a cenzura prasowa skrupulatnie wykreślała słowa „i żołnierskich” w nazwie sowietów. Nie przeszkadzało to żołnierzom wybierać swoich delegatów. W Mińsku stacjonował wówczas 37 pułk piechoty i kilka innych jednostek wojskowych. Wszystkie one były w Sowiecie reprezentowane. Miały w nim swoich przedstawicieli również wszystkie partie socjalistyczne, w tej liczbie i nasze Zjednoczenie. Ci przedstawiciele musieli być jednak wybrani na zebraniach robotniczych, tak samo jak i inni. Partie socjalistyczne mogły tylko proponować ich kandydatury. Zgodnie z procedurą wyborczą, udział w wyborach mogli przyjmować „wszyscy pracujący”. Termin ten obejmował również urzędników państwowych i prywatnych, sprzedawców w sklepach itd., ale wybory odbywały się tylko w urzędach i przedsiębiorstwach, których pracownicy pragnęli wziąć w nich udział. 125 głosujących wybierało jednego delegata, co się zaś tyczy partii socjalistycznych, to jeden delegat przypadał na 100 członków każdej partii*.

W czerwcu albo też w początkach lipca zostałem wybrany do mińskiego Sowietu. Wybrano mnie na zebraniu robotników war-

* *Izwojestja Minskawo Sowietu z dn. 28 września 1917 roku.* Taka była oficjalna procedura wyborcza, ale w praktyce odchylenia od niej były dosyć znaczne.

sztatów kolejowych, wśród których było dużo Polaków. Wkrótce później zostałem członkiem Komitetu Wykonawczego Sowietu, nie pamiętam już w jaki sposób, prawdopodobnie drogą kooptacji, bo taka procedura też była dopuszczalna.

W tym samym mniej więcej czasie pojechałem razem z Janem Baryłą do Piotrogradu czy Petersburga. Wezwano nas tam w związku z projektowaną konferencją wszystkich socjalistycznych partii polskich w Rosji. Konferencja ta, która miała się odbyć w Mińsku, nigdy nie doszła do skutku. Nasze Zjednoczenie, które konferencję zaproponowało, nie zdołało jej zorganizować. Usiłowaliśmy razem z Baryłą przekonać o jej potrzebie członków lewicy PPS i esdeków w stolicy, ale nie znaleźliśmy u nich poparcia. Pamiętam, że rozmawiałem wtedy z Pawłem Łapińskim, Julianem Leszczyńskim, Jakóbem Doleckim i Józefem Unszlichtem*. Pierwszy z nich należał do lewicy PPS, inni byli przywódcami SDKPiL. Niektórzy, jak np. Leszczyński, żądali, aby Baryła i ja, jako członkowie SDKPiL, wystąpili z mińskiego Zjednoczenia i założyli w Mińsku grupę esdecką. Łapiński radził nam, żebyśmy usunęli ze Zjednoczenia „fraków” (frakcję rewolucyjną PPS). Odrzuciliśmy te żądania i rady, nie bacząc na to, że Leszczyński przebąkiwał coś o dyscyplinie partyjnej. Stało wreszcie na tym, że Unszlicht pojedzie z nami do Mińska żeby przekonać się naocznie, jak tam pracuje nasze Zjednoczenie, którego nie chcieliśmy rozbić.

To, co Unszlicht w Mińsku zobaczył, zmieniło całkowicie jego negatywne nastawienie do mińskiego Zjednoczenia. Tak się złożyło, że na drugi dzień po jego przyjeździe odbył się w Domu Ludowym wiec, zwołany już nie pamiętam z jakiego powodu. Przyszło tak dużo ludzi, że nie wszyscy mogli się pomieścić w sali, trzeba było urządzić dodatkowy mityng na ulicy. Nasze Zjednoczenie było bowiem organizacją masową, z którą — liczebnie — polskie organizacje socjalistyczne w Petersburgu czy Moskwie nie mogły się nawet porównać. Zjednoczenie liczyło w samym tylko Mińsku prawie dwa tysiące członków. Kiedy bolszewicy, w początkach maja, utworzyli samodzielną organizację

* Łapiński odgrywał w latach dwudziestych dość dużą rolę, stojąc na czele (pod nazwiskiem Michalski) biura badań kwestii ekonomicznych i politycznych w Berlinie. W biurze tych pracowało, oprócz kilku bolszewików, wielu ekonomistów, jak również kilku wybitnych mienszewików, jak np. B. I. Mikołajewski i G. P. Denike. Leszczyński stał w roku 1936 na czele Komunistycznej Partii Robotniczej Polski. Unszlicht był w latach późniejszych zastępcą Komisarza do Spraw Wojskowych, a następnie zastępcą Przewodniczącego W.Cz.K. Dolecki zajmował wysokie stanowiska rządowe, będąc m.in. kierownikiem TASS (sowieckiej agencji telegraficznej). Wszyscy oni zginęli podczas czystek w latach trzydziestych.

w Mińsku, liczyła ona nie więcej niż 50 osób *. Wspólna organizacja bolszewików i mienszewików, istniejąca w Mińsku do tego czasu, miała około 200 członków. Nieco później, w lipcu, organizacja bolszewicka w Mińsku liczyła 660 członków, a nasze Zjednoczenie w tym samym czasie od 6 do 8 tysięcy członków, płacących składki **.

Organizacja bolszewicka w Mińsku przechodziła różne koleje. Najpierw, zaraz po rewolucji lutowej, istniała, jak już powiedziałem, wspólna partia mienszewicko-bolszewicka. Kiedy Lenin powrócił do Rosji, ogłosił on w *Prawdzie* swoje słynne „tezy kwietniowe”, w których domagał się pogłębienia rewolucji: niezwłocznego oddania ziemi chłopom, upaństwowienia banków, kontroli robotników nad przemysłem i przejęcia władzy przez sowiety ***. Tezy te zostały przyjęte na pierwszej po-rewolucyjnej naradzie członków partii bolszewickiej w Petersburgu w końcu kwietnia, nie bacząc na to, że tacy wybitni działacze bolszewicy jak Kamieniew, Zinowiew, Rykow, Piatakow i inni wystąpili przeciwko nim. Ta sama konferencja poleciła wszystkim organizacjom bolszewickim, aby zerwały z nie-bolszewickimi partiami. Wskutek tego bolszewicy w Mińsku musieli zerwać nie tylko z mienszewikami, lecz i z naszym Zjednoczeniem, co też uczynili.

Wszystko to działo się jeszcze przed moim przyjazdem do Mińska. Heltman i Berson mówili mi, że zerwanie z mienszewikami nie było dla bolszewików specjalnie trudne, natomiast z nami zerwali z ciężkim sercem, tylko dlatego, że musieli się podporządkować wyższym organom partyjnym. Zjednoczenie, z którym bolszewicy współpracowali głównie dlatego, że występowało ono, jak i oni, przeciwko dalszemu prowadzeniu wojny, miało bowiem o wiele większe wpływy niż oni, nie tylko wśród robotników, lecz również wśród żołnierzy. W armii rosyjskiej było w tym czasie przeszło pół miliona Polaków. Najwięcej Polaków było na froncie zachodnim, a więc w pobliżu Mińska. Pamiętam że kiedy w kilka miesięcy później, już po przewrocie bolszewickim, A. F. Miasnikow wybrany został na zjeździe wojskowym Głównodowodzącym Frontu Zachodniego, to dziękując za wybór powiedział pół żartem, że żałuje iż nie mówi po polsku,

* *Połyimia* (bolszewicki tygodnik w języku białoruskim), Nr 7, Mińsk, 1926.

** Instytut Marksa-Engelsa-Lenina przy KC WKP(b), Partizdat, Moskwa, 1934, str. 196.

*** Konferencja, na propozycję Lenina, przyjęła również rezolucję, stwierdzającą, że wszystkie narody, wchodzące w skład dawnego imperium rosyjskiego, mogą, jeśli chcą, oderwać się od niego i uzyskać całkowitą niepodległość. „Przeciwdziałanie takim dążeniom”, jak głosiła rezolucja, „byłoby równoznaczne z popieraniem aneksji”.

bo chciałby podziękować swoim wyborcom w ich własnym języku. Wśród delegatów na ten zjazd, odbywający się w teatrze miejskim w Mińsku, był istotnie bardzo duży procent Polaków*.

Mińskim bolszewikom bardzo zależało na poparciu Zjednoczenia i w czerwcu zwrócili się do nas z propozycją wznowienia choćby luźnej współpracy. Przechodzili oni wówczas złą passę. Jeśli bowiem przedstawić graficznie rozwój rewolucji aż do jej kulminacyjnego punktu, to jest przewrotu bolszewickiego w październiku, to linia tego rozwoju nie będzie linią prostą, pnącą się ku górze. Opuszcza się ona na dół, podnosi i znowu zniża, jak druty telegraficzne, o których pisałem, widziane z okna pociągu. Czerwiec był dla bolszewików miesiącem odpływu. Rząd Tymczasowy uzyskał poparcie ogromnej większości ludności, zdołał nawet, w każdym razie do pewnego stopnia, przywrócić dyscyplinę w armii. Na ulicach Mińska żołnierze salutowali, kiedy mijał ich oficer, w kawiarni „Select”, najelegantszej w mieście, znowu grała muzyka i znów, jak za przedrewolucyjnych czasów, nie wpuszczano do kawiarni żołnierzy, a tylko oficerów. Na ulicach odbierano gazeciarzom i palono egzemplarze bolszewickiego pisma żołnierskiego *Okopnaja Prawda*.

Wznowiliśmy w tym czasie współpracę z bolszewikami i postanowiliśmy ich popierać, a Rząd Tymczasowy zwalczać. Postanowienie to powzięliśmy na posiedzeniu w Domu Ludowym, trwającym całą prawie noc. Brało w nim udział około 20 osób, był na nim także obecny Unszlicht. Kierowaliśmy się tym, że bolszewicy, i tylko oni, dążą do szybkiego zakończenia wojny, i że tylko oni stawiają jasno i kategorycznie sprawę odłączenia się od Rosji wszystkich narodów, które tego zapagną.

Miński Sowiet był już w tym czasie w rękach bolszewików**. Ale w panującej wówczas atmosferze, w sytuacji dla bolszewików niepomyślnej i wyraźnie odpływowej, żądanie Lenina o przejęciu przez sowiety pełni władzy trzeba było odłożyć. Sowiety musiały tymczasem wykazać się jakąś inną działalnością, która zdobyłaby dla nich z powrotem sympatie ludności. Z tych pewnie źródeł wypłynęła decyzja, dotycząca walki z bandytyzmem. Chodziło o bandytów i włamywaczy autentycznych, jak również o tak zwanych „skakunów”, pomysłowych złoczyńców specjalnego typu, działających, o ile mi wiadomo, wyłącznie na terytorium Mińska i już choćby z tego względu zasługujących na wzmiankę w tych

* Był to jedyny w historii rewolucji wypadek, kiedy Głównodowodzący wybrany został przez głosowanie na publicznym zebraniu. Wszyscy inni wyżsi dowódcy sowieccy, przedtem i później, byli mianowani, a nie wybierani.

** Na 337 jego członków w Sowiecie było 184 bolszewików, 62 eserów, 25 mienszewików i 21 bundowców. Pozostali nie należeli do żadnych partii.

wspomnieniach. Czytelnik zaraz się dowie, co to byli za jedni, ale najpierw o zwykłych bandytach i włamywaczach.

Rozpanoszyli się oni w tym czasie niesłychanie. Napady rabunkowe na ulicach, wieczorami i w nocy, były na porządku dziennym, w mieszkaniach włamywano nie tylko zamki w drzwiach, lecz często całe drzwi, wynosząc wszystko co się dało. Uchodziło to niemal że bezkarnie. Naczelnikiem milicji był członek naszego Zjednoczenia, były pepesowiec z Organizacji Bojowej, człowiek wesoły, otwarty i nieco bezładny. Nazwiska jego nie pamiętam. Zajmował się on głównie wygłaszaniem przemówień na tematy polityczne, podkreślając w nich, że spędził wiele lat w więzieniach w Polsce, co było prawdą. Ale z bandytami nie umiał sobie poradzić, wskutek czego Komitet Wykonawczy Sowietu wyznaczył mnie i jeszcze kilku jego członków do komitetu, któremu poruczono bandytyzm zlikwidować.

Pewnego wieczoru rozpocząłem więc walkę z bandytyzmem w zasięgu moich możliwości. Miałem na rękawie opaskę z napisem „Ispołkom”, a w kieszeni nagan. W wyprawie towarzyszył mi doktor Pinkus, były lekarz Pogotowia Ratunkowego w Łodzi, pepesowiec, człowiek usposobiony bardzo pokojowo, który pojechał ze mną z ciekawości. W ciężarówce która nas wiozła było kilku uzbrojonych żołnierzy z 37 pułku piechoty oraz niejaki Koroljow, również żołnierz, który tych żołnierzy na moją prośbę zmobilizował. Koroljow przebywał stale w gmachu na Jurjewskiej, zawsze gotów do wszelkich wyczynów, które uważał za rewolucyjne. Takich jak on było wówczas wielu. Brali się nie wiadomo skąd (Koroljow był prawdopodobnie po prostu dezertorem), chodzili koło rewolucji, znikali gdzieś na pewien czas i zjawiali się znowu. Koroljow czuł do mnie sympatię i chodził ze mną czy za mną, jak sam się wyrażał, *nieotłuczno* (nieodłącznie), co uważał w pewnym okresie za główne swoje zajęcie i co trwało aż do czasu kiedy, już po przewrocie bolszewickim, zadeklarował się jako anarchista i znikł z horyzontu.

Naczelnik milicji powiedział nam, że królem bandytów i wszelkiego rodzaju opryszków jest osobnik o przydomku Poczuj, mieszkający na przedmieściu Dolna Lachówka, i że właściciele piwiarni w tej okolicy trudnią się przeważnie paserstwem. Pojechaliliśmy przeto na Dolną Lachówkę. Było tam bardzo ciemno, ale w jakiejś piwiarni paliły się lampy. Zaproponowałem aby żołnierze, dla dodania sobie i nam animuszu, wystrzelili kilka razy w powietrze. Kiedy to uczynili, wkroczyliśmy do piwiarni, gdzie wszyscy obecni, z własnej inicjatywy, podnieśli od razu ręce do góry.

W pokoju za szynkwasem żołnierze znaleźli dużo ubrań,

butów, damskich sukien i innych rzeczy, pochodzących prawdopodobnie z kradzieży. W innej piwiarni też znaleźli jakieś towary podejrzanego pochodzenia. Naśladowali to wszystko na ciężarówkę i pojechaliśmy dalej. Jeździliśmy po Dolnej Lachówce kilka godzin, poszukując owego Poczuj. Nie znaleźliśmy go, ale nasza nocna wizyta wywołała duże wrażenie, głównie dzięki salwom karabinowym, oddawanym przez żołnierzy od czasu do czasu. Skonfiskowane rzeczy odesłałem do milicji. Nie wiem, czy wyprawa wpłynęła na zmniejszenie bandytyzmu, ale przypuszczam, że w jakiś sposób wpłynęła. Doktor Pinkus opowiadał mi później, że po mieście krąży pogłoski iż Sowiet posłał na Dolną Lachówkę żołnierzy, którzy rozstrzelali tam wielu bandytów.

Ze „skakunami” (od słowa skakać) rzecz miała się tak: ktoś wynalazł i wyrabiał sprężyny, które przymocowywali oni sobie do podeszew. Sprężyny były tak mocne, że odbijając się od trotuaru, „skakuny” mogli przelecieć z jednej strony ulicy na drugą. Dla większego efektu, zawijali się w prześcieradła i operowali wyłącznie w nocy, spadając na przechodniów jakby z nieba. Bano się ich panicznie. Były wypadki śmiertelnych ataków sercowych, wywołanych przez tych skoczków, którzy, uzbrojeni w noże, zabierali swoim ofiarom wszystko, pozostawiając ich często na ulicy w bieliznie.

W walce przeciwko bandytom na sprężynach nie brałem udziału, ale informowałem mnie o niej Koroljow, który ją prowadził i wygrał. Namówił naczelnika milicji, z którym go zapoznałem, aby przebrał kilku milicjantów w kobiece suknie i wysłał ich na wabia na sam koniec ulicy Zacharzewskiej, koło parku, gdzie skoczkowie najczęściej grasowali. Fortel się udał. Koroljow, ukryty za płotem z kilkoma żołnierzami, wziął do niewoli jednego z tych powietrznych rycerzy, a ten wydał innych. Ale nocne napady nie ustawały. Koroljow wpadł wówczas na niezwykle pomysł. W Mińsku w tym czasie nie było tramwaju elektrycznego, a była tylko „konka” — tramwaj konny. Wóz ciągnęły dwa konie, ale na zbiegu ulic Zacharzewskiej i Gubernatorskiej, gdzie ta „konka”, kierując się w stronę dworca kolejowego, musiała wspinać się pod górę, przyczepiano trzeciego konia. Otóż Koroljow przez swoje stosunki w Sowiecie sprawił, iż Sowiet wydał zarządzenie, mocą którego „skakuny”, schwytani na gorącym uczynku, mieli ciągnąć, zamiast trzeciego konia, ów tramwaj, w swoich białych prześcieradłach, na wieczną ich hańbę i pośmiewisko całego miasta. Sowiet nie miał oczywiście żadnego prawa do wydawania takich zarządzeń, ale to nie odgrywało roli. Prawie wszystko robiło się wtedy *jawocznym poriadkiem*, to znaczy stwarzając fakty dokonane.

O ile mi wiadomo, rozporządzenie Sowietu nigdy nie zostało urzeczywistnione. Ale tu znowu zagrała masowa psychologia i masowa hipnoza. W mieście opowiadano, że „skakuny” ciągną tramwaj na Zacharzewskiej, mnóstwo ludzi twierdziło, że ich tam widziało na własne oczy i że woźnica popędzał ich batem. Ja sam byłem świadkiem tego, jak na rogu Zacharzewskiej i Gubernatorskiej zbierały się grupy gapiów w oczekiwaniu ciekawego widowiska. „Skakuny” albo uwierzyli tym plotkom, albo zlekli się tego co ich czekało i zaprzestali swojej działalności.

3.

Powstanie Kornilowa i jego skutki

Wielka czerwcową ofensywa na froncie, zmontowana z dużym trudem przez Kiereńskiego, zupełnie się nie udała. Niemcy odparli wszystkie ataki i zadali wojskom rosyjskim dotkliwe straty. Rozpętało to w całej Rosji nową anty-bolszewicką burzę. Nastroje ulegały szybkim zmianom, teraz bolszewików oskarżano o to że ich propaganda anty-wojenna spowodowała masowe dezercje z frontu i dlatego ofensywa się nie udała.

Burza jeszcze się wzmogła, kiedy trzeciego i czwartego lipca bolszewicy urządzili w Petersburgu wielkie demonstracje uliczne z udziałem tysięcy robotników. Do robotników przyłączyło się wielu żołnierzy, a czwartego lipca przeszło 20.000 marynarzy z pobliskiego Kronsztatu, których sprowadził do miasta Fiodor Raskolnikow. Marynarze, pod jego dowództwem, zajęli Twierdzę Petropawłowską, i zgodzili się ją ewakuować dopiero po długich pertraktacjach, które w imieniu petersburskiego Sowietu — marynarze innych władz nie uznawali — prowadził z nimi mienszewik Liber (mienszewicy, wraz z eserami, rozporządzali większością głosów w Sowiecie). Takie same demonstracje, trochę mniej liczne, odbyły się w jeszcze kilku miastach.

Rząd Tymczasowy, zaniepokojony tymi wypadkami, odpowiedział na nie aresztowaniem Trockiego, Łunaczarskiego i wielu innych znanych bolszewików. Wydał również rozkaz aresztowania Lenina, który się jednak ukrył. Bolszewików oskarżono o to, że organizując manifestacje usiłowali obalić rząd i zdobyć władzę. Lenina, jak oświadczył Prokurator Naczelny, oskarżono dodatkowo o to że był tajnym agentem niemieckim, na co prokuratura jakoby posiadała dowody.

Oba te oskarżenia wytoczono z przyczyn politycznych. Bolszewicy niewątpliwie dążyli do zdobycia władzy, ale wszystko

wskazuje na to że w lipcu nie byli jeszcze do tego gotowi. Przejrzałem, pisząc te wspomnienia, dużo materiałów historycznych które o tym świadczą i mogą potwierdzić również na podstawie tego, co sam pamiętam, że tak właśnie było. Byłem w Petersburgu w końcu lipca, kiedy odbywał się tam szósty — tajny — zjazd partii bolszewickiej. Nie byłem na tym zjeździe, ale widywałem się z polskimi esdekami, którzy mieli o nim dokładne wiadomości, oraz z Raskolnikowem, który był delegatem na zjazd. Ponieważ groziło mu aresztowanie, nocował w konspiracyjnym mieszkaniu, w którym nocowałem i ja — nie ze względów konspiracyjnych, tylko dlatego, że tak się akurat złożyło. Moje rozmowy z Raskolnikowem i z innymi bolszewikami, świadomymi rzeczy, potwierdzały, że o zagarnięciu władzy bolszewicy w tym czasie nie myśleli, przygotowując przewrót na czas późniejszy.



Był to już koniec sierpnia. Generał Kornilow, Naczelny Wódz, szykował się do obalenia Rządu Tymczasowego. Nikt nie wiedział, kiedy Kornilow ruszy na Petersburg, ale dla wszystkich było jasne, że zamierza to wkrótce uczynić. Świadczyło o tym jego przemówienie na Naradzie Państwowej w Moskwie, zwołanej przez Kiereńskiego, a także bardzo energiczna propaganda, uprawiana przez jego zwolenników. Prasa prawicowa poczęła wychwalać Kornilowa i jego wyczyny podczas wojny. Na ulicach rozdawano broszury, zawierające jego biografię. Na wystawach sklepowych widziało się jego portrety, z samochodów wojskowych rozrzucono ulotki, wzywające do poparcia Kornilowa „kiedy zajdzie potrzeba”.

Kornilowa mianował Głównodowodzącym sam Kiereński. Był to niewątpliwie największy błąd w jego politycznej karierze. Jak wielu innych carskich generałów, Kornilow niby to popierał Rząd Tymczasowy. Ale według świadectwa tych, którzy go bliżej znali, Kornilow odgrażał się, że po zdobyciu władzy każe powiesić nie tylko socjalistycznych przywódców, lecz nawet takich działaczy jak nieco liberalny monarchista Guczkow i kadet Miljukow. Jednakże władzy Kornilow nie zdobył. Jego powstanie rozpoczęło się 27 sierpnia. Ale kolejkarze zatrzymali pociągi z jego wojskami, mającymi zdobyć Petersburg, telegrafisci nie przesyłali jego rozkazów do wojsk, oddziały wojskowe, popierające Rząd Tymczasowy, jak również uzbrojone oddziały robotnicze uniemożliwiły wymarsz sił Kornilowa z Mohylewa, gdzie była kwatera główna Naczelnego Wodza. Już na drugi dzień jego żołnierze poczęli przechodzić na stronę Rządu Tymczasowego, a po upływie czterech dni

powstanie było całkowicie zlikwidowane. Generałowie Korniłow, Denikin i Łukomski zostali aresztowani*, generał Kryłow, dowódca korpusu kawaleryjskiego, który miał pierwszy wkroczyć do stolicy, popełnił samobójstwo.

Tak szybko zlikwidowanie zamachu Korniłowa było możliwe tylko dzięki temu że Rząd Tymczasowy, w walce z nim, opierał się na wszystkich partiach socjalistycznych, nie wyłączając bolszewickiej. Rządowi zależało specjalnie na poparciu bolszewików, ponieważ mieli oni wciąż jeszcze wpływy wśród żołnierzy i wśród najbardziej bojowo nastawionych robotników. Trockiego i innych aresztowanych bolszewików wypuszczono wskutek tego na wolność, te bolszewickie gazety, które rząd zamknął, zaczęły znowu wychodzić.

Natychmiast po stłumieniu powstania Korniłowa zmieniała się atmosfera polityczna w całej Rosji. Przed powstaniem popierająca Korniłowa prasa, mówcy na mityngach, zwykli mieszczanie w prywatnych rozmowach, na ulicach, w sklepach, atakowali bolszewików i domagali się, aby rząd rozprawił się z nimi. Tego samego żądał Korniłow. Kiedy jednak rozpoczął swój nieudany pochód na stolicę, jego zamiary stały się jasne. Nikt nie miał wątpliwości, że chodzi mu nie o zlikwidowanie bolszewików, lecz o obalenie rządu, że zamierza zostać kontr-rewolucyjnym dyktatorem i zgnieść rewolucję. Masy ludności cywilnej, robotnicy i żołnierze stanęli w jej obronie. Na ulicach i w parku miejskim znowu, jak w dniach rewolucji lutowej, występowali na improwizowanych wiecach nikomu nieznanym ludziom, wygłaszając rewolucyjne przemówienia. Nie byli to agitatorzy bolszewicy czy inni. Do głosu dochodziły znowu masy, których nastroje ci mówcy wyrażali. Widziałem wtedy wyraźnie, że poprzedzające powstanie nastroje były tylko pianą, pokrywającą nurt rewolucyjnej rzeki. Po powstaniu Korniłowa okazało się, że nie zmieniała ona ani swego nacisku, ani kierunku.

4.

„Polska Prawda”. — *Mińscy bolszewicy przed przewrotem.* — *Wybory do Konstytuanty*

W połowie listopada ukazał się w Mińsku pierwszy numer pierwszego na terenie b. Rosji codziennego pisma socjalistycznego

* Zdołali oni uciec z więzienia dopiero po przewrocie bolszewickim. Gen. Denikin sam stanął wówczas na czele wojsk kontr-rewolucyjnych.

w języku polskim. Nazywało się ono początkowo *Prawda*, a od nr. 25, który wyszedł 15 grudnia 1917 roku, *Polska Prawda*. Pismo wychodziło codziennie w ciągu trzech i pół miesięcy, aż do zajęcia miasta przez wojska niemieckie. Pieniądze na pierwsze 15-20 numerów pochodziły z zebranych na ten cel datków na wiecach Zjednoczenia, którego *Polska Prawda* była organem. Później gazetę finansował miński Sowiet.

O papier gazetowy było wtedy trudno. Drukowaliśmy *Polską Prawdę* na papierze do pakowania, ciemno-brunatnego koloru. Z rzadka tylko wychodziła na papierze normalnym.

Redaktorem został Berson, który uruchomił pismo niemal ze własnymi siłami. Gazetę, drukowaną na takim papierze, trudno było czytać, ale jeszcze trudniej było ją wydawać. Ze wszystkich członków Zjednoczenia jeden tylko Heltman pisywał kiedyś artykuły dla prasy socjalistycznej. Redakcja składała się z Bersona, Heltmana i mnie. Artykuły wstępne i dwa lub trzy inne — codziennie! — pisywał początkowo Berson. Heltman nie umiał pisać artykułów w takim tempie, a ja w ogóle nie umiałem. Ale Berson, jak się okazało, robił błędy: kształcił się w Szwajcarii i w Niemczech, nie w Polsce. Poprawiała jego artykuły żona Heltmana, Jadwiga Moszyńska, albo ja to robiłem. Później, chyba w kilka tygodni po wydaniu pierwszego numeru, zacząłem pisywać artykuły sam, w takim samym tempie jak Berson. Nie pamiętam zupełnie, co wtedy pisałem. *Polskiej Prawdy* nie ma w żadnej bibliotece na świecie, nawet w bibliotece Zakładu Historii Partii w Warszawie. Widziałem później to pismo tylko raz, kiedy w roku 1920 siedziałem w X-tym Pawilonie w Warszawie. Przyniósł wtedy na badanie cały komplet *Polskiej Prawdy*, starannie oprawiony, porucznik Kurcman, który z ramienia Defensywy prowadził moją sprawę. Pokazał mi komplet, ale nie zgodził się na to, bym swoje własne artykuły przeczytał. Powiedział, że sam je czytał i że to wystarczy.

W jednej z wydanych wiele lat później w Warszawie książek* odnalazłem swoje własne wspomnienia o *Polskiej Prawdzie*, które zamieściło pismo *Młot* — nie pamiętam, gdzie wychodziło — w numerze z dnia 20 stycznia 1926 roku. Pisałem w tych wspomnieniach, że „redakcji w ścisłym znaczeniu tego słowa w ogóle nie było, każdy z nas pisał artykuły na rozmaitych posiedzeniach i sami przynosiliśmy te artykuły w nocy do drukarni, wręczając je bezpośrednio zecerom”. Pamiętam, że jeden z tych zecerów nazywał się Malinowski. Linotypu nie mieliśmy, wszystko skła-

* Andrzej Ślisz: *Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji, 1915-1919*. Warszawa, 1967.

dało się ręcznie. Zecerów prócz Malinowskiego było jeszcze kilku, ale to byli zwykli zecerzy, podczas gdy Malinowski był w zawodzie zecerskim geniuszem. Składał z niesłychaną szybkością i bez omyłek. Można było drukować to co składał bez korekty, co więcej, sam często poprawiał błędy autorów. On też łamał numer, czego żaden z nas nie umiał. Malinowski pracował po pijanemu jeszcze lepiej niż kiedy był trzeźwy i miał tylko jedną wadę: dodawał czasami do niektórych artykułów kilka zdań własnego pomysłu. Robił to, jak utrzymywał, żeby sobie ułatwić łamanie numeru, bo artykuły były za krótkie, ale istotny powód polegał prawdopodobnie na tym że Malinowski, który przez wiele lat składał cudze myśli, chciał ujrzeć w druku swoje własne. To co dodawał brzmiało mniej więcej tak: „Nie bacząc na wszystko, proletariat zmiecie z kuli ziemskiej wszystkich eksploatatorów. Niech żyje rewolucja i postęp!”. Swoje dodatki oddzielał zwykle od artykułów gwiazdkami. Na jakimś zebraniu w Domu Ludowym dowiedziałem się, że wielu czytelników bierze owe dodatki za cytaty z Marksa.

Trudno mi dziś zrozumieć, w jaki sposób *Polska Prawda* mogła wychodzić, ale faktem jest, że wychodziła. Nie wiem, jaki miała nakład. Pewnie duży, jak na ówczesne czasy, bo widywałem te brunatne stronicie wszędzie na mieście, wysyłałiśmy też nasze pismo do Petersburga, do Moskwy i na front, do jednostek, w których byli żołnierze-Polacy.

W tej samej książce Andrzeja Ślisza przeczytałem, że Stefan Heltman zginął w Rosji podczas czystek w latach trzydziestych po części dlatego że był kiedyś współredaktorem *Polskiej Prawdy*. Usunięto go w czasie czystek ze wszystkich stanowisk jakie zajmował i, jak to było wówczas w zwyczaju, szkalowano długi czas w prasie zanim go zabito. Zarzucano mu że jest polskim nacjonalistą, czego dowodem miało być to, że w roku 1917 zmienił nazwę pisma *Prawda* na *Polską Prawdę*, albo w każdym razie nie przeciwstawił się tej zmianie. Heltman tłumaczył się, że zmiana nazwy nie miała żadnego charakteru politycznego, że trzeba to było zrobić po prostu dlatego, że w Petersburgu wychodziła *Prawda* po rosyjsku. Tłumaczenie to uznano za „charakterystyczny i typowy wykręt polskiego szowinisty”.

Choć nie pamiętam żadnego z moich artykułów w *Polskiej Prawdzie*, wiem jakie było ich ogólne nastawienie, ponieważ na zasadzie materiałów z tego okresu zdołałem odtworzyć pozycję,

zajmowaną wtedy przez Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne. Przypominam sobie również spory, które toczyliśmy z K. Łanderem i W. Knorinem, przewodniczącym i sekretarzem mińskiej organizacji bolszewickiej. Przedmiotem tych sporów była broszura Lenina „Czy bolszewicy utrzymają w swoich rękach władzę państwową?” (*Udierżat li bolszewiki gosudarstwiennuju włast’?*), jeśli ją zdobędą. Broszura ukazała się we wrześniu w Petersburgu. Lenin nie tylko żądał w niej, aby bolszewicy zagarnęli władzę, ale odpowiadał afirmatywnie na postawione w tytule pytanie, pisząc że żadna siła na świecie nie potrafi wyrwać władzy z rąk bolszewików jeśli ją zdobędą.

Broszura wywołała w Mińsku wielkie zaniepokojenie wśród miejscowych bolszewików. Pierwszą na nią reakcją mińskiego komitetu partii było wykupienie jej we wszystkich kioskach — nie było ich zbyt wiele — gdzie broszurę sprzedawano. Miejscowy organ bolszewicki nie napisał o niej ani słowa. Ale nasze Zjednoczenie miało swoje własne kontakty z Petersburgiem i Moskwą. Otrzymaliśmy sensacyjną broszurę i zażądaliśmy, aby zwołane zostało posiedzenie, na którym bolszewicy wyjaśnią nam, jakie mają zamiary na najbliższą przyszłość. Na tym posiedzeniu Łander, który właśnie tego dnia wrócił z Petersburga, powiedział nam, że stanowiska Lenina bynajmniej nie podziela większość Komitetu Centralnego — co odpowiadało rzeczywistości. Poinformował nas także, że Lenin zaproponował mienszewikom i eserom, aby utworzyli rząd bez udziału przedstawicieli stronnictw burżuazyjnych, obiecując, że bolszewicy będą popierali taki rząd, pod warunkiem, że będzie się on opierał na sowietach. Mienszewicy i esery odrzucili tę propozycję, wobec czego Lenin, w swoim własnym imieniu, wysunął hasło rządu czysto bolszewickiego*.

Rezultat posiedzenia o którym mówię był taki, że nasze Zjednoczenie postanowiło popierać na wiecach i w *Polskiej Prawdzie* hasło przejęcia władzy przez sowiety, ale nie przez partię bolszewicką. Tłumaczyłem na polskich wiecach słuchaczom, że hasło *wsja włast’ sowietam* oznacza właściwie władzę wszystkich ludzi pracujących, ponieważ do sowietów mogli wybierać i być wybierani nie tylko robotnicy, chłopci i żołnierze, lecz także inteligencja pracująca i wszyscy właściwie pracownicy umysłowi. Nie mogli wybierać delegatów do sowietów tylko oficerowie, którzy jednak sami mogli być wybierani przez żołnierzy, właściciele ziemscy,

* Ta propozycja Lenina zamieszczona później została w wydaniu zbiorowym jego dzieł. Mówi o niej również N. N. Suchanow w swoich wspomnieniach (wydanie amerykańskie, str. 525).

fabrykanci i właściciele przedsiębiorstw i duchowni wszystkich wyznań.



W początkach października rozpoczęła w Mińsku swoją działalność komisja, mająca przygotować wybory do Konstytuanty w okręgu zachodnim i na zachodnim froncie. Wszystkie stronnictwa polityczne głosiły — podobnie jak Rząd Tymczasowy — że Konstytuanta (*Uczreditelnoje Sobranije*) wybierze stały rząd, któremu wszyscy będą się musieli podporządkować. Wybory do Konstytuanty miały się odbyć na zasadzie nowego prawa wyborczego, którego w ciągu dziesięcioleci domagały się w Rosji partie socjalistyczne: miały być bezpośrednie, tajne i proporcjonalne, wszyscy bez wyjątku obywatele mieli prawo głosu. Jednocześnie z rozpoczęciem działalności Komisji zaczęła się akcja przedwyborcza, którą wszystkie stronnictwa, nie wyłączając bolszewików, brały bardzo serio. Stronnictwa zmobilizowały najlepszych mówców, drukowano odezwy, ulotki, afisze, wezwania i portrety kandydatów. Wybory do Konstytuanty stały się najważniejszą sprawą, wszystkie inne zeszyły na drugi plan.

Aż 19 partii przedstawiło listy swoich kandydatów. Przewodniczącym Komisji został Kazimierz Petruszewicz, Polak, znany miński adwokat i działacz społeczny z dosyć ciekawą biografią. W roku 1898 był on jednym z dziewięciu delegatów na zjazd, na którym powstała Rosyjska Socjal-Demokratyczna Partia Robotnicza która później, w roku 1912, podzieliła się na mienšewików i bolszewików. Zjazd ten odbył się w Mińsku, w małym drewnianym domku przy końcu ulicy Zacharzewskiej. Petruszewicz siedział później niejednokrotnie w więzieniach carskich i spędził pięć lat na zesłaniu, ale po roku 1905 odszedł od ruchu robotniczego i w roku 1917 był liberałem o z lekka lewicowym zabarwieniu*.

Przedstawicielem bolszewików w Komisji był początkowo W. S. Seljezniow, kapitan armii carskiej, stary członek partii. Był to człowiek zrównoważony i raczej przyjemny w obejściu, ale na jakimś posiedzeniu Komisji ktoś go zyrutował, Seljezniow zwymyślał go, jak również całą Komisję, co przeniknęło do prasy i trzeba go było odwołać.

Na bolszewickiej liście kandydatów do Konstytuanty z okręgu

* W okresie dwudziestolecia Petruszewicz mieszkał w Wilnie, występując jako obrońca w procesach politycznych, między in. w procesie białoruskiej „Hromady” w roku 1928. Był również profesorem Uniwersytetu Wileńskiego, ale pozbawiono go katedry za protest przeciwko procesowi brzeskiemu. Umarł w Warszawie jako sędzia Sądu Najwyższego w roku 1948.

zachodniego figurowały nazwiska trzech polskich esdeków: Juliana Leszczyńskiego, Stanisława Bobińskiego i Franciszka Grzelszczaka*. Powołując się na to, mińscy bolszewicy zaproponowali mi, abym został przedstawicielem ich partii w Komisji Wyborczej. Podkreślali, że lista bolszewicka nie jest czysto bolszewicka i że skoro nasze Zjednoczenie własnej listy nie zgłosiło i postanowiło popierać listę bolszewicką, moja praca w Komisji wiąże się logicznie z tym postanowieniem.

Takie były motywy oficjalne. Nieoficjalne były nieco inne. Bolszewikom, po skandalu z Seljezniowem, zależało na tym, aby ich przedstawicielem w Komisji był ktoś „z europejskimi manierami”, a ja za takiego uchodziłem. Liczyli też na to, że na ich listę padnie więcej głosów, jeśli ich przedstawicielem w Komisji będzie Polak.

Namyślałem się w ciągu jakiegoś czasu, czy propozycję przyjąć. Zależało to tylko ode mnie samego. Dyscypliny partyjnej w tym sensie, w jakim istniała ona w czasach późniejszych, ani w SDKPiL ani w naszym Zjednoczeniu wówczas jeszcze nie było. Każdy robił to co uważał za najbardziej potrzebne i do czego najlepiej się nadawał, naradzając się oczywiście z towarzyszami. Zdania moich mińskich przyjaciół były podzielone. Jedni byli stanowczo przeciw, inni stanowczo za. Porozumiałem się telefonicznie z esdekami w Petersburgu, którzy byli zdania, że powinieniem propozycję przyjąć, co też uczyniłem.

Komisja miała aparat techniczny, zajmujący się przygotowaniem wyborów, ale na jej posiedzeniach plenarnych omawiano wyłącznie sprawy polityczne. Wobec tego, że w Komisji zasiadali przedstawiciele wszystkich partii, cieszyła się ona dużym autorytetem i uważano ją bądź to za organ nad-rządowy, bądź też za jeszcze jeden organ władzy, trzeci obok Rządu Tymczasowego i Sowietów. Musiała też często rozpatrywać sprawy trudne, nie mające nic wspólnego z wyborami do Konstytuanty, ponieważ ani Komisarz Rządu Tymczasowego ani miejscowy Sowiet rozstrzygać ich nie chcieli, nie chcąc oparzyć sobie palców. Postanowienia Komisji były zwykle przyjmowane jednomyślnie, ale zdarzało się że przedstawiciele wszystkich partii zajmowali jakieś stanowisko, i tylko ja jeden stanowisko odmienne. Petruszewicz w takich wypadkach podpierał głowę ręką i spoglądał na mnie wzrokiem

* Wszyscy trzej zostali później do Konstytuanty wybrani. O losie Leszczyńskiego mówiłem już przedtem. Bobiński zginął również w Rosji podczas czystek. Grzelszczak wrócił do Polski po zakończeniu pierwszej wojny, brał udział w ruchu robotniczym i był aresztowany. Dalsze jego losy nie są mi znane.

pełnym bołości. Pewnego razu zwrócił mi grzecznie uwagę, że jestem nie tylko najmłodszym członkiem Komisji, lecz również „człowiekiem bardzo młodym w ogóle”.

Któregoś dnia zastrajkowali w Mińsku piekarze, strajk się przeciągał i zabrakło chleba. Komisja zajęła się tą sprawą, ponieważ brak chleba był poważnym problemem politycznym. Przedstawiciel mienszewików zaproponował, aby jednogłośnie potępić strajk i wezwać Związek Piekarzy, aby go bezzwłocznie przerwał, co ze względu na autorytet Komisji miałoby duże znaczenie. Wszyscy prócz mnie poparli ten wniosek.

— Czy przedstawiciela bolszewików nie krępuje — zapytał tłumiąc gniew, Petruszewicz — że osiemnastu członków Komisji ma inne zdanie niż on?

Odpowiedziałem że mnie to nie krępuje, ponieważ partia, którą reprezentuję otrzyma na wyborach więcej głosów niż wszystkie inne, razem wzięte *. Petruszewicz, który dobrze znał nastroje ludności i żołnierzy na froncie w tym czasie, powiedział, że może mam co do tego rację, ale że piekarze których bronie nie są z pewnością proletariuszami w ścisłym znaczeniu tego słowa i że mają niezbyt czyste ręce w sensie wcale nie zawodowym.

Było to prawdą. Piekarze spekulowali mąką na czarnym rynku, sprzedając ją na lewo za drogie pieniądze, a kiedy Rada Miejska wtrąciła się do tego, zarządzając rekwizycję mąki i sprzedaż jej pod jej kontrolą, piekarze, w porozumieniu z właścicielami piekarni, ogłosili strajk, skierowany nie przeciwko właścicielom, tylko przeciwko Radzie Miejskiej. Ukrócenie ich mogło więc wyjść tylko na dobre ludności, ale... Związek Zawodowy Piekarzy, jeden z niewielu, popierał bolszewików. A w Mińsku robotników przemysłowych prawie nie było, ani prawdziwych proletariuszy, więc bolszewicy bardzo sobie ten związek cenili.

* Wybory do Konstytuanty, które odbyły się dopiero w listopadzie, już po przewrocie bolszewickim, zakończyły się na froncie zachodnim i w zachodnim okręgu wielkim zwycięstwem bolszewików. Na froncie, gdzie głosowało 976.000 żołnierzy, na listę bolszewicką padło 653.000 głosów, eserzy otrzymali 180.000 głosów, kadeci 16.000, resztę mienszewicy i inne partie. W guberni mińskiej wzięło udział w wyborach 488.000 osób. Na bolszewików głosowało 340.000, na eserów 108.000. 8.000 głosów otrzymali bundowcy i mienszewicy przeszło 30.000 padło na różne żydowskie partie nie-socjalistyczne.

Front i okręg zachodni były jedynymi okręgami wyborczymi, gdzie bolszewicy odnieśli zwycięstwo. Ogólny rezultat wyborów był następujący: Bolszewicy 25 % głosów, mienszewicy i eserzy razem 62 %, kadeci 13 %. Ogółem wybrano 715 członków Konstytuanty, z tego 412 eserów, 183 bolszewików, 17 mienszewików i 16 kadetów — „Konstytucyjnych Demokratów”, na czele których stał Miljukow.

Rozmowa z Głównodowodzącym Frontem Zachodnim. — Dentysta Sonkin i jego przepowiednie. — Przewrót bolszewicki. — „Dzika Dywizja” w Mińsku.

W październiku nastąpił gwałtowny wzrost cen na produkty żywnościowe. Żołnierzom na froncie nie dowożono żywności po kilka dni z rzędu. Transport kolejowy był całkowicie zdezorganizowany, pociągi chodziły nieregularnie. Ratowały do pewnego stopnia sytuację ciężarówki Związku Ziemstw, ale było ich za mało. Bolszewicy oskarżali w swojej prasie kapitalistów i spekulantów, że umyślnie chowają żywność, aby zgnieść rewolucję głodem. Spekulanci z pewnością chowali żywność, ale prawdopodobnie nie w celach politycznych, tylko żeby podbić ceny.

Rzucały się w oczy i inne zjawiska. Pisałem już, że podczas rewolucji lutowej tłum wykazywał nadzwyczajną sprawność, że panował wówczas braterski i podniosły nastrój. Teraz atmosfera była zupełnie inna. Wszyscy nienawidzili wszystkich, kiedy na ulicach Mińska zbierały się grupy przechodniów i występował jakiś mówca, można było z góry przewidzieć, że za chwilę dojdzie do bójki.

Na dwudziestego października zwołany został w Petersburgu Wszechrosyjski Zjazd Sowieców. W związku z tym krążyły wieści, że bolszewicy skorzystają ze zjazdu, aby wystąpić zbrojnie przeciwko Rządowi Tymczasowemu i zagarnąć władzę. Ale nikt w Mińsku nie wiedział, czy te pogłoski mają jakąś podstawę. Łączność z Petersburgiem była bardzo zła, o otrzymaniu połączenia telefonicznego nie było mowy, telegraf też funkcjonował coraz gorzej. Wieczorami chodziłem na dworzec kolejowy, o dziesiątej przychodził pociąg z Petersburga, zwykle z dużym opóźnieniem. Chodziło się na stację żeby zasięgnąć języka i kupić gazety, których później na mieście już nie można było dostać. Ale i w Petersburgu, nawet w środowisku bolszewickim, mało kto wiedział o planowanym przewrocie. N. N. Suchanow pisze w swoich pamiętnikach, że decyzja dotycząca zbrojnego powstania powzięta została w jego mieszkaniu już dziesiątego października, ale w głębokiej tajemnicy*. Dopiero cztery dni przed powstaniem w gazecie *Nowaja Żyźń*, redagowanej przez Maksyma Gorkiego, ukazał się, w kolejnych numerach 19, 20 i 21 października, długi artykuł Lenina w którym, polemizując z przeciwnikami powstania zbrojnego, pisał on, że „wyrzeczenie się powstania

* *Pamiętniki Suchanowa*, wydanie amerykańskie, str. 556.

jest równoznaczne z wyrzeczeniem się oddania pełni władzy sowietom” i że „nie ma pośredniej drogi”. Artykuł Lenina słusznie uważano w Petersburgu za zapowiedź powstania, ale te numery *Nowoj Żywni* albo do Mińska nie dotarły, albo doszły już po przewrocie. Przeczytałem ten artykuł dopiero teraz, wertując literaturę z czasów bolszewickiego przewrotu. Jednocześnie, w książce „Partia bolszewików w walce o dyktaturę proletariatu”*, znalazłem list Lenina do Komitetu Centralnego z 29-go września, w którym to liście pisze on:

„Kryzys dojrzał. Przyszłość rewolucji rosyjskiej została rzucona na szalę i wraz z nią przyszłość rewolucji międzynarodowej i walki o socjalizm”.

Powtarzam jednak, że te wypowiedzi Lenina nikomu w Mińsku nie były znane — może z wyjątkiem Knorina albo Mjasnikowa, którzy jednak, o ile o nich wiedzieli, zachowywali je w ścisłej tajemnicy. Trzeba dodać, że bezpośrednio przed przewrotem o informacje było jeszcze trudniej niż dawniej, ponieważ wielu „odpowiedzialnych”, jak się wówczas mówiło, to znaczy czołowych działaczy rewolucyjnych, zarówno bolszewików jak i mienszewików i eserów, wyjechało do Petersburga na Zjazd Sowietów.

Mieszkałem w tym czasie już nie u rodziców, tylko w Hotelu Europejskim, zarekwirowanym dla członków Komitetu Wykonawczego mińskiego Sowietu. 24 października, dosyć wcześnie rano, rozbudził mnie Ryszard Pikiel, Polak, który był jak i ja członkiem tego komitetu i mieszkał w tym samym hotelu. Powiedział mi że generał Bałujew, Głównodowodzący Frontem Zachodnim, zażądał aby przedstawiciele Komitetu Wykonawczego przyszli do niego na naradę. Pojechaliśmy zaraz z Pikielą na Jurjewską. Tam zdecydowano, że do Bałujewa pójdą Pikiel, mienszewik Stern i ja. Bałujew kilka razy odkładał telefonicznie naradę, wreszcie poszliśmy do niego późnym wieczorem.

Sztab Frontu Zachodniego znajdował się na rogu Zacharzewskiej i Gubernatorskiej w dużym gmachu otoczonym ogrodem, w którym przed wojną mieściło się gimnazjum żeńskie. Bałujew przyjął nas w asyście kilku oficerów. Był to starszy człowiek o powolnych ruchach i zmęczonych oczach. Zapytał nas, czy prawdą jest że Komitet Wykonawczy otrzymał ze stolicy wiadomość, że bolszewicy zamierzają obalić Rząd Tymczasowy. Powiedzieliśmy, że nic o tym nie wiemy. Pikiel dodał, że w mieście krążą pogłoski, iż Kwatera Główna Naczelnego Wodza w Mohylowie przygotowuje jakieś wystąpienie przeciwko sowietom.

* Moskwa, 1951, wyd. „Moskowskij Rabeczij”, str. 335.

— Pierwszy raz o tym słyszę — powiedział Bałujew. — My, wojskowi, podlegamy naszemu rewolucyjnemu rządowi w Petersburgu i nie zajmujemy się polityką. Moi oficerowie mogą to panom potwierdzić.

Któryś z nich nalał mu wody do szklanki. Bałujew wziął jakieś pigułki.

— My uznajemy Rząd Tymczasowy, powtórzył, ale podobno bolszewicy w Petersburgu postanowili go nie uznawać. Chciałem się dowiedzieć, co panowie o tym myślą. Ale skoro panowie też nie mają wiadomości...

Bałujew wstał i zaczął chodzić po gabinecie. W tej samej chwili rozległo się kilka wystrzałów karabinowych. Być może strzelali w powietrze pijani żołnierze. Strzelano wówczas w Mińsku każdego wieczoru i każdej nocy. Bałujew powiedział żartobliwie:

— Nowa rewolucja, czy co?

Później mówił coś o Kwaterze Głównej i Naczelnym Wodzu, skarżąc się, że nie odpowiada na jego depecze. Naczelnym Wodzem był wówczas generał Duchonin. Bałujew mówił o nim po prostu „Duchonin”. Któryś z oficerów rzucił mu zdziwione spojrzenie. Bałujew spostrzegł się i powiedział, że mówi o *generale* Duchoninie, Głównodowodzącym wszystkich sił zbrojnych.

— A zresztą cóż to teraz znaczy. Ja też niby to dowodzę frontem — niby to. Słowa, puste słowa, które straciły sens...

Przed wyjściem Bałujew prosił nas, żebyśmy napisali na kawałku papieru swoje nazwiska, „dla porządku”. Chodziło mu najwidoczniej tylko o to, żeby dostać od nas informacje co się dzieje w stolicy*.

Kiedy wyszliśmy od Bałujewa, ulice były puste. Po Gubernatorskiej szli pijani żołnierze w rozpiętych szynelach. Przed domem, w którym mieszkał, stał chudy, pochylony dentysta Sonkin, który leczył zęby mnie i mojej rodzinie. Majstrując w zębach, Sonkin zabawiał pacjentów opowieściami o sobie samym. Nie należał nigdy do żadnej partii, ale rewolucję popierał. Zawód dentysty nie był w tym czasie zbyt popłatny. Sonkin klepał biedę, zwłaszcza że miał dwóch synów w wieku szkolnym. Chciał być lekarzem, ale nie mógł się dostać na uniwersytet z powodu ograniczeń, jakim w carskiej Rosji podlegali Żydzi. Marzył o tym, aby choć jeden z jego synów został doktorem. Miał nadzieję, że w po-rewolucyjnej Rosji będzie to możliwe, ale kiedy plom-

* Rozmowę z gen. Bałujewem i kilka innych epizodów przewrotu październikowego opisałem później w jednym z artykułów, który odnalazłem w Bibliotece Zakładu Historii Partii w Warszawie.

bował mi ząb kilka tygodni przedtem, był nastrojony bardzo pesymistycznie.

— Rewolucja, mówił, wypędziła cara. Bardzo dobrze zrobiła. Ale rewolucjonistom zachciało się zbyt wiele, zaczęli sięgać po gwiazdy na niebie, więc to się musi źle skończyć, tak jak z Mitką Rubinsteinem. Mitka był za pan brat z carem, jadał kolacje z baletnicami, mieszkał w pałacu i ukradł sto milionów. Na co mu było tyle pieniędzy? Teraz ma się rozumieć spaść ze swojej wieży nosem w błoto i będą go sądzić. Obawiam się, że rosyjska rewolucja też źle skończy*.

Sonkin stał przed swoim domem w znoszonym palcie. Kiwnął mi głową i powiedział:

— Wszystko skończone. Pan zobaczy. Wszystko skończone.

W hotelu zjadłem z Pikiem kolację w pustej restauracji. Zwykle była przepełniona do późnej nocy.

W powietrzu czuło się nerwowe napięcie, kelnerzy patrzeli na nas tak jakby na coś czekali. Była to ostatnia noc przed bolszewickim przewrotem 25 października.



25 października miński Sowiet otrzymał z Piotrogradu** „Radio Nr 1”, donoszące, że „garnizon i proletariat stolicy obalili rząd Kiereńskiego, sprzeciwiającego się rewolucji ludowej”. Radio polecało, a właściwie rozkazywało sowietowi, aby „przeszkodził wszelkimi siłami wysłaniu do Piotrogradu niepewnych sił wojskowych”***.

W tenże dzień odbyło się dosyć burzliwe posiedzenie Komitetu Wykonawczego pod przewodnictwem Mjasnikowa, który dopiero co wrócił z Piotrogradu. Wyjechał jednak przed przewrotem i nie chciał albo nie umiał objaśnić, kto wysłał „Radio Nr 1” i czy władza przeszła do rąk partii bolszewickiej, czy też sowietów, w których bolszewicy nie mieli większości. Zapytywali go o to mienszewicy i eserzy, jak również Pikiel i inni bolszewicy. Posiedzenie przyjęło w końcu do wiadomości, nie wyrażając swojego stanowiska, że rząd Kiereńskiego przestał istnieć.

* Sonkin mówił o Matwieju Rubinsteinie, znanym petersburskim bankierze i milionerze, przyjacielu Rasputina, który pożyczał pieniądze jemu i carycy. Rubinstein z bogactwem się głównie na dostawach wojennych.

** Nie wiem czym się to tłumaczy, ale, o ile pamiętam, od czasu przewrotu bolszewickiego nazwa Piotrogród weszła w użycie w mowie potocznej.

*** Cytuję według książki Knorina „Rok 1917 na Białorusi i na Froncie Zachodnim”, Mińsk, 1925, str. 38. (Książka wyszła po rosyjsku).

Miasto tego dnia i w ciągu dni następnych było całkowicie spokojne, jakby sparaliżowane. W gmachu Seminarium Duchownego na Aleksandrowskiej (Seminarium przeniesiono gdzie indziej już na początku wojny) formował się pułk czy oddział, składający się z wypuszczonych właśnie z więzienia i z obozu na Sjeriebrance dezerterów. Na jego czele stał podporucznik Remniew, bolszewik, również dopiero co zwolniony z więzienia.

Wychodziły w dalszym ciągu wszystkie gazety: organ Bundu, organ eserów (mienszewicy swojego organu w Mińsku nie mieli), gazeta bolszewicka i dwa dzienniki polskie: „burżuazyjny” *Dziennik Miński* i nasza *Polska Prawda*. Przychodziły też z Moskwy i z Piotrogradu gazety wszystkich kierunków.

Mija jeszcze kilka dni — dwa lub trzy — podczas których nic się nie dzieje. Nikt też dobrze nie wie, kto w Mińsku sprawuje władzę. Sowieci rozkleja jakieś afisze, wzywające do zachowania spokoju.

Nagle, już w ostatnich dniach października, wchodzi do miasta Druga Kaukaska Dywizja Kawaleryjska, znana pod nazwą „Dzikiej Dywizji”. Składała się ona z Tekińców i Czeceńców, nie umiejących i nawet nie rozumiejących po rosyjsku. Tylko oficerowie w tej dywizji byli Rosjanami, znającymi trochę języki tych narodów. „Dzika Dywizja” stała w rezerwie gdzieś w pobliżu frontu. Nikt nie wie, kto ją sprowadził do miasta ani jakie ma zamiary. Komitet Wykonawczy usiłuje połączyć się telefonicznie z generałem Bułajewem, ale bezskutecznie. Na jakimś „lotnym posiedzeniu” — tak się wówczas nazywały krótkie narady w jakimś pokoju na Jurjewskiej albo nawet na korytarzu, z udziałem tych członków Komitetu Wykonawczego, którzy akurat byli pod ręką — zapada decyzja, abym ja, wraz z jakimś eserem, którego nazwiska nie pamiętam, poszedł zaraz do Bułajewa i wyjaśnił, w jakim celu „Dzika Dywizja” przybyła do Mińska. Nie możemy się jednak przedostać do sztabu, całą Gubernatorską i część Zacharzewskiej obsadziła „Dzika Dywizja”. Jeźdźcy w długich czarnych burkach siedzą w milczeniu na koniach, ich twarze są nieruchome, bez wyrazu. Zjawia się oficer, rozmawia z nami, nie schodząc z konia, mówi, że ma rozkaz, aby nikogo do sztabu nie przepuszczać, kiedy go pytamy, czy dywizja jest po stronie obalonego rządu, oficer nie odpowiada, uśmiecha się i odjeżdża. W nocy, z niewiadomego rozkazu, „Dzika Dywizja” opuszcza miasto.

W dwa dni później sytuacja radykalnie się zmienia. W Mińsku powstaje Komitet Ocalenia Rewolucji, na czele którego stoją eserzy i do którego wchodzi również bundowcy i mienszewicy. Komitet ogłasza, że obejmuje władzę i wzywa ludność za pomocą

plakatów by go popierała. Nocuję w gmachu Sowietu, w pokoju Knorina, który jeszcze nie wrócił z Piotrogradu. Na Jurjewskiej stoi kilkanaście samochodów wojskowych z szoferami, inne wciąż przybywają i ustawiają się na przyległych ulicach. Jest to oddział wojsk samochodowych, w którym Berson był podoficerem jeszcze przed rewolucją lutową. Oddział przeszedł na stronę sowietów, co wywołuje na Jurjewskiej wielki entuzjazm. Dowodzi nim młody podoficer, z którym Berson mnie zapoznaje. Poprzedni dowódca, kapitan, wyjechał w niewiadomym kierunku. Nowy dowódca mówi nam, że wszyscy szoferzy są uzbrojeni, wielu ma w samochodach granaty ręczne.

Ktoś przychodzi z wiadomością, że na dworcu znajduje się pociąg pancerny, który dopiero co przybył z frontu. Załoga pociągu składa się z bolszewików, na czele których stoi żołnierz Prołygin. Pociągi takie odgrywały w wojnie domowej wielką rolę dzięki artylerii, która mogła ostrzeliwać ze stacji miasto. Były nie do zdobycia, gdyż pociąg mogła uszkodzić tylko ciężka artyleria. Na całym froncie zachodnim takich pociągów było zaledwie kilka. Jadę na stację z Bersonem, pociąg stoi na bocznym torze. Prołygin mówi nam, że oddziały wojskowe, popierające Komitet Ocalenia Rewolucji usiłowały po drodze pociąg zatrzymać, ale działały niezbyt energicznie. Połygin obawiał się, że oddziały rozkręcą szyny kolejowe, unieruchamiając pociąg w szczerym polu, ale to nie nastąpiło, ponieważ tory, z własnej inicjatywy, ochraniają kolejarze.

Pociąg pancerny, oddział samochodowy i oddział, który się formuje na Aleksandrowskiej mają być głównymi siłami bolszewików w walce przeciwko Komitetowi Ocalenia Rewolucji. 37-my pułk, popierający przedtem sowiety, podobno się waha (na drugi dzień staje po stronie sowietów). Komitet Wykonawczy obraduje całą noc, w posiedzeniu biorą udział, prócz mnie, inni przedstawiciele Polskiego Zjednoczenia Socjalistycznego. Przebiegu tego posiedzenia dobrze nie pamiętam. Wiem tylko, że przewodniczył Mjasnikow, który miał dowodzić wszystkimi siłami zbrojnymi w walce przeciwko Komitetowi Ocalenia. Posiedzenie kilkakrotnie przerywano, wreszcie nad ranem Komitet Wykonawczy wyłania komisję, która pertraktuje w innym pokoju z przedstawicielami mienszewików i bundowców. Zawarty zostaje układ, na mocy którego bolszewicy wchodzi do Komitetu Ocalenia Rewolucji. Ich przedstawicielami w tym komitecie zostają Alibiegow i żołnierz Perno, Estończyk. Pierwszy punkt układu powiada, że Komitet Ocalenia Rewolucji jest tymczasowo jedynym organem władzy na froncie i w okręgu zachodnim i że nie uznaje on Rady Komisarzy Ludowych w Piotrogradzie aż do czasu, kiedy

kwestia władzy zostanie tam definitywnie rozstrzygnięta. Komitet jednocześnie oświadcza, że nie przepuści przez miasto żadnych oddziałów wojskowych do Moskwy i Piotrogradu*.

Jednak już po kilku dniach bolszewicy wycofują z Komitetu Ocalenia Rewolucji swoich przedstawicieli i zrywają zawarty układ. Ogłoszone to zostaje na plenarnym posiedzeniu mińskiego Sowietu w teatrze miejskim 2 listopada. Posiedzenie jest znowu bardzo burzliwe, na mieście zaczynają się już starcia między oddziałami Komitetu Ocalenia Rewolucji i oddziałami, które wypowiedziały się za poparciem Rady Komisarzy Ludowych. Mjasnikow oskarża eserów że oni pierwsi rozpoczęli walkę, jakiś eser zaprzecza temu, z ulicy słychać strzelaninę. Bundowcy A. Weinstein i M. Frumkina** wzywają obie strony do przerwania bratobójczej walki. Pikiel*** i ja, na prośbę Mjasnikowa, idziemy na miasto aby spróbować przerwać walki uliczne. Oprócz nas z takim samym poleceniem wyruszają na miasto inni członkowie Sowietu, samochodami i pieszo. Przed Hotelem Paryskim, w pobliżu teatru miejskiego, widzimy dużą grupę żołnierzy, kłócących się między sobą. Okazuje się, że inni żołnierze ostrzelali hotel z ciężarówki, nikt nie wie dlaczego. Wśród żołnierzy przed hotelem jest kilku szoferów z oddziału samochodowego, w którym służył Berson. Wozy tego oddziału patrolują miasto, siadamy do jednego z nich. Jeździmy kilka godzin, spotykając często grupy żołnierzy. Miasto jest jednak spokojne. Zaczyna padać ulewny deszcz, na ulicach robi się zupełnie pusto.

Tej nocy, to znaczy dopiero tydzień po przewrocie w Piotrogradzie, władza w Mińsku i na froncie zachodnim przeszła w ręce bolszewików. Odbyło się to bez przelewu krwi. Komisarz Rządu Tymczasowego, obalony w Piotrogradzie, po prostu przestał funkcjonować i wyjechał, a Komitet Ocalenia Rewolucji rozleciał się, ponieważ masy żołnierskie, na których chciał się oprzeć, były zbyt nikłe i topniały z każdym dniem.

* Treść tego układu i kilka dat cytuję według wspomnianej już książki W. Knorina.

** A. Weinstein i M. Frumkina, stojący wówczas na czele Bundu, wywołali w nim w roku 1920 rozłam, wstępując do partii bolszewickiej.

*** Ryszard Pikiel, zruszczony Polak, był później jednym z oskarżonych w procesie Zinowjewa i został rozstrzelany.

6.

Wybory do rad żołnierskich na froncie. — Pertraktacje z Niemcami. — Zawieszenie broni na froncie zachodnim. — Rokowania

Wkrótce potem wyjechałem na front, gdzie odbywały się wybory do rad żołnierskich*. Występowałem na wiecach żołnierskich w rejonie Drugiej Armii, w której było najwięcej Polaków. Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego rad żołnierskich tej armii wybrany został porucznik Rogoziński, Polak. W skład KW weszli lekarze wojskowi Tichmieniew i Pietrow. Na froncie w tym czasie panował zupełny spokój, ani Rosjanie ani Niemcy nie strzelali, między wrogimi okopami spotykali się żołnierze obu armii. Widziałem, jak jakiś żołnierz spotkał się z żołnierzem niemieckim w odległości kilku kroków od okopów rosyjskich. Niemiec przyniósł w czapce kasztany, najzwyczajniejsze kasztany, wyschłe i skarlłowaciałe. Wsypał je rosyjskiemu żołnierzowi do jego czapki, mówiąc że to jest podarunek niemieckich żołnierzy. Nie wiem, czy to miał być podarunek ironiczny czy nie, żołnierze rosyjscy zastanawiali się nad tą kwestią, wreszcie kasztany wyrzucili**.

Byłem jeszcze na froncie kiedy Rząd Komisarzy Ludowych kazał generałowi Duchoninowi, który wciąż jeszcze był Naczelnym Wodzem, aby natychmiast rozpoczął rokowania z Niemcami o zawarcie pokoju. Duchonin odmówił. Zwolniono go telegraficznie z jego stanowiska i mianowano Wodzem Naczelnym podporucznika Krylenko, starego bolszewika. W Mohylowie, gdzie znajdowała się Kwatera Główna, wybuchł bunt, podczas którego Duchonin został zabity. Stało się to 7 listopada. Wkrótce potem Krylenko wydał przez radio rozkaz, aby żołnierze na własną rękę, na poszczególnych odcinkach frontu, rozpoczęły pertraktacje z Niemcami. Wróciłem do Mińska razem z tymi dwoma lekarzami wojskowymi, których wymieniłem. Tam się okazało, że Komitet Wykonawczy mińskiego Sowietu postanowił wysłać do Niemców delegację i podpisać zawieszenie broni na froncie zachodnim. Na czele tej delegacji stanął Berson, członkami jej byli ci właśnie lekarze i kilku żołnierzy.

Berson opowiedział mi później, jak się te pertraktacje odbywały. Niemcy zostali zawiadomieni przez radio o wysłaniu delegacji, ale nic na to nie odpowiedzieli. Delegacja przekroczyła

* Znowu nie wiem dlaczego, ale Polacy używali wówczas terminu „rady” mówiąc o sowietach żołnierskich, lecz „sowiety” jeśli chodziło o sowiety w miastach.

** Dopiero później dowiedziałem się, że żołnierze niemieckich karmiono już w tym czasie chlebem z dużą domieszką mąki z kasztanów. Być może niemiecki żołnierz chciał zwrócić na to uwagę.

linię frontu z białą flagą. Niemcy delegację aresztowali i odwieźli do sztabu Głównodowodzącego Frontem Zachodnim, jakiegoś generała, który rozmawiał z nimi przez tłumacza, choć prawie wszyscy członkowie delegacji władali językiem niemieckim. Delegację zamknięto na noc w jakimś domu, i na drugi dzień zaprowadzono do tegoż generała, który przyjął ich w asyście kilku oficerów. Rozpoczęły się rozmowy, znowu przez tłumaczy, którymi byli żołnierze ze Śląska czy z Poznania. Nie rozumieli oni prawie wcale po rosyjsku. Berson powiedział wtedy po niemiecku, że tłumacze nie są na wysokości zadania i prosił o ich usunięcie, ponieważ są zbyt tacy. Niemiecki generał obraził się, zaczął krzyczeć, że nie pozwoli, aby krytykowano jego zarządzenia i zarządził przerwę. Po przerwie generał oświadczył, że w drodze wyjątku zgadza się na prowadzenie pertraktacji po niemiecku, bez tłumaczy. Pertraktacje trwały tylko kilka godzin. Delegacja rosyjska podpisała przedłożony przez Niemców i skorygowany przez nią w kilku punktach układ o rozejmie na całym froncie zachodnim. Układ miał wejść w siłę 23 listopada, ale rozejm faktycznie rozpoczął się o jakiś tydzień wcześniej. Berson, wraz z całą delegacją, wrócili do Mińska. Niemiecki generał zaprosił rosyjskich delegatów przed wyjazdem do kasyna oficerskiego na coś w rodzaju bankietu, ale delegaci odmówili, ponieważ wszyscy niemieccy oficerowie zachowywali się podczas pertraktacji arogancko i wyzywająco.

20 listopada rozpoczął się w Mińsku zjazd frontowy. Zjazd ten wybrał „Obliskomzap” — *Obłastnoj Ispołnitielnoj Komitet Zapadnoj Obłasti i Fronta*, czyli Okręgowy Komitet Wykonawczy Okręgu i Frontu Zachodniego. Składał się on z przedstawicieli Komitetów Wykonawczych rad żołnierskich i robotniczych, oraz z przedstawicieli związków zawodowych. Wszedłem do „Obliskomzapu” automatycznie, jako członek KW mińskiego Sowietu.

„Obliskomzap” utworzył, czy raczej wyłonił z siebie, Rząd Komisarzy Ludowych Zachodniego Okręgu i Frontu. Weszło do niego dwóch przedstawicieli naszego Zjednoczenia. Pepesowiec Gromaszewski został Komisarzem Ludowym Oświaty, Berson — Spraw Narodowościowych. Jednocześnie, za przykładem Piotrogradu, powstał przy tym rządzie Komisariat do Spraw Polskich, na czele którego stanął Stefan Heltman. Ja zostałem Sekretarzem Generalnym Komisariatu. (W Piotrogradzie na czele takiegoż Komisariatu stał Julian Leszczyński, Sekretarzem Generalnym był Kazimierz Cichocki).

Nie pamiętam, co się działo w Mińsku podczas wyborów do Konstytuanty i rokowań brzeskich. Może mnie wtedy nie było

w Mińsku, może chorowałem. Wiem z materiałów historycznych, że Komisja, której nadal przewodniczył Petruszewicz, zasiadała w dalszym ciągu już po przewrocie bolszewickim i że wybory się odbyły (o ich rezultatach już pisałem). Co się tyczy rokowań z Niemcami w Brześciu, to rozpoczęły się one w końcu listopada, a 3 grudnia podpisany został rozejm na 28 dni. Obie strony miały prawo go wypowiedzieć z terminem siedmiodniowym. Pamiętam jeden tylko epizod, nigdzie zdaje się nie ogłoszony, związany z tymi rokowaniami. Sekretarzem delegacji sowieckiej w Brześciu był L. Karachan, późniejszy zastępca Cziczierina. (Była to pierwsza delegacja, której przewodniczył A. A. Joffe, a nie druga, pod przewodnictwem Trockiego). Kiedy rozejm został podpisany, Karachan nadał do Piotrogradu taką depeszę: „Wszystko skończone, przyslijcie pociąg”. Chodziło mu o przysłanie pociągu na granicę. Ale w Piotrogradzie źle zrozumiano jego depeszę. Lenin sądził, że rokowania zostały zerwane. Zapadło postanowienie natychmiastowej mobilizacji robotników stolicy, zastanawiano się nad wysłaniem na front marynarzy z Kronsztatu. Nieporozumienie wyjaśniło się dopiero po 10 godzinach. Karachan po powrocie miał z powodu tej depeszy duże nieprzyjemności. Opowiadano mi tę historię w Piotrogradzie, Karachan, z którym się tam wówczas zapoznałem, potwierdził mi ją, dodając, że jego winy w tym nie było: „Nie mogłem przewidzieć, że w Piotrogradzie nie zrozumieją najprostszych rosyjskich słów”. Brzmiało to zabawnie w jego ustach, bo mówił z silnym ormiańskim akcentem.

Do Piotrogradu pojechałem na konferencję grup SDKPiL. Przed wyjazdem z Mińska Łander i Knorin prosili mnie, żebym utrzymywał z nimi kontakt, informując ich o tym, co się dzieje w Piotrogradzie. Polecili mi też, abym zobaczył się w Piotrogradzie z J. M. Swierdłowem, przewodniczącym WCIK (*Wszystrosyjskiej Centralnej Wspólnicy Komitet* — Wszechrosyjski Komitet Wykonawczy Sowietów), który został uprzedzony o moim przyjeździe. Miałem mu przedstawić stanowisko mińskich bolszewików wobec przewrotu w Piotrogradzie, a raczej skutków tego przewrotu. Stanowisko to podzielało całkowicie nasze Zjednoczenie i dlatego Łander i Knorin powierzyli mi ową misję. To, że byłem przedstawicielem listy bolszewickiej w komisji przedwyborczej i że ta lista odniosła tak wielkie zwycięstwo na wyborach, ułatwiało moją rozmowę ze Swierdłowem, ponieważ to zwycięstwo zrobiło w Piotrogradzie bardzo wielkie wrażenie.

Różnica między stanowiskiem Piotrogradu i Mińska polegała na tym, że bolszewicy w Mińsku dążyli, nawet po przewrocie październikowym, do utworzenia wspólnego rządu z przedsta-

wicielami mienszewików, a nawet i eserów i sprzeciwiali się temu, aby bolszewicy rządili sami. Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne zajmowało, jak już mówiłem, takie same stanowisko, przy czym Baryła i ja, to znaczy esdecy, wypowiadali się w tej sprawie bardziej kategorycznie, niż pepesowcy*. Warto też dodać, uprzedzając o kilka tygodni wypadki, że bolszewicy mińscy, choć nie zdołali przeprowadzić w Piotrogradzie swojego punktu widzenia, postawili na swoim w sprawie bardzo ważnej, dotyczącej Czeka, do czego jeszcze wrócę.

Jakub Swierdłow, jeden z najbliższych w tym czasie, a może nawet najbliższy współpracownik Lenina, urzędował w „Instytucie Smolnym”, byłej szkole „dla dobrze urodzonych panienek” (*blagorodnych dziewic*), co oznaczało po prostu, że przyjmowano do tej szkoły tylko córki zamożnych i utytułowanych rodziców. Po przewrocie Smolny stał się główną kwaterą bolszewików, będąc jednak oficjalnie siedzibą WCIK. Smolny opisywano niejednokrotnie, pomijając jednak pewien rzucający się w oczy fakt. Cały gmach w tym czasie, to znaczy w początkach grudnia, był udekorowany, wewnątrz i zewnątrz, czerwono-czarnymi lub czarnymi sztandarami anarchistów. Sprzedawano też tam w kioskach wyłącznie anarchistyczne pisma i broszury. Wszędzie wisiały transparenty, głoszące że „Anarchia jest matką porządku”.

Zaprowadzono mnie, kiedy się wylegitymowałem, do gabinetu Swierdłowa. Stał on, w zarzuconym na plecy palcie — w Smolnym było bardzo zimno — za biurkiem. W gabinecie było ze dwadzieścia osób. Swierdłow rozmawiał z nimi, zamieniając kilka słów to z jednym, to z drugim. Powiedział mi, że otrzymał z Mińska depezę o moim przyjeździe i prosił, żebym chwilę zaczekał. Czekałem, stojąc, bo nie było na czym usiąść, ze dwadzieścia minut.

Naraz otworzyły się drzwi i do gabinetu szybko wszedł Lenin. Przyniósł kilka kartek papieru, na których coś było napisane od ręki i dał je Swierdłowowi. Nie widziałem Lenina nigdy przedtem, poznałem go z fotografii. Wyobrażałem go sobie inaczej. Myślałem że jest wyższy i zwłaszcza nie taki zwyczajny, nie taki powszedni, jakim był. A był niskiego wzrostu, miał małą, rudawą brodkę i łysinę. Zdążyłem jeszcze wtedy zauważyć, bo przypartywałem mu się dokładnie, że miał bardzo dużą, jakby rozszerzoną górną część czaszki.

Kiedy Lenin wszedł do pokoju, zrobiło się w nim zupełnie

* Jak wiadomo, Róża Luxemburg w niespełna rok później, w napisanej w więzieniu niemieckim broszurze, wystąpiła bardzo ostro przeciwko dyktaturze partii bolszewickiej, przewidując, że doprowadzi ona do dyktatury najpierw jej Komitetu Centralnego, a później do dyktatury jednego człowieka.

cicho. Swierdłow przejrzał przyniesione mu przez Lenina papiery, kiwnął głową, i wskazując na mnie, powiedział Leninowi że przyjechałem z zachodniego okręgu i że byłem przedstawicielem listy bolszewickiej w komisji, przeprowadzającej wybory do Konstytuanty.

Lenin przywitał się ze mną. Pamiętam, że podając mi rękę, przedstawił się: „Lenin”. Rzucił jeszcze kilka słów Swierdłowowi, a potem powiedział mi, że chce ze mną porozmawiać w swoim pokoju.

Pokój czy gabinet Lenina mieścił się na tym samym piętrze, w samym końcu korytarza. Był niewielki, wchodziło się do niego przez inny, jeszcze mniejszy, w którym siedziała jego sekretarka. Lenin powiedział jej, żeby mu jakiś czas nie przeszkadzali.

Rozmowę z Leninem pamiętam dobrze, ale nie zachowałem w pamięci kolejności tego co mówił i co ja mówiłem. Zapytał mnie, kiedy byłem ostatni raz na froncie i jakie tam panują nastroje i zaraz przeszedł do kwestii, która go najbardziej interesowała: w jaki sposób, dzięki czemu lista bolszewicka zdobyła tak ogromną ilość głosów. Odpowiedziałem, że nikt się takiego rezultatu nie spodziewał i że kiedy, krótko przed wyborami, składałem, na posiedzeniu mińskiego komitetu bolszewickiego, sprawozdanie o pracy komisji, to przewidywałem, że lista bolszewicka uzyska prawdopodobnie połowę wszystkich oddanych głosów, ale w żadnym razie więcej. Powiedziałem też, że przewodniczącym komisji wyborczej był jego stary znajomy Petruszewicz. Lenina bardzo to zainteresowało:

— Nie wiedziałem, co się z nim dzieje. Pamiętam go, doskonale pamiętam.

Później Lenin począł mnie wypytywać, jak jest zorganizowana na froncie propaganda wśród żołnierzy niemieckich. Nie była wcale zorganizowana. Polegała wyłącznie na tym że w Mińsku, z inicjatywy Knorina, wydrukowane zostały ulotki po niemiecku, które rozrzucano w nocy w pobliżu niemieckich okopów. Leninowi o tym już przedtem ktoś mówił. Zapytał mnie, jaka była treść tych ulotek. Podałem treść, zwłaszcza jednej z nich, bardzo dokładnie. Lenin z lekka się skrzywił:

— Tak się proklamacji nie pisze. Zupełnie zła treść.

Zapytałem trochę urażonym tonem, co mu się w proklamacji nie podoba. Domyślił się pewnie z mojego tonu, że byłem jej autorem, bo się uśmiechnął i powiedział, że żołnierzom niemieckim należy tłumaczyć, dlaczego w Rosji nastąpił przewrót, że dzięki niemu robotnicy będą mogli kontrolować przemysł, chłopci otrzymają ziemię, a żołnierze będą nareszcie mogli wrócić do domu. To wszystko, mówił Lenin, należało w proklamacji wy-

łożyć w sposób najbardziej jasny, a później postawić kropkę i niczego więcej nie dodawać. Wzywanie Niemców, żeby poszli za przykładem Rosjan i obalili swój rząd jest nie tylko niepotrzebne, ale i szkodliwe: „Nikt nie lubi, żeby go popętać”. Lenin dodał kilka zdań, od których powinna zaczynać się proklamacja, niektóre z nich powiedział po niemiecku. Zapamiętałem je i powtórzyłem później Łanderowi i Knorinowi, którzy jak wszyscy prawie Łotysze-inteligenci znali dobrze niemiecki.

Zdaje się, że dopiero przy końcu rozmowy poruszyłem sprawę współpracy bolszewików z innymi partiami socjalistycznymi. Zreferowałem poglądy mińskich bolszewików, które były i moimi poglądami. Lenin wysłuchał mnie uważnie, a później zapytał, czy wszyscy bolszewicy w Mińsku podzielają to stanowisko. Powiedziałem że tak, z wyjątkiem jednego może Mjasnikowa. Ku mojemu zdziwieniu, Lenin nie wiedział kto to jest. Przypomniał sobie dopiero kiedy mu powiedziałem że Mjasnikow wybrany został właśnie Głównodowodzącym Frontu Zachodniego.

Lenin wygłosił, odpowiadając mi, tyradę przeciwko mienszewikom i eserom. Powiadam że wygłosił tyradę, bo głos mu się zmienił, stał się twardszy, a słowa bardziej zaostrzone. Używał też takich zwrotów jak „panowie mienszewicy” i „panowie eserzy”, czego przedtem nie robił. Oto co mi powiedział:

„Mienszewicy i eserzy powinni mieć pretensje do samych siebie, a nie do nas. Zamiast popierać rząd socjalistyczny, bronią wrogów klasowych. Zagadnienie nie polega na tym, czy należy z nimi współpracować czy nie, bo to od nas nie zależy. Chcemy z nimi współpracować, oni tego nie chcą. Dążą do tego, abyśmy współpracowali nie tylko z nimi, ale również z kadetami, których za sobą ciągną i którzy się za nimi chowają. Niech panowie mienszewicy i eserzy przestaną ich protegować, to wtedy porozmawiamy z nimi o współpracy”.

Ująłem to co mi Lenin powiedział w cudzysłów, bo sądzę, że cytuję go ściśle. Referowałem później różnym towarzyszom treść tej rozmowy i może dlatego tak dobrze ją zapamiętałem.

Lenin prosił mnie, żebym przyszedł do niego jeszcze raz przed moim powrotem do Mińska. Nie zrobiłem tego, nie wiem już z jakich powodów.

7.

W Komisariacie do Spraw Polskich w Piotrogradzie. — Leszczyński, Bobiński i inni. — Incydent z Karolem Radkiem. — Starcie Lenina z Rjazanowem

Konferencja SDKPiL odbywała się w gmachu Komisariatu do Spraw Polskich, mieszczącym się w jednym z licznych w Piotrogradzie — jak zresztą i w Moskwie — „osobniaków”, to znaczy pałaczków prywatnych w samym środku miasta. Ten należał przed rewolucją do jakiegoś milionera, ale nie arystokratycznej, tylko raczej kupieckiej kondycji. Na ścianach, pokrytych zamiast papierowych tapet niebieskim jedwabiem, wisiały jeszcze portrety przodków, przedstawiające panów o szerokich twarzach i wydatnych szczękach, o nieco zdziwionym wyrazie twarzy. Może się dziwili, że ich malują. Leszczyński, Komisarz do Spraw Polskich, chudziutki, lekko pochylony blondyn w binoklach o niskim, jakby wypożyczonym, bo nie pasującym do niego głosie, też zauważył te zastraszono-zdziwione spojrzenia i właśnie dlatego portretów nie usunął: „Przodkowie tak wyglądają, jakby się dziwili, słysząc co się tu teraz dzieje. Niech się dalej dziwią”.

Przebiegu konferencji zupełnie ni pamiętam. O ile mi się zdaje, była ona poświęcona zagadnieniu, czy SDKPiL powinna przetrząść swoich członków z Rosji do Polski zaraz po zawarciu pokoju. Utkwiły mi jednak w pamięci niektóre epizody, może dlatego, że dotyczyły poszczególnych ludzi, a ludzie interesowali mnie zawsze i interesują do dziś dnia o wiele bardziej, niż jakiegokolwiek zagadnienia.

Jeden z tych epizodów dotyczył Karola Radka. Wieczorem, podczas jakiegoś posiedzenia w którym brało udział tylko kilka osób, w pokoju obok zadzwonił telefon. Okazało się że dzwoni Radek, prosząc o pozwolenie uczestniczenia w posiedzeniu.

Nie znałem jeszcze wówczas Radka osobiście, ale oczywiście wiedziałem kim jest i sądziłem, że zostanie entuzjastycznie zaproszony na posiedzenie. Stało się jednak inaczej. Dolecki, który przewodniczył, powiadomił sucho obecnych, tonem trochę zirytowanym, że „dany towarzysz”, nie będący w danej chwili oficjalnie członkiem SDKPiL, nie może wziąć udziału w posiedzeniu, co mu też zostało zakomunikowane.

Dopiero po kilku dniach pobytu w Piotrogradzie, kiedy zorientowałem się w panujących tam stosunkach, zrozumiałem, czym się ten wyrządzony Radkowi afront tłumaczył. Radek, stary esdek i przed wojną bliski współpracownik Róży Luxemburg, odszedł po rewolucji zupełnie od polskiej roboty, zajmując rozmaite wysokie stanowiska w partii rosyjskiej i w aparacie sowieckim. Polscy esdecy czuli się tym urażeni, zwłaszcza że Radek, odznaczający się raczej arogancją niż taktem, traktował ich trochę z góry. Miałem możliwość przekonać się o tym, kiedy się z nim wkrótce zapoznałem w mieszkaniu Łapińskiego. Radek wypo-

wiedział wówczas kilka ironicznych uwag pod adresem piotrogrodzkich działaczy SDKPiL i udawał, że nie może sobie przypomnieć nazwiska Leszczyńskiego. Powiedział o nim coś niezbyt pochlebnego a kiedy go zapytałem o kim mówi, odrzekł: „No o tym waszym obecnym wodzu, którego żeście zrobili w Mińsku posłem do Konstytuanty — o tym, który nigdy nie potrafił napisać ani jednej przyzwoitej broszury, nie mówiąc już o czymś poważniejszym”. Wbrew temu, co mi o nim opowiadano, Radek mówił bezbłędnie po polsku.

Zamieszkałem w Piotrogradzie u mojego kuzyna, doktora Stefana Jarmułowicza z Warszawy, którego zmobilizowano na początku wojny. Pracował w jakimś wojskowym szpitalu i zajmował się w Piotrogradzie, choć to nie było dozwolone, również praktyką prywatną. Mój kuzyn nie należał do żadnej partii i polityka mało go pociągała. Ale w tym samym domu, o piętro niżej, mieszkał Łapiński, z którym się przyjaźnił. Łapiński zajmował przed rewolucją dobrze płatne stanowisko w jakimś towarzystwie asekuracyjnym i doskonale mu się powodziło. Miał jeszcze, z tych dobrych czasów, zapasy wina, na którym się znał. Wieczory spędzał zwykle w mieszkaniu Jarmułowicza, przynosząc ze sobą jedną lub dwie butelki. Łapiński należał do lewicy PPS, zajmującej w tym czasie w wielu sprawach inne stanowisko, niż SDKPiL. W mieszkaniu mojego kuzyna toczyły się spory, w których brali udział Jakub Dolecki, Kazimierz Cichowski, B. Wesołowski, Z. Fabierkiewicz, i inni. Przyszedł też któregoś dnia Radek z najpiękniejszą kobietą jaką kiedykolwiek widziałem w życiu. Była to Łarisa Reisner, córka znanego rosyjskiego profesora, która została później żoną Raskolnikowa. Łarisa Reisner była dziennikarką, wydała kilka książek reportaży i esejów, napisanych z wielkim talentem. Umarła na tyfus w latach dwudziestych.



Mój pobyt w Piotrogradzie trwał tym razem długo, chyba kilka tygodni. Z Mińska przysyłano mi wciąż nowe polecenia. Załatwiałem je w miarę możliwości i niezbyt spieszyłem się z powrotem, bo rewolucja w Piotrogradzie pieniała się i wrzała. Mińsk w porównaniu z ówczesną rosyjską stolicą był głuchą prowincją, losy Rosji i w dużej mierze losy całego świata rozstrzygały się w Piotrogradzie. Chodziłem po ulicach, na zebrania, bywałem często w Smolnym, jeździłem też na wiece, zwłaszcza kiedy występował na nich Wołodarski.

Na jedno z zebrań zaprosił mnie Swierdłow, z którym widywałem się dosyć często. Odbywało się ono w Smolnym, przema-

wiał na zebraniu Trocki, którego widziałem wtedy po raz pierwszy. Mówił o przyszłej rewolucji w Niemczech. Trocki cieszył się sławą wspaniałego mówcy. Miał metaliczne brzmienie głosu, mówił z wielkim temperamentem, ale jego przemówienie zrobiło na mnie mniejsze wrażenie, niż przemówienia Wołodarskiego. Raziło mnie to, że Trocki był mówcą zbyt efektywnym, to znaczy takim, który szukał efektów i umiał je znajdować. Wołodarski nigdy tego nie robił. Kiedy jego przemówienia przerywały oklaski, czekał spokojnie aż będzie mógł mówić dalej. Nie liczył na oklaski po jakichś zdaniach, były one dla niego niespodziane. Przemówienie Trockiego było zbudowane w taki sposób, że oklaski następowały wtedy, kiedy je chciał wywołać.

Pamiętam inne zebranie, również w Smolnym. Było to jakieś ważne zebranie polityczne, ale nie wiem dokładnie jakie i na podstawie materiałów nie mogłem tego ustalić. Brało w nim udział jakieś sto osób, odbywało się w małej, wąskiej salce na tym samym piętrze, na którym mieściły się gabinety Lenina i Swierdłowa. Przemawiał na tym zebraniu Rjazanow, jeden z najstarszych bolszewików, autor wielu marksistowskich dzieł. Rjazanow, w rozpiętym futrze, z ogromną brodą, ostro krytykował Lenina i tych członków Komitetu Centralnego, którzy Lenina popierali. Atakował Lenina za zamknięcie mienszewickich i eserowskich pism. Lenin, który siedział wśród słuchaczy, przerywał kilkakrotnie Rjazanowowi okrzykami z miejsca. Na jeden z tych okrzyków Rjazanow odpowiedział w taki mniej więcej sposób:

— Wy, *batiuszka** słabo znacie historię, zwłaszcza historię rewolucji francuskiej. Mało się też orientujecie w kwestiach natury filozoficznej, a co się tyczy Marksa, to nie rozumiecie go zupełnie lub, co gorzej, rozumiecie go tak, jak wam się podoba. W Komitecie Centralnym zasiada, niestety, wielu waszych przyjaciół, którzy w ogóle niczego nie czytają, niczego nie wiedzą i niczego nie chcą się uczyć, licząc na to, że wy wszystko za nich przeczytacie i wszystko jak się należy obmyślicie.

Przemówienie Rjazanowa przerywano często śmiechem i oklaskami. Lenin występował zaraz po nim. Widać było, że odnosi się do Rjazanowa, starszego wiekiem i uchodzącego w partii za autorytet w kwestiach teorii marksowskiej, z dużym szacunkiem. Lenin powiedział, że zna Rjazanowa „15 lat z ogonkiem”, że Rjazanow zawsze wymyślał od nieuków zarówno jemu jak i wszystkim, którzy się z nim nie zgadzali, i że wskutek tego

* Po polsku „ojczulku” albo „dobrodzieju”. „Batiuszka”, tak samo jak jego polskie odpowiedniki, ma lekki posmak ironiczny.

nie przywiązuje wielkiego znaczenia do ostrych zwrotów, których Rjazanow używał. Później Lenin powtórzył mniej więcej to samo co mi powiedział, kiedy z nim rozmawiałem: że mienszewicy i eserzy nie chcą wejść do rządu, który się opiera na sowietach. Mienszewickie i eserowskie pisma, mówił dalej, trzeba było zamknąć, ponieważ za plecami mienszewików i eserów ukrywa się drobnomieszczaństwo i burżuazja, którą oni popierają, a burżuazja popiera ich, choć to, według Rjazanowa, jest „teoretycznie wykluczone”. Rjazanow, mówił Lenin, przy całej swojej uczoności znany jest również z tego, że lubi gmatwać najprostsze sprawy i że często, jak magik, obiecuje że wyciągnie królika z pustego cylindra, ale go nie wyciąga.

Później Lenin odpowiadał na to, co mówił Rjazanow o wrażeniu, jakie wywoła za granicą zamknięcie mienszewickich i eserowskich gazet. Rjazanow powiedział, że to nie tylko nie przyspieszy rewolucji na zachodzie, ale ją uniemożliwi. Partie socjalistyczne w Niemczech i we Francji nie wyobrażają sobie socjalizmu bez demokracji i to, co się dzieje w Rosji, odepchnie ich od rewolucji rosyjskiej. Lenin odpowiedział na to, że bolszewicy powinni przede wszystkim zachować władzę, a nie troszczyć się o to, co o nich pomyślą za granicą, bo gdyby władza przeszła znowu do rąk burżuazji, oznaczałoby to klęskę proletariatu nie tylko w Rosji, ale i na zachodzie.

Na zebraniu występowali także Jureniew i Szljapnikow*, popierając Rjazanowa. Szljapnikow występował bardziej ostro. Wiedziałem, że jest z pochodzenia robotnikiem, ale nie wyglądał i nie mówił jak robotnik, co tłumaczyłem sobie tym, że był od wielu lat zawodowym rewolucjonistą.

Po zebraniu ktoś mnie zapoznał z Rjazanowem, mówiąc mu, że byłem przedstawicielem listy bolszewickiej w okręgu zachodnim. Rjazanow począł mnie wypytywać jak się odbywały wybory i czy nikt ich nie fałszował. Powiedziałem mu, że to byłoby niemożliwe, bo w lokalach wyborczych urzędowali przedstawiciele wszystkich partii. Tak istotnie było, ale Rjazanow niezbyt mi wierzył. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób bolszewicy odnieśli tak kolosalne zwycięstwo w jednym okręgu wyborczym, podczas gdy we wszystkich innych byli w mniejszości.

Po Rjazanowa przyszedł Szljapnikow, który się zaofiarował, że odwiedzie nas obu do domu. Miał samochód z szoferem do własnej dyspozycji, co wówczas było rzadkością. Po drodze Rja-

* Jureniew, Polak z pochodzenia, był później posłem sowieckim w Chinach i w Stanach Zjednoczonych. A. Szljapnikow stał w latach dwudziestych na czele tzw. Opozycji Robotniczej, lewicowej frakcji w łonie partii bolszewickiej. Obaj zginęli podczas czystek.

zanow pokpiwał sobie ze Szlajpanikowa, który był bliskim przyjacielem Lenina i który, na prośbę Lenina, wyjechał na jego spotkanie do Sztokholmu, kiedy Lenin wracał ze Szwajcarii. „No i co?”, śmiał się Rjazanow, „radzi jesteście, żeście go przywieźli?”. Rjazanow pytał mnie, jakie wrażenie zrobił na mnie Lenin i nie czekając na moją odpowiedź powiedział, że Lenin odznacza się „azjatyckim uporem”. Powtarzał to wyrażenie kilka razy.

Szofer który nas wiózł był kompletnie pijany. Prowadził samochód tak źle, że zaproponowałem Szlajpanikowowi, że go zastąpię. W tej właśnie chwili szofer, wymijając inny wóz, wjechał na chodnik. Rjazanow krzyknął na niego, ale Szlajpanikow powiedział coś w tym sensie, że jak komuś sądzone jest zginąć, to i tak zginie i że do własnego życia nie należy przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia. Szofer, nie zmniejszając zresztą ani szybkości ani brawury, odwiózł nas wszystkich szczęśliwie do domu.

8.

Rozmowa z Trockim. — Mińsk nie zgadza się na utworzenie Czecha. — Konflikt z Radą Miejską i jej zwycięstwo

Nie pamiętam, kto mnie zaprowadził w Piotrogradzie do Trockiego, ale dobrze pamiętam pierwszą moją z nim rozmowę. Ze wszystkich pokojów w Smolnym, które widziałem, gabinet Trockiego sprawiał najbardziej „europejskie” wrażenie. Przypuszczam, że musiał to być dawniej gabinet któregoś z kierowników czy kierowniczek szkoły, bo nie było w nim, jak w innych, nic prowizorycznego, ani nic, co by wskazywało, jak w innych, że go umeblowano w pośpiechu. Na biurku prawie nie było papierów, ale leżała na nim paczuszka równo pokrajanych kartek, na których Trocki, wypytyując mnie o stan rzeczy na froncie, robił notatki, wkładając zapisane kartki pod spód.

Miałem na sobie żołnierski szynel, który ktoś dał mi w Piotrogradzie, bo przyjechałem w lekkim palcie, a panowały tam wielkie mrozy. Trocki myślał, że jestem żołnierzem, a kiedy mu powiedziałem że nie jestem, rzekł żartobliwie, że prawdopodobnie rozumuję i czuję się jak żołnierz, bo rodzaj ubrania jakie się nosi często określa światopogląd. Odpowiedziałem, że tego nie zauważyłem, ale że szynel bardzo mi pomaga, ponieważ żołnierze na wiecach w Piotrogradzie też mnie biorą za żołnierza i rozmawiają ze mną na ty i szczerzej, niżby mówili z cywilem.

Trocki, kiedy mu opowiedziałem o nastrojach na froncie, zaczął mówić o dyscyplinie w carskiej armii, opartej na wpajaniu w żołnierzy przekonania, że są niczym w porównaniu z oficerami i że powinni ślepo wypełniać ich rozkazy. To, mówił, jest podłożem ciągłego salutowania, poniżającego żołnierzy i przypominającego im co chwila, że każdy oficer jest panem ich życia i śmierci. Dyscyplina w armii, powiedział, jest rzeczą konieczną, ale w Czerwonej Armii będzie oparta na całkiem innych zasadach. Zapytałem go, czy rząd istotnie nosi się z zamiarem stworzenia nowej armii. Powiedziałem że kraj, w którym zwyciężyła rewolucja, nie będzie potrzebował armii, w każdym razie armii stałej, co jest przecież jedną z podstawowych tez socjalizmu. Trocki odpowiedział, że armia konieczna będzie dla obrony rewolucji, którą niewątpliwie będą usiłowały zdławić państwa kapitalistyczne. Powiedziałem wtedy coś w tym sensie, że rewolucja w Rosji, jeśli nie pociągnie za sobą rewolucji na zachodzie, i tak skazana jest na załładę. Broniełem tej tezy w jakiś zawity sposób, zdając sobie sprawę że robię to niezręcznie i mówię zbyt długo. Trockiego to zniecierpliwilo, przerwał mi i zapytał, jak, według mnie, ustosunkują się żołnierze na froncie zachodnim do odbudowania armii. Powiedziałem że do niej nie wstąpią i że myślą tylko o tym, aby jak najprędzej wrócić do domu. Te nastroje mogą się zmienić, ale o stworzeniu rewolucyjnej armii w danej chwili nie może być mowy. Trockiemu bardzo nie podobało się to, co mu powiedziałem. Zakończył szybko rozmowę, ale umówił się ze mną, że przyjdę znowu do niego za kilka dni.

Tu chciałbym dodać pewien szczegół. Mówiłem wówczas z Trockim jeszcze tylko raz lub dwa, bardzo krótko, i więcej się z nim w tym czasie nie stykałem. Zobaczyłem go znowu dopiero po trzech latach na zebraniu, na którym zabrałem głos w dyskusji (opowiem o tym zebraniu, kiedy dojdę do tego okresu). I otóż niepomniernie mnie zdziwiło, że Trocki nie tylko pamiętał moje nazwisko, ale także moje *imie i otczestwo*, jak również bardzo dokładnie to, co mu powiedziałem w Smolnym trzy lata przedtem. Przypomniał mi to, odpowiadając na to, co w dyskusji powiedziałem.

W to, że rewolucja na zachodzie wybuchnie lada dzień, wierzyłem nie tylko ja, ale chyba wszyscy towarzysze, z którymi stykałem się w Piotrogradzie i w Mińsku. Nasza wiara nie miała żadnych podstaw, była po prostu tym, co po angielsku nazywa się *wishful thinking* — wierzeniem w to, w co się koniecznie chce wierzyć. O „socjalizmie w jednym kraju” nikt jeszcze wówczas nie mówił ani nie myślał, rozumowaliśmy „według Marksa” i z naszego rozumowania wynikało, że rewolucja w Rosji, kraju

przemysłowo zacofanym, w którym klasa robotnicza nie może odgrywać roli, przewidzianej przez Marksa, jest nie do pomyślenia bez rewolucji na zachodzie. Nasze oczekiwania wszechświatowej rewolucji przypominały nieco nadzieje tych, którzy sądzili, że rząd bolszewicki obalony zostanie w ciągu kilku tygodni. Obie nadzieje nie były na niczym oparte.

Zyliśmy jednak tymi mrzonkami, przybierającymi niekiedy całkiem groteskowe formy. Na drugi dzień po przewrocie w Piotrogradzie Komitet Wykonawczy mińskiego sovietu polecił Bersonowi i mnie, abyśmy „opanowali” wojskową stację radiową, znajdującą się za miastem. Dowódca tej stacji odmówił współpracy z nowym rządem, oświadczając że nie będzie nadawał ani przekazywał bolszewickich iskrowek. Była to jedyna radiostacja o dalekim zasięgu w okręgu zachodnim, a bez łączności radiowej trudno było się obejść, ponieważ telegraf funkcjonował słabo i telefon w dniach po przewrocie również. „Opanowanie” mogło oznaczać wszystko, nie wyłączając zdobycia stacji przy pomocy siły zbrojnej, co prawdopodobnie nie byłoby zbyt trudne, jako że stacja nie posiadała ochrony. Ale interpretacja polecenia należała do nas. Zdecydowaliśmy, że najpierw zbadamy sytuację na miejscu i pojechaliśmy we dwójkę samochodem. Okazało się że dowódca stacji, niemłody kapitan, nie zamierza sytuacji zaostrzać. Zawiadomił nas z przesadną grzecznością, że zrzeka się swoich funkcji i występuje z armii. Takie oświadczenia były wtedy na porządku dziennym i nikogo nie dziwiły. Kapitan prosił, żeby odwiedzić go do miasta, kiedy będziemy wracali, bo stacja nie rozporządzała już ani jednym samochodem. Wszystkie po kolei odjechały i żaden nie wrócił. Ale kilku radio-telegrafistów zostało, wyłącznie żołnierzy. Odnosili się oni do nowego rządu z rezerwą, ale nie wyraźnie wrogo. Zgodzili się obsługiwać aparaty aż przyślemy z Mińska „swoich” radiowców.

Otóż jadąc wówczas na stację radiową byliśmy pewni, że dowiemy się tam o wybuchu rewolucji na zachodzie, albo przynajmniej w Niemczech. Prosiłiśmy radio-telegrafistów, by nastawili aparaty na zagraniczne stacje nadawcze. (Radio nadawano wówczas wyłącznie przy pomocy znaków Morse’a). Przyjęli kilka niemieckich stacji i jakąś francuską. Powiedzieli nam, że już sami przedtem próbowali, ale zachodnie stacje nadają to co zawsze: komunikaty z frontu i depesze szyfrem. A o rewolucji za granicą jakoś nic nie słychać i o przewrocie w Rosji też nie mówią. Siedzieliśmy na stacji długo. Podoficer z cenzusem, młody, znający języki, kręcił gałką odbiornika, pisał słowami to co stacje nadawały i wręczał nam te kawałki papieru z trochę ironicznym uśmiechem.

Musieliśmy wreszcie wrócić do miasta. Berson, już w samochodzie, powiedział do mnie po polsku, że rewolucja na zachodzie już się pewnie rozpoczęła, ale radio-telegrafiści nie chcieli nam tego powiedzieć. Kapitan, którego zabraliśmy ze sobą, zrozumiał to co Berson powiedział i zapewnił nas, że się mylimy:

— Jak ktoś czegoś bardzo chce, to się nie liczy z logiką ani z rzeczywistością. Ale proszę mi wierzyć, że radio-telegrafiści panów nie okłamali.



Wyjechałem z Piotrogradu do Mińska kilka dni przed rozprawieniem Konstytuanty, która, jak wiadomo, odbyła tylko jedno posiedzenie. Pamiętam że na dworcu w Piotrogradzie kupiłem *Prawdę*, w której był zamieszczone „Tezy o Konstytuancie”, napisane przez Lenina. Stwierdzały one, że „Republika Sowieków jest wyższą formą demokracji niż zwykła republika burżuazyjna z jej Konstytuanta”. Tezy przesądzały los Konstytuanty jeszcze przed jej zwołaniem. Sprawdziłem w materiałach historycznych, że były wydrukowane w *Prawdzie* 26 grudnia.

Jechałem z Janem Baryłą. Pociąg przyszedł do Mińska wieczorem, na stacji czekali na nas Heltman i Pikiel, którzy zabrali nas wprost z dworca na posiedzenie „Obliskomzapu”.

Na tym właśnie posiedzeniu miała być rozstrzygnięta sprawa sformowania w Mińsku Czeka, z zasięgiem działania na okręg zachodni. Już przed naszym przyjazdem utworzono w Mińsku „Komisję do walki ze spekulacją” — ale tylko spekulacją, nie, jak w Piotrogradzie, „z kontr-rewolucją i sabotażem”. Chodziło oczywiście nie o nazwę: wszyscy rozumieli, że Czeka w Piotrogradzie miała być policją polityczną. Bolszewicy w Mińsku byli przeciwko utworzeniu policji politycznej. „Komisja do walki ze spekulacją” składała się z przedstawicieli kooperatyw i kolejarzy. Na czele kooperatyw stali przedstawiciele wszystkich partii socjalistycznych. Kolejarzy włączono do komisji z przyczyn czysto praktycznych. Tak zwani spekulanci, to znaczy ludzie, handlujący nielegalnie żywnością na większą skalę, przewozili ją koleją, najczęściej w workach — stąd ich nazwa „mieszoczników” (od *mieszok* — worek).

Tak więc zarówno nazwa komisji jak jej skład wskazywały, że zajmować się ona będzie wyłącznie walką ze spekulacją. Istniała zresztą tymczasem tylko na papierze. Piotrogród zażądał jednak, aby Komisja nazywała się tak samo jak w stolicy i spełniała te same funkcje. Posiedzenie miało tę sprawę ostatecznie rozstrzygnąć.

Przewodniczył Łander. Pikiel, Heltman i ja wypowiedzieliśmy się stanowczo przeciwko zmianie nazwy i funkcji Komisji. Żądanie Piotrogradu poparł jeden tylko Mjasnikow, co wywołało taką burzę, że Łander musiał ogłosić przerwę. Podczas przerwy Knorin zaproponował mnie i jeszcze komuś z naszego Zjednoczenia, aby złożyło ono oświadczenie, iż odwoła swoich przedstawicieli z Komitetu Wykonawczego, jeśli zgodzi się on na utworzenie w Mińsku takiej samej Czeka, jak w Piotrogradzie. „Ja was nie namawiam”, mówił Knorin, „ale zrobiłbym to na waszym miejscu”. Przyciśnięty do muru, zarówno w sensie przenośnym jak i dosłownie — rozmowa toczyła się w zatłoczonym podczas przerwy korytarzu — Knorin przyznał, że to byłoby dla mińskich bolszewików najlepszym wyjściem z sytuacji. Mogliby wówczas odrzucić żądania Piotrogradu pod pretekstem że ich przyjęcie oznaczałoby zerwanie z naszym Zjednoczeniem, czego chcieli uniknąć.

Ten dyplomatyczny manewr okazał się jednak zbyt czyny. Żądania Piotrogradu zostały odrzucone bez głosowania. Łander po przerwie powiedział, że głosowanie jest zbyt czyny, ponieważ „każdy widzi”, że ogromna większość nie zgadza się na zmianę charakteru Czeka w okręgu zachodnim. I w rezultacie Czeka w Mińsku i w okręgu zachodnim w ciągu stu dni istnienia tam władz sowieckich aż do zajęcia Mińska przez Niemców, nie było. Nie było takiej, jaką stworzono w Piotrogradzie, ani żadnej innej, bo ta, która na papierze istniała wkrótce się rozleciała i nic więcej nie było o niej słyhać.

Pozostał jednak problem zwalczania spekulacji, który zaostrzał się w miarę tego, jak się pogarszała sytuacja żywnościowa. W styczniu wyglądała ona bardzo źle. Brak było mąki, chleba, cukru i mięsa. Miński sowiet ustalił maksymalne ceny na te produkty, ale nikt się z tym nie liczył. Tylko za ceny wielokrotnie wyższe można było kupić żywność w sklepach. Powstało błędne koło, jak zawsze w podobnych wypadkach: rosnące ceny pozbawiały możliwości kupowania produktów ludzi biednych, podczas gdy zamożniejsi mieli ich pod dostatkiem, ale z drugiej strony usiłowania, zmierzające ku likwidacji czarnego rynku, wywoływały tylko dalszy wzrost cen. A istnienie czarnego rynku pozwalało bądź co bądź ludziom biednym kupić coś od czasu do czasu.

W Mińsku istniała jeszcze wówczas Rada Miejska, która zajmowała się gospodarką miasta i ustalała ceny na produkty żywnościowe. Wybrana jeszcze przed Konstytuanta, składała się ona w większości z mienszewików i bundowców, a przewodniczącym jej był eser I. I. Chitrow. Rada, po przewrocie bolszewickim,

stała się czymś w rodzaju miejscowego parlamentu. Zasiadała niemal że stale i jako tako życiem miasta kierowała: telefony działały, elektrownia też, ulice zamiatano, i nawet znacznie zmniejszyła się ilość kradzieży i napadów bandyckich od chwili kiedy naczelnik milicji, ten sam o którym mówiłem poprzednio, bodaj że z własnej inicjatywy podporządkował milicję i siebie Radzie Miejskiej. Był on, jak twierdził, absolutnym zwolennikiem nowej władzy, która jednak, jego zdaniem, nie powinna wtrącać się do takich spraw, jak milicja. To swoje stanowisko uwytatnił w nowych afiszach, rozklejonych po mieście.

Zachodnia Rada Komisarzy Ludowych unikała konfliktów z Radą Miejską, bo nie mogła się bez niej obejść. Ale wkrótce po moim powrocie z Piotrogradu K.W. postanowił, aby pięciu jego członków reprezentowało go w tej Radzie. Znalazłem się w liczbie tych pięciu. Rada, dość skwapliwie, zgodziła się na to, abyśmy brali udział w jej posiedzeniach. Mienszewicy, eserzy i zwłaszcza bundowcy wygłaszali na nich przemówienia, atakujące bolszewików i nasze Zjednoczenie. Odpowiadaliśmy rzadko, aby nie zaostrzać stosunków. W jednym tylko wypadku konfliktu nie udało się uniknąć. Dotyczył on oświetlania ulic i miał przebieg dosyć zabawny.

Ktoregoś dnia Sowiet zażądał od Rady Miejskiej, aby lepiej oświetlała ulice. Ktoś w Sowiecie napisał list w tej sprawie, który Rada uznała za niegrzeczny w tonie i niedopuszczalny w treści. Zwołano zaraz posiedzenie, na którym Chitrow zażądał ode mnie — bo innych przedstawicieli Sowietu tego dnia nie było — abym list wycofał. Powiedziałem że nie mogę tego zrobić, bo go nie pisałem, ale że wyjaśnię w K.W. tę sprawę i zdam Radzie relację. To zostało uznane za niewystarczające, a sprawa za mającą znaczenie zasadnicze. Przyjęto zaraz rezolucję, stwierdzającą że Sowiet nie ma prawa dawać Radzie żadnych rozkazów ani wtrącać się do jej działalności i że ulice, na znak protestu, w ogóle oświetlane nie będą.

I tak się też stało. Rada Miejska postanowiła nauczyć Sowiet rozumu i kazała zgasić wszystkie uliczne latarnie. Sowiet zaś chciał pokazać Radzie, że potrafi znaleźć wyjście z każdej sytuacji. Odnaleziono w składach kolejowych kilkaset od dawna nie używanych latarni naftowych, umieszczanych kiedyś na zewnątrz ostatnich wagonów pociągów towarowych. Niektóre były zaopatrzone w czerwone szybki, które usunięto, i rozstawiono straszliwie kopzące latarnie na głównych ulicach miasta, wprost na ziemi. Ten sposób oświetlania ulic miał jednak dwa poważne mankamenty. Po pierwsze okazało się, że ulic nie można oświetlać z dołu, a tylko z góry, o czym Sowiet nie pomyślał. Latarnie,

stojące na trotuarach, nie rozpraszały ciemności. Po wtóre zaraz pierwszej nocy rozkradziono dużą ich ilość. Ale Sowiet nie dał za wygraną. Wielu jego członkom rozdano te lampy, aby sobie indywidualnie oświetlali drogę, przyczyniając się jednocześnie do ruchomego oświetlenia miasta. Sam chodziłem ze dwie noce z taką czarną, ciężką i bardzo cuchnącą latarnią. Wreszcie, po dwóch czy czterech dniach, Łander niegrzeczny list uroczyście odwołał i nad ulicami zabłyśnęły znowu zwykłe latarnie.

9.

Dwie wizyty u Dowbora-Muśnickiego. — Dowbór wypowiada wojnę Rosji

Generał carskiej armii Józef Dowbór-Muśnicki, dowódca utworzonego przez niego w Rosji Korpusu Polskiego, napisał książkę o dziejach tego korpusu. Szukałem jej w bibliotekach w kilku krajach, ale nigdzie nie mogłem odnaleźć. Znalazłem tylko, w jednej z bibliotek amerykańskich, inną książkę tegoż autora, a mianowicie dzieło o mundurach w tymże korpusie. Nie przeczytałem go, zadawalniając się stwierdzeniem, że istnieje.

O tej drugiej książce wiem też tylko tyle, że istnieje, bo już wiele lat temu mówiono mi, że Dowbór-Muśnicki utrzymuje, że go kiedyś zaaresztowałem. To stwierdzenie nie jest całkowicie pozbawione podstaw, bo chociaż do tego nie doszło, ale prawie doszło. A ponieważ Dowbór-Muśnicki i jego Korpus odegrali dosyć dużą rolę w czasach, o których piszę, opowiem o moich z nim spotkaniach.

Mówiłem z nim dwa razy. Pierwsza rozmowa miała miejsce w sierpniu 1917 roku. Organizował on wówczas swój Korpus w okolicach Borysowa i Bobrujska, ale sztab jego mieścił się w Mińsku, w ładnej willi przy ulicy Górnickiej. O Dowborze mówiono, że jest w przyjaźni z Korniłowem, wówczas Naczelnym Wodzem, który go popiera i pomaga ów Korpus Polski formować. Krążyły też pogłoski że Korpus Dowbora, który miał opinię nie polskiego, lecz rosyjskiego reakcjonisty, zamierza wystąpić zbrojnie po stronie Korniłowa przeciwko Rządowi Tymczasowemu.

Wszysto to brzmiało bardzo niedobrze. Nasze Zjednoczenie Socjalistyczne postanowiło wydelegować do Dowbora Heltmana i mnie, aby się zorientować, jakie ma zamiary. Zatelefonowałem do Dowbora i rozmawiałem z jego adiutantem, któremu powiedziałem, że chcemy rozmawiać z Dowborem jako przedstawiciele

Zjednoczenia. Adiutant porozumiał się z Dowborem, który wyznaczył nam spotkanie na dzień następny.

Dowbór przyjął nas bardzo uprzejmie, ale nie odpowiedział na żadne z naszych pytań. Pytaliśmy go, w jakim celu organizuje swój Korpus i czy przeznacza mu jakąś rolę w ewentualnej walce o władzę w Rosji. Dowbór powtarzał wciąż jedno i to samo: że jest lojalnym rosyjskim generałem, podlegającym rozkazom Naczelnego Wodza, to znaczy Korniłowa. Polityka, jak mówił, mało go interesuje, nigdy się nią nie zajmował i zajmować nie zamierza. Mówił po polsku, dosyć kiepską polszczyzną. Otaczało go kilku oficerów. Jeden z nich wtrącił się do rozmowy i powiedział, że Korpus jest armią polską i w sprawach rosyjskich zachowa całkowitą neutralność. Powiedziawszy to, zwrócił się do Dowbora:

— Prawda, panie generale?

Dowbór, dosyć niechętnie, odpowiedział, że tak, oczywiście, ale że jest rosyjskim generałem i że przyszłość pokaże, jak się wszystko ułoży.

Jednym z rezultatów tej rozmowy z Dowborem było to, że Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne postanowiło przystąpić do organizacji polskich rewolucyjnych oddziałów wojskowych. Wychodziliśmy z założenia, że skoro Dowborowi wolno, to nam też. Rdzeń tych oddziałów powstał zaraz po przewrocie październikowym, kiedy utworzono „Pierwszy Pułk Rewolucyjny imienia Mińskiego Sowietu”, który liczył około trzech tysięcy ludzi. Jeden batalion tego pułku składał się z Polaków. Z tego batalionu Zjednoczenie postanowiło stworzyć pułk polski, biorąc pod uwagę że w armii carskiej, według oficjalnej statystyki, było w tym czasie 600.000 Polaków i że ta statystyka nie była zbyt dokładna, bo układano ją według wyznania, a nie według narodowości. Żołnierzy wyznania rzymsko-katolickiego było w armii 800.000, z tego 600.000 „przydzielono” Polakom. W istocie Polaków było w armii carskiej prawdopodobnie znacznie więcej.

Po raz drugi mówiłem z Dowborem w pierwszych dniach stycznia 1918 roku. Sytuacja była wówczas o wiele bardziej napięta. Wojska Dowbora znajdowały się w okolicach Homla, Orszy, Żłobina, Mohylewa i Mińska. Małe miasteczko Rohaczew było całkowicie we władzy Korpusu. Korpus nie otrzymywał jednak zaopatrzenia z rosyjskiej intendencji, której składki w tym czasie były zresztą puste. Wskutek tego oddziały Dowbora często przywłaszczwały sobie w różnych miasteczkach żywność, przeznaczoną dla ludności cywilnej, albo rekwirowały żywność u chłopów. Wywoływało to oczywiście starcia z miejscowymi

sowieciami. Zdarzało się też że Polacy-właściciele ziemscy, którzy nie opuścili swoich majątków, wzywali dowborczyków dla obrony ich przed chłopami. Dochodziło wówczas do poważniejszych walk. Dowborczycy odbierali chłopom dworskie bydło, zabierając czasem i ich własne. Przeglądając materiały z tego okresu znalazłem dużo opisów tego rodzaju wypadków. Jeden z nich, najbardziej charakterystyczny, dotyczył okręgu Mohylewskiego, gdzie miejscowy Sowiet już w początkach grudnia rozpatrywał skargi ludności na to, że „znajdujący się w miasteczku Bychowo sztab dywizji polskiej dopuszcza się bezceństw (*bezobrazji*), działając w porozumieniu ze Związkiem Ziemi, posyłającym właścicielom ziemskim żołnierzy polskich, którzy wywożą bydło domowe, należące do chłopów”. W tych samych materiałach znalazłem protest Sowietu w Mohyłowiu przeciwko „usiłowaniom, zmierzającym do wcielenia Bychowa do monarchistycznej Polski”*. Protest ten, niezbyt dobrze świadczący o wiadomościach członków sowietu z dziedziny geografii politycznej, wykazywał jednak, jaka sytuacja wytworzyła się na terenach, opanowanych przez wojska Dowbora. Zaostrzała się ona również w Mińsku. Dowborczycy rabowali sklepy żywnościowe na przedmieściach, a ponieważ te sklepy, czy raczej sklepiki, należały prawie wyłącznie do Żydów, opowiadano w mieście, że urządzają żydowskie pogromy. Trzeba dodać że w końcu listopada nowy Naczelnny Wódz Krylenko wydał rozkaz, aby w Korpusie Dowbora, tak samo jak w innych jednostkach wojskowych, wybrane były rady żołnierskie**. Kiedy Dowbor rozkaz ten zignorował, Kwaterę Naczelnego Wodza zakazała wydawania Korpusowi jakichkolwiek środków żywnościowych.

Aby zrozumieć to, do czego zaraz przejdę, trzeba sobie uprzytomnić jeszcze jedno. W tych pierwszych miesiącach sowieckich rządów wszystko odbywało się dosyć chaotycznie. Dotyczy to zwłaszcza „Obliskomzapu” — Okręgowego Komitetu Wykonawczego — który i był i nie był najwyższą władzą w okręgu zachodnim (Rada Komisarzy Ludowych była przed nim formalnie odpowiedzialna). Ten Komitet rozpatrywał tak dużo spraw, ważnych i zupełnie błahych, że posiedzenia, z powodu spóźnionej pory, zwykle odkładano, zanim wyczerpany został porządek dnia. Bezpośrednio przed moją drugą wizytą u Dowbora ktoś na posiedzeniu żądał aresztowania Dowbora za to, że urządza żydowskie pogromy, ktoś inny powiedział, że sprawa Dowbora „stoi na

* *Historia Białorusi, Dokumenty i materiały, Mińsk, 1954, tom IV, str. 294.*

** Rozkaz ten był ogłoszony w *Izwiestiach* 29 listopada 1917 roku.

ostrzu noża”, co mówiono o wszystkich innych sprawach i co w końcu wywoływało śmiech. Wreszcie Mjasnikow zaproponował, aby Dowborem zajął się Komisariat do Spraw Polskich, czy też Komisariat do Spraw Narodowościowych, to znaczy Berson. Uchwalono na chybicka, że Berson i ja mamy porozmawiać z Dowborem, a później się zobaczy.

Berson z jakichś powodów do Dowbora nie poszedł, natomiast poszedł do niego na drugi dzień ze mną Koroljow, o którym mówiłem już poprzednio. Poszedł po prostu dlatego, że wszędzie i chętnie ze mną chodził.

Ta moja druga rozmowa z Dowborem trwała dosyć długo. Toczyła się w tej samej willi, w jego sztabie. Dowbora znów otaczało kilku oficerów. Powiedziałem mu, że powinien wydać rozkaz, zabraniający jego żołnierzom wszelkich rekwizycji u chłopów i wysłać na miasto patrole, uważające aby żołnierze nie napadali na sklepy.

Dowbór, ze względu na Koroljowa, mówił ze mną tym razem po rosyjsku. Koroljow wtrącał się do rozmowy, sądząc, że mi w ten sposób pomaga, i nagle, bez żadnego ku temu powodu, powiedział, że Dowbór ma słuchać tego co mówię, a nie mędrkować (*rassużdat'*). Dowbór bardzo się zmieszał. Nie był przyzwyczajony, aby zwykły rosyjski szeregowiec rozmawiał takim tonem z nim, rosyjskim generałem w pełnym blasku swojego munduru — oczywiście rosyjskiego, bo te polskie, o których później napisał książkę, istniały wówczas tylko w jego wyobraźni.

Któryś z adiutantów Dowbora zwrócił Koroljewowi uwagę, że rozmawia, bądź co bądź, z generałem, co dołało tylko oliwy do ognia. Koroljow krzyknął, że nastąpiły takie czasy, kiedy żołnierze rozkazują generałom, a nie na odwrót, i że jeżeli Dowbór nie posłucha naszych rozkazów, to go natychmiast aresztujemy i odwieziemy samochodem na Jurjewską, to znaczy do Sowietu.

Ku mojemu zdziwieniu, zanim jeszcze zdążyłem coś powiedzieć, Dowbór oświadczył, że się podporządkowuje rozkazowi o areszcie i wstał, jakby szykując się do wyjścia. Jeden z oficerów podbiegł do niego, prosząc o pozwolenie towarzyszenia mu. Dowbór kiwnął głową — i zapanowało dosyć długie milczenie. Staliśmy po prostu naprzeciw siebie, nic nie mówiąc. Nie miałem najmniejszego zamiaru aresztować Dowbora i nikt mnie do tego nie upoważnił. A co się tyczy samochodu, którym mieliśmy zawieźć Dowbora na Jurjewską, to go w ogóle nie było. Koroljow skłamał, przyszliśmy pieszo.

Musiłem powiedzieć Dowborowi, że Koroljow „przekroczył swoje kompetencje”. Dowbór usiadł, z westchnieniem ulgi. Dalejsza rozmowa toczyła się już po polsku. Dowbór zapytał, co

zamierza zrobić Komitet Wykonawczy, jeśli nie wyda on rozkazów, o których mówiłem. Odpowiedziałem — bo była o tym mowa na posiedzeniu Komitetu Wykonawczego — że Komitet przystąpi wówczas bezzwłocznie do demobilizacji Korpusu Dowbora. Wszyscy zdemobilizowani otrzymają żywność albo pieniądze na zakup żywności, a nasze Zjednoczenie postara się o znalezienie dla nich dachu nad głową i pracy.

Ta moja odpowiedź wywołała konsternację. Pogłoski o zamierzonej demobilizacji Korpusu Dowbora kursowały już przedtem i musiały dotrzeć do jego sztabu. Nie wiem jaki procent żołnierzy w Korpusie, ale prawdopodobnie bardzo duży procent, wstąpił do niego głównie w tym celu, aby dostawać tam wyżywienie i przetrwać aż do chwili powrotu do Polski. Demobilizacja w takich warunkach, jakie wspominałem, mogła Korpus rozwalić. Otaczający Dowbora oficerowie zaczęli mi tłumaczyć, że napady dowborczyków na sklepiki miały miejsce tylko w Mińsku, że się więcej nie powtórzą i że wiadomości o rekwizycjach u chłopów są silnie przesadzone. Jeden z oficerów powiedział, że Zjednoczenie Socjalistyczne, zamiast zwalczać armię Dowbora, powinno ją popierać, ponieważ nie ma ona najmniejszego zamiaru wtrącania się do spraw rosyjskich i tworzy się w tym celu, aby w stosownej chwili wystąpić zbrojnie przeciwko Niemcom — odwiecznym wrogom, jak powiedział, wszystkich Polaków, „a więc i waszym”. Pamiętam że Dowbór, który dotychczas aprobował pomrukiwaniem lub kiwaniem głową to co mówili jego oficerowie, tym razem aprobaty nie wyraził i spojrzał na tego oficera w taki sposób, jakby słyszał o zamiarze walki z Niemcami po raz pierwszy.

Stało wreszcie na tym, że Dowbór wyda rozkazy, o których mówiłem. Powiedział, że zrobi to nie dlatego, że tego żąda Komitet Wykonawczy, tylko z własnej woli, „dla obrony honoru żołnierskiego munduru”. Powtórzył to po rosyjsku, specjalnie dla Koroljowa, i jeszcze dodał coś w tym sensie, że chociaż żydowscy sklepikarze chowają żywność, to jednak on, jako rosyjski i polski generał, nigdy nie pozwoli, aby jego żołnierze urządzali żydowskie pogromy.

Nie pamiętam dokładnie, jak się rozwinęły dalsze wypadki. Zdaje się, że obiecałem wtedy Dowborowi, iż Komitet Wykonawczy nie ogłosi demobilizacji jego Korpusu, jeśli wyda te rozkazy do żołnierzy. Kilka dni później, nie czekając na ich wydanie, Komitet Wykonawczy przystąpił do demobilizacji Korpusu Dowbora. Jest możliwe, że nie chciał czekać, aż Dowbór te rozkazy wyda, może też nie powinienem był dawać Dowborowi obietnicy, nie wiedząc, czy zostanie dotrzymana. W każdym bądź razie

demobilizacja się rozpoczęła, obwieszczali o niej wielkie afisze na ulicach i ogłoszenia w prasie. Miński Sowiet wydawał zdemobilizowanym zaświadczenia, a tych, którzy tego chcieli, umieszczał gdzieś w barakach za miastem, gdzie ich również karmiono. Jednakże demobilizację przeprowadzano tylko w Mińsku, gdzie żołnierzy Dowbora było w tym czasie już bardzo mało.

O tym co nastąpiło później wiem już tylko z materiałów historycznych, pamiętam te wypadki słabo. Dowbór opuścił Mińsk razem ze swoim sztabem i 12 stycznia 1918 roku wypowiedział wojnę Rosji. W odpowiedzi na to Krylenko wydał rozkaz do żołnierzy Dowbora, nakazując im „opuścić miejsce rozlokowania polskiego Korpusu” i ogłaszając Dowbora „wrogiem rewolucji, wyjętym spod prawa”. W Mińsku Rada Komisarzy Ludowych ogłosiła manifest do ludności i do żołnierzy Dowbora — po polsku i po rosyjsku — wzywając ludność do zachowania spokoju, a żołnierzy Korpusu Dowbora do przeciwstawiania się „kontr-rewolucyjnej działalności generała Dowbór-Muśnickiego, wroga chłopów i żołnierzy, jak również polskiej demokracji, która go opuściła”*. Między oddziałami Dowbora i zebranymi na pręde oddziałami sowieckimi rozpoczęły się walki. Wojska Dowbora zdobyły Rohaczew i zbliżyły się do Mohylewa, gdzie była w dalszym ciągu Kwatera Naczelnego Wodza (Krylenki). Pod Mohylewem wojska te zostały jednak zatrzymane i odbite w kierunku Bobrujska**. W tym samym czasie rozpoczęła się ofensywa niemiecka. Niemcy rozbili wojska Dowbora, który był później, przez czas krótki, generałem w Armii Polskiej w Warszawie.

10.

Zerwanie rokowań w Brześciu. — P.O.W. przejmuje władzę w Mińsku. — Wejście Niemców do miasta. — Władze niemieckie aresztują mnie w Kownie

W końcu stycznia i w pierwszych dniach lutego w Mińsku panował spokój, który trudno wytłumaczyć przyczynami natury obiektywnej. W Brześciu toczyły się pertraktacje pokojowe, ale nikt się nimi nie interesował. Wszyscy byli przekonani że wojna się skończyła, a podpisanie traktatu pokojowego będzie tylko

* Manifest był wydrukowany w bolszewickiej gazecie *Zwieszda* w Mińsku 14 stycznia, a po polsku w *Polskiej Prawdzie*.

** *Graždanskaja Wojna* (Wojna Domowa), 1917-1921, Moskwa, 1930, tom III.

czczą formalnością. Nikt nie myślał o armii niemieckiej, znajdującej się w odległości stu kilometrów od miasta, ani o tym, że front został огоłocony z żołnierzy i Niemcy mają otwartą drogę do Mińska. Tak wyglądała sytuacja na zachodzie. Na wschód od Mińska, też mniej więcej w odległości stu kilometrów, znajdowały się wojska Dowbora, toczące wojnę z Rosją. Tą wojną też się nikt zbyt nie przejmował. Pamiętam że na jakimś posiedzeniu Komitetu Wykonawczego przedstawiciel sztabu Wacetisa, Łotysza, który dowodził oddziałami, walczącymi z wojskami Dowbora, zdawał o tych walkach sprawozdanie. Nie wywołało ono żadnego zainteresowania. Wojny, wypowiedzianej przez Dowbora, nie brano poważnie, a prócz tego wyczuwało się zmęczenie wypadkami rewolucyjnymi. Nastąpiła pewna stabilizacja, do której bardzo się przyczyniło lepsze zaopatrzenie miasta w produkty żywnościowe. Ruch na ulicach był bardziej ożywiony, w kinie „Gigant”, największym w mieście, już tylko rzadko odbywały się zebrania i wiece. Wyświetlano tam filmy i właśnie teraz, bo rewolucyjne napięcie zmalało i miałem trochę więcej czasu, wybrałem się do tego kina — pierwszy raz od wielu miesięcy. Nie pamiętam tytułu filmu, który pokazywano, ale dosyć dobrze zapamiętałem jego treść. Grali najlepsi wówczas aktorzy, w roli głównej występował Panow, znakomity aktor filmowy. Grał Lenina. Nie było powiedziane że Lenin, ale wyglądał jak Lenin, a treść filmu polegała na tym, że z zagranicy, zaraz po rewolucji lutowej, powraca polityczny działacz, uchodzący za socjalistę, lecz będący niemieckim agentem, o czym jego partyjni towarzysze nie wiedzą. Nie wie również dziewczyna, która się w nim kocha. Na tym tle rozgrywa się wielki dramat miłosno-polityczny. Agent zostaje zdemaskowany, dziewczynę, która chciała się otruć, w ostatniej chwili ktoś ratuje i wszystko doskonale się kończy. Dziewczyna bierze nawet udział w anty-bolszewickiej, ale rewolucyjnej demonstracji ulicznej, a ponieważ filmy były wówczas nieme, radosne okrzyki tłumu na ekranie uwydatniała orkiestra kina, głównie przy pomocy trąb i bębnow.

Film bardzo się publiczności podobał, przed kinem stały duże kolejki. Odniosłem jednak wrażenie, że jego polityczna treść mało kogo obchodzi — nie obchodziła widocznie i władz, skoro film wyświetlano. Ludzie cieszyli się, że mogą znowu oglądać na ekranie zajmujące widowisko i ulubionych aktorów. Po ostatnim seansie usiłowałem — też pierwszy raz od dłuższego czasu — dostać się do kawiarni „Selekt”, mieszczącej się naprzeciw „Gigantu”. Wszystkie stoliki były zajęte. W kawiarni, jak za dawnych czasów, grał znowu tercet, publiczność była rozbawiona, głośne rozmowy zagłuszały muzykę. A Zacharzewska, przemiano-

wana na Sowiecką, pełna była jeszcze przechodniów i przypominała tego wieczoru przedrewolucyjne czasy.

I oto nagle, niby bomba z samolotu którego nikt nie zauważył, przyszła wieść o zerwaniu brzeskich pertraktacji. Stało się to 10 lutego. Trocki odrzucił żądania niemieckie, wysuwające swoje słynne hasło „ani pokój, ani wojna”. W odpowiedzi na to Niemcy oświadczyli, że działania bojowe zostaną wznowione 18 lutego.

Organy władzy w Mińsku zareagowały na to tak, jak najczęściej postępują władze, które nie przewidziały tego, co powinny były przewidzieć: zaprzeczyły wszystkiemu. 15 lutego rozklejono w mieście oświadczenie Mjasnikowa, Głównodowodzącego Frontem Zachodnim. Dementował on kategorycznie pogłoski o bliskiej ofensywie niemieckiej, mówiąc że wie, kto je rozpuzcza i że „winni zostaną ukarani”. Podobne oświadczenie ogłosił Komitet Wykonawczy*. Dopiero znacznie później, kiedy wojska niemieckie zbliżyły się już do Mińska, Mjasnikow ogłosił nowe wezwanie do ludności, wzywając ją do walki „przeciwko międzynarodowym rabusiom i podłym wrogom wolności”. Nie miało to żadnego sensu, bo o walce z Niemcami ani miejscowe, ani centralne władze wówczas nawet nie myślały. W dodatku tytuł wezwania intrygował tych, którzy czytali je na ulicach, gdzie było rozplakatowane. Tytuł brzmiał bowiem tak:

Ko wsjem trudjaszczimsja i obrjemienionnym!

Po polsku znaczy to: „Do wszystkich pracujących i obciążonych”. Dziwny ten tytuł tłumaczył się ormiańskim pochodzeniem Mjasnikowa, który w chwilach wzburzenia mało się troszczył o ścisłość używanych przez siebie rosyjskich wyrazów. Ludność tłumaczyła sobie afisz rozmaicie. Słyszałem, jak na jakiejś ulicy poważnie wyglądająca kobieta objaśniała grupie ludzi, że *obrmienionnyj* znaczy to samo co *obrmieczionnyj* (skazany) i że wszyscy mieszkańcy Mińska skazani są na zagładę, ponieważ Niemcy spalą miasto i wytną w pień całą ludność.

Dlaczego jednak władze początkowo tak usilnie dementowały wiadomości o zerwaniu pertraktacji w Brześciu i o tym, że wojska niemieckie zbliżają się do miasta? Przypuszczam, że były ku temu różne przyczyny. Główna polegała na tym, że Mjasnikow, Knorin i inni o niczym nie wiedzieli. Brzmi to dziwnie, ale tak pewnie było. Wiadomości z Brześcia, choć Brześć był tuż pod ręką, Mińsk otrzymywał nie bezpośrednio, lecz drogą okólną przez Piotrogród. Piotrogród przesyłał je z opóźnieniem, a wła-

* Wszystkie te wezwania odnalazłem w książce „Kastrycznik (paździenik) na Białorusi”, str. 446 i dalsze.

dze wierzyły tylko wiadomościom przesyłanym drogą oficjalną. Członkowie zachodniego Komitetu Wykonawczego — i ja w tej liczbie — byli odgradzeni od tego, co się działo, chińskim murem, za którym bez przerwy zasiadali, ignorując kompletnie kolejność ważności spraw, niezbędną zarówno w życiu każdego człowieka, jak i, bardziej jeszcze, w sztuce rządzenia państwem. A inna przyczyna była taka, że ludzie niechętnie godzą się z przykrymi dla nich faktami, nie przyjmują ich do wiadomości i bronią się przeciwko konieczności wyciągnięcia z nich wniosków aż do ostatniej chwili.

Wszystkie władze, wszystkich ustrojów i we wszystkich czasach mają w takich wypadkach jeden i ten sam argument na swoją obronę: nie można powiedzieć prawdy, choć się ją zna, bo to wywoła panikę. W Mińsku w tych ostatnich dniach przed zajęciem miasta przez Niemców również nie brak było ludzi, którzy twierdzili, że wiedzą o ruchach wojsk niemieckich, ale nie wolno o tym głośno mówić, aby nie było paniki. Ale żadnej paniki nie było. Ewakuacja rozpoczęła się 20 albo 21 lutego i trwała dwa lub trzy dni. Opuszczały miasto tylko władze. Ludność, z bardzo małymi wyjątkami, o wyjeździe nawet nie myślała. Rozporządzenia, dotyczące ewakuacji, komunikowano telefonicznie. Mnie, jako członka Okręgowego Komitetu Wykonawczego, zawiadomiono również telefonicznie że Komitet Wykonawczy zostaje „czasowo przeniesiony” do Smoleńska.



Kilka dni przed wejściem Niemców do miasta rozmawiałem z moim starszym bratem Antonim. Antoni, który początkowo, po moim przyjeździe do Mińska, odnosił się do mnie przyjaźnie, później swój stosunek do mnie zmienił. Miał zawsze, a więc i teraz, poszanowanie dla cudzych przekonań, a więc i dla moich, ale nie rozmawiał ze mną tak jak dawniej, nie prowadził ze mną sporów politycznych, w ogóle unikał, spotykając się ze mną, politycznych tematów. Uważał się za socjalistę i za piłsudczyka — Piłsudski był przecież wówczas socjalistą — ale za socjalistę „na ustroniu”, przebywającego, jak mi kiedyś powiedział, „w rezerwie” aż do powrotu do Polski, bo rewolucję rosyjską traktował jako cudzą sprawę. Mówił to zresztą niechętnie, musiałem od niego wyduszać, jakie zajmuje stanowisko.

Spotkał się ze mną żeby się dowiedzieć, co mam zamiar zrobić. Nie wiedziałem co zrobić, myślałem o tym w dzień i w nocy, nie mogąc się zdecydować. Wszyscy członkowie zarządu Polskiego Zjednoczenia Socjalistycznego postanowili wy-

jechać do Smoleńska. To znaczy wszyscy ci, którzy występowali na wiecach, pisali artykuły — ci, których w mieście znano. A ja byłem również członkiem Okręgowego Komitetu Wykonawczego i sekretarzem Komisarjatu do Spraw Polskich. Baryła, Heltman, Berson, Pikiel i inni moi przyjaciele dowodzili, że rewolucja rosyjska jest tylko wstępem do rewolucji na zachodzie i że każdy socjalista, Polak czy nie Polak, powinien być tam, gdzie trzeba tej rewolucji bronić, to znaczy w Rosji. Ja się z tym nie zgadzałem. Trudno mi, po tylu latach, przypomnieć sobie dlaczego. Prawdopodobnie dużą rolę odgrywało po prostu to, że do Polski tęskniłem. Ale jedną z przyczyn pamiętam i muszę o niej napisać. Nie odpowiadało mi ostatnio w Mińsku moje dygnitarstwo, nie bardzo byłem dumny z moich stanowisk w aparacie władzy. Tak już jestem duchowo urządzony, że władza — każda władza — raczej mnie odpycha, niż pociąga. A w Smoleńsku mógłbym pracować już tylko w robocie rosyjskiej, to znaczy w aparacie władzy, bo naszego Zjednoczenia nie można było przenieść: tysiące jego członków czekało tylko na przyjsie Niemców, żeby przedostać się do Polski.

Powiedziałem to wszystko Antoniemu i zapytałem, co jego zdaniem powinienem zrobić. Rzadko ostatnio pytałem go o radę, ale wiedziałem, że będzie ona bezstronna, że nie będzie zabarwiona jego politycznym nastawieniem ani pewnym do mnie żalem, że się całkowicie wyzwoliłem spod jego wpływu. Odczuwał z pewnością ten żal, był w takich sprawach lojalny, uczciwy i całkowicie bezstronny. Antoni powiedział mi, że nie powinienem jechać do Rosji i że mój ojciec też tak myśli. Zapytałem go, czy ojciec wyjedzie.

— Nie, ojciec nie wyjedzie. Tak się oderwałeś od domu, że już nic nie wiesz. Ojciec mało ostatnio zarabia, a gdzieś w głębi Rosji nie może liczyć na to, że będzie miał praktykę. Ojciec chce wrócić do Łodzi jak tylko wejdą tu Niemcy.

Rozmawiałem z ojcem tegoż dnia, a może nazajutrz. Była to smutna i bolesna rozmowa. Ojciec czekał na mnie przed domem na ulicy. Nocowałem już w domu, nie w moim pokoju hotelowym, żeby nie być za bardzo na widoku. Kiedy rano wyszedłem, zobaczyłem ojca przed bramą. Myślałem że go wezwano do chorego, ale ojciec wyszedł, żeby nie rozmawiać ze mną w mieszkaniu, przy matce, którą bardzo denerwowało to co się działo. Zrozumiałem to kiedy go zobaczyłem i było mi przykro, że długo na mnie czekał na ulicy. Na tym mało ważnym szczególe, jak to często w takich razach bywa, ześrodkowałem moją przed ojcem winę i nie pomogło to, że sobie przypominałem doktora Piotra i jego ojca, pana Dominika Cedzynę z książki

Żeromskiego, mówiąc sobie że jak w tej książce mój stosunek do ojca odzwierciedla tragedię społeczną, że nie ma w niej winnych, bo mój ojciec nie mógł, tak samo jak pan Cedzyna, myśleć inaczej niż myślał i ja też nie mogłem inaczej żyć.

Ale, jak mówię, to wspomnienie nie pomogło. Musiałem mieć bardzo niewyraźny wyraz twarzy. Ojciec to spostrzegł i wziął z miejsca lekki ton. Jego pacjenci, mówił niemal że wesoło, nagle wyzdrowieli, nikt do niego nie przychodzi, więc się wybrał na spacer, a teraz właśnie wraca. I że korzystając z tego że mnie spotyka chciałby się dowiedzieć jakie mam zamiary, bo przecież Niemcy wejdą lada dzień do miasta.

— Byłoby dla ciebie bezpieczniej, gdybyś wyjechał, powiedział w zamyśleniu. Do Rosji... Co?

A później już tylko spoglądał mi w oczy i wiedziałem że nie chce, żebym wyjechał. Począłem pleść coś o tym, że podlegam dyscyplinie partyjnej, że moje partyjne władze są w Piotrogradzie i nie mam z nimi kontaktu więc jeszcze nie wiem, co zrobić. Ojciec kiwał głową, że niby mnie rozumie, ale wiedział że wcale o to nie chodzi, że decyzję poweźmę sam, a może się domyślił że się już zdecydowałem i do Rosji nie pojadę.

Nazajutrz o siódmej rano siedziałem w wagonie ostatniego pociągu, odchodzącego z Mińska na wschód, do Smoleńska i Moskwy. Pociąg stał na stacji, widziałem przez okno zupełnie pusty peron, wszyscy którzy mieli wyjechać wyjechali już przedtem. W wagonie było kilku ludzi, żadnego z nich nie znałem. Wychodzili na peron, okrywali uszy, bo wiatr był mroźny i znowu wracali. Pociąg miał odejść lada chwila, albo za godzinę, albo za trzy, rozkładu jazdy już nie było. Wsadzili mnie do pociągu moi przyjaciele Heltman i Baryła po ostatnim posiedzeniu w Zjednoczeniu Socjalistycznym, które trwało całą noc. Przekonali mnie że powinienem wyjechać, teraz poszli się dowiedzieć, czy nie można dostać czegoś do jedzenia w bufecie na dworcu. Nie mieli żadnych rzeczy, ja też nie, nie było czasu żeby pójść do domu, pojechaliśmy na stację wprost z posiedzenia. Czekałem na nich, paląc jednego papierosa za drugim. Czekałem i mówiłem sobie że źle robię, że przecież zdecydowałem, że nie wyjadę.

Wstałem i wyszedłem z wagonu. Nie spotkałem nikogo na peronie ani w przejściu na plac przed dworcem. Na ulicach prawie nie było przechodniów. Szedłem długo, padał śnieg. Już blisko środka miasta zatrzymało mnie dwóch bardzo młodych ludzi. Mieli na rękawach opaski z literami P.O.W., na plecach karabiny.

— My pana znamy, powiedzieli. Pan pójdzie z nami. Proszę oddać broń.

Dałem im rewolwer. Obejrzeni go sobie, starszy z nich wsadził go do kieszeni palta. Zaprowadzili mnie na Magazynową, do domu „Sokoła”, gdzie się mieścił ich sztab. Po drodze spotkałiśmy jeszcze kilka patroli składających się z takich samych młodych ludzi z opaskami.

Wprowadzono mnie do pokoju, w którym za małym stolikiem siedział ich dowódca, kapitan Ignacy Matuszewski. Przeprosił mnie za to się stało i zwymyślał gimnazjalistów, którzy mnie aresztowali.

— Musi pan mieć jakiś papierek, jakąś przepustkę, żeby pana znowu nie zatrzymał któryś z naszych ludzi. Proszę poczekać, zaraz coś zrobimy.

Wyszedł z pokoju i po chwili przyniósł mi przepustkę „na prawo swobodnego poruszania się po mieście Mińsku”. Opatrzył ją stemplem P.O.W. i swoim podpisem.

— Myśmy odebrali temu panu rewolwer — odezwał się jeden z gimnazjalistów.

— Proszę zwrócić! — krzyknął Matuszewski.

Wziąłem rewolwer i poszedłem do domu. Nikt w domu nie wiedział, że wróciłem ze stacji.

Oddziały P.O.W. zawładnęły miastem zaraz po opuszczeniu go przez władze sowieckie. Nikt się im nie sprzeciwił, wzięli miasto w posiadanie bez jednego wystrzału.

Zmobilizowana przez Matuszewskiego P.O.W. rządziła miastem dwa lub trzy dni. Później weszli do miasta Niemcy. Widziałem jeden z pierwszych wchodzących oddziałów. Składał się z żołnierzy Landwehry, ludzi w wieku lat 40-50, w wygniecionych mundurach, ledwo włączających nogi. Ktoś krzykliwie witał ich po niemiecku. Żołnierze nie zwrócili na niego uwagi, grupki ludzi na trotuarach też nie. Patrzono na Niemców w milczeniu.

Zostałem w mieście jeszcze dwa dni. Starszy znacznie ode mnie kuzyn, urzędnik bankowy, ewakuowany w swoim czasie do Mińska z Warszawy, namówił moich braci i mnie, żeby wyruszyć do Warszawy zaraz, zanim Niemcy wprowadzą jakieś ograniczenia, bo wtedy będzie trudniej. Było też jasne, że czym prędzej zniknę z Mińska, tym lepiej. Ojciec ten projekt poparł, matka i bracia też. Rodzice mieli wyjechać później.

Wsiedliśmy do towarowego wagonu późnym wieczorem. Był to jeden z wagonów pociągu, który przywiózł niemieckich żołnierzy i wracał na zachód. Pociąg ruszył jakoś bardzo prędko. W wagonie siedzieli na ławkach jeszcze ze dwadzieścia osób, wszyscy mówili po polsku. Nie mieliśmy żadnych biletów, ale tego nikt nie sprawdzał. Raz tylko, na jakiejś stacji w pobliżu Mińska, kolejarz w niemieckim mundurze zażądał od nas biletów

i przepustek wojskowych, grożąc że wszystkich wysadzi z wagonu. Mój kuzyn dał mu coś w łapę i pojechalśmy dalej. Jechali ze mną dwaj moi bracia, starszy Antoni i młodszy Jerzy, narzeczona Antoniego i ów kuzyn.

Jechaliśmy chyba ze dwadzieścia godzin. Pociąg zawiózł nas aż do Kowna, dalej nie szedł. Tam już funkcjonowały niemieckie władze wojskowe, przygotowane na to, że ze wschodu pociągną do Polski masy *bieżeńców*. Przeznaczono dla nich, jako pierwszy etap, koszary za miastem, do których nas zaprowadzono. Zastaliśmy tam z dwieście osób, które wybrały się w podróż jeszcze przed nami. W koszarach wszystkich karmiono, spaliliśmy na czystych siennikach, rozłożonych na drewnianych narach. Niemcy przetrzucali *bieżeńców* pociągami do Wilna i do Warszawy, następny transport miał odejść za kilka dni.

Odjechał nim mój kuzyn i narzeczona Antoniego i oboje dojechali do Warszawy. Moich dwóch braci i mnie aresztowano. Do koszar przyszło po nas dwóch żołnierzy, sprawdzili tylko nazwisko i zaprowadzili nas wprost do więzienia, gdzie każdego z nas umieszczono w oddzielnej, pojedynczej celi.

Młodszego brata Jerzego, który miał dopiero 17 lat, zwolniono po tygodniu czy dwóch. Władze niemieckie doszły do wniosku, że nie on jest politycznym przestępcą, którego szukali — był za młody — ale władze nie były pewne, czy jestem nim ja, czy też mój starszy brat. Dopiero po trzech miesiącach, kiedy same sprawdziły — bo nam nie wierzono — że to ja, Antoniego wypuszczono.

Później, kiedy mnie przewożono, już samego, z jednego więzienia do innego — z Kowna do więzienia na Łukiszkach w Wilnie — eskortujący mnie żołnierz wdał się ze mną w rozmowę. Opowiedział mi o swojej rodzinie a później, bez wielkiego z mej strony nacisku, raczej z własnej ochoty, pokazał mi akta mojej sprawy, które wiozł ze sobą w torbie. Wyczytałem w tych aktach, że zadenuncjowała mnie władzom niemieckim w Kownie pewna baronowa, Polka, ale nosząca nie-polskie nazwisko. Nie widziałem jej nigdy w życiu, znałem jednak to nazwisko, bo przewija się ono przez polską historię od czasów napoleońskich. Baronowa, jak wynikało z aktów, mieszkała w Mińsku i znała mnie z nazwiska, ale nie wiedziała, jak mi na imię. Zakomunikowała Niemcom wszystko co o mnie wiedziała, prosząc żeby ją wyprawiono do Warszawy pociągiem osobowym. W aktach była notatka, że prośba ta została uwzględniona.

IV

1.

*Więzienie w Kownie. — Pomoc z nieoczekiwanej strony. —
Więzienie na Łukiszkach. — Wiadomość o śmierci ojca*

Więzienie w Kownie, ogromny, solidny gmach wybudowany jeszcze za carskich czasów niemal że w środku miasta, miało szerokie korytarze i obszerne cele. Moja, pojedyncza, liczyła pięć kroków wzdłuż i trzy wszerz. Wychodzące na więzienne podwórko okno nie było zasłonięte, było zwyczajnym oknem, tyle że zakratowanym. Więźniowie, jeśli chcieli, mogli stać przy oknie choćby cały dzień. O siódmej rano przemierzał podwórko powolnym krokiem niemłody żołnierz w czapce bez daszka. Nosił zrudziałe, pół-długie buty, sięgające mu do łydek i palił porcelanową fajkę o długim cybuchu. Niebieskawe chmurki dymu zawisały na długą chwilę w powietrzu, znacząc jego drogę. Żołnierz szedł karmić kury, znajdujące się już poza polem mojego widzenia i znane mi tylko z radosnego gdakania, którym witały żołnierza. Miał on minę pocziwą, trochę znękaną, i chodził pochylony. Wyglądał jak Minc z „Lalki” albo jakiś zacny Niemiec z powieści Balzaka. Zawsze sobie tak tych książkowych Niemców wyobrażałem i zawsze z fajką na długim cybuchu. Spoglądałem na niego co rano z sympatią aż do czasu kiedy się dowiedziałem, że pełni w więzieniu funkcje kata. Wieszał skazańców na szubienicy, stojącej na innym podwórku. Widziałem ją tylko raz. Miała kształt dużego L, postawionego do góry nogami.

Kiedy dozorca pierwszy raz zamknął za mną ciężkie i głośne drzwi mojej celi, pomyślałem sobie, że tak właśnie powinno być, że prawdziwy rewolucjonista musi przejść przez więzienie, tak zawsze było i będzie. I że dopiero ten zgrzyt klucza w zamku, który później słyszałem tak często, jest dowodem, że biorę moje przekonania na serio i że świat bierze mnie na serio. Ogarnęło

mnie uczucie dumy, niemal że radości. Dobrze to uczucie pamiętam, ale teraz, pisząc o nim i zastanawiając się nad źródłami z których płynęło myślę, że jednym z nich, i to nie najmniej ważnym, była świadomość, że już nie będę musiał podejmować żadnych decyzji. Wszystko samo się rozstrzygnęło i dalsze moje losy nie były już w moich rękach. To mi sprawiało ulgę, bo ostatnie dni w Mińsku były dla mnie bardzo ciężkie dlatego, że musiałem się na coś zdecydować i nie mogłem, i zmieniałem moje postanowienia, wiedząc, że zależeć od nich będzie całe moje przyszłe życie. Nie znam zresztą niczego bardziej przykrego i bardziej męczącego, niż przyjmowanie ważnych decyzji. Nawet zła czy mylna decyzja jest lepsza od żadnej, dając wewnętrzną siłę, którą wahanie zabija całkowicie.

Moja cela była idealnie czysta, miała dobrze wymytą drewnianą podłogę, na drewnianym tapczanie leżał wypchany słomą siennik i wiórami poduszka. Przekonałem się wkrótce, że taka poduszka ma swoje zalety. Przyzwyczać się do niej łatwo, a z żadnej innej nie płyną w nocy, przy najmniejszym poruszeniu głowy, tajemnicze szmery, szepty, szelesty, odgłosy i echa, zawsze inne, zawsze o różnych natężeniach, cichnące powoli niby bardzo daleki pociąg i karmiące marzenia i sny. Ściany, od dołu, pomalowano olejno na kolor zielony, a od góry wybielono wapnem. Na ścianie wisiły drukowane przepisy, wyszczególniające, czego nie wolno robić i pomijające całkowitym milczeniem, czego więźniowi wolno robić i jakie mu przysługują prawa. Zastanowiło mnie, że jedna z najcięższych kar za więzienne przewinienia polegała na *Arbeitsentziehung*, to znaczy na pozbawieniu pracy. Pomyślałem sobie, że pracujący więźniowie są pewnie lepiej odżywiani. Nie miałem możliwości sprawdzenia, czy tak jest, bo w więzieniu nie pracowałem i nie miałem z innymi więźniami żadnego kontaktu.

Jedzenie było znośne: cieniutka zupa dwa razy dziennie, kawa bez cukru rano z żołądźci czy czegoś takiego i mały kawałek chleba. Znośne w tym sensie, że jadalne, ale niewystarczające. Później, na Łukiszkach, widziałem księgę więźniów, do której zapisywano ich nazwiska, datę przybycia i wyrok. W ostatniej rubryce — co się z więźniem stało — było dużo krzyżyków i wszędzie ta sama przyczyna śmierci: *Entkräftigung*, to znaczy wyczerpanie. Więźniowie ci umarli z głodu. Śmierć następowała czasem po roku, czasami już po kilku miesiącach. W kowieńskim więzieniu było pewnie tak samo. Wolno było kupować chleb i pewne produkty, ale nie miałem pieniędzy, moi bracia też nie. Nie mogę sobie przypomnieć dlaczego. Może nie zdążyliśmy ich zabrać w pośpiechu — kuzyn dowiedział się że odcho-

dzi pociąg i przyszedł po nas w ostatniej chwili — może z tego powodu, że na zajętych przez Niemców terytorium kursowały tak zwane ost-ruble i pieniądze rosyjskie nie miały żadnej wartości. W przeciągu pierwszych kilku tygodni byłem głodny, śniły mi się po nocach wspaniałe potrawy, powolne żucie chleba ani inne takie sposoby nie pomagały. Później przyszła pomoc, ze strony, jak to często bywa, nieoczekiwanej. Miałem w Łodzi wujka, męża siostry mojego ojca, który dowiedział się od owego kuzyna, który z nami jechał, o naszym aresztowaniu i przesłał nam do więzienia dużą jak na owe czasy sumę: 150 ost-rubli. Ten wuj był moim chrzestnym ojcem, a skoro już o nim mówię, chciałbym powiedzieć więcej. Dawno już nie żyje, cicho przeszedł przez życie i bardzo cicho i pięknie umarł. Pisałem o nim w jednym z moich opowiadań, które się nazywa „Stryj Wiktor”. Ale to opowiadanie dzieje się w Nowym Jorku i jest zmyślane. Wuj Ludwik, choć dużo podróżował po świecie, nigdy w Nowym Jorku nie był. Tylko jego postać jest w opowiadaniu prawdziwa. Napisałem, jak zachowałby się w Ameryce, gdyby do Nowego Jorku przyjechał. Przytoczyłem też autentyczną historyjkę, dotyczącą pewnego człowieka, który w międzywojennych czasach zabił, dla chleba, innego Polaka, co mu uszło całkowicie bezkarnie, bo zabójstwa nigdy nie wykryto. Stało się to w Buenos Aires. Wuj Ludwik, który pracował wtedy jako tłumacz na statkach francuskich, kursujących między Marsylią i Argentyną, opowiedział mi kiedyś tę tragiczną sprawę i dodał, że pracował później nadal z zabójcą na statkach i pomagał mu przysyłać drobne sumy pieniężne rodzinie w Polsce, bo tamten nie był zbyt mocny w piśmie. „Wiedziałem że zabił”, powiedział mi wuj, „a i on wiedział że wiem, ale nigdy o tym nie rozmawialiśmy, bo i po co? To był, w gruncie rzeczy, dobry człowiek”.

Mówię, że pomoc przyszła z nieoczekiwanej strony, bo wuj Ludwik, choć bliski krewny, rzadko u nas w Łodzi bywał i był uważany w rodzinie za kogoś niezupełnie na poziomie, a to z tego względu, że był aptekarzem. Polska jest zapewne jedynym krajem na świecie w którym aptekarze, z niezrozumiałych dla mnie powodów, uważani byli za coś gorszego. Tak przynajmniej było wtedy. Miano mu też długo za złe, że mi raz podarował dwa gramy kokainy w brunatnej buteleczce. Miał aptekę w pobliżu mojej szkoły. Rozboleł mnie kiedyś ząb, więc wstąpiłem do niego po drodze do domu, żeby mi dał jakieś lekarstwo. Wuj Ludwik powiedział, że na silny ból pomaga tylko znieczulenie nerwu, co najlepiej skuteczniej przy pomocy kokainy. Bierze się zwilżony kawałek waty, macza ją w kokainie i wsadza do dziury w zębie. Uczyniłem to i ból istotnie znikł w ciągu

sekundy. Miałem wtedy jakieś dziesięć lat. Uprzytomniłem sobie, że chodzenie do dentysty kiedy się ma tak niezawodny środek byłoby nonsensem i korzystałem z buteleczki kiedy zachodziła potrzeba. Na nieszczęście zauważył to kiedyś ojciec, który bez słowa porwał buteleczkę i poleciał do wuja, żeby mu zrobić awanturę. Po powrocie powiedział mi, że taką ilością kokainy można otruć pułk żołnierzy, co było oczywiście przesadą. „Twój ojciec jest trochę przeczulony”, powiedział mi nazajutrz wuj Ludwik, uśmiechając się po swojemu. Bardzo lubiłem ten jego ciepły, trochę ironiczny uśmiech, któremu towarzyszyło unoszenie brwi ku górze.

Wkrótce po pierwszej wojnie wuj Ludwik sprzedał aptekę i wyemigrował z całą rodziną do Marsylii. Córka wyszła za Francuza, córka tej córki też za Francuza. Wujowi we Francji powodziło się źle. Stracił na jakichś interesach pieniądze, które mu zapłacili za aptekę i pracował na statkach jako tłumacz i pomocnik lekarza. Zestarzał się i musiał wreszcie przestać pracować. Po drugiej wojnie miał już prawnuczki, trzy małe dziewczynki. Mieszkał na przedmieściu Marsylii razem z rodziną, w małym domku tuż nad morzem. Pewnego lata, wiedząc że umrze, wysłał całą rodzinę na lotnisko i został w domku sam. I sam umarł. Nie chciał, żeby wnuczki były w domu kiedy umierał, bo śmierć wywiera na dzieci zbyt smutne wrażenie.

Kiedy nadeszły wysłane wtedy przez niego do Kowna pieniądze, mojego młodszego brata zwolniono już z więzienia. Podzieliłem się pieniędzmi z Antonim, kupowaliśmy chleb i kiełbasę. Nie byłem już głodny, ale straszliwie dręczyła mnie samotność. Nie miałem książek ani gazet ani niczego, dosłownie niczego do czytania. Więźniom, aż do czasu ukończenia śledztwa, nie wolno było czytać. Nie wyprowadzano ich też na spacerów więziennych. Jedyna rozrywka polegała na tym właśnie śledztwie. Prowadził je kapitan Eisenmann. Kiedy mnie wzywał, towarzyszyło mi, spacerkiem przez miasto, dwóch żołnierzy. Szło się godzinę w jedną stronę i tyleż z powrotem, bo Eisenmann zasiadał w jakimś ponurym domu za miastem.

Badania dotyczyły mojej biografii: gdzie się urodziłem, w jakich szkołach uczyłem, i tak dalej. Żadnych pytań, dotyczących mojej działalności w Rosji, Eisenmann mi nie stawiał. Przypuszczam, że Niemcy prowadzili co do tego śledztwo w Mińsku.

Dwie czy trzy sesje wyczerpały biografiię i Eisenmann przestał mnie do siebie wzywać. Zakomunikowałem przeto dozorczy, że zapomniałem o pewnych ważnych szczegółach, dotyczących mojej edukacji. Poskutkowało. Spacerek między dwoma żołnierzami

tam i z powrotem. Eisenmann zapisał, że do szkoły Wróblewskiego w Warszawie zacząłem uczęszczać nie w takim miesiaku, lecz w innym. Powiedział, że jak sobie znowu coś ważnego przypomnę, to mnie znowu wezwie na badanie. Był to przyzwoty człowiek, który doskonale wiedział, że chodzi mi o spacery przez miasto i o nic więcej. Kilka lat później zetknąłem się z nim twarzą w twarz w kolejce podziemnej w Berlinie. Eisenmann mocno się ucieszył, ścisnął mi dłoń i zaproponował spotkanie i wymianę adresów. Powiedział mi, że pracuje w banku. Dałem mu na wszelki wypadek fałszywy adres i mylny numer telefonu. Nie byłem pewien, czy istotnie pracuje w banku, a prócz tego nie chciałem się z nim spotkać, bo nie miałbym o czym z nim rozmawiać. Rozmów, opartych wyłącznie na wspomnianiu przeszłości, nigdy nie lubiłem i nie lubię.

Zdaje się że Ibsen napisał, że „Silny jest, kto jest sam”. Nieprawda. Absolutna, więzienna samotność nie daje siły, tylko duchowo osłabia. Ibsen nigdy nie siedział w pojedynce, więc tego nie mógł wiedzieć. Tłoczyły mi się do głowy różne myśli, ale nie mogłem doprowadzić ich do końca.

Znalazłem ratunek w hazardzie, do którego miałem pociąg od wczesnych lat. W celi znalazłem igłę i zdobyłem gdzieś kilka kawałków papieru. Wyrysowałem na papierze kółko, zrobiłem na nim dziółki, opatrzone numerami, a z chleba zmaistrowałem trzy kości i kilka małych, też ponumerowanych koni. Rysunki wykonałem własną krwią z ukłutego igłą palca. I zaczęła się zabawa. Rzucone kości wskazywały, ile punktów naprzód skoczy koń. Były również przeszkody, cofające konia o kilka punktów wstecz. Zabawiałem się w ten sposób całymi godzinami, wmawiając sobie, że jak ten koń przyjdzie pierwszy do mety to mnie wkrótce wypuszczą, a jak tamten to nie.

Z władzami więziennymi miałem tylko jeden konflikt. Napisałem na drzwiach, tą samą igłą, *panta rei* po grecku („wszystko płynie”). Nie umiałem po grecku, ale tyle greckimi literami, mogłem napisać. Przyszedł jakiś nowy dozorca, przeczytał i zrozumiał. Widocznie nauczyli go greckiego w szkole. Zapytał mnie, co chciałem przez ten napis wyrazić. Odpowiedziałem, że nic specjalnego, że to napisałem po prostu tak, żeby się pocieszyć. Dozorca, po dłuższym namyśle, spytał, czy napis czasem nie oznacza, że dziś za kratą siedzę ja, a jutro będzie może siedział kto inny, na przykład on. Odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że taka interpretacja napisu jest dosyć trafna. Ukarano mnie dwudniowym pobytom w ciemnej celi, nie za sens napisu, tylko za pisanie na drzwiach, co było przewidziane w wiszącym na

ścianie regulaminie i surowo zakazane. Cella nie miała okna, ale miała mały lufcik pod sufitem i całkowicie ciemna nie była.

Po pewnym czasie moja sytuacja znacznie się polepszyła. Antoniego umieszczono w celi razem ze mną. Stało się to na skutek mojego życzenia, skierowanego do władz więziennych. Władze z pogodą ducha pozwalały więźniom umierać z głodu, ale co dwa tygodnie zjawiał się w celi inspektor i pytał, czy ma się jakieś *Wünsche*. Wyłożyłem moje na zawczasu przygotowanym arkuszu, ostemplowanym przez władze, który mu wręczyłem.

Siedzieliśmy razem w celi przeszło dwa miesiące. Któregoś dnia Antoniego wywołano do kancelarii i powiedziano mu, że jest wolny. Pozwolono mu pożegnać się ze mną, ale szybko. Po kilku minutach już go w celi nie było, zostałem znów sam. Usilnie odpędzałem od siebie natrętną myśl, że skoro zwolniono moich dwóch braci, to może i mnie zwolnią, wiedziałem, że nie. Chodziłem po przekątnej celi tam i z powrotem, byłem kompletnie rozklejony. Nie mogłem nawet zmusić się do tego, żeby znowu zagrać sam ze sobą w koniki. Tak minęło kilka pierwszych, najgorszych godzin. Po południu patrzałem przez okno na podwórko, spacerowali tam o tej porze dwaj więźniowie, pracujący w kancelarii, jeden garbaty, drugi chudy i wysoki. Spacerowali zawsze sami, innych więźniów wyprowadzano na przechadzkę na inny dziedziniec, niewidoczny z mojego okna. Kiedy ci dwaj mnie zobaczyli, zaczęli mi dawać znaki, których początkowo nie mogłem zrozumieć. Garbus nadął wówczas policzki, wydał powietrze i znów je wciągnął ruszając miarowo rękoma. Zrozumiałem, że to ma oznaczać lokomotywę i że mnie wkrótce gdzieś wywożą.

Zawieziono mnie nazajutrz do Wilna, do więzienia na Łukiszkach. Jechał ze mną pociągami jeden tylko żołnierz. Byliśmy sami w przedziale trzeciej klasy, do którego żołnierz nikogo więcej nie puszczzał. To on właśnie dał mi po drodze do przejścia akta mojej sprawy, które wiozł ze sobą.

Ze stacji poszliśmy pieszo na Łukiszki. Było to późnym wieczorem. W kancelarii przyjął nas mrukliwy dyżurny, podpisał żołnierzowi który mnie przywiózł jakiś papierek i zaprowadził mnie, nie mówiąc ani słowa, do pojedynczej celi na parterze, mającej sklepienie jak w klasztorze. Zamknął i zaryglował celę i poszedł. W jakąś godzinę później otworzono okienko w drzwiach, przez które dawano więźniom jedzenie. W Kownie takiego urządzenia nie było, otwierano tam drzwi kiedy przynoszono zupę.

W kwadratowym otworze zobaczyłem dozorcę, którego twarz wydała mi się znajoma.

— Zaremba — powiedział, widząc że go sobie nie przypominam. — Ze Zjednoczenia Socjalistycznego w Mińsku. Pamiętacie?

Przypomniałem sobie. Przychodził na zebrania w Domu Ludowym, rozmawiałem z nim kilka razy. Powiedział mi że jest wilnianinem i że wziął pracę w więzieniu bo innej nie mógł znaleźć. I dodał zwyczajnym tonem, jakby to co mówił nie miało wielkiego znaczenia:

— Byłem w Mińsku na pogrzebie waszego ojca. Duży był pogrzeb, mnóstwo ludzi...

Tak się dowiedziałem o tym, że ojciec nie żyje. To była najstraszniejsza chwila w moim życiu. Nie mogłem o niej myśleć przez wiele lat i teraz nie mogę pisać o śmierci mojego ojca.

2.

„*Schutzhaftgefangener*”. — Obóz w Albertynie. — König i Kramer. — Rozkład armii niemieckiej

Władze niemieckie zdecydowały, że jako osoba niebezpieczna dla monarchii, mam przebywać w więzieniu jako *Schutzhaftgefangener* — termin trudno przetłumaczalny na polski. Decyzję podjęły władze wojskowe, którym podlegały tereny, gdzie mnie aresztowano. Zakomunikowano mi w kancelarii więzienia na Łukiszkach, że mnie skazano zaocznie i bez żadnego sądu, drogą administracyjną, i że mam przebywać w więzieniu *unbestimmte Zeit*, to znaczy bezterminowo, ale że mam być traktowany nie jako więzień zwykły, tylko jako „więzień bezpieczeństwa”. Sierżant Voigt, który mi to odczytał z papierka w kancelarii, był chudy, całkowicie łysy i wyglądał jak złośliwy karzeł. Mówił dialektem saksońskim, używając litery d zamiast t. Kazał mi się podpisać na dowód, że przyjąłem do wiadomości to co mi powiedział. Zapytałem go, czym różni się *Schutzhaftgefangener* od każdego innego. Voigt począł dłubać w nosie i odpowiedział po namyśle, że niczym. Ale się mylił. Po kilku dniach wezwał mnie do siebie naczelnik więzienia i powiedział, czytając to również z papierka, że przysługują mi specjalne prawa, polegające na tym, że mogę pracować albo nie pracować, według własnego uznania, i że moja cela będzie zamykana tylko na noc. W dzień mogę z niej wychodzić, ale tylko na korytarz lub do więziennego

ogródka, gdzie wolno mi przebywać — samemu — dwie godziny dziennie.

Zaremby nigdy już później nie widziałem, pracował, jako pomocnik klucznika, w innym skrzydle. To co mi powiedział spowodowało, że zgłosiłem się do pracy. Nie mogłem w żaden sposób być sam ze sobą, bałem się zaburzeń umysłowych.

Okazało się, że pracować ze zwykłymi więźniami, jako więzień specjalny, nie mogę, muszę być od nich izolowany. Wolno mi jednak pracować w kancelarii więziennej, bo tam właśnie przepisuje papiery dwóch więźniów, zaliczonych do tej samej kategorii co ja.

Praca w kancelarii nie była właściwie żadną pracą. Voigt z innym jeszcze sierżantem prowadzili księgi więzienne, nie mając zbyt wiele do roboty. My, więźniowie, siedzieliśmy w trójkę na drewnianej ławie, nie robiąc nic. Ale mogliśmy ze sobą rozmawiać. Od czasu do czasu przyprawiano nowych aresztantów — co się nazywało *Zugang* — i kazano nam zapisywać ich personalia. Czasami przepisywaliśmy rachunki, dotyczące dostaw produktów do więzienia. Dużo czasu, więcej znacznie, niż przepisowe dwie godziny, spędzaliśmy w małym ogródku więziennym, na który wychodziły okna kancelarii i w którym rosły tylko dwa drzewka.

Obaj moi współtowarzysze pochodzili z Mitawy. Posadzono ich o to, że pomogli komuś kupić dubeltówkę myśliwską, ale nie było dowodów że pomogli, więc ich wsadzono do więzienia drogą administracyjną. Za posiadanie broni, nawet myśliwskiej, groziła kara śmierci. W więzieniu w Kownie, podobnie jak na Łukiszkach, wieszano najczęściej właśnie za to. Wyroki wykonywano w nocy. Podczas mojego pobytu na Łukiszkach powieszono sześć osób, wszystkich tej samej nocy. Poprzedniego dnia nie pozwolono więźniom pracować w kancelarii, w dzień później też nie. I moją celę zamknięto. W celi obok siedział ktoś, skazany na 10 lat, też za jakąś sprawę z bronią. Nigdy go nie widziałem. Umiał bardzo ładnie gwizdać i wieczorami urządzał koncerty, dla siebie samego i trochę dla mnie. Gwizdał pieśni Szumana, i „Pieśń bez słów” Czajkowskiego, i stare francuskie piosenki z początku stulecia, które znałem, bo je śpiewała w Łodzi Elza, narzeczona mojego brata Antoniego. Próbowaliśmy gwizdać razem z nim, ale mój sąsiad tego nie lubił, walił pięścią w ścianę i przerywał koncert. Ale mogłem go zachęcić do wykonania jakiegoś utworu, podając mu jego pierwsze takty. Tej nocy, kiedy na podwórku więziennym wieszano skazańców, mój sąsiad cicho gwizdał smutne, bardzo piękne melodie, których nigdy przedtem nie słyszałem. Może skomponował je sam.

Po kilku miesiącach pobytu na Łukiszkach wysłano mnie do obozu koncentracyjnego. Ktoś gdzieś postanowił, że więźniowie tej kategorii mają siedzieć w obozach, ale nie wszyscy, bo moich towarzyszy z kancelarii do obozu nie posłano. Nie wiedziałem, czy mam się cieszyć z tego przeniesienia, czy smucić. Podróż w każdym razie była przyjemna. Konwojowali mnie tym razem aż dwaj żołnierze. Pojechalśmy najpierw pociągiem do Baranowicz, a później wędrowaliśmy pieszo z osiem godzin, bo nikt dokładnie nie wiedział, gdzie się obóz znajduje. Była letnia pogoda; pachniały pola i pachniały lasy, gdzieś po drodze z drutów telegraficznych zwisały dzikie gęsi, błękitno-zielone, już martwe, które natrafiły w przelocie na tę przeszkodę i nie mogły się wyswobodzić z drucianej sieci. Nikt gęsi z drutów nie zdejmował, bo chłopci bali się zbliżyć do słupów telegraficznych, za to też groziła kara śmierci.

Odnależliśmy wreszcie obóz, który się składał z kilkunastu drewnianych baraków, otoczonych kilkoma rzędami drutów kolczastych. Komendant obozu zawiadomił mnie zaraz na wstępie, że mnie wkrótce przetransportują do innego, ten był tylko czymś w rodzaju etapu. Siedzieli w nim wyłącznie białoruscy chłopci z okolicznych wiosek. Nie działało się im najgorzej. Żony przynosiły do obozu pieczone kury, jajka na twardo i ogromne białe sery. Nikt nie pracował, więźniowie błakali się po zdeptanej ziemi albo spali. Wszystkich zagnano do obozu za to samo przestępstwo, choć pochodzili z różnych wiosek. Niemcy żądali, aby wioska dostarczyła im tyle a tyle kur, jajek czy zboża. W razie niewykonania rozkazu chłopów, wybranych na chybił-trafił, posyłano do obozu. I siedzieli w nim bez końca.

Przypomniałem sobie, jak magicznie działała na władze niemieckie pisane słowo, jak szybko przeniesiono Antoniego do mojej celi w Kownie, kiedy wyraziłem na piśmie to życzenie. Napisałem więc, na próbę, jednemu z chłopów krótkie podanie: pochodzę z takiej a takiej wioski, siedzę tu w obozie bez żadnej winy, proszę mnie zwolnić. Chłop wręczył podanie komendantowi, ten przesłał je wyższym władzom i błyskawicznie, bo w przeciągu tygodnia, chłopca zwolniono. Władze prawdopodobnie o tych chłopach zapomniały, wystarczyło im przypomnieć. Nigdy później nie jadłem tyłu jajek na twardo i kur na zimno, co wtedy. Napisałem ze trzydzieści jednobrzmiących podań, każde na dużym arkuszu papieru. Papier, za kury i ser, wykradał z kancelarii obozowej jeden z niemieckich żołnierzy.

Nie wiem, czy podania odniosły skutek, bo w trakcie tej pisarskiej działalności wywieziono mnie do innego obozu. Ten inny nazywał się Albertyn i mieścił na terytorium dużego ma-

jątku teje nazwy w pobliżu miasteczka Słonim. Niemcy urządzili tam obóz w brzydkim, ale ogromnym budynku, przeznaczonym na fabrykę czy jakieś składy. Chcieli przywieźć do tego obozu, jak mówili, „działaczy politycznych” z różnych krajów, ale tego z jakichś przyczyn nie uczynili. Obóz obliczony był na czterysta osób, siedziało w nim tylko szesnaście. Najstarszym wiekiem i rangą więźniem był pan Paets, późniejszy Prezydent, a wówczas Premier Estonii. Wraz z nim siedział jego minister rolnictwa. Wsadzono ich do obozu dlatego, że nie chcieli współpracować z Niemcami. Przyjeżdżali do nich od czasu do czasu różni niemieccy dygnitarze i pytali, czy będą współpracowali, czy nie. Paets odpowiadał że nie. Raz przyjechał dowódca dziesiątej armii niemieckiej, generał von Falkenhayn. Postanowił odwiedzić i mnie. Miałem wtedy ciężki bronchit i leżałem w łóżku. Generał von Falkenhayn zjawił się w moim pokoju ze swoją świtą i zapytał donośnie:

— *Haben Sie Fieber?*

Po czym, nie czekając na odpowiedź, czy mam gorączkę czy nie, wyszedł mocnym krokiem, z głową, zadartą do góry.

Nie tylko ja miałem w Albertynie swój pokój. Każdy z nas posiadał własny pokój, a mój miał dwa okna, bez śladu krat, i był ogromny. Pod jednym oknem ustawiłem szeroki stół, zrobiony z desek, położonych na koźlach, które znalazłem w niezamieszkałej części budynku. Miałem również fotel, prawdziwy, miękki fotel, który zbudowałem sam i którego wszyscy mi zazdrościli. Zrobiłem go z brzozowych polan, a miękkość nadawała mu druciana siatka, pokryta poduszką z worka, wypchanego sianem. Stół pokryłem arkuszami czerwonej bibuły, nabytymi w Słonimie, co nadawało pokojowi aspekt przepychu. Do Słonima mogliśmy chodzić, w asyście jednego z żołnierzy, choćby codziennie. Drzwi, prowadzące do budynku, zamykano tylko na noc, do pokoiów nigdy. Niemcy otoczyli obóz drutem kolczastym. Pilnowali nas żołnierze, stojący na warcie w odległości mniej więcej stu kroków jeden od drugiego. Rzadko zresztą stali na warcie, zwykle siedzieli. Byli to landwerzyści, nie wstawali nawet kiedy zwracał się do nich oficer, rzecz w niemieckiej armii zupełnie niezwykła. Pozwalano im siedzieć, bo byli zbyt wyczerpani, żeby stać. Dostawali to samo jedzenie co my, ale nam dostarczano produkty z zewnątrz, za nasze własne pieniądze. Pan Paets, który był przed wojną wziętym adwokatem w Petersburgu i lubił dobrze zjeść, spożywał obiady z wielu dań, na które często zapraszał współwięźniów. Nie chodziłem na nie, ponieważ dzieliły nas różnice polityczne. Pokłóciliśmy się wkrótce po moim przybyciu do obozu, później toczyliśmy często ostre spory. Uwa-

załem go za reakcjonistę, co go gniewało, bo się sam uważał za demokratę. Mnie zaś irytowały nie tylko jego poglądy, ale jeszcze więcej to, że on jeden w obozie korzystał z dosyć osobliwego przywileju: przyjeżdżała do niego i często nocowała pewna pani, którą nazywał swoją sekretarką. Nie odznaczała się specjalną urodą, ale bolała mnie niesprawiedliwość i nierówność.

Jak widać z powyższego, obóz w Albertynie był kompletną sielanką. Zarządzał nim kapitan König, kompletny bałwan. Był doktorem filozofii i władał językami: angielskim i francuskim. Pewnie z tych przyczyn został komendantem naszego obozu. Jak prawie każdy głupiec, König uważał wszystkich, a zwłaszcza cudzoziemców, za o wiele głępszych od siebie. Kiedy Niemcom powodziło się źle na froncie, przychodził do nas i prowadził z nami rozmowy, w których usiłował pokazać się nam w najlepszym świetle. Zresztą nie on jeden. Wypadki na froncie odbijały się niezwłocznie na nastawieniu do nas władz obozowych, barometr ten działał tak sprawnie, że mógł zastąpić gazety. Kiedy wojska niemieckie ponosiły klęski, przedstawiciele obozowych władz składali nam wizyty i wypowiadali nader liberalne poglądy. W chwilach zwycięstw na froncie nie rozmawiali z nami wcale, lub rozmawiali gburowato.

Któregoś dnia Niemcy dostali grubo w skórę gdzieś we Francji i König przyszedł do mnie w odwiedziny. Rozmowa miała taki mniej więcej przebieg:

— Słyszałem, że pan lubi czytać. Jako człowiek inteligentny, powinien pan zdawać sobie sprawę, że nie ja, kapitan König, trzymam tu pana w obozie, tylko wyższe władze. Gdyby to zależało ode mnie, zwolniłbym wszystkich panów natychmiast. Ale nie mogę. Wie pan, dlaczego?

— Wiem.

— Spróbuję objaśnić to panu na przykładzie. Przypuśćmy, że przychodzi pan do sklepu, do dużego sklepu w Berlinie, żeby kupić, powiedzmy, kilka guzików. Cena wynosi dwadzieścia fenigów. Dostaje pan od sprzedawcy kartkę: do zapłacenia — dwadzieścia fenigów. Z tą kartką idzie pan do kasy, płaci pan dwadzieścia fenigów, i kasjer stawia na kartce stempel: „Zapłacone”. Rozumie pan?

— Owszem, rozumiem.

— No i wydadają panu guziki. Niech pan sobie teraz na chwilę wyobrazi, że ja jestem tym kasjerem, że nie mam munduru ani rangi, tylko jestem zwykłym kasjerem. Może pan to sobie wyobrazić?

— Mogę.

— Otóż właśnie. Jestem jak gdyby kasjerem i otrzymuję

kartki ze stemplem. Czyli, innymi słowy, wypełniam rozkazy. Gdybym dostał kartkę, nakazującą mi zwolnienie pana, byłby pan wolny w przeciągu pięciu minut. Czy pan rozumie, co mam na myśli?

Zapewniłem go że rozumiem, i nawet wyraziłem mu współczucie wahadłowym ruchem głowy. König był jednak przekonany, że nie rozumiałem, co miał na myśli. Nie dopuszczał, aby cudzoziemiec mógł pojąć tak głębokie sprawy, widziałem to z jego wyrazu twarzy.

König mieszkał zresztą w Słonimie i obozem mało się zajmował. Rządził jego zastępca Kramer, imieniem Paul, albo może Paweł, bo pochodził z Poznania. Miał rangę oficerską, ale niezupełnie. Nazywało się to *Offiziers-Stellvertreter*, czyli pełniący obowiązki oficera. Zapytałem go kiedyś, czy to prawda, że mówi po polsku. Mruknął, że ani nie mówi ani nie rozumie, ale jak się później okazało, skłamał.

Kramer był wielkim finansistą. Zaczął od tego, że sprzedał na lewo miski, talerze, łyżki, noże i widelce, przeznaczone dla tych czterechset więźniów, którzy nie przybyli. Powiedział nam to inny p.o. oficera, Remle, bardzo przyzwoity człowiek, który był z nami w dobrej komitywie. Było to w czasie, kiedy armia niemiecka zaczęła się już rozkładać, ale rozkład następował powoli. Wartę w obozie zmieniano co pewien czas, żeby zapobiec ustaleniu kontaktu z więźniami. Tylko König, Kramer i Remle mieli stały przydział. Zauważyłem, że żołnierze, przybywający z *hinterlandu* byli bardziej zdemoralizowani, niż ci z frontu. Widocznie styczność z ludnością cywilną wpływała na nich gorzej, niż pobyt na froncie.

Rozkład na terenie naszego obozu wyrażał się w zaniku elementarnej uczciwości. Jeszcze w lecie 1918 roku żołnierze byli na ogół uczciwi. Posyłek nie kradli, łapówek nie brali, nie okradali się też wzajemnie. Później to się zmieniło. Za drobne łapówki wysyłałiśmy niecenzurowane listy, żołnierze okradali jeden drugiego, okradali i nas.

Jesienią zrobiło się w Albertynie bardzo zimno. Wiedzieliśmy, że do obozu przywieziono drzewo na opał, więc zażądaliśmy, żeby opalano nasze pokoje, w których były kaflowe piece. Ale po kilku dniach przywiezione drzewo znikło. Kramer komuś je sprzedał, oczywiście znowu na lewo. Zaczął też sobie przywłaszczać nasze posyłki żywnościowe. Daliśmy mu przeto do zrozumienia, że wiemy o jego sprawkach, i stanęła między nami niepisana, ale ściśle przestrzegana umowa. Kramer w dalszym ciągu kradł, ale tylko mienie rządowe, my zaś poczęliśmy opalać pokoje drewnianymi pryzkami, które stały bez użytku na innych

piętrach. Było ich czterysta, wszystkie wąskie i długie. Rąba-
liśmy je siekierą, Kramer udawał, że tego nie widzi i nie słyszy.

Pewnego razu przyniósł nam dobrą nowinę: władze pozwoliły
nam abonować gazety. Kramer usiłował nas przekonać, że mamy
to jemu do zawdzięczenia. Na drugi dzień zjawił się König
i uroczyście nas powiadomił, że się dla nas wystarał o gazety.
W istocie ani on ani Kramer nic w tej sprawie nie zrobili.
Pozwolenie otrzymaliśmy dzięki angielskiemu kapitanowi rodem
z Australii, którego nazwiska nie pamiętam. Na imię było mu
Bob. Powinien był siedzieć w obozie dla jeńców wojennych, bo
go wzięto do niewoli, ale z obozu uciekł i kiedy go po tygodniu
złapano, miał przy sobie papiery rosyjskiego oficera, choć po
rosyjsku nie umiał. Poza tym nosił cywilne ubranie i nie odpo-
wiedział na żadne pytania. Niemcy chcieli go wskutek tego roz-
strzelać jako szpiega, bo to było najprostsze wyjście z sytuacji.
Dopiero wtedy powiedział jak się nazywa i skąd uciekł, co
zostało sprawdzone. Rosyjskie papiery od kogoś kupił, bo rosyj-
skich oficerów zwalniano z niewoli i chciał się przejechać do
Rosji, która, jak mówił, zawsze go pociągała. Podejrzewając,
że Bob pociąga nie Rosja, tylko bolszewizm, Niemcy, aż do
wyjaśnienia sprawy, wpakowali go do naszego obozu. König
był nawet przekonany, że Bob jest Rosjaninem i mówił do niego
zdravstwuji kiedy go spotykał.

Bob nie był bolszewikiem i polityką mało się interesował.
Jego poglądy sprowadzały się do tego, że każdy człowiek powin-
nien kochać swoich bliźnich, wszystkich bliźnich, nie wyłączając
Niemców. Dawał mi lekcje angielskiego, a ja jemu niemieckiego.
Umiał trochę po niemiecku już przedtem i kiedy któryś z nas
wymyślał przy nim na Kramera lub Königa, brał ich w obronę
i krzyczał, że jesteśmy niesprawiedliwi. Przychodzącym do nas
na pogawędki wartownikom też dowodził, że Niemcy są narodem
walecznym, pracowitym i szlachetnym. Wartownicy byli przeko-
nani, że z nich kpi. W czasach, kiedy im się źle dzieje, Niemcy
pomstują zwykle na innych Niemców. Tak właśnie robili nasi
niemieccy goście, a kiedy Bob się Niemcami zachwycał, palili
fajki, wdychali i nic nie mówili.

Otóż Bob, przy mojej pomocy jako tłumacza, posyłał wciąż
do władz niemieckich rozmaite podania. Domagał się na przy-
kład, żeby nam kupiono piłkę futbolową, bo w angielskich obo-
zach dla jeńców niemieckich mogli oni grać w piłkę nożną. Na
to podanie otrzymał odpowiedź odmowną, ale w sprawie gazet
przyznano mu rację. I zaczęto nam przysyłać różne niemieckie
gazety, nie wyłączając socjalistycznego *Vorwärts*'u, wychodzącego
w Berlinie. Gazety otrzymywaliśmy nieregularnie, czasem tę,

czasem inną. Zawiodły one moje nadzieje, bo bardzo mało można z nich się było dowiedzieć. Wszystkie natomiast zawierały ogromną ilość tak zwanego materiału rozrywkowego, banalnych obrazków i opowiadań, wielce podniosłych w tonie i pisanych w taki sposób, jakby były przeznaczone wyłącznie dla kretyńców. Pisali je prawdopodobnie również kretyńcy, bo trudno przypuścić, aby ludzie normalni mogli ten ton uchwycić. Najgorszy był humor. Polegał prawie wyłącznie na anegdotach, związanych z trawieniem, ale trafiały się i inne perły. Jedną z anegdot zapamiętałem do dziś dnia:

— Dlaczego, — zapytała żona męża, który przyjechał z frontu na urlop — dałeś mojej mamie do zabawy granat ręczny?

— Niech się nim trochę pobawi, to może się *rozerwie* — odpowiedział dzielny żołnierz.



Bob przebywał stale w towarzystwie niejakiego Weinsteina, rodem z Białegostoku, który wyemigrował przed wojną do Anglii i na początku wojny wstąpił do armii angielskiej. Niemcy wzięli go do niewoli we Francji i coś się im w jego życiorysie nie spodobało. Przyszło im do głowy, że może wcale nie jest Anglikiem z Białegostoku, tylko bolszewickim komisarzem z Moskwy i też na wszelki wypadek wsadzili go do naszego obozu.

Z tymi dwoma, Bobem i Weinsteinem, przyjaźniłem się w obozie najbardziej. Z Weinsteinem często grywałem w szachy. Bob chciał się koniecznie nauczyć grać, ale nie mógł. Był na to za ruchliwy, za nerwowy. Każdego dnia zapominał, czego się nauczył dnia poprzedniego.

3.

Rewolucja w Berlinie. — Żołnierze niemieccy fetują nas w obozie. — Jesteśmy wolni. — Rachunek Kramera

O tym co się dzieje w Niemczech dowiadaliśmy się raczej od pilnujących nas żołnierzy, niż z gazet. Przychodziło ich do nas na pogawędkę coraz więcej, a König zjawiał się w obozie coraz rzadziej. Kramer krzywił się, że żołnierze nas odwiedzają, ale był zajęty swoimi interesami. Znalazł sobie nowe źródło dochodu. W Albertynie było jezioro, właściwie nawet nie jezioro, tylko duży staw. Kramer wiercił dziury w lodzie i wrzucał przez nie do jeziora granaty ręczne. Ogłuszone ryby wypływały na powierzchnię, Kramer wyławiał je i sprzedawał.

Kapral z naszego obozu, który wrócił z Berlina z urlopu, opowiadał że panuje tam głód, tak samo jak w innych niemieckich miastach. Potwierdzali to inni żołnierze, których w tym czasie żywiono zupą z pokrzyw, bez grama tłuszczu ani mięsa. Przychodzili do Paetsa żeby sobie podjeść, a do mnie żeby posłuchać, jak to właściwie było z tą rewolucją w Rosji. Ale nie pamiętam ani jednego, który by wygłaszał jakieś rewolucyjne myśli. Przeciwnie — powtarzali, jakby się umówili, że co innego Rosja, a co innego Niemcy, i że w Niemczech rewolucji nigdy nie będzie. I wzdychali. Strasznie często wzdychali, mówiąc że Niemcy przegrały wojnę, a przegrały ją dlatego, że cały świat był przeciwko nim.

Ja też w tym czasie przestałem wierzyć w rewolucję na zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech. Posłuszni, ociążali żołnierze niemieccy nie przypominali niczym rosyjskich, którzy już przed rewolucją lutową wymyślali otwarcie na rząd, buntowali się i potrafili spalić chałupę, w której miał nocować znieawidzony przez nich oficer. Myślałem sobie, że gdyby żołnierze w Albertynie, którzy doskonale wiedzieli o sprawkach Kramera, byli Rosjanami, to dawno już odebrali mu choćby te ryby z jeziora. Nie, mówiłem sobie, ten naród rewolucji nie zrobi, tu jeszcze do rewolucji daleko.

Myliłem się. Któregoś listopadowego dnia — musiało to być 11 listopada — w dzień przewrotu* — odcięto nas od zewnętrznego świata. Zabroniono nam wychodzić z budynku, a nawet opuszczać nasze piętro. Warty wzmocniono, dwóch żołnierzy postawiono na naszym korytarzu. Nikt już do nas nie przychodził, gazet nam nie dawano. Żołnierzy, stojących w korytarzu, nie znaleźmy, całą wartę zmieniono krótko przedtem. Próbowaliśmy z nimi rozmawiać, ale bezskutecznie. Pod wieczór König zebrał nas na korytarzu i zapowiedział nam ostrym tonem, że „w razie buntu” żołnierze mają rozkaz strzelania do nas bez uprzedzenia. Wciąż jeszcze nie wiedzieliśmy, co się stało. Oświecił nas dopiero Remle, który nam powiedział, że w Berlinie wybuchnęła rewolucja.

Ale do Albertyna dotarła ona znacznie później, dopiero w końcu listopada. Któregoś dnia wartowników z korytarza usunięto i pozwolono nam pójść do Słonima. Poszedłem z Weinsteinem i Bobem. Opowiedziano nam tam, że władzę w mieście sprawuje Rada Delegatów Żołnierskich, że kilku niemieckich oficerów żołnierze zastrzelili, a większość innych uciekła. Nie wiem, ile w tym było prawdy, ale sam widziałem w Słoniemie oficerów, paradu-

* Wszystkie daty, począwszy od roku 1918, są już nowego stylu.

jących bez naramienników ze śladami zerwanych epoletów na ramionach, zupełnie jak oficerowie rosyjscy na początku rewolucji. Serce zabiło mi trochę żywiej, ale pamiętam, że nie odczuwałem zbyt wielkiej radości. Sam się sobie dziwiłem, że nie odczuwam, ale jak się na coś zbyt długo czeka, to źródła, z których powinny płynąć radosne uczucia, często wysychają. A prócz tego niemiecka rewolucja, choć dostaliśmy w Słonimie berlińskie gazety, potwierdzające wszystko co nam powiedział Remle, wydawała mi się trochę sztuczną. Po Słonimie kręcili się żołnierze bez broni, wielu przyczepiło sobie czerwone wstążeczki i kokardki, ale mieli miny po dawnemu przygnębione i wyglądali tak, jakby szli za pogrzebem.

Poszliśmy wtedy do Słonima pierwszy raz bez wartownika, mogliśmy nie wrócić, ale obiecaliśmy innym więźniom, że wrócimy. Pan Paets zwołał naradę wszystkich więźniów. Powiedział, że musimy spokojnie czekać aż nas zwolnią, co musi nastąpić lada chwila, i żeby nikt nie próbował uciec w nocy, bo wartownicy mają broń i mogą strzelać — i wystrzelać wszystkich. Mówiąc to, spoglądał na mnie i na nikogo więcej. Zapewniłem go, że może spać spokojnie i że ja też idę spać, bo mnie zmęczyło wąśwanie się po Słonimie.

Na drugi dzień rano w obozie nie było już ani jednego Niemca. Wartownicy zniknęli, König z Kramerem też. Byliśmy wolni. Poszedłem więc znowu do Słonima, już nie pamiętam z kim, żeby się rozmówić z Radą Delegatów Żołnierskich. Nie miałem żadnych dokumentów ani pieniędzy, te które otrzymałem z Polski wydałem na jedzenie. Miałem nadzieję, że wydostanę od tej Rady świadectwo, że wracam z obozu, i może jakieś pieniądze na drogę do Warszawy.

Sekretarza Rady Żołnierskiej odnalazłem na dworcu kolejowym, gdzie kierował ewakuacją żołnierzy. Tamże urzędował przewodniczący Rady. Byli to żołnierze, obaj należeli do niemieckiej partii socjal-demokratycznej. Powinszowaliśmy więc sobie wzajemnie wolności i na tym obaj niemieccy socjaliści usiłowali, nawet dosyć kategorycznie, rozmowę zakończyć. O wydaniu mnie i innym albertyńskim więźniom jakichś zaświadczeń nie chcieli nawet słyszeć. Powiedzieli, że ta sprawa ich absolutnie nie obchodzi. Odrzekłem na to, że powinna ich obchodzić i doszło do ostrej wymiany słów. Krzyczeli, że nie pozwolą abym ich uczył, co ich powinno obchodzić a co nie, ja też coś krzychałem, a ponieważ działo się to wszystko na peronie stacji Słonim, zebrała się wokół nas dość duża gromadka cywilów i niemieckich żołnierzy. Ci ostatni wystąpili po mojej stronie i stanęło

wreszcie na tym, że jakiś żołnierz, który też należał do Rady Delegatów Żołnierskich, pójdzie z nami do Albertyna, żeby się naocznie przekonać, czy nasz obóz rzeczywiście istnieje. Jeśli się okaże że istnieje, Rada wyda nam zaświadczenia. Żołnierz rozstrzygnął jednak sprawę o wiele prościej. Odnalazł w Albertynie kancelarię, która stała otworem, a w niej blankiety obozu i pieczęć. Wykaligrafował od ręki każdemu z nas świadectwo zwolnienia, opatrzył je pieczęcią i własnoręcznie podpisał. Wstyd mi się zrobiło, że sam nie wpadłem na ten pomysł. Obeszłoby się wówczas bez rozmów z żołnierską radą, które pozostawiły we mnie duży niesmak. Moje pierwsze zetknięcie z niemiecką rewolucją stanowczo nie było przyjemne.

Drugie było lepsze. Ze Słonima zaczęły do nas przychodzić grupy żołnierzy, żeby nas obejrzyć i fetować. Ktoś udekorował wiodącą do obozu bramę papierowymi girlandami. Zjawił się fotograf ze Słonima i ustawił koło bramy drewniane pudło, starożytny aparat „gabinetowy”. Znalazła się też, nie wiem skąd, ogromna czerwona chorągiew z napisem „*Proletarier aller Länder, vereinigt Euch*”. Wezwanie do proletariuszy wszystkich krajów aby się połączyli niezbyt pasowało, bowiem wśród albertyńskich więźniów nie było ani jednego proletariusza, ale chodziło o rewolucyjny duch. Fotografowano nas wielokrotnie pod tym sztandarem wraz z niemieckimi żołnierzami. Odebrałem sobie nazajutrz w Słonimie jedną z tych fotografii i miałem ją wiele lat. Niemiecki żołnierz na tym zdjęciu stał między mną i Paetsem, trzymając jedną rękę na moich plecach, a drugą na jego szyi. Pan Paets miał na zdjęciu kwaśną minę.

Później do Albertyna zjechał jakiś duży oddział wojskowy bez oficerów, który na własną rękę ewakuował się z frontu. Na podwórku stały kuchnie polowe, w których gotowano ogromne ilości mięsa, pewnie zrabowanego po drodze. Żołnierze częstowali nas swoim gulaszem, wódką i winem. W nocy na korytarzach leżeli pokotem pijani szoferzy i sanitariusze z jakiegoś polowego szpitala. Niektórzy żołnierze próbowali śpiewać „Międzynarodówkę”, ale słabo znali słowa i melodię, więc dali spokój.

Poszedłem spać późno w nocy. Kiedy się nazajutrz obudziłem, nikogo, prócz więźniów, w obozie już nie było. Po podwórku biegały wystraszone króliki, które hodował Kramer.

Wyruszyłem w drogę z Weinsteinem, inni mieli opuścić obóz później, ale nas odprowadzili do bramy. Przy bramie stała ławeczka, a na ławeczce siedział Paul Kramer w mundurze bez epoletów, bez czapki i z miłym uśmiechem na twarzy. Kiedyśmy się przybliżyli, wstał na nasze powitanie i powiedział co następuje:

— Bardzo mnie cieszy, że panowie są już wolni. Proszę przyjąć ode mnie życzenia pomyślności na przyszłość. Usiadłem tu sobie na ławce żeby się z panami pożegnać, bo słyszałem, że już panowie odchodzą.

Nikt nic nie odpowiedział. Patrzyliśmy na Kramera osłupiałym wzrokiem, nie wierząc własnym oczom. Więc nieprawda, że jak nam opowiadano, utopiono go w albertyńskim jeziorze? Ani że, zgodnie z inną wersją, przejechał go pociąg?

— Jeszcze chwila — ciągnął Kramer — i będziecie panowie wolni. Pozostała do załatwienia mała formalność. Przygotowałem rachunek, który tu właśnie mam.

I wyciągnął z pugilaresu złożony we czworo arkusik. Ktoś go rozwinął i odczytał na głos:

RACHUNEK

1. Za spalone w piecach przez więźniów łózka drewniane, po 8 marek, za 32 łózka,	ogółem	256 mk.
2. Za 4 koce, brakujące przy sporządzeniu inwentarza, po 3 marki	ogółem	12 mk.
		<hr/>
		Razem: 268 mk.

Byliśmy tak zaskoczeni, że milczenie znowu trwało długą chwilę. Nie wiedzieliśmy, czemu bardziej się dziwić: bezczelności Kremera czy jego głupocie. Paets zapytał go grzecznie, czy rzeczywiście myśli, że otrzyma od nas pieniądze.

— *Aber natürlich* — odrzekł Kramer z uśmiechem, który po niemiecku nazywa się *gemütlich*. I dodał, zwracając się do mnie:

— Ja to wszystko policzyłem po cenie kosztu. Jak panowie zapłacą, to zaraz podpiszę rachunek i panowie będą mieli dowód.

Powiedział to po polsku, trochę twardo, ale po polsku. Wziąłem wtedy jego rachunek i schowałem go do kieszeni na pamiątkę. A tymczasem inni zaczęli na Kramera krzyzczeć, wytykając mu różne jego sprawy. Kramer nic nie mówił, tylko się nadal uśmiechał. Zbliżył się do niego Bob, chciał coś powiedzieć, ale nie mógł znaleźć odpowiednich niemieckich słów i uderzył go pięścią w twarz.

Kramer przestał się uśmiechać, ale nie ruszył się z miejsca. Z nosa poczęły mu kapać krople krwi.

Weinstein mruknął coś po angielsku do Boba i poszedł ze mną w kierunku szosy, wiodącej do Słonima.

4.

Podróż i przyjazd do Warszawy. — Wera Koszutska. — Aresztowanie przez władze polskie

Pojechałem z Weinsteinem do Białegostoku, gdzie mieszkała jego rodzina, zanim wyemigrowała do Anglii. Chciał tam odszukać jakichś krewnych. Jechaliśmy długo, kilka razy Niemcy chcieli nas wyrzucić z pociągu. Pokazywaliśmy wówczas nasze świadectwa zwolnienia z obozu i, co wywoływało jeszcze większe wrażenie, zdjęcie fotograficzne pod czerwonym sztandarem.

Czułem się źle, bolała mnie głowa i trzęsły mną dreszcze. Dalej jechałem już sam.

Wszystkich wysadzono z pociągu na stacji Łapy, tam była tymczasowa polska granica i tam też pierwszy raz zobaczyłem żołnierzy z polskimi orzełkami na czapkach. Szedłem gdzieś z innymi pasażerami, może tor był zerwany, może tylko trzeba się było przesiąść do innego pociągu. Wydawało mi się że to nie ja idę, tylko kto inny, a ja jakby przyglądałem się z boku samemu sobie i trochę mnie dziwiło że stawiając kroki na ziemi dotykam jej podszewkami butów, bo mi się wydawało że ziemia jest daleko, że ode mnie ucieka i że jej nie dogonię.

Później znowu jechałem pociągiem. Opiekowała się mną jakaś kobieta, później ktoś dał mi wypić z butelki duży łyk wódki i to mnie postawiło na nogi o tyle, że w Warszawie znalazłem na dworcu dorożkę. Miałem adres matki i braci, mieszkających teraz w Warszawie, ale nie mogłem go sobie przypomnieć ani odnaleźć w kieszeni. Pamiętałem natomiast przedwojenny adres jednej z moich ciotek, mieszkającej na Szkolnej, i tam pojechałem.

Była niedziela. U ciotki, dawnym zwyczajem, siedziało w stołowym pokoju wielu członków rodziny. Przywitano mnie bez entuzjazmu. Ktoś krzyknął „no widzicie, mówiliśmy że przyjedzie!” — i ten okrzyk nie brzmiał zbyt radośnie. Ktoś inny zapytał, czy mam wшы. Zapewniłem rodzinę, że nie, zaczęłem pleść coś o tym, że obóz w Albertynie był bardzo czysty. Usadowiono mnie przy stole i dano herbatę, którą piłem łąpczywie, jedną szklanekę za drugą. Moich braci ani matki u ciotki nie było. Pytano mnie, jak tam było w więzieniach i w obozie i jak przyjechałem. Chciałem na te pytania odpowiedzieć, ale nie mogłem ponieważ zabrał głos jeden z moich wujaszków, który

w tym rodzinnym gronie uchodził za osobę najlepiej o wszystkim poinformowaną. Moje przybycie przerwało zapewne potok jego wymowy, zawsze mówił dużo, o wszystkim, głębokim basem, a teraz mówił, że w niemieckich obozach i więzieniach było, na ogół, czysto, że aresztantom dawano prostą, ale smacznie przyrządzoną i całkowicie wystarczającą strawę i że słyszał o tym z dobrego źródła. Później przeszedł na inne tematy. Opowiadał o swoim znajomym, który pościł raz na tydzień z porady lekarza i o tym, że chińskiej herbaty nie da się przewozić statkami, a tylko łądem, bo inaczej traci aromat.

Słuchano go z zaciekawieniem, a na mnie nikt już nie zwracał uwagi, jak gdyby to co mówił było znacznie ważniejsze od wszystkiego, co ja mógłbym powiedzieć. Było tak pewnie dlatego, że dla normalnych, statecznych ludzi ważniejsze i ciekawsze jest zawsze nie to, co ktoś mówi, lecz *кто* mówi. Mój wuj od lat mówił, a inni go słuchali. Takie było jego stanowisko w rodzinie, jego rola. Działała tu siła przyzwyczajenia, ogromna siła, której się nie docenia, a która rządzi światem. Ona to sprawia, że nic nie zdobywa z taką łatwością umysłów ludzkich jak banał albo bzdura, ale koniecznie o starych echach, jakoś, choć częściowo, już przeżuta, już przyswojona. Przyczyną tego jest lenistwo umysłowe. Ludzie nie chcą przyjmować do wiadomości niczego nowego, ogarnia ich natomiast uczucie radosnego ciepła, kiedy odkrywają dla siebie to, co już przedtem wiedzieli. Na tym polega powodzenie najgłębszych powieści, sztuk teatralnych i filmów. Ale z tego stanu rzeczy wyrastają też najbardziej reakcyjne ruchy, opanujące świat. Rewolucyjne przewroty są pewnie odtrutką na ten bieg rzeczy. Ludzie — zawsze na krótko — zaczynają myśleć własnym rozumem, ale później wszystko wraca do dawnego koryta rzeki, wysiłek umysłowy się wyczerpał. Anty-powieści i inne dziwolaży we wszystkich dziedzinach sztuki są prawdopodobnie wykrzywieniem lub też rezultatem pobocznym ruchów rewolucyjnych, których wybuch się opóźnia. Po zwycięskich rewolucjach tej reakcji w sztuce — a rozumiem tu reakcję w znaczeniu politycznym — nie ma.

Zadna z tych myśli nie przychodziła mi oczywiście do głowy wtedy na Szkolnej. Byłem tylko zły, coraz bardziej zły, że nikt się nie interesuje tym, co mógłbym opowiedzieć, wydawało mi się to ogromnie niesprawiedliwe, ale jednocześnie, co łagodziło mój gniew, groteskowo śmieszne. Moje wewnętrzne oburzenie, którego zewnętrze bynajmniej nie ujawniałem, ześrodkowało się na papierosach i osiągało natężenie szczytowe za każdym razem, kiedy złotousty wujaszek sięgał po nowego papierosa. Palił bowiem moje, czerpiąc je z dużej papierošnicy, którą położyłem

przed sobą. Papierośnicę podarował mi w Albertynie Bob. Zrobił ją z kawałka skóry, który gdzieś znalazł; zawierała ona znakomite rosyjskie papierosy, zarekwirowane w kancelarii obozu. Pamiętam do dziś dnia ich długie ustniki i cieniutką bibułkę z napisem „abadie”. Zostało mi tych papierosów już niewiele, i oto wujo, bardzo je sobie chwając, spopielał ostatnie. Wszystko we mnie wrzało i skwapliwie schowałem papierośnicę, kiedy w pokoju ukazał się mój brat Antoni, który po mnie przyjechał.

Matka i bracia mieszkali na Koszykowej 51. Szukałem tego domu w Warszawie w 1961 roku, ale nie istnieje. Całą Koszykową w tym miejscu przebudowano, trudno nawet powiedzieć, gdzie stał.

Kiedy przyjechałem na Koszykową, miałem tak wysoką gorączkę że wpakowano mnie zaraz do łóżka. Na drugi dzień się okazało, że mam zapalenie płuc. Przeleżałem kilka tygodni. Musiałem chorować aż do początku 1919 roku, bo pamiętam że leżałem jeszcze w łóżku kiedy się dowiedziałem, że w rezultacie wspólnego zjazdu PPS-lewicy i SDKPiL powstała partia komunistyczna, a to było w grudniu 1918 roku. Wkrótce poczęli mnie odwiedzać jej działacze: Wera Koszutska (Kostrzewa), Stanisław Budzyński (Tradycja) i Józef Krasny (Rotstadt). Poznałem ich dopiero teraz. Budzyński był bezpośredni, głośny i wesoły, używał wiecowych sloganów w potocznej mowie i był wielkim optymistą. Towarzysz Krasny, znacznie od niego starszy, był jego przeciwieństwem. Odnaczał się tajemniczością i pesymizmem. Wolał mówić o wielkiej polityce, o sytuacji we Francji i w Anglii, niż o sprawach polskich.

Najbardziej podobała mi się Koszutska. Takimi musiały być wielkie rewolucjonistki, o których czytałem: Zofia Pierowska, Wiera Figner, może Luiza Michel. Przypomniałem sobie, po pierwszej jej u mnie wizycie, „Opowieść o siedmiu powieszonych” Leonida Andrejewa i jedyną kobietę wśród skazanych w tym opowiadaniu, która do ostatniej chwili opiekowała się swoimi towarzyszami, zachowując kobiecą miękkość i prostotę. Koszutska posiadała wielki urok osobisty i wewnętrzną jasność, która z niej promieniowała. Myślę że takich ludzi spotkać można tylko pośród tych, którzy głęboko wierzą, oddając całe życie temu, w co wierzą. I mało jest ich wśród zwycięzców, o wiele więcej wśród zwyciężonych*.

Kiedy czułem się już lepiej, Koszutska prosiła mnie, żebym jej dał swoją fotografię, niezbędną dla fałszywego paszportu, i po kilka dniach przyniosła mi go. Był wystawiony na nazwisko

* Koszutska, Budzyński i Krasny zginęli w Rosji podczas czystek.

L. Paschalski. Pamiętam je, w przeciwieństwie do wielu innych, którymi się posługiwałem, ponieważ to samo nazwisko nosił znany warszawski adwokat. Koszutska powiedziała mi, że Defensywa — tak się wówczas nazywała policja polityczna — z pewnością mnie aresztuje, jak się tylko dowie że jestem w Warszawie. Miałem wobec tego wyjechać z tym właśnie paszportem do Dąbrowy Górniczej, gdzie mnie nikt nie znał. Powiedziała mi też, że wskutek wzmożonej działalności Defensywy ani ona, ani inni towarzysze, którzy mnie dotychczas odwiedzali, nie będą mogli do mnie przychodzić, bo nie jest wykluczone, że ich śledzą. Kontaktować się ze mną miał w przyszłości tylko „towarzysz Gustaw”. Przyszedł do mnie nazajutrz. Dopiero znacznie później, kiedy siedziałem z nim razem w więzieniu Mokotowskim w Warszawie, dowiedziałem się, że był to Fidler (Truskier).

Kiedy doktorzy pozwolili mi już wychodzić, nie skorzystałem początkowo z tego pozwolenia, obawiając się, że mnie ktoś może poznać na ulicy. Ale przed projektowanym wyjazdem do Dąbrowy chciałem koniecznie zobaczyć po-wojenną Warszawę. Podczas choroby zapuściłem brodę, ktoś mi pożyczył futro z kołnierzem, zakrywającym połowę twarzy, ktoś jeszcze niebieskie okulary. W takim przebraniu, z paszportem na inne nazwisko, wychodziłem z domu kilka razy, ale tylko wieczorem. Chodziłem po Marszałkowskiej, po Złotej, po Chmielnej, raz poszedłem Alejami w stronę Łazienek i wtedy właśnie zobaczyłem mojego byłego przyjaciela Rembala. Te wieczorne spacerunki nie były radosne. Miałem żal do całego świata, a przede wszystkim do władz mojej ojczyzny, że mnie tak w niej witają, że nie mogę, jak inni, chodzić po Warszawie, nie ukrywając twarzy za niebieskimi okularami i podniesionym kołnierzem futra. Czułem się trochę jak trędowaty i ogarniała mnie zawiść, kiedy, przemykając się chyłkiem, widziałem na ulicach ludzi szczęśliwych i beztrudnych, kiedy mijalem wielkie tarasy kawiarni w Alejach Ujazdowskich, pełne wesołych, roześmianych ludzi, bo w Warszawie w tym czasie, w pierwszych miesiącach wolności, panował wesoły nastrój. Litowałem się znowu nad samym sobą, i wstydziałem się tego, mówiąc sobie na pocieszenie, że tak już jest na świecie i nigdy inaczej nie było: ludzie zawsze sadzali za kraty tych, którzy chcieli ich uszczęśliwić i że jako zawodowy rewolucjonista, którym przecież jestem, muszę ponosić ryzyko mojego zawodu.

Którego wieczoru, wracając z drugiej albo trzeciej wycieczki na miasto, zastałem w mieszkaniu dwóch tajniaków. Czekali na mnie w pokoju mojego brata Jerzego. Jeden z nich przeczytał z kartki moje imię i nazwisko.

— To pan?

— Ja.

— No to proszę z nami.

Starszego brata i matki nie było w domu. Powiedziałem tajnikom że muszę iść do ubikacji i dałem znak Jerzemu, żeby poszedł ze mną. W stołowym pokoju schowałem w fotelu mój fałszywy paszport. Jerzy kiwnął głową.

Defensywa mieściła się na Brackiej 17, w pobliżu Alej Jerolimskich. Pojechaliśmy dorożką. Tajniacy nie mówili po drodze ani słowa, spoglądając na mnie z zaciekawieniem. Byli trochę skrępowani, pewnie pełnili swoje funkcje od niedawna. Chciałem zapłacić za dorożkę, ale mi nie pozwolili.

Wprowadzili mnie do sporego pokoju na piętrze. Siedziało już tam na krzesłach i ławce kilka osób.

— Proszę tu usiąść — powiedział ten z karteczką. — Jakby pan chciał papierosa albo co...

— Dziękuję. Mam papierosy.

Tajniacy grzecznie się uklonili i poszli.

Usiadłem na ławce. Sąsiad powiedział mi, że wieczorem nikogo nie przesłuchują, trzeba czekać do rana. Przy drzwiach stało dwóch żołnierzy, którzy nikogo nie wypuszczali. Robiłem sobie wyrzuty, że sam jestem sobie winien. Niebieskie okulary zmieniają wygląd, ale rzucają się w oczy. Ktoś musiał zauważyć dziwną figurę, wychodzącą z domu wieczorami, tym bardziej, że mieszkalem w oficynie i przechodziłem przez długie podwórko.

Rano weszło do pokoju kilku oficerów żandarmerii. Poznałem wśród nich Jerzego Biernackiego, mojego kolegę z moskiewskiego gimnazjum, syna znanego fizyka, profesora Politechniki Warszawskiej. Biernacki w szkole występował przeciwko mnie w sprawie Legionów. To, że był teraz oficerem żandarmerii nie wróżyło nic dobrego. Odwróciłem się szybko na ławce w taki sposób, żeby mnie nie widział. Był w pokoju tylko chwilę i zaraz wyszedł, razem z innymi oficerami, do pokoju w głębi.

Po kilku minutach wrócił, już sam. Podszedł do mnie i powiedział:

— Ja cię już przedtem poznałem. Muszę z tobą porozmawiać. Zaprowadził mnie w kąt pokoju.

— Słuchaj i uważaj — powiedział cicho. — Będzie cię przesłuchiwał sierżant Kaźmierczak. Ja już z nim mówiłem. On cię zwolni.

— Jak to zwolni?

— Zwolni i już. Powiedziałem mu że cię znam i że zaszła omyłka. Musisz to potwierdzić. I więcej nic nie mów.

— Nie było omyłki, skoro mnie aresztowano u mnie w domu.

— Kaźmierczak tego nie wie. Nie ma jeszcze żadnego mel-dunku. Zrób jak ci mówię i bywaj zdrów.

Uściskał mi rękę i wyszedł. Wkrótce potem zawołano mnie do innego pokoju. Siedział tam młody sierżant.

— Pan porucznik Biernacki właśnie mi mówił, że panowie się znają. W naszym młodym państwie, niestety, jeszcze nie wszystko jest uregulowane, zdarzają się omyłki, pan wybaczy...

Chwilę później szedłem Alejami Jerozolimskimi w stronę Marszałkowskiej. Świeciło słońce, była odwilż. Z dachów i ryn-nien głośno ściekała woda, rozpryskując się na chodniku. War-szawa wyglądała jak świeżo umyta. Pierwszy raz po powrocie widziałem ją przy dziennym świetle.

5.

Wstępuję do wojska. — Moja służba w Komendzie Miasta w Warszawie. — Powtórne aresztowanie

Jednym z niewątpliwie słusznych założeń socjalizmu jest że prawo, zawsze i wszędzie, stanowi broń klasy rządzącej w jej walce przeciwko wrogom tej klasy. Jeżeli klasa rządząca, działając przez swoje organy wykonawcze, chce kogoś zamknąć, zawsze znajdzie odpowiedni paragraf w kodeksie, a jeżeli nie znajdzie, to go i tak zamknie. Nie dziwiło mnie zupełnie, że zamknęli mnie Niemcy: byłem niewątpliwie przeciwnikiem panującego wówczas w Niemczech ustroju. Nie zastanawiałem się także nad tym, czy Defensywa „ma prawo” mnie aresztować, czy nie. Istniejący w Polsce w roku 1919 ustrój słusznie widział we mnie wroga.

Ale po wypuszczeniu mnie na wolność począłem się nad tą sprawą zastanawiać. Nie wiedziałem i do dziś dnia nie wiem, jakie stanowisko zajmował w Defensywie mój szkolny kolega. Czy mógł po prostu kazać mnie zwolnić z tej racji, że nie popeł-niłem w Polsce żadnego przestępstwa? Gdyby tak było, nie powiedziałyby sierżantowi Kaźmierczakowi że „zaszła omyłka”. Ktoś z Defensywy posłał tajniaków, żeby mnie aresztowali, omyłka mogła polegać tylko na tym, że mnie zwolniono, a z tego wniossek, że lada dzień przyjdą po mnie znowu. Chciałem zaraz wyjechać do Dąbrowy, ale właśnie wówczas powołany został do wojska mój rocznik.

Postanowiłem wobec tego wstąpić do wojska, i to jeszcze przed terminem. Na tydzień przed terminem. Bo zgłaszający się przed terminem mieli prawo wybrać rodzaj broni. Jeżeli mnie mają

aresztować, myślałem sobie, to za politykę, a nie za uchylanie się od służby wojskowej. Naradziłem się z towarzyszem Gustawem, który mnie odwiedził. I on i mój brat Antoni byli zdania że w Defensywie, jak zresztą we wszystkich nowych urzędach, panuje nieład, prawa ręka nie wie, co robi lewa, ktoś mógł zarządzić, aby mnie aresztowano, a później mogli o mnie zapomnieć. A jak mnie znowu będą szukali, to pewnie wszędzie tylko nie w wojsku, bo to nikomu nie przyjdzie do głowy.

Zgoliłem więc brodę i już kilka dni po rozmowie z kolegą Biernackim na Brackiej 17 zgłosiłem się do komisji poborowej. Matka, jak się okazało, przywiozła moje świadectwo maturalne, uprawniające mnie do wysokiej rangi jednorocznego ochotnika z cenzusem. To, zarówno jak pobieżne badanie lekarskie, przeszło gładko. Z wyborem broni było trudniej. Zakomunikowałem komu należało że jestem szoferem i pragnę służyć w wojsku jako taki. Zepsuły sprawę moje okulary — nie niebieskie, tylko zwykłe, które zawsze nosiłem. Nie miałem na sobie nic oprócz okularów. Urzędowanie w komisji poborowej odbywało się w taki sposób, że najpierw trzeba było rozebrać się do naga, żeby ułatwić zadanie lekarzom, a dopiero później, również nago, załatwić inne formalności. Podoficer, któremu podlegały sprawy przydziału, popatrzał na moje okulary i powiedział, że na szofera nie wyglądam.

— A na kogo? — zapytałem trochę zaczepnie.

— Jak pan z cenzusem to z cenzusem, a szofer to znowu co innego.

— Ale mam prawo wybrać rodzaj broni.

— To się tylko tak mówi. Szoferka to nie żadna broń. Pójdiesz pan spacerkiem do tego tam stolika, do porucznika Druker.

Porucznik Druker, jak się okazało, był dowódcą Kompanii Sztabowej Komendy Miasta. Przy Komendzie Miasta funkcjonował Sąd Pułkowy, któremu był potrzebny protokolant. Porucznik Druker zapytał mnie, czy potrafię to robić. Powiedziałem, że wątpię. Koniecznie chciałem być szoferem, to mi w tej chwili najbardziej odpowiadało. Coś tam gadałem na ten temat, ale porucznik Druker nie słuchał. Zapisał sobie moje nazwisko i kazał mi się stawić na drugi dzień w Komendzie Miasta.

Tak się rozpoczęła moja służba w Wojsku Polskim. Komenda Miasta mieściła się tam gdzie i teraz, naprzeciw Hotelu Europejskiego. W tym hotelu była wielka kawiarnia z werandą, gdzie stale przesiadywał mój szef, porucznik, którego nazwiska nie pamiętam. Spędzał w kawiarni codziennie kilka godzin, a pozostałe godziny służbowe poświęcał zwykle swojej narzeczonej, która mieszkała niedaleko, bo na Nowym Świecie. Miał się z nią wkrótce pobrać. Dał mi jej telefon, oraz telefon kawiarni w Hotelu Euro-

pejskim. Mój szef był sekretarzem Sądu Pułkowego. W razie potrzeby wzywałem go telefonicznie. Ale to się rzadko zdarzało, bo tylko z rzadka ktoś go szukał. Sąd Pułkowy zasiadał mniej więcej raz na miesiąc, odwalając od razu kilka spraw. Sprawy były zawsze takie same: bójki, po pijanemu albo na trzeźwo, drobne kradzieże, chodzenie po mieście w cywilnym ubraniu, co było żołnierzom wzbronione. Wyroki opiewały na kilka tygodni aresztu, odsiadawanego na miejscu, w małym więzieniu, mieszczącym się na tylnym dziedzińcu i składającym z czterech czy pięciu cel. Na tym samym dziedzińcu odbywała się codziennie musztra, którą kierował porucznik Druker. Kompania Sztabowa liczyła z pół setki żołnierzy, przeważnie „z cenzusem”. Każdy z nas miał karabin, którego płaski bagnet nosiło się przy boku w pochwie. Musztra polegała na sprawnym i rytmicznym umieszczeniu karabina na ramieniu i maszerowaniu dokoła dziedzińca. Inni poborowi przechodzili musztrę bardziej gruntowną, ale dla żołnierzy Kompanii Sztabowej ta była uważana za wystarczającą.

Po rannej musztrze szedłem do swojego pokoju, stawiałem karabin do szafy i siadałem za biurkiem. Za drugim biurkiem, mojego szefa, nie było zwykle nikogo. Najczęściej czytałem gazety i rozmaite tygodniki, które Sąd Pułkowy abonował, na przykład *Mysł Niepodległą*, które to pismo wypełniał całkowicie, od początku do końca, jego redaktor Andrzej Niemojewski. Praca moja, której było niewiele, polegała na sporządzaniu odpisów z protokołów posiedzeń Sądu Pułkowego. Robiłem to chętnie, bo jednocześnie uczyłem się pisać na maszynie. Ale jak już mówiłem sąd zasiadał rzadko. Najczęstszym jego klientem był szeregowiec z cenzusem nazwiskiem Makowski, który spacerował wieczorami w cywilu w pobliżu Komendy Miasta, gdzie go przyłapywali znający go oficerowie. Fasował za to, jako recydywista, początkowo tydzień aresztu, później doszedł do trzech. Powiedział mi, że zawsze się umawia na randki pod pomnikiem Mickiewicza na Krakowskim Przedmieściu, bo lubi to miejsce, i żołnierski mundur go wówczas krępuje.

Mnie bynajmniej nie krępował, całkiem przeciwnie. Czułem się w nim doskonale, bo w Warszawie było w tym czasie mnóstwo żołnierzy i kiedy chodziłem po ulicach nikt nie zwracał na mnie uwagi, a zależało mi bardzo, żeby nie zwracano na mnie uwagi. Miałem mundur koloru khaki, to znaczy barwy ochronnej. Wymyślili podobno ten kolor Anglicy, jako zlewający się z każdym krajobrazem, aby żołnierzy na polu bitwy nie widział z daleka wróg. Nie wiem czy mundury spełniały swoją rolę na polu walki, ale na ulicach Warszawy w tym czasie kolor khaki był niewątpliwie barwą ochronną.

Myślałem, że w Komendzie Miasta nikt nie wie, kim jestem, ale byłem w błędzie. Jednoroczni ochotnicy otrzymywali po trzech miesiącach jedną naszywkę. Osiągali tę rangę automatycznie, bez żadnych zasług ani starań. Zapytałem więc po upływie tego czasu mojego szefa, dlaczego inni dostali naszywki, a ja nie.

— A na co panu naszywka? — spytał mój szef. — Bardzo panu na niej zależy?

— Nie, nie zależy. Pytam raczej z ciekawości.

— To dobrze że panu nie zależy, bo jej pan nie dostanie. Podałem pana do awansu, ale mi powiedzieli, że pan jest bolszewik.

Mój szef roześmiał się tak głośno, jakby to co powiedział było doskonałym dowcipem. Zawiadomił mnie, że do dwunastej będzie w kawiarni, a później u narzeczonej. Nigdy więcej o tych sprawach ze mną nie mówił.

Ale w jakiś czas później przyszedł do mnie adiutant Komendy Miasta, bardzo przyjemny porucznik, którego nazwisko również uleciało mi z pamięci. W przeciwieństwie do generała Zawadzkiego, ówczesnego Komendanta Miasta Warszawy, olbrzymą o czerwonej twarzy i gromowym głosie, którego niezbyt lubiano, adiutant cieszył się sympatią żołnierzy. Przychodził do mnie czasem po gazety i na pogawędki na tematy literackie.

— Mamy tu z panem kłopot — powiedział mi jak tylko zamknął za sobą drzwi. — Pewnie domyśla się pan, z jakiego powodu.

— Owszem, mogę się domyślić.

— Chodzi mi tylko o jedno. Nie moja rzecz, jakie pan ma przekonania. Proszę mi tylko powiedzieć czy pan tu, w Komendzie Miasta, prowadzi jakąś wywrotową robotę, czy nie? Pan mi to może powiedzieć w zaufaniu.

— Nie, nie prowadzę.

— Pod słowem? Ręka?

Dałem słowo i uściśniętem jego rękę. Powiedział że zrobi „co będzie mógł” i wyszedł. Ale okazało się, że mało mógł.

Po upływie kilku tygodni przeniesiono mnie z Komendy Miasta na Stację Zborną. Było to jakieś pół roku po moim wstąpieniu do wojska. Stacja Zborna była punktem przesyłkowym, nikt tam długo nie przebywał. Pomyślałem sobie, że skoro władze wojskowe chcą mnie wysłać gdzieś na prowincję, to lepiej będzie, jeśli sam sobie tę prowincję wybiorę. Miałem przyjaciela w Kaliszu. Ukończył w Moskwie podchorążówkę jeszcze przed

rewolucją i teraz był już oficerem. Polityką nigdy się nie interesował. Wiedział o mnie wszystko, ale się nie bał. Napisałem do niego i zaraz dostałem odpowiedź że owszem, że już podjął kroki drogą służbową, aby mnie przydzielono do jego oddziału. Czekałem więc, co z tego wyniknie.

Na Stacji Zbornej przepisywałem jakieś papierki i co kilka dni miałem nocny dyżur. Musiałem wtedy siedzieć w kancelarii 12 godzin bez przerwy, obsługując telefon. Dyżur nocny zaczynał się o ósmej wieczorem.

Któregoś wieczoru poszedłem przed dyżurem do domu na kolację. Na Koszykowej stało przed bramą dwóch podporuczników. Rzucili mi się w oczy, bo jakoś niezgrabnie stali. Oficerów żandarmerii nazywano wtedy kanarkami, bo mieli żółte wyłogi. Ci dwaj nie, więc chyba nie przyszli po mnie. Zresztą nie czekali by na ulicy, tylko w mieszkaniu. Tak się pocieszałem, ale nie byłem pewien.

Kiedy wyszedłem po kolacji, stali na ulicy w tym samym miejscu gdzie przedtem. Kiedy, umyślnie szybkim krokiem, poszedłem w stronę Marszałkowskiej, ruszyli za mną. Dogonili mnie, jeden z lewej strony, drugi z prawej.

— Pan będzie łaskaw iść prosto do rogu i wsiąść do samochodu, który tam stoi, powiedział jeden z nich. Pan jest aresztowany.

Zawieziono mnie znowu na Bracką 17. Zapytałem oficerów w samochodzie, czy są z Defensywy. Moje pytanie ich speszyło. Powiedzieli że nie.

— My tylko mamy pana odwiedzić.

— Aż dwóch oficerów dla mnie jednego?

Nic na to nie odpowiedzieli, ale też, jak poprzednio tajniacy, byli skrepowani.

— Przepraszam, — powiedział później jeden z nich — pan widział Lenina?

— Widziałem.

— I mówił pan z nim?

Jego wyraz twarzy wskazywał, że zadał mi to pytanie wyłącznie z osobistej ciekawości. Był mniej więcej w moim wieku, drugi oficer też.

Na Brackiej tym razem już na mnie czekali. Oficerowie którzy mnie przywieźli pogadali półgłosem z jakimś oficerem żandarmerii, później wrócili do mnie.

— Pana zaraz odwiozą do Dziesiątego Pawilonu. Ale to już nie my.

W Dziesiątym Pawilonie. — Porucznik Kurcman. — Spotkanie z Waleckim

Dziesiąty Pawilon Cytadeli Warszawskiej, który odegrał tak dużą rolę w historii polskiego ruchu niepodległościowego i rewolucyjnego, nie był, kiedy go budowano, przeznaczony na więzienie. Był to po prostu jeden z budynków Cytadeli. Przerobiono go na więzienie dopiero później, i to tylko wewnątrz. Z zewnątrz nie wyglądał ani ponuro ani groźnie, jak inne więzienia, w których przesiadywałem. Był to zwyczajny dwupiętrowy dom. Miał szerokie, załamujące się korytarze, duże i widne cele i prostokątny dziedziniec, otoczony drzewami. Tak było za moich czasów. Później drzewa ścięto. W roku 1961, będąc w Warszawie, uzyskałem pozwolenie na obejrzenie Dziesiątego Pawilonu, gdzie mieściły się wtedy wojskowe składy (teraz jest tam muzeum). Obejrzałem swoją własną celę, inną, w której — naprzeciw mojej — siedział Henryk Walecki i jeszcze kilka. Wszystko było tak jak pamiętałem, tylko dziedziniec wyglądał bez drzew goło i obco. Patrzałem na te drzewa z mojej celi w ciągu wielu miesięcy, przyzwyczaiłem się do nich, i znowu, tak samo jak w Łodzi, kiedy zobaczyłem sterczące z muru szyny zamiast balkonu, na którym bawiłem się w dzieciństwie, ogarnęło mnie takie uczucie, jakby mi coś odebrano. Widok wierzchołków drzew z więziennej celi też może być bardzo ważną częścią składową naszego życia, w którym wspomnienia stają się często całkiem realną i bardzo mocną podwaliną naszych działań.

Dziesiąty Pawilon, za mojego tam pobytu, był więzieniem dla szczególnie ważnych przestępców. Nie wolno ich było odwiedzać, ani przysyłać im paczek czy listów. Uchodziło także za pewnik, że z Dziesiątego Pawilonu, gdzie siedzieli wówczas wyłącznie więźniowie, znajdujący się pod śledztwem, nie można uciec. Niejaki Keylis, młody żołnierz-komunista, dowiódł jednakże, że można. Siedziałem już trzeci czy czwarty miesiąc, kiedy wieczorem zastukał do mojej celi i pożegnał się ze mną przez „judasza”. Mógł to zrobić, bo go używano w więzieniu do różnych posług i zamykano jego celę tylko na noc. Główne jego obowiązki polegały na przenoszeniu węgla do piwnicy. Mieli to robić żołnierze z więziennej załogi — Dziesiąty Pawilon był pod zarządem władz wojskowych — ale im się nie chciało, a Keylis czynił to chętnie, bo z noszeniem węgla był związany jego plan ucieczki. Wdrapał się na górę zwalonego na dziedzińcu węgla, z tej góry przedostał na otaczający dziedziniec mur i uciekł. Nigdy go nie złapano. Po-

ručnik Kurcman z Defensywy, który prowadził moją sprawę, powiedział mi że młoda, rok życia zaledwie licząca niepodległa Polska nie zdążyła jeszcze wyszkolić kadr, których zadaniem jest pilnowanie i tropienie elementów wyrotowych i że tym się tłumaczy ucieczka Keylisa. Nasi ludzie, dodał lekko wzdychając, czują się nawet nieswojo, kiedy muszą kogoś aresztować, ponieważ trudno im pokonać wewnętrzny opór, płynący z wiekowych polskich tradycji buntowniczo-wolnościowych.

Przypominając sobie mocno skrępowanych poruczników, którzy mnie aresztowali, musiałem w duchu przyznać mu rację. Sam jednak porucznik Kurcman z pewnością żadnych wewnętrznych oporów pokonywać nie musiał. Był policjantem rasowym, doskonale wyszkolonym i sprawiającym takie wrażenie, jakby prowadził anty-wyrotowe sprawy nie od roku, lecz całe życie.

Wezwał mnie na badanie na drugi dzień po moim aresztowaniu. Odbywało się, jak i następne, na terenie Cytadeli, ale nie w gmachu więziennym, tylko innym, zaraz obok więzienia. O Kurcmanie słyszałem już na wolności. Mówiono o nim, że jest bardzo pracowity, bardzo sprytny i bardzo niebezpieczny. To się wszystko potwierdziło już na pierwszym badaniu. Przyniósł ze sobą ogromną skórzaną teczkę i wydobył z niej dwie inne, mniejsze, umieszczając je na stole. Jedna zawierała, jak mi pokazał, całkowity komplet dziennika *Polska Prawda*, której byłem współredaktorem. Na drugiej było napisane, że są to akta mojej sprawy. Ta druga wyglądała również dosyć okazale. Badanie miało taki mniej więcej przebieg:

— To pismo zawiera wiele artykułów pana pióra. Niektóre są podpisane pana nazwiskiem, inne literami, jeszcze inne pana pseudonimami, lub też są w ogóle bez podpisu. Nie ulega jednak wątpliwości, że pan je pisał, co łatwo poznać po stylu. Zgodzi się pan ze mną, że po stylu zawsze można poznać autora.

— Nie zawsze, ale często.

— Zawsze. Styl to człowiek. Może mi pan przeczytać stronę Prusa i Żeromskiego, a ja panu bezbłędnie powiem, którą napisał Prus, a którą Żeromski.

— Ja też. To każdy potrafi. Ale jeśli chodzi o beletrystykę.

— Z artykułami jest tak samo. Autora można zawsze poznać po stylu. *Zawsze.*

Mówiąc to Kurcman świdrował mnie wzrokiem. Domyślałem się, o co mu chodzi. Chodziło mu nie o moje artykuły w *Polskiej Prawdzie*, tylko o inne, w warszawskiej prasie podziemnej, których autora poznał z ich stylu. Ale udawałem, że się tego nie domyślam. Powiedziałem mu, że komplet *Polskiej Prawdy* zawiera, jak sam stwierdził, dużo artykułów, które podpisałem,

więc nie widzę powodu, dla którego miałby koniecznie przypisywać mi inne, bez mojego podpisu.

— A któż panu powiedział, że je panu przypisuję? — rzekł Kurcman. — Ja tylko stwierdzam, że styl to człowiek. A co do pana podpisanych artykułów, to rzeczywiście wystarczają one w zupełności, wykazując pana wywrotowe poglądy.

— Powiedzmy po prostu poglądy.

— Nie wywrotowe?

— Nie, bo pisałem je w Rosji. Państwo polskie wówczas nie istniało, ani żadne polskie władze, więc nie mogłem ich wywracać.

— Ale swoich poglądów pan się nie wypiera, ani ich pan po przyjeździe do Polski nie zmienił?

— Nie.

— W jakim celu przyjechał pan do Polski?

— Nie przyjechałem, tylko wróciłem.

— Pan jest bardzo logiczny. Pan się nawet czepia słów. Ale pan był w Rosji wybitnym komunistą...

— Nie byłem. Partia komunistyczna wówczas nie istniała. Byłem członkiem SDKPiL i Polskiego Zjednoczenia Socjalistycznego.

— To wszystko jedno. Utrzymywał pan w Rosji ścisły kontakt z Leninem, z Trockim, z Radkiem, z Leszczyńskim, zaraz panu powiem z kim jeszcze...

Kurcman zajrzał do drugiej teczki, odczytał kilka polskich i rosyjskich nazwisk, i dodał:

— Otóż, logicznie rozumując — a pan tak lubi logikę — przyjechał pan do Polski z polecenia swoich bolszewickich przyjaciół. My i tak to wiemy i wiemy z jakimi poleceniami pan tu przyjechał. Przyspieszy pan śledztwo, jeśli pan się do tego przyzna.

Powiedziawszy to, Kurcman sam się zawstydził swojego chwytu. Był istotnie za tani. „Przyznaj się, bo my i tak wszystko wiemy” — tego naiwnego sposobu używała policja we wszystkich krajach jak długo świat stoi i nigdy pewnie nikogo na ten kawał nie nabrała. Kurcman krzywo się uśmiechnął i odesłał mnie do celi.

To pierwsze badanie było obustronne, bo ja też usiłowałem się dowiedzieć, co Kurcman wie o mojej działalności w Polsce. Ale się nie dowiedziałem ani podczas pierwszego badania, ani podczas następnych. Kiedy się domagałem, aby Kurcman mi powiedział, o co jestem oskarżony, odpowiadał że się dowiem, kiedy dostanę akt oskarżenia. Ale nie miał najwidoczniej dowodów, że to ja pisałem owe artykuły w podziemnej prasie. Wydo-

był je kiedyś z aktów mojej sprawy i pokazał mi je. Dwa czy trzy istotnie pisałem, Kurcman trafnie rozpoznał mój styl. Ale procesu sądowego nie można było wtedy w Polsce prowadzić na zasadzie podobieństwa stylu. Powiedziałem mu to, na co Kurcman odrzekł, że skoro nie zmieniłem po powrocie do Polski swoich przekonań, musiałem się nimi kierować w swojej działalności. — Tak wskazuje zdrowy rozsądek. Zgadza się pan ze mną?

— Nie.

— Cóż pan może na to odpowiedzieć?

— Choćby to, że na przykład nie każdy człowiek wierzący musi koniecznie chodzić do kościoła.

— Ale ludzie wierzący chodzą do kościoła.

— Niekoniecznie. Ktoś może nie chce się afiszować swoją wiarą i do kościoła nie chodzić.

Kurcmana zirytowała ta odpowiedź. Irytował się na badaniach coraz częściej. Ja zachowywałem spokój, tym większy im bardziej Kurcman się denerwował, co go doprowadzało do pasji. Był przekonany, że robię to umyślnie, że udaję, i powiedział mi to. Ale ja nie udawałem. Później często mi się zdarzało, że doprowadzałem kogoś do pasji swoim spokojem. I też wcale nie naumyślnie. Tak już jestem duchowo urządzony, że wpadam w gniew niespodzianie dla samego siebie, często z całkiem pobocznych powodów, a w innych wypadkach, choć mam powody ku temu, aby wybuchnąć, zachowuję całkowity spokój.

Podczas któregoś z kolejnych badań Kurcman zapytał mnie, czy znam nazwisko Kaźmierczak. Nie pamiętałem w pierwszej chwili że tak się nazywał sierżant, który mnie wypuścił, kiedy mnie pierwszy raz aresztowano. Odpowiedziałem, że nigdy o żadnym Kaźmierczaku nie słyszałem.

— Nie słyszał pan? Ale on pana zna i długo pan będzie pamiętał. Za to, że wypuścił pana wtedy z Brackiej Kaźmierczak został zdegradowany! Pana to oczywiście nic nie obchodzi, panu jest wszystko jedno, pan się nie przejmuje tym że mu pan zwichnił karierę!

Powiedziałem, że nie ja mu zwichniłem karierę, tylko ci, którzy go zdegradowali, i to całkiem niesłusznie, bo mnie zwolnił dlatego, że nie było powodów do trzymania mnie w więzieniu. Dodałem że i on, Kurcman, będzie musiał mnie zwolnić, bo moja działalność w Rosji nie jest dostatecznym powodem do trzymania mnie w więzieniu w Polsce.

Nie byłem tego wcale pewien, ale chciałem się dowiedzieć, co Kurcman wie o mojej działalności w Warszawie, a czego się tylko domyśla. Kurcman znowu wpadł w wściekłość, krzyczał, że

na mnie znajdzie sposoby i kazał mnie odprowadzić do celi. Nie zląkłem się jego gróźb. W Warszawie nie było wówczas wypadków torturowania więźniów. Na kresach takie wypadki już się zdarzały.

Przez długi czas Kurcman nie wzywał mnie na badanie. Nie widziałem go już nigdy więcej, bo wkrótce potem zachorowałem. Było to silne przeziębienie, obostrzone wrzodem w gardle, co jest rzeczą bolesną. Chorowałem kilka tygodni. Kurcman, od którego to zależało, nie chciał ani dopuścić do mnie lekarza, ani przenieść mnie do szpitala. Jeden z dozorców powiedział mi, że Kurcman mi nie wierzy. Jest przekonany, że symuluję chorobę, żeby uciec. Podejrzewa mnie również, że w jakiś tajemniczy sposób ułatwiłem czy umożliwiłem ucieczkę Keylisowi.

Siedziałem w tym czasie w nieco większej celi, we dwójkę z sierżantem z warszawskiego garnizonu, który popełnił jakieś nadużycia natury finansowej. Sprawy tego rodzaju były wówczas bardzo groźne. Weszło w siłę nowe prawo, dotyczące wojskowych i przewidujące karę śmierci za kradzieże w wojsku. Sierżant niezbyt się tym przejmował, licząc na to, że w jego wypadku nie będzie ono zastosowane, bo nadużycia były drobne, i że może nawet wyjdzie mu ono na dobre, ponieważ władze zatuszują sprawę, aby go ocalić przed sądem wojennym z przymusowym wyrokiem śmierci. Był to wesoły i uczynny młodzieniec. To, że obaj byliśmy w mundurach, zyskiwało nam sympatie kluczników-żołnierzy. Kiedy sprzątano naszą celę i inne cele na naszym korytarzu, spacerowaliśmy sobie, zaglądając do sąsiednich cel. Wtedy właśnie zetknąłem się z Henrykiem Waleckim (Witem) i Wacławem Wróblewskim, członkami Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Obu znałem przedtem tylko z nazwiska. Z Wróblewskim rozmawiałem kilka razy w jego celi, wiedząc kim jest, z Waleckim tylko raz, w okolicznościach dosyć zabawnych*. Walecki nosił wtedy długą brodę. Kiedy pewnego razu zajrzałem do jego otwartej celi podczas sprzątania, mruczał coś, siedząc na łóżku, jakby się modlił. Walecki, który był wybitnym matematykiem, układał wówczas, bez papieru ani ołówka, pracę matematyczną, którą wydał później w Zürichu. Ale ja o tym nie wiedziałem. Wziąłem go za paskarza-spekulanta. Wprowadził mnie w błąd klucznik, który go pomylił z kim innym i powiedział mi, że w celi siedzi znany w całej Warszawie paskarz-milioner, który cały dzień się modli.

Nie miałem sympatii do paskarzy i specjalnie mnie irytowało,

* Opisałem to spotkanie w mojej powieści „Rysy twarzy”. Walecki występuje w tej książce jako Lit.

że się modli. Uważałem, że paskarze nie powinni się modlić. Na drugi dzień, znowu podczas sprzątanía, Walecki wpadł do naszej celi i dosyć ostro zapytał, czy nie mamy czegoś do czytania. Mieliliśmy tylko dwie książki: „Najważniejsze choroby położnicze” pióra doktora Runge, które to dzieło jakimś cudem zawędrowało do Dziesiątego Pawilonu i zostało przez nas dokładnie przestudiowane w braku innej lektury, oraz „Pamiętniki Manulesku, króla złodziei”, też już przeczytane. Tę drugą książkę zaproponowałem Waleckiemu, dodając, że ją napisał jego kolega po fachu.

— Tak? — rzekł Walecki. — No to dawaj pan.

— Proszę. I niech pan się przestanie modlić. Nie wystarcza panu że pan okrada ludzi, chce pan jeszcze koniecznie oszukać Pana Boga...

Walecki nie wyprowadził mnie wówczas z błędu, miałem go w dalszym ciągu za aferzystę i złodzieja. Później, już na wolności, kiedy się z nim na długie lata zaprzyjaźniłem, opowiedział mi, że był wtedy na mnie oburzony i chciał mi nawymyślać, ale nie zdążył, bo się zbliżał klucznik.

Wracam jednak do mojej choroby. Ta rozmowa z Waleckim miała miejsce bezpośrednio przed nią. Na wrzód w gardle, jak twierdził dzielący ze mną celę sierzant, pomaga płukanie gardła mlekiem, ale Kurcman nie pozwolił na sprowadzenie dla mnie mleka, co mnie wprawiło w pasję. I otóż właśnie tego dnia, kiedy klucznik powiadomił mnie o odmowie sprowadzenia mleka, zjawił się w Dziesiątym Pawilonie Prokurator Generalny czy Naczelny. Był to znany jeszcze przed pierwszą wojną warszawski adwokat, który często występował za carskich czasów jako obrońca w sprawach politycznych. Nazywał się, o ile pamiętam, Rudnicki. Przyjechał do Dziesiątego Pawilonu na inspekcję i wkroczył do naszej celi w asyście Witeckiego, szefa Defensywy, i kilku innych dygnitarzy, wojskowych i cywilnych. Przedstawił się i zapytał, czy nie mamy jakichś zażaleń. Było mi to bardzo na rękę. Wygłosiłem do niego przemówienie, z którego nie pamiętam ani słowa. Wiem tylko, że mówiłem bardzo głośno i że kiedy Witecki usiłował mi przerwać czy też czemuś zaprzeczyć, krzyknętem na niego, żeby się nie wtrącał, co wywołało konsternację w świecie Rudnickiego, ale co on sam przyjął z całkowitym spokojem.

Drzwi celi były podczas mojego przemówienia otwarte, więc słyszał je, jak się później dowiedziałem, Walecki, Wróblewski, i wielu innych więźniów, między innymi Gustaw Reicher („Rwał”), kolega szkolny mojego młodszego brata Jerzego z łódzkiego gimnazjum, późniejszy członek K.C. partii komunistycznej,

dąbrowszczyk, rozstrzelany w Moskwie, dokąd go sprowadzono z Hiszpanii, w latach czystek.

Mój monolog do prokuratora — bo sam on nic nie mówił, a kiedy skończyłem, odwrócił się i opuścił celę wraz ze swoją świtą — miał skutki natychmiastowe, i to dwojakiego rodzaju: główne i poboczne. Główne polegały na tym, że już w godzinę po wizycie Rudnickiego wpakowano mnie do samochodu i zawieziono, pod ochroną dwóch żandarmów, do Szpitala Ujazdowskiego w Warszawie. Wykonano to w tak błyskawicznym tempie, że żandarmi, którzy mnie wieźli, nie mieli moich papierów ani nie wiedzieli, na co jestem chory. Kazano im po prostu odwieźć mnie do szpitala i umieścić tam na oddziale, przeznaczonym dla więźniów.

Skutki poboczne były takie, że wrzód w gardle pękł, prawdopodobnie dlatego, że nie mówiłem, tylko krzyczałem, czego wrzód nie wytrzymał. Stwierdziłem to zaraz po wizycie Rudnickiego. Natychmiast też spadła temperatura, co czułem choć nie miałem termometru, i jadąc do szpitala byłem już zupełnie zdrow.

7.

Szpital Ujazdowski. — Wariaci i symulanci. — Złodziej Szymon Dziura i jego obrażona godność. — Tyfus

Szpital Ujazdowski był przeznaczony zasadniczo dla wojskowych, ale jeden z jego oddziałów, składający się z trzech niewielkich sal, miał okratowane okna i ochraniali go żandarmi, którzy jednak do sal nie wchodzili. Umieszczano na tym oddziale aresztantów — wojskowych, chorych umysłowo czy też symulujących choroby umysłowe, oraz czasami i niewojskowych, przysyłanych na badanie psychiatryczne. Wpakowano mnie na ten oddział, prawdopodobnie dlatego, że był to jedyny w szpitalu oddział więzienny.

Zarządził oddziałem doktor Nelken, znany i wybitny psychiatra, będący wówczas lekarzem wojskowym w randze pułkownika*. Kiedy mnie zaprowadzono, zaraz po przybyciu, do jego gabinetu, dr Nelken długo mi się przyglądał przez swoje grube okulary, nie bardzo wiedząc, co ze mną począć. Miał psi wyraz twarzy — co mówię w znaczeniu dodatnim, bo lubię psy — z którego łatwo można było odczytać, co myśli. Chciał mi pomóc, bo pewnie wyglądałem żałośnie: wrzód w gardle, wskutek

* Zmobilizowany powtórnie w roku 1939, Dr Nelken zginął w Katyniu.

którego dłuższy czas nic prawie nie jełem, musiał pozostawić ślady. Dr Nelken pomagał zresztą w miarę możliwości więźniom, wszystkim więźniom, bo miał dobre serce. Później, kiedy się z nim zaprzyjaźniłem, powiedział mi, że był w kłopotliwym położeniu, bo dostał z Dziesiątego Pawilonu tylko ustne polecenie, żeby przyjął mnie do szpitala i nie widział, co mi dolega. I nie chciał mnie o to pytać, obawiając się, że mu powiem, iż jestem zupełnie zdrow. Zamierzałem istotnie przez chwilę to zrobić, dr Nelken mógł się tego domyślić. Zamierzałem grać z nim w otwarte karty, opowiedzieć mu o wrzodzie który pękł, choć po takim oświadczeniu musiałby chyba odesłać mnie z powrotem do Dziesiątego Pawilonu. Często w życiu tak postępowałem, i przedtem i później, pchany ku temu mało zrozumiałą chęcią powiedzenia prawdy za wszelką cenę — i niech będzie co będzie. Podejrzewam zresztą, że kieruje mną w takich wypadkach nie tyle umiłowanie prawdy, ile efekciarstwo i ryzykanctwo, polegające na rzucaniu wyznania losowi.

Nie doszło do tego, ponieważ dr Nelken, przybrawszy srogą minę, zbadał przy pomocy młoteczka moje odruchy w obu nogach, udając, że jest to sprawa niezmiernie ważna. Prawie każdy doktor, przy prawie każdej chorobie ostukuje młotkiem kolana, więc tego rodzaju badanie nie mogło budzić żadnych zastrzeżeń i o niczym świadczyć. Innego badania nie było. Zaprowadzono mnie do sali i wskazano mi moje łóżko.

Ale na tym oddziale nikt prawie w łóżku nie leżał. Można było chodzić po salach i po korytarzu i odwiedzać innych aresztantów. Byli to ludzie dosyć ciekawi.

Zacznę od prawdziwych wariatów, których było dwóch. Jeden cierpiał na paraliż postępowy i rozmowa z nim była uciążliwa, ponieważ, odpowiadając coś, wciąż tłumaczył to, co nie wymaga tłumaczenia. Mówił na przykład taki:

„Kiedy mieszkałem dawniej w Lublinie, przyjeżdżałem często z żoną do Warszawy. Pewnego razu poszliśmy do sklepu. Sprzedawca uklonił się i zapytał, czym może służyć. Rzecz naturalna, nie mógł przecież wiedzieć, co chcemy kupić, prawda? Grzeczny, dobrze wychowany młody człowiek, nic dziwnego, że się uklonił. Następnie zjedliśmy obiad w restauracji, dosyć drogiej, ale dobrej. Zawsze wolałem chodzić do dobrych restauracji, choć są zwykle drogie, ponieważ lubię dobrze zjeść. A dobrze zjeść można zwykle tylko w dobrej restauracji, pan się chyba z tym zgodzi. Ludzie mają przeważnie jakieś swoje wady czy zachcianki, co do mnie, to lubię smacznie przyrządzone potrawy, pan mnie rozumie. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że wolę dobrą i drogą restaurację od taniej ale kiepskiej, prawda?”

Mógł tak mówić godzinami, powracając wciąż do tego samego i nie posuwając się naprzód. Jednym z charakterystycznych objawów paraliżu postępowego jest bowiem to właśnie objaśnianie, tłumaczące się podświadomym dążeniem chorego do ciągłego sprawdzania, czy mózg jego działa jeszcze normalnie, do wykazania, że wszystko co mówi jest całkowicie logiczne*.

Niewątpliwie chorym umysłowo był też pewien kapitan, paranoik, o wielkich zielonawych oczach, spacerujący zwykle po korytarzu. Wbił on sobie do głowy, że jestem Cziczerinem, sowieckim Komisarzem (Ministrem) Spraw Zagranicznych. Kiedy temu zaprzeczałem, wpadał w gniew i trochę go się w takich chwilach bałem. Wolałem więc prowadzić z nim na korytarzu rokowania w sprawie przyszłych granic Polski. Kapitan wyznał mi w tajemnicy, że traktuje ze mną z ramienia „wyższych czynników” i domagał się, aby wyraził zgodę na to, aby Polska wraz z Rosją zawładnęła koloniami niemieckimi, odebranymi Niemcom po wojnie. Dzieliłiśmy między sobą te kolonie dosyć dokładnie.

Inni pacjenci, przysłani na badanie psychiatryczne, byli wyraźnymi symulantami. Dwóch pamiętam lepiej niż innych: pułkownika K. i kapitana Ż.

Trudno ich zresztą nazwać symulantami, bo zachowywali się całkowicie normalnie. W pierwszym wypadku wyższym władzom wojskowym, a może i rządowi, zależało na tym, aby pułkownika K. uznać za nie zrównoważonego psychicznie i wydaląc go z tego powodu z armii. Dowodził garnizonem w jednym z małych miast w pobliżu Warszawy, gdzie wybuchł strajk robotników fabrycznych. Urządzili oni demonstrację, pułkownikowi kazano ich uśmierzyć, nie cofając się, jeśli zajdzie konieczność, przed użyciem siły zbrojnej. Innymi słowy, pułkownik miał, „w razie potrzeby”, strzelać do strajkujących robotników. Zamiast tego wygłosił do nich i do żołnierzy przemówienie, stając po stronie strajkujących i zapowiadając żołnierzom, że każdy z nich będzie oddany pod sąd wojenny jeśli ośmieli się do robotników strzelać. Aresztowano go tegoż dnia. Był legionistą, znał Piłsudskiego, odwiedzali go często wyżsi oficerowie. Nie wiem jak się ta historia skończyła i czy wydalono go z armii, bo kiedy opuściłem szpital pułkownik K. jeszcze w nim pozostał.

Nie wiem też, co się stało z kapitanem Ż., z tych samych przyczyn. Był oficerem gospodarczym w Radomiu. Posłano go

* Obserwacje, poczynione, w Szpitalu Ujazdowskim, zużytkowałem później w powieści „Czarna spowiedź”, dziejącej się częściowo w szpitalu dla umysłowo chorych.

do Warszawy żeby zrobić zakupy dla oficerskiej kantyny. Ż. zaraz po przyjeździe poszedł na wyścigi konne i przegrał w totalizatora powierzone mu pieniądze. Wrócił do Radomia, pożyczył od kolegów w pułku ile mógł, resztę zobowiązał się zwrócić w najbliższym czasie ze swoich poborów. Chodziło o zupełnie małą sumę. Ale go aresztowano i na zasadzie prawa o którym już mówiłem groziła mu kara śmierci.

Pułkownik K. i kapitan Ż. mieli wspólny pokój, często ich odwiedzałem. Blżej zapoznałem się jednak ze złodziejem-recydywistą nazwiskiem Dziura, który mówił o sobie że jest „z dołu”, co w złodziejskiej gwarze oznaczało ulicę Czerniakowską w Warszawie i jej okolice.

Szymon Dziura nie był chory umysłowo ani pomieszanania zmysłów nie symulował. Zachorował w więzieniu na zapalenie nerwu w nodze, w szpitalu więziennym nie mogli go wyleczyć, więc go skierowano do naszego więziennego pawilonu. Ujął mnie tym, że był zadziwiająco prawdomówny. Ludzie prawdomówni zawsze mnie pociągają, nie ze względów natury moralnej, tylko dlatego, że prawda jest prawie zawsze ciekawsza od kłamstwa. Na to, żeby dobrze kłamać, trzeba mieć fantazję i zdolności aktorskie, w przeciwnym razie kłamca jest nudny. Dziura opowiadał chętnie i dokładnie o swoich złodziejskich wyczynach, ale się nie wychwalał, był raczej skromny, traktował swój zawód fachowo, tak jak się traktuje każdy inny. Miał już ze czterdzieści lat, żadnej innej profesji nigdy się nie miał. Darzył mnie sympatią, nawet przyjaźnią, może dlatego że chętnie słuchałem jego opowieści, a może dlatego, że mu nigdy nie prawiliłem morałów.

Kiedy zbliżały się święta Bożego Narodzenia, postanowiłem przystrzyc sobie brodę, którą sobie znowu zapuściłem i która zbyt się rozrosła. W jednej z sal naszego więziennego oddziału ustawiano już choinkę, byliśmy bardzo przejęci nadchodzącą Gwiazdką, bo w naszym szpitalnym życiu było to wielkie wydarzenie. Myśliśmy i czyściliśmy wszystko co się dało, a nasza główna pielęgniarka, bardzo ofiarna i bardzo przez wszystkich lubiana pani Barlicka — żona działacza socjalistycznego Norberta Barlickiego — uczyła nas zapomnianych kołęd. Ona też zwróciła mi uwagę, że z moją brodą trzeba zrobić na święta jakiś porządek. Szymon Dziura podjął się tego zadania. Pani Barlicka dała mu nożyczki i Dziura przystąpił do pracy.

Przystrzygł mi brodę, ale krzywo. Przejrzałem się w lustro, nie ulegało wątpliwości, że symetria została naruszona. Broda została skierowana na lewo i nie dało się już tego naprawić. Śmieli się ze mnie moi szpitalno-więzienni towarzysze, jak również dr Nelken. Może byłem dumny ze swojej brody jak paw ze

swojego ogona, a może takie błahe wydarzenia przybierały w naszym życiu w szpitalu, w braku innych, przesadnie wielkie formy — dość że wpadłem w gniew i wyładowałem moją złość na Szymonie Dziurze. Powiedziałem mu, że może umie kraść, ale że o fryzjerce nie ma pojęcia. I żeby na przyszłość nie brał się do tego, czego nie potrafi. I jeszcze coś w tym rodzaju.

Dziura wcale się nie usprawiedliwiał, tylko spojrzął na mnie z wyrzutem i odszedł. Usiadł przy oknie, plecami do sali, zobaczyłem, że wyciera rękawem łzy.

Zrobiło mi się bardzo przykro. Uprzytomniłem sobie, że nie powinienem był tak z nim rozmawiać, bo choć go niby traktowałem jak równego sobie, ta równość była sztuczna. Gdybym wszedł na któregoś z moich kolegów lub politycznych przyjaciół, nie miałyby to wielkiego znaczenia. Dziura moje wyrzuty głęboko odczuł, bo nasza przyjaźń była dla niego bardzo ważną sprawą, a ja tę przyjaźń rozbiłem, i to na zawsze. Na drugi dzień była Wilia, śpiewaliśmy „Bóg się rodzi, noc truchleje”, choinka pachniała tak jak kiedyś na Marszałkowskiej za czasów mojego dzieciństwa. Było uroczyście, rzewnie i ciepło na duszy, choć skarlłowaciałe drzewko przyozdabiały tylko wycięte przez Jasia z białego papieru, bo innego nie mieliśmy, niezgrabne gwiazdy. Dzieliliśmy się opłatkiem, kapitan Ż., który nie wiedział, czy go wkrótce rozstrzelają czy nie, pocałował się ze mną, pani Barlicka pocałowała się ze wszystkimi. Chciałem się pogodzić z Dziurą, przelałem kawałek opłatka i wyciągnąłem do niego rękę. Znowu nic nie powiedział, tylko odwrócił głowę i odszedł.



Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia zachorowałem na tyfus plamisty. W Warszawie szerzyła się wtedy epidemia tyfusu, gdzieś za miastem, już nie pamiętam gdzie, urządzono baraki, tam mnie też zawieziono. Chorowałem ze dwa miesiące, mając cały czas, jak to przy tyfusie, wysoką gorączkę.

Ze wszystkich chorób jakie przechodziłem — a było ich dużo, przedtem i potem — tyfus był najprzyjemniejszą. Nic mnie nie bolało, nic nie dokuczało, byłem, z powodu gorączki, w stanie euforii. Zdawało mi się że leżę na łąnce, między wielkimi, różnorodnymi kwiatami, czasami mi się wydawało że ogromna winda, też pełna kwiatów, przenosi mnie na szczyt góry. Te półsenne zjawy wciąż się powtarzały. Kiedy wreszcie wyzdrowiałem, odwieziono mnie znowu do Szpitala Ujazdowskiego. Byłem tak osłabiony że nie mogłem chodzić o własnych siłach,

przyszedłem do siebie dopiero po kilku tygodniach. Dwóch żandarmów zawiozło mnie wtedy do Więzienia Mokotowskiego.

8.

Więzienie Mokotowskie. — Pogoń za pociągiem. — Głódówka. — Białystok, potem znowu Mińsk. — Ucieczka

Byłem „więźniem administracyjnym”. Tak się to nazywało oficjalnie, w mowie potocznej ogólnie przyjęty termin był inny. Siedziało się „pod Anuszem”. Pan Anusz, Komisarz Rządowy dla Miasta Stołecznego Warszawy, miał prawo, na mocy swojego własnego rozporządzenia, trzymać w więzieniu kogo chciał przez okres trzech miesięcy. Po upływie tego czasu podpisywał automatycznie rozporządzenie na dalsze trzy. Siedzenie „pod Anuszem” było więc, praktycznie biorąc, więzieniem bezterminowym. Prawie wszyscy więźniowie tego rodzaju byli komunistami, którym władze nie mogły wytoczyć procesu o należenie do partii z powodu braku dowodów.

Siedziałem w celi pojedynczej, bardzo schludnej. W więzieniu nie było ani pcheł, które mi dokuczały w Dziesiątym Pawilonie, ani pluskw, ani nawet much. Wszystko aż się świeciło, a w kącie stała porcelanowa muszla klozetowa ze spuszczaną za naciśnięciem guzika wodą. Mogłem leżeć na łóżku choćby cały dzień i czytać. Dokuczał mi jednak głód, bo karmiono więźniów słabo, a po tyfusie ma się duży apetyt.

Więźniów politycznych dokarmiał MOPR — Międzynarodowa Organizacja Pomocy Rewolucjonistom — która jednak nie wiedziała, że mnie przewieziono na Mokotów. Zażądałem przez klucznika, aby MOPR został o tym zawiadomiony, i tenże klucznik przyniósł mi po godzinie chleb, szmalec i cukier. Myślałem że przysłał to MOPR i nie mogłem się nadziwić, że tak błyskawicznie działa. Później się dowiedziałem, że jedzenie przysyłał mi Władysław Hibner, który siedział w celi obok i słyszał moją rozmowę z klucznikiem. Przysyłał mi swoje własne jedzenie, które dostawał z MOPR'u. Nie znałem go, poznałem dopiero kilka lat później w Moskwie, krótko przed jego wyjazdem do Warszawy, gdzie go rozstrzelano, razem z Pniewskim i Rutkowskim, za zamach na prowokatora, podczas którego Hibner zabił policjanta i sam został ranny. Jakaś warszawska gazeta zamieściła wtedy zdjęcie fotograficzne, na którym było widać trzy słupy, do których miano przywiązać skazanych. Hibner idzie na zdjęciu na przodzie, opierając się na lasce. Wyciągnął rękę, pokazuje

swoim towarzyszom te słupy — i uśmiecha się. Od tego czasu, kiedy widzę że ktoś wyciąga rękę, przypomina mi się ta fotografia i jego uśmiech.



Na zasadzie umowy między rządem polskim i rządem sowieckim więźniami politycznymi w Polsce — prawie wyłącznie komunistami — opiekowała się w tym czasie, z ramienia rządu sowieckiego, pani Stefania Sempołowska, a Polakami, znajdującymi się w więzieniach w Rosji, z ramienia rządu polskiego, pani Pieszkowa-Andrejewa, pierwsza żona Maksyma Gorkiego. Obie panie, cieszące się dużym autorytetem i ogólnym szacunkiem, działały bardzo sprawnie. Pani Stefania była postacią niemal że legendarną, Zapoznałem się z nią bliżej dopiero później, podczas rokowań pokojowych w Rydze, gdzie się dowiedziałem, że prócz wielu innych talentów — była to osoba pod każdym względem czarująca i imponująca — posiada dar wróżenia z ręki. Powiedziała mi wiele trudnych do przewidzenia rzeczy, które się później, niektóre po wielu latach, zdumiewająco dokładnie sprawdziły.

Pani Stefania odwiedziła mnie w Więzieniu Mokotowskim, aby mnie zawiadomić, że rząd sowiecki umieścił mnie na liście osób przeznaczonych do wymiany i że jeżeli się na to zgodzę, zostanę wymieniony w pierwszej kolejności już w ciągu najbliższego czasu.

Wymiany więźniów politycznych odbywały się wówczas mniej lub więcej regularnie grupami po kilkanaście osób z każdej strony, za pośrednictwem polskiego i sowieckiego Czerwonego Krzyża. Nie wiedziałem, czy się na tę wymianę zgodzić. Wróciłem z Rosji do Polski nie po to, żeby znowu do Rosji wyjechać. Ale w Więzieniu Mokotowskim miałem już prawo na widzenia i podczas jednego z nich otrzymałem dosyć niepokojący gryps. Moi przyjaciele polityczni dostali nielegalną drogą wiadomość że porucznik Kurcman zdołał zebrać dowody, wystarczające do skierowania mojej sprawy do sądu wojskowego, z oskarżenia o wywrotową agitację w armii. To było groźne, bo za wojskówki — tak się to wtedy nazywało w komunistycznym żargonie — dawano dziesięć lat więzienia. Miałem w celi dosyć czasu aby przypomnieć sobie dokładnie wszystkie moje wyczyny i doszedłem do wniosku, że dowody Kurcmana nie mogły być zbyt przekonujące. Ale decydować o tym miał sąd, a nie ja, a prócz tego moi polityczni przyjaciele „na szczycie” byli zdania, że muszę wyjechać.

Podpisałem więc w kancelarii więziennej jakieś papiery. Tamże odbyła się ceremonia zwolnienia mnie z wojska, polegająca na obcięciu nożyczkami epoletów munduru, który wciąż jeszcze

nosiłem. I wkrótce potem jeden tylko policjant, jako że nie było już obawy że ucieknę, zaprowadził mnie na dworzec, z którego miał odejść specjalny pociąg, wiozący do Rosji grupę więźniów politycznych z różnych więzień.

Był to dworzec towarowy, zdaje się że gdzieś w okolicach Cytadeli. Komendantem pociągu, z ramienia polskiego Czerwonego Krzyża, był niejaki pan Karłowicz. Powiedział mi, że inni więźniowie wkrótce przybędą i że pociąg odejdzie za dwie albo trzy godziny.

Wydało mi się to mało prawdopodobne. Pomyślałem sobie, że nawet zwykłe pociągi odchodzą często z opóźnieniem, więc dlaczego ten miałby odejść punktualnie? Po torach chodzili niespiesznie kolejarze, dworzec był pusty. Zapytałem pana Karłowicza, czy mogę pójść do miasta. Powiedział, że mogę pójść gdzie mi się podoba, ale muszę wrócić najdalej za dwie godziny.

W pobliżu dworca przechodził tramwaj. Wsiadłem do niego i pojechałem. Chciałem przed wyjazdem jeszcze raz zobaczyć Warszawę, ale głównym powodem mojej wyprawy było to, że postanowiłem pożegnać się z pewną dziewczyną. Nie zastałem jej w domu, poszukiwania jej trwały dobrą godzinę, pożegnanie też zajęło trochę czasu. Wróciłem na dworzec kolejowy po trzech czy czterech godzinach. Byłem, wracając, całkowicie przekonany, że pociąg jeszcze nie odszedł, że pewnie odejdzie dopiero wieczorem. Moje przekonanie płynęło wyłącznie z chęci żeby tak było.

Pociąg odszedł. Pojechałem tramwajem na Pragę, ktoś mi powiedział że się tam zatrzyma na Dworcu Wschodnim. Nie zatrzymał się. Wsiadłem do pierwszego pociągu, odchodzącego w stronę Rosji, mając wciąż jeszcze nadzieję że go dogonię. Dojechałem aż do Brześcia Litewskiego, tam się dowiedziałem, że pociąg wyprzedził mój o pół godziny. Dalej nie można było jechać bez przepustki.

Wszedłem ze stacji, przed jakimś domem w pobliżu siedziało na ławce kilku żandarmów. Był to posterunek czy komenda żandarmerii. Zameldowałem się u dyżurnego oficera. Nie miałem żadnych papierów, wyglądałem z pewnością podejrzanie. Powiedziałem oficerowi co się stało, dodałem że może sprawdzić telefonicznie w Warszawie że mówię prawdę. Chciałem żeby mnie odesłał pod konwojem na granicę sowiecką, gdzie mój pociąg z pewnością jeszcze stoi. Nie mógł przecież przejechać pędem granicy. Przytoczyłem też taki argument, że strona sowiecka, jeśli mnie nie będzie w pociągu, może zatrzymać kogoś z więźniów z tamtej strony.

Oficer wziął mnie pewnie za wariata. Nigdy o wymianie

więźniów politycznych nie słyszał, o pociągu też nic nie wiedział. To co mówiłem brzmiało dziwnie i nieprawdopodobnie. Był bardzo grzeczny, uprzejmie się uśmiechał, ale mi nie wierzył. Ujął mnie wreszcie pod rękę i zaprowadził do innego pokoju, gdzie mi przyniesiono coś do jedzenia. Żandarm, siedzący obok mnie, miał strach w oczach.

Ale oficer zatelefonował do Warszawy i dowiedział się że owszem, wszystko się zgadza.

— Polecono mi skierować pana z powrotem do Warszawy. O dalszych pana losach muszą już powziąć decyzję władze centralne.

Eskortowało mnie tym razem, nie wiem dlaczego, aż trzech żandarmów. Jeszcze przed nocą znalazłem się znowu w Więzieniu Mokotowskim, ale już nie w pojedynczej celi. Umieszczono mnie w tak zwanym skrzydle komunistycznym, składającym się z kilku dużych cel, z których każda przeznaczona była dla 20 do 30 więźniów. Każda miała wybranego przez więźniów starostę, który załatwiał wszystkie sprawy z naczelnikiem więzienia, tłustym, dosyć dobrodusznym jegomościem który się nazywał Fricke. Starostą w mojej celi był Ciszewski, członek Centralnego Komitetu. Siedzieli w niej tacy wybitni działacze jak Rybacki, Fidler i wielu innych, których już nie pamiętam.

Były to czasy stosunkowo liberalne. Nasze skrzydło było uprawnione do dwugodzinnego spaceru, podczas którego mogliśmy chodzić albo siedzieć, pojedynczo lub grupami, jak nam się podobało. Trzy godziny dziennie przeznaczone były na szkołę, uruchomioną naszymi własnymi siłami. W jednej z cel odbywały się wykłady na takie tematy jak dialektyka, historia ruchów rewolucyjnych, i tak dalej. Władze więzienne unikały konfliktów z nami, klucznicy zachowywali się poprawnie. Jeden z nich nazywał się Osłowski, może dlatego zapamiętałem jego nazwisko. Pewnego razu dowiedzieliśmy się, że pełniąc przedtem służbę na podwórku, strzelił kiedyś do więźnia, stojącego przy oknie i zranił go. Ciszewski zażądał od naczelnika więzienia, aby Osłowskiego od nas zabrano. Fricke twierdził, że wiadomość jest fałszywa, że Osłowski nigdy do nikogo nie strzelał.

Nie pamiętam, jak się ta historia skończyła. Piszę o niej, ponieważ charakteryzuje panujące w tym czasie na naszym skrzydle stosunki. Tłumaczyły się tym, że siedzieliśmy „pod Anuszem”, to znaczy nie byliśmy więźniami karnymi. W innych więzieniach z przestępcami politycznymi obchodzono się gorzej, w niektórych bardzo źle. Wypadki torturowania więźniów, o których pisał w „Przedwiośniu” Żeromski, były już wtedy dosyć częste, zwłaszcza na kresach.

Władze sowieckie, które umieściły mnie na liście osób, przeznaczonych do wymiany, wypuściły wszystkich polskich obywateli, przywiezionych na granicę. Pan Karłowicz zdołał je przekonać, że spóźniłem się na pociąg z własnej winy, co potwierdziłem piśmiennie. Miano mnie dołączyć do następnego transportu, ale w międzyczasie zaszły wypadki nieprzewidziane.

W końcu kwietnia 1920 roku w Warszawie wybuchł strajk tramwajarzy czy też robotników miejskich, dobrze już nie pamiętam. Władze dokonały masowych aresztowań i kilkudziesięciu strajkujących osadzono w naszym więzieniu. Nie byli to komuniści, strajk nie był przez nich wywołany ani prowadzony. Ale komuniści postanowili poprzeć strajkujących i solidarność z nimi zadokumentować również na terenie więziennym. Kierownicy naszej mokotowskiej komuny zażądali od naczelnika więzienia, aby aresztowanych za strajk przeniesiono do naszego skrzydła i by mogli korzystać z tych samych przywilejów co my. Fricke odmówił. Nie zależało to zresztą od niego, nasze żądania odrzuciły wyższe organy. Zagroziliśmy głodówką. Do więzienia przyjechał prokurator, który nam powiedział, że ci aresztowani wcale nie pragną, aby ich wcielono do naszej komuny, że kontakt z nami może być dla nich kompromitujący i że ich pewnie wkrótce wszystkich zwolnią. Ciszewski odrzekł na to, że odłożymy głodówkę, jeśli prokurator zgodzi się na wysłanie delegacji do aresztowanych, aby się dowiedzieć od nich samych, czy chcą aby ich do naszego skrzydła przeniesiono, czy nie.

Prokurator roześmiał się.

— Panowie mogą prowadzić agitację wśród swoich, w tej waszej szkole, ale nie możemy się zgodzić na agitowanie innych, zwłaszcza w murach więziennych. Niech mi pan powie z ręką na sercu, czy nie mam racji?

— Ma pan — odpowiedział Ciszewski. — Pan ma swoją rację, a my mamy swoją.

Na tym skończyła się rozmowa, która się toczyła w naszej celi. Prokurator miał istotnie swoje racje, a my swoje. Siedziało nas wtedy w komunistycznym skrzydle około stu, działało się nam nie najgorzej, może trochę za dobrze. I nic nie robiliśmy „dla sprawy”, nasza rewolucyjność nie miała żadnego ujęcia. Muskuły sportowca, który się nie trenuje, wiotczeją. Nam groziło zwiotczenie muskułów rewolucyjnych. To wszyscy czuli i wszystkie cele, zaraz po wizycie prokuratora, wypowiedziały się jednogłośnie za rozpoczęciem głodówki. Byli z pewnością wśród nas tacy, którzy nie chcieli, żeby ich posądzono o tchórzostwo, ale większość, i to znaczna większość, kierowała się z pewnością wzglę-

dami o których mówię. Tym i jeszcze jednym: potrzebą zdemonstrowania i utwierdzenia naszej wspólnoty, zwartości naszej ideologicznej rodziny.

W późniejszych latach — nie wtedy, bo wtedy to się rozumiało samo przez się i o tym się nie myślało — często przypominałem sobie, jak silne były więzy, które nas ze sobą łączyły, i to nie tylko więzy przekonaniowe, lecz uczuciowo-osobiste. Współwyznawcy naszej wiary byli nam zawsze o wiele bliżsi niż nasze rodziny, może dlatego że oderwaliśmy się od rodzin i naszego urodzeniowego środowiska i stworzyliśmy sobie inne. W ciągu lat kiedy brałem udział w ruchu nie miałem nie tylko przyjaciół, ale nawet bliższych czy dalszych znajomych poza jego ramami. Kiedy spotykałem się czasami, zwykle przypadkowo, z któryms z byłych moich przyjaciół czy znajomych, na przykład z kolegami szkolnymi, rozmowa z nimi nużyła mnie, stali się dla mnie zupełnie obcy.

Ale człowiek jest istotą stadną i im bardziej oddala się od ludzi tym bardziej cierpi. To właśnie sprawia, że trzyma się kurczowo swojego ideologicznego środowiska, często jeszcze wtedy, kiedy wewnątrz już od niego odszedł. Zostaje w nim dlatego, że tylko ono łączy go z życiem. Słowo alienacja, tak dzisiaj modne, było wtedy jeszcze mało znane, ale sens tego słowa wisił nad nie jednym z nas jak straszliwa groźba. W powieści „Rysy twarzy” pisałem, wiele lat później, o komuniście, który w latach dwudziestych chciał odejść od ruchu, ponieważ utracił swoją wiarę. Jego przyjaciel, idąc z nim Alejami, wskazał ręką taras kawiarni, pełen ludzi z innego świata. „Dokąd pójdziesz”, zapytał go, „do nich?”. To zrobiło na bohaterze mojej powieści takie wrażenie, że w ruchu pozostał — i wkrótce potem popełnił samobójstwo. Znałem tego człowieka, to co napisałem w powieści oparte było na faktach.



Głódówka trwała cztery albo pięć dni. Później, w nocy, wkroczył do naszej celi oddział żandarmów. Oznajmiono nam, że wszyscy więźniowie z naszego skrzydła zostaną przewiezieni do innego miasta i kazano nam się ubrać. Fidler i jeszcze kilku odmówiło. Żandarmi to przewidzieli. Tych, którzy nie chcieli wstać, wyniesiono z celi w bieliźnie. Zawieziono nas na stację, gdzie czekał pociąg z okratowanymi oknami. Dopiero w wagonie powiedziano nam, że jedziemy do Białegostoku. Ciszewski naradził się ze starostami z innych cel i zarządził przerwanie głódówki. Pociąg stał jeszcze na stacji kiedy przyniesiono nam

mleko. Po dłuższym poście można pić tylko mleko, później jeść mało i powoli.

Wywieziono nas z Warszawy 30 kwietnia. O naszej głodówce wiedziano już na mieście, władze obawiały się że nazajutrz, 1 maja, może dojść do demonstracji przed gmachem więziennym, dlatego nas tak spieszenie wywieziono. Pierwszego maja odbywaliśmy już spacer na podwórku białostockiego więzienia. W jakiś niepojęty sposób przeszwarcowano nam do więzienia czerwone kokardki, które przypięliśmy sobie na piersiach. Naczelnik więzienia, starszy pan z groźnie sterczącymi wąsami, wygłosił do nas na podwórku krótkie przemówienie. Był podobno naczelnikiem więzienia jeszcze za carskich czasów. Powiedział nam, że będziemy traktowani w więzieniu sprawiedliwie i prosił starostów cel, aby mu komunikowali wszelkie zażalenia. Później chwilę się namyślał i dodał:

— Ja widzę, że panowie przypięli sobie czerwone *ljentoczki* (wstążeczki), więc proszę mi pozwolić pogratulować panom w dniu dzisiejszego waszego święta.

Podziękowaliśmy cichutkimi oklaskami. Naczelnik więzienia przytknął palce do swojej mundurowej czapki i odszedł.



W więzieniu w Białymstoku byłem krótko. Przewieziono mnie do Mińska, gdzie miał się zatrzymać kolejny transport, wiozący do Rosji na wymianę więźniów politycznych.

Ale zaczęła się już wojna polsko-sowiecka i w Mińsku się okazało, że nikt nie wie, kiedy ten transport odejdzie. Wpakowano mnie tymczasem nie do więzienia, tylko do jakiegoś wojskowego szpitalika za miastem, choć byłem zupełnie zdrow. W szpitaliku na 10 czy 12 łóżek dano mi oddzielny pokój, zamykany na kłódkę i strzeżony przez żołnierzy. Ta troskliwość o moją osobę tłumaczyła się tym że władze sowieckie, choć pani Stefania Sempołowska przesłała moje własnoręczne oświadczenie że się z własnej winy spóźniłem na pociąg, podejrzewały jakiś kawał i nalegały, abym znalazł się w najbliższym transporcie, grożąc że w przeciwnym razie wstrzymają wymianę.

Tej okoliczności zawdzięczam pewnie wizytę, którą mi złożył w moim pokoiku sierżant nazwiskiem Staniszewski. Zaproponował mi, że osobiście zaprowadzi mnie na granicę, która w tym czasie jeszcze istniała, i odda władzom sowieckim, nie czekając na przybycie transportu z tej czy innej strony. Powiedział, że ma na to zgodę wyższych władz i namawiał mnie, abym jego propozycję przyjął. Odrzuciłem ją tylko dlatego, że zbyt dużo

słyszałem o wypadkach zabójstwa więźniów politycznych — nie tylko w Polsce — „przy usiłowaniu ucieczki”.

Odwiedził mnie wówczas także w moim pokoiku Sylwester Wojewódzki. Przedstawił mi się jako adiutant — czy może były adiutant — Piłsudskiego, był w mundurze. Rozmawiał ze mną sam na sam. Zachowywał się dosyć dziwnie. Powiedział że przyjechał do Mińska aby przeprowadzić śledztwo w sprawie torturowania więźniów politycznych na kresach i zapytał, co o tym wiem. Słyszałem o kilku takich wypadkach i wymieniałem nazwiska. Wojewódzki słuchał nieuważnie i naraz mi przerwał, mówiąc że przyjechał nie z polecenia Piłsudskiego, tylko z własnej inicjatywy. Miałem wrażenie że sprawa torturowania więźniów była pretekstem i że przyszedł w innym celu i chce mi coś powiedzieć, ale nie może się zdecydować. Wreszcie poszedł, długo ściskając mi rękę*.

Wojska sowieckie zbliżyły się wkrótce do Mińska, o wymianie więźniów w takich warunkach nie mogło być mowy. Któregoś dnia zawieziono mnie do jakiegoś po-klasztornego budynku w mieście i wpakowano do dużej izby ze sklepieniami i zakratowanym oknem. Izba, i jeszcze kilka takich samych, była już pełna. Zwieziono tam aresztantów z mińskiego więzienia a także z innych więzień z kresowych miast. Było wśród nich trochę więźniów politycznych, na innym piętrze było też kilka kobiet.

Drzwi na korytarz zamykano tylko na noc. Trzymano nas w tym gmachu kilka dni, trzy albo cztery. Na korytarzu, bardzo szerokim, było tłoczno. Rzucił mi się tam w oczy młody plutonowy, który nadzorował wydawanie jedzenia. Kręcił się po korytarzu i w innych godzinach i badawczo mi się przypatrywał. Ktoś mi później powiedział, jak się nazywa: plutonowy S. Z przyczyn, które będą wkrótce zrozumiałe, nie wymieniam jego nazwiska.

S. wypatrzył chwilę, kiedy byłem sam na korytarzu i zaczął ze mną rozmowę. Zapytał mnie czy to prawda że jestem „ważnym bolszewikiem”. Odpowiedziałem mu jakimś żartem. Ten żart mu się nie spodobał, zaczerwienił się i odszedł. Było mi

* Sylwester Wojewódzki został później komunistą i był komunistycznym posłem na Sejm, odgrywając w partii dosyć dużą rolę. Rozstrzelano go w Rosji pod zarzutem że wstąpił do partii z polecenia polskiego wywiadu.

W Rosji, jak wiadomo, rozstrzelano podczas czystek tysiące polskich komunistów pod tym samym zarzutem. Oskarżenia były fałszywe, ale w wypadku Wojewódzkiego miały, jak słyszałem, cechy prawdopodobieństwa. Nie mogę jednak twierdzić ani że był, ani że nie był agentem wywiadu w czasie swojej komunistycznej kariery. Widziałem go zresztą tylko raz wówczas w Mińsku, później już się z nim nie stykałem.

trochę przykro, bo w żarcie użyłem ordynarnych słów i czułem, że go to uraziło.

Na drugi dzień przyszedł znowu.

— Ja się wczoraj chciałem zapytać o bolszewików, co to są za ludzie, a pan mi zaraz takie słowa...

— Tacy sami ludzie jak inni.

— E, nie. Czego oni teraz na Polskę leżą? Co im Polska zrobiła? I jeszcze mówią, że ich prowadzą na Polskę polskie bolszewiki. Ja się tylko tak pytam, z ciekawości.

Tak się zaczęły moje rozmowy z plutonowym S. Było ich kilka, nie pamiętam ile. Nie pamiętam też, co mu mówiłem. Nie mam wątpliwości, że starałem się go przekonać o słuszności mojej wiary. Robiłem to z wewnętrznej potrzeby. Myślę, że odczuwa ją każdy, kto w coś głęboko wierzy, że potrzeba propagowania swoich przekonań jest główną cechą każdej wiary i wskaźnikiem jej żywotności, i że wiara, której mało zależy na przeciwności na swoją stronę każdego człowieka staje się martwa.

Plutonowy S. ani słowem, ani nawet gestem nie dał mi do zrozumienia, że to co mówię trafia mu do przekonania. Na trzeci czy na czwarty dzień usłyszeliśmy na korytarzu hałas i ciężkie żołnierskie kroki. Nasza izba była już zamknięta. Odryglowano drzwi i w gęstym mroku zarysowała się sylwetka żołnierza z granatem w ręku. Strach ogarnia mnie zwykle przed jakimiś wydarzeniami, podczas nich już go nie czuję. Myślałem zupełnie spokojnie o tym, że jeżeli żołnierz rzuci granat, zabije on lub porani tylko tych którzy stoją przy samych drzwiach, że jego odłamki nie przebiją ciał ciasno ustawionych więźniów i do mnie, stojącego pod oknem, nie dolecą. W izbie było bardzo cicho.

Żołnierz granatu nie rzucił. Kazał nam wyjść na podwórkę, otoczone wysokim murem. Tam nas ustawiono w szeregi. Staaliśmy tak ze trzy godziny. Po podwórku kręcili się żołnierze, otwierano i zamykano bramę, przybył jeszcze jakiś oddział z oficerem. Kilku z nas usiadło na ziemi, zrobiłem to samo. Zapadała noc, było już zupełnie ciemno. Po pewnym czasie wstałem i zacząłem chodzić po podwórku. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zauważyłem że za naszym podwórkiem jest inne, mniejsze, oddzielone od naszego otwartą bramą i też otoczone murem. Środkiem drugiego podwórka biegł rów, pokryty kamiennymi płytami, ale nie na całej przestrzeni. Na mniejszym podwórku nie było nikogo. Wlałem do rowu, pełzając na brzuchu aż do miejsca, gdzie pokrywały mnie całkowicie kamienne płyty. Leżałem w tym zagłębieniu długo, licząc na to, że transport wreszcie wyruszy, beze mnie. Ale zdrętwiały mi ręce i nogi, którymi w ciasnym

rowie nie mogłem poruszać. Wydostałem się z niego. W otwartej bramie, kiedy wracałem na pierwsze podwórko, stał plutonowy S. Widział mnie, ale nie powiedział ani słowa. Ja też nie.

Wróciłem do szeregów. Zaraz potem kazano nam ustawić się czwórkami i wyruszyliśmy w drogę. Szło nas ze trzysta osób, po bokach i z tyłu żołnierze, my w środku. Żołnierze nieśli w rękach karabiny gotowe do strzału. Zapowiedziano nam, że w razie próby ucieczki będą strzelali bez uprzedzenia. Naczelnik konwoju, porucznik, jechał na przodzie bryczką. Szliśmy całą noc, rano nakarmiono nas w jakiejś wiosce, odpoczęliśmy i poszliśmy dalej. Szliśmy przez ogromne, gęste lasy. Szedłem w jednym z ostatnich szeregów, zastanawiając się, czy żołnierze rzeczywiście będą do mnie strzelali, jeżeli sobie spokojnie skręcę do lasu, niby to za potrzebą, by później w lesie zniknąć. Nie wydawało mi się prawdopodobne że będą strzelali. Są rzeczy, które trudno sobie wyobrazić, ponieważ kolidują z otoczeniem, z dekoracją, nie pasują do niej, jak nie pasowałaby na przykład bójka nożowców do dekoracji teatralnej, przedstawiającej mieszczański salonik w porządnej rodzinie. Był piękny dzień, las pachniał, witały nas, kołysząc się przyjaźnie, rosnące po jego brzegach liliowe dzwonki, a z gałęzi przyglądały się nam, pochwierkując, leśne ptaki. Było, jednym słowem, pięknie i sielankowo — jakże w takiej chwili żołnierz, zwykły człowiek, miałby zabić innego człowieka? W tej samej właśnie chwili mój sąsiad w szeregu, który może też snuł takie myśli, wolnym krokiem wszedł do lasu. Rozległy się zaraz dwa suche strzały. Strzelało dwóch żołnierzy, pewnie nie celując, bo nie trafili. Mieli zupełnie obojętne miny, nie patrzyli nawet w stronę więźnia, który wrócił do szeregu. Nikt nic nie powiedział, nikt się nie zatrzymał. Szliśmy dalej w milczeniu.

Nocowaliśmy w polu. Pilnowali nas żołnierze, porozstawiani dookoła. Zasnąłem od razu, obudziłem się głęboką nocą, świecił księżyc. Nade mną przysiadł plutonowy S. który mnie obudził.

— Pan chce uciec? Jak pan chce, to ja wyprowadzę.

— Dokąd?

— Do lasu. Tu las niedaleko. Przeczeka pan w lesie aż przyjdą ruskie wojska. Porucznik pojechał do wsi nocować, ja teraz za naczelnika.

Podejrzewałem znowu prowokację. Wyprowadzi do lasu i zastrzeli. Powiedziałem, że sam nie pójde, chyba z tymi którzy leżeli obok mnie i już się obudzili. Inni leżeli dalej. Tych znałem, zapoznałem się z nimi podczas pierwszego postoju. Było ich trzech: Aron Weiss, czeladnik piekarski spod Warszawy, komunistą, i dwóch Rosjan.

— Ile ty za to chcesz, żeby nas wyprowadzić? — zapytał Weiss.

— Nic nie chcę. Ja sam też ucieknę.

— Do bolszewików?

— Do bolszewików. Wszystkich czterech wyprowadzę. No?

— Idziemy, mruknął Weiss.

Rosjanie, którzy trochę rozumieli po polsku, też już wstali. Ja się jeszcze namyślałem.

— Ja pana nie znam i nie wiem, czym się pan kieruje — powiedziałem. — Ale jak pan zamyśla coś złego, to niech się pan lepiej zastanowi. Dostanie pan kulę w łeb. Nie ode mnie, od moich towarzyszy. Prędyj czy później, ale z pewnością.

Była to oczywiście czcza groźba. Twarz S. przekrzywiła się, spojrzął na mnie tak jak w wilię Bożego Narodzenia Szymon Dziura. Może to spojrzenie zdecydowało sprawę.

Poszliśmy. S. wskazał nas wartownikowi, powiedział, że idziemy z nim. Szliśmy nic nie mówiąc, jeden za drugim. S. szedł pierwszy. Zatrzymaliśmy się dopiero w lesie. Nie pamiętam, czy go poprosiłem, żeby wyprowadził jeszcze innych, czy sam się zaoferował, że to zrobi. Pamiętam że mu powiedziałem, kogo ma wyprowadzić: studentkę Marię L., komunistkę z Warszawy, i jeszcze kogoś. S. wyprowadził tych dwoje, spotkałem ich później już w sowieckim Mińsku, plutonowego S. również. Fetowano go tam, chciano, żeby wstąpił do partii, ale nie wstąpił.

Uprowadzając wypadki, chcę teraz powiedzieć co się z nim później stało. W roku 1927 odnalazł mnie i odwiedził w Moskwie. Zarządzał jakimś składem. Był przygnębiony, więcej milczał niż mówił i wreszcie powiedział że jest w tarapatkach i przyszedł z prośbą o pomoc. Opowiedział mi że w domu w którym mieszka poturbował po pijanemu jakąś starą kobietę, że go za to zamknęli, ale później wypuścili aż do rozprawy sądowej, która ma się wkrótce odbyć.

Poszedłem nazajutrz do prokuratora, który prowadził tę sprawę. Miał już zeznania świadków i opowiedział mi jak to było. W domu, na parterze, mieszkała stara Żydówka, pochodząca z Polski. S., w nocy, rozbił okno w jej mieszkaniu, wlał do pokoju i pobił ją. Podniosła krzyk, zlecieli się sąsiedzi, S. wykrzykiwał, że zabije „Żidowku”, co po rosyjsku jest wyrażeniem obelżywym. Nie mógł później w milicji wytłumaczyć, w jakim celu wdarł się do mieszkania. Ukraść nic nie mógł, bo klepała biedę, o innych przyczynach nie mogło być mowy: miała przeszło 70 lat. Ale to wymyślanie na Żydów było okolicznością obciążającą. Objawy antysemityzmu, zwłaszcza tego

rodzaju, w tych czasach ostro tępiono. Prokurator wytoczył mu sprawę o antysemicki chuliganizm, za co mógł dostać kilka lat.

Prosiłem prokuratora, aby nie bacząc na to że sprawa tak brzydko wygląda, postarał się ją zatuszować. Odpowiedziałem mu, co S. w 1920 roku zrobił.

Sprawa do sądu nie doszła, prokurator ją umorzył. S. przeprowadził się do innego domu. Nigdy go już później nie widziałem.

9.

Na wolności. — Las i wilki. — Towarzysz Kac. — „Sztandar Komunizmu”. — Marchlewski i inni. — Wyjazd do Rygi

Kiedy S. wrócił, aby wyprowadzić innych więźniów, zostaliśmy w lesie w czwórkę. O Weisie już mówiłem. Jeden z Rosjan nazywał się Andrej Sjedowatych, był młodym robotnikiem z Moskwy. Fiedorienko, chłop z głębi Rosji, był, jak i Sjedowatych, partyzantem przerzuconym na polską stronę kilka miesięcy przedtem. Tyle o nich wiedziałem, o nic więcej nie wypadało się pytać. Sjedowatych musiał się jakoś na polskiej stronie odznaczyć, bo kiedy go spotkałem kilka lat później w Moskwie, nosił na piersiach order Czerwonego Sztandaru, rzadkie wówczas odznaczenie, który dostał za swoje wyczyny w 20-tym roku. Ale nigdy mi nie powiedział, za jakie. Fiedorienko w ogóle prawie nic nie mówił, później już go nie spotykałem. Ale za to znał się na wilkach, co nam pewnie uratowało życie.

Las był olbrzymi, ciągnął się na wiele kilometrów. Siedzieliśmy w nim ze trzy dni i noce, karmiąc się poziomkami, których było mnóstwo. Raz tylko zjedliśmy doskonałe śniadanie. Wyszliśmy z lasu i zobaczyliśmy na polu, pośrodku między w zbożu, coś co z daleka wyglądało jak zając. Dziwiło nas, że nie ucieka. Nie był to zając, tylko duży garnek z mlekiem, obok którego leżał bochen chleba. W pobliżu nie było nikogo, dary spadły jakby z nieba. Wypiliśmy oczywiście mleko i zjedliśmy chleb, nie pozostawiając ani kruszynki. Dopiero wówczas wylazł z rowu chłopiec, który się tam schował. Przygotował sobie ten posiłek, miał coś tam robić na polu, ale się nas przestraszył, więc wlaźł do rowu. Żalił się, że bez jedzenia będzie mu markotno, ale wielkiej pretensji do nas nie miał. Dowiedzieliśmy się od niego, że sowieckich oddziałów w okolicy jeszcze nie ma.

Tej właśnie nocy Fiedorienko uratował nas od wilków. Spaliśmy na skraju lasu. Fiedorienko obudził nas i pokazał w od-

daleniu kilkanaście par zielonych światełek, mówiąc że to są wilcze ślepie. Przyjąłem to do wiadomości spokojnie, będąc przekonany, że wilki na ludzi nie napadają, że czyniły to tylko w bardzo dawnych czasach, a teraz to się zdarza tylko w powieściach. To moje przekonanie było oparte na nieznamości rzeczy. Fiedorienko twierdził, że wilki, kiedy ich jest dużo, rzucają się na ludzi i że trzeba uciekać. Wystarczy jednak wyjść z lasu, bo wilki z lasu nigdy nie wychodzą, taką już mają naturę. Chyba zimą, kiedy są bardzo głodne, ale nigdy latem. Miał rację. Wyszliśmy z lasu, a wilki w nim pozostały. Szczekały tylko na nas, trochę jak psy, ale cieńszym głosem, i wyły, obrażone, że nie pozwoliliśmy się zjeść. Kręciły się po skraju lasu z godzinę zanim sobie poszły.

Tego samego dnia spotkaliśmy na leśnej drodze dwóch polskich żołnierzy na koniach. Zatrzymali się, popatrzyli na nas, jeden z nich zapytał, czy mamy zapałki. Fiedorienko, którego aresztowano w Mińsku w ostatnim dniu i w ogólnym zamęciu nie zdążono zrewidować, podał mu pudełko. Jeździec, nie biorąc go, uderzył konia batem i obaj ruszyli pędem na Zachód. W tym czasie ludzie bali się ludzi tak samo jak wilków.

Nazajutrz zobaczyliśmy sowieckich żołnierzy. Szli po obu stronach drogi, gęsiego, wielu w podartych butach i podniszczonych mundurach. Jeden miał na głowie cywilną cyklistówkę w kratki. Środkiem drogi jechały furmanki, z których zwieszały się bose nogi tych, którzy już nie mogli dalej iść. Żołnierze powiedzieli nam, że niedaleko znajduje się sztab jakiejś większej jednostki wojskowej.

Odnaleźliśmy go w starym parku. Pod rozłożystą akacją siedział przy pięknym inkrustowanym stoliku starszy wojskowy z niebieskimi wyłogami, na stoliku leżała mapa, a obok jego buta sterczał na ziemi połowy telefon koloru trawy. Miał zmęczone oczy i zupełnie bezbarwne brwi. Wystuchał w milczeniu co mu miałem do powiedzenia i kazał nas zaprowadzić do dworku, gdzie nas nakarmiono przy takim samym inkrustowanym stoliku, tylko trochę większym. Widziałem przez okno, że rozmawia z kimś przez telefon.

Po jakimś kwadransie zajechał duży samochód. Wysiadł z niego niejaki Kac z sowieckiego wywiadu (zaraz mi się przedstawił). Miał na sobie przepasaną rzemieniem czarną koszulę bez żadnych wojskowych odznak, a za pasem nagan. Podał nas badaniu, każdego oddzielnie, mnie na końcu. Słuchał tego co mówiłem z ironiczo-grzecznym uśmiechem, nagle przybrał marsowy wyraz twarzy, walnął pięścią w stół i krzyknął:

— Dosyć tego łągarstwa! Wystarczy! Dlaczego zgoliliście brodę?!

Brodę zgolił mi w lesie Fiedorienko, który miał ze sobą torbę, a w niej brzytwę i mydło. Przyszło mi do głowy, że jeśli nasz konwój wyśle za nami pogoń, to trudniej mnie poznają bez brody niż z brodą. A właściwie nudziło nam się w lesie, więc skorzystałem z tego, że Fiedorienko ma brzytwę. A ponieważ opaliłem się podczas pochodu i później w lesie, część mojej twarzy, po zgoleniu brody, była opalona, a część nie. Wytłumaczyłem to Kacowi, ale nie uwierzył. Był dumny z tego że wykrył fakt zgolenia brody i żał mu było, że to wielkie odkrycie przejdzie bez echa. Powiedział że nie ma żadnych wątpliwości że jesteśmy, wszyscy czterej, niebezpiecznymi polskimi szpiegami i że jeden z nas już się do tego przyznał. To kłamstwo tak mnie zirytowało, że zacząłem na niego krzyczeć. Zagroziłem że go spotkają grube nieprzyjemności, jeśli nas natychmiast nie odeśle do Unszlichta. Unszlicht, mój stary znajomy, był komisarzem politycznym frontu.

To poskutkowało. Kac zawiózł nas do Mińska, ale nie swoim samochodem, tylko ciężarówką, pod ochroną kilku żołnierzy. Po drodze pogłaskiwał swój nagan, dając mi pewnie do zrozumienia, że jeszcze nie całkiem mi dowierza. W Mińsku ciężarówka zatrzymała się przed hotelem „Paryż”, zarekwirowanym przez wojsko. Kac zamknął Weissa i mnie w jednym pokoju, dwóch Rosjan w innym i poszedł, obiecując że wkrótce po nas wróci. Ale długo nie wracał, wobec czego, na wniosek Weissa, podważyliśmy ramionami podwójne drzwi pokoju, które się otworzyły bez żadnego trudu. Klucz od pokoju obok sterczał w drzwiach. Wypuściliśmy Rosjan i wszyscy poszliśmy na miasto.

Na ulicy jakiś wojskowy z czterema rombami na kołnierzu — najwyższa ranga, epoletów jeszcze wtedy nie było — powiedział nam że zna dobrze Unszlichta i zaprowadził nas wprost do niego. Okazało się, że Unszlicht złamał nogę i leżał w łóżku z nogą w gipsie, zawieszoną na wyciągu. W tym mieszkaniu, na zaproszenie Unszlichta, już zostałem, Weiss, Fiedorienko i Sjedowatych ulokowali się w innym domu na tej samej ulicy.



Józef Unszlicht był jednym z pięciu członków Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, utworzonego, pod przewodnictwem Juliana Marchlewskiego w Białymstoku na początku sowieckiej ofensywy. W skład tego komitetu wchodził jeszcze Edward Pruchniak, Feliks Dzierżyński i Feliks Kon. Komitet, według

jego oświadczeń, miał po zajęciu Warszawy oddać władzę „w ręce ludu pracującego” i powierzyć mu utworzenie rządu, ale dla każdego było jasne, że załącznikiem i rdzeniem tego rządu miał być ten właśnie komitet. Tymczasem jego kwatery główna mieściła się w pociągu, stojącym na jednym z bocznych torów na stacji w Mińsku. W pociągu była drukarnia, wypuszczająca wezwania i manifesty, biura z maszynami do pisania, i tak dalej. Znajdowało się w nim również wielu wybitnych komunistów polskich, jak Julian Leszczyński, Stanisław Bobiński, Jakób Dolecki, Stefan Heltman i inni. Zaproszono mnie do tego pociągu jako jednego z tych, którzy wjadą nim tryumfalnie do Warszawy. Było to uważane za wielki zaszczyt. Propozycję przeniesienia się do pociągu skierował do mnie Marchlewski.

Propozycji nie przyjąłem. Pisałem już w innym miejscu tej książki że pamięta się zwykle powzięte decyzje, ale znacznie rzadziej przyczyny, które nas do powzięcia decyzji skłoniły. Pamiętam że byłem absolutnym przeciwnikiem pochodu na Warszawę. Nie wiem, czy ze względów zasadniczych, to znaczy dlatego że uważałem że rewolucji nie można nieść do innego kraju na ostrzach bagnatów. Nie sądzę że z tego powodu, bowiem wyznawałem w tym czasie maksymę że cel uświęca środki. Pewną rolę w moim nastawieniu odgrywało z pewnością to, że w sukces tego pochodu nie wierzyłem. Widziałem po drodze z lasu do Mińska wojska sowieckie, maszerujące na Zachód. Znałem też nastroje polskich robotników i wiedziałem, że na ich poparcie ów pięćciosobowy rząd polski nie może liczyć.

Powiedziałem to Marchlewskiemu. Nie znałem go przedtem, przyjechał do Rosji dopiero w roku 1918, kiedy już siedziałem w niemieckim więzieniu. Był jednym z najstarszych i najwybitniejszych rewolucjonistów polskich, a właściwie polsko-niemieckich, bo pochodził z poznańskiego, znał dobrze niemiecki — tłumaczył nawet kiedyś na niemiecki powieści Żeromskiego — i brał udział w niemieckim i polskim ruchu socjalistycznym od najwcześniejszych lat życia (urodził się w roku 1866). W roku 1892 wydawał, razem z Różą Luksemburg, niemiecką gazetę socjalistyczną w Zürichu, gdzie kończył uniwersytet, w roku 1916 aresztowano go w Berlinie razem z Karolem Liebknechtem i Różą Luksemburg i trzymano w więzieniu aż do roku 1918, kiedy został zwolniony wskutek interwencji rządu sowieckiego i wysłany do Rosji.

W czasie kiedy się z nim w Mińsku zetknąłem Marchlewski był figurą dominującą w polskim ruchu komunistycznym. Pamiętam że podczas rozmowy z nim uderzył mnie jego wyjątkowo czysty, choć trochę staromodny, barwny i bogaty język. Byłem

na takie rzeczy wrażliwy. Pod koniec rozmowy przyszedł Feliks Kon, którego również przedtem nie znałem. Wiedziałem naturalnie, że był członkiem istniejącej w Polsce jeszcze przed PPS partii „Proletariat” i że spędził wiele lat na katordze.

Ani Marchlewski, ani Kon nie usiłowali mnie przekonać, że moje nastawienie jest błędne. Dowiedziałem się nawet od nich, że grupa polskich komunistów w Moskwie, na czele z Henrykiem Domskim-Kamińskim stoi, ze względów zasadniczych, na tym stanowisku co ja.

— Jak ktoś nie wierzy że nasz pociąg dojedzie do Warszawy, to nie ma po co do niego wsiadać — powiedział Kon. — A jakże z tą gazetą w Mińsku?

Marchlewski wysunął wówczas inną propozycję. Miałem redagować w Mińsku codzienną gazetę *Sztandar komunizmu*, na co się zgodziłem. Gazeta miała pozostać w Mińsku nawet jeśli pociąg, wiozący członków Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, wyruszy w dalszą drogę.

Przystąpiłem więc do redagowania gazety. W roku 1926, we wspomnieniach, poświęconych *Sztandarowi Komunizmu*, zamieszczonych w piśmie *Młot*, pisałem:

„Stałego składu redakcji ani lokalu *Sztandar Komunizmu* nie posiadał. Redakcja mieściła się w jednym pokoju, będącym zarazem mieszkaniem piszącego te słowa. Jednak *Sztandar* zamieszczał wówczas artykuły wybitnych wodzów komunizmu polskiego, będących czasowo w Mińsku. Pamiętam dobrze jak tow. Feliks Kon, nie bacząc na niesłychany hałas w 'redakcji', pisał artykuł wstępny... Kręcili się podczas tego po pokoju rozmaici towarzysze, od czasu do czasu ktoś próbował nawet odegrać na fortepianie jakąś melodię rewolucyjną. Pisywali wówczas artykuły do *Sztandaru* również towarzysze Marchlewski, Bobiński i Budzyński”*.

Wydać się może dziwne, że będąc przeciwnikiem pochodu na Warszawę i nie wierząc w jego sukces, zgodziłem się redagować pismo, które z natury rzeczy, wobec rozwijającej się ofensywy sowieckiej, musiało ten pochód popierać. I że mnie na stanowisko redaktora wyznaczono. Ale takie rzeczy, nie tylko w polityce komunistycznej, zdarzają się dość często. Trocki, do czego zaraz przejdę, stojący na czele wojsk sowieckich w tym czasie, sam był przeciwnikiem pochodu na Warszawę. Co do mnie, to nie potępiałem w swoich artykułach pochodu na Warszawę, ale go również nie gloryfikowałem. Robili to czasami inni — Kon, Bobiń-

* Andrzej Ślisz, *Prasa polska w Rosji w dobie wojny i rewolucji*, Warszawa, 1967.

ski i sam Marchlewski, podpisując jednakże artykuły swoimi nazwiskami, znacznie głośniejszymi od mojego, co w dużym stopniu zwalniało mnie od odpowiedzialności za ich treść. A wyznaczono mnie na redaktora pewnie trochę dlatego, że wielu komunistów polskich, nawet tych „z pociągu”, podzielało w głębi duszy moje stanowisko.

Wstrzymałem się zresztą od wyrażania moich poglądów tylko w formie pisemnej, w *Sztandarze*. Głosiłem je natomiast na zamkniętych zebraniach. Jedno z nich odbyło się w jakiejś dużej sali pod przewodnictwem Trockiego, przy udziale co ważniejszych działaczy, cywilnych i wojskowych. Trocki zatrzymał się w Mińsku w przejeździe na front. Wygłosił przemówienie dosyć spokojne w tonie, różniące się wielce od jego przemówień na wiecach, a później prosił, żeby się wypowiedzieli inni. Zabrałem pierwszy głos i powiedziałem co myślę. Poparło mnie kilku innych towarzyszy, w tej liczbie dwóch czy trzech Rosjan. Trocki odpowiedział nam w swoim ostatnim słowie: na takich zebraniach „dokładczyk”, czyli referent, miał zawsze ostatnie słowo, niczym oskarżony w sądzie. Ale Trocki nie bronił się, tylko napadał, co jak wiadomo jest najlepszą formą obrony. Wtedy właśnie, ku mojemu zdziwieniu, okazało się, że doskonale pamiętał moje z nim rozmowy w 1917 roku. Powołał się na nie i dosyć dowcipnie krytykował „polski romantyzm” w ogóle i mój w szczególności. Kiedy ktoś z sali krzyknął, że takie same stanowisko jak ja mają również niektórzy rdzenni Rosjanie, Trocki, przy śmiechu całej sali, odpowiedział, że wcale go to nie dziwi, ponieważ polski romantyzm, tak samo jak *polskie panny*, posiada urok, któremu nie mogli się oprzec nawet niektórzy panujący Rosjanie — co było widocznie aluzją do baletnicy Krzesińskiej, kochanki Mikołaja II.

Nie tylko ja, ale i wielu innych uczestników zebrania miało wrażenie, że Trocki wykręca się sianem, odpowiadając dowcipami na poważne argumenty. Nie wiedziałem jednak — dowiedziałem się o tym znacznie później — że Trocki, jak również inni członkowie Komitetu Centralnego, zwalczali stanowisko Lenina w sprawie pochodzenia na Polskę, ale Lenin, spodziewając się wybuchu rewolucji w Niemczech jak tylko Armia Czerwona przejdzie przez Polskę w zwycięskim marszu i stanie na niemieckiej granicy, przeprowadził swój punkt widzenia.

Na tym zebraniu, już wychodząc, spotkałem Kaca w jego czarnej koszuli. Przywitał się ze mną uprzejmie, nie wspominając ani słowem co między nami zaszło. Powiedział mi, że moje wystąpienie bardzo go zdziwiło. Nie rozumiem, powiedział, dla-

czego nasze władze pozwalają na tego rodzaju wystąpienia w chwili kiedy na froncie toczą się walki. Jak to jest możliwe?

W tych czasach było to w zupełności możliwe. Ale Kaczył już prawdopodobnie duchowo w czasach znacznie późniejszych.



14 sierpnia 1920 roku rozpoczęły się w Mińsku rokowania pokojowe z Polską. Wojska sowieckie znajdowały się wówczas w odległości 25 kilometrów od Warszawy.

Do Mińska przybyła delegacja polska, której przewodniczył Jan Dąbski i w skład której wchodził Dr Stanisław Grabski, Adam Mieszkowski, Dr Władysław Kiernik, Ludwik Waszkiewicz i inni. Sekretarzami delegacji byli Stanisław Jankowski i Aleksander Ładoś. Przewodniczącym delegacji sowieckiej był Aleksander Daniszewski, Łotysz polskiego pochodzenia. Miał rangę „naczdwiwa” (dowódcy dywizji) i chodził w mundurze. Daniszewski był człowiekiem zaufania Tuchaczewskiego, który w tym czasie, przed „cudem nad Wisłą”, był u szczytu swojej sławy i swoich wpływów.

Posiedzenia konferencji były jawne, to znaczy z udziałem przedstawicieli prasy. W książce Jana Dąbskiego „Pokój Ryski”*, z której czerpię wszystkie daty, jak również wiele nazwisk, które uleciały mi z pamięci, wyczytałem, że do Mińska zjechało wówczas aż 30 korespondentów angielskich i amerykańskich, tyluż polskich i francuskich, oraz wielu niemieckich. Może ci korespondenci w Mińsku byli, ale w sali obrad z pewnością nie mogli się pomieścić. Była mała, w środku stał długi i wąski stół, z jednej strony zasiedli delegaci polscy, z drugiej sowieccy. Za nimi, pod ścianami, były krzesła dla personelu obu delegacji. Po stronie polskiej przeważali oficerowie, po stronie sowieckiej siedzieli głównie cywile, wśród nich niewiele osób, mających specjalne przepustki na te posiedzenia. Uzyskałem stałą przepustkę jako redaktor *Sztandaru Komunizmu* i byłem obecny na wszystkich posiedzeniach. Ponieważ żaden z członków Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego na posiedzenia nie chodził, a byli oni ciekawi, co się na nich dzieje, zdawałem im i innym polskim komunistom sprawozdania po każdym posiedzeniu. Pisałem też o każdym posiedzeniu w *Sztandarze*. Odnalazłem później, w roku 1967, niektóre z tych artykułów w bibliotece Zakładu Historii Partii w Warszawie. Nosiły one charakter polemiczny i były przeznaczone raczej dla delegacji polskiej niż dla

* Warszawa, Gebethner i Wolff, 1931.

innych czytelników. Wykazywałem w nich, że „elementy bardziej lewicowe” w Polsce dążą do pokoju, ale prawica te dążenia hamuje, co wychodzi na jaw na posiedzeniach konferencji. Mój dawny przyjaciel Ryszard Pikiel, który wyjechał na spotkanie delegacji polskiej na front i przywiózł ją do Mińska a później był czymś w rodzaju łącznika dyplomatycznego między tą delegacją i władzami sowieckimi, opowiadał mi, że delegaci polscy moje artykuły pilnie czytają i są przekonani, że wypowiadam w nich poglądy jakichś wyższych sfer, że są one, innymi słowy, inspirowane. Tak jednak nie było, nie były one inspirowane przez nikogo.

Przebieg konferencji w Mińsku był ściśle związany z wydarzeniami na froncie. Konferencja zaczęła się w chwili, kiedy się zdawało, że wojska sowieckie wkroczą lada dzień do Warszawy. Daniszewski, czekając na to, zastosował taktykę przewlekania obrad, nie wysuwając żadnych propozycji konkretnych. Wygłaszał zamiast tego przemówienia na tematy historyczno-polityczne, skarżąc się na przykład, że choć Cziczerin już w listopadzie 1918 roku zaproponował Polsce ustalenie stosunków dyplomatycznych, wyznaczając na posła w Warszawie Juliana Marchlewskiego, rząd polski nie zgodził się na to, i że wszystkie późniejsze sowieckie kroki, zmierzające do uniknięcia wojny, też spełzły na niczym. Dąbski starał się nie wdawać w polemikę na te tematy, domagając się, aby strona sowiecka przedłożyła swoje warunki rozejmu. Ale tego właśnie Daniszewski zrobić nie chciał, czekając na upadek Warszawy. Zgłosił tylko jedną propozycję, a właściwie żądanie, aby Polska zobowiązała się zredukować „na zawsze” swoją armię do ilości 50 tysięcy żołnierzy. Żądanie to zostało natychmiast odrzucone przez Dąbskiego, stanowczo i gniewnie. Kiedy opowiedziałem o tym Unszlichtowi i Marchlewskiemu, którzy do nas po posiedzeniu konferencji przyszedł, byli obaj bardzo zdziwieni. Marchlewski, który był w stałym kontakcie z Cziczerinem, powiedział, że Daniszewski z pewnością nie dostał takiej instrukcji z Moskwy i że musiał zgłosić to żądanie albo z własnej inicjatywy, albo w porozumieniu z Tuchaczewskim. Tak też pewnie było, gdyż na pierwszym posiedzeniu konferencji pokojowej w Rydze żądanie to zostało wycofane przez Joffego w sposób specjalnie uroczysty, „w imieniu rządu i narodów Związku Sowieckiego”.

Po klęsce wojsk sowieckich pod Warszawą sytuacja na konferencji zupełnie się zmieniła. Teraz znowu strona polska, czekając, jak się rozwinię ofensywa polskich wojsk, zastosowała taktykę przewlekania obrad. Dąbski skarżył się też, że jego kontakt z Warszawą, wobec działań wojennych, jest coraz bardziej trudny

i że władze sowieckie nie czynią nic, aby go ułatwić. Z tych to przyczyn konferencja przeniesiona została do Rygi.

Pierwsze jej posiedzenie odbyło się w Rydze 21 września. Redagowałem jeszcze w tym czasie w Mińsku *Sztandar Komunistyczny*. W jakiś tydzień po otwarciu konferencji dostałem depeszę od Cziczeryna, abym niezwłocznie wyjechał do Moskwy, skąd zostaną skierowany do Rygi.

Depesza mnie zaskoczyła. Cziczeryna osobiście nie znałem, domyślałem się że depeszę musiał ktoś spowodować, ale nie wiedziałem kto. Zagadka wkrótce się wyjaśniła. Z Moskwy wrócił do Mińska Marchlewski i powiedział mi, że to on zaproponował Cziczerynowi moją kandydaturę, a to z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że Cziczeryn chciał, aby w delegacji był ktoś, kto przybył niedawno z Polski i lepiej się orientuje w polskich sprawach, niż komuniści polscy, mieszkający w Rosji, po drugie dlatego, że ci komuniści, jego zdaniem, byli nastroszeni zbyt „bojowo”. Marchlewski dał mi do zrozumienia, że Cziczerynowi chodziło głównie, kiedy mówił o tych bojowych nastrojach, o Juliana Leszczyńskiego, który wszedł w skład delegacji sowieckiej w Rydze już przedtem.

— No i do tego dochodzi — zakończył Marchlewski — że musicie sobie podreperować zdrowie, bo już z was wystają wszystkie kości. Najwyższy czas, żebyście się trochę utuczyci. Spieszyć się nie ma powodu, słowo „niezwłocznie” w języku dyplomatycznym wcale nie znaczy zaraz, ale byłoby wskazane, żebyście spakowali manatki tak w przeciągu tygodnia.

To co mi Marchlewski powiedział nie brzmiało zbyt przekonująco. Przyjechałem wprawdzie z Polski, ale z więzienia, gdzie horyzont polityczny jest ograniczony kratami w oknie. „Pokojowo usposobionych” komunistów polskich też było w Moskwie pod dostatkiem. Jednym z nich, i to działaczem bardzo wybitnym, był na przykład Domski-Kamiński, który, jak wiedziałem, żadnej specjalnie ważnej pracy w danej chwili nie miał, podczas gdy ja ją miałem. Zwróciłem na to uwagę Marchlewskiego, który jednak zbyt to co powiedziałem twardym milczeniem.

Redagowanie *Sztandaru Komunistycznego*, głównego wówczas komunistycznego organu, uważałem naturalnie za wielki dla siebie zaszczyt, nie zdając sobie może sprawy, że powierzono mi redakcję głównie dlatego że inni działacze, bardziej do tego powołani, zajęci byli innymi sprawami. Zrozumiałem jednak, że przytoczone przez Marchlewskiego racje, choć miały swoją wagę, nie były rozstrzygające. Istotne przyczyny spowodowanej przez Marchlewskiego depeszy Cziczeryna były inne.

Nie tylko w polityce, ale i w życiu prywatnym najczęściej

tak bywa, że ci, których przewidywania się sprawdzają, źle na tym wychodzą. Powinno być inaczej, ale nie jest. Nie jestem zresztą pewien, że powinno być inaczej, zwłaszcza jak się coś przewiduje na nie. Nic tak nie podnosi na duchu jak optymizm, nawet nieusprawiedliwiony, a krakanie wron zawsze go osłabia. Prócz tego wchodzi jeszcze w grę zraniona ambicja tych, którzy się w swoich przewidywaniach omylili. Wielu towarzyszy miało mi za złe że byłem, podczas zwycięskiego pochodu na Warszawę, czymś w rodzaju Kassandry. Inni wprawdzie myśleli tak samo jak ja, ale mniej się wychylali. Kiedy powiedziałem Marchlewskiemu że do Rygi nie chce mi się jechać, przemilczając, że uważam to za degradację, powiedział mi że zapadło już co do tego postanowienie, którego nie można zmienić. Na pocieszenie Marchlewski mi powiedział, że *Sztandar Komunizmu*, wobec zmiennej sytuacji, wkrótce przestanie wychodzić, co się później sprawdziło.

Wyjechałem więc z Mińska. Pociąg przyjechał do Moskwy pod wieczór, ale wiedziałem że Cziczerin pracuje zawsze wieczorem i w nocy, więc pojechałem wprost z dworca do Narkomindiełu — Komisariatu do Spraw Zagranicznych — który mieścił się wtedy w tylnym skrzydle hotelu Metropol. Cziczerin rozmawiał ze mną krótko. Powiedział mi, że rząd sowiecki „stanowczo i nieodwołalnie” dąży do podpisania z Polską traktatu pokojowego, że Joffe zrobi wszystko, aby podpisanie traktatu umożliwić i że pokój będzie zawarty, ponieważ Polska też tego chce. Dał mi do przejrzania teczkę, zawierającą dokumenty, odnoszące się do tajnych rokowań, które prowadził z polecenia Lenina z Piłsudskim Julian Marchlewski w roku 1919.

Przeglądałem teczkę w przyległym pokoju, w którym urzędował Jakubowicz, warszawianin, *Mädchen für alles* Komisariatu, który przygotowywał dla mnie odpowiednie papiery. Mój pociąg do Rygi odchodził w nocy.

O rokowaniach Lenina z Piłsudskim wiedziałem już przedtem od Marchlewskiego i innych, ale tylko w ogólnych zarysach. Z teczki, którą mi wręczył Cziczerin, dowiedziałem się szczegółów, które odświeżył w mojej pamięci Józef Mackiewicz swoją książką „Lewa wolna!”, wydaną w Londynie w roku 1965*. Mackiewicz, który pierwszy ogłosił drukiem dane, dotyczące tej sprawy, pisze w swojej książce, że Marchlewski był w Warszawie w maju 1919 roku, że rozmawiał tam z Tadeuszem Hołówką i innymi przedstawicielami Piłsudskiego i że później rokowania

* Londyn, Polska Fundacja Kulturalna, 1965.

między Marchlewskim i wysłanym z Warszawy przez Piłsudskiego kaptanem Ignacym Börnerem, byłym bojowcem z PPS i człowiekiem bardzo Piłsudskiemu bliskim, toczyły się w Mikaszewiczach. Marchlewskiego przetrzucała przez granicę polska dwójka. Przywiózł wtedy ze sobą list Lenina, który Piłsudski otrzymał w końcu listopada. Lenin pisał w tym liście, że Rosja pragnie zawrzeć pokój z Polską nawet za cenę dużych ustępstw i proponował podpisanie odpowiedniej umowy. Na to Piłsudski się nie zgodził, ale polecił zapewnić Lenina, że „w żadnym razie nie zamierza rozbijać bolszewików na korzyść Denikina”, którego popierać nie będzie.

Wszystko to odpowiada prawdzie. Świadczyły o tym dokumenty, zebrane w teczce. Piłsudski istotnie odmówił Denikinowi poparcia, o które ten ostatni zabiegał, ponieważ uważał, że Rosja kontr-rewolucyjna, Rosja białych generałów, byłaby dla Polski wrogiem znacznie bardziej niebezpiecznym, niż Rosja bolszewicka.

Mackiewicz wysuwa w swojej książce inną tezę. Utrzymuje, że gdyby Piłsudski poparł Denikina zbrojnie, reżym sowiecki zostałby obalony, i że gdyby władzę w Rosji objął Denikin, Polska uyskałaby niepodległość z jego rąk.

Odgadywanie co by było gdyby, było i jest zawsze bezpłodne i jedynym jego skutkiem i celem jest to, że byli mężowie stanu wszcząć mogą gorące spory na temat przeszłości, co jest ulubionym zajęciem tych, których historia wyrzuciła poza nawias teraźniejszości. Dokumenty w teczce stwierdzały jednak niezabicie, że do klęski Denikina Piłsudski, odmawiając mu pomocy, niewątpliwie się przyczynił.



Utkwił mi w pamięci jeszcze jeden epizod mojej wizyty w Moskwie. Kiedy już kończyłem przeglądanie dokumentów w teczce, otworzyły się drzwi od pokoju Cziczerina. Stał on na progu, z radosnym uśmiechem na twarzy i biurowymi nożyczkami w ręku. Tymi nożyczkami przystrzygł sobie włosy i przyszedł się pochwalić, że tak dobrze to zrobił. Okazało się, że prosił przedtem Jakubowicza aby mu sprowadził fryzjera, ale o tej porze Jakubowicz żadnego fryzjera nie mógł znaleźć.

„Widzicie co to jest za człowiek”, westchnął Jakubowicz, kiedy Cziczerin wrócił do swojego gabinetu. „Zawsze tak robi. Jak czego chce, to musi być zaraz. I zdaje mu się, że wszystko potrafi zrobić sam. Trzeba mu będzie jutro sprowadzić fryzjera, bo się ostrzygł zupełnie krzywo”.

Pertraktacje w Rydze. — Sowieccy delegaci. — Dwie fazy rokowań. — Rozejm i traktat pokojowy

Mam teraz przed sobą, kiedy to piszę, fotografię, zamieszczoną w książce Jana Dąbskiego o pertraktacjach w Rydze. Jest to zdjęcie, zrobione w wielkiej sali „Pałacu Czarnogłowych”, zbudowanego w czternastym stuleciu. Zdjęcie zrobiono podczas jednego z posiedzeń plenarnych, których było niewiele. Posiedzenia powszednie, obrady licznych komisji, toczyły się w mniejszych salach i pokojach tego gmachu.

Widzę na zdjęciu obie delegacje w pełnym składzie, wraz z ich licznym sztabem rzeczoznawców, pomocników, itd. Twarze są malutkie, wielu ludzi rozpoznaję tylko z ruchu, w którym na fotografii zastygli, z jakiejś dla nich jedynie charakterystycznej pozycji, którą przybrali.

Oto czterech oficjalnych członków delegacji sowieckiej: Joffe, Manuilski, Oboleński i Kirow. Sergiusz Kirow był w Rydze krótko, miał donośny głos i dumnie się nosił. Nie odgrywał w tym czasie wielkiej politycznej roli, wybił się później, kiedy został sekretarzem leningradzkiego komitetu partii i kiedy Stalin, co dosyć wyraźnie powiedział Nikita Chruszczow w swoim słynnym „tajnym” przemówieniu, kazał go zabić. Kirowa w Rydze mało znałem, przechodzę do innych.

Dymitr Manuilski. Mały, czarny, ogromnie ruchliwy, umiał po ukraińsku i z Ukrainy pochodził, więc reprezentował w Rydze Ukrainę, niby to całkiem odrębną republikę sowiecką, co było oczywiście czystą fikcją. Mówił również po polsku, i to wcale nieźle, nie wiem skąd. Wciąż opowiadał anegdoty, czasem dobre, częściej ordynarne. Później, w okresie największego nasilenia stalinowskiego terroru, Manuilski stał na czele Kominternu. Prawie wszystkich wybitniejszych działaczy Kominternu, Rosjan i nie Rosjan, rozstrzeliwano wówczas jednego za drugim. Tylko on i Włoch Togliatti, który się wtedy nazywał Ercoli, przetrwali wszystkich i umarli śmiercią naturalną.

Leonid Oboleński. Z książęcej rodziny, ale stary bolszewik, zresztą z zubożałej gałęzi tej rodziny. Był później jakiś czas sowieckim posłem w Warszawie. Szary człowieczek, cichy, bez indywidualności, w obejściu raczej sympatyczny. Trochę z Dostojewskiego. Lubił rozprawiać o naturze ludzkiej w tonach pesymistycznych.

Adolf Joffe. O nim warto powiedzieć więcej. Wyglądem zewnętrznym przypominał wschodniego możnowładcę. Miał grube,

mięsiste wargi, czarną brodę i wystający, okrągły brzuch. Chodził powoli, majestatycznie, mówił głosem przyciszonym, ale dźwięcznym. Takie wargi zwykle świadczą o erotycznym temperamencie. To się zgadzało. Jego zapotrzebowania w tej dziedzinie były zadziwiające i nie do ukrycia, bo mieszkaliśmy wszyscy w tym samym hotelu, który rząd łotewski przeznaczył wyłącznie dla sowieckiej delegacji. Ale Joffe zaspakajał te potrzeby dyskretnie, z pewną wielkopańską nonszalancją, jako rzecz całkiem naturalną.

Ale tylko mięsiste wargi odpowiadały jego charakterowi. Nie bacząc na jego wygląd, który mnie trochę speszył, kiedy z nim pierwszy raz rozmawiałem, Joffe był głęboko ideowym rewolucjonistą, bardzo wykształconym i bardzo mądrym. Popełnił samobójstwo w chwili, kiedy stalinizm dopiero się rozdił. List który pozostawił, kursujący w odpisach, wykazywał, że jeden z pierwszych wyczuł, co się zbliża. Zabił się w 1927 roku. Byłem wtedy w Moskwie. Jego list wywarł na mnie — i nie tylko na mnie — wielkie wrażenie.

Joffe ukończył medycynę, ale nigdy nie praktykował. Pochodził z Odessy, z bardzo zamożnej rodziny. Miał pod Odessą willę, którą mu oczywiście po rewolucji zabrano. Przyjechał wtedy z Moskwy, żeby zabrać z tej willi książki, sporą bibliotekę, uzbieraną w ciągu lat. Nowi mieszkańcy willi, robotnicy portowi, książek mu nie oddali. Powiedzieli że należą do nich, tak samo jak meble, a to że ich były właściciel jest znanym bolszewickim działaczem nie odkrywa roli. „Może mieli rację”, dodał Joffe kiedy mi to opowiedział. A opowiedział mi tę historię w związku z wizytą jakiegoś zagranicznego komunisty, ze Skandynawii czy może z Holandii. Przez Rygę przewijało się wtedy wielu przywódców komunistycznych z innych krajów, jadących do Moskwy albo z Moskwy i składających Joffemu wizyty. Ten chciał koniecznie wiedzieć, czy w Rosji po rewolucji wszystkie wille i domki prywatne odebrano ich właścicielom.

— Wszystkie — powiedział mu Joffe.

— A jeżeli wille należały do komunistów, do wybitnych komunistów?

Joffe zapewnił go, że w takich wypadkach również i powołał się na samego siebie. Jego rozmówca posmutniał, wyznał mu że mieszka we własnej willi i dodał na własne pocieszenie:

— U nas rewolucji pewnie nigdy nie będzie.

Historia mnie rozśmieszyła. Joffe spoglądał na mnie spod okularów i wcale się nie śmiał.

— Nie chcę was gorszyć, — powiedział — ale ten zagra-

niczny towarzysz wiedział co mówi. Prawdziwymi rewolucjonistami są tylko ludzie, pochodzący z krajów słowiańskich. To jest okropna herezja, ale niestety tak jest.



Na prawym końcu stołu rozpoznaję Lorenza, sekretarza sowieckiej delegacji. Nie przypadkowo tam siedział. Posiedzenia plenarne poprzedzały początkowo spory, kto ma siedzieć bliżej środka stołu a kto dalej. Późniejsze sztywne bizantyjskie ceremoniały nie były jeszcze w modzie, ale błąkały się już po rozmaitych głowach. Joffe prosił Lorenza, aby jakoś uwzględnił wszystkie ambicje, co naturalnie było niemożliwe. Lorenz rozstrzygnął sprawę taktownie. Sam się usadowił na szarym końcu stołu, choć główne i rozstrzygające pertraktacje prowadzili Joffe i on. Zażegnał w ten sposób hierarchiczne spory, nikt już się o centralne miejsce nie upominał.

Rozenberg... Nie pamiętam jego imienia. Joffe powiedział kiedyś o nim że nie ma żadnego imienia, „bo na to nie zasługuje”. Cichy, chudy, niskiego wzrostu, zarządzał w Rydze finansami, wypłacał pobory. Po cichutku dochrapał się później stanowiska sowieckiego ambasadora w Hiszpanii podczas wojny domowej, rozstrzelali go w Moskwie, bo za dużo wiedział.

Jan Lorenz, łódzianin, bardzo gładki, bardzo dobrze wychowany, o dużym osobistym wdzięku, był z wykształcenia prawnikiem. Rozpoczął swoją komunistyczną karierę w Mińsku w roku 1917, wchodząc, jako znający język niemiecki, w skład delegacji, która pod przewodnictwem Bersona prowadziła rokowania z niemieckimi władzami wojskowymi i podpisała układ o rozejmie na froncie. Sam się do tej delegacji zgłosił, był wtedy żołnierzem. W późniejszych latach zajmował wysokie stanowiska dyplomatyczne, był posłem sowieckim na Łotwie i w innych krajach. Rozstrzelano go podczas czystek. Jego nazwisko i pochodzenie — ojciec był łódzkim Niemcem i w dodatku fabrykantem — nadawało się do tego, by figurował na którymś z pokazowych procesów, przyznając się oczywiście do wszystkiego i oskarżając innych. Lorenza w żadnym z tych procesów nie było, może dlatego, że się na tę krwawą komedię nie zgodził.

Kto jeszcze? Szemiakin, sekretarz osobisty Joffego... Miał bardzo przystojną żonę, niczym innym chyba się nie odznaczał. Julian Leszczyński, pochylony, zgryźliwy, mówiący o wszystkim z ironicznym uśmieszkiem. Stał się później, dzięki poparciu Stalina, na czele partii komunistycznej w Polsce. Łączyły mnie z nim w ciągu kilku lat dość bliskie stosunki osobiste, ale nie byłem z nim nigdy w przyjaźni, może dlatego, że miał dużą, kardynalną

z mojego punktu widzenia wadę: cierpiać na absolutny brak poczucia humoru. Powiedziałem mu to kiedyś. Pokiwał głową, jakby sam o tym wiedział, i odszedł swoim specjalnym krokiem, twardym, zdecydowanym, jakby stawiał kropki nad i za każdym stąpnieniem.

Nieco dalej siedzi Julian Rosenblatt, warszawiak, główny rzeczoznawca ekonomiczny delegacji sowieckiej, redaktor moskiewskiego dziennika *Ekonomiczeskaja Żiżń*. Ten był moim przyjacielem. Nie był komunistą, nie chciał wstąpić do partii, więc oficjalnym redaktorem pisma był Krumin, partyjny Łotysz. Rozstrzelano ich obu razem.

Teraz polska strona. Po środku Jan Dąbski, o którym Joffe mówił, że ma wyjątkowo szlachetny, bardzo szczerzy wyraz twarzy — co było prawdą. Po jego stronach ci sami członkowie delegacji, którzy byli w Mińsku, plus Norbert Barlicki, silnie zezujący na jedno oko, z którym prowadziłem w Rydze, całkiem prywatnie, długie ideologiczne spory... Feliks Perl, redaktor *Robotnika*, cięty, zawsze wesoły, był w Rydze krótko... Henryk Strasburger, przypominający hrabiego z „Lalki”, który pozował na Anglika... Karol Poznański, późniejszy długoletni konsul polski w Londynie... Julian Łukasiewicz, późniejszy poseł w Paryżu... Pewien mój szkolny kolega, którego nazwiska nie pamiętam... Na samym końcu stołu mecenas Altberg z Warszawy, częsty gość w naszym hotelu, bo wymienialiśmy wizyty, podczas których załatwiała się nieoficjalnie zatwierdzone później na posiedzeniach wcale ważne sprawy... Spotkałem go w 1961 roku w Warszawie, bardzo się zestarzał. Ja też, ja naturalnie też. Ale w sali jadalnej hotelu Bristol nie było lustra.

Ja siedzę na tym zdjęciu nie przy głównym stole, tylko przy oddzielnym, własnym stoliku, ustawionym z boku. Pełniłem bowiem na tym i kilku innych posiedzeniach funkcje tłumacza. Na ochotnika, bo nie miałem wiele do roboty i trochę mi się nudziło. A jeszcze bardziej dlatego, że mnie ogarniała zawiść, kiedy słyszałem, jak znakomicie tłumaczy Julian Łukasiewicz, oficjalny tłumacz polskiej delegacji. Tłumaczył błyskawicznie, zakończonymi zdaniem i absolutnie ściśle. To było ważne, bo wszystkie tłumaczenia stenografowano. Tłumaczem delegacji sowieckiej był Miller, ale nie umywał się do Łukasiewicza. Często zawodził i zatrzymywał się, szukając w pamięci odpowiednich słów. Łukasiewicz mi imponował, przysłuchiwałem się, jak on to robi i nauczyłem się tłumaczyć prawie tak samo dobrze jak on — sam mi zrobił taki komplement.



Sytuacja w Rydze, kiedy tam przyjechałem, była naprężona. Wojska polskie posuwały się naprzód, konny korpus sowiecki pod dowództwem Gaja, na który Tuchaczewski bardzo liczył, został rozbity, musiał przekroczyć granicę niemiecką i został internowany. Moskwa nalegała, aby Joffe jak najszybciej podpisał układ o rozejmie, a Warszawa chciała wykorzystać sytuację. Dąbski żądał, aby zanim jeszcze podpisany będzie rozejm, ustalona została stała granica między Polską i Rosją daleko na Wschodzie i aby Rosja nie tylko zobowiązała się zwrócić Polsce mienie, wywiezione do Rosji począwszy od roku 1772, lecz również podzieliła się z Polską rosyjskim zapasem złota, albo w każdym razie przyznała, że część tego zapasu należy się Polsce, jako że stanowiła ona część składową Rosji carskiej. Te żądania Joffe przyjął, ale sprawa granic wywoływała ostre spory. Chodziło głównie o Mińsk. Posiedzenia plenarne nie dawały żadnych rezultatów, więc je zastąpiono przez posiedzenia tajne, o których nic nie było w gazetach, i które odbywały się w nocy. W tych posiedzeniach brały udział tylko cztery osoby: Joffe i Lorenz ze strony sowieckiej, Dąbski i Ładoś z polskiej. A ponieważ Dąbski nie rozumiał po rosyjsku a wszyscy czterej znali niemiecki, mówiono na tych posiedzeniach po niemiecku.

12 października podpisane zostały wreszcie preliminaria pokojowe i rozejm. Strona polska zgodziła się, aby Mińsk pozostał po stronie sowieckiej. Stało się wtedy jasne że dalsze rokowania, dotyczące ostatecznego traktatu pokojowego, będą już właściwie formalnością, że wojna między Polską i Rosją została zakończona.

Ale do ostatniej chwili nie było pewności, że układ o rozejmie zostanie podpisany. Joffe postawił Dąbskiemu, w delikatnej formie, ultimatum. Powiedział mu, że jego mandat wygasa 10 października i że trudno mu go będzie przedłużyć. Był to z jego strony manewr, który był na rękę Dąbskiemu. Słyszałem wtedy, że Dąbski, udając że bierze groźbę Joffego na serio, skłonił innych członków delegacji polskiej do zrzeczenia się Mińska. Dąbski od samego początku był nastrojony zdecydowanie pokojowo, wychodząc z założeń, które później tak sformułował w swojej książce o pertraktacjach w Rydze:

„Czy to właśnie w interesie Polski leżało prowadzić jeszcze kilka lat na próżno krwawą wojnę z rządem, który się zgodził na obecne wschodnie granice Polski, a pomagać swoją krwią do instalowania w Rosji starych władców, którzy sam traktat nazywają 'aktem rozbioru Rosji'?”



Grupa polska w delegacji sowieckiej w Rydze składała się — wraz z żonami — mniej więcej z dziesięciu osób. Wchodził do niej, prócz Leszczyńskiego i mnie, Miller, Rosenblatt i Aleksander Sonier, syn Stanisława Patka. Innych nie pamiętam. Gościli u nas często komuniści polscy, przyjeżdżali na pewien czas. Jednym z nich był Kazimierz Cichocki, który był w Rydze dość długo i z którym się zaprzyjaźniłem. W przejeździe do Rzymu był też u nas Wacław Worowski. Przyjeżdżała również pani Stefania Sempołowska, budząca podziw w naszym hotelu i na mieście swoją suknią z długim trenem. Odprowadziłem ją kiedyś do hotelu, w którym mieszkała delegacja polska. Przyjmowano ją tam z nie mniejszymi honorami, niż u nas.

Hotel nasz miał dwie sale jadalne, jedną dużą, drugą małą. Ta druga nosiła miano „polskiego salonu”, ponieważ jadali tam tylko Polacy i ich goście, za jednym wspólnym okrągłym stołem. Żyliśmy na ogół zgodnie, choć często toczyliśmy gorące spory. Leszczyński był nastrojony opozycyjnie do kierownictwa partii, zwłaszcza do Marchlewskiego, a ponieważ po klęsce zawsze szuka się i znajduje winnych, Leszczyński składał na niego winę za przegraną wojnę. Mówił że ów białostocki Komitet Rewolucyjny nie znalazł poparcia u polskich chłopów, ponieważ im nie obiecał, że otrzymają w posiadanie ziemię, którą rewolucja odbierze obszarnikom. Komitet Rewolucyjny istotnie ogłosił manifest, w którym zapowiadał, że zarząd nad wielkimi majątkami ziemskimi obejmie państwo. Oznaczało to, że Komitet Rewolucyjny dąży do utworzenia czegoś w rodzaju obecnych PGR'ów — Państwowych Gospodarstw Rolnych — w Polsce albo Sowchozów w Rosji. Program ten, opracowany przez Marchlewskiego już dawniej, wywoływał w partii jeszcze przed 1920 rokiem wielkie spory, był też omawiany w Moskwie na jakimś posiedzeniu, w którym brał udział Lenin, i wtedy to właśnie Marchlewski wypowiedział pod adresem Lenina zdanie, kursujące później długo w polskich kołach partyjnych: „My w Polsce zrobimy rewolucję lepiej niż wy”. „Typowa polska zarozumiałość”, mówił Leszczyński. „Polscy chłopci, jak chłopci na całym świecie, chcą ziemi, nic innego ich nie obchodzi, gdyby im obiecano, że obszarnicze ziemie będą rozdzielone między chłopów, w Warszawie byłby już teraz nasz rząd”. Ja byłem innego zdania. Uważałem że manifest nie miał wielkiego znaczenia z tego prostego powodu że do chłopów w Polsce nie dotarł. A gdyby dotarł, to wcale jeszcze nie wiadomo, czy chłopci uwierzyliby tym obietnicom.

Nasze spory toczyły się jednak „w polskiej rodzinie”. Żyliśmy, zwłaszcza w pierwszym okresie pertraktacji, w pewnym odosobnieniu od reszty delegacji. Rosjanie, choć nikt nam tego nigdy

nie powiedział, czuli do nas pewien żal za to, że polscy robotnicy i polscy chłopci nie zrobili rewolucji, kiedy Armia Czerwona zbliżała się do Warszawy.



Zaraz po podpisaniu preliminarzy pokojowych i rozejmu rokowania w Rydze zostały przerwane na miesiąc. Spędziłem ten miesiąc w Moskwie, gdzie mieszkiałem w tak zwanym wówczas „Polskim Domu” w pobliżu Arbatu. Była to wielka kamienica z oficynami, należąca dawniej do Aleksandra Lednickiego. Zaraz po rewolucji mieściła się tam Polska Komisja Likwidacyjna, na czele której stał Lednicki. Po jej wyjeździe w domu zamieszkałi polscy komuniści i ich sympatycy z rodzinami.

Mogę do tego dodać, że w domu panował głód. W całej Moskwie panował głód. W restauracji hotelu Metropol, niegdyś jednej z najelegantszych w Moskwie, dostawało się na obiad wodnistą zupę bez tłuszczu, na drugie danie zwykle dzwonko śledzia, i nic więcej. Ani kawałka chleba. Dygnitarze, ale tylko najwyżsi dygnitarze, żywili się lepiej, stołując się w Kremlu. Ale było ich jeszcze bardzo niewiele, zresztą nie wszyscy chcieli z przywilejów korzystać. W restauracji hotelu Metropol widywałem Bucharina i jeszcze kilku działaczy z wysokich szczebli sowieckiej drabiny, jak na przykład Solca, przewodniczącego Komisji Kontrolującej przy Komitecie Centralnym partii. Komisja zajmowała się tępieniem rozmaitych wykroczeń natury moralno-etycznej. Solca nazywano „sumieniem partii”, przychodził do restauracji w baszłyku na głowie. Mrozów w Moskwie jeszcze nie było, nosił baszłyk z innego powodu. Opowiedziano mi historię tego baszłyka. Pewnego wieczoru, krótko przedtem, złodziej zerwał mu na ulicy z głowy futrzaną czapkę i uciekł. Takie wypadki zdarzały się wtedy często. Solc sam opowiadał, że w zdenerwowaniu zapomniał kim jest i gdzie się znajduje. Stał na ulicy, krzycząc: *Gorodowoj! Gorodowoj!* Tak nazywano w carskiej Rosji stójkowych. Krzyk nie pomógł, ale Solc był pewien, że milicja odnajdzie złodzieja i jego czapkę, więc mu się nie opłaca kupować innej.

„Polski dom” gościł w tym czasie również Leszczyńskiego i Millera. Przywieźliśmy ze sobą zapasy żywności, ale nie na długo ich starczyło. Po powrocie do Rygi zorganizowaliśmy stałą pomoc żywnościową dla moskiewskich rodaków. Nie było to trudne, gdyż płacono nam tak, jak to zwykle, z nieznanymi mi powodów, w świecie dyplomatycznym bywa, wysokie pobory, naturalnie w łotewskiej walucie. Nie mieliśmy tych pieniędzy na co wydawać, korzystaliśmy w hotelu z wikt i opierunku. Słży

więc do „Polskiego domu” ogromne skrzynie, pełne najświetniejszych łotewskich produktów. Lorenz zaopatrywał je zaświadczeniami, że jest to poczta dyplomatyczna. Łotysze doskonale wiedzieli, co skrzynie zawierają, ale mało ich to obchodziło. Sklepikarze, którzy nam skrzynie zwozili, nie najgorzej zarabiali, delegacja sowiecka bardzo się przyczyniła do ożywienia miejscowego handlu i przemysłu.

Podczas rozejmu Armia Czerwona, po przetrzuceniu części wojsk z frontu zachodniego, odniosła pierwsze poważne zwycięstwa nad wojskami generała Wrangla i zajęła wkrótce cały półwysep Krymski. Odbiło się to na atmosferze rokowań. Postulaty delegacji polskiej stały się bardziej umiarkowane, a ponieważ Joffe też wysuwał propozycje kompromisowe, pertraktacje potoczyły się szybko i bez większych trudności. Pracowały komisje, było ich pięć czy sześć, ja wchodziłem w skład „Komisji do spraw wymiany jeńców i osób cywilnych”. Członkami komisji, ze strony sowieckiej, byli również Sonier i Leszczyński, nazwisk delegatów z drugiej strony stołu nie pamiętam. Pamiętam natomiast, że na pierwszym posiedzeniu komisji któryś z nich przemówił do nas w języku rosyjskim, podkreślając w ten sposób, że nie uważa nas za Polaków, tylko za Rosjan. Powiedziałem mu grzecznie po polsku, że swoje antypatie polityczne mogą wyrażać w innym miejscu i w inny sposób i że dla dobra sprawy będzie lepiej, jeśli obrady naszej komisji toczyć się będą w języku polskim, bez tłumaczenia. Dodałem, że jeżeli delegaci polscy chcą mówić po rosyjsku, to nikt im tego nie może zabronić, ale nam również nikt nie może zabronić mówić, po polsku, więc niech oni mówią po rosyjsku, a my po polsku. Skończyło się na śmiechu, później język rosyjski na posiedzeniach tej komisji nie był już używany.

Najwięcej pracy miała komisja, zajmująca się sprawami zwrotu polskich zabytków i dóbr kulturalnych. Na jej posiedzeniach wyżywali się w niesamowity sposób znakomici eksperci obu stron. Akademy Oldenburg i Igor Grabar, uczeni o wszechświatowej sławie, wygłaszali wykłady jakby mówili z uniwersyteckiej katedry, wiedza ich była zadziwiająca. Rzeczoznawcy strony polskiej nie ustępowali im jednak w niczym. Byłem obecny na jednym czy dwóch posiedzeniach tej komisji, skierował mnie na nie Joffe, abym zbadał, czy prac komisji nie da się jakoś przyspieszyć. Powiadomiłem go, że nie ma na to nadziei. Było to w czasie, kiedy obie strony zgodziły się, iż jeśli jakiś zrabowany przed stu laty obraz czy rękopis zaginął, to musi być zastąpiony przez inny, choćby nie polski, ale równowartościowy. Otóż sprawa tych ekwiwalentów otwierała ogromne możliwości dyskursów i sporów his-

toryczno-naukowych, tym bardziej dla obu stron pociągających, że wyraz „równowartościowość” nie był w żadnym związku z materialną wartością przedmiotu: tej w ogóle ustalić nie było można. Uczeni rzeczoznawcy nie ponizali się nawet do tego, by to choć w przybliżeniu określić, pozostając w ramach dyskusji naukowo-historycznej. W końcu, nie wiem jak, bo na posiedzenia ich komisji więcej nie chodziłem, doszli jednak do porozumienia*.

18 marca 1921 roku podpisany został wreszcie traktat pokojowy. Odbyło się to bardzo uroczystie, w wielkiej sali Pałacu Czarnogłowych, pod starymi portretami rosyjskich carów i caryc, w tej liczbie Katarzyny Drugiej. Łotysze dostali te portrety w spadku po carskiej Rosji i nie zdjęli ich ze ścian, bo to też były zabytki. Posiedzenie z dwoma tylko przemówieniami, Dąbskiego i Joffego, odbyło się pod wieczór, a rano wybuchł w sowieckiej delegacji wielki skandal, który o mało co nie wywołał przeniesienia uroczystości na następny dzień. A było to tak, że na ostatnie posiedzenie zjechało do Rygi z całego świata wielu dziennikarzy, wśród których znalazł się niejaki Liński, dziennikarz z Warszawy. Kolegował kiedyś w Łodzi w szkole z jednym z moich braci, już nie pamiętam z którym, więc bądź co bądź stary znajomy i ziomek. Odwiedził mnie z samego rana z tego tytułu i prosił o przysługę. Joffe pracował nad swoim przemówieniem ze dwa dni, a później odczytał je zwołanym do jego gabinetu współpracownikom, aby mu powiedzieli jak im się podoba i czy może trzeba coś dorzucić albo skreślić. Bardzo się wszystkim podobało, mnie też, nikt poprawek nie zgłosił, powiedzieliśmy, że jest w sam raz. Przemówienie odbyło się na powielaczach, żeby je rozdać przedstawicielom prasy zaraz po posiedzeniu. Otóż Liński prosił, żebym mu dał tekst zaraz, to go przekaże do Warszawy. Tam go wydrukują i wypuszczą w świat jak tylko dostaną od niego depezę, że przemówienie zostało wygłoszone. Zyska mu to sławę i podniesie jego akcje na dziennikarskiej gieł-

* Już pisząc te wspomnienia przejrzałem dwie książki, dotyczące zwrotu Polsce zabytków na zasadzie artykułu XI traktatu pokojowego, podpisanego w Rydze. Autorem jednej z nich jest Piotr Bańkowski i nosi ona tytuł „Rękopisy, rewindykowane przez Polskę z ZSSR na podstawie traktatu ryskiego” (Kraków, 1937). Druga, „Wystawa rewindykacyjna zbiorów państwowych w kamienicy Baryczków”, Warszawa, 1929, nie wymienia autora. Dowiedziałem się z tych książek że Polsce zwrócono, m.in., 14, 143 tomy rękopisów, przeważnie po łacinie, 49 wagonów z urządzeniami Zamku Warszawskiego i Białego Domku w Łazienkach, 21 obrazów Belotto-Canaletto, „Grunwald” Matejki, pomnik księcia Józefa Poniatowskiego dłuta Thorwaldsena, wielkie zbiory sztychów, rysunków i numizmatów, kolekcję arrasów, przesłaną na Wawel, itd. Zwracanie zabytków trwało prawie 14 lat. Ostatni transport rękopisów nadszedł do Warszawy dopiero w roku 1934.

dzie, jako że jego gazeta pierwsza na świecie poda przemówienie do wiadomości publicznej.

Nie namyślałem się długo, a właściwie wcale, tylko poszedłem do pokoju gdzie przemówienie leżało i wręczyłem Lińskiemu egzemplarz. Prosiłem go tylko, aby nie mówił o tym innym dziennikarzom. A on właśnie to zrobił. Przechwalał się, że ma tekst przemówienia a oni nie mają, dziennikarze pobiegli do Lorenza, niektórzy dotarli aż do Joffego. Uzalali się, że tak nie powinno być, że albo nikt, albo wszyscy. Joffe zrobił mi scenę. Pierwszy raz widziałem go w gniewie. Wysłuchałem go w milczeniu w pokorze, czując swoją winę, ale przemówiłem, kiedy powiedział, że tekst trzeba będzie przerobić i posiedzenie wskutek tego odłożyć. Wypowiedziałem się w tym sensie, że w przemówieniu, jak mi się zdaje, nie ma żadnych rewelacji i że nie zrobi się dziura w niebie, jeśli jego treść znana będzie w Warszawie o kilka godzin wcześniej. Joffe spoglądał na mnie osłupiałym wzrokiem. Był przekonany że przemówienie jest dokumentem historycznym niesłychanej wagi i nie rozumieć tego może tylko ktoś, kto się absolutnie nie wyznaje na dyplomacji. Ja się na dyplomacji istotnie nie wyznawałem, ale Lorenz, który był urodzonym dyplomatą, natychmiast znalazł świetne wyjście z sytuacji. Liński, na moje żądanie, zwrócił egzemplarz, a Lorenz powiadomił dziennikarzy że to był stary tekst, nic nie warty. Liński zdążył już oczywiście przetelefonować treść przemówienia do Warszawy, ale z porady Lorenza udawał, że tego nie zrobił. Pozory zostały więc zachowane, przemówienie wygłoszone i dziura w niebie się nie zrobiła. W kilka lat później odwiedziłem Joffego w sanatorium pod Wiedniem, gdzie przebywał po ciężkiej chorobie. Śmiał się już wtedy z tej całej historii, a najwięcej z Lińskiego i z samego siebie: „Ten polski dziennikarz przyłapał mnie przed posiedzeniem i przysięgł na zdrowie swojej matki, że przemówienia do Warszawy nie posłał. Musiałem udawać że mu wierzę. Aż drżał z przejęcia kiedy przysięgał, ale jestem przekonany że jego matce nic to nie zaszkodziło, bo z pewnością zmarła już przedtem”.

V

1.

Albert Sliwkin. — Okrężna droga do Berlina. — Falszywe paszporty i ich wady. — Delegacja Zagraniczna K.C. w Berlinie. — St. Blasien

Albert Sliwkin, figura bardzo kolorowa, o którym w kołach Kominternu krążyło mnóstwo anegdot, nie zawsze dla niego pochlebnych, wyglądał z twarzy i postaci jak międzynarodowy bankier. Władał, dosyć kiepsko, wieloma językami. Mówił, acz niechętnie, i po polsku — też kiepsko, tłumacząc to tym, że pochodzi z Grodna. Częściej utrzymywał, że jego miastem rodzinnym jest Petersburg i że był tam przed rewolucją znanym i wybitnym adwokatem. Mało kto w to wierzył, tak samo jak w jego pojedynki z powodów miłośno-honorowych, z których zawsze wychodził zwycięsko i o których lubił opowiadać. Siedział już za sowieckich czasów raz czy dwa, ale krótko, za zbyt lekkie traktowanie powierzonych mu sum. Ale się wykreślił, bo był potrzebny. Nawet bardzo potrzebny. Był czołowym specjalistą od przewożenia ludzi przez granice krajów kapitalistycznych. To jedno umiał i robił to znakomicie. Mówię przewożenia, nie szmuglowania. Szmuglerzy pracują pod osłoną nocy, często z narażeniem życia, i ich klienci przekraczają granice nielegalnie. Podopieczni Sliwkina podróżowali pociągami lub statkami — regularnej komunikacji lotniczej jeszcze wtedy nie było — i ani Sliwkinowi, ani im nic nie groziło. Przybywali zawsze zdrowi i cali na miejsce przeznaczenia, po czym Sliwkin wracał do Moskwy i czekał, aż mu każą przewieźć następną grupę. Z jakichś nieznanych mi powodów nie woził nigdy pojedynczych działaczy, tylko zawsze grupy po kilka osób.

Stał teraz tyłem do okna w pokoju Henryka Waleckiego w kominternowskim hotelu Lux w Moskwie i pouczał mnie, jak się mam w podróży zachowywać. Waleckiego nie pouczał, po-

nieważ Walecki podróżował z nim już przedtem. Instrukcje były aż nadto proste. Pod żadnym pozorem, na żadnej granicy nie wolno mi się wdawać w rozmowy z przedstawicielami władz. Wszystko co trzeba załatwi on sam. Nawet paszportu nie będę miał przy sobie, tylko on będzie miał wszystkie paszporty. W tym miejscu Sliwkin podniósł do góry palec i zrobił dramatyczną pauzę.

— A dlaczego tak będzie? — zapytałem, aby czymś tę pauzę wypełnić.

— Bo tak się należy. Ja raz byłem w Egipcie — obrócić się w stronę Waleckiego. Tam, przy piramidach, stał cały tuzin starych Angielek i tylko jeden pan z angielskiego biura podróży, który miał ich paszporty i wciąż je tasował. Turystki. Niech się panu zdaje, że jestem kierownikiem turystycznej grupy, podróżującej po Europie dla zaspokojenia ciekawości.

Te ostatnie słowa zwrócone już były do mnie. Nazajutrz wyruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy, Walecki i ja, do Berlina, gdzie funkcjonowała w tym czasie Delegacja Zagraniczna Komitetu Centralnego. Był to właściwie Komitet Centralny, bo w tej delegacji zasiadali Marchlewski, Adolf Warski, Walecki i kilku jeszcze innych czołowych działaczy. Byli już oni w Berlinie, Walecki przyjechał do Moskwy kilka dni przedtem, a teraz wracał do Berlina. Ja się miałem do tej berlińskiej grupy dołączyć dopiero teraz.

Było to latem 1921 roku. Pojechaliśmy nocnym pociągiem do Petrogradu, a z Petrogradu do Tallina, dawnego Rewla, stolicy Estonii. Jechało, prócz Sliwkina, sześć osób: dwóch jegomościów, źle mówiących po rosyjsku i tajemniczych, zdaje się Bułgarów, którzy rozmawiali między sobą półgłosem a z resztą grupy wcale, Walecki, Helena Stassowa, stara bolszewiczka z rosyjskiego Komitetu Centralnego, sucha, surowa, w binoklach ze sznureczkiem, wielce w ruchu rewolucyjnym jeszcze przed rewolucją zasłużona, Sjemion i ja. Sjemion, którego podczas podróży poznałem bliżej, był wilnianinem. W późniejszych latach przybrał nazwisko Firin. Pracował w wywiadzie wojskowym. Widywałem go później w Moskwie w mundurze z dwoma rombami na kołnierzu, co odpowiadało randze generała, i z orderem Czerwonego Sztandaru na piersiach. Rozstrzelano go w latach czystek jak wielu innych, ale w specjalnych okolicznościach. Był wówczas kierownikiem budowy kanału Czarnomorsko-Białoruskiego i kiedy ten kanał, głównie rękoma więźniów obozów koncentracyjnych, został przekopany, na Czerwonym Placu w Moskwie odbyły się wielkie uroczystości z udziałem najwyższych dostojników i naturalnie

Stalina. Plac udekorowano portretami wodzów oraz portretami Firina, który dostał nowy order i którego specjalnie fetowano. Tegoż dnia wieczorem, zaraz po zakończeniu uroczystości, aresztowano go i rozstrzelano. Pisze o tym Aleksander Orłow w swojej książce „Przestępstwa Stalina”. Można polegać na tym co pisze, bo był w tym czasie jedną z głównych figur w GPU. Później, podczas wojny domowej w Hiszpanii, stał na czele GPU w Madrycie, skąd uciekł i napisał w Ameryce swoją książkę.

Sjemion już przedtem bywał w różnych krajach, ale jeździł zawsze samopas. Tym razem coś mu tam nie wyszło na czas z papierami i Sliwkin musiał go wziąć pod swoje opiekuńcze skrzydła. Uczynił to niechętnie i, jak mu powiedział już w Moskwie, w drodze wyjątku: „Tacy faceci jak pan tylko mnie kompromitują, pan ma zapaskudzoną reputację”. To się wkrótce sprawdziło. Na estońskiej granicy weszło do wagonu kilku wojskowych i jeden pan, ubrany po cywilnemu, który jak tylko ujrzał Sjemiona, powiedział, że go do Estonii nie wypuści. Nie jemu to powiedział, tylko Sliwkinowi. Jednakowoż Sliwkin udał się z tym panem — i naszymi paszportami — do budynku stacyjnego, skąd po dłuższym czasie wrócił, już sam. „Pan będzie u mnie siedział na stacji w Rewlu jak pies”, rzucił Sjemionowi, „dałem słowo honoru, że pan na mieście nosa nie pokaże. Na szczęście słowo Sliwkina jeszcze się liczy”. Liczyło się, ale nie całkiem. Na stacji w Rewlu czekało na Sjemiona, dla pewności, dwóch panów, którzy spędzili z nim kilka godzin w bufecie. Inni członkowie naszej grupy zwiedzali tymczasem miasto. Było małe, bardzo czyste i przyjemne, i cichutkie.

Sjemiona przyprawdzono ze stacyjnego bufetu wprost na statek. Był to niewielki niemiecki statek pasażersko-towarowy, odpłynęliśmy nim do Szczecina. Statek był podły, trząsł niemiłosiernie i płynął do Szczecina ze czterdzieści godzin. Spędzaliśmy je głównie na pokładzie. Stassowa, bardzo biegła w marksizmie, prowadziła z Waleckim spory ideologiczne, którym przysłuchiwałem się jednym uchem, ponieważ często jeździłem do Rygi, w sensie figuralnym. Spory były nużące, Stassowa wciąż zwracała Waleckiemu uwagę, że przed trzema godzinami albo pięciu powiedział to i tamto, a teraz mówi co innego, więc musi koniecznie sam ze sobą uzgodnić swój punkt widzenia. Walecki ratował się wreszcie ucieczką. Stassowa wdała się wówczas w rozmowę ze mną i w przeciągu bardzo krótkiego czasu dwukrotnie zażądała, abym sam ze sobą uzgodnił mój punkt widzenia. Udałem się więc do kabiny, którą dzieliłem z Waleckim i, całkowicie wyczerpany, rzuciłem się na łóżko. Walecki znalazł jednak sposób na Stassową. Zawiadomił ją uroczyście, że odwołuje wszystko

co powiedział w ciągu ostatniego roku. Od tej chwili mieliśmy na pokładzie spokój.

Naszych paszportów Sliwkin już nam nie zwrócił. Byłem, zgodnie z paszportem, przez czas bardzo krótki Argentyńczykiem o długim i dźwięcznym nazwisku, które mi przypadło do gustu, więc poprosiłem Sliwkina, żeby mi oddał ten fałszywy paszport. Sliwkin się skrzywił.

— Jak pan jedzie ze mną, to o fałszywych paszportach pan zapomnij. U mnie tego nie ma. To jest autentyczny paszport, ale już jest panu niepotrzebny.

— A jak wjedziemy do Niemiec?

— Ze Sliwkinem pan wjedzie do Niemiec. Więcej pan nie potrzebuje wiedzieć.

Istotnie wjechałem ze Sliwkinem do Niemiec. Nie obeszło się bez pewnych komplikacji, ale Sliwkin usunął je błyskawicznie. Polegały na tym, że urzędnik niemiecki w porcie w Szczecinie, z którym Sliwkin utrzymywał odpowiednie stosunki, był w dniu naszego przyjazdu nieobecny. A na tym urzędniku wszystko się trzymało. Przez wzgląd na te stosunki jechaliśmy nie pociągiem, tylko drogą okrężną. Sliwkin umiał się jednak znaleźć w każdej sytuacji. Kazał nam czekać w jadalni na statku i w ciągu kilku minut wszystko załatwił. Inny urzędnik niemiecki, zastępujący tamtego, obejrzał nasze paszporty jednym okiem, i to przymkniętym. Na pomoście, kiedy schodziliśmy na brzeg, stał Sliwkin i wskazywał mu, kto jest jego podopiecznym. Powiedział nam później, że dał temu urzędnikowi łapówkę, choć go nigdy przedtem nie widział na oczy.

W Szczecinie nasza grupa się rozproszyła. Wszyscy pojechali tam, dokąd mieli pojechać, ale oddzielnie. Znalazłem się tegoż wieczoru w Berlinie, gdzie zjechałem do wskazanego mi uprzednio pensjonatu przy Schapperstrasse, w zachodniej dzielnicy miasta.

W pensjonacie nazywałem się Włodzimierz Gzowski i byłem, jak opiewał mój wręczony mi w Szczecinie przez Sliwkina paszport, rosyjskim emigrantem. Tak samo nazywała się znana rosyjska aktorka, występująca w niemieckich — niemych jeszcze wówczas — filmach. Ktoś w pensjonacie rozpuścił pogłoskę, że jestem jej bratem. Bardzo mnie z tego powodu honorowano, ale mi to było nie na rękę, bo Berlin był wtedy pełen białych emigrantów, którzy z nich, znający Gzowską, mógł się znaleźć w pensjonacie i byłby kłopot. Zmieniłem wobec tego nazwisko i paszport i przeprowadziłem się do niewielkiego hotelu w tejże dzielnicy, naprzeciwko Ogrodu Zoologicznego. Zaraz pierwszego wieczoru miałem znowu kłopot z nazwiskiem. Załatwił w Berlinie dla nas te sprawy specjalny „technik” — Polak, przysłany

z Warszawy, — który początkowo nie chciał mi paszportu zmienić, mówiąc, że się obejdzie. Wydębitem od niego wreszcie jakiś paszport na długie, niemieckie nazwisko. Oddałem go w hotelu, meldując się tam, a później wyszedłem na miasto. Wróciłem późnym wieczorem, zapominając zupełnie, jak się teraz nazywam. Nie byłem też pewien, czy dobrze zapamiętałem numer mojego pokoju, a urzędował już nocny portier, który mnie nie znał i którego musiałem poprosić o klucz. Chciałem już się cofnąć i odnaleźć technika, który musiał nazwisko pamiętać, ale zaryzykowałem i mruknąłem coś pod nosem, co mogło brzmieć jak „dobry wieczór”, albo jak nazwisko. Na szczęście wszyscy mieszkańcy hotelu byli już w domu, tylko mój klucz sterczał na gwoździu. Nie liczyłem na to zupełnie. W późniejszych latach miałem wielokrotnie sposobność przekonać się, że nieprzewidziane okoliczności częściej pomagają załatwić jakąś trudną sprawę, niż ją gubią.



Lokal, w którym mieściła się Delegacja Zagraniczna, znajdował się w tej samej dzielnicy. Było to duże, ośmiopokojowe mieszkanie. Zobaczyłem wówczas pierwszy raz, że ludzie zamożni mają w mieszkaniu nie jedną łazienkę, lecz dwie (później, w Ameryce, bywałem w mieszkaniach, mających trzy lub cztery). Wynajmowała mieszkanie niejaka pani Eleonora z Warszawy. Ta znowu była specjalistką od wynajmowania tego rodzaju lokali. Nadawała się do tego znakomicie. Jej powierzchność całkowicie odpowiadała jej przybranemu oczywiście nazwisku z „von”, jaśniejącym na porcelanowej tabliczce, przymocowanej do drzwi mieszkania. Pani Eleonora zajmowała w nim tylko jeden pokój, inne były przeznaczone na biura czy gabinety. Pracowali tam moi dawniejsi znajomi, Julian Marchlewski i Jakub Dolecki, oraz Adolf Warski i Bittner („Wicek”), których przedtem nie znałem. Był też personel pomocniczy w postaci maszynistki, Helenki Krygier, nadzwyczaj przystojnej panny; podkochiwał się w niej Bittner, który przybył z Ameryki i ciekawie o Ameryce opowiadał. Ale Helenka darzyła sympatią pewnego młodego Rosjanina, za którego wyszła później za mąż*.

* W mojej powieści „Rysy twarzy” występuje ona jako Wandzia. Henryk Walecki, który często używał pseudonimu Wit, nazywa się w tej powieści Lit, Adolf Warski — Jan Chruszczewski, Julian Marchlewski — towarzysz Karol, Jakub Dolecki — Artur. Karol Radek występuje w tej książce pod swoim ówczesnym pseudonimem „Doktor”. Akcja powieści ze względu kompozycyjnych, przeniesiona została na czas późniejszy o rok lub dwa.

To, że Delegacja Zagraniczna przebywała w Berlinie, tłumaczyło się różnymi względami. Po zakończeniu wojny polsko-sowieckiej wpływy komunistów w Polsce osłabły i jednocześnie wzmożyły się skierowane przeciwko nim represje. Policja działała bardziej energicznie, najważniejsi działacze musieli szukać bezpieczniejszego miejsca dla pracy. Berlin nim niewątpliwie był. Drugi powód wypływał z nastawienia świeżo utworzonego Kominternu, tj. Międzynarodówki Komunistycznej. Po przegranej wyprawie na Warszawę, sprawą naczelną stało się przygotowanie przyszłej rewolucji w Niemczech. Julian Marchlewski, od dawna związany z rewolucyjnym ruchem niemieckim, przerzucony został do Berlina, a ponieważ był jednocześnie czołowym komunistą polskim, Delegacja Zagraniczna rezydowała w tym mieście. Chodziło zresztą nie tylko o niego. Słyszałem od Waleckiego jeszcze w Moskwie, kiedy mnie namawiał do wyjazdu do Berlina, że Leninowi bardzo zależało na wpływie, jaki komuniści polscy mieli wywierać na niemieckich towarzyszy. Lenin, nie bacząc na swoje spory z polskimi esdekami przed i bezpośrednio po rewolucji rosyjskiej, znacznie bardziej ufał rewolucjonistom polskim, niż niemieckim. Zamordowany przez reakcjonistów niemieckich tego samego dnia co Róża Luksemburg Karol Liebknecht był — jak powiedział Waleckiemu — ostatnim „krupnym”, tzn. wielkim, wybitnym rewolucjonistą niemieckim, po nim zaś długo, długo, długo nikt.

Wydaje mi się zresztą, że ani Walecki, ani Warski w bliską rewolucję w Niemczech nie bardzo wierzyli. W kołach kominternowskich kursowała w tym czasie inna anegdota, dość ściśle odzwierciedlająca nastawienie komunistów polskich do niemieckich i najczęściej przez Polaków opowiadana. W jakimś niemieckim mieście przysłany z Moskwy instruktor poucza komunistów, jak się robi rewolucję. Mówi im, że najważniejszą sprawą jest opanowanie, od razu pierwszego dnia, dworca kolejowego. Grupa odpowiednio wyszkolonych partyjników musi w tym celu iść na stację, kupić dla niepoznaki bilety peronowe i zdobyć dworzec od strony torów, jak również zatrzymać pierwszy pociąg, który nadejdzie. „No dobrze”, powiada na to jeden ze słuchaczy, „ale co mamy zrobić, jeśli na dworcu nie będzie kasjera, sprzedającego peronowe bilety? Jak się już zacznie rewolucja, to może się przecież wydarzyć, że kasjer gdzieś sobie pójdzie?”.

Napisałem że Warski i Walecki zapatrywali się na przyszłą rewolucję w Niemczech dosyć sceptycznie, czego nie mogę powiedzieć o Marchlewskim. Był takim samym optymistą w Berlinie, jak przedtem w Mińsku. I był, tak samo jak w Mińsku, ogromnie ruchliwy, wesoły i kipiący energią, niby czajnik z gotującą się wodą. Warski był pod tym względem jego przeciwieństwem.

Spokojny i opanowany, mówił mało, na posiedzeniach wypowiadał się zwykle tylko wówczas, gdy go pytano co o jakiejś sprawie sądzi. Marchlewski, który najczęściej przewodniczył na zebraniach, czasami zmuszał go, żeby się wypowiedział, mówiąc nagle:

— Teraz posłuchamy, co powie pan Adolf, który prosił o głos.

Warski o głos nie prosił, na co zwracał Marchlewskiemu uwagę. Marchlewski, zakrywając dłonią usta i brodę i śmiejąc się tylko oczyma, przeproszał go za omyłkę, po czym Warski głos jednakowoż zabierał. Swoim wyglądem zewnętrznym też bynajmniej nie przypominał starego rewolucjonisty, którym był. Pani Eleonora zapytała mnie kiedyś, czy to prawda że pochodzi z arystokratycznej rodziny o głośnym w Polsce nazwisku. Nie było to prawdą — Warski nazywał się w istocie Warszawski i był nie arystokratycznego, lecz żydowskiego pochodzenia — ale tego pani Eleonorze nie powiedziałem, ponieważ niezmiernie jej pochlebiało, że w wynajętym na jej fałszywe arystokratyczne nazwisko mieszkaniu pracują autentyczni arystokraci.

Jeśli chodzi o mnie, to pochlebiało mi co innego. Byłem najmłodszym w tym berlińskim gronie i czułem się bardzo zaszczycony, że pracuję z tak wybitnymi działaczami. Obserwowałem ich na posiedzeniach z trochę literackiego punktu widzenia, bo wtedy właśnie rozmyślałem nad tym, żeby zostać pisarzem. Zapisywałem do notesu, który sobie sprawiłem, tematy, przychodzące mi do głowy. Jeden z nich opowiedziałem Waleckiemu, który sceptycznie się skrzywił i poradził mi, żebym ten temat wyrzucił do myślowego śmietnika, bo jest zewnętrze błyskotliwy, a wewnątrz pusty. Dał mi zamiast tego inny, oparty częściowo na prawdziwym wydarzeniu. Zużytkowałem go, ale dopiero pięć lat później, kiedy już ogłaszałem drukiem w Moskwie utwory pisane po rosyjsku. Dałem Waleckiemu do przeczytania to co napisałem. Skrytykował moje opowiadanie bezlitośnie, powiedział mi dokładnie, dlaczego jest złe i jak je powinienem przerobić. Znał się, jak się okazało, doskonale na rzemiośle pisarskim, choć sam nigdy literackich utworów nie popełniał. Przerobiłem opowiadanie tak jak mi kazał, wyszło później w oddzielnej książeczce. Radziłem się go od tego czasu często, kiedy coś pisałem.

Warskiego i Marchlewskiego po tych berlińskich czasach w 1921 roku nigdy już nie widziałem. Marchlewski umarł śmiercią naturalną w roku 1925. Warskiego, jak już mówiłem, rozstrzelano w Moskwie. Zwariował przed śmiercią w więzieniu, wydawało mu się że go aresztowali hitlerowcy, że jest w Berlinie i na badaniach mówił tylko po niemiecku. Ale nie jestem

pewien, czy istotnie zwariował. Może to było z jego strony jakąś formą protestu czy demonstracji, albo tragiczną drwiną.



Byłem wtedy w Berlinie krótko; jakieś dwa miesiące po przyjeździe zachorowałem, zdjęcia röntgenowskie wykazały gruźlicę płuc. Niemiecki profesor kazał mi pojechać do sanatorium w St. Blasien w Szwarzwaldzie. Pojechałem tam, już nie pamiętam dlaczego, nie pociągiem, tylko autokarem, który zatrzymał się po drodze w Titisee, małej miejscowości w górach, też w Szwarzwaldzie, niedaleko St. Blasien. Wsiadłem tam i postanowiłem w tej miejscowości zostać. Podejrzywałem berlińskiego profesora, który mnie skierował do sanatorium w St. Blasien, że pobiera komisowe od jego właściciela i tak zapewne było: za bardzo nastawał, żebym pojechał do tego właśnie sanatorium, a nie do żadnego innego. A w Titisee, gdzie wysiadłem, było wspaniałe powietrze i jezioro, które mi się spodobało. Rzekłem sobie, że się obejdę bez sanatorium, bo już się przedtem dowiedziałem, że gruźlicę w tym stadium kuruje się nie lekarstwami, tylko świeżym powietrzem.

Wziąłem więc moją walizkę i poszedłem do pierwszego z brzegu hotelu. Było ich zresztą tylko dwa czy trzy. Owszem, mieli wolny pokój, nawet z widokiem na jezioro, i cena była przystępna. Ledwie zdążyłem się umyć po długiej i trochę nużącej podróży, rozległ się gong, zwiastujący kolację.

I oto w hotelowej sali jadalnej wydarzyło się coś, co obliczając matematyczne szanse za i przeciw takiej możliwości, absolutnie nie powinno było się wydarzyć. Zacząłem właśnie jeść zupełnie do sali wszedł Wybitny Niemiecki Szpieg.

Za takiego w każdym razie uchodził. Nie w Titisee, tylko w X-tym Pawilonie Cytadeli w Warszawie. Zobaczyłem tam pewnego dnia przez okno bardzo wysokiego, szczupłego jegomościa w zgrabnym deszczowym płaszczu, samotnie spacerującego po więziennym podwórku. Na czterech rogach stało czterech żandarmerów, baczących by nikt się do niego nie zbliżał. Chodził szybko, z rękoma w kieszeniach płaszcza, miał jakieś 40 lat i gniewny wyraz twarzy. Nazajutrz znowu chodził, też sam.

Zaintrygowała mnie ta postać. Nikogo innego tak troskliwie nie strzeżono. Klucznik powiedział mi, że to jest podobno słynny międzynarodowy włamywacz. Ale tylko podobno. Nasz klucznik zresztą często się mylił a włamywaczy do X-go Pawilonu nie sadzali. Dopiero Wróblewski, z którym udawało mi się czasami zamienić na korytarzu więziennym kilka słów, powiedział mi,

że tajemniczy facet nie jest włamywaczem, tylko szpiegiem, wybitnym niemieckim szpiegiem. Ktoś to Wróblewskiemu powiedział, ktoś inny słyszał, że mówił po niemiecku z oficerem z Defensywy.

Po kilku tygodniach przestał spacerować po dziedzińcu, a teraz niespodzianie wkroczył do sali jadalnej z tym samym gniewnym wyrazem twarzy. Może potrafię określić ten wyraz ściślej. Po warszawsku mówi się w takich wypadkach, że ktoś wygląda tak jakby mu się należała reszta, a po berlińsku jeszcze lepiej: *er sieht aus wie bestellt und nicht abgeholt*, to znaczy jak zamówiony towar, po który nikt się nie zgłosił.

Nie groziło mi prawdopodobnie z jego strony żadne niebezpieczeństwo. Nie widział mnie w X-tym Pawilonie, bo nie spoglądał nigdy w okna cel, tylko chodził ze wzrokiem, utkwionym w ziemię. Ale okoliczności pewnych wydarzeń są często o wiele ważniejsze, niż same wydarzenia. Aż mnie tknęło, kiedy go ujrzałem w jadalni. Było to oczywiście przypadek, ale przypadek rzadki, bo przecież zwykłą koleją rzeczy w sali powinien się znaleźć ktoś inny z kilkudziesięciu milionów Niemców, a nie właśnie on. Pomyślałem sobie, że *mógł* mnie w więzieniu widzieć. I ktoś *mógł* mu tam powiedzieć, jak się nazywam, a miałem w kieszeni paszport na inne nazwisko.

Niezwykłość tego spotkania tak na mnie podziałała, że wpadłem w panikę. Odwrócony tyłem do Wybitnego Szpiega zjadłem szybko kolację i pobiegłem do budki telefonicznej w hotelowym hallu. Udałem, że rozmawiam z kimś przez telefon, po czym powiedziałem portierowi, który mnie obserwował, że muszę natychmiast wrócić do Berlina. Połączenia z Berlinem o tej porze już nie było, ale właśnie odchodził autokar do St. Blasien, a stamtąd miał odejść do Berlina nocny autokar.

Wsiadłem do autokaru i pojechałem, naturalnie nie do Berlina, tylko do St. Blasien. Mój berliński profesor wygrał. W St. Blasien udałem się potulnie do sanatorium, które mi wskazał. Przyjęto mnie nie bacząc na późną godzinę.

Kazano mi leżeć dziesięć godzin dziennie, które potem zredukowano do ośmiu. I w nocy też osiem. Pozostałe godziny spędzałem na spacerach. St. Blasien jest położone między wzgórzami i lasami, ma idealny klimat i jest bardzo pięknym i przyjemnym uzdrowiskiem. Ale choć w Niemczech Zachodnich byłem już po drugiej wojnie kilkakrotnie i objeżdżając je samochodem wzdłuż i wszerz, byłem też bardzo blisko St. Blasien, nie pojechałem tam, gdyż chciałem zachować tę miejscowość w pamięci taką, jaka była dla mnie w 1921 roku. Ze wspomnieniami należy obchodzić się ostrożnie, a moje wspomnienia

z St. Blasien owiane są nie tylko urokiem młodości. Pojechałem tam sam, ale po kilku tygodniach przyjechała moja przyszła żona. Uprzedziłem czytelnika na początku tych wspomnień że nie o wszystkim napiszę. Ta rzecz należy do tematów zakazanych. Ograniczę się więc do suchej informacji. Z moją pierwszą żoną poznałem się krótko przed wyjazdem do St. Blasien, była Polką z Rosji, właściwie pół-Polką, bo matka pochodziła z Anglii. Urodziła się i wychowała w Moskwie, w Polsce nigdy nie była, ale mówiła dobrze po polsku. Była zamężna kiedy ją poznałem, rozeszła się z mężem po powrocie do Berlina. Opis mojego zapoznania się z nią i pobytu w St. Blasien w mojej powieści „Rysy twarzy” jest autobiograficzny, ale samobójstwo jej pierwszego męża jest kompozycją powieściową. Był polskim działaczem komunistycznym i zastrzelił się istotnie, ale wiele lat później, podczas czystek w roku 1937 w Moskwie, w chwili kiedy go aresztowano.



Moje zdrowie w St. Blasien znacznie się poprawiło. Kuracja pomogła.

2.

Powstanie w Kronsztacie i jego skutki. — Nowa Polityka Ekonomiczna (NEP). — Spotkanie z Leninem w Kremle

W tym samym 1921 roku, jeszcze przed moim wyjazdem z Moskwy do Berlina, zaszły w Rosji ważne wypadki, których źródłem było powstanie w Kronsztacie.

Powstanie rozpoczęło się 2 marca, po upływie dwóch tygodni, 17 marca, zostało krwawo stłumione. Kronsztad był główną bazą rosyjskiej floty bałtyckiej. Powstali tam marynarze ze statków wojennych, ci sami, którzy w roku 1917 walczyli zbrojnie w Piotrogradzie, dokąd przybyli z pobliskiego Kronsztatu popierając bolszewików. To o nich powiedział wtedy Trocki że są „chlubą i dumą rewolucji rosyjskiej”.

Nigdy pewnie nie będzie wiadomo ilu powstańców poległo w Kronsztacie i ilu zginęło później w sowieckich więzieniach. Stłumiła powstanie 60-ciotysięczna armia pod dowództwem Tuchaczewskiego. Powstańcy bronili się do ostatniej chwili, ulice miasta były usiane trupami marynarzy i robotników portowych. Do walki przeciwko nim zagrzewał Trocki, piętnując ich jako zdrajców. Twierdził, że na ich czele stoi carski generał Kozłow-

ski, że powstańcy utrzymują kontakt przez Finlandię z międzynarodową kontrrewolucją, i tak dalej*.

Prawda była inna. Znałem ją, w głównych zarysach, już wówczas, a teraz, pracując nad tymi wspomnieniami, przejrzałem wszystkie dostępne mi materiały w bibliotekach, aby ją poznać całkowicie. Wiem teraz, że Kozłowski, byłego carskiego generała, posłał w swoim czasie do Kronsztatu Trocki, ponieważ był tam potrzebny artylerzysta, a Kozłowski wykładał kiedyś balistykę w carskiej Akademii Sztabu Generalnego. Trocki przypomniał sobie prawdopodobnie jego nazwisko i rangę i wykorzystał to. Żadnego udziału w powstaniu Kozłowski nie brał.

Powstańcy nie występowali przeciwko ustrojowi sowieckiemu. Na wiecu, który odbył się na Placu Kotwicznym (Jakornaja Płoszczad') w Kronsztacie 1 marca przy udziale 17.000 marynarzy i robotników portowych przyjęta została rezolucja, domagająca się nowych wyborów do sowietów, zwolnienia wszystkich więźniów politycznych, będących członkami socjalistycznych partii, utworzenia wolnych związków zawodowych, niezależnych od partii bolszewickiej i wolności prasy dla anarchistów, lewicowych eserów i tzw. mienszewików-międzynarodowców, lewicowego skrzydła partii mienszewickiej, na czele którego stał Julian Martow, wysłany już wówczas z Rosji razem z innymi mienszewikami. Przewodniczący kronsztackiego sowietu Wasiljew i komisarz floty bałtyckiej Kuzmin, którzy wypowiedzieli się przeciwko tym żądaniom, zostali po wiecu aresztowani przez marynarzy.

Bunt w Kronsztacie był odbiciem ogólnego wrzenia, które ogarnęło w tym czasie robotników w Piotrogradzie. W wielu fabrykach wybuchnęły strajki. Rząd oskarżał marynarzy z Kronsztatu, że oni te strajki wywołali, posyłając do Piotrogradu swoich agitatorów. Delegacje marynarzy były istotnie w Piotrogradzie bezpośrednio przed strajkiem. Ale strajki — jak i samo powstanie — miały głębokie przyczyny. Wojna domowa zmęczyła masy, wzrastał się głód, zarówno w miastach jak i na wsi. Władze zabierały chłopom wszystko, co wieś produkowała. Były to czasy tzw. *razwiorstki*. Słowo to oznacza po rosyjsku podział, ale w tym wypadku jego sens był inny. Rząd po prostu konfiskował produkty rolne, płacąc za nie pieniędzmi, za które chłopci nic nie

* Wiele lat później Stalin wymyślił inną jeszcze wersję. Wielka Encyklopedia Sowiecka, której tom na literę K ukazał się już po czystkach, utrzymuje że powstanie wywołali Trocki i Zinowjew i przypisuje jego uśmierzenie Woroszyłowowi, którego tam wówczas w ogóle nie było. Ponieważ Tuchaczewskiego już wówczas rozstrzelano, Encyklopedia całkowicie przemilcza jego rolę w sformowaniu powstania.

mogli kupić, po pierwsze wskutek szalejącej inflacji, po wtóre dlatego że lata wojny domowej kompletnie rozwały przemysł.

Sytuacja była więc bardzo groźna. Lenin znalazł z niej wyjście, polegające na odwróceniu całej linii. Miał to być tylko odwrót czasowy, tylko *pieredyszka* (wychnienie), ale trwała ona przez siedem lat i przerwana została przez Stalina dopiero cztery lata po śmierci Lenina.

Odwrót zaczął się od zniesienia *razwiorstki*. Chłopi zamiast niej mieli płacić podatki w produktach żywnościowych, resztę zaś tych produktów mogli sprzedawać na wolnym rynku. Tak się zaczął NEP i „siedem lat tłustych” w historii Związku Sowieckiego. Wolny rynek ogarnął szybko część lekkiego przemysłu i handlu. Powstały drobne przedsiębiorstwa prywatne, otwierano prywatne sklepy, istniały nawet — co wydaje się dzisiaj nie do wiary — prywatne wydawnictwa. Zamiast zdevaluowanych rubli wprowadzono czerwońce, które miały ustalony kurs na giełdach krajów kapitalistycznych i które można było swobodnie wymieniać na dolary czy funty. Po dwóch-trzech latach NEP'u nie było już głodu i znacznie wzrosła realna płaca zarobkowa. Bywałem w tych czasach w Moskwie i widziałem, jak szybko zmienia się miasto z roku na rok. W roku 1925 można już było kupić w sklepach prawie wszystko, było dużo restauracji, a na Twerskiej — obecnie ulicy Gorkiego — funkcjonował znowu przedrewolucyjny Jelisejew, coś w rodzaju olbrzymiej świątyni, gdzie sprzedawano wszelakiego rodzaju mięsiwa, ryby, jarzyny, słodczyce, wina, kawior itd. Przywrócono nawet dawną nazwę, tylko na sztyldzie małymi literami było zaznaczone, że jest to obecnie kooperatywa. Nie wiem czy prawdziwa, czy dęta. Większość dobrze zaopatrzonych sklepów spożywczych należała wtedy do kooperatyw, ale trochę swoistego rodzaju. Udziałowcami ich byli właściciele wraz z członkami swoich rodzin. Ale pamiętam również, że w tym samym roku satyryczne pismo *Krokodyl* zamieściło na pierwszej stronie rysunek, przedstawiający otwartą dłoń, a na tej dłoni stłoczonych „nepmanów” — tak nazywano wówczas właścicieli prywatnych sklepów i przedsiębiorstw. Napis pod rysunkiem opiewał że rząd sowiecki, kiedy uzna to za wskazane, ściśnie dłoń w kułak, zgniatając ich na miazgę. Tak się też stało, ale dopiero po latach, a tymczasem nikt się tej groźby nie bał.

Reformy o których mowa nastąpiły zaraz po stłumieniu powstania w Kronsztacie. Lenin pisał później, że było ono inspirowane „przez eserów i zagranicznych białogwardystów” i że „miał to być most dla ustalenia w Rosji ich władzy”*. Wątpię czy

* *Dzieła Lenina*, wydanie rosyjskie, tom XXVI, str. 214.

Lenin wierzył iż marynarzy inspirowali białogwardziści, był to raczej argument propagandowy. Ale ustrój sowiecki opierał się na partii bolszewickiej. Powstanie było skierowane przeciwko jej polityce i dlatego płomień wzniecony w Kronsztacie mógł, gdyby pożar ogarnął całą Rosję, ten ustrój rozsadzić.

Tak wyglądała ta sprawa z obiektywnego punktu widzenia, z historycznej już dziś perspektywy. Wtedy, w czasie powstania i jeszcze długo później, Kronsztad był sprawą, o której starano się nie mówić. W sferach, w których się obracałem, jeśli poruszano ten temat, to specjalnym, jakby przyduszonym głosem, zdradzającym poczucie winy. I szybko kończono o Kronsztacie rozmowę jakimś zdaniem, stwierdzającym że powstanie trzeba było stłumić, że nie było innego wyjścia. Ja też tak mówiłem. Na statku, który wiozł Waleckiego i mnie do Szczecina Helena Stassowa powiedziała coś o Kronsztacie, coś bardzo entuzjastycznego o „naszym zwycięstwie”. To była jedyna osoba którą pamiętam, mówiąca o Kronsztacie w taki sposób. Waleckiego to wzburzyło, odwrócił się czerwony na twarzy. A później w kajucie powiedział, jakby oczekując z mojej strony sprzeciwu:

— Powstanie trzeba było stłumić, ale z tego nie wynika, że mamy z czego być dumni. Co?

Odpowiedziałem że tak, że trzeba było. Sprawa, w gruncie rzeczy, znowu sprowadzała się do zagadnienia, czy postulat, iż cel uswięca środki, jest słuszny czy nie. Byłem przekonany że jest słuszny i dlatego nie mogłem odpowiedzieć Waleckiemu inaczej. Nie tylko słuszny, ale oczywisty i nie podlegający dyskusji. Nie przychodziło mi do głowy że ten kanon jest fałszywy, że nie cel uswięca środki tylko środki najczęściej narzucają cel, że jeżeli ktoś, budując dom, wstawi do okien kraty, wybuduje nie dom tylko więzienie. Zrozumiałem to o wiele później, ale jakoś wyczuwałem już wtedy.

Nie ja jeden. Aleksander Fadiejew, późniejszy autor szmatławych powieści — takich, jak jego „Młoda Gwardia” — i alkoholik, ale w młodości, kiedy go dobrze znałem, ideowy rewolucjonista i utalentowany pisarz, był jednym z tych, którzy uśmierzali powstanie i strzelali do robotników i marynarzy. Na rozkaz. Tłumaczył się często, że na rozkaz. Tak, ni stąd ni zowąd, wrywało mu się to nagle z ust, zwłaszcza po kilku kieliszkach, bo już wtedy lubił sobie popijać. Z tym wspomnieniem trudno mu było żyć. Może ono pchnęło go ku drabinie, po której wdrapał się, za życia Stalina, bardzo wysoko. Został, z ramienia Stalina, dyktatorem w dziedzinie literatury. Zapłacił za to zdradą swoich

najbliższych przyjaciół-pisarzy, których rozstrzeliano przy jego aprobacie. Wróć jeszcze do niego na dalszych stronicach tej książki, teraz chcę tylko powiedzieć, że tak często z ludźmi bywa, i że takie przeżycia żyją w duszy długo. Może one wreszcie sprawiły, że popełnił samobójstwo.



Kiedy wróciłem z St. Blasien do Berlina, Delegacja Zagraniczna Komitetu Centralnego już się likwidowała. Nie pamiętam dlaczego postanowiono ją zlikwidować. Przypominam sobie tylko że jednym z powodów było nastawienie komunistów niemieckich. Nie odpowiadało im od samego początku że Polacy mają spełniać rolę ich opiekunów czy choćby doradców. Nie miałem z nimi wtedy osobistych kontaktów, zajmując się pisaniem artykułów do podziemnej prasy komunistycznej w Polsce, ale opowiadał mi Marchlewski, że Heinrich Brandler, stojący wówczas na czele partii niemieckiej, wykręca się od spotkań z nim i z Warskim. Powiedział Waleckiemu coś w tym sensie że Polacy, którzy nie mogli zrobić rewolucji kiedy wojska sowieckie doszły aż do Warszawy, nie mają prawa uczyć Niemców, jak się ją robi.

— Ma trochę racji — dodał Walecki — ale rzecz jest w tym, że się do tej niemieckiej rewolucji zbyt nie pali. Sympatyczny garbus i porządny człowiek, ale nie do takich spraw.

Delegacja Zagraniczna wkrótce się rozjechała, zostawiając mnie w Berlinie niejako na mieliźnie. Nie mogłem jechać do Polski, bo po Rydze znało mnie jeszcze więcej osób niż dawniej i szybko bym się wsypał. Prócz tego jeden z pracowników Delegacji Polskiej w Rydze przyjacielsko mnie powiadomił, że wytoczono mi, czy też miano mi wytoczyć w Warszawie nową sprawę, z oskarżenia o to, że namówiłem do dezercji plutonowego S., i to do dezercji w czasie wojny z pola bitwy. Prześwadość tego rodzaju kodeks karny oceniał bardzo wysoko i sąd prawdopodobnie mało by się liczył z tym, że żadnego pola bitwy nie było i nie uwierzyłby mi na słowo że S. sam się namówił do tego co zrobił.

Zostałem więc w Berlinie i pracowałem jakiś czas w „Inprekorze” (*Internationale Presse Korrespondenz*), wydawnictwie komunistycznym, zaopatrującym w artykuły i materiały pisma legalnych partii komunistycznych na Zachodzie. „Inprekor” wychodził w kilku językach. Tłumaczem, a często i autorem w jego francuskiej sekcji był Victor Serge, z którym dzieliłem mieszka-

nie. Zaprzyjaźniłem się z nim wówczas i nasza przyjaźń przetrwała wiele lat, aż do drugiej wojny światowej*.

Wkrótce potem wezwano mnie do Moskwy i mianowano berlińskim korespondentem *Izwiestii*. Wyznaczyła mnie na to stanowisko nie redakcja, tylko Biuro Polityczne Komitetu Centralnego. Styl pracy w Moskwie był wówczas taki że jakies jedno, zawsze tylko jedno, zagadnienie wysuwano jako problem naczelny. Tym problemem w danej chwili była przyszła rewolucja w Niemczech, wszystko inne było mu podporządkowane. Radek, zawsze o wszystkim dobrze poinformowany, powiedział mi że międzynarodowa konferencja w Genewie, która miała się odbyć w kwietniu, nie da żadnych rezultatów, co się później sprawdziło. Dowiedziałem się również, już nie pamiętam od kogo, że w Moskwie od dłuższego czasu toczą się rokowania z rządem niemieckim o zawarcie jakiegoś układu przyjaźni, ale że taki układ będzie tylko czymś w rodzaju zasłony dymnej, za którą przygotowania do rewolucji rozwijać się będą bardziej skutecznie.

Wszystkie sprawy personalne, dotyczące Niemiec, przechodziły wówczas przez Biuro Polityczne. Rozpatrywano moją kandydaturę zaocześnie, na posiedzenie nie zaproszono ani mnie, ani redaktora *Izwiestii* — Stieklowa. Nie znałem go przedtem, a kiedy pierwszy raz do niego poszedłem, powiedziałem coś w tym sensie że miło mi go poznać i że naturalnie dużo o nim słyszałem. Stieklów nic nie odpowiedział, tylko spoglądał na mnie przerażonym wzrokiem, ponieważ natychmiast po wypowiedzeniu tych słów musiałem mocno przygryźć dolną wargę, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Przypomniał mi się w tej niestosownej chwili kawał, który gdzieś słyszałem. Pewną panią, nie cieszącą się dobrą opinią pod żadnym względem, przedstawiają na jakimś przyjęciu innej, która mówi, że dużo o niej słyszała. „Może pani słyszała”, powiada na to owa pani, „ale nie ma pani dowodów”.

Ten kawał przypomniał mi się nie przypadkowo. Redaktor

* Victor Serge-Kibalczyk, potomek wybitnego działacza rosyjskiej partii rewolucyjnej „Narodnaja Wolja”, urodził się w Belgii. W młodych latach był anarchista i siedział w Paryżu jeszcze przed pierwszą wojną światową prawie pięć lat w więzieniu. Po rewolucji w Rosji został bolszewikiem. Aresztowany za stalinowskich czasów, jeszcze przed czyszkami, przesiedział wiele lat w więzieniach i obozach. Na skutek licznych interwencji pisarzy i intelektualistów francuskich pozwolono mu wyjechać z Rosji do Paryża kilka lat przed wybuchem drugiej wojny. Przed zajęciem Paryża przez Niemców wyjechał do Meksyku, gdzie wkrótce zmarł.

Serge jest autorem wielu książek o stalinowskiej Rosji i kilku powieści, które nie miały takiego rozgłosu, jak np. „Ciemność w południe” Artura Koestlera, powieści podobnego typu. Był pisarzem nie mniej od Koestlera utalentowanym i nie ulega dla mnie wątpliwości że jego powieści zostaną kiedyś „odkryte” na nowo.

Izwestii również nie cieszył się dobrą opinią. Był bardzo starym bolszewikiem, przewyższającym stażem partyjnym bodaj nawet Lenina, nosił siwiejącą brodę niemal do pasa i odznaczał się arogancją i zarozumiałością. Ze wszystkimi się kłócił, wszystkim dokuczał i usunięto go w końcu ze stanowiska redaktora *Izwestii* ze względów natury moralnej. Wyszło na jaw, że kazał sobie wielokrotnie wypłacać honoraria za te same artykuły i że miał przykre zajścia z podwładnymi mu maszynistkami. Ale to nastąpiło dopiero w roku 1925 albo 1926. Sam z nim nigdy konfliktów nie miałem, może dlatego że pracowałem daleko od Moskwy, ale kiedy już byłem korespondentem *Izwestii* w Berlinie, zatrzymał się tam kiedyś w drodze na jakieś uzdrowisko. Zabrałem go do Reichstagu, gdzie wyprawiał w bufecie awantury, bo mu się wydawało, że piwo na mieście podają w większych kufkach, później zażądał, żebym się dla niego wystarał o bezpłatny bilet do teatru, a kiedy to zrobiłem domagał się, żebym go zamienił na inny, koniecznie w łoży, bo w Moskwie chodził zawsze do łoży. Przywiózł też list do Ministra Komunikacji, który mi dał do przetłumaczenia. Napisał, że jako redaktor największej sowieckiej gazety powinien korzystać ze zniżki na kolejach. Miałem go dosyć i kupiłem dla niego bilet w wagonie sypialnym na pociąg, odchodzący o dwa dni wcześniej niż zamierzał wyjechać, twierdząc że innego nie mogłem dostać. Okupiłem swój grzech w ten sposób że mu powiedziałem iż mu przyznano zniżkę bez listu do ministra, pokrywając różnicę z własnej kieszeni.

Kilka dni przed wyjazdem do Berlina poszedłem do Radka w całkiem prywatnej sprawie. W Moskwie mieszkała moja daleka kuzynka, Rosjanka, którą znałem, kiedy chodziłem tam do gimnazjum. Chciała wyjechać z Rosji razem z matką, a ponieważ obie urodziły się w Rydze, zgłosiły się na wyjazd jako łośtewskie obywatelki. Wiera, która ukończyła gimnazjum jednocześnie ze mną, pracowała później jako maszynistka w Komisariacie Spraw Zagranicznych, z którego to powodu odmówiono jej pozwolenia na wyjazd, jako że mogła znać jakieś państwowe tajemnice. Radek był doradcą Cziczeryna w tym Komisariacie. Prosiłem go aby zaświadczył że wyjazd mojej kuzynki nie pociągnie za sobą groźnych następstw dla Związku Sowieckiego, co, będąc człowiekiem uczynnym, chętnie zrobił, choć jej nigdy nie widział na oczy.

Radek mieszkał na Kremlu. Bywałem u niego i w kilku innych mieszkaniach w Kremlu już przedtem. Nie były one bardzo wytworne, ani nawet wygodne. Na Kremlu mieszkali niegdyś moskiewscy carowie, ale w ogromnych carskich komnatach urządzone muzea, a w sali tronowej odbywały się rozmaite posiedzenia i zjazdy. Usunięto z niej tron i postawiono zamiast niego

długi stół, pokryty czerwonym suknem. Co się zaś tyczy sowieckich dygnitarzy, to objęli oni mieszkania pomniejszych popów z kremlowskich soborów. Miały one maleńkie okna i niskie sufity, ale zamieszkiwanie na Kremlu było sprawą prestiżową.

Rozmawiałem jeszcze z Radkiem o tym i owym kiedy zadzwonił wewnętrzny telefon. Dzwonił Jakub Hanecki, który też mieszkał na Kremlu i którego znałem z Rygi, gdzie był krótko członkiem delegacji sowieckiej w końcowej fazie rokowań pokojowych, a później posłem sowieckim w Rydze. Hanecki był starym polskim esdekiem. Znał dobrze Lenina jeszcze w latach przedrewolucyjnych, a w czasie pierwszej wojny mieszkał w Sztokholmie, gdzie zajmował się działalnością handlową, o której później krążyły rozmaite opowieści. Nie wiem ile w nich było prawdy, więc ich nie przytaczam.

Hanecki, który wiedział że jestem u Radka, prosił żebym zaraz do niego przyszedł. Zastałem u niego Lenina z żoną, Nadiędzą Krupską.

Lenin był w tym czasie chory, mieszkał w Gorkach pod Moskwą i przyjeżdżał do swojego mieszkania w Kremlu tylko od czasu do czasu. Lekarze zabronili mu zajmować się sprawami politycznymi, nie wolno mu było nawet czytać gazet. Żaden z doktorów dobrze nie wiedział co mu jest. Sprowadzony z Berlina profesor Klemperer przypuszczał, że Lenin cierpi na zatrucie ołowiem, spowodowane tym, że kiedy w 1918 roku Fanny Kapłan strzelała do niego i trafiły go dwie kule, nie usunięto ich. Rosyjscy lekarze byli wtedy zdania, że to nie jest potrzebne. W 1922 roku Lenin poddał się operacji usunięcia jednej z kul, co jednak nie poprawiło stanu jego zdrowia. Chorował aż do ostatnich miesięcy roku 1922.

Nie widziałem Lenina z bliska od czasu mojej rozmowy z nim w Smolnym Instytucie. Dobrze mu się wtedy przyjrzałem, także i teraz. Wyglądał obecnie jak człowiek bardzo, ale to bardzo chory. Okazało się że Hanecki sprowadził mnie na jego prośbę, co mi powiedział. Lenin kiwnął potakująco głową i nic nie mówił. Siedział na kanapie skulony, stała przed nim szklanka herbaty, której nie pił. Krupska rzucała mu zaniepokojone spojrzenia. Ale po pewnym czasie Lenin się ożywił. Pamiętam że nastąpiło to niespodzianie, kiedy rozmawiałem z Krupską i Haneckim. Krupska zapytała mnie jak długo nie byłem w Moskwie i czy widzę dużo zmian od czasu ostatniego mojego pobytu. Coś na to odpowiedziałem, rozmowa zesłała na tematy NEP'u i Hanecki rozwinął numer *Izwestii*. Dwie czy trzy stronice, to znaczy połowę gazety, zajmowały ogłoszenia rozmaitych firm, głównie prywatnych, jak również owych dętych kooperatyw.

Hanecki przeczytał na głos kilka ogłoszeń, co wywołało ze strony Lenina wybuch śmiechu. Rozweseliła go pewnie nie treść tych ogłoszeń, tylko ich styl. Był to styl kwiecisty, kopiujący stare rosyjsko-kupieckie wzory. „Nepmani” zachwalali swoje towary, używając takich słów jak „najwyższa jakość”, „wytworny smak”, i tak dalej.

— Nie wiedziałem że takie wyrazy są znowu w obiegu! — wołał Lenin.

Hanecki powiedział że takie ogłoszenia nie przynoszą sowieckiej prasie zaszczytu.

— Pewnie że nie przynoszą — rzekł Lenin. — Ale my nie jesteśmy dumni (*my nie gordyje*). „Nepmani” płacą za swoje ogłoszenia, utrzymując naszą prasę. Ot, na przykład — zwrócił się do mnie — *Izwestia*, za pieniądze, płynące z kieszeni rosyjskich kapitalistów, posyłają teraz korespondenta do Berlina!

— Ale niech towarzysz Solski tym się lepiej w Berlinie nie wychwala — wpadła w jego ton Krupska.

— A dlaczegożby nie? Niech pokaże niemieckim towarzyszom te reklamowe płachty i powie im, że u nich po rewolucji burżuje, za pomocą ogłoszeń, będą utrzymywali *Rote Fabne*. Może ich to bardzo zachęcić!

Lenin chodził po pokoju, przeskakując z tematu na temat. Jego ożywienie było w rażącej sprzeczności ze stanem poprzednim. (Hanecki powiedział mi później, że lekarze Lenina uważają te szybkie przejścia od depresji do podniecenia za zły omen). Nie wiem czy *à propos* czegoś, czy po prostu tak, opowiedział wtedy historyjkę, która mocno wryła mi się w pamięć. Niby to nic w niej nie było, a jednakże było. Brzmiały w niej echa minionych czasów, spokojnych i łagodnych, echa przeszłości, do której się zawsze trochę tęskni.

Lenin mówił o swoim pobycie w Paryżu na emigracji. Francuska policja nie prześladowała rosyjskich rewolucjonistów, ale od czasu do czasu, na wszelki wypadek, agenci w cywilnym ubraniu przypominali im, że władze mają ich na oku. Jeden taki pan, w meloniku i zawsze z parasolem, wystawał godzinami przed domem, w którym Lenin mieszkał. Lenin znał go z widzenia, agent zbytnio nie ukrywał kim jest i raz czy dwa grzecznie mu się uklonił, kiedy Lenin wychodził z domu. Aż pewnego dnia znikł. Nie było go z tydzień, a po tygodniu zadzwonił do mieszkania Lenina. Przyszedł aby mu powiedzieć że już nie służy w policji.

— Nie? — zdziwił się Lenin. — A dlaczego?

Okazało się że agentowi umarła żona, więc naszył sobie czarną opaskę na rękaw palta. Nosił opaskę jeszcze jakiś czas po po-

grzebie, ale wezwał go przełożony i kazał mu ją zdjąć, ponieważ zwraca uwagę, a tajnym agentom nie wolno zwracać na siebie uwagi.

Pan w meloniku poczuł się głęboko urażony. Służba służbą i zawód zawodem, ale jest się przecież wolnym francuskim obywatelem, mającym prawo wyrażać swoje uczucia w sposób jaki mu odpowiada. Nie mógł się zgodzić, aby ktokolwiek go tych praw pozbawiał. A ponieważ przełożony nastawał, podał się do dymisji*.

Lenin wkrótce się zmęczył i usiadł. Krupska zapytała mnie, czy to prawda że spotkałem w Niemczech Martowa. Musiał jej to powiedzieć Hanecki albo Radek, którym o spotkaniu z Martowem mówiłem**.

Spotkałem się z Martowem w St. Blasien i rozmawiałem z nim tam dwa lub trzy razy. Był chory na płuca, o wiele poważniej niż ja. Spotykałem go w parku, ale go nie znałem, aż pewnego dnia on pierwszy do mnie przemówił po rosyjsku. Domyślił się kim jestem. Wydawało mi się to wtedy dziwne, ale w późniejszych latach sam często poznawałem ludzi mojego politycznego nabożeństwa z wyglądu, z nie dających się ściśle określić zewnętrznych cech.

Powiedziałem Leninowi i Krupskiej, która też się kiedyś z Martowem przyjaźniła, że się leczył w innym sanatorium i że dłuższych rozmów z nim nie prowadziłem.

— Ale mówiliście z nim! — zniecierpliwił się Lenin. — Jak wyglądał?

— Żle wyglądał. Kaszłał.

— Mówiliście o Kronsztacie?

— Tak jest.

Nie powiedziałem Leninowi, że Martow poruszył ten temat podczas pierwszej rozmowy (nie ukrywałem przed nim kim jestem). Wyczuwałem że Lenin sam się tego domyślił. Nie pytał mnie, co Martow o Kronsztacie mówił, domyślił się pewnie i tego. Kiwnął tylko głową, Krupska zwróciła mu uwagę że jest już późno.

— Przysyłajcie jak najwięcej korespondencji, powiedział mi Lenin na pożegnanie. Nasi czytelnicy nie mają pojęcia co się dzieje za granicą, bo ich nikt nie informuje.

* Opowiedziałem tę historyjkę w jednej z moich powieści, wkładając ją jednak w usta innej osobie.

** Julian Martow, bliski przyjaciel Lenina, był razem z nim na zesłaniu a później, za granicą, redagował z nim *Iskrę*, główny organ partii socjal-demokratycznej. Później drogi ich się rozeszły. Martow stanął na czele partii mienszewickiej, Lenin bolszewickiej.

W rok później Martow umarł w Berlinie. Na jego pogrzeb przyjechał z Moskwy Aleksy Rykow, będący w tym czasie wicepremierem, zastępcą Lenina w Radzie Komisarzy Ludowych. Rykow był na pogrzebie niby to prywatnie, ale Lenin z pewnością o tym wiedział. *Izwestia* zamieściły obszerne wspomnienie pośmiertne, podpisane przez Radka. Słyszałem wtedy że Radek napisał je z polecenia Lenina.

Jeszcze kilka słów o Martowie i stosunku do niego Lenina. W roku 1921, po wysłaniu go z Rosji, Martow założył w Berlinie *Socjalistycznej Wiestnik* (Goniec socjalistyczny), miesięcznik, wychodzący w tym mieście aż do objęcia władzy przez Hitlera. Pismo wychodziło później w Paryżu, a po zajęciu Paryża przez Niemców w Nowym Jorku. Przeszło wychodzić dopiero w roku 1967, kiedy wszyscy redagujący go kolejno mienszewicy powymierali.

W Berlinie i w Moskwie kursowały w dwudziestych latach pogłoski że Lenin tajnie finansuje *Wiestnik*, chcąc wiedzieć, co sądzą mienszewicy o jego polityce. Pogłoski były bardzo uporczywe i pochodziły z poważnych źródeł. Zainteresowało mnie to wówczas i usiłowałem tę sprawę zbadać. Dowiedziałem się że pogłoski nie były prawdziwe. Ale w latach trzydziestych w Paryżu Teodor Dan, ówczesny redaktor *Wiestnika*, powiedział mi że trochę prawdy w nich jednakże było, tylko że wyglądała ona inaczej. Jakiś niemiecki pośrednik kupował stale w Berlinie dużą ilość egzemplarzy *Wiestnika*. Redakcja zwróciła się wobec tego do Przedstawicielstwa Handlowego Związku Sowieckiego z propozycją, aby kupowało ono *Wiestnik* wprost. Ta propozycja została przyjęta i od tego czasu Przedstawicielstwo Handlowe zakupowało stale 700 egzemplarzy każdego numeru, co pokrywało prawie całkowicie kosztą druku. Po śmierci Lenina Przedstawicielstwo Handlowe przestało *Wiestnik* kupować.

3.

Uwagi o literaturze w czasach przetomowych. — Konferencja w Genewie. — Układ w Rapallo, jawny i tajny, oraz kulisy tego układu

Przyjechałem znowu do Berlina w pierwszych miesiącach 1922 roku, ale już niejako w innym wcieleniu, bo legalnie i oficjalnie, i moje życie potoczyło się innym niż poprzednio trybem.

Berlin był w tym czasie wielce ciekawym miastem. Myślałem często o tym, jakie warunki sprzyjają rozwojowi literatury, a jakie

nie sprzyjają. Nie ulega wątpliwości że dyktatura totalitarna dusi literaturę i sztukę w ogóle, i inaczej być nie może, bo najbardziej istotną cechą każdej sztuki jest prawda, której szerzenie dyktaturę podważa. Dlatego nie było pisarzy w Niemczech za panowania Hitlera, ani we Włoszech pod Mussolinim, a w Rosji utalentowanych pisarzy Stalin bądź wymordował, bądź rozesłał do łagrów i więzień. Ale wielka literatura istniała w Rosji carskiej i w Rosji rewolucyjnej, w okresie przed-stalinowskim. Istniała również w Polsce za bardzo ciężkich czasów. A z drugiej strony nic nie wskazuje na to że w warunkach materialnego dobrobytu i zupełnej dla pisarzy wolności literatura rozwija się i kwitnie. Od końca drugiej wojny światowej minęło już ćwierć wieku, a na pisarskim niebie, ani w Europie ani w Ameryce, nie zajaśniała jeszcze ani jedna gwiazda takiej wielkości jak Czechow, Tołstoj, Balzak albo Proust. Albo nawet Roger Martin du Gard*. Wydaje mi się, że wielka literatura powstaje niezależnie od historycznych wypadków i rzadko w słoneczne dni, a najczęściej w nocy, na zakrętach historii, kiedy nadchodzą burze. Niemcy w pierwszej połowie lat dwudziestych przeżywały taki właśnie okres. I pewnie nigdy, ani przedtem ani później, Niemcy nie miały jednocześnie tylu pisarzy takiej klasy jak Tomasz Mann, który wtedy właśnie wydał „Zaczarowaną górę”. Wtedy też ukazał się „Berlin-Alexanderplatz” Alfreda Döblina i powieści Stefana Zweiga, Henryka Manna i Hermana Hesse. Carl von Ossietzky, który później, krótko przed śmiercią w hitlerowskim obozie, otrzymał nagrodę Nobla i Kurt Tucholski, który się zastrzelił kiedy Hitler objął władzę, byli najbardziej utalentowanymi, w skali europejskiej, publicystami tych lat, a Georg Grosz i Käthe Kollwitz najbardziej wybitnymi malarzami i rysownikami. W teatrach odbywały się premiery sztuk, reżyserowanych przez Maxa Reinharda, Leopolda Jessnera i Erwina Piscatora, a słynny „Bauhaus” tworzył nową architekturę, znaną później na całym świecie.

To była jedna strona medalu. Drugą były rosnące objawy moralnego i obyczajowego rozkładu.

Stefan Zweig pisał później o tych czasach w książce „Die Welt von Gestern” (Wczorajszy świat):

„Berlin stał się światową wieżą Babel. Bary i inne lokale rozgrywkowe wyrastały jak grzyby po deszczu. Po Kurfürstendammie przechadzali się uszminkowani młodzieńcy o ściśniętych taliach, sprzedający się zawodowo, z którymi konkurowali uczni-

* Robiąc korektę tej książki w 1976 roku pragnę dodać, że później zajaśniała, ale tylko jedna: Aleksander Solżenicyń.

niowie szkół średnich. W zaciemnionych barach widywało się wysokich urzędników państwowych oraz bankierów w towarzystwie gimnazystów lub pijanych marynarzy. Nawet starożytny Rzym za najgorszych czasów nie znał takich orgii ani balów, na których setki kobiet w męskim przebraniu i setki mężczyzn w kobiecym tańczyło przy „wzłoczonej asyście policji”.

U zbiegu Kurfürstendammu i Tauenzienstrasse była wówczas wielka kawiarnia, która się nazywała Romanisches Café. Spotykali się tam pisarze, aktorzy, malarze, muzycy, cały berliński świat artystyczny. Ta kawiarnia stała się moją kwaterą główną, bywałem tam codziennie. Przychodził do niej często po teatrze jeden z największych aktorów tych czasów, Max Pallenberg. Byłem kiedyś na jakiejś sprawie w sądzie i opowiadałem mu o niej. Pallenberg przerwał mi i zapytał: „A jak grał prokurator? Pewno szarżował. Oskarżony zwykle dobrze gra, ale prokurator zawsze szarżuje”.

W tej samej kawiarni bywał niejaki Arnold Bronnen, o którym warto powiedzieć kilka słów. Był na ogół lewicowy, nosił tasiemkę zamiast krawata, rzadko się golił i nie strzygł włosów. Napisał sztukę pod tytułem „Vatermord”, która cieszyła się wielkim powodzeniem. Występuje w niej matka, ojciec i syn. Matka nie kocha ojca, syn nie kocha ojca ani matki. Centralnym zagadnieniem sztuki jest wyzwolenie. Nie od czegoś albo od kogoś, tylko w ogóle. Syn, aby się wyzwolić, zakłuwa ojca sztyletem na scenie, mówiąc że nie ojca zabił, tylko symbol, który go gniół. Matka, której mąż seksualnie nie wystarczał, powiada synowi że go rozumie, rozbiera się na scenie do naga — przy zaciemnionych światłach — i zamierza oddać się synowi-mordercy, który ją jednakowoż odtrąca, mówiąc że jest wolny i takim chce pozostać. W tym miejscu kurtyna spada.

Wspominam tę sztukę dlatego, że jest bliźniaczo podobna do wielu sztuk i filmów, granych i wyświetlanych teraz w Ameryce i w Europie. Są one sporządzone według tej samej recepty: trochę Edypa, odrobina Starego Testamentu, dużo Krafft-Ebinga i krew. I wszystko pod hasłem wyzwolenia i rewolucyjnego wzlotu ku gwiazdom. Krafft-Ebing, jeśli któryś z czytelników nie pamięta, napisał wciąż jeszcze najobszerniejszą i pewnie najlepszą książkę o zбочzeniach seksualnych. Napisał ją w ubiegłym stuleciu, ale obecnie stała się ona niewyczerpanym źródłem pomysłów powieściowych, teatralnych i filmowych wielu autorów, wśród których trafiają się również polskie nazwiska. Nie można się tym autorom dziwić, bo ostatecznie każdy zarabia jak może.

Zjawiskiem o wiele bardziej groźnym jest to, że utwory o których mowa cieszą się, podobnie jak w swoim czasie „Vatermord”, ogromnym powodzeniem u publiczności i że wynosi je pod niebiosy krytyka. Zjawisko jest groźne dlatego, że zwiastuje nadchodzący totalizm. Zwiastowała go w Niemczech na dziesięć lat przed Hitlerem sztuka Bronnena i dużo jej z ducha pokrewnych, a teraz sygnalizują go takie same sztuki i filmy w innych krajach. Jestem najgłębiej przekonany że jest tak jak napisałem, choć nie jest łatwo wytłumaczyć, dlaczego tak jest, trzeba by napisać cały traktat. Ale głównie dlatego, że babranie się we krwi i deptanie ludzkiej godności, wraz z domieszką seksualnej krzepy i nadludzko-wyzwoleńczych bzdur jest źródłem, z którego wypływają totalistyczne rzeki.

Wspominam owego Bronnena z jeszcze jednego powodu. Stał się później, za hitlerowskich czasów, głośnym i jednym z czołowych pisarzy. Miał początkowo trudności, bo jego ojciec, niestety, był Żydem. Pokonał jednak tę przeszkodę w sposób prosty i pełen wdzięku. Namówił mamę, aby przysięgła że w stosownej chwili zdradziła męża z gwarantowanym nie-Żydem.



10 kwietnia 1922 roku rozpoczęły się w Genewie obrady Międzynarodowej Konferencji Ekonomicznej, na którą przyjechali delegaci aż z 40 krajów (Polskę reprezentował minister Spraw Zagranicznych Skrzyński). Konferencja trwała przeszło tydzień i nie dała żadnych rezultatów. Cziczerin, przewodniczący delegacji sowieckiej, wygłosił przemówienie po francusku, które powtórzył po angielsku. Pierwszy raz występował na forum międzynarodowym i osobiście przypadł do gustu korespondentom wszystkich gazet. Ale konferencja została zwołana w celu skłonienia rządu sowieckiego do zapłacenia długów carskiej Rosji lub choćby odszkodowania za upaństwowione fabryki i przedsiębiorstwa, należące do cudzoziemców. O tym Cziczerin nie chciał słyszeć. Powiedział że rząd sowiecki gotów jest coś niecoś zapłacić, ale tylko w tym wypadku jeśli otrzyma nowe pożyczki. I że jeżeli już mówić o płaceniu, to Francja i Anglia powinny zapłacić za szkody, wyrządzone Rosji wskutek popieranej przez nie interwencji. A później delegaci sowieccy wygłaszali już tylko przemówienia na temat ogólnego rozbrojenia oraz wnieśli niespodzianą propozycję aby wspólnymi siłami wszystkich krajów wybudowana została autostrada z Londynu przez Paryż, Berlin, Moskwę i Władystok aż do Pekinu, z tym że samochody z Anglii do Francji wozić miała specjalnie wybudowana flota. Tej propozycji nie de-

batowano, a ponieważ konferencję zwołano głównie celem zbadania, czy z Rosją można się będzie dogadać, została ona zamknięta.

Ale na marginesie konferencji w Genui, i w czasie kiedy jeszcze trwała, został zawarty w Rapallo, małej miejscowości tuż koło Genui, traktat między Rosją i Niemcami, którego skutki i rozgałęzienia były podłożem dziejów świata na przeciąg wielu lat.

Traktat w Rapallo zawarty został błyskawicznie. Delegaci sowieccy spotkali się tam z Niemcami 16 kwietnia i tegoż dnia traktat podpisano. Przygotowano go oczywiście przedtem, w rezultacie rokowań, które toczyły się w Moskwie.

Traktat był jak traktat. Mówił o ustaleniu normalnych stosunków dyplomatycznych i handlowych i tego rodzaju sprawach. Mówił też o tym że rząd sowiecki zrzeka się reparacji, przysługujących Rosji na zasadzie traktatu wersalskiego. Chodziło o nie-małą sumę, bo o 16 miliardów marek w złocie. Niemcy niczego się nie zrzekały, a baron von Maltzan, który rokowania w Moskwie prowadził, został zaraz po Rapallo zastępcą Ministra Spraw Zagranicznych, co było wysokim odznaczeniem i co wskazuje, jaką wagę Niemcy przywiązywały do traktatu.

Składał się on niewątpliwie z dwóch części, jawnej i tajnej. Ta druga nie została nigdy ogłoszona, ale musiała istnieć, bo trudno przypuścić żeby stokroć ważniejsze od jawnego traktatu porozumienie, dotyczące pomocy militarnej, nie zostało sprecyzowane na piśmie.

Pisałem już że o toczących się w Moskwie rokowaniach z Niemcami wiedziałem przed moim wyjazdem do Berlina. Ale tylko to wiedziałem. Wkrótce po podpisaniu traktatu w Rapallo zaczęły mnie dochodzić wieści że w Rosji trenują się wojskowi lotnicy niemieccy, którym traktat wersalski zabraniał trenować się w Niemczech. I że niemiecka Reichswehra otrzymuje z Rosji amunicję, oraz że Niemcy sami rozpoczęli budowę własnych fabryk czołgów na terenie Rosji. Nie wierzyłem początkowo tym i podobnym wieściom, ale potwierdzili je moi przyjaciele, którzy przyjechali z Moskwy i którzy byli dobrze poinformowani. A wkrótce potem *prawicowe* pisma niemieckie, których kontakty z Reichswehrą były ogólnie znane, poczęły zamieszczać artykuły, wychwalające Armię Czerwoną. Między wierszami tych artykułów można było wyczytać dosyć wyraźne aluzje do tego, że między Niemcami i Rosją istnieje jeśli nie sojusz militarny, to coś bardzo do niego podobnego.

Napisałem wówczas artykuł, który wywołał pewne zaniepokojenie zarówno w Berlinie jak i w Moskwie. Zaraz do tej

sprawy przejdę, tylko chcę najpierw napisać, co stało się wiadome o Rapallo w późniejszych latach.

Pierwsze ścisłe o tych sprawach wiadomości ogłosił drukiem 3 grudnia 1926 roku *Manchester Guardian*, jeden z najpoważniejszych angielskich organów prasowych. *Manchester Guardian* oparł swoje rewelacje na dokumentach, które dostały się w jego ręce w dosyć ciekawy sposób. Firma Junkers, na zamówienie Reichswehry, budowała w pobliżu Moskwy fabrykę samolotów. Budowę z jakichś powodów wstrzymano. Firma twierdziła że Reichswehra nie zapłaciła jej umówionych sum, ale nie mogła wnieść sprawy do sądu, ponieważ były to rzeczy bardzo tajne. Postanowiła wobec tego wyrzucić nacisk na rząd niemiecki i sporządziła memorandum, które otrzymali najbardziej wpływowi członkowie Reichstagu. Egzemplarz tego memorandum zdobył dla *Manchester Guardian* jego berliński korespondent.

9 grudnia tego roku berliński *Vorwärts*, centralny organ niemieckich socjal-demokratów, zamieścił artykuł, zatytułowany „Sowieckie pociski dla niemieckich armat”. Była w nim mowa o tym, że do Szczecina przybyły z Rosji trzy niemieckie statki. Robotnicy portowi, członkowie partii socjal-demokratycznej, którzy statki wyładowywali, zawiadomili socjal-demokratę Künstlera, członka Reichstagu, że statki przywiozły amunicję dla Reichswehry i że chciano ich przekupić, aby to zachowali w tajemnicy.

Jeszcze później zjawiało się coraz więcej wiadomości o sojuszu wojskowym między Niemcami i Rosją. Wynikało z nich, że w Rosji trenowano nie tylko lotników niemieckich, lecz również załogi czołgów, że Krupp zbudował w pobliżu Moskwy fabrykę materiałów wojennych, że Niemcy dokonywali w Rosji prób nowych rodzajów broni, między innymi nowych gazów trujących, również w Rosji fabrykowanych. Wszystko to znaleźć można w książkach, poświęconych historii Niemiec, zwłaszcza wychodzących w latach sześćdziesiątych*.



W numerze *Izwestii* z dn. 15 marca 1923 roku zamieściłem korespondencję z Berlina, zatytułowaną „Sowiecka Czerwona Armia a Niemcy”, w której napisałem co następuje:

„Znane pismo ilustrowane *Die Woche* ostatni swój numer poświęciło cał-

* Między innymi: W. M. Knight-Paterson: „Germany from Defeat to Conquest”, Londyn, 1945, William Carr: „A History of Germany”, Londyn, 1969, Robert H. Tenbrock: „Deutschland's Geschichte”, Monachium, 1968, Erich Eyck: „A History of the Weimar Republic”, Harvard University Press, Cambridge, 1963.

kowicie Czerwonej Armii. Na okładce widzimy żołnierza Armii Czerwonej, świetnie ubranego i uzbrojonego, z sowiecką gwiazdą na czapce, który maszeruje... ramię w ramię z żołnierzem niemieckiej Reichswehry! Pod rysunkiem nie ma żadnego objaśnienia. Wszystko jest przecież jasne bez słów.

Nie ulega wątpliwości że ten rysunek dokładnie odzwierciedla nadzieje, które pokłada w Czerwonej Armii niemiecka burżuazja. Już od dłuższego czasu prasa burżuazyjna, zwłaszcza prawicowa, oszukuje czytelników opowiadając im o 'pomocy ze Wschodu przeciwko Francuzom', na którą to pomoc, jakoby, Niemcy mogą z pewnością liczyć. Organy monarchistyczne i reakcyjne, o dziwo, grożą Francji towarzyszem Trockim. Te wystąpienia prawicowej prasy są dosyć paskudnym manewrem propagandowym, obliczonym na dosyć naiwnego czytelnika".

Pisząc to nie mogłem oczywiście przewidzieć że rysunek na okładce *Die Woche* stanie się w roku 1939 tragiczną rzeczywistością. Nie ulega wątpliwości że rząd sowiecki wtedy, w roku 1923, również nie mógł tego przewidzieć. Niemniej przeto Rapallo było pierwszym krokiem na drodze, która do tej rzeczywistości prowadziła.

Podłożem zawartego w Rapallo tajnego traktatu było przekonanie, że rząd sowiecki może i powinien prowadzić podwójną grę. Z jednej strony Komintern i usilne przygotowania rewolucji w Niemczech, z drugiej popieranie reakcji niemieckiej na arenie międzynarodowej i podburzanie Niemiec przeciwko Entencie w imię zasady *divide et impera*. Z jednej strony zbrojenie komunistycznych oddziałów szturmowych w Niemczech, z drugiej zaopatrywanie w fabrykowaną w Rosji broń Reichswehry, której zadaniem i jedyną wówczas racją istnienia było stłumienie niemieckiej rewolucji.

Ta karkołomno-dialektyczna polityka — o wiele bardziej karkołomna niż dialektyczna — była wówczas z pewnością prowadzona w celu oszukania przeciwnika, w celu wyprowadzenia go w pole. Zadaniem naczelnym była rewolucja międzynarodowa, wszystko inne manewrem. Przewrót bolszewicki w Rosji miał być tylko początkiem rewolucji wszechświatowej i wszystko co się w Rosji działo miało służyć tej przyszłej rewolucji. Wertując prasę sowiecką tego okresu znalazłem dość charakterystyczny przykład tego nastawienia. W końcu roku 1922 samo słowo „Rosja” zniknęło z oficjalnej nazwy Związku Sowieckiego, który wtedy właśnie powstał (nazwa poprzednia: Rosyjska Federalna Republika Sowiecka). Chodziło oczywiście nie tylko o nazwę. Utworzeniu autonomicznych w założeniu i w teorii republik sowieckich w Gruzji, w Armenii, na Ukrainie itd. sprzeciwiało się wielu członków Komitetu Centralnego, między innymi Dzierżyński i Stalin, i wtedy to właśnie Lenin zarzucił Dzierżyńskiemu że stał się rosyjskim nacjonalistą, dodając że „jest rzeczą znaną iż zrusyfi-

kowani nie-Rosjanie zawsze wsypują za dużo soli do swoich czysto-rosyjskich uczuć”*. Spory były ostre, trwały długo i Lenin wreszcie zwyciężył. I otóż wiadomość o powstaniu Związku Sowieckiego *Izwiestia* — w numerze z dn. 1 stycznia 1923 roku — zamieściły pod takim nagłówkiem:

„Utworzenie Związku Sowieckich Republik Socjalistycznych — Podarunek Noworoczny dla Międzynarodowego Proletariatu”.

Tak było wtedy. Rapallo miało być manewrem i niczym więcej. To że z ziaren zasianych w Rapallo wyrósł po latach sojusz Stalina z Hitlerem, że kiedy Hitler ten sojusz zerwał i napadł na Rosję, Stalin nazwał go zdrajcą — a zdrajcą może być tylko były przyjaciel — wszystko to jest bardzo jaskrawym przykładem, iż w historii nigdy cel nie uświęca środków, tylko środki narzucają cel.

Te rozważania nie przychodziły mi pewnie do głowy kiedy pisałem artykuł o którym mowa. Uważałem po prostu politykę Rapallo za całkowicie błędną i dlatego go napisałem. Chciałem przeciwko tej polityce zaprotestować i zrobiłem to w takiej formie w jakiej mogłem. Pamiętam że nad tą formą zastanawiałem się dosyć długo.

Nie liczyłem oczywiście na to że moja korespondencja wpłynie na zmianę polityki sowieckiej. Ale miałem nadzieję że oczyści do pewnego stopnia atmosferę, wydobywając na światło dzienne sprawy, o których w Rosji nie pisano ani słowa, i może skłoni rząd do jakichś oświadczeń. Liczyłem jeszcze na coś innego. *Izwiestia* były oficjalnym organem rządu sowieckiego, to co pisały uważane było za wypowiedzi, inspirowane przez rząd, za odzwierciedlenie jego linii politycznej. W istocie w tych czasach nie zawsze tak było, ale tego Niemcy nie mogli wiedzieć. Nie mogli też wiedzieć, że moje korespondencje szły w Moskwie wprost do drukarni i że nikt ich przed wydrukowaniem nie czytał. Powinien był czytać je Stieklów albo sekretarz redakcji Litowski, ale tego nie robili, może dlatego że chodziło o pośpiech — wszystkie wiadomości z Berlina były wtedy ważne i pilne — a może z tego powodu, że uważali to za zbyteczne. Pisałem dużo, zawsze na maszynie, czysto i bez żadnych poprawek, zecerzy nie mieli ze mną kłopotu i redakcja przedtem też nie. Wiedziałem że moich korespondencji przed ich wydrukowaniem nikt w redakcji nie czyta, bo mi to powiedział pewien współpracownik *Izwiestii*, który przyjechał do Berlina.

Wysyłając korespondencję napisałem, jak zwykle, na kopercie „pilne — korespondencja z Berlina!” i wrzuciłem kopertę do

* Lenin, *Pisma*, IV wydanie rosyjskie, tom 36, str. 355.

skrzynki pocztowej. Później, w ciągu kilku dni, czekałem co nastąpi.

4.

*Rząd niemiecki domaga się odwołania mnie z Berlina. —
Rozmowa ze Stresemannem*

W kilka dni później poszedłem na przyjęcie dla dziennikarzy w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Pan Lane, który pełnił funkcje dyrektora Wydziału Prasowego ministerstwa przywitał się ze mną nadzwyczaj zimno, a później zauważyłem że na mnie spogląda, odwracając głowę kiedy spotykam się z nim wzrokiem. Domyśliłem się że niemieckie poselstwo w Moskwie telegrafowało już do Berlina treść mojej korespondencji.

Wkrótce później wezwał mnie do siebie Mikołaj Krestinski, sowiecki poseł w Berlinie, przedrewolucyjny bolszewik, który przez jakiś czas zajmował stanowisko Sekretarza Generalnego partii. Byłem z nim na ogół w dobrych stosunkach. Krestinski należał do dosyć rozpowszechnionego typu ludzi którzy prawie zawsze z lekka się uśmiechają. Ich uśmiech nie jest ani ironiczny ani wesoły, świadczy raczej o pewnym zażenowaniu.

Z takim właśnie uśmiechem Krestinski mnie przyjął. Zamierzałem w rozmowie z nim zastosować tę samą taktykę, której użyłem w korespondencji, to znaczy udawać że o niczym nie wiedziałem, że artykuły w niemieckich gazetach zaskoczyły mnie i oburzyły i dlatego napisałem to co napisałem. Ale na takie chwytły można było złapać tylko ludzi tępych, a Krestinski do nich nie należał. Przekonałem się o tym zaraz na początku rozmowy i pomyślałem sobie że znowu nie doceniłem przeciwnika, co mi się często zdarzało.

Krestinski nie był zresztą moim przeciwnikiem, rozmawiał ze mną raczej przyjaźnie. Dostał depezę od Cziczeryna, aby zazaądał ode mnie wyjaśnień. Sens wyrażenia rosyjskiego — „*potriebowat' objasnienij*” — jest nieco szerszy niż jego polski odpowiednik, wyraźniej implikuje naganę. Grałem z nim w otwarte karty. Kiedy wyłożyłem swój punkt widzenia, Krestinski mruknął, że wielu towarzyszy myśli tak samo jak ja, ale nie powiedział jak on sam zapatruje się na te sprawy. Później się dowiedziałem że Krestinski, jako sowiecki poseł, musiał lojalnie wypełniać płynące z traktatu konsekwencje, ale że osobiście sprzeciwiał się tej politycznej linii. Powiedział mi to Komarowski, jego bliski osobisty przyjaciel, który przyjechał razem z Krestin-

skim z Moskwy. Komarowski, Polak z Petersburga, był również przedrewolucyjnym bolszewikiem i pracował w partii z Krestin-
skim przed pierwszą wojną.

Minął jeszcze tydzień lub dwa i Krestinski powiadomił mnie, że rząd niemiecki domaga się, aby mnie odwołano z Berlina. Nie wysunął jednak takiego żądania na piśmie. Jakiś wyższy urzędnik powiedział tylko radcy sowieckiego poselstwa że Stresemann, który był ministrem Spraw Zagranicznych, bardzo by sobie życzył aby *Izwestia* przysłały innego korespondenta, co wpłynęłoby dodatnio na harmonijność stosunków niemiecko-sowieckich. Krestinski przesłał to życzenie do Moskwy, wypowiadając się przeciwko jego spełnieniu. Powiedział mi też że ponieważ mianowało mnie Biuro Polityczne, tylko ono może mnie odwołać.

— A oni mają tam ważniejsze sprawy na głowie, nie wezmą się do was tak od razu, więc możecie póki co posyłać nadal swoje korespondencje.

Moja sprawa toczyła się w Moskwie długo i wyglądała coraz gorzej. Stiejków przysłał mi dyplomatyczną pocztą odpis listu, który wystosował do Cziczerina, który mu zrobił awanturę za to, że mój artykuł przepuścił. Stiejków odpowiedział że przepuścił go z całą świadomością tego co czyni, że jest członkiem partii od jakiegoś nieprawdopodobnego roku i że nie pozwoli sobie dmuchać w kaszę. List był pełen szlachetnego oburzenia, którego źródłem było prawdopodobnie to, że nie czytał mojego artykułu zanim został wydrukowany i nie chciał się do tego przyznać. Krestinski znowu mnie wezwał i poradził mi żebym napisał oświadczenie do Biura Politycznego. Napisałem je, przelewając na papier wszystko co mi leżało na sercu: że sojusz z generałem von Seecktem — który stał na czele Reichswehry — zadusi rewolucję niemiecką, że Niemieccy robotnicy nie rozumieją podwójnej polityki Moskwy i jej tajnych konszachtów z niemiecką reakcją, o których wszyscy w Berlinie wiedzą, i tak dalej. Było tego z dziesięć stron. Krestinski, który miał bardzo krótki wzrok, przeczytał oświadczenie przy mnie, wodząc po nim nosem i uśmiechając się bez przerwy. Schował je do kieszeni i powiedział:

— Znakomicie piszecie oświadczenia. Z ogniem. Korespondencje piszecie gorzej. Korespondent oficjalnego organu rządu sowieckiego powinien mieć więcej politycznego taktu. Obawiam się, że to oświadczenie nie pomoże i że was wkrótce odwołają.

Tak by też pewnie było, gdyby nie zaszedł wypadek zupełnie nieprzewidywany. W Monachium wychodził już wówczas hitlerowski *Völkischer Beobachter*, duża codzienna gazeta, rozpowszech-

niana głównie w Berlinie i poświęcająca sporo miejsca Rosji. Jeden z jej współpracowników — zdaje się że był to Alfred Rosenberg — czytywał pilnie sowieckie gazety i kilkakrotnie zajmował się moją osobą na jej łamach. Uważał mnie za oko Moskwy i przytaczał ustępy z moich korespondencji, znajdując, że odznaczają się one wielką bezczelnością. I właśnie w czasie, kiedy rozstrzygała się w Moskwie sprawa czy mnie odwołać z Berlina czy nie, *Völkischer Beobachter* znów mnie zaatakował, tym razem tłustym drukiem. Chodziło mu nie o korespondencję, dotyczącą Czerwonej Armii i Reichswehry, tylko o jakąś inną, wydrukowaną kilka dni przedtem czy potem. Coś go w tej korespondencji specjalnie oburzyło i *Völkischer Beobachter* napisał że powinienem być natychmiast deportowany z Niemiec.

Większej przysługi hitlerowski organ nie mógł mi wyświadczyć. Hitler był wrogiem ówczesnego rządu, obiecywał publicznie, że kiedy dojdzie do władzy, „potoczą się głowy zdrajców”, którzy w nim zasiadali i wkrótce później urządził w Monachium pucz, za który został skazany na pięć lat więzienia (odsiedział tylko rok). Wyrzucenie czy odwołanie mnie z Niemiec w chwili kiedy jego organ tego żądał było wykluczone. Przeczytałem artykuł w „*Romanisches Café*” i niezwłocznie pojechałem na Unterd Linden do sowieckiego poselstwa. Odczytałem triumfalnie Krestinskiemu artykuł i złożyłem go w jego ręce przesłania do Moskwy. Krestinski tym razem się nie uśmiechał, tylko wybuchnął szczerym śmiechem i pogratulował mi wygranej sprawy.

Wygrałem ją istotnie, ale jeszcze przez jakiś czas rozbrzmiewały jej echa. Rząd nie wznowił dyplomatycznych zabiegów by mnie z Berlina zabrano, ale przed domem w którym mieszkałem pojawił się pewien pan, wyglądający dokładnie tak, jak tacy panowie powinni wyglądać. Dyżurował na zmianę z innym. W moim telefonie na początku każdej rozmowy rozlegał się trzask. Dawniej tego nie było. Do żony, która pracowała w sowieckiej Misji Kolejowej, zamawiającej w Niemczech parowozy i wagony, przyszedł do biura tajniak, aby ją zapytać kiedy wyszła za mnie za mąż i czy posiada świadectwo ślubu. Profesor Łomonosow, szef tej misji, wyrzucił go za drzwi. Napisałem list do pana Lane z wydziału prasy, protestując przeciwko tym zjawiskom, ale telefon trząskał nadal i panowie przed domem też się nadal przechadzali, nawet dosyć demonstracyjnie. Organy rządowe miały widocznie nadzieję, że obrzydzą mi pobyt w Berlinie przy pomocy tych dyskretnych aluzji. Ale na bardziej energiczne kroki nie chciały się zdecydować. Pewnego wieczoru, na jakimś dyplomatycznym przyjęciu, pan Lane ujął mnie pod rękę, mówiąc że ma do mnie wielką osobistą prośbę.

— Błagam pana, niech pan przestanie zamawiać przez telefon dynamit i bomby. Pan sobie nie zdaje sprawy ile mam z tego powodu kłopotów. Ci idioci nie znają się na kawałach i wszystkiemu wierzą.

Zamawiałem dynamit jak również bomby, w mniejszych lub większych ilościach, kiedy słyszałem trzask w telefonie, chcąc aby podsłuchujący dowiedzieli się czegoś ciekawego. Powiedziałem panu Lane że gotów jestem spełnić jego prośbę, ale pod warunkiem że telefon przestanie trzaskać. Trzaskał później trochę mniej.

Epilog tej historii rozegrał się na przyjęciu u Kanclerza Rzeszy. W sierpniu tegoż roku Gustaw Stresemann został Kanclerzem (Premierem) i urządził poobiednie przyjęcie w ogrodzie Prezydium Rady Ministrów na Wilhelmstrasse. Dostałem już poprzednio, kiedy był ministrem Spraw Zagranicznych, tego zaszczytu że zostałem mu przedstawiony, więc na przyjęciu skłoniłem mu się tylko z oddali. Po kilku chwilach jeden z jego sekretarzy zakomunikował mi że Stresemann pragnie ze mną porozmawiać.

Stresemann powiedział mi że czytuje w tłumaczeniu moje korespondencje — nie wszystkie, ale te najciekawsze. Ostatnie słowo podkreślił, dając mi do zrozumienia co ma na myśli. Powiedział to raczej przyjaźnie i roześmiał się. Miałem wrażenie że ta sprawa nie tyle go irytuje ile bawi, a może chciał ze mną zawrzeć rozejm i wypalić fajkę pokoju, widząc że bardziej radykalne środki nie dały rezultatów. Postanowiłem skorzystać z jego przychylniej postawy i odbyć z nim wywiad. Nie odpowiadało to ustalonym zwyczajom, na przyjęciach tego rodzaju premierzy wywiadów nie udzielają. Ale Stresemann sam się naprosił i sam mnie przywołał, więc uważałem że mogę etykietę naruszyć.

Poruszyłem tylko jedną sprawę, dosyć delikatną. Niemcy, o czym Stresemann naturalnie wiedział, budowali w Rosji fabryki broni i amunicji. Budowali i inne, ale chodziło mi o te pierwsze i Stresemann domyślił się że mi o nie chodzi. Zapytałem go, czy nie należy się obawiać, że Francja będzie próbowała zasekwestrować te fabryki, jako gwarancję tego, że Niemcy zapłacą sumy reparacyjne, przewidziane w traktacie Wersalskim. Dodałem, że z takimi właśnie projektami, jak mu z pewnością wiadomo, nosi się rząd francuski i że piszą o tym francuskie gazety.

Nie przygotowałem tego nieco złośliwego pytania zawczasu, przyszło mi do głowy w ostatniej chwili. Stresemann odpowiedział tonem uroczystym, że takiego biegu rzeczy nie przewiduje. I że to co piszą francuskie gazety dotyczy fabryk i mienia niemieckiego w innych krajach, ale nie fabryk w Rosji. Odrzekłem, że z tego co w gazetach czytałem nie zdaje się wynikać aby rząd

francuski miał czynić jakieś wyjątki, że w tych gazetach mowa jest o *wszystkich* krajach. Rozmawialiśmy jeszcze kilka minut, wokół nas, ale w pewnym oddaleniu, stali w pozach pełnych szacunku dyplomaci i dziennikarze. Jakiś fotograf prasowy uwiecznił tę scenę, zdjęcie ukazało się później w berlińskich gazetach, a także w moskiewskim piśmie ilustrowanym *Krasnaja Niwa*.

Stresemann skierował wkrótce rozmowę na mniej śliskie tory, wygłaszając kilkanaście zdań na temat tego że stosunki gospodarcze między Niemcami i Rosją rozwijają się na ogół pomyślnie, z dużą korzyścią dla obu krajów. Te banalne zdania bez znaczenia już mnie nie interesowały, więc powiedziałem że nie chcę mu zabierać zbyt dużo czasu i złożyłem odpowiedni ukłon. W tej właśnie chwili Stresemann niespodzianie powiedział:

— *Ich habe mir sager lassen, dass Sie ein Pole sind. Ist das wahr?*

— *Jawohl, Herr Reichkanzler. Es stimmt*.*

— *So, so...* Jak długo świat światem nigdy Polak Niemcowi bratem.

Może to miała być aluzja do moich złośliwych pytań i wszystkiego innego, a może Stresemann chciał się popisać swoją polszczyzną. Ludzie niezmiernie chętnie popisują się znajomością obcych języków.

Nic na tę uwagę nie odpowiedziałem i rozmowa na tym się skończyła**.

Nie wiem kto nauczył Stresemanna tych kilku słów po polsku. W Berlinie było wówczas wiadomo że Kanclerz Rzeszy, który był kawalerem, przyjaźni się dosyć ściśle z niejaką panią Valentin. Nigdy jej nie widziałem, ale wiem że miała na imię Antonina, z wyraźnym *a* na końcu. Nie jest to niemieckie imię.



Lata 1922-23 były przełomowymi w dziejach Niemiec.

Zwiastunem nachodzących burz było zabójstwo Włтера Rathenaua. Rathenau, minister Spraw Zagranicznych przed Stresemannem, był bogatym finansistą, mającym szerokie stosunki we francuskich kołach przemysłowych i finansowych i dążącym do załagodzenia konfliktu niemiecko-francuskiego na tle reparacyjnym. Zastrzeliło go na ulicy 24 czerwca trzech młodych ludzi, wyznaczonych do wykonania tego aktu przez niemieckich reakcyj-

* Słyszałem że Pan jest Polakiem. Czy to prawda? — Tak jest, Panie Kanclerzu, zgadza się.

** Mój wywiad ze Stresemannem był zamieszczony w *Izwiestiach* z 22 września 1923 r.

nistów, należących do pół-legalnych organizacji nacjonalistycznych, które później wchłoneła w siebie partia hitlerowska. Pamiętam że już na długo przed jego zabójstwem w Berlinie wiadano że dni Rathenausa są policzone. Reakcyjniści otwarcie grozili mu śmiercią, po nocach na ścianach domów rozlemano wezwania, z których jedno brzmiało tak:

*Knollt ab den Walter Rathenau
Die gottverfluchte Judensau*.*

Zabójstwo Rathenausa wywołało wielkie poruszenie w całej Europie i prawdopodobnie przyczyniło się do zajęcia Zagłębia Ruhry przez wojska francuskie i belgijskie. W Zagłębiu Ruhry znajdowały się największe kopalnie i najpotężniejsze fabryki, m.in. fabryki Kruppa, było to serce przemysłowe Niemiec. Francja postanowiła eksploatować kopalnie sama, aż do czasu kiedy Niemcy zapłacą reparacje. Okupacja wywołała falę strajków i krwawych starć nacjonalistów niemieckich z wojskami francuskimi. Jednocześnie marka niemiecka spadała z coraz to wzrastającą szybkością. W roku 1918 dolar kosztował cztery niemieckie marki, później wyglądało to tak:

W roku 1921 kurs dolara wynosił 74 marki.

W roku 1922 — 186 marek.

W styczniu roku 1923 — siedem milionów marek, we wrześniu tegoż roku 13 milionów, w październiku 240 milionów, a w końcu listopada 1923 roku za jeden dolar płacono zawrotną cyfrę 4.200.000.000 marek. Płacono teoretycznie, taki był kurs, ale praktycznie rzeczy biorąc waluta niemiecka straciła wszelką wartość i przestała być środkiem płatniczym. Wielcy przemysłowcy przepompowali do swoich kieszeni ile się dało, płacąc podatki z dwuletnim opóźnieniem i biorąc od rządu pożyczki aby zapłacić robotnikom, które to pożyczki zwracali również dopiero wtedy, kiedy marka niemiecka nie miała już żadnej wartości. A ludzie zarobkujący pracą nie tylko stracili całkowicie swoje oszczędności, ale za swoje zarobki nic nie mogli kupić, ponieważ ich wartość realna spadała dosłownie z dnia na dzień, a później z godziny na godzinę. Blisko domu w którym mieszkałem był drogi sklep z męskimi ubraniami. Widziałem tam na wystawie wspaniałe zimowe palto, które mnie długo kusilo. Kosztowało jakieś miliony marek, trzeba było jednak skrócić rękawy. Dałem zadek, po tygodniu palto odebrałem, płacąc pierwotną cenę w markach. W przeliczeniu na dolary palto kosztowało mnie około półtora dolara. Wszyscy ci, którzy, jak ja, otrzymywali pieniądze

* Palnijcie w łeb Walterowi Rathenauowi, tej przeklętej żydowskiej świni.

z innych krajów, mieszkali wtedy w Niemczech niemal za darmo. Nawiasem mówiąc, waluta sowiecka była w tym czasie całkowicie ustabilizowana. Gazety sowieckie codziennie ogłaszały kursy walutowe, zarówno oficjalne jak i „wolnego”, to znaczy czarnego rynku. W końcu stycznia 1923 roku dolar kosztował 30 rubli, a na wolnym rynku 47.

Inflacja, rozruchy głodowe i bezrobocie znacznie wzmogły wpływy komunistyczne. Wkrótce komuniści odnieśli pierwsze wielkie zwycięstwo. Organizacja socjal-demokratyczna w Saksonii wypowiedziała się na specjalnie zwołanym zjeździe za utworzeniem jednolitego frontu i wspólnego rządu z komunistami. W połowie marca 1923 roku powstał w Saksonii rząd, na czele którego stanął socjal-demokrata Dr Zeigler i do którego weszło trzech komunistów, w tej liczbie Heinrich Brandler, przywódca partii komunistycznej w Niemczech. Rząd ten przystąpił natychmiast do formowania uzbrojonych oddziałów socjalistyczno-komunistycznych.

Koło historii obracało się coraz szybciej. Monarchista Karr, w odpowiedzi na utworzenie tego rządu w Dreźnie, stolicy Saksonii, ogłosił się dyktatorem Bawarii, która zerwała stosunki z Saksonią. Separatyści nadreńscy, popierani przez Francję, ogłosili niezależną Republikę Nadreńską ze stolicą w Akwizgranie (Aachen). W tym samym czasie taki sam rząd jak w Saksonii powstał w Weimarze, stolicy Turyngii, też na podstawie porozumienia między socjalistami i komunistami. W kilku miastach Badenii ogłoszony został stan wyjątkowy, rozszerzony w końcu września na całe Niemcy. Centralny organ komunistyczny *Rote Fabne* został zamknięty na 8 dni za wydrukowanie artykułu dającego wskazówki jak należy przygotować powstanie zbrojne. Autorem tego artykułu był Lenin, napisał go w 1917 roku, dwa tygodnie przed bolszewickim przewrotem.

We wrześniu 1923 roku zapadło w Moskwie postanowienie o rozpoczęciu rewolucji w Niemczech w ciągu najbliższych tygodni. Nie była tylko jeszcze ustalona dokładna data wybuchu rewolucji.



Komplet *Izwiestii* za rok 1923 robi takie wrażenie, jakby na świecie nie istniał żaden inny kraj poza Niemcami. W Niemczech odbywały się wtedy ważne wypadki, ale przejrzałem dla porównania komplety gazet angielskich i francuskich z tegoż roku i zobaczyłem, że wiadomości z Niemiec nie zajmują w nich nawet drobnej części miejsca, które zajmowały w *Izwiestiach*. Tłuma-

czy się to tym, że Moskwa była całkowicie nastawiona na rewolucję w Niemczech, odsuwając wszystko inne na dalszy plan.

Posyłałem korespondencje prawie codziennie, czasami *Izwiestia* zamieszczały dwa moje artykuły w tym samym numerze, nie licząc depesz. Depesze posyłałem zresztą rzadko, bo było to trudne. Jeśli były po niemiecku, zniekształcano je na telegrafii w Moskwie, pisane po rosyjsku łańciskim alfabetem ulegały zniekształceniu w Berlinie. Natomiast poczta działająca bardzo sprawnie — zwykła poczta, komunikacji lotniczej z Rosją jeszcze nie było. W Europie Zachodniej latało się już samolotami, ale nie tak szybko jak teraz. Podróż samolotem z Paryża do Warszawy trwała na przykład 12 godzin, nie dwie i pół, jak obecnie.

Dużo wtedy podróżowałem po Niemczech, w komplecie *Izwiestii* odnalazłem moje wywiady z Dr. Zeiglerem w Dreźnie i z komunistami, wchodzącymi w skład rządu w Turynii. Czytając je przypominałem sobie nie przeznaczone do druku rozmowy z innymi komunistami w Dreźnie i w Weimarze. Starłem się wybadać, jakie są ich nastroje, aby z tego wywnioskować, czy rewolucja w Niemczech się uda. To było jednak trudne, ponieważ moi rozmówcy, podobnie jak *Völkischer Beobachter*, uważali mnie za „oko Moskwy” i zachowywali się powściągliwie, oczekując raczej ode mnie rad albo wręcz instrukcji. W Berlinie było tak samo. Któregoś dnia komuniści w Reichstagu poparli projekt nowego prawa, ograniczającego imigrację robotników cudzoziemskich. Powiedziałem jednemu z nich, że moim zdaniem komuniści nie powinni przeciwstawiać się imigracji robotników z innych krajów, bowiem sprzeciwia się to zasadom międzynarodowej solidarności robotniczej. Ku mojemu zdziwieniu, na jednym z następnych posiedzeń Reichstagu posłowie komunistyczni zmienili swoje stanowisko i głosowali przeciwko nowemu prawu. Potraktowali to co powiedziałem jako instrukcję „człowieka z Moskwy”.

Z komunistami niemieckimi spotykałem się w pokoju frakcji komunistycznej Reichstagu. Wszystkie partie reprezentowane w Reichstagu miały jeden albo kilka pokojów biurowych w jego gmachu. Wstrzymywałem się jednak, zwłaszcza po tej historii, od dawania im jakichkolwiek rad. Nie wolno mi było tego robić, zarówno Krestinskiemu jak i wszystkim pracownikom poselstwa Moskwa surowo zakazała wtrącania się do spraw niemieckich komunistów i mnie, jako korespondenta oficjalnej gazety, ten zakaz również obejmował. W prywatnych rozmowach między komunistami nazywało się to wówczas „oddzieleniem kościoła od państwa”. Kościołem był międzynarodowy komunizm, z Kominternem, państwem Rosja sowiecka z jej rządem. „Oddzielenie

kościola od państwa” przestrzegane było tym ściślej im bardziej zbliżał się termin wybuchu rewolucji. Organizował ją zakonspirowany aparat, którego członkowie nie bywali w poselstwie sowieckim ani nie spotykali się z jego pracownikami. Zobaczyłem raz na ulicy jednego z nich, znałem go dobrze w Moskwie. Udał że mnie nie widzi, z czego się domyśliłem, jakie pełni w Berlinie funkcje.

5.

Powstanie w Hamburgu. — Rozpoczęta rewolucja zostaje odwołana

23 października usłyszałem przez radio że uzbrojone oddziały komunistyczne zaatakowały w Hamburgu jednocześnie przeszło tuzin komisariatów policji i zdobyły je. Gazety to potwierdziły. Doniosły one również że w Hamburgu toczą się walki na barykadach i że komuniści zdobyli jeden z dworców kolejowych. Nie miałem wątpliwości że rewolucja się rozpoczęła, ale nie mogłem zrozumieć dlaczego zaczęła się w Hamburgu, a nie w Berlinie, gdzie panował zupełny spokój.

Wsiadłem do pierwszego pociągu i pojechałem. W pociągu spotkałem korespondenta jakiejś skandynawskiej gazety, którego znałem z zebrań Związku Dziennikarzy Zagranicznych. Jechał też do Hamburga i powiedział mi, że powstanie wybuchło tam bez porozumienia z centralą komunistyczną w Berlinie. Wydało mi się to zupełnie nieprawdopodobne.

Pociągi kursowały normalnie, w Hamburgu się okazało że komuniści opanowali nie główny dworzec, tylko jakiś inny. Pojechałem do hotelu w centrum miasta, który był prawie pusty. Panował w nim popłoch, wynoszono walizki, jakaś Amerykanka żądała żeby jej sprowadzono taksówkę. Koło recepcji zebrało się kilku pracowników hotelowych, jeden z nich, o zmęczonej twarzy, pocierał ręką podbródek, uśmiechał się i wszystkim potakiwał. Komuniści opanują całe Niemcy, Lenin to zapowiedział? Tak, tak, opanują. I do tego szeroki, wyraźnie szczęśliwy uśmiech. Nie zdobędą nawet Hamburga, krzyczał ktoś, wojsko ich rozpedzi na cztery wiatry, przeciwko czołgom komuniści nic nie poradzą! Pewnie że nie. I ten sam uśmiech. Fascynował mnie tym uśmiechem. Cieszyło go pewnie że coś się dzieje, że następuje Wielka Zmiana, wszystko jedno jaka. Dużo ludzi czeka na nią latami i wielu jest takich, którzy biorą czynny udział w rewolucjach wcale nie dlatego że wyznają jej hasła, tylko dlatego że

smutnie i nieciekawie toczyło się ich życie. Jest im w gruncie rzeczy wszystko jedno czy rozruchami kierują komuniści czy faszyci, gotowi są poprzeć tych albo tamtych, byle tylko coś się nareszcie zmieniło.

Jest już wieczór, dochodzi dziesiąta. Hamburg tonie we mgle, tam prawie zawsze jest mgła. Mży deszcz, migocą zielone światła ulicznych latarni. W Binnen Alster, po którym błędzę, jest mnóstwo restauracji i barów, tylko niektóre są otwarte, ale puste. Znajduję taksówkę, choć portier w hotelu mówi, że taksówek nie ma. Szofer jest komunistą albo sympatykiem komunistów, ale nie chce jechać do Barmbeck, robotniczej dzielnicy, bo tam jest niebezpiecznie: komuniści biją się z policją i strzelają z dachów do samochodów. — Po co pan tam chce jechać? — Żeby zobaczyć to o czym pan mówi. — *Sind Sie ein Journalist?* — Tak, sowiecki dziennikarz. — Szofer się zastanawia, chciałby coś dla mnie zrobić, ale ostrożność bierze górę. Zawozi mnie do jakiejś innej dzielnicy gdzie, jak mówi, też są barykady. Są. Dwie, starannie, można nawet powiedzieć że fachowo, zbudowane z kamieni brukowych, zwalonych drzew i żelaznych ogrodzeń. Przechadzają ulicę, próbował je zdobyć samochód policyjny, ale zwyciężajny, nieopancerzony, leżący na ulicy do góry nogami. Ulica jest spokojna i cicha, przy barykadzie stoi kilku ludzi, jeden zbliża się do nas, mówi szoferowi żeby zawrócić. Szofer tłumaczy mu kim jestem. Na obrońcy barykady nie robi to wielkiego wrażenia, ale grzecznie przykłada dwa palce do czapki. Czy tu były walki? Nie, wielkich walk nie było, jutro rano zacznie się na dobre.

— W Berlinie nasi towarzysze już się biją. Podobno Lenin dał rozkaz Czerwonej Armii żeby ruszyła w kierunku Berlina. Myślicie że to prawda?

— Nie, nie sądzę żeby to była prawda. Skąd wiecie o walkach w Berlinie?

— Wszyscy mówią.

Taksówka zawozi mnie do baru, skąd można telefonować. W barze jest kilku pijaków, rozmawiają krzykliwie o swoich sprawach. Telefonuję do żony, też krzyżąc, żeby zagłuszyć pijackie głosy. Nie, w Berlinie jest zupełnie spokojnie.

Jeżdżę jeszcze jakiś czas po ulicach, wszędzie jest cicho i pusto. Widocznie rewolucję przerwano na noc albo odłożono na drugi dzień z powodu deszczu. Deszcz pada coraz gęściej, wracam do hotelu.

Dostaję się do Barmbeck na drugi dzień rano. Spotykam tam komunistyczny oddział w szyku bojowym, idzie środkiem ulicy, liczy może ze stu ludzi, wszyscy są uzbrojeni. Z chodników

witają ich robotnicy, niektórzy wznoszą rewolucyjne okrzyki, wszyscy te same (*Rot Front!*). Ale bez wielkiego entuzjazmu, jakoś tak trochę grzecznościowo i jest ich na chodniku niewiele. Ktoś mi wskazuje drogę do zdobytego dworca kolejowego. Dworzec jest niewielki, powiewa na jego dachu czerwony sztandar, osadzony na kij. Właściwie nie powiewa, tylko zwisa z drzewca. Ten zwisający sztandar symbolizuje to co się w Hamburgu dzieje. Bardzo dziwna to rewolucja. Na jakiejś ulicy samochody policyjne, tym razem opancerzone, atakują barykadę, słychać strzały, później się dowiaduję, że byli zabici i ranni z obu stron. Ale na pobliskiej ulicy, w odległości może 500 metrów, życie płynie zwykłym trybem, sklepy są otwarte. W Schiffbeck, innej dzielnicy robotniczej, jest podobnie. Tam komuniści zdobyli prawie że bez oporu Gemeindehaus (ratusz dzielnicowy) i jeszcze jakieś gmachy oraz pocztę. Przed ratuszem zebrało się trochę ludzi, raczej tak, z ciekawości. Ktoś mówi że do hamburskiego portu przybyły sowieckie łodzie podwodne i okręty wojenne. Inni temu nie wierzą, ja też nie wierzę. Najważniejsze oczywiście jest to, co się dzieje w Berlinie. Telefonuję znowu do żony, tym razem do jej biura. Mówi mi znowu że w Berlinie jest zupełnie spokojnie, ale „Staś żąda żebyś wrócił pierwszym pociągiem”.

Staś, nasz syn — a właściwie syn żony z pierwszego małżeństwa — ma niespełna pięć lat i nie o niego chodzi. Jest to język umówiony. To co mi żona powiedziała oznacza, że Krestinski każe mi wrócić. Musi mieć poważne powody jeśli tak kategorycznie tego żąda, i to pierwszym pociągiem.

Wracam. Dopiero w Berlinie, i to nie od razu, dowiaduję się co się stało.

Rewolucja w Niemczech miała wybuchnąć 22 października jednocześnie w wielu miastach. We wszystkich większych miastach z wyjątkiem Nadrenii, okupowanej przez wojska francuskie. Wszystko było gotowe, szturmowe oddziały otrzymały broń, główny sztab rewolucji był w Berlinie. Plan powstania opracowano bardzo ściśle, ustalono dokładną godzinę wystąpienia: 4.45 rano, we wszystkich miastach. Ostatni sygnał miał przyjść z Berlina, mieli go przywieźć specjaliści kurierzy. Kurierem wysłanym do Hamburga był Hermann Remmele, członek Reichstagu i Komitetu Centralnego partii komunistycznej. Wyjechał już z Berlina kiedy Brandler, przywódca partii, nagle powstanie odwołał. Remmele usiłował zatrzymać po drodze, ale to się nie udało. Przywiózł rozkaz do Hamburga i powstanie tam się rozpoczęło. Innych kurierów zatrzymano, względnie zawrócono z drogi. Powstanie w Hamburgu zdołano wstrzymać dopiero na trzeci dzień.

Wszystko to stało się w Berlinie bardzo szybko ogólnie znane,

choć niemiecka prasa komunistyczna usiłowała te zakulisowe wypadki ukryć, i sowiecka też. Dopiero po drugiej wojnie we wschodnich Niemczech ukazało się dosyć dużo publikacji które to wszystko potwierdzają, przeinaczając tylko pewne szczegóły. Tak na przykład niejaki Heinz Habedank pisze w swojej książce*, że Remmele przywiózł wprawdzie do Hamburga rozkaz aby rozpocząć powstanie, ale że nie był do tego upoważniony. W tej samej książce pisze dalej, że Brandler „samowolnie” kazał powstanie wstrzymać. Te sprzeczności należy pewnie przypisać temu że Remmele rozstrzelano w Moskwie w latach czystek, a Brandler wkrótce po Hamburgu ogłoszony został zdrajcą i utworzył własną opozycyjno-komunistyczną grupę, więc zwalanie na nich odpowiedzialności za popełnione i niepopełnione winy jest łatwe i wygodne. Nieco poważniej rysuje sprawę Walter Ulbricht**, który wprawdzie przemilcza całą historię z wysłanym do Hamburga kurierem, ale pisze że planowano wówczas jednocześnie powstanie komunistyczne w Saksonii, Turynii, Württembergu, Bawarii i w Hamburgu, że wypowiedziała się za powstaniem „większość Centralnego Komitetu” i że przewrót nie udał się dlatego, że „kierownictwo polityczne było oderwane od przygotowań technicznych”. Znalazłem też w jego książce pewne dane, dotyczące przygotowań wojskowo-technicznych. Komunistyczne oddziały szturmowe były sformowane tak jak armia, najmniejszą ich jednostką była grupa, składająca się z 8 ludzi, cztery grupy tworzyły *Trupp*, cztery *Trupp* — *Abteilung* (oddział), dwa oddziały *Zug* i tak dalej. Taki pewnie oddział widziałem w Hamburgu.

Ulbricht potwierdza również to, co w Hamburgu rzuciło mi się w oczy: że masy robotnicze powstania nie poparły. Zwała za to winę na tegoż Brandlera, który nie powołał do życia rad robotniczych. Inną ważną przyczyną tego że rewolucja spaliła na panewce było, według Ulbrichta, to że robotnikom nie rozdano broni, albo rozdano ją w niedostatecznej ilości.

Wszystkie te rozważania nie dają jednak odpowiedzi na pytanie, dlaczego Moskwa najpierw dała sygnał do rozpoczęcia rewolucji, i w kilka godzin później ją wstrzymała. Nie ulega bowiem najmniejszej wątpliwości że tak właśnie było. Brandler, z którym rozmawiałem kilkakrotnie już po Hamburgu, potwierdził to, a zresztą i bez jego potwierdzenia jest jasne że ani Brandler ani nikt inny w Berlinie nie mógł ani wydać na własną rękę rozkazu

* Heinz Habedank, *Zur Geschichte des Hamburger Aufstandes*, Dietz Verlag, Berlin, 1958.

** Walter Ulbricht, *Zur Geschichte der deutschen Arbeiterbewegung*, Band I, Dietz Verlag, Berlin, 1955.

o rozpoczęciu rewolucji, ani go na własną rękę odwołać. Rewolucja w Niemczech była naczelnym celem Moskwy, która ją przygotowywała w ciągu lat, i tylko z Moskwy mogły przyjść ostateczne dyrektywy, zarówno co do jej rozpoczęcia jak i odwołania. Brandler odgrywał tu tylko rolę pasa transmisyjnego.

Ani w rozmowie z Brandlerem, ani w wielu innych rozmowach nie zdołałem nigdy wyjaśnić, czym się wówczas chwiejność Moskwy tłumaczyła. Rozwiązania tej zagadki szukać należy, jak sądzę, w zestawieniu kilku dat. 22 grudnia 1922 roku Lenin miał dwa ataki. Stan jego zdrowia później się poprawił, ale 9 maja 1923 roku miał nowy atak, który go prawie całkowicie sparaliżował i odebrał mu mowę. W sierpniu tegoż roku znowu nastąpiło pewne polepszenie, które jednak trwało krótko. Począwszy od maja 1923 i aż do 21 stycznia 1924 roku — daty jego śmierci — Lenin nie mógł brać udziału w decyzjach politycznych. Postanowienia, dotyczące rozpoczęcia rewolucji w Niemczech i jej odwołania powzięte były bez niego, w czasie największego nasilenia jego śmiertelnej choroby. Ich chwiejność tłumaczy się panującym wówczas na Kremlu bezhołowiem i paniką.

6.

Radek wyciąga rękę do niemieckich faszystów. — Jego spór z polskimi komunistami

Kiedy wojska francuskie okupowały Zagłębie Ruhry, skrajni reakcyjniści niemieccy poczęli organizować akty sabotażu: wysadzali w powietrze pociągi, napadali na żołnierzy armii okupacyjnej, itd. Robili to głównie członkowie grup o zabarwieniu faszystowskim, z których później powstała partia hitlerowska.

Jeden z sabotażystów, złapany przez Francuzów na gorącym uczynku, nazywał się Leo Schlageter. Skazano go na śmierć i został później oficjalnym hitlerowskim bohaterem. Ale nazwisko jego stało się sławne jeszcze przedtem, dzięki... Karolowi Radkowi.

Radek był przedstawicielem Kominternu w Niemczech przed, podczas i jeszcze jakiś czas po nieudanej rewolucji. I otóż wkrótce po rozstrzelaniu Schlagetera w niemieckiej prasie komunistycznej ukazał się artykuł Radka, zatytułowany „Leo Schlageter, der Wanderer ins Nichts” (Wędrowiec w nicość). W swoim artykule Radek wyciągał dłoń, jeśli nie bratnią, to w każdym razie przyjazną, do niemieckich faszystów, nawołując ich do wspólnej walki z komunistami przeciwko wspólnemu wrogowi. Tym wspólnym wrogiem, jak pisał, jest francuski imperializm i imperializm

w ogóle. Radek dowodził, że działając samopas, faszyci, jak tego dowodzi los Schlagetera, zwyciężyć nie mogą.

Artykuł, przedrukowany przez pisma komunistyczne na całym świecie, wywołał zrozumiałą sensację. Widziany z obiektywnej perspektywy historycznej był on rozszerzeniem Rapallo na dziedzinę polityki partii komunistycznych na Zachodzie, popychając te partie w kierunku sojuszków ze skrajnymi reakcjonistami. Odbiciem tego rodzaju linii politycznej było później to że komuniści niemieccy, jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy, urządzali wspólnie z hitlerowcami strajki przeciwko „burżuazyjnemu rządowi”, że w szeregach hitlerowskich, kiedy Hitler już władzę zdobył, znalazła się bardzo pokaźna ilość byłych komunistów, i wreszcie to, że doszedł do skutku pakt między Stalinem i Hitlerem. Subiektywnie, z punktu widzenia Radka, sprawa wyglądała inaczej. Uważał on swój artykuł za manewr strategiczny, zakrojony na wielką skalę, którego celem miało być wykorzystanie nastrojów nacjonalistycznych w Niemczech dla komunizmu.

Kierownicze koła komunistów polskich, i nie tylko one, przyjęły artykuł zdecydowanie wrogo. Radek mieszkał wtedy w Berlinie nielegalnie i widywałem się z nim bardzo rzadko. Kierownikiem berlińskiego oddziału ROSTY, sowieckiej agencji telegraficznej (obecnie TASS) był Henryk Kamiński-Domski, polski esdek, który powiedział mi pewnego dnia, że przyjdzie do niego Radek i kilku komunistów polskich i że Radkowi zależy na tym żebym ja również przyszedł.

Domski mieszkał w okolicy Nicolassee, trochę zamiejskiej dzielnicy, wygodnej z tego względu że był tam bardzo mały ruch i mało przechodniów, a więc łatwo było zauważyć tajniaków. Poszedłem do Domskiego z zachowaniem wszelkich środków ostrożności. Nikt za mną nie szedł, a okna mieszkania wychodziły na to właśnie jezioro — Nicolassee — tak że z przeciwnej strony nie można go było obserwować.

Kiedy przyszedłem zastałem już u Domskiego Czesławę Groszerową, lekarzkę z zawodu, wybitną polską działaczkę komunistyczną, należącą do Komitetu Centralnego, oraz Józefa Ciszewskiego, również członka K.C. Radek przyszedł trochę później razem z Sjemionem Firinem, którego w swoim czasie przewoził razem z mną Sliwkin do Berlina, i który, kiedy było trzeba, przypominał sobie swoje wileńskie pochodzenie i mówił biegle po polsku.

Wtedy to właśnie miała miejsce rozmowa, którą po latach opisałem w powieści „Rysy twarzy”. Uczestnicy rozmowy noszą w powieści nazwiska fikcyjne, ale rozmowa jest autentyczna.

A ponieważ pokazuje ówczesne nastroje komunistów polskich i samego Radka, przytaczam ją tu ze skrótami, zastępując fikcyjne nazwiska prawdziwymi.

.....

Mieszczaiństwo, perorował przedstawiciel Międzynarodówki, jest bagnetem, broniącym dostępu do twierdzy burżuazji. Osuszyć to trzęsawidło, to trzęsa —

— Trzęsawisko — odpowiedział Kamiński.

— Osuszyć je można tylko przeciągając na naszą stronę masy.

— Bez mas...

Radek potrząsnął swą nieproporcjonalnie wielką głową, wstrzymując Kamińskiego niecierpliwym gestem.

— Jest jeszcze jedna potęga, większa niż masy robotnicze. Nacjonalizm. Tak, tak, niemiecki nacjonalizm, nie udawajcie że nie rozumiecie co mówię. To jest bomba o większej sile wybuchowej niż dynamit. Chodzi tylko o to kto ją rzuci i w którym kierunku.

Kamiński i Sława Grosser wymienili między sobą znaczące spojrzenia. Radek spostrzegł to i odrzucił ich sprzeciw niedbałym ruchem ręki.

— Ci ludzie, nacjonaliści, faszyci czy jak tam chcecie, mają w sobie ładunek elektryczny, który trzeba wykorzystać: zranione uczucia narodowe, chęć odwetu za Wersal, nienawiść do Francji, i tak dalej. To jest motor, który ich pcha do czynu, jak para lokomotywę. Weźcie parowóz, usuńcie kocioł, i co wtedy zostanie? Rdzewiejące żelastwo, zdadne tylko na śmieć. Tak samo jest z ludźmi. Jedni mają w sobie płomień, w innych on już dawno wygasł. A jak mi taki, panie tego, nosi w kieszeni zaświadczenie że jest komunistą, to mu ono ognia w sercu nie zastąpi. Nam są potrzebni ludzie którzy chcą się bić, a czy to są nacjonaliści czy nawet faszyci, to mi jest wszystko jedno.

— Aha, powiedziała Sława Grosser, tośmy się nareszcie dogadali do ładnych kwiatków. No to już wybaczenie, ale my w naszym ruchu o takich rzeczach nawet nie gadamy. Podług nas są one poza nawiasem dyskusji.

Słowa „w naszym ruchu” były lekko podkreślone. Radek, który już w młodym wieku poznał na własnych losach słuszność maksymy, że nikt nie jest prorokiem między swymi, zauważył podkreślenie i pokwitował je lekkim skinieniem głowy, ale się nie obraził. Tłumaczył, że co innego popieranie faszystów, a co innego chwilowy z nimi sojusz, oraz wykorzystanie ich dla celów rewolucyjnych. Każdy człowiek ideowy, podnosił, „przedstawia sobą” olbrzymią wartość, ponieważ tylko tacy ludzie pchają naprzód historię, są jej lokomotywą. Tę lokomotywę prowadzą w danej chwili niemieccy nacjonaliści, szowiniści, butni Prusacy i faszyci. Ale pod kotłem lokomotywy pali się ogień i łatwiej zmienić jej kierunek, niż poruszyć z miejsca maszynę, pozbawioną węgla.

— Naturalnie, naturalnie, cedził już całkiem szyderczo Kamiński. Oni dadzą się przewekslować na nasz tor. Wystarczy gwizdnąć, żeby poleciali za nami.

— Może raczej my za nimi?...

— Nie mówię że od razu. Jeżeli im pokażemy, że chcemy walczyć razem z nimi przeciwko francuskim imperialistom...

— Dalej, dalej — zachęcał go Kamiński. — Skoro powiedzieliście „a”, musicie powiedzieć „b” i lecieć aż do „z”. Na końcu alfabetu będzie pewnie żądanie abyśmy się wyrzekli naszych haseł i przyjęli ich, faszystowskie. Wtedy naturalnie już będzie łatwo utworzyć wspólny faszystowsko-komunis-

tyczny front. *Deutschland über alles* z jednej strony sztandaru, „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!” z drugiej.

Radek penetrował swoimi sowimi oczami rozmówców, z miną człowieka dla którego wszystko od dawna jest jasne, i który się dziwi że się znalazł w tak naiwnym towarzystwie. Wybrał sobie jednego z nich i zwrócił się wprost do niego:

— Posłuchajcie, Sjemion. Gdyby wam kazali strzelać. Gdyby trzeba było strzelać. Bardzo by was w takim wypadku interesowało, jaka fabryka wyprodukowała kulę do waszego brauninga? Bo do tego wszystko się sprwadza.

— Jaka fabryka?

— A tak. Ich czy nasza. A, Sjemion? Wy jesteście spec od realnych spraw, nie od tej, psia jej mać, ideologii, to może wytłumaczycie tej polskiej szlachcie że jak kto jest *Schöngeist* — jak po polsku? Pięknoduch? Że jak kto jest pięknoduch, to niech pisze poezje, ale niech się nie bierze do rewolucji, ponieważ rewolucja nie jest poezją. I nie można jej robić w białych rękawiczkach.

Wystąpiły mu na policzki ceglaste wypieki, kiedy to mówił. Nie spodziewał się wcale że Firin mu odpowie. Podniósł się od stołu jak dowódca, który wyłożył podwładnym swój plan strategiczny i nie ma więcej z nimi o czym gadać. Stał już tyłem do Firina i ostro się odwrócił, kiedy tamten powiedział:

— Kula to nie człowiek. Kula wszędzie poleci, bo nie myśli. Ale człowiek myśli.

— Nikt od was nie żąda żebyście przestali myśleć! — krzyknął Radek. — Macie myśleć, ale do końca i nie bać się własnych myśli! Bez pomocy nacjonalistów rewolucji w Niemczech nie da się zrobić. To jest jedyna droga. A jeżeli ta droga prowadzi przez brud, to trudno, raz nie ma innej. Skoro nie ma innej. Tu jeden z was powiedział że nie nacjonałiści pójdą za nami, tylko my za nimi. A jeżeli nawet? Pójdziemy kawałek drogi, ale nie wyrzekając się naszych celów.

— Tylko je chowając — odpowiedział ironicznie Kamiński.

— Tak jest, chowając. Schowamy nasz sztandar do kieszeni i pójdziemy...

— Jako ich poputczyey...

— Może i do tego dojdzie. Czy oni będą naszymi poputczykami czy my ich, to wszystko jedno. Grunt w tym, kto będzie lepiej manewrował. Jakby się do tego wzięli tacy mędracy jak wy, to naturalnie oni by wygrali. Faszyści. Ale was nikt o pomoc nie prosi. Bywajcie zdrowi.

.....

Taka to była rozmowa. Myślę że dobrze ją zapamiętałem i wiernie ją tu oddaję. Mało się podczas niej odzywałem, może dlatego że to co Radek mówił wydawało mi się potworną herezją, na którą można odpowiedzieć nie argumentami, tylko krzykiem. Radek tego nie zrozumiał, i już wychodząc powiedział, że się pewnie z nim zgadzam. Doszło wtedy między nami do ostrej wymiany zdań. Widywałem go w późniejszych latach już tylko przelotnie, nie utrzymywaliśmy stosunków osobistych.

To co Radek powiedział o polskiej szlachcie było skierowane przeciwko Sławie Grosser, która nazywała się przed zamążpójściem Jachimowicz i pochodziła ze szlacheckiej rodziny. W sferach

komunistycznych nie było przyjęte wytykanie komuś jego szlacheckiego, żydowskiego czy jakiegokolwiek innego pochodzenia. Radek zrobił to dlatego że Sława go zirytowała. Nie tylko tym co powiedziała. Irytowała go w ogóle — i to było podczas rozmowy widoczne — bo była człowiekiem zupełnie innego niż on typu, bo jej światopogląd płynął z innych źródeł, bo choć zdawała sobie sprawę że rewolucji nie robi się w białych rękawiczkach, wierzyła że ją trzeba robić czystymi rękoma. Radek to wszystko wiedział. Wiedział też, że do Sławy zawsze garnęli się ludzie nie tylko z komunistycznego obozu, że miała mnóstwo osobistych przyjaciół, a on nie miał ich nigdy. Sam mi to kiedyś powiedział z dumą, dodając, że prawdziwy rewolucjonista nie może mieć przyjaciół, ale miałem wrażenie że jego duma była udawana. Ukrywała zawiść w stosunku do tych, dla których ruch rewolucyjny nie był, jak dla niego, maszyną o wielu kółkach, kierowaną przez mechanika, znającego się na rzeczy.

Czesława Grosserowa przyjechała do Berlina wkrótce po procesie Świętojurskim we Lwowie. Był to proces przeciwko uczestnikom konferencji partii komunistycznej Zachodniej Ukrainy. Konferencja odbywała się w zabudowaniach katedry Św. Jura, została zadenuncjowana przez prowokatora i wszystkich jej uczestników, zarówno Ukraińców jak i delegowanych na konferencję komunistów polskich, aresztowano. Grosserowa została w tym procesie niewinniona, ponieważ prokuratura nie miała dowodów że należała do partii. Podczas procesu na nią głównie napadała prasa endecka, zarzucając jej nie tyle komunizm ile to że wyszła za mąż za Żyda, choć pochodziła z tak dobrej rodziny (Arcybiskup Jachimowicz był jej stryjecznym bratem).

Proces Świętojurski trwał prawie dwa miesiące. Jeden jego szczegół utkwiał mi w pamięci. Sława Grosserowa, przed jej aresztowaniem, odnajmowała we Lwowie pokój u jakiejś Ukrainki, nie mającej nic wspólnego z ruchem komunistycznym. Prokurator wezwał ją na świadka. Powiedziała że Grosserowa u niej mieszkała, że nie znała jej przedtem i nic więcej o niej nie wie, po czym zapytała, czy może się z nią przywitać. Zanim jeszcze jej pozwolili, rzuciła się Grosserowej na szyję, płacząc i całując ją.

Ten szczegół zbliżył mnie do Sławy Grosser, której przedtem nie znałem, ponieważ zawsze szukałem prawdziwych ludzi, a takich na świecie zbyt dużo nie ma. Zaprzyjaźniłem się z nią w Berlinie, dokąd przyjechała bez palta, bo je komuś podarowała po drodze.

Zamordowano ją w Moskwie, tak samo jak innych polskich komunistów, w roku 1937. Mieszkała w Moskwie z córką Marią, jej mąż dawno już wtedy nie żył. Córkę aresztowano w kilka

dni po niej. Traf zdarzył że spotkała się z nią we wspólnej celi jednego z więźni, ale dała jej znak, żeby się do niej nie zbliżała i udawała że jej nie zna. Liczyła na to że przy wielkiej ilości aresztowanych i wielkim bałaganie z tego wynikającym władze mogą zapomnieć że jest to jej córka i los jej byłby może wówczas lepszy. To że Maria była córką znanej polskiej komunistki przekreślało wszelkie nadzieje na jej uratowanie.

7.

Śmierć Lenina. — Listy Karla Kautskiego, Tomasza Manna i innych. — Wyjeżdżam z Niemiec

W nocy z 21 na 22 stycznia 1924 roku umarł w Gorkach pod Moskwą Lenin. Już na wiele miesięcy przedtem było wiadomo że jego dni są policzone. Choroba Lenina i kwestia kto go zastąpi stały się naczelnym zagadnieniem w komunistycznym świecie, jego śmierć była dla tego świata wielkim ciosem. Było bowiem jasne że oznacza ona koniec epoki, zapoczątkowanej przewrotem bolszewickim w roku 1917, który bez Lenina z pewnością nie doszedłby do skutku. Świat komunistyczny ogarnął pesymizm, udzielił się on i mnie. Potęgowało go jeszcze to, że Lenin umarł w chwili kiedy nadzieje na rewolucję w Niemczech, a więc i na rewolucję na Zachodzie w ogóle, zostały pogrzebane na długie lata. Związek Sowiecki, który miał wzniecić pożar rewolucji wszechświatowej i którego samo istnienie oraz cała polityka były ku temu skierowane, wstępował na nową drogę, pokrytą mrokiem.

Mnie osobiście niepokoiło jeszcze co innego. Broniełem się zawsze niemal panicznie przeciwko uwielbianiu wszelakiego rodzaju autorytetów, nie uznawałem żadnych piedestałów ani stojących na nich posągowych postaci. Nie chciałem składać na nikogo trudu myślenia. Byłem, chyba od dzieciństwa, głęboko przekonany że wszystkie bez wyjątku wierzenia i teorie, że Marks i wszystko inne nie mogą zastąpić własnego kodeksu, do którego dochodzi się swoim własnym rozumowaniem i że zawsze i wszędzie trzeba się kierować tylko jego nakazami. Bałem się bałwochwaltwa i mocno byłem z siebie niezadowolony, kiedy wykrywałem w sobie jakieś jego oznaki. A po śmierci Lenina to się właśnie ze mną wydarzyło. Przyłapywałem się na myślach o Leninie jako o genialnym wodzu, bez którego wszystko się rozwali.

Innymi słowy, wyrzucałem sobie swój bezkrytyczny do niego stosunek. Pamiętam że któregoś dnia, kiedy gazety pełne były

wiadomości o jego pogrzebie, błąkałem się kilka godzin po ulicach Berlina, aby jakoś uporządkować swoje do niego nastawienie, aby je przeświecić i, znajdując przyczyny tej choroby, wyzbyć się jej. Uprzytomniłem sobie wtedy że mój stosunek do Lenina nie miał nigdy podkładu osobistego, a miał tylko polityczny, że nie był uczuciowy, a tylko rozumowy. A jeśli tak, to był przecież Kronsztad i było Rapallo. I była jeszcze jedna sprawa, już nawet raczej nie polityczna i dla mnie z tego właśnie powodu ważna.

Dotyczyła ona niejakiego Mikołaja Rożkowa, historyka, autora wielkiego dzieła, poświęconego historii Rosji. Ów Rożkow był z Leninem na zesłaniu. Należał wówczas do partii bolszewickiej, ale po powrocie z zesłania został mieniszewikiem. Kiedy w roku 1921 deportowano z Rosji mieniszewickich liderów, Rożkow zwrócił się do Biura Politycznego K.C. z prośbą, aby mu pozwolono zostać w Moskwie, ponieważ już dawno odszedł od spraw politycznych i pracuje tylko naukowo. Biuro Polityczne uwzględniło tę prośbę.

Lenin wówczas chorował i nie był obecny na posiedzeniu, które tę sprawę rozpatrywało. Kiedy się dowiedział że Rożkowi pozwolono pozostać w Moskwie, zaprotestował przeciwko temu. Biuro Polityczne potwierdziło swoją poprzednią decyzję. Lenin, wciąż jeszcze chory, nie dał za wygraną, napisał nowy list, utrzymując że Rożkow jest niebezpiecznym dla rządu mieniszewikiem i że należy go deportować. Sprawa załatwiona została w końcu kompromisowo. Rożkowa z Rosji nie wysłano, ale nie pozwolono mu mieszkać w Moskwie. Nie był zresztą, jak się okazało, bardzo zaciętym mieniszewikiem. W jakiś rok później ogłosił list otwarty w prasie że się znów nawrócił na bolszewizm.

Słyszałem o tej historii od pewnego przyjeźdnego z Moskwy, który Rożkowa dobrze znał. Nie świadczy ona o jakichś specjalnie złych cechach charakteru Lenina. Na zesłaniu, we wspólnych celach więziennych, w barakach obozowych rodzą się często nienawiści o wysokim natężeniu, od których poprzednia przyjaźń nie chroni. Powstają one z tego że się kogoś widzi ze zbyt bliskiej odległości i bez przerwy, co jest niebezpieczne. Zaczyna go się w końcu nienawidzić nie za to co mówi, a za to jak mówi, jak je, jak śpi. Znałem kilka takich wypadków i sam w jednym z więzień znienawidziłem współwięźnia z tych zapewne powodów, choć przypisywałem mojej nienawiści w tym czasie inne, bardziej wzniosłe motywy. To samo było prawdopodobnie z Leninem i wykazuje tylko że był takim samym człowiekiem jak inni, a nie nadczłowiekiem.

Wspomnienie sprawy Rożkowa ulżyło mi i zaraz zaświtała

mi w głowie myśl, że muszę koniecznie coś zrobić. Ten pociąg do aktywności ogarniał mnie zawsze kiedy coś się wydarzało, coś takiego czemu nie można zaradzić, ale co można złagodzić wyęzowaną aktywnością, przywracającą duchową równowagę.

W taki to sposób Rożkow, nic o tym nie wiedząc, stał się bodźcem ku temu, że powstała dosyć ciekawa książeczka, którą znaleźć można w wielu bibliotekach. Postanowiłem zwrócić się do różnych wybitnych ludzi w Europie — z Ameryką nie miałem wtedy żadnych kontaktów — z prośbą aby mi napisali, jakiego byli o Leninie zdania. Ich wypowiedzi chciałem wydać w książce, ale najpierw zamierzałem je ogłosić w *Izwiestiach*. Podjąłem tę pracę trochę i dla zaspokojenia własnej ciekawości, chciałem wiedzieć co myślą o Leninie po jego śmierci nie jego zwolennicy, tylko raczej przeciwnicy polityczni oraz wybitni pisarze.

Zreferowałem piśmiennie mój projekt redaktorowi *Izwiestii*, dodając że mogę go urzeczywistnić tylko w tym wypadku, jeśli Stieklów zgodzi się na dwa zasadnicze warunki. Po pierwsze na to że wszystkie bez wyjątku wypowiedzi zamieszczone zostaną w *Izwiestiach* w całości, które to zobowiązanie, w imieniu redakcji, przekażę osobom, do których się zwrócę, zapewniając je jednocześnie że żadna wypowiedź, niezależnie od jej treści, nie będzie pominięta. Drugi warunek polegał na tym że sam wybiorę osoby do których się zwrócę i że nie będą to ani komuniści ani „poputczycy”, których wypowiedzi, z góry wiadome, byłyby nieciekawe.

Stieklów, prawdopodobnie po zasięgnięciu opinii odpowiednich organów, oba warunki przyjął. Odpowiedział mi bardzo szybko, może dlatego że sam on, jak również ci, do których się zwrócił, byli ciekawi, co z mojego projektu wyjdzie.

Wziąłem się więc do pracy. Do niektórych osób — dużej większości — napisałem listy, z innymi rozmawiałem. Wszyscy bez wyjątku spełnili moją prośbę. Byli wśród nich: Bernard Shaw, Romain Rolland, Tomasz Mann, Henryk Mann, Arthur Brisbane, Fridjof Nansen, Edward Herriot, Victor Bache, przewodniczący francuskiego parlamentu Paul Painlevé, przewodniczący Reichstagu Paul Löbe, przewodniczący pruskiego Landtagu Robert Leinert, obaj socjal-demokraci, niemieccy pacyfiści Helmuth von Gerlach i Maximilian Harden, przywódca austriackich socjalistów Otto Bauer, socjaliści Georg Ledebour i Karl Kautsky, i kilku innych.

Najciekawszy i najdłuższy — wielostronicowy — list napisał Karl Kautsky, jeden z założycieli niemieckiej socjal-demokracji i jej największy teoretyk, odgrywający czołową rolę w międzynarodowym ruchu socjalistycznym. Lenin niejednokrotnie polemiz-

zował z nim, napisał nawet o nim specjalną broszurę, a w jednym ze swoich artykułów* zmieszał go z błotem, nazywając go lokajem imperializmu, zdrajcą i renegatem. Kautsky nie napisał o tym w swoim liście ani jednego słowa. Pisał o Leninie jako o wielkiej historycznej postaci, podnosił jego zasługi dla międzynarodowego ruchu robotniczego, mówił o jego pracach teoretycznych i ograniczył swą krytykę do jednej tylko, ale bardzo zasadniczej sprawy: „Błąd Lenina”, napisał, „polegał na tym że liczył na rewolucję w Europie. Każdy kto zna Zachodnią Europę, wie że to była iluzja”.

List Kautskiego był, mówiąc nawiasem, jedynym, z którym miałem trochę zabawnego kłopotu. Kautsky, którego znałem, skierował go osobiście do mnie i list zaczynał się od słów „Drogi towarzyszu Solski”. Kiedy go przesłałem, Stieklów zatelegrafował że w tej formie wydrukować listu nie może. Chodziło mu nie o treść, tylko o słowo „towarzysz”. Komuniści nie tytułowali socjalistów towarzyszami i nie chcieli, aby socjaliści ich tak tytułowali, a o Kautskim Lenin nigdy nie pisał „towarzysz”, tylko „pan Kautsky”, albo jeszcze gorzej. Czy by się nie dało, pytał Stieklów, usunąć to słowo, rażące oczy? Ewentualnie za zgodą Kautskiego? Odpowiedziałem że rozmawiać o tym z Kautskim nie mogę i przypomniałem naszą umowę. List Kautskiego został wydrukowany wraz z tym szokującym Stieklowa wyrazem.

Inne listy wskazywały, jak wielkim osobistym szacunkiem cieszył się Lenin w Europie. Paul Löbe pochwalił się tym, że stykał się z Leninem jeszcze przed rewolucją i że już wówczas wywarł on na niego wielkie wrażenie. Inni niemieccy i austriaccy socjaliści, jak Robert Leinert, Otto Bauer i Georg Ledenbour, podkreślając swoje pogładowe różnice z Leninem, niemniej oceniali bardzo pozytywnie jego zasługi dla rewolucji rosyjskiej, nie poruszając jednak zagadnienia rewolucji w innych krajach. Brzmiało to trochę jak rosyjskie przysłowie *Czto dlia russkawo zdorowo, to Niemca smiert'* — co jest zdrowe dla Rosjanina, jest śmiertelne dla Niemca — ale szacunek, a nawet miejscami uwielbienie dla Lenina przenikały i te wypowiedzi. Romain Rolland napisał, że nigdy się nie zgadzał z Leninem i z rosyjskim bolszewikami i nigdy tego nie ukrywał, ale że „postać Lenina niesłychanie go pociągała”, a Helmuth von Gerlach, że „Lenin zrobił tyleż dla rosyjskiego proletariatu co Bismarck dla niemieckiej burżuazji”; ale że, jak uczy historia, „niczego nie można budować mieczem i krwią, bowiem wszystko w ten sposób zbudowane obala znowu miecz i krew”. Najbardziej entuzjastycznym ze wszyst-

* *Prawda* z 11 października 1918.

kich — całkiem dla mnie niespodzianie — okazał się list Alfreda Kerra, czołowego niemieckiego krytyka i eseisty, który napisał że „Lenin dokonał największego społecznego czynu w historii świata w ciągu dwóch tysięcy lat”, że „ten zmarły powstawać będzie z grobu w tysiącach postaci aż do chwili kiedy na ziemi, zamiast chaosu, zapanuje sprawiedliwość”, i tak dalej.

Wszystkie wypowiedzi, po wydrukowaniu ich w *Izwiestiach*, wydałem w książeczce, którą zaopatrzyłem krótką przedmową. Napisałem w niej m.in., odpowiadając niemieckim pacyfistom, że gdyby Lenin usiłował wprowadzić nowy ustrój drogą pokojową, to niczego by pewnie nie osiągnął. Książeczkę ofiarowałem komunistycznemu wydawnictwu *Neuer Verlag* w Berlinie, a w Rosji wydawnictwu *Stowarzyszenia starych bolszewików*, które w późniejszych latach Stalin rozwiązał po wymordowaniu wszystkich niemal jego członków.

Książeczka wyszła później w kilku jeszcze językach, ale w Public Library w Nowym Jorku odnalazłem tylko jej wydanie niemieckie*. Zamiast honorarium przyjąłem od Willi Münzenberga, kierownika *Neuer Verlag*, samopiszące pióro. Münzenberg, bardzo wybitny działacz, zerwał ze stalinizmem w Paryżu podczas procesów moskiewskich. W trzy lata później znaleziono go powieszzonego w lesie na południu Francji. Może powiesił się sam, a może nie.

Jego pióro — dał mi swoje własne — mam do dziś dnia. Przedmioty, zwłaszcza małego rozmiaru, żyją zwykle znacznie dłużej niż ludzie.



Po poronionej rewolucji komunistycznej i nieudanym puczu Hitlera w listopadzie 1923 roku sytuacja w Niemczech zaczęła się stabilizować. Wpłynęło na to kilka czynników. Francuski premier Poincaré przepadł na wyborach, nowym premierem został Edward Herriot, zdecydowany przeciwnik ostrej polityki w stosunku do Niemiec. Jednocześnie, na podstawie „Planu Dawes’a”, amerykańskiego bankiera, przyjętego przez mocarstwa europejskie, Niemcy otrzymały poważną pożyczkę. Plan przewidywał także stopniową ewakuację Zagłębia Ruhry. Ważnym czynnikiem stabilizacji była wreszcie reforma walutowa. Stare banknoty, jako nie mające żadnej wartości, wycofano po prostu z obiegu i wprowadzono nową walutę, której kurs, w stosunku do dolara, był stały i takim pozostał w ciągu wielu lat.

* *Gegenwart über Lenin* (Lenin w oczach współczesnych), Neuer Verlag, Berlin, 1924.

Nowy francuski premier był zwolennikiem dyplomatycznego uznania Związku Sowieckiego przez Francję, co też nastąpiło w roku 1924. Było to dla Moskwy wielkim wydarzeniem. Po klęsce niemieckiej i po śmierci Lenina ten dar spadł jakby z nieba i otwierał przed nią nowe horyzonty. Punkt ciężkości sowieckiej polityki zagranicznej przerzucony został z Berlina do Paryża, który był oczywiście o wiele szerszym i bardziej obiecującym oknem na świat niż stolica Niemiec.

Jeszcze przed oficjalnym uznaniem, ale kiedy już było wiadomo że wkrótce ono nastąpi, otrzymałem z Moskwy dyplomatyczną pocztą kartkę, której zielonawy kolor i wygląd były mi znane: wyciąg z protokołu posiedzenia Biura Politycznego. Z lewej strony „rozważano”, z prawej „postanowiono”. Biuro Polityczne, nie pytając mnie nawet o zgodę, postanowiło przenieść mnie, jako korespondenta *Izwestii*, z Berlina do Paryża. Wkrótce później nadszedł wylewny list Stieklowa z mnóstwem komplementów pod moim adresem i zapewnieniem że nie tylko on, ale i Biuro Polityczne nadzwyczaj wysoko oceniają moją pracę i z tego właśnie powodu postanowiono skierować mnie do Paryża, gdzie będę bardziej potrzebny niż w Berlinie.

Nie lubię zbyt wiele komplementów, zwłaszcza za jaskrawych, ponieważ prawie zawsze coś się za nimi kryje. W tym wypadku mogły one ukrywać chęć odwołania mnie z Berlina, czego rząd niemiecki, acz delikatnie, wciąż się jeszcze domagał. Nie bardzo się jednak nad tym zastanawiałem, bo wyjazd z Berlina był mi na rękę. Choć nigdy w głębi duszy nie wierzyłem że rewolucja w Niemczech się uda, bardzo chciałem żeby się udała i po jej klęsce Berlin stał się dla mnie miastem zawiedzionych nadziei.

A do tego dochodziło że miałem jechać do Paryża! Nie byłem przedtem nigdy w Paryżu ani we Francji, ale Paryż był dla mnie pojęciem niemal magicznym, słowem niemal świętym, magnezem, którego pociągającą siłę czułem już w pierwszych latach mojej młodości.

8.

Rozczarowanie Paryżem. — Wyobraźnia, realniejsza od prawdy. — Rozczarowanie mija. — Paryż w czasie, kiedy wszystko było lepsze

Miałem jechać do Paryża z żoną i kilkoma przyjaciółmi, ale tak się złożyło że pojechałem sam, dopiero po kilku dniach. Pociąg przyszedł wieczorem, na Dworcu Północnym czekała żona

i ci przyjaciele. Był wśród nich Dymitri Tiomkin, znakomity sowiecki pianista i bardzo utalentowany kompozytor, który wemigrował później do Ameryki, gdzie zdobył wielką sławę jako autor sacharynowych melodii, ilustrujących filmy. Tiomkin, pełen entuzjazmu dla Paryża, kazał mi złożyć walizkę w hotelu i zaraz, natychmiast wyruszyć taksówką na objazd miasta. Pojechalśmy — żona, Tiomkin, ja i jeszcze ktoś. Najpierw na Plac Zgody, później na Pola Elizejskie, i Wielkie Bulwary, i plac, gdzie kiedyś wznosiła się groźnie Bastylia, i jeszcze, i jeszcze. Żona i przyjaciele wymieniali okrzyki zachwytu, a ja milczałem. Coraz więcej milczałem.

Przeżywałem jedno z największych rozczarowań w życiu. Jego źródłem było to, że wyobrażałem sobie Paryż zupełnie inaczej. Paryż w mojej imaginacji powstał z opowiadań Maupassanta, z powieści Wiktora Hugo i Emila Zoli. Był to obraz dokładny, Paryż śnił mi się po nocach zanim go zobaczyłem. Rozmowa Wokulskiego z Geistem w Grand Hotelu i Paryż doktora Judyma — to były rzeczy bardziej realne niż rzeczywistość, która łamała mój obraz Paryża i niweczyła go. Napięcie elektryczne, które przywiozłem w sobie i które powstało z oczekiwania że teraz oto wszystko się ziści, spadało w miarę przejazdu po prawdziwym Paryżu, aż wreszcie całkiem znikło, jakby ktoś przeciął nożem drut, przez który przepływał prąd. Pozostało uczucie zawodu, nieoczekiwanego i bolesnego. Paryż który zobaczyłem wydawał mi się powszedni i smutny.

Takie było moje pierwsze z nim zetknięcie. Później, kiedy przyjechałem do Paryża po raz drugi, to złe wrażenie zupełnie się ulotniło. Bo wtedy wyjechałem, zaraz na drugi dzień, na znak protestu przeciwko temu że Paryż oszukał mnie i zawiódł, i wróciłem dopiero po tygodniu czy dwóch. Pojechałem do Marsylii, żeby odwiedzić mojego wuja Ludwika, tego co to miał kiedyś w Łodzi aptekę, i jego rodzinę. Z Marsylii jest blisko do Nicei, do Cannes i do Monte Carlo, więc zwiedziłem i te okolice. W Monte Carlo wygrał niegdyś w ruletkę poważną sumę poeta Jaśniach z „Dziejów Grzechu”, ale mu to nie pomogło, bo już był bardzo chory i wkrótce umarł, oczywiście na suchoty, bo jakże inaczej mógł umrzeć poeta na przełomie dwóch wieków. Dziś poeci umierają inaczej, niektórzy w obozach i więzieniach, inni, jak Jesienin czy Majakowski, z własnej woli, a jeszcze inni stają się anty-poetami, i choć umierają jako poeci, radzą sobie jakoś w tym innym zawodzie i gruźlica bynajmniej im nie grozi. Patrzałem na Monte Carlo i na całą Riwierę oczyma Jaśniacha. Wszystko było tak jak Żeromski napisał, nic się nie zmieniło.

Po powrocie do Paryża złożyłem zaraz wizytę pewnemu panu

w podniszczonej marynarce, wypchanych na kolanach spodniach, powykrzywianych od starości butach i z olbrzymią kudłatą brodą. Był to Charles Rappaport, stary rewolucjonista pochodzący z Rosji, którego już w roku 1897 sądzono, razem z bratem Lenina Aleksandrem Uljanowem, za udział w zamachu na cara Aleksandra III-go. Rappaport wyszedł cało z tego procesu i wkrótce potem emigrował do Francji, gdzie był długo socjalistą, a później, aż do czasu moskiewskich procesów, komunistą. Napisał wiele uczonych dzieł i był, jak mi kiedyś powiedział, jedynym człowiekiem we Francji, który przeczytał całego Marksa. Był to naturalnie żart i przesada, ale tylko lekka przesada. Zaprzyjaźniłem się z nim od razu, podczas pierwszej wizyty, a w późniejszych latach, kiedy mieszkałem w Paryżu przed drugą wojną, odnowiłem tę przyjaźń i często go odwiedzałem w kamienicy naprzeciw wzięcia Santé, gdzie mieszkał. Rappaport znał pół Paryża. Któregoś wieczoru zaprosił mnie do kabaretu „Noctambules” w dzielnicy łacińskiej. Chciał kupić w kasie bilet, ale kasjerka, która go poznała, powiedziała że może wejść bez biletu. „W takim razie proszę mi sprzedać bilet dla mojego przyjaciela”, rzekł Rappaport. Kasjerka wręczyła mu dwa bilety bezpłatne. Przedstawienie już się zaczęło, ale kiedy Rappaport ukazał się na widowni jeden z aktorów przerwał je i przywitał Rappaporta ze sceny przy oklaskach publiczności.

Rappaport cieszył się ogromną osobistą popularnością, ale w ostatnich latach życia nikt go już nie pamiętał. Przeżywał tragedię starości, największą ze wszystkich tragedii ludzkich. Jego przyjaciele stopniowo powymierali, a młodsze pokolenia przestały się nim interesować. Trudno mu było chodzić, leżał na kanapie ze wzrokiem utkwionym w aparat telefoniczny na stoliku. Telefon nigdy nie dzwonił. Często u niego przesiadywałem, telefon zawsze milczał. Mało jest na świecie rzeczy bardziej tragicznych, niż taki milczący telefon.

Kiedy w roku 1924 składałem mu pierwszą wizytę, czułem się na schodach trochę nieswojo. Charles Rappaport był przed moim przyjazdem paryskim korespondentem *Izwestii*. Posyłał jednak korespondencje rzadko i nieregularnie. W Moskwie uznano że, wobec nowej sytuacji, ja będę się do tej pracy lepiej nadawał.

Moje obawy rozwiąły się już po kilku minutach rozmowy. Rappaport przyjął mnie bardzo serdecznie, okazało się że pracuje nad nową książką i na pisanie korespondencji brak mu czasu, zresztą nigdy go to nie pociągało. Pomagał mi później jak mógł, zwłaszcza jeśli chodziło o uzyskanie wywiadu u jakiegoś ministra lub męża stanu — znał ich wszystkich i z wieloma był na ty,

ponieważ stawiali przeważnie pierwsze kroki polityczne na socjalistycznej arenie i był niegdyś ich mentorem.

Pracowałem w Paryżu w pierwszych miesiącach niewiele, zapoznając się raczej z terenem. Było to niezbędne, bo go nie znałem i zaraz po przyjeździe popełniłem dużą gaffę. Posłałem listy do kilku francuskich socjalistów, prosząc ich aby się wypowiedzieli na temat przyszłych sowiecko-francuskich stosunków. Odpowiedzi były banalne, że niby owszem, ale się zobaczy. Ale były grzeczne, z wyjątkiem jednej, dosyć niegrzecznej, której autor napisał, że polityka mało go interesuje, więc żebym mu nie zawracał głowy, ale że ma jakieś rosyjskie przedrewolucyjne papiery wartościowe, więc zapytuje, kiedy nareszcie bolszewicy mu za nie zapłacą. List był podpisany imieniem i nazwiskiem bardzo wybitnego socjalisty, członka parlamentu. Przesłałem go do *Izwestii*, a Stieklów zaopatrzył list komentarzem, że oto, jak się okazuje, francuscy socjaliści interesują się bardzo carskimi obligacjami i niczym więcej. Francuski socjalista nadesłał wówczas list, że się do niego nigdy nie zwracałem. Miał rację. Wziąłem jego adres z książki telefonicznej, w której nie figurował, a w której był jakiś inny pan, noszący to samo imię i nazwisko. Inne gaffy wynikały z mojej niedostatecznej znajomości francuskiego. Wydawało mi się że znam francuski znakomicie i tylko dla pewności dyktowałem listy maszynistce towarzysza Merlé, szefa paryskiego biura ROSTY, Francuza rodem z Warszawy. Przyszedłem kiedyś do jego biura i powiedziałem jej że chciałbym coś podyktować, ale nie w gabinecie Merlé, bo się tam kręciło za dużo ludzi, tylko w jej pokoju — *dans votre chambre*. Bardzo przystojna Charlotte wybuchnęła śmiechem i opowiedziała wszystkim w biurze o tej propozycji. Nie wiedziałem że *chambre* oznacza po francusku wyłącznie pokój sypialny, każdy inny nazywa się *piece*.

Nie zrazałem się jednak wielce moimi gaffami ani lapsusami językowymi. Paryż wrzał wtedy życiem, był o wiele ładniejszy, przyjemniejszy, bardziej ludzki i bardziej paryski niż po drugiej wojnie. Ludzie starsi wiekiem zawsze twierdzą, że za czasów ich młodości wszystko było lepsze, ale w tym wypadku mogę powiedzieć z ręką na sercu że naprawdę było. Paryż lat sześćdziesiątych i późniejszych całkowicie zniekształciły samochody i dolary. W latach dwudziestych Paryż należał do chodzących pieszo. Spacery po mieście i przyglądanie się ludziom i rzeczom było jedną z największych paryskich przyjemności, istniało nawet słowo, tę rozrywkę charakteryzujące i odnoszące się tylko do Paryża: *flaner*. Teraz piechurzy w Paryżu przesuwają się z trudem przez parkujące nawet na chodnikach samochody, przejście

na drugą stronę ulicy wymaga dużych akrobatycznych zdolności, a terasy najstarszych, najprzyjemniejszych kawiarni na Bulwarze Saint-Michel odgrodzono od ulicy, która była dawniej ich dalszym ciągiem, szklanymi płotami, za którymi zasiadają panowie i panie ze stanu Ohio, pokrzedając się *hot dogs* — parówkami — i popijając piwo. To mnie może najbardziej boli, bo w tych kawiarniach, na przykład w istniejącej jakieś dwieście lat „La Source”, pisały powieści i poematy całe pokolenia lepszych lub gorszych pracowników pióra, i ja to też czyniłem.

A jakie były wtedy teatry i jakie piosenki! Nikt jeszcze wówczas nie wymyślił anty-sztuk, przeznaczonych dla masochistów, odczuwających wielkie zadowolenie z tego powodu że autor znęca się nad nimi, nie pozwalając niczego zrozumieć, bo to by obniżyło niebosiężny poziom tych utworów. Wtedy wystawiano w Paryżu sztuki Edwarda Bourdeta, Jacques Dévala i Marcela Pagnola, takie jak „Les temps difficiles” (Ciężkie czasy), „Prière pour les vivants” (Modlitwa za żyjących) i „Les marchands de gloire” (Handlarze sławą). Były to sztuki pisane zwykłym językiem, zwykłymi słowami, bez żadnych sztuczek, sztuki głęboko rewolucyjne, w najwyższym znaczeniu tego słowa, bowiem prawdziwa sztuka jest zawsze rewolucyjna, niezależnie od poglądów autora, a szmira, również niezależnie od tego, zawsze reakcyjna, w każdej szacie, także i wówczas, kiedy się ją zawija dla niepoznaki w pseudonowatorską płachtę.

Zaraz skończę zachwycać się Paryżem lat dwudziestych — nie mogę tu poświęcić tym zachwytom tyle miejsca ile bym chciał — tylko jeszcze kilka słów o piosence. Paryską piosenkę zamordowały mikrofon i głośnik. W paryskich teatrykach i kabaletach, słuchając piosenkarzy i piosenkarek, trzeba zatykać rękoma uszy. Tylko wówczas przedziera się przez ręce coś na kształt piosenki. Prąd elektryczny wzmacnia głos do rozmiarów maksymalnych, zniekształcając go zupełnie, a wzmocniony w ten sam sposób zespół instrumentalny, którego zadaniem jest niby to stworzenie muzycznego tła, zagłusza wszystko. Ale podobno publiczność to lubi. Żąda żeby było głośno, jak najgłośniej. W Ameryce też.

Taki system nie przynosi zresztą nikomu wielkiej szkody, bo piosenki są złe. Każdego roku wybija się jedna albo dwie, zwykłe na krótko. Inne umierają, nikt ich nie pamięta, nikt ich na ulicy albo dla siebie nie nuci. W dwudziestych latach Paryż żył piosenkami, było ich mnóstwo, wciąż nowych. Niektóre śpiewają w Paryżu do dziś dnia. Ale wtedy nie znano jeszcze mikrofonów i piosenki komponowano dla ludzi, sprawdzając nawet często zawczasu, czy się będą podobały. Jak to można sprawdzić?

Można, bez komputerów i bez wielkich organizacji, zajmujących się badaniem opinii publicznej z zastosowaniem najnowszych amerykańskich metod. W dwudziestych latach wydawnictwa muzyczne wynajmowały ulicznych śpiewaków. Można ich było usłyszeć na wielu ulicach, otaczało ich gęste koło słuchaczy i słuchaczek, śpiewali przy akompaniamencie harmonii. Zawsze tylko nowe piosenki. Po odśpiewaniu każdej sprzedawali nuty wraz z tekstem, które kosztowały tyle co gazeta. Niektóre kupowano, inne nie. Wydawnictwa obliczały, ile nut każdej piosenki sprzedano i lansowały już na wielką skalę te, które miały największe powodzenie. Wtedy dopiero śpiewali je znani piosenkarze w *Casino de Paris*, wtedy dopiero rzucano na rynek płyty.

Dziś to wszystko robi się inaczej. Płyty gramofonowe, telewizja i radio przynoszą wydawcom muzycznym wielomilionowe zyski. Jest to, zwłaszcza w Ameryce, wielki przemysł, a Paryż i pod tym względem naśladuje Amerykę. I wskutek tego wszystko ześrodkowane jest w rękach niewielu ludzi, kompozytorów i wydawców, którzy otoczyli ten przemysł tęgim murem, przez który nie przelezie nikt z zewnątrz. Piosenka została zmonopolizowana i wpycha się ją publiczności przy pomocy telewizji, radia i przede wszystkim reklamy. Praktyka wykazuje że można w ten sposób wepchnąć wszystko co się chce.

9.

Dziwna depesza z Moskwy. — Mieszkam sam w gmachu ambasady. — Włodzimierz Majakowski

Kilka miesięcy po przyjeździe do Paryża otrzymałem z Moskwy depeszę, podpisaną przez Cziczerina, abym przejął od rządu francuskiego gmach rosyjskiej ambasady przy ulicy de Grenelle i zamieszkał w nim.

Myślałem że to jest jakiś kawał i że któryś z moich znajomych odpłaca mi pięknym za nadobne. Podczas rokowań pokojowych w Rydze delegacja sowiecka miała bezpośrednią komunikację telegraficzną z Komisariatem do Spraw Zagranicznych. Na najwyższym piętrze naszego hotelu pracowało dwóch telegrafistów, ich aparat wystukiwał na papierowej taśmie literami, a nie znakami Morse, polecenia z Moskwy, niekiedy zaszyfrowane, niekiedy nie. Można było jednak również wystukiwać słowa na taśmie odręcznie, jak na maszynie do pisania. Nauczyłem się tej sztuki i telegrafisci, z którymi byłem w dobrej komitywie, komunikowali od czasu do czasu członkom delegacji niespodziane i

ciekawe wiadomości. „Mianowałem” na przykład w ten sposób Juliana Leszczyńskiego posłem sowieckim przy Watykanie, choć Moskwa nie miała z Watykanem stosunków dyplomatycznych.

Sądziłem więc że ktoś mści się na mnie w podobny sposób. Ale okazało się że nie. Nadeszła depesza od Stieklowa że depeszę Cziczerina zaaprobował i jeszcze jedna od Cziczerina, abym się skomunikował z Rakowskim, sowieckim posłem w Londynie*. Zatelefonowałem do niego i dowiedziałem się, o co chodzi.

Gmach ambasady, przed uznaniem rządu sowieckiego przez Francję, był w rękach dawnego rosyjskiego posła W. A. Makłakowa. Makłakow, brat przedrewolucyjnego ministra Spraw Wewnętrznych N. A. Makłakowa, nie chciał się plamić kontaktem osobistym z bolszewikami** i przekazał gmach wraz z jego bogatą zawartością rządowi francuskiemu w osobie jego przedstawiciela, niejakiego pana Jeanot, pięknego mężczyzny z kwadratową czarną brodą. Pan Jeanot, ze swojej strony, miał oddać gmach sowieckiemu posłowi, który jeszcze nie przybył — ani on, ani żaden z pracowników poselstwa. Jego przybycie się przeciągało, nie pamiętam dlaczego, a rządowi francuskiemu zależało na tym, aby rząd sowiecki wziął w swoje posiadanie gmach przy ulicy de Grenelle jak najprędzej. Może zresztą zależało na pośpiechu nie Francuzom tylko Cziczerinowi, tego też już nie pamiętam. Pamiętam tylko że wszystko miało być załatwione już-już, w trybie galopującym. Depesza Cziczerina nie była zresztą całkiem ścisła. Rakowski powiedział mi że gmach przejmie oficjalnie on, a tylko faktycznie ja i że francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych zostało już o wszystkim powiadomione.

Chrystian Rakowski, stary rewolucjonista, trochę Bułgar, trochę Rumun, trochę Rosjanin i trochę Francuz, bo praktykował przed pierwszą wojną w Orleanie jako lekarz, przyjechał do Paryża po kilku dniach. Oczekiwałem go na dworcu, skąd pojechaliliśmy wprost na ulicę de Grenelle, gdzie znajdował się już pan Jeanot i jeszcze kilku panów z Quai d'Orsay o bardzo uroczystych minach, jak również przedstawiciele prasy. Pomaszero-

* Nigdy nie wiedziałem i do dziś dnia nie wiem, jak głęboka jest przepaść, dzieląca ambasadora od posła. Mógłbym się łatwo dowiedzieć od byłych emeszetowców, którzy się na takich sprawach świetnie wyznają, ale mi się nie bardzo chce tracić na to czas. Wszystkich przedstawicieli pełnomocnych, posłów nadzwyczajnych, ambasadorów i posłów zwykłych będą nadal nazywał w tej książce po prostu posłami.

** W roku 1945 tenże Makłakow, w asyście admirała Kiedrowa i innych reprezentantów starej emigracji rosyjskiej, złożył wizytę stalinowskiemu posłowi Bogomołowowi w tym samym gmachu, aby powinszować zwycięstwa matuzszce Rosji i życzyć Naczelnemu Wodzowi, którym był Stalin, wszystkiego dobrego.

waliśmy wszyscy przez salony na parterze, a później sfotografowano nas na dziedzińcu. Przemówień nie było, tylko ukłony i wyszukane uśmiechy. Rakowski wrócił tegoż dnia do Londynu. Zdjęcia zamieściły nazajutrz gazety, najbardziej okazałe prezentowały się na nich pan Jeanot.

Wręczył on Rakowskiemu podczas tej krótkiej ceremonii gruby zeszyt, który Rakowski przekazał w moje ręce. Był to szczegółowo sporządzony inwentarz mebli, dywanów, przedmiotów sztuki i w ogóle wszystkiego ruchomego, który wziętem pod pachę i zamieszkałem sam jeden w pustym budynku, mówiąc sobie że mieszkalem już w różnych, więc mogę i w tym.

Był to bardzo piękny pałac, wybudowany w roku 1713 dla księżny d'Estrées. Takich gmachów jest jeszcze w Paryżu dosyć dużo, bardzo do siebie podobnych. W dawnych czasach były to pałace magnatów. Gmach miał dwa skrzydła po obu stronach wielkiego dziedzińca, w budynku poprzecznym mieszkali kolejni posłowie, mieścił się tam również gabinet posła, sala, przeznaczona pewnie dawniej na bale a teraz na dyplomatyczne przyjęcia i kilka mniejszych salonów. Za tą główną częścią gmachu był stary, otoczony murem ogród.

Moja żona wyjechała w tym czasie do Moskwy. W gmachu nie straszycyło, ale trochę mi się tam samemu cknioło, więc często zapraszałem do siebie znajomych. W dzień przychodziło dwu odźwiernych-Francuzów, mówiących trochę po rosyjsku i pełniących te funkcje już w dawnych latach, ale obaj mieszkali na mieście. We wspaniałych komnatach ze stylowymi meblami pachniało stęchlizną i kurzem, pokrywającym grubą warstwą kotary i wszystko inne. Kiedy zapalałem lampy, które, ku mojemu zdziwieniu, wszystkie działały, kurz tańczył w powietrzu jak owady w lecie dokoła ulicznych latarni. Oporządziłem sobie, przy pomocy odźwiernych, dwa pokoiki pod samym dachem w jednym ze skrzydeł, które było najłatwiej doprowadzić do mieszkalnego stanu. Mieszkała w nich pewnie dawniej pokojówka albo kamerdyner, ale chyba główny kamerdyner, bo miał w sypialni szafę z lustrem.



Pewnego dnia zadzwonił wewnętrzny telefon. Odźwierny powiedział mi że jakiś Rosjanin domaga się aby go wpuszczono do ambasady, bo ją chce obejrzeć.

Przychodziło wtedy do ambasady dosyć dużo ludzi, Rosjan i nie-Rosjan, nie chcących zrozumieć że nie jest jeszcze czynna. Pokazny procent stanowili wariaci i pół-wariaci. Myślałem że

znowu przyszedł jakiś wariat i powiedziałem odzwrotnemu żeby go spławił.

— Kiedy nie mogę. Nie chcę odejść. Czy mam zadzwonić do policji?

Policja zostawiła mi na wszelki wypadek numer telefonu najbliższego komisariatu, ale nie chciałem z niego korzystać i zbiegłem na dół. W bramie stał wysoki i barczysty pan z lekka wysuniętą dolną szczęką i kosmykiem czarnych włosów na czole, rozporządzający niezwykle donośnym głosem. Moja rozmowa z nim miała taki mniej więcej przebieg:

— O co panu chodzi?

— Pan wie, o co mi chodzi. Pragnę, dla mojej osobistej przyjemności, obejrzeć ambasadę, jej salony i jej ogród. Proszę mi to wszystko pokazać.

— Czy pan jest chory umysłowo?

— Nie, bynajmniej. Jestem całkowicie zdrow i wyrażam zdziwienie że ociaga się pan ze spełnieniem mojej prośby, choć powinien ją pan spełnić.

— Dlaczego?

— Dlatego że ten gmach, wraz — co specjalnie podkreślam — z jego ogrodem, należy do narodu, a naród — to ja. Oto dowód, potwierdzający to co mówię ponad wszelką wątpliwość.

Przybysz sięgnął do kieszeni i wydobył sowiecki paszport. Otworzyłem go i przeczytałem że się nazywa Włodzimierz Majakowski.

— Aha — powiedziałem — no to wszystko w porządku. Chodźmy do ogrodu.

Takie było moje pierwsze zetknięcie z Majakowskim i taki, lub jeszcze bardziej teatralno-drwiący, był styl jego rozmów z ludźmi, których nie znał. Ze znajomymi i przyjaciółmi rozmawiał zwyczajnie. Powiedział mi że wałęsał się po Paryżu kilka godzin, że go to zmęczyło i postanowił odpocząć, ale koniecznie w jakimś ogrodzie. A ponieważ w pobliżu nie było ogrodu, przyszedł do ambasady, bo czytał w gazecie że jest w tej okolicy i że posiada ogród.

Majakowski był wtedy w Paryżu przejazdem w drodze do Ameryki, ale nie mógł się doczekać amerykańskiej wizy i po kilku tygodniach wrócił do Moskwy. Mieszkał w malutkim hoteliku przy ulicy Campagne Première. Nie mógł pisać, nic mu nie wychodziło i bardzo go to denerwowało. Nie znał prawie zupełnie francuskiego, co go też denerwowało. Ale za to mówił, ogromnie dużo mówił, prawie wyłącznie o sobie i o swoich wierszach. Mówienie o sobie jest dla słuchaczy rzeczą męczącą, ale Majakowski mówił ciekawie. W tym co mówił iskrzyły się nowe

pojęcia i świeże myśli, które mu przychodziły do głowy. Przystawał wówczas na ulicy i zapisywał je sobie do notesu. Przychodził do mnie do ambasady a później, kiedy mieszkałem już przy ulicy Vaucoulin, w jednej z najstarszych dzielnic Paryża, też mnie odwiedzał i znowu gadał, gadał, gadał. A raz graliśmy w karty. We dwójkę, w pokera, całą noc aż do rana, wymyślając sobie wzajemnie od wariatów. Pociągał nas obu hazard, ale nie tylko hazard, bo poker dobrze grany można porównać tylko do szachów, a ja nauczyłem się grać dobrze jeszcze za bardzo młodzińskich lat i on pewnie też. Graliśmy całą noc dlatego że przegrywał i musiałem mu dać się odegrać. Takie jest niepisane, ale ściśle przestrzegane prawo wśród tych, których pociąga nie tyle wygrana ile sama gra.

10.

Posiedzenie u Krassina. — Nieudane kroki na polu dyplomatycznym. — Były lokator okrągłego pokoju. — Wyjazd do Moskwy

Wczesną wiosną 1925 roku w gabinecie Leonida Krassina, posła sowieckiego w Paryżu, odbywało się zwykłe ranne posiedzenie. Brali w nim udział, prócz Krassina, Aleksander Szliapnikow, radca poselstwa, Aleksander Arosjew, też radca, Borys Wolin, sekretarz, i ja, posiadający tę samą rangę. Krassin, kiedy wreszcie przyjechał do Paryża w początkach grudnia 1924 roku wraz z całym personelem poselstwa, przywiózł list od Cziczierina, który mnie na to stanowisko mianował, choć bynajmniej się o nie nie ubiegałem. Wymówiłem sobie że pozostanę nadal korespondentem *Izwestii*. Krassin początkowo nie chciał się na to zgodzić, mówiąc że dyplomata nie może pisać korespondencji, bo to nie jest przyjęte, ale zgodził się ze mną ze rewolucjonistów, w gruncie rzeczy, nie powinno obowiązywać to co jest albo nie jest przyjęte w krajach kapitalistycznych. Zawsze i szybko się zgadzał, kiedy nie chciał tracić czasu na spór, który uważał za błahey. Wystąpiłem też zaraz z prośbą, aby mi udzielił wywiadu dla *Izwestii*, ale odmówił, odkładając to na później. Chciałem mu wtedy — było to zaraz po jego przyjeździe — zaimponować, więc poszedłem do pokoju maszynistek i podyktowałem tam w ciągu kilkunastu minut odpowiedni wywiad, w którym oczywiście nie było nic ciekawego, a tylko przyjęte w takich razach komunały. Każdy mniej-więcej sprawny dziennikarz mógłby zrobić to samo w ciągu tyłuż minut, ale wiedziałem że na ludziach z dziennikarstwem nieobeznanych tak szybkie wykonanie

tego rodzaju pracy robi wrażenie. Nie zaimponowałem jednak Krassinowi zupełnie. Nawet się nie zdziwił że sporządziłem wywiad bez jego udziału. Przejrzał go błyskawicznie, powiedział że „może iść” i zwrócił mi go.

Wielkie drzwi, będące jednocześnie oknem i prowadzące do ogrodu, były wpółotwarte. Z ogrodu napływał wilgotny zapach wiosny. Na codziennych porannych posiedzeniach omawiano bieżące sprawy. Arosjew, pisarz, i to dobry pisarz* złożył sprawozdanie ze swojej rozmowy z jakimiś francuskimi pisarzami. Powiedzieli mu że wznowienie stosunków dyplomatycznych będzie korzystne dla obu krajów, powtarzając to, co im Arosjew powiedział poprzednio. Wolin zapewnił zebranych uroczystym tonem — zawsze mówił uroczystym tonem — że ma się z kimś niedługo spotkać. Następnie Krassin udzielił głosu Szliapnikowowi, który po raz prawdopodobnie piąty podniósł sprawę własnego mieszkania w gmachu poselstwa. Mieszkanie remontowano i znowu coś zrobiono nie tak jak sobie życzył. Miałem już z nim na tym tle zatarg, bo poskarżyli się na niego francuscy robotnicy, że na nich krzyczy. Umiał po francusku, spędził kilka lat na emigracji we Francji. Powiedziałem mu że kto jak kto, ale on, przywódca Opozycji Robotniczej w partii... Obraził się na mnie, ale po kilku dniach nastąpiła między nami zgoda, ponieważ pożyczylem mu buty. Zamierzał udać się na przyjęcie w poselstwie w czarnym garniturze i złotych butach. Zapewniłem go że to nie odpowiada powadze chwili i jest zasadniczo niedopuszczalne w eleganckim świecie. Chciał sprawdzić czy mówię prawdę w książeczce pióra towarzysza Floryńskiego, szefa protokołu Komisarjatu do Spraw Zagranicznych, której egzemplarz wręczono wszystkim pracownikom poselstwa przed wyjazdem z Moskwy. Książeczka pouczała jaki róg biletu wizytowego należy zagiąć przy każdej okazji, jak jeść siedząc z kapitalistami przy wspólnym stole i w ogóle jak się należy zachowywać w obcych ideologicznie krajach, aby nie *udarit' licom w griaż*, to znaczy nie paść twarzą w błoto. Było pewnie w tej książeczce coś niecoś i o złotych butach, ale Szliapnikow nie mógł jej odnaleźć, a ponieważ oddał swoje czarne do podzelowania, włożył moje. Uwierzył mi na słowo że tak wypada.

Krassin spoglądał nerwowo na zegarek. Miał taką minę jakby dziwił się samemu sobie, skąd się tu znalazł. Ja mu się też dziwiłem. Dziwiłem się że taki poważny człowiek zajmuje

* Arosjew był jednym z pierwszych pisarzy, rozstrzelanych podczas czystek, prawdopodobnie dlatego że był autorem powieści „Zapiski Terentja Zabytawo” o opozycyjnym zabarwieniu.

się głupstwami i bierze je poważnie. Zmusił mnie żebym z okazji jakiegoś święta pojechał do Prezydenta Republiki w cylindrze na głowie. Cylinder wypożyczyłem w specjalnym zakładzie na rue d'Astorg na cały tydzień, bo inaczej nie wypożyczali. Trzeba było pojechać samochodem poselstwa, broń Boże nie taksówką, i złożyć swój bilet wizytowy z odpowiednio zagiętym odpowiednim rogim, jak również podpisać się w księdze. Prezydenta nie widziało się na oczy, wszystko załatwiał szwajcar z szamerunkiem, od którego załatwiał winem. Samochody zajeżdżały jeden za drugim, z każdego wyskakiwał taki w cylindrze, podpisywał się, i dowidzenia. Jednym słowem kompletna operetka. Ale Krassin wszystko robił poważnie i najlepiej jak mógł. Taki miał charakter. Przed moją wyprawą w cylindrze obejrzał samochód, czy czasem nie jest zablocony. A na przyjęciach w poselstwie potrafił rozmawiać o niczym z okropnymi staruchami, całkowicie wygłupiałymi, podczas gdy ich małżonkowie grupowali się przy bufecie, pozerając kawior. Kawior przywożono z Moskwy w dużych ilościach, Krassin mówił że to jest najlepszy sowiecki argument. Sądząc z tego jak goście się na kawior rzucali, miał rację. Wielu z nich bywało na przyjęciach wyłącznie z powodu kawioru. Mówili o kawiorze, zachwycali się kawio-rem, indagowali Krassina, jakie bywają gatunki kawioru i o jakiej porze roku jest najsmaczniejszy, a on im rzeczowo udzielał wyczerpujących informacji.

Był to człowiek niesłuchanie pracowity. Siedział przy swoim biurku od rana do wieczora, pisząc, czytając i przyjmując wszelkiego rodzaju interesantów. Od czasu do czasu zrywał się, siadał do samochodu i jechał na wystawę obrazów albo na koncert. Znał się na różnych sprawach. Któregoś dnia zastałem u niego inżyniera, który przyjechał z jakiegoś dalekiego kraju, żeby zasięgnąć u niego rady. Chodziło mu nie o politykę, tylko o budowę elektrowni. Krassin był przed rewolucją wybitnym inżynierem, znanym w Europie. Przez jakiś czas zajmował jakieś wysokie stanowisko w wielkiej firmie Siemens i Schukert w Berlinie, a później był dyrektorem oddziału tej firmy w Rosji. I to wszystko w czasie, kiedy zasiadał w Centralnym Komitecie partii bolszewickiej, o czym wówczas mało kto wiedział. Nosił w partii inne nazwisko, w świecie techniki i przemysłu swoje własne. Wstąpił do partii jako młody student już w roku 1890, miał zawsze odwagę swojego własnego zdania, przeciwstawiał się wielokrotnie Leninowi, godzili się i znowu zwalczali.

Myślałem o tym jego podwójnym życiu w przed-rewolucyjnych latach, przypatrując mu się podczas ранego posiedzenia. Podziwiałem też jego energię, opanowanie i siłę woli. Wiedzia-

łem że jest bardzo poważnie chory i on to musiał wiedzieć, ale nigdy tego nie okazywał. Była to jakaś choroba krwi, zdaje się że leukemia. W niespełna półtora roku później zabiła go.



Muszę wreszcie powiedzieć coś o swojej pracy w tym paryskim poselstwie. Będzie to łatwe: nie robiłem nic albo prawie nic. Zaginałem rogi biletów wizytowych, chodziłem na przyjęcia i od czasu do czasu spotykałem się z francuskimi dziennikarzami raczej pomniejszego kalibru. To wszystko. Od tych spotkań wykręcałem się zresztą jak mogłem, ponieważ były całkowicie bezcelowe. Mówię o spotkaniach w charakterze sekretarza poselstwa, a nie korespondenta *Izwestii*. Celem ich miało być wpływanie na francuską opinię publiczną. Moi rozmówcy spoglądali na mnie podczas nich z lekka ironicznie, a czasem i gniewnie. Kiedy w Rosji po rewolucji ogłoszono dokumenty z tajnych archiwów Ministerstwa Spraw Zagranicznych, to okazało się że cała prasa francuska, nie wyłączając profesorsko-majestatycznego *Temps*, była regularnie opłacana przez rząd carski. W Paryżu funkcjonował specjalny wysłannik Ministerstwa, który wypłacał redaktorom odpowiednie sumy, miesięcznie lub też od sztuki. Rządowi carskiemu te wydatki znakomicie się opłacały, ponieważ zaciągał we Francji pożyczki, w którym to celu urabiał opinię publiczną. Taki był uświęcony tradycją zwyczaj. Przedstawiciele prasy mieli nadzieję że rząd sowiecki od tych tradycji nie odstąpi i nie przychodziło im nawet do głowy że francuską opinię publiczną można urabiać za darmo lub za kilka łyżek kawioru. A tymczasem Krassinowi, czy to z braku walut zagranicznych, czy też z innych powodów, Moskwa surowo zakazała przekupywać prasę. Nie wiem jak było później, ale wówczas zakaz obowiązywał, o czym od Krassina wiedziałem. Śniadanka ze szlachetnymi pracownikami pióra, którzy mogli coś napisać tak albo inaczej, odbywały się wskutek tego w dławiącej atmosferze oczekiwania z ich strony, kiedy wreszcie wypowiem to, co ich jedynie interesowało, to znaczy przejdę do cyfr.

Co się tyczy innej działalności dyplomatycznej to raz tylko, o ile pamiętam, powierzył mi Krassin ważną misję, z której wywiązałem się fatalnie. Herriot, który pochodził z Lyonu i był w ciągu wielu lat merem (prezydentem) tego miasta, pozostał nim, kiedy stanął na czele rządu. W Lyonie urządzono jakąś wystawę, którą Herriot miał otworzyć. Krassin polecił mi, żebym pojechał do Lyonu i wy badał Herriota, czy zechciałby się z nim prywatnie spotkać. Ale miałem to zrobić nad wyraz delikatnie,

w taki sposób, aby inicjatywa spotkania wyszła od Herriota, jako rezultat moich leciutkich aluzji, które Herriot, jak twierdził Krassin, z miejsca zrozumie.

Herriota znałem o tyle, że miałem z nim kiedyś wywiad, który mu posłałem po wydrukowaniu wraz z francuskim tłumaczeniem. To już była pewna zaczepka. Zapytałem go na bankiecie z okazji otwarcia wystawy, czy mój list wówczas otrzymał. Herriot tego nie pamiętał i w ogóle nie bardzo wiedział, z kim rozmawia. A ponieważ się spieszył, przypomniałem mu kim jestem i dodałem bez żadnych aluzji, że Krassin chciałby się z nim prywatnie spotkać. — Owszem — powiedział — z całą chęcią i w każdej chwili, ale najlepiej za jakiś czas. I zaraz odszedł, rzucając mi na pożegnanie:

— *Ecrivez-moi une lettre.*

To już było dosyć obcesowe i w danym wypadku nie do wykonania. Krassin pokiwał tylko smutnie głową, kiedy mu złożyłem sprawozdanie z mojej dyplomatycznej misji. Nie robił nigdy nikomu wyrzutów, uważając to za stratę czasu.

Na przyjęciach, niesłuchanie nudnych, zabawiałem się jak mogłem. Przychodził na nie często do poselstwa Max Eastman, późniejszy znany amerykański pisarz, a wówczas dziennikarz. (Ten sam, który pierwszy ogłosił testament Lenina). Eastman ubiegał się o rękę Heleny Krylenko, siostry Mikołaja Krylenko, która pracowała w poselstwie jako maszynistka i z którą się później ożenił. Eastman był człowiekiem wesołym i dowcipnym. Na jednym z przyjęć pokazał mi dziarskiego facecika, z którym przed chwilą rozmawiał, powiadamiając mnie że jest tu zupełnie nieprawdopodobny idiota, zasługujący z tego względu na uwagę. Facecik okazał się sekretarzem czy radcą jakiegoś sowieckiego poselstwa. Był w Paryżu przejazdem, przybył z Moskwy tegoż dnia i nie zetknął się jeszcze ze mną w paryskim poselstwie. Korzystając z tego, przedstawiłem mu się jako francuski dziennikarz, interesujący się położeniem robotników w Rosji i zapytałem, jak im się tam wiedzie. Odpowiedział ochotczo, niezłą francuzczyzną, że doskonale. Co do ich zarobków, to przewyższają kilkakrotnie zarobki robotników francuskich. Rzekłem, że mnie to bardzo cieszy, a później wywiązała się taka rozmowa:

— A jak się rosyjscy robotnicy odżywiają? Co jedzą na przykład na śniadanie?

— Na pierwsze śniadanie? Mięso, jajka, masło, chleb, takie rzeczy. Przeważnie befsztyki. Do tego owoce, lokalne i południowe.

— Banany? Ananasy?

— Powiedziałbym, że raczej ananasy.

— Tak też myślałem. Banany, wie pan, to są owoce dla dzieci, nie dla dorosłych ludzi, pracujących fizycznie. Nic im po nich. A jak mieszkają?

Facecik wybuchnął śmiechem.

— Pan chyba nie wierzy temu, co piszą w tutejszych gazetach? Że u nas jest jakiś kryzys mieszkaniowy? Pękam ze śmiechu, kiedy to czytam. U nas, drogi panie, każdy ma prawo do dwu pokojów. Żona też do dwu. Jeśli mają dziecko — do jeszcze jednego. Takie jest minimum, przewidziane w naszej konstytucji i ściśle przestrzegane. Jeśli to pana interesuje, mogę jeszcze dodać że robotnicy kupują ostatnio często pianina.

— Sowieckie czy zagraniczne?

Mój rozmówca zastanawiał się przez chwilę, jak na to pytanie odpowiedzieć.

— Niestety, przeważnie zagraniczne. Nasza produkcja instrumentów muzycznych, muszę to przyznać z całą otwartością, nie jest jeszcze na wysokości zadania. Importujemy pianina i fortepiany głównie z Niemiec, a teraz, po wznowieniu stosunków dyplomatycznych z Francją, będziemy sprowadzać je z Paryża. Zapotrzebowanie jest ogromne! Proszę się przygotować!

Facecik poklepał mnie radośnie po ramieniu. Podziękowałem mu, w języku rosyjskim, za cenne informacje i powiedziałem, kim jestem. Trochę się spieszył, ale tylko trochę.



Na wiosnę 1925 roku byłem już na odjeźdźnym. Czekałem tylko aż z Moskwy przybędzie ktoś na moje miejsce. Powiedziałem Krassinowi że byłoby może lepiej gdyby moje stanowisko nie zostało w ogóle obsadzone, ale się ze mną nie zgodził. Odrzucił też mój śmiały projekt zreformowania sowieckiej służby dyplomatycznej, który mu ustnie przedstawiłem. Powiedziałem, że rząd sowiecki powinien sprzedać za drogie pieniądze gmach poselstwa i wynająć zamiast tego kilka zwykłych biurowych pokojów w jednej z robotniczych dzielnic, zmniejszając jednocześnie personel do jednej ósmej. Taki krok wywarłby większe i korzystniejsze wrażenie niż nasze fraki i cylindry (frak też wypożycałem, ale smoking musiałem sobie sprawić). Krassin odpowiedział rosyjskim przysłowiem: *С волками жить, по волчьи выть*. Po polsku mówi się w takich razach nie o wilkach, tylko o wronach: „Kiedy władzę między wrony, musisz krakać jak i one”.

Sprzykryło mi się to krakanie i przekonałem Krassina bez trudności że się na dyplomatę nie nadaję. Jeśli mimo to sprzeciwiał się początkowo mojemu wyjazdowi do Moskwy, to praw-

dopodobnie tylko dlatego iż obawiał się, że na moje miejsce przyślą kogoś jeszcze gorszego niż ja. Ale w końcu uległ, pod warunkiem że stawię się w Moskwie u Cziczerina dla otrzymania innego przydziału, bo zwolnienie mnie z pracy w Komisariacie Spraw Zagranicznych nie leżało w jego mocy.

Zgodziłem się na to, mając nadzieję, że się w Moskwie z dyplomacji jakoś wykręcę. Nie chciałem być ani dyplomatą, ani zagranicznym korespondentem, bo to mi się też sprzykrzyło. Chciałem zostać pisarzem i głównie dlatego postanowiłem pojechać do Moskwy. Napisałem jeszcze w Berlinie kilka opowiadań i posłałem je do *Krasnoj Niwy**, tygodnika, wychodzącego w Moskwie pod redakcją Łunaczarskiego i Stieklowa. Działem beletrystyki zarządzał w nim Fiodor Gładkow, późniejszy autor osławionego „Cementu”, wielkiej bzdury, przetłumaczonej na jakieś 40 języków, prototypu wszystkich produkcyjniaków, nie wyłączając polskich. Gdyby Gładkow napisał swój „Cement” wcześniej, osłabiłoby to znacznie moją radość z tego powodu, że opowiadania wydrukował i prosił o więcej.

Nie pamiętam zupełnie tych opowiadań i w żadnej bibliotece nie mogłem ich odnaleźć. Nie sądzę, aby ich literacki poziom sięgał nieba, ale jestem pewien że nie należały do typu literatury, który symbolizował „Cement”, a który w tych latach znany był pod nazwą agitek. Nigdy ich nie popełniałem, ani wtedy, ani później.

Mój następca wreszcie przybył, za kilka dni miałem wyjechać i żegnałem się z Paryżem. Myślałem że żegnając się na zawsze, nie wiedziałem wtedy że po latach wrócę i długo będę tam mieszkał.

Majakowski napisał kiedyś że nawet deszcz pada w Paryżu inaczej niż gdzie indziej, grzeczniej i delikatniej. Żegnając się z najbardziej ulubionymi zakątkami Paryża, z Ogrodem Luksemburskim, z ulicą du Bac, gdzie na piętrze, w małej restauracyjce, jadałem często obiady, z mostami przez Sekwanę, pod którymi powolnie, szaro i cicho płynęła, z Bulwarem Saint-Michel, gdzie o każdej porze dnia i wieczoru zatrzymywały się pośrodku chodnika studenckie pary dla krótszych lub często i dłuższych pocałunków, a przechodnie uprzejmie omijali je, nie przeszkadzając im nawet spojrzeniem, myślałem o tym, że jedną z najbardziej charakterystycznych cech tego miasta jest tolerancja, jest wyrozumiałość dla ludzkich grzechów i grzeszków, powszechne i wzajemne przebaczenie wszystkiego sobie i innym. Nie jest to, ze

* Nie należy mieszać tego pisma z miesięcznikiem *Krasnaja Now'* redagowanym wówczas przez Aleksandra Woroskiego.

społecznego punktu widzenia, cecha dodatnia, ale stwarza, zwykle na krótki historycznie okres czasu atmosferę, w której przyjemnie się żyje.

Opisałem później — wiele lat później — w jednym z moich opowiadań* pewną sprawę, która się wtedy właśnie wydarzyła i która tę atmosferę pokazuje. Mieszkałem po przyjeździe personelu poselstwa w malutkim mieszkaniu przy ulicy Vaucquelin daleko za Panteonem. Składało się z dwóch pokoi i kuchni i posiadało piękne antyczne meble, należące do pani N., właścicielki domu. Najbardziej podobał mi się w tym mieszkaniu większy pokój, który był okrągły. Nigdy przedtem nie mieszkałem w okrągłym pokoju. Bardzo to jest przyjemne, stwarza, zwłaszcza w nocy, kiedy nie można zasnąć, niespodziane myśli i asocjacje, wydobywa z podświadomości najdziwniejsze wspomnienia i pomysły. Dowiedziałem się później, dlaczego pokój był okrągły. Dom w którymś tam wieku przebudowano, zachowując basztę, zbudowaną dawniej.

Otóż do mojego mieszkania zadzwonił pewnego dnia młodzieniec lat mniej więcej dwudziestu dwu, błądy, przystojny, chudy i nieśmiały.

Okazało się że był poprzednio lokatorem mieszkania z okrągłym pokojem. Pani N. łożyła na wszystkie jego wydatki, ale trzymała go krótko. Podarowała mu na przykład psa, nie z dobrego serca, tylko licząc na to że będzie szczekał, jeśli do młodzieńca ktoś przyjdzie. Pani N. mieszkała o piętro niżej.

Panią N., wdowę, widziałem tylko raz. Miała ponad pięćdziesiątkę, była ubrana gustownie i starannie, na ciemno. Mały palec jej lewej ręki zdobił dosyć duży brylant. Wyglądała nadzwyczaj dystyngowanie i mówiła głosem przyciszonym. Musiała być kiedyś bardzo ładna, zachowała jeszcze ślady urody.

Młodzieniec pełnił swoje funkcje w ciągu roku i nie robił nic więcej. Po roku uciekł. Pojechał do Grenoble, gdzie miał rodzinę i został tam sprzedawcą w sklepie. Ta praca jednakowoż mu nie odpowiadała, a ponieważ żadna inna też mu nie odpowiadała, więc wrócił.

Powiedział mi to wszystko, używając bardzo delikatnych omówień i nawet z lekka się czerwieniąc. Jak później słyszałem, o tej historii wiedziano w całej dzielnicy, nikogo ona nie szokowała, mówiono o niej najwyżej z pobłażliwym uśmiechem. Pani N., po wyrażeniu przez młodzieńca skruchy, zgodziła się wznowić z nim znajomość i umieścić go w dawnym mieszkaniu. Ulokował się tymczasem w pobliskim hoteliku, co było jednak związane

* W opowiadaniu „Ali” w książce „Psy wśród ludzi”.

z pewnymi niewygodami, więc przyszedł zapytać czy mogę choć w przybliżeniu określić termin mojego wyjazdu.

Zapewniłem go że wyjadę już wkrótce, co go niezmiernie ucieszyło. Bardzo to był sympatyczny młodzieniec. Tak mnie rozczulił że mu podarowałem na pożegnanie mój smoking, który w Moskwie nie był mi potrzebny. Przyjął go z wdzięcznością, mówiąc że jeszcze nigdy nie otrzymał tak pięknego prezentu.

Myślałem później o młodzieńcu i o pani N. w pociągu, który mnie wiozł w stronę Moskwy, czyniąc sobie wyrzuty za to rozczulenie. Bogata baba kupuje sobie chłopaka, młodszego o jakieś trzydzieści lat, a ja te obrzydliwości popieram, darując mu smoking!

Ale po namyśle udzieliłem sobie rozgrzeszenia. Młodzieniec mógł niewątpliwie znaleźć sobie panienkę w swoim wieku, stanąć z nią ewentualnie na ślubnym kobiercu i płodzić dzieci, ale gdzie jest powiedziane że ludzkość coś by na tym zyskała? Nie mówiąc już o tym że takiej panience byłoby nieporównanie łatwiej zaspokoić miłosne pragnienia, niż pani N. I gdzie jest powiedziane, że młodzieniec powinien zarabiać na życie jako sprzedawca w sklepie, a nie mieszkać w okrągłym pokoju, utrzymując się w inny sposób i uszczęśliwiając panią N.?

Tak sobie dumałem, co wykazuje że opuszczałem Paryż, przeniknięty wyrozumiałością tego miasta do szpiku kości.

VI

1.

Moskwa. — Krótka rozmowa z Litwinowem i dłuższa z Mołotowem. — Niezamierzony wyjazd do Mińska

Otrzymałem w Paryżu jako dyplomata wysokie pobory i zaoszczędziłem sobie dosyć poważną sumę. Obliczyłem że mi jej starczy na pewien czas, aż będę mógł się utrzymać z pracy już nie dziennikarskiej, tylko czysto literackiej. Przywiozłem ze sobą rozpoczętą w Paryżu powieść i kilka jeszcze nie drukowanych opowiadań. Nabyłem też przed wyjazdem trzy czy cztery notesy z nie-liniowanym papierem, bo na liniowanym nie umiem pisać, pięknie oprawione w skórę. Miałem zapisywać w nich, przykładem bardziej zaawansowanych kolegów po piórze, jak na przykład Tołstoj, swoje literackie spostrzeżenia i pomysły. Notesy były jeszcze puste, ale miałem nadzieję że się szybko zapełnią.

Musiałem jednak najpierw zwolnić się z Komisariatu Spraw Zagranicznych i z *Izwestii*, oraz uzyskać sankcję Biura Politycznego na zmianę zawodu. Sytuacja pod tym względem była taka, że jak ktoś raz uznany został za „odpowiedzialnego pracownika w rozporządzeniu Komitetu Centralnego” (*Otwjestwiennyj rabotnik na uczotie Ceka*) i wciągnięty do odpowiedniego rejestru, to już na zawsze. Rejestr obejmował nawet często ludzi, którzy nie byli członkami partii. Mój przyjaciel z Rygi, Julian Rosenblatt, który do partii nie należał, chciał po powrocie z rokowań pokojowych zająć się pracą czysto naukową w jakimś instytucie ekonomicznym. Instytut nalegał, żeby go do niego przydzielono, ale Rosenblatt otrzymał zieloną karteczkę, że ma nadal redagować *Życie Ekonomiczne* i nic nie mógł na to poradzić. Gdyby, nie licząc się z kartką, przestał w tej gazecie pracować, nie zatrudniłby go ani ów ekonomiczny instytut, ani żadna inna organizacja.

Poszedłem więc do Komisariatu Spraw Zagranicznych. Nie mieścił się już na tyłach hotelu Metropol, tylko na Wielkiej Łubiance, naprzeciw gmachu Czezwyczajki (stąd kryptonim „sąsiedzi”, oznaczający pracowników Czeka i używany początkowo przez pracowników Narkomindiełu, a później ogólnie). Nowy gmach Komisariatu sprawiał na pierwszy rzut oka dosyć dziwne wrażenie. Jego front przyozdabiał ogromny szyld szerokości chyba dziesięciu okien, który sporządził sobie i z pozwolenia Cziczierina wywiesił krawiec Żurkiewicz. Uszył Cziczerinowi tak znakomity frak, że kiedy Cziczerin wystąpił w nim na konferencji w Genui, pisała o jego ubiorze międzynarodowa prasa. Pracownia w gmachu Komisariatu była nagrodą za ten wyczyn. Pan Żurkiewicz, postawny wilnianin z szeroką brodą, szył teraz fraki i inne ubiory dla dyplomatów sowieckich, co było, tak samo jak jego szyld, znakiem czasu. Dostałem dwa czy trzy lata później tego zaszczytu że, dzięki protekcji innego wilnianina, wykonał ubranie i dla mnie, choć już dyplomatą nie byłem. Nosilem jego ubranie wiele lat, było to prawdziwe dzieło sztuki.

Cziczerin był tego dnia niezdrowy, przyjął mnie jego zastępca Maksym Litwinow. Słyszałem w Moskwie że jeśli Cziczerin mówi „tak”, można być pewnym że Litwinow powie „nie”, i na odwrót. Zamierzałem tę okoliczność wykorzystać, dając mu do zrozumienia że jako „człowieka Cziczierina” powinien mnie z Komisariatu jak najprędzej zwolnić, ale to się okazało zbyteczne. Litwinow odznaczał się energią i szybkością w podejmowaniu decyzji. Nie chcę pracować w dyplomacji? A może jednak pojechałbym do Sztokholmu, gdzie wakuje stanowisko sekretarza poselstwa? Nie? Jak nie to nie. Sekretarka wystukała na maszynie papierek, Litwinow podpisał go i prosił, żebym mu posłał swoją książkę, kiedy wyjdzie. Ze Stieklowem też poszło łatwo. Jego dni w *Izwiestiach* były już policzone, mało go interesowało czy będę w nich pracował czy nie.

Uzbrojony w dwa papierki, udałem się do Komitetu Centralnego. Mieścił się — i dziś się mieści — w wąskim zaułku, noszącym nazwę Starego Placu i znajdującym się w tzw. Kitajgorodie, najstarszej dzielnicy Moskwy. „Pracownicy odpowiedzialni” podzieleni byli na grupy w zależności od wykonywanych przez nich funkcji. Na czele mojej stał niejaki Błagonrawow. Miał około 30 lat, ostrzyżoną maszynką głowę, twarz bez wyrazu i trochę zbyt obszerną marynarkę. Uśmiechał się, ale nie tak jak Krestinski, tylko trochę zjadliwie, jakby chciał powiedzieć „gadaj zdrow, a ja swoje wiem”. Ale nie zaraz powiedział, co wie. Przeczytał uważnie moje papierki, zapytał kiedy przyjechałem, a później czekał, co jeszcze powiem. Wyraziłem nadzieję, że

przekazuje papierki komu należy i że moja sprawa będzie załatwiona pomyślnie. Wtedy dopiero rzekł, że już została załatwiona.

— Będziecie skierowani do Mińska i redagowali tam gazetę codzienną, wychodzącą w języku polskim.

— Z jakiej racji? — zapytałem trochę oszołomiony.

— Ponieważ władacie językiem polskim.

— To co z tego? Kiedy mogliście to postanowić, skoro przyjechałem dopiero kilka dni temu?

— A myśmy już przedtem postanowili, zanim przyjechaliście. Jak się dowiedzieliśmy że się wybieracie do Moskwy. Miałem zamiar was wezwać, żeby wam to powiedzieć.

Jeszcze jeden uśmiezek, a później dopełnienie:

— Towarzyszka Dzierżyńska prosiła mnie, żebym was skierował do Mińska. Tam jest potrzebny redaktor.

— To niech sobie znajdzie innego redaktora.

— Towarzyszce Dzierżyńskiej nie chodzi o redaktora w ogóle, tylko o was personalnie. Chyba znacie towarzyszkę Dzierżyńską?

— Znam towarzyszkę Dzierżyńską, ale mi nic o tym projekcie nie pisała. Nie widziałem jej od kilku lat.

— To, żeście jej nie widzieli, jest sprawą drugorzędną. Ale jeśli chcecie możecie ją zaraz zobaczyć. Drugie piętro.

Blagonrawow pożegnał mnie z niemal radosnym uśmiechem.

O polskiej gazecie w Mińsku wiedziałem i wiedziałem również, że jest to twór całkowicie sztuczny, zrodzony z ambicji Dzierżyńskiej i nikomu niepotrzebny. W Mińsku i na Białorusi nie było w tym czasie prawie wcale ludności polskiej, czytającej polską prasę. Przed wojną mieszkało w Mińsku wielu polskich lekarzy, adwokatów, inżynierów itd., którzy jednak przenieśli się do Polski po wojnie. Ziemianie polscy z Białorusi i polscy *bieżeńcy* z czasów wojny również już dawno wyjechali. „Komunistyczna robota polska” na mińszczyźnie była w tych warunkach fikcją, wszyscy się od niej wykręcali, posyłano na nią tylko tych, którzy się nie nadawali do niczego innego.

Kierowało tą robotą Biuro Polskie przy Centralnym Komitecie partii bolszewickiej, na czele którego stała Zofia Dzierżyńska, żona Feliksa (który w tym czasie nie był już przewodniczącym Czerezwyczajki, tylko Komisarzem Ludowym Kolei Żelaznych). Dzierżyńska od bardzo dawna należała do partii. Dzięki temu, jak również dzięki swojemu nazwisku, miała duże wpływy. Odgrywały rolę także i względy terenowe. Biuro Polskie mieściło się przy samym źródle najwyższej władzy, tylko ono tam się mieściło. Żadnych innych biur narodowościowych w gmachu Komitetu Centralnego nie było.

Nie poszedłem do niej, wiedząc że rozmowa byłaby bezcelowa i nie chcąc się przed nią upokorzyć. Dzierżyńska miała dwa powody żeby mnie posłać do Mińska wbrew mojej woli, oba o podkładzie osobistym.

Pierwszy zrodził się z anegdoty. Przyjechałem kiedyś z Berlina na krótko do Moskwy i nieopatrznie zgodziłem się wziąć udział w posiedzeniu, poświęconemu tej właśnie „polskiej robocie” na terenie Związku Sowieckiego. Przy stole zasiadało pięć albo sześć osób, które Dzierżyńska zdołała na posiedzenie ściągnąć. Wygłosiła na nim dosyć długi referat. Obok mnie siedział Bronisław Wąsowski, stary mój znajomy, który zasypiał. Aby go otrzeźwić, opowiedziałem mu na ucho bardzo krótką anegdotę pod nagłówkiem „rozmowa na balu”, niezwykle ordynarną, ale zabawną. Wąsowski nie mógł powstrzymać wybuchu śmiechu. Dzierżyńska przerwała referat i zapytała, z czego się śmieje. Nie mógł powiedzieć, i ja też nie mogłem, kiedy się do mnie zwróciła. Powiedziałem jej że historyjka nie nadaje się absolutnie do powtórzenia w damskim towarzystwie, ale mi nie uwierzyła. Była przekonana że powiedziałem Wąsowskiemu coś o niej. Od tego czasu mocno mnie nie lubiła.

Drugi powód był głębszy. Wyrządziłem kiedyś pewnemu człowiekowi krzywdę. Usprawiedliwiałem się przed samym sobą, że nie mogłem inaczej postąpić i tak rzeczywiście było, ale krzywda pozostała krzywdą. Usiłowałem rzecz naprawić, on to odrzucił. Nie wierzę w poczucie winy we freudowskim pojęciu ani w skutki, które według niego z takiego poczucia wyrastają, ale ta sprawa gnębiła mnie przez długie lata. Ten człowiek przyjaźnił się z Dzierżyńską niemal od dzieciństwa. Miałem później dowody że maczał ręce w tej mińskiej sprawie i że Dzierżyńska chciała mnie za wyrządzoną mu krzywdę ukarać.

Ale jej zamiary kolidowały z moimi. Nie chciałem aby mnie wprzęgano do pracy, którą uważałem za niepotrzebną. I nie chciałem wyjeżdżać z Moskwy. W Moskwie koncentrowało się wówczas wszystko co mnie interesowało. Prócz tego żona pracowała już w Moskwie i Staś zaczął chodzić do przedszkola. Miał sześć czy siedem lat, to jest u dzieci najsympatyczniejszy wiek. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem, z trwogą myślałem o tym, że z niego szybko wyrośnie, wolałbym, gdyby to ode mnie zależało, żeby miał zawsze sześć lat. Mieliśmy malutkie dwa pokoje, ale starczyło w nich miejsca na szczeniaka imieniem Pik, którego mu zaraz po przyjeździe kupiłem. Zastanawiałem się jak mu wytłumaczyć, że ustawiona w kącie skrzynka z trocinami jest przeznaczona dla niego, kiedy Staś rozstrzygnął kwestię w sposób ideal-

nie prosty. Wywiesił nad skrzynką taki napis drukowanymi literami, bo innymi pisać nie umiał:

PIK TO JEST TWOJA WYGUTKA

Okazało się że pies umie czytać. Przyjął informację do wiadomości z wyraźnymi oznakami zadowolenia.



Postanowiłem pójść do Mołotowa. Stalin pełnił już w tym czasie funkcje Sekretarza Generalnego, Mołotow i Kujbyszew sekretarzy zwykłych. Żadnego z nich nie znałem, ale Mołotowowi podlegały sprawy organizacyjne.

Dwa słowa o Mołotowie. Wiadomo kim był w późniejszych latach. To jemu przesyłał często Stalin listy torturowanych bolszewików, w tej liczbie starych Mołotowa przyjaciół, dowodzących że są niewinni. Mołotow opatrywał listy zdaniami w rodzaju „rozstrzelać swołocz”, „zmiazdżyć tę gadzinę” itp. Chruszczow to w swoim czasie ogłosił. To on, Mołotow, wiernie służył Stalinowi i żyrował największe jego łajdactwa jeszcze wówczas, kiedy Stalin zesłał na Syberię jego żonę. Ale pogląd że każdy szubrawiec już się szubrawcem rodzi nie wydaje mi się słuszny. Jest za łatwy. Mógłbym przytoczyć wiele przykładów, które temu przeczą. Są i tacy, ale większość łajdaków staje się nimi dopiero z biegiem lat. W każdym bądź razie, idąc do Mołotowa w roku 1925, nie mogłem mieć i nie miałem do niego żadnych osobistych uprzedzeń. Przeciwnie. Znałem w Berlinie jego kolegę z uniwersytetu, niejakiego Orłowa, który się o nim bardzo pochlebnie wyrażał. Byłem do niego usposobiony przychylnie, choć to jest nielogiczne, także ze względu na jego nazwisko. Mołotow nazywał się „z domu” Skriabin i był bliskim krewnym jednego z moich ulubionych rosyjskich kompozytorów.

Urzędował w tym samym gmachu co Błagonrawow, ale na piątym czy szóstym piętrze, przeznaczonym dla najwyższych dostojników, zaraz obok Stalina. Prócz przepustki zwykłej, musiałem uzyskać na dole przepustkę specjalną na to piętro. Wszedłem z nią do windy i ujrzałem Mołotowa we własnej osobie. Poznałem go ze zdjęć w gazetach i przedstawiłem mu się. Mołotow coś mruknął. Nie podobało mu się że go niepokoje w windzie. Wyszliśmy z niej razem, a raczej ja za nim. Przemówił do mnie dopiero w pokoju swojej sekretarki, gdzie miałem poczekać. Poprosił mnie do swojego gabinetu dopiero po kwadransie.

Rzuciła mi się od razu w oczy teczka na biurku z moim nazwiskiem na okładce. Mołotow musiał ją sobie sprowadzić już

poprzedniego dnia, kiedy do niego dzwoniłem. Wyłożyłem, o co chodzi. O Dzierżyńskiej nie powiedziałem ani słowa. Mówiłem tylko o tym, że mam być skierowany na pracę, która mi się wydaje całkowicie niepotrzebną i objaśniłem dlaczego. Mołotow zapytał, czy powiedziałem to wszystko Błagonrawowowi.

— Owszem, w skróceniu. Długo z nim nie rozmawiałem, bo zrobił na mnie wrażenie maszynki do stemplowania listów.

Mołotow błysnął gniewnie szklami swoich binokli. Nie podobało mu się to co powiedziałem. Mnie się również nie podobała jego generalska postawa w windzie i teraz, więc wyjąłem z kieszeni papierosy i poprosiłem go o zapalki, choć je miałem w kieszeni. Używałem już przedtem tego sposobu w podobnych wypadkach z dobrym skutkiem. Sposób i teraz okazał się celny. Mołotow przysunął mi zapalki, wyciągnął z teczki wielostronicowy elaborat i pokazał mi go. Był to mój list do Biura Politycznego w sprawie Rapallo, ale przepisany na innej maszynie.

— To co tu napisaliście — powiedział — wskazuje, że wciąż jeszcze żyjecie w 1917 roku. W 17-tym roku, o ile wiem, byliście w Mińsku...

— Byłem. I dlatego mam tam teraz jechać?

Mołotow roześmiał się, z czym nie było mu do twarzy, bo miał wyraźnie wklęsły nos, czego na zdjęciach się nie widziało. Nie fotografował się nigdy z profilu.

— Nie, nie dlatego. Ale skoro już tu jesteście, porozmawiajmy i na ten temat.

Zaczął mówić o tym że 17-ty rok — to znaczy rewolucja — dawno już minął, a teraz nastąpiła epoka budowy socjalizmu w Rosji, własnymi siłami, bo na rewolucję za granicą nie ma tymczasem co liczyć, to jest „muzyka dalekiej przyszłości”. I że należy, jak nas uczył Lenin, wyzyskiwać przeciwieństwa między państwami kapitalistycznymi, a ja tego nie chcę zrozumieć. I tak dalej. Niezbyt uważnie służyłem co mówi, bo mi się to nie podobało, a zwłaszcza nie podobał mi się jego mentorski ton. Myślałem sobie że Skriabin Skriabinem, ale nie widzę powodów ku temu aby Mołotow miał mnie uczyć rozumieć i że nie po to do niego przyszedłem. W jakiejś chwili swojego wykładu Mołotow zapytał mnie nagle, czy już się widziałem z Bucharinem. Odpowiedziałem że nie i że Bucharina w ogóle nie znam, co było prawdą.

— Nie znacie? Myślałem że znacie, bo was bardzo przyjaźnie bronił w sprawie tego waszego memorandum czy jak to tam nazwać. Może go nie znacie, ale w tym co napisaliście widać jego wpływ.

Wypaliłem że nie jestem pod niczym wpływem, że napisałem to co myślę jako rewolucjonista międzynarodowy, które to słowa podkreśliłem. Mołotow, którego wzrok błądził po pokoju, utkwiał go teraz we mnie.

— Pięknie, pięknie. Ja też, jeśli pozwolicie, uważam się za rewolucjonistę międzynarodowego. Z czego jednak nie wynika że jeżeli ktoś chce się napić mleka, musi najpierw wyrzucić garnek i czekać, aż wsiąknie ono w ziemię. A wy i wasz Bucharin uważacie że nie ma innego sposobu na wywołanie rewolucji na Zachodzie jak tylko przewrócenie garnka. Czerwona Armia ma się przedrzeć przez Polskę do Niemiec! Czyli, innymi słowy, mamy zerwać traktat ryski i rozpocząć z Polską nową wojnę. Jeszcze wcale nie wiadomo, czym by się ta wojna skończyła...*

— Bucharin tego nie napisał. Napisał tylko że gdyby Polska chciała stłumić zbrojnie rewolucję w Niemczech, Związek Sowiecki musiałby jej wypowiedzieć wojnę.

— A wy się z tym zgadzacie?

— Ja się z tym nie zgadzam, a tylko stwierdzam, co Bucharin napisał a czego nie napisał.

— Tak, tak, tak. Cały świat zrozumiał, co Bucharin miał na myśli. Mogę was zapewnić, że za to co napisał przywołano go ostro do porządku (*jemu zdorowo wlejetło*). Nie ma zresztą o czym mówić, bo rewolucji w Niemczech nie było. Więc jakże — do Mińska nie chcecie jechać?

— Nie chcę.

— Napiszcie sprzeciw do Biura Politycznego, powiedzialesz już bardziej przyjaźnie. Ale wątpię czy to pomoże. Nie ma przeciwwagi.

— Przeciwwagi?

— Nie rozumiecie? Nikt inny nie wyciąga po was ręki. Gdyby na przykład Cziczeryn zażądał, aby was pozostawiono w jego zasięgu... Ale wy nie chcecie pracować w dyplomacji. Dlaczego nie chcecie pracować w dyplomacji?

* Mołotow mówił o liście Bucharina, adresowanym niby to do Borisa Suwarina, ówczesnego przywódcy francuskiej partii komunistycznej, ale skierowanym w istocie do rządu polskiego i do komunistów niemieckich. W liście, wydrukowanym na pierwszej stronie *Izwiestii* krótko przed nieudaną rewolucją w Niemczech, Bucharin pisał że „w razie gdyby w Niemczech wybuchnęła rewolucja i Polska napadła na Niemcy ze Wschodu, rewolucyjna Rosja byłaby prawdopodobnie zmuszona wystąpić przeciwko Polsce. Obowiązkiem robotników na całym świecie byłoby w tym wypadku poparcie wojny przeciwko Polsce”. List, uważany wówczas za oświadczenie rządowe, nie był, jak później słyszałem, uzgodniony z Biurem Politycznym, Bucharin napisał go na własną rękę. Takie wypadki jeszcze się wówczas zdarzały.

— Bo mi to nie odpowiada. Bo chcę być pisarzem.

— Dyplomacja jest dla pisarza wymarzonym zajęciem. Stendhal też był dyplomatą. Złóżcie sprzeciw, zobaczymy co z tego wyjdzie.

Zrobiłem to. W jakiś tydzień później na podwórko domu na Pietrowce, gdzie mieszkałem, zjechał goniec ze skórzaną torbą. Przybył na motocyklu, który wywołał wielkie zaniepokojenie bawiących się tam dzieci, w tej liczbie również i Stasia. Goniec przywiózł zieloną kartkę w zapieczętowanej kopercie. Mój sprzeciw został odrzucony.

Wyjechałem więc do Mińska. Na Dzierżyńskiej zemściłem się w ten sposób, że do niej przed wyjazdem nie poszedłem. Wiedziałem że nie wyjeżdżam na długo, postanowiłem znaleźć przeciwwagę, o której mówił Mołotow i postawić sprawę na nowo.

Nie miałem do niego wielkich pretensji. Miałem ją natomiast do Błagonrawowa, i to nawet nie pretensję: myślałem o nim z nienawiścią. Pierwszy raz zetknęłem się z komunistycznym biurokratą i nie tyle z tego co mi powiedział, ile z jego kamienną twarzą wyczułem, że symbolizuje coś bardzo groźnego: odczłowieczenie idei, a tym samym jej unicestwienie. Ludzi tego typu spotykałem później coraz więcej. Stalin wyłapywał ich gdzie tylko mógł i obsadzał nimi aparat partyjny. Dobierał ich starannie i umiał dobierać. Pochodzili najczęściej z prowincji i byli podobni do siebie zewnątrz, może dlatego że nie mieli wyrazu twarzy. Zastępy tej biurokratycznej armii, którą Stalin dopiero tworzył, składały się przeważnie z ludzi młodych, pracowitych i posłusznych. Zwłaszcza posłusznych. Niektórzy z nich, trochę starsi wiekiem, brali udział w wojnie domowej i bili się za swoje przekonania, których się później wyzbyli, stając się urzędnikami. Urzędnikowi ideę zastępuje władza, a jeszcze lepiej wódz.

W dwa lub trzy lata później, kiedy Błagonrawowych było już dużo, pisarz Jurij Libiedinski powiedział mi o nich:

— Nie wiem czyś zauważył że ci ludzie jednakowo się uśmiechają. Niby to uprzejmie, ale w rzeczywistości pogardliwie. Pogardzają nami i z pewnością uważają nas za durni. Ale trochę się nas jeszcze boją i dlatego nas nienawidzą. Są wśród nich tacy, którzy bez chwili namysłu skreśliliby kark każdemu z nas, gdyby tylko mogli, za to, że im przeszkadzamy. Są przekonani że przyszłość należy do nich, ale się mylą. My im skreścimy kark. Mało mówią, raczej słuchają, bojąc się że powiedzą coś za wczesnie. Dreszcz mnie przejmuje, kiedy o nich myślę.

Libiedinski pisał później o tej przedniej stalinowskiej straży w swojej powieści „Narodziny bohatera”, która ukazała się

w końcu lat dwudziestych. Aresztowano go podczas czystek, tułał się kilkanaście lat po więzieniach i zsyłkach, przeżył je i umarł już po swojej „rehabilitacji”.

2.

Mińsk. — Gazeta bez czytelników. — Moja pierwsza powieść i uwagi o pisaniu powieści

W Mińsku, na głównej ulicy, która teraz już na dobre nazywała się Sowiecką, rzuciła mi się w oczy wielka szopa, barak-nie-barak, namiot-nie-namiot, albo może wędrowny cyrk. Dziwna ta budowla była upstrzona mnóstwem kolorowych lampek. Wielki szyld opiewał, że to jest Monte Carlo. Mój stary przyjaciel Stefan Heltman, który wiózł mnie ze stacji swoim służbowym samochodem, uśmiechnął się trochę wstydliwie.

— Mamy tu teraz dom gry.

— Co za dom gry?!

— Najprawdziwszy. Ruletka i wszystko co trzeba. Państwo wy. Daje duże dochody.

— Któż do niego chodzi?

— Wariaci. I naturalnie faceci z urzędu podatkowego. No i tajniacy. Jak ktoś grubo gra, sprawdzają co za jeden, nepman czy złodziej, żeby go posadzić, względnie zniszczyć podatkami.

— I ludzie mimo to przychodzą?

— Przychodzą. Wprost nie do uwierzenia, co się tu dzieje. Zawsze pełno. Mówiono mi że są tacy, którzy się tu już raz wyspali, swoje odsiedzieli, i teraz znowu grają. Nie mogą się odzwycząić.

Tych co chodzili do mińskiego Monte Carlo gubił upór. A może wielu chodziło dlatego, że w mieście nie było innych rozrywek. Funkcjonowały tylko dwa kina, wyświetlające stare, rwące się filmy. Kawiarnię Selekt, dawną chlubę miasta, dawno zamknięto, innych nie było. Był jeszcze teatr, ale białoruski. Nawet nie najgorszy, choć wielu aktorów dziwnie po białorusku mówiło, bo to byli aktorzy z rosyjskich prowincjonalnych teatrów. To by jeszcze uszło, ale drewniany teatralny gmach gwałtowniegnił, rozsiewając stęchły fetor, na co podobno nie było rady.

Po Sowieckiej jak dawniej kursował konny tramwaj i na tym samym rogu przyczepiano trzeciego konia. Po ulicach krążyły obdrapane służbowe samochody, widziało się wciąż te same. Jeździły powoli, mając już swoje lata. Przechodnie, najczęściej z teczkami pod pachą, też posuwali się powolnym krokiem, od

jednego urzędu do drugiego. Nosili koszule szaro-brudnego koloru, bardzo praktyczne. Miasto wyglądało sennie, nie tak jak w czasie wojny, kiedy ożywiała je bliskość frontu i zupełnie inaczej niż w siedemnastym roku, kiedy przewalała się przez nie rewolucyjna zawierucha.

W tym sennym mieście wychodziły aż cztery codzienne gazety: polska, białoruska, rosyjska i żydowska. Polskiej, którą redagowałem, nikt nie czytał, białoruską trochę czytano, ale mało, rosyjska miała dużo czytelników, żydowska też, ale już mniej. Funkcjonowały też wydawnictwa w tych czterech językach. Najwięcej książek wychodziło po białorusku, głównie powieści. Ich autorzy oskarżali się wzajemnie, że nie mają pojęcia o języku białoruskim.

Nie pamiętam czy Stalin, kiedy został Sekretarzem Generalnym partii, był jeszcze jakiś czas nadal Komisarzem Ludowym do Spraw Narodowościowych. W każdym razie pełnił te funkcje przedtem i czterojęzyczność miasta oraz całej Białoruskiej Republiki Sowieckiej on właśnie wprowadził. Wszystkie cztery języki cieszyły się równouprawnieniem, z tym tylko że białoruski był trochę bardziej uprawniony niż inne. Pozornie ślicznie to wyglądało, ale tylko pozornie. Wkrótce po przyjeździe miałem możliwość zapoznania się bliżej z jednym z aspektów tych narodowościowo-demokratycznych swobód. Odwiedziłem dentystę Sonkina, któremu powodziło się jeszcze gorzej niż dawniej. Najwięcej zmartwienia przysparzali mu synowie. Mieli teraz po 14-15 lat i wpakowano ich siłą do szkoły z żydowskim językiem wykładowym. Ktoś obliczył że w Mińsku mieszka tyłu a tyłu Żydów, więc musi być tyle a tyle żydowskich szkół. A ponieważ nie wszyscy rodzice chcieli posyłać dzieci do żydowskich szkół, zmuszano ich do tego pod groźbą dotkliwych kar pieniężnych. Prócz tego żydowskich dzieci nie przyjmowano do szkół rosyjskich. Była to oczywiście zakamuflowana forma antysemityzmu, czego jednak wielu Żydów, politykę tę popierających, nie chciało zrozumieć.

Synowie Sonkina nie umieli po żydowsku. Sonkin i oni sami wciąż jeszcze marzyli o tym żeby się wykierować na lekarzy, a tymczasem, zamiast uczyć się fizyki czy innych przedmiotów, musieli ślęczyć nad żydowskim elementarzem. Trzeba dodać że szanse dostania się na uniwersytet były prawie żadne dla kończących żydowskie szkoły, a żydowskich uniwersytetów nie było. Poszedłem do jednego oświatowo-szkolnego dygnitarza, później do drugiego. Napotkałem na bardzo silny opór. Nie tłumaczył się już antysemityzmem, tylko po prostu urzędową tępotą. Skoro są żydowskie szkoły, Żydzi mają posyłać do nich swoje dzieci, a jak nie chcą, trzeba ich wziąć za kark, bo w przeciwnym

razie trzeba będzie niektóre z tych szkół zamknąć, co przeczyłoby nadzwyczaj postępowym zarządzeniom władz i zubożyłoby kulturę narodu żydowskiego. Ten ostatni argument wysunął inspektor szkół żydowskich, który za nic nie chciał zwolnić synów Sonkina od obowiązku uczęszczania do żydowskiej szkoły.

Pomógł chłopcom w końcu Heltman. Zajmował w tym czasie wysoki urząd Przewodniczącego Rady Komisarzy Ludowych owej Białoruskiej Republiki. Istotną władzą był nie on, tylko niejaki Krynicki, przystany z Moskwy i władający wyłącznie językiem rosyjskim Sekretarz K.C. białoruskiej partii. Ale na to jego władzy starczyło. Chłopcy wyrwani zostali z getta, w którym przebywać nie chcieli.



W gazecie, prócz mnie, pracowało czterech czy pięciu ludzi, aż za dużo na to małe piśmiśko. Wszyscy umieli tłumaczyć z rosyjskiego na polski, a ponieważ redakcja rosyjskiej *Zwiedzy* mieściła się w tym samym gmachu, nie mieliśmy kłopotu z materiałem. Moim zastępcą był Wąsowski, ten sam który nieopatrznie się roześmiał kiedy mu nieopatrznie opowiedziałem anegdotę, zawierającą brzydkie słowa, stając się w ten sposób pośrednim sprawcą mojego pobytu w Mińsku. Ożenił się w międzyczasie z mińską obywatelką i osiadł w tym mieście na stałe. Pisywaliśmy artykuły wstępne na zmianę i mieszkaliśmy razem w ładnym drewnianym domku na końcu miasta, naprzeciw miejskiego parku. Któregoś dnia Wąsowski zdobył gdzieś cztery tomy „Lalki” i nie chciał napisać artykułu, chociaż była jego kolej. Rozłożył się na kanapie i czytał. Wobec tego złapałem drugi tom i też czytałem. Obaj czytaliśmy „Lalkę” wielokrotnie przedtem, ale zawsze warto przeczytać ją jeszcze raz. Wytworzyła się sytuacja trochę jak w „Latarniku”. Czytaliśmy cały dzień, do redakcji żaden z nas nie poszedł i gazeta nie wyszła. Nikogo to specjalnie nie zdziwiło ani nie oburzyło, z wyjątkiem polskiego konsula. W Mińsku był Konsulat Polski, z którego ktoś dzwonił z wielką pretensją. Konsulat nabywał 25 egzemplarzy każdego numeru, prawdopodobnie dla jakichś zbieraczy w Polsce, którzy sobie sporządzali komplety. Około dwustu egzemplarzy posyłało się rozmaitym urzędom sowieckim, które z obowiązku musiały pismo abonować, ale nie czytać, czego z pewnością nie czyniły. Innych abonentów było, o ile pamiętam, z tuzin, a w kioskach sprzedawano codziennie jeszcze ze dwa tuziny. Nie mam pojęcia komu. Wąsowski twierdził że te egzemplarze zakupuje Dzierżyńska przez swoich tajnych agentów.

Spędzałem w redakcji około dwóch godzin dziennie, a już

tak koło południa szliśmy z Wąsowskim spacerkiem do domu, wstępując po drodze na wódkę ze śledziem do hotelu „Paryż”, w którym kiedyś zamknął mnie Kac. W domu mieliśmy znakomitą kucharkę, którą zabrałem później ze sobą do Moskwy, bo szukała szerszych horyzontów. Nazywała się Melania i była miejscową Polką, ale miała śniadą cerę i ogromne czarno-zielone oczy. Urządzaliśmy przy jej pomocy przyjęcia i popijawy, podczas których stała w drzwiach z rękoma założonymi na piersiach, z uśmiechem, ale nigdy nic nie mówiąc ani nie jedząc. Powiedziała mi kiedyś że jest dzieckiem z nieprawego łoża i że jej ojciec był hrabią. Może był, ale musiał mieć cygańskich przodków.

Zajmowałem się w Mińsku głównie pisanem książek. Napisałem aż trzy, wszystkie wyszły już po moim wyjeździe. Jedna, cieniutka, nosiła tytuł „Współczesna Francja” i zawierała kilka moich artykułów z *Izwestii* i kilka szkiców, napisanych później. Była po rosyjsku. Dwie inne napisałem po polsku, a właściwie częściowo przetłumaczyłem na polski. Pierwsza nazywała się „Ludzie i rzeczy” i składała z opowiadań, drukowanych przedtem po rosyjsku i kilku innych. Nie pamiętam żadnego z nich. Drugą pamiętam bardzo dobrze. Do wydania tych dwóch książek po polsku skłonił mnie Heltman, którego żona, Jadwiga Moszyńska, zarządzała polskim wydawnictwem, poszukującym książek do druku.

Tę właśnie książkę zacząłem pisać w Paryżu, a dokończyłem, już po polsku, w Mińsku. Nosiła tytuł „Opowieść o ostatniej walce”. Wyszła później po rosyjsku, ale już nie w moim tłumaczeniu. Była to pierwsza moja powieść.

Są pisarze którzy umieją napisać tylko jedną książkę, a następne są już o wiele gorsze. Inni piszą wspaniałe pierwsze tomy dłuższych powieści i paskudzą następne. Wydarzyło się to na przykład Romain Rollandowi w „Janie Krzysztofie” oraz Prusowi w „Emancypantkach”. Mało jest jednak pisarzy, których pierwsza książka byłaby tak zła, jak moja. Nie wiedziałem tego oczywiście, kiedy pierwszy raz trzymałem ją w ręku. Rozpierała mnie duma, nie mniejsza niż ta, która mnie opanowała w Łodzi, kiedy mając lat 14 przeczytałem w gazecie moje pierwsze opowiadanie. Ale to zadowolenie z samego siebie nie trwało długo. Mińskie wydawnictwo, na szczęście, książki drukowało, ale nie trudniło się zbytnio ich rozpowszechnianiem, dzięki czemu moje dzieło mało kto widział i czytał. Ja go też, po krótkim okresie upojenia, nikomu nie dawałem, choć mi przysłano do Moskwy mnóstwo egzemplarzy.

Książka odegrała jednak w moim życiu pewną pozytywną rolę, ponieważ nauczyła mnie, jak nie należy pisać powieści.

W późniejszej mojej pracy pisarskiej „odbijałem” się często od niej, stała się dla mnie dzwonkiem alarmowym i hamulcem, przyciskany z całej siły, kiedy spostrzegałem w tym co pisałem jakieś z nią pokrewieństwo.

Tytuł mojej książki odnosił się do rewolucji na Zachodzie. Działa się w nieokreślonej rokiem, ale bliskiej przyszłości, podczas rewolucji która rozpoczęła się w Anglii, a później ogarnęła Niemcy i Francję. Protagonistami byli mieszkańcy tych krajów, po jednym z każdego, a treścią książki ich dzieje podczas rewolucyjnych dni.

Pomysł tego rodzaju może się wydawać świetny na pierwszy rzut oka, ale jest w istocie tylko błyskotliwy. W książce za dużo się działo. Beletrystyka mniej niż cokolwiek innego wytrzymuje zastąpienie jakości ilością. Nadzwyczajności i sensacje, wszystko jedno jakiego rodzaju, przesłaniają pisarzowi człowieka — i czytelnikowi również — wyrzucając książkę poza nawias literatury. Mówię oczywiście o prawdziwej literaturze, nie o powieściach kryminalnych lub czysto rozrywkowych, pisanych w celach handlowych.

To jest jedna uwaga. Chciałbym dodać jeszcze inną, w nadziei że się może na coś przyda przyszłym pisarzom. Bardzo chciałbym żeby na świecie było dużo dobrych pisarzy i dobrych książek, choćby już po mojej śmierci. Należę do ludzi, którym książki — mówię wciąż o beletrystyce — nie tylko pomagały żyć, ale umożliwiały życie. Takich ludzi dawniej było więcej, dziś jest mniej, ale będzie kiedyś znowu więcej. Nie umiem wytłumaczyć dlaczego literatura jest tak ważną sprawą, ale nie mam wątpliwości że jest. A czytelnikom, oczekującym od literatury korzyści doraźnych, mogę powiedzieć, że przechodziłem w ostatnich latach cztery dosyć ciężkie operacje. Przed każdą z nich zatapiałem się w książkach, co mi pozwalało przeżyć najcięższe chwile w maksymalnym duchowym spokoju. Nie sądzę, żeby to był tylko eskapizm. Dobra książka silniej łączy nas z życiem niż wypadki realne, szybciej pomaga rozplynać się w jego oceanie i zmniejszyć w ten sposób znaczenie, jakie przypisujemy własnej osobie i jej losom.

Ta inna uwaga dotyczy mniemania, że istnieją jakieś reguły, prawidła czy normy, odnoszące się do utworów beletrystycznych. Nie ma ich, nigdy nie było i nigdy nie będzie. A ja pisałem moją pierwszą powieść wciąż myśląc o tym, że musi być podobna do innych, że tak się powieści pisze, niemal z obawą że jeżeli napiszę inaczej, popełnię coś w rodzaju fałszerstwa. Nie wiedziałem że fałszerstwem w powieści jest tylko nieszczerłość i że

samo przypuszczenie iż istnieją jakieś wzory, których należy się trzymać, szczerota kępuje albo wyklucza i książkę zabija.

I jeszcze jedna obserwacja, już ostatnia. Pisałem „Opowieść o ostatniej walce” według dokładnego planu, a później starannie obmyślałem każdy jej rozdział, zanim go napisałem. Innymi słowy, pisałem książkę mózgiem. Pomyślunek jest rzeczą pożyteczną we wszystkich dziedzinach, z wyjątkiem literatury. W literaturze zarzyna książkę od razu. Tę starą prawdę wyraził najlepiej Boy, który już w roku 1916 napisał na ten temat co następuje:

*Wszystko jest głupie co rodzi się z myśli
A nie z kapryśnych słów zgodnego dźwięku
Wszystko jest kłamstwem, czego nie nakreśli
Pióro, bezwiednie chwiejące się w rękę.*

Więc właśnie. *Bezwiednie chwiejące się w rękę.* W beletrystyce liczy się tylko to, co wypływa z podświadomości w trakcie pisania, na gorąco. Wszystko inne nie ma zwykle wielkiej wartości.



Byłem w Mińsku krótko, wszystkiego jakieś pół roku. Wydawanie gazety, którą redagowałem, kosztowało drogo, a jej deficyt, jak się dopiero w Mińsku dowiedziałem, pokrywała nie Moskwa, tylko rząd białoruski. Kiedy przedstawiłem Heltmanowi dokładne cyfrowe dane, dotyczące kosztów wydawania gazety i jej poczytności, zgodził się z mną że gazetę trzeba zamknąć.

Ale ostateczną decyzję miał powziąć Krynicki. Długo się zastanawiał, bo zamknięcie gazety naruszało cztero-językową symetrię, ale cyfry były druzgoczące. Jeszcze bardziej zaważyło na szali prawdopodobnie to że wolał, abym z Mińska wyjechał. Bardzo nie lubił ludzi, przysyłanych z centrum. Nigdy nie wiadomo, jakie taki przyjezdny ma w Moskwie plecy i co z jego przyjazdu może wyniknąć.

Pozegnaliśmy się więc z naszymi nielicznymi czytelnikami w ostatnim numerze. W tym samym czasie otrzymałem z Moskwy depeszę, która spadała jakby z nieba. Nowy redaktor *Izwiestii* zaproponował mi, abym pisywał co tydzień obszerny „przegląd międzynarodowy”, co mogłem naturalnie robić tylko na miejscu. Była to idealna przeciwwaga, o potrzebie której mówił Mołotow.

Propozycję wskutek tego przyjąłem. Biuro Polityczne zatwierdziło tę nominację i wyjechałem do Moskwy. Na dworcu

w Moskwie spotkał mnie Staś z psem Pikiem, który niesłychanie wyrósł. Poznał mnie, bardzo się ucieszył i polizał mi nos.

3.

Dom Herzena. — WAPP i inne organizacje pisarskie w Moskwie

Kiedy myślę o Moskwie tych czasów, to znaczy o drugiej połowie lat dwudziestych, staje mi przed oczyma „Dom Herzena” na Twerskim Bulwarze pod numerem 25. Bywałem w nim chyba codziennie. Czasami wpadałem tylko na chwilę, częściej prześadywałem tam godzinami, nieraz do późnej nocy.

W tym domu mieściły się rozmaite organizacje literackie. Było ich wówczas w Moskwie z pół tuzina, niektóre miały w „Domu Herzena” swoje zarządy, inne ich tam nie miały, ale członkowie wszystkich organizacji pisarskich bywali w tym domu, gdzie na parterze była duża restauracja i kawiarnia, jedyny w mieście lokal literacki tego rodzaju. Najważniejszymi organizacjami pisarskimi, prócz WAPP, o której dalej będę mówić obszerniej, były: „Kuznica”, „Pieriewał” („Przełęcz”), „Serapionowy Bratia”, „Proletkult” i „Lef” („Lewy Front Literatury”, na czele z Majakowskim, który jednak później tę grupę rozwiązał i wstąpił do WAPP). Każda z tych organizacji zajmowała inne stanowisko w sprawach literatury, a co za tym idzie także w sprawach natury politycznej, bo to się ściśle łączyło. Grupy pisarskie wzajemnie się zwalczały, nieraz bardzo ostro. Dopiero później, w roku 1932, Stalin rozwiązał wszystkie organizacje pisarskie, tworząc zamiast nich jedną wspólną, Związek Pisarzy Sowieckich, na czele której postawił mundurowego generała nazwiskiem I. Szczerbakow, nie mającego z literaturą nic wspólnego. Nie byłem już w tym czasie w Rosji.

W drugiej połowie lat dwudziestych nic, w dziedzinie literatury, nie zapowiadało zbliżającej się burzy, ani tego że nad literaturą w Związku Sowieckim opuszczona zostanie na wiele lat czarna kurtyna. Czy doprawdy nic? Sergiusz Jesienin, moim, i nie tylko moim, zdaniem największy poeta rosyjski wszystkich czasów, popełnił samobójstwo w roku 1925, mając lat trzydzieści. Był pijakiem, niemal alkoholikiem, urządzał chuligańskie awantury w tymże Domu Herzena, o tych i innych jego niezbyt pięknych wyczynach napisano już wiele książek i prac. Ale to wszystko nie odbijało się w najmniejszym stopniu na jego kryształowo czystej poezji. I trzeba być głupcem aby przypuszczać że poeci tej miary co Jesienin odbierają sobie życie z przyczyn osobistych. Są rdzeniem narodu i wykładnikiem jego uczuć, nie

tylko dlatego że „cierpią za miliony”, ale i dlatego, że ich życie osobiste na jakimś wyższym, ostatecznym i decydującym stopniu, otwiera się w życiu narodu. Jesienin, kiedy go w tych czasach znałem, nie interesował się wcale polityką, nie czytał nawet gazet, a jednak wyczuł swoim przewrażliwionym intelektem poetyckim, że zbliżają się najczarniejsze lata w historii jego kraju — i nie chciał być ich świadkiem.

Muszę powiedzieć z całą szczerością, że ja tego nie wyczuwałem. To, że w końcu lat dwudziestych odszedłem od ruchu, w którym brałem udział od bardzo wczesnej młodości, tłumaczy się innymi, może głębszymi przyczynami. Cienia, który na terazniejszość zawsze rzucają zbliżające się wydarzenia historyczne, nie widziałem ani ja, ani moi najbliżsi przyjaciele-pisarze, z którymi rozmawiałem szczerze, bez żadnego udawania, o wszystkim. Może nie widzieliśmy tego cienia dlatego, że byliśmy zbyt pochłonięci codzienną pracą w naszej organizacji — WAPP (*Wsielsojuznaja Asocjacja Proletarskiej Litieratury*) i literacko-politycznymi sporami, bardzo intensywnymi, tak jak intensywne było wtedy całe nasze życie.

Jednak to, że nie przewidywałem wtedy w najmniejszej mierze przyszłości, świadczy o mojej politycznej ślepcie, z czego zdaję sobie teraz sprawę. Mogę powiedzieć na swoje usprawiedliwienie, że lata dwudzieste, zwłaszcza ich druga połowa, były okresem największego rozkwitu literatury w Związku Sowieckim. Był to też okres najbardziej w dziedzinie literatury liberalny. Wtedy właśnie ukazywały się książki Izaaka Babela, Michała Zoszczunki, Jerzego Oleszy* i wielu innych pisarzy, kontynuujących tradycje wielkiej rosyjskiej literatury, wtedy też wydano „Niebieskie miasta” i „Drogę przez mękę” Aleksieja Tołstoja**. Ilija Ilf i Eugeniusz Pietrow, którzy razem napisali śmiałe powieści satyryczne „Złoty cielak” i „Dwanaście krzesel” cieszyli

* Olesza był Polakiem i dobrze po polsku mówił, ale pisał wyłącznie po rosyjsku. Wsławiła go powieść „Zawiść” (1927), nad którą pracował wiele lat i którą napisał wspólnie, częściowo przez niego samego stworzonym językiem, często później w Rosji naśladowanym. „Zawiść” jest z tych językowych powodów prawie nieprzetłumaczalna, wszystkie jej przekłady, nie wyłączając polskiego, są bardzo dalekie od oryginału.

** „Niebieskie miasta”, krótka powieść A. Tołstoja o komunizmie, marzącym podczas wojny domowej o „niebieskich miastach” w których wszyscy żyją szczęśliwie i o jego rozczerowaniu, wywołała w Rosji wielkie wrażenie. Co się zaś tyczy „Drogi przez mękę”, to mówię tu o pierwszej wersji tej znakomitej powieści. W początkach lat trzydziestych Tołstoj sam ją wycofał i napisał zupełnie inną, całkowicie pod względem artystycznym bezwartościową. Ta właśnie druga wersja później została przetłumaczona m.in. na polski. Aleksy Tołstoj był pisarzem wielce utalentowanym, ale sprzedajnym, odgrywającym później przy Stalinie rolę nadwornego trubadura.

się wielkim powodzeniem, ich książki miały milionowe nakłady. Ilija Erenburg wydał w tym okresie „Niezwyczajne przygody Julio Jurenito” oraz „Burzliwe życie Lejzorka Rojtszwanca”. Erenburg nigdy nie był wielkim pisarzem i nikt go w Rosji za takiego nie uważał, ale był pisarzem bardzo wówczas poczytnym, co zawdzięczał tym właśnie, niewątpliwie najlepszym, swoim książkom. Ich satyryczne ostrze skierowane było przeciwko ustrojowi, książki te krytykowano w prasie, ale to wszystko. Nikt się nie domagał ich zabronienia, wycofano je z obiegu, podobnie jak wszystkie prawie książki tego okresu — i to już na zawsze — dopiero w latach znacznie późniejszych. W latach dwudziestych, o ile pamiętam, była tylko jedna próba zamknięcia ust pisarzowi. Mówię o „Konnej armii” Babela. Kiedy ta książka wyszła z druku, były dowódca tej armii Budionnyj ogłosił w *Prawdzie* list do redakcji, protestując przeciwko jej wydaniu i utrzymując, że książka zawiera wyłącznie kalumnie i kłamstwa. *Prawda* wzięła natychmiast Babela w obronę i wyśmiała Budionnego, za jej przykładem poszły inne pisma.

Jeszcze jedna — mało znana — historyjka, dotycząca literatury w latach dwudziestych. Arkadiusz Awerczenko, znany przedrewolucyjny satyryk rosyjski, redaktor świetnego pisma *Satyrykon*, opuścił Rosję zaraz po rewolucji. Osiadł, jako emigrant polityczny, w Paryżu i napisał tam książkę, zatytułowaną „Dwanaście noży w plecy rewolucji”. Treść książki odpowiadała jej tytułowi. Awerczenko atakował w niej przywódców bolszewickich, zwłaszcza Lenina i Trockiego, w sposób zarówno ostry jak i dowcipny. Ktoś posłał z Paryża tę książkę Leninowi, który napisał o niej artykuł w *Prawdzie*, proponując, aby książkę wydano w Moskwie. „Jest ona”, pisał Lenin, „jawnie kontrrewolucyjna”, ale zdradza wielki talent, „a talenty należy popierać”. Książka później w Moskwie wyszła.

Było to, nawiasem mówiąc, jedno z bardzo nielicznych wystąpień Lenina w sprawach literatury. O jego tolerancji w tej dziedzinie świadczy również jego stosunek do Majakowskiego. Było rzeczą ogólnie wiadomą, że wiersze Majakowskiego bardzo się Leninowi nie podobały. Mówił, że ich nie rozumie i nie dostrzega w nich elementów poezji, ale dodawał, że się na tym nie zna.

Stalin był pod tym względem mniej skromny. Jego córka Swietłana pisze w swojej książce „Tylko jeden rok”, że jedną z książek Gorkiego Stalin opatrzył takim własnoręcznym napisem:

„*Eta sztuka silniejsza cziem 'Faust' Goethe. I. Stalin*” *.

* Ta rzecz jest silniejsza niż „Faust” Goetho. J. Stalin.

Powyższa wypowiedź jest charakterystyczna dla Stalina zarówno pod względem treści, jak i — zwłaszcza — jej stylu. Dlatego ją tu przytaczam. Nie świadczy oczywiście bynajmniej o jego sympatii dla Maksyma Gorkiego — którego później prawdopodobnie Stalin sam kazał zamordować — ani o jego stosunku do literatury. O nastawieniu Stalina do spraw literackich w końcu lat dwudziestych i o rozmowach z nim na ten temat będę jeszcze mówił. Ponieważ jednak wiążą się one dosyć ściśle z moją pracą w WAPP — Wszechzwiązkowej Asocjacji Pisarzy Proletariackich — muszę najpierw powiedzieć kilka słów o tej organizacji.



O WAPP napisano w Związku Sowieckim i za granicą dobry tuzin książek i setki, jeśli nie tysiące artykułów*. Pisząc teraz o tej literackiej organizacji muszę ograniczyć się do spraw najbardziej istotnych, co nie jest łatwe. Ale to ograniczenie jest konieczne, bo w przeciwnym razie utonąłbym w nawale materiału, nie dla każdego czytelnika ciekawego — choć dla mnie wciąż jeszcze aktualnego i bliskiego, ponieważ byłem w ciągu kilku lat jednym z kierowników WAPP i zdaję sobie sprawę, że ponoszę odpowiedzialność za jej działalność.

Od czego więc zacząć? Może najlepiej od końca. Kiedy Stalin — w kwietniu 1932 roku — zlikwidował wszystkie organizacje pisarskie *Prawda* zamieściła wielki artykuł, w którym o innych organizacjach było tylko niewiele zdań, a który głównie usprawiedliwiał rozwiązanie WAPP. Artykuł podnosił, że „jednym z najbardziej jaskrawych błędów” WAPP było „wysunięcie hasła żywego człowieka w literaturze” oraz tezy że „świat — to przede wszystkim człowiek”. Wielka Encyklopedia Sowiecka (wydanie roku 1955) tłumaczy likwidację WAPP tym, że hasło „żywego człowieka” sprowadzało się do pokazywania „sowieckich ludzi jako wewnętrznie załamanych i pełnych przeciwieństw” i tym, że WAPP „przeciwstawiała swoją linię polityczną polityce partii w dziedzinie literatury”.

Istotnie, rzecz z gruba biorąc, tak było, tylko że trzeba wyjaśnić, co te oskarżenia *Prawdy* i Encyklopedii oznaczały. Hasło „żywego człowieka w literaturze” oznaczało walkę z lakiernictwem, z wpychaniem do literatury stuprocentowych bohaterów-komunistów, całkowicie papierowych, posiadających wyłącznie

* Najbardziej źródłową i wyczerpującą pracą w tej dziedzinie jest książka Profesora Edwarda J. Brown'a *The Proletarian Episode in Russian Literature, 1928-1932*, Columbia University Press, New York, 1953.

cechy dodatnie i żadnych ujemnych. Nie znaczy to jednak, aby sami członkowie WAPP nie pisali agitek czy produkcyjniaków. Niektórzy z nich pisali, jeszcze zanim WAPP zlikwidowano. Nie należy też sądzić, aby WAPP zawsze i wszędzie wyznawała zasady, które według *Prawdy* spowodowały jej rozwiązanie. Różnie bywało.

Jeśli chodzi o przeciwstawianie linii politycznej WAPP polityce partii w dziedzinie literatury, to też różnie bywało. WAPP — i ja, jako jeden z jej kierowników — zasadniczo popierała w literaturze politykę partii. Ale ta polityka w różnych okresach była różna i różne było wskutek tego nastawienie do niej WAPP. Leninowi nigdy nie przychodziło do głowy, że partia czy rząd powinny kierować literaturą, czyniąc z niej narzędzie propagandy, w każdym razie nigdy nie wyraził tego rodzaju zapatrywań na piśmie ani w przemówieniach. Głosił natomiast te idee Trocki. Można je znaleźć w jego książce „Literatura i rewolucja”, w której napisał, że zadaniem partii w dziedzinie literatury powinno być „hamowanie wszelkich tendencji rozkładowych, oraz takich, które wywołać mogą konflikty między proletariatem a rewolucyjną inteligencją” i dodał, że partia powinna tępić tego rodzaju niebezpieczne tendencje „niezależnie od formalnych osiągnięć” tych czy innych pisarzy, to znaczy nie licząc się z tym, czy są to pisarze utalentowani czy nie, czy ich utwory mają walory artystyczne, czy też są szmirą. Jeśli do tego dodać, że Trocki w tej samej książce wypowiada się za koniecznością „czujnej cenzury rewolucyjnej” (*bdiel'naja rewolucyjnaja cenzura*) stanie się jasne, że użyteczność utworów literackich dla celów politycznych była dla niego sprawą najwyższej wagi.

Głównym, historycznym i właściwie jedynym, dokumentem określającym stosunek partii komunistycznej do literatury była rezolucja Komitetu Centralnego z dnia 1 lipca 1925 roku. Przyjęta ona została w półtora roku po śmierci Lenina, w czasie, kiedy Stalin, choć był już Sekretarzem Generalnym, żadnej roli w sprawach tego rodzaju jeszcze nie odgrywał — zajął się nimi dopiero później. Autorem tej rezolucji był Mikołaj Bucharin. Znałem go już w tym czasie. Pamiętam że kiedyś w rozmowie ze mną i pisarzem Libiedinskim, powiedział nam, że jego rezolucja odzwierciedla dosyć dokładnie poglądy Lenina na literaturę i sztukę w ogóle, które to poglądy Lenin wypowiadał w prywatnych z nim rozmowach. Pewnie tak było. Ale jeżeli tak było, to świadczy to tylko o tym, że Lenin ściśle określonych poglądów w tych sprawach nie miał. Rezolucja była bowiem raczej dwuznaczna, a nawet wieloznaczna. Mówiła, że literatura ma „zaspokajać rosnące kulturalne potrzeby mas pracujących” i że

„jej poziom musi być wysoki zarówno pod względem ideologicznym, jak i artystycznym”. „Wysoki poziom ideologiczny” oznacza oczywiście nie co innego, jak kierowanie literaturą i wykorzystywanie jej dla politycznej propagandy. Ale już następne zdanie rezolucji zmiekcza tę pozycję. Mówi on że partia nie pozwoli aby do spraw literatury wtrącały się osoby niekompetentne i zwalczać będzie wszelkie tendencje, zmierzające do narzucania literaturze jakichś zadań drogą rozkazów. Jednym słowem i Bogu świeczka i diabłu ogarek.

Ponieważ rezolucja była wieloznaczna — przytaczam tu tylko główne jej postulaty — wszystkie organizacje literackie, a więc i WAPP, wykorzystywały to, utrzymując że jest wodą na ich młyn. Rzecznikiem partii był w tym czasie niejaki Warejkis, który zarządzał Wydziałem Prasowym Komitetu Centralnego. Warejkis utrzymywał, że całkowicie popiera stanowisko WAPP, kiedy rozmawiał z jej przedstawicielami, a w rozmowach z delegatami innych organizacji literackich popierał ich punkt widzenia. Ingerencja Komitetu Centralnego ograniczała się zresztą początkowo do zatwierdzania redaktorów i członków kolegiów redakcyjnych pism literackich. Warejkis był tylko oficjalnym rzecznikiem Komitetu Centralnego, który jeszcze nie posiadał określonej polityki w sprawach literatury, nie bacząc na jednogłośnie przez niego przyjętą rezolucję Bucharina. Komitet Centralny nie miał zresztą ani czasu ani ochoty zajmować się takimi sprawami. Wtedy właśnie, w roku 1925, w najwyższych partyjnych sferach rozpoczęła się już walka o władzę. W pierwszym jej stadium Stalin, razem z Zinowiewem i Kamieniewem, utworzył w Biurze Politycznym słynną trójkę, mającą poparcie większości Biura i zwalczającą Trockiego. Później Zinowiew i Kamieniew utworzyli wraz z Trockim wspólny blok anty-stalinowski, ale Stalin rozporządzał już wtedy większością głosów w Biurze Politycznym. W roku 1927 Trockiego wydalono z partii. Nowa opozycja anty-stalinowska, na czele której, obok Bucharina, stanęli Zinowiew, Kamieniew i Tomski, została przez Stalina rozgromiona.

Ta walka o władzę „na szczycie” odbijała się oczywiście głośnym echem w środowisku pisarskim. Jednym z jej rezultatów było to że Stalin, który zdawał sobie sprawę ze znaczenia jakie zawsze miała w Rosji literatura, już w roku 1925, albo 1926 począł zapraszać do swojego gabinetu w gmachu Komitetu Centralnego przedstawicieli organizacji pisarskich na dłuższe rozmowy. Pamiętam dobrze pewne takie wizyty u Stalina i opowiem o nich w następnym rozdziale. Przedtem jeszcze chciałbym powiedzieć kilka słów o ludziach, którzy stali na czele WAPP.

WAPP był liczebnie największą organizacją pisarską. W la-

tach o których piśzę (1925-1928) miał przeszło 2.000 członków i oddziały w całym Związku Sowieckim. Zjazdy WAPP wybierały Zarząd, a Zarząd, ze swojej strony Komitet Wykonawczy, składający się z 16 członków. Tylko trzech z nich (Aleksander Fadiejew, Włodzimierz Jermiłow i Aleksander Surkow) współpracowało, po czystkach, z reżymem stalinowskim. Leopold Awerbach, krytyk literacki, i Włodzimierz Kirszon, autor dramatyczny, zostali podczas czystek w latach trzydziestych rozstrzelani, większość pozostałych członków Komitetu Wykonawczego spędziła wówczas wiele lat w stalinowskich obozach i więzieniach. Tylko jeden oprócz mnie (Surdow) żyje jeszcze w chwili kiedy to piśzę (styczeń 1972 roku).

Zadnemu z członków Komitetu Wykonawczego nie wytoczono procesu sądowego. „Sądzono” ich w gazetach, oskarżając ich o to, że byli faszystami, agentami obcych wywiadów itd. — jak to wówczas było w zwyczaju. Później, w latach pięćdziesiątych, zostali oni pośmiernie „rehabilitowani”. Oskarżenia tego rodzaju w prasie świadczyły zwykle o tym, że ci, przeciwko którym je wysuwano, już nie żyją. A jawne procesy sądowe wytaczano tylko tym, co do których władze miały pewność, że w sali sądowej „przyznają się do winy”.

4.

Rozmowy ze Stalinem. — Propaganda i sztuka. — Trzęsienie ziemi na Krymie

Redakcja głównego organu WAPP — bo mieliśmy w samej Moskwie jeszcze kilka, a w Związku Sowieckim kilkanaście — mieściła się w jednym pokoju w Domu Herzena. Pokój ten był jednocześnie naszym sztabem generalnym. Ten nasz główny organ nazywał się *Na literaturnom postu* („Na literackiej placówce”), jego redaktorem był Leopold Awerbach.

W środku pokoju był wielki stół, a na jednej ze ścian widniał duży kleks, obwiedziony czerwonym ołówkiem. Kleks miał znaczenie historyczne. Pisarz Wałajtys, Litwin, piszący po rosyjsku, rzucił kiedyś kałamarzem w pisarza Libiedyńskiego, ale nie trafił, tylko trafił w ścianę. Wałajtys zamieścił w jakiejś gazecie artykuł, wychwalający sztuki teatralne Komisarza do Spraw Kultury Anatola Łunaczarskiego, które to sztuki, jak to wszystkim było wiadomo, na żadne pochwały nie zasługiwały. Libiedyński zarzucił Wałajtysowi, że się podlizuje Łunaczarskiemu — który był zresztą człowiekiem bardzo kulturalnym i inteligentnym, tylko

pozbawionym talentu. W odpowiedzi na ten zarzut Wałajtys chwycił za kałamarz.

Inne ściany redakcji przyozdabiały napisy, z których niektóre dobrze pamiętam: „Unikaj wiejskich tematów, jeśli nie odróżniasz dojrzałej krowy od W. Jermiłowa”, „Nasza twórcza arogancja nie ustępuje w niczym waszej”. Pierwszy napis odnosił się do Włodzimierza Jermiłowa, redaktora miesięcznika literackiego *Młoda Gwardia* i jednego z przywódców WAPP, drugi był skierowany przeciwko innym grupom pisarskim, pomawiającym naszą o arogancję w literackich sporach, a słowa „w niczym nie ustępuje” zaczerpnięte były z potocznego w tym czasie gazetowego żargonu. Niemal w każdym artykule o produkcji sowieckich guzików, ołówków czy maszyn rolniczych, albo nawet o wyglądzie moskiewskich skwerów, gazety podnosiły, że wszystko to w niczym nie ustępuje zagranicznemu wzorom.

Otóż w tym redakcyjnym pokoju zadzwonił pewnego dnia telefon. Była mniej więcej jedenasta przed południem. O tej porze w redakcji zawsze było pełno ludzi, tym razem, prócz Awerbacha, był Libiedinski, Fadiejew, Jermiłow — i ja. Pewnie jeszcze ktoś, ale innych nie pamiętam. Ale żeby to co dalej nastąpiło było zrozumiałe, muszę jeszcze powiedzieć kilka słów o Włodzimierzu Jermiłowie.

W latach późniejszych Jermiłow stał się czymś w rodzaju stalinowskiego pomocnika w sprawach literackich i pisywał grube książki oraz artykuły w *Prawdzie*, ferując w tych sprawach wyroki. W tych czasach był młodzieńcem o płowych włosach i niebieskich oczach, pozbawionym szyi. Liczył sobie jakieś 20-22 lata i odznaczał się niezwykłą naiwnością. Ulubionym naszym zajęciem było zmyślanie rozmaitych niedorzecznych historii, w które święcie wierzył. Celował w tym zwłaszcza Włodzimierz Kirszon. Często dzwonił do niego w dzień i w nocy, zmieniając głos i udając kogoś z kremłowskich wodzów, żeby mu nawymyślać za jakiś zamieszczony w *Młodej Gwardii* artykuł. Jermiłow w takich razach opowiadał nam nazajutrz, że Bucharin albo ktoś taki do niego dzwonił i radził się nas, jak ma postąpić.

Kiedy zadzwonił telefon w redakcji, Jermiłow podniósł słuchawkę i kiedy usłyszał kto mówi, myślał że go znowu nabierają. Zdawało mu się że poznaje głos Kirszona i ostro go zwymyślał. Awerbach, który wiedział że Kirszona nie ma w Moskwie, wyrwał mu słuchawkę, i wtedy dopiero się okazało, że dzwoni Stalin we własnej osobie. Prosił, żeby kilku członków z kierownictwa WAPP przyszło do niego nazajutrz.

Daty tej pierwszej wizyty u Stalina nie pamiętam (później były i inne). Musiało to być w roku 1926. Wiedzieliśmy już

wówczas, że Stalin zaczął się interesować literaturą. Powiedział nam o tym Łunaczarski, który utrzymywał z WAPP stosunki przyjazne, w swoisty dla niego sposób. Kiedy Fiodor Raskolnikow — również jeden z kierowników WAPP — i ja zapytaliśmy Łunaczarskiego, czy i do niego doszły słuchy o tych nowych zainteresowaniach Stalina, Komisarz do Spraw Kultury podniósł do góry brwi i odrzekł, że Stalin istotnie czyta *książki*, nie wyłączając *powieści*, i nawet *wiersze*. Podkreślając te słowa, podnosił brwi jeszcze wyżej, pragnąc nam dać do zrozumienia, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Awerbach znał Stalina osobiście, ale Stalin nie zaprosił go imiennie, co uraziło jego ambicję. Nie chciał wskutek tego do Stalina pójść, uradziliśmy że pójdą Libiedinski, Fadiejew i ja.

Żaden z nas Stalina jeszcze nie znał i nigdy z nim nie rozmawiał. Co do mnie, to widywałem go od czasu do czasu, ale nigdy z bliska. Kiedy wstał zza biurka, żeby się z nami przywitać, rzuciło mi się w oczy, że jest bardzo niskiego wzrostu. Miał śniadą cerę a jego twarz była upstrzona śladami ospy, albo może jakiejś skórnej choroby. Mówił z bardzo silnym gruzińskim akcentem. (Po wielu latach słyszałem w Nowym Jorku jego przemówienie, wygłoszone podczas drugiej wojny światowej i nagrane na płytę. Mówił wtedy po rosyjsku już prawie bez akcentu).

Przywitał nas uprzejmie i prosił, żeby mu opowiedzieć o naszej pracy. Umówiliśmy się, że zrobi to Libiedinski. Stalin słuchał, paląc fajkę, ale miałem wrażenie, że to co Libiedinski mówi mało go interesuje. Naraz zapytał, kto był przy telefonie, kiedy dzwonił. Słyszał, jak się okazało, krzyki Jermiłowa i przekleństwa Awerbacha pod adresem tegoż. Opowiedzieliśmy mu, czym się to wszystko tłumaczyło. Wprawiło go to w świetny humor. Zawołał jakiegoś sekretarza i opowiedział mu co zaszło, ale dosyć nieskładnie. Sekretarz nic nie rozumiał, ale udał że rozumie i wy dobył z siebie uprzejmy rechot.

Libiedinski podjął swój referat, Stalin, chodząc po pokoju, słuchał z widoczną już niecierpliwością. Libiedinski wspomniął coś o tym, jak zbierał materiały do swojej powieści „Niedielia” („Tydzień”). Stalin, który przedtem pewnie nie dosłyszał jego nazwiska — albo może nic mu ono nie mówiło — ożywił się i zaczął go rozpytywać, jak długo swą powieść pisał, jak się nazywają inne jego książki, itd. Ktoś z nas zapytał go, czy czytał „Tydzień”. Stalin odpowiedział że nie, ale że przeczytał. W trakcie dalszej rozmowy zwracał się wyłącznie do Libiedinskiego, ignorując innych. Zdawaliśmy sobie sprawę, dlaczego. O „Ty-

godniu” Trocki napisał w *Prawdzie* długi i bardzo pochlebny artykuł, Stalin z pewnością ten artykuł czytał*.

Nie pamiętam już czy podczas tej wizyty czy też podczas innej Stalin zapytał nas, dlaczego prześladowamy pisarza Fiodora Gładkowa. Chodziło o powieść tego ostatniego „Cement”, którą już przedtem wspomniałem. Powieść ta, niewątpliwie pierwowzór wszystkich późniejszych szmir tego rodzaju, nie tylko w Rosji lecz i w innych krajach, fałszowała rzeczywistość, przystosowując ją do agitacyjnych haseł i czyniąc z bohaterów książki papierowe manekiny. Uznana jednak została za arcydzieło, prasa zamieściła o niej entuzjastyczne recenzje i agitatorzy partyjni usilnie ją propagowali na zebraniach w całym Związku Sowieckim. WAPP postanowił przeciwstawić się tej ogólnej fali entuzjaku. Uważaliśmy to za konieczne nie tylko ze względów ogólnych, lecz również i dlatego że autor „Cementu” był jednym z czołowych działaczy WAPP. Jego powieść uważana była wskutek tego za rzecz dla WAPP niejako programową, za wzór tego kierunku w literaturze, który WAPP popiera. Nie mogliśmy na to pozwolić i pisma WAPP zamieściły kilka artykułów, krytykujących „Cement”. Najbardziej ostry z tych artykułów — w *Na literaturnom postu* — napisał Aleksander Fadiejew. Fadiejew napisał, że bohater „Cementu” Glieb Czumałow jest „typowym żelaznym komunistą z żelaznym podbródkiem”, że wszystko co mówi wzięte jest żywcem z artykułów w *Prawdzie* i że wielu młodych, początkujących pisarzy już imituje Gładkowa, pisząc takie same agitki, co jest rzeczą bardzo szkodliwą**.

Dla mnie osobiście konflikt WAPP z Gładkowem — który wskutek niego z WAPP wystąpił — był specjalnie przykry, ponieważ był on pierwszym redaktorem, drukującym moje rosyjskie opowiadania. Rzadko go później w Moskwie widywałem, ale odczuwałem w stosunku do niego dług wdzięczności. To było pewnie przyczyną, że nie brałem udziału w kampanii którą

* W związku z „Tygodniem” kursowała wówczas o Libiedinskim taka anegdota: „Kim jest Libiedinski? Tygodniem, który za długo trwa”. Anegdota była złośliwa, ale niesłuszna. Jurij Libiedinski był pisarzem wysoce utalentowanym i śmiałym, czego dowodzi choćby jego powieść „Narodziny bohatera”.

** Tenże Fadiejew napisał wiele lat później powieść nie mniej badurna. Jego „Młoda gwardia” przetłumaczona została na mnóstwo języków i przerebobiona w Moskwie na film i operę. Była to niesamowita szmira, tym jeszcze przewyższająca powieść Gładkowa pod względem sztuczności, że „żelazne podbródki” posiadają nie tylko występujący w niej mężczyźni, lecz również i kobiety. Ale „Młoda gwardia” wyszła dopiero po drugiej wojnie. W czasie, o którym piszę, Fadiejew był utalentowanym pisarzem, o czym świadczy jego pierwsza powieść „Razgrom” („Kłeska”).

WAPP przeciwko Gładkowowi prowadził i że kiedy Stalin, zwracając się do mnie, zapytał, dlaczego Gładkowa prześladowamy, uchyliłem się od odpowiedzi. Udzielił jej Stalinowi kto inny, zdaje się że Libiedinski. Ale Stalin przerwał mu i zwrócił się znowu do mnie. Dalsza rozmowa miała taki mniej więcej przebieg:

— Wy, towarzyszu Solski, przyjechaliście z zagranicy, słyszałem że znacie języki, więc pewnie za granicą czytaliście *ich* książki. Tak?

— Tak.

— Czytaliście *ich* książki. Oni, kapitaliści, mają swoich pisarzy, którzy ich wychwalają i szerzą ich — kapitalistyczne — idee, my musimy mieć swoich. Zgadza się z tym?

Odpowiedziałem coś w tym sensie, że pisarze w krajach kapitalistycznych rzadko wychwalają kapitalizm i rządy swoich krajów, ponieważ to byłoby konformizmem, a pisarze są niejako z natury swojego zawodu — w każdym razie wielcy pisarze — antykonformistami, buntownikami, nie przyjmującymi istniejącego stanu rzeczy. Ale Stalin nie podjął tego argumentu. Mówił znowu, zwracając się do mnie:

— Czytaliście, co napisał o nas Wells? Był tu, rozmawiał z Włodimirem Iljczem, przyjeśliśmy go jak najlepiej, a on co? Wrócił do swojej Anglii i wydrukował o nas same paskudztwa. Nie można mu się dziwić. Kapitalistyczny pisarz.

— Ale inni kapitalistyczni pisarze, powiedział ktoś, też tu przyjeżdżają i chwalą w swoich książkach to co tu widzieli.

— Chwałą, chwałą. Drogo nas to kosztuje. Literatura powinna płynąć z wewnętrznego przekonania, jak u Gładkowa, a wy mi tu opowiadacie, że takich ludzi jak w jego książkach u nas nie ma. Nie rozumiecie, że Gładkow stawia tego swojego Czumałowa za przykład do naśladowania, ot co! I ma się rozumieć że go wychwala, jak można inaczej? Jasne, że go wychwala, powinniście być dumni, że macie w swojej organizacji takiego *pożytecznego* pisarza, a wy go prześladowacie!

Pamiętam, że po tej rozmowie ze Stalinem Komitet Wykonawczy WAPP zwołał specjalne posiedzenie, trwające wiele godzin. Zastanawialiśmy się poważnie nad tym, czy posłuchać Stalina i zmienić nasze nastawienie do „Cementu” i jego autora, czy nie. Postanowiliśmy go nie zmieniać. W tych czasach takie postanowienie było jeszcze możliwe, Stalin nie był jeszcze dyktatorem i wyrocznią we wszystkich sprawach.

Jest bardzo prawdopodobne, że ten konflikt WAPP ze Stalinem stał się później jeśli nie główną, to w każdym razie jedną z przyczyn rozwiązania WAPP. Stalin miał bowiem dobrą pa-

mięć, a Gładkow cieszył się jego specjalną sympatią i często bywał u niego na dacy pod Moskwą. To zaś, że właśnie Stalin osobiście, a nie kto inny, postanowił rozwiązać WAPP — jak zresztą i wszystkie inne organizacje pisarskie — nie ulega wątpliwości. Świadczą o tym dokumenty, ogłoszone znacznie później. W roku 1947, na XVII Zjeździe Partii, Kaganowicz niespodzianie wystąpił z krytyką dawno już wówczas nie istniejącej WAPP i powiedział, że Stalin w 1932 roku postanowił tę organizację rozwiązać ponieważ „WAPP, zamiast stać się ośrodkiem, organizującym szerokie masy pisarskie, przeszkadzała rozwojowi literatury sowieckiej” i że wszelkie próby wpłynięcia na WAPP, aby tę błędną politykę zmieniła, spęły na niczym*.



Sprawa stosunku WAPP do Gładkowa wyglądałaby pewnie inaczej, gdyby WAPP, jak Stalin, uważała Gładkova za pisarza rewolucyjnie pożytecznego. Ale rzecz w tym, że zarówno ja, jak i moi przyjaciele z WAPP byliśmy zdania, że Gładkow i ten rodzaj literatury, który Gładkow reprezentował, są dla rozwoju rewolucji szkodliwe.

Napisałem to już przedtem, ale wydaje mi się że muszę dodać kilka słów do tego co napisałem.

Przygotowując ten rozdział moich wspomnień, przejrzałem wiele książek, poruszających zagadnienie stosunku literatury do polityki i do propagandy, przeczytałem też artykuły, które pisałem na ten temat w latach dwudziestych. Myślę teraz, jak i wtedy, że niezależnie od zamierzeń i poglądów autora kicz i szmira, kompromitują, jeśli chodzi o literaturę, idee, które chciał on propagować. To wydaje mi się prawdą oczywistą i elementarną. Wiem również dzisiaj — a nie jestem pewien czy wiedziałem to wtedy — że wszystkie bez wyjątku utwory literackie, pisane z zamiarem wykazania słuszności tej czy innej tezy filozoficznej, są literacko bezwartościowe — chyba że pisarz w trakcie pracy nad książką wyrzeknie się swojego zamiaru propagowania jakiejś tezy albo tak ją ukryje, że czytelnik nie zda sobie sprawy, że pisarz chciał czegoś w swojej powieści dowieść. Wydarzyło się to Tołstojowi w „Annie Kareninie”. W posłowniu do tej wspaniałej powieści Tołstoj napisał, co chciał „przez nią powiedzieć”. Chodziło mu o sakrament małżeństwa, o jego nienaruszalność. Jego bohaterka poniosła, jak pisał, zasłużoną karę za to, że porzu-

* „Partia bolszewicka i literatura sowiecka”, Krótki Przegląd Dokumentów, *Nowyj Mir*, Moskwa, maj 1947.

ciła męża. Tolstoj chciał napisać tendencyjną powieść, ale jego artystyczne sumienie mu na to nie pozwoliło i bez jego postawia mało kto by się domyślił, że miał taki zamiar.

Ale to jest tylko jedna strona zagadnienia. Kierownicy WAPP, i ja w tej liczbie, byli przede wszystkim rewolucjonistami, a dopiero później pisarzami. Takie było założenie WAPP i tym, w naszym mniemaniu, różniła się ona od innych organizacji pisarskich. Mnie osobiście nie przychodziło wówczas nawet do głowy, że w gradacji ważności literatura czy sztuka w ogóle stoi wyżej od rewolucyjnych programów i zadań. Nie wiedziałem wtedy — i dziś tego nie wiem — czym jest sztuka, choć przestudiowałem wtedy i później wiele dzieł, usiłujących na to pytanie odpowiedzieć, ale traktowałem mój pisarski zawód jako pracę wierzącego komunisty na odcinku literatury, nie więcej.

Tak samo traktowali swój zawód moi przyjaciele z WAPP. Lato 1927 roku spędzałem w Mischorze, na Krymie, razem z Kirszonem, Awerbachem i kilkoma jeszcze pisarzami i krytykami. Prowadziliśmy ciągłe spory na temat, który nam nie dawał spokoju: czy i jak sztuka może być wykorzystana dla celów rewolucyjnych. Zgadzaaliśmy się wszyscy, że tylko sztuka działa emocjonalnie na ludzi, tylko ona apeluje do ich uczuć, i że wskutek tego jej działanie jest o wiele silniejsze niż wszelka propaganda, opierająca się na argumentach rozumowych. Wyciągaliśmy z tego wniosek, że my, pisarze, jesteśmy obowiązani wpływać na czytelników w sensie rewolucyjnym. Zdania były podzielone tylko co do tego, jak to należy robić, w jakich granicach jest to w ogóle możliwe.

Nie znaleźliśmy pełnej odpowiedzi na to pytanie, ale znaleźliśmy odpowiedź częściową. Dopomógł nam w tym, sam tego nie wiedząc, Izaak Babel.

Babel opowiedział mi kiedyś w Moskwie o pewnym swoim przeżyciu z czasów dzieciństwa. Jego opowieść mocno utkwiła mi w pamięci. Babel mieszkał wtedy w Odessie. Kiedy miał jakieś trzynaście albo czternaście lat, jeden z jego krewnych podarował mu zegarek.

Był to jego pierwszy zegarek, Babel bardzo był z niego dumny i bardzo go sobie cenił. Jednym z jego znajomych był złodziej i chuligan, starszy od niego o jakieś dziesięć lat, który mieszkał na tej samej ulicy. Babel poszedł do niego, żeby się z nim podzielić swoim szczęściem. Złodziej obejrzał zegarek, po czym spokojnie schował go do kieszeni i powiedział Babelowi, żeby sobie poszedł do wszystkich diabłów.

Babel nic nie mógł zrobić. Chuligana bała się cała ulica, wiadano, że nosi przy sobie nóż. „Wyszedłem z tego domu”,

opowiadał Babel, „stanąłem przed bramą i zacząłem płakać, trochę ze złości na samego siebie, robiąc sobie wyrzuty że do niego poszedłem, trochę z powodu wyrządzonej mi krzywdy”.

W przeciągu kilku tygodni Babel nie spotykał złodziejzszka. Ale pewnego dnia chuligan przyszedł do niego i opowiedział, że jakiś dziennikarz podarował mu bilet do opery, z którego sam nie mógł skorzystać. Chuligan nigdy przedtem nie był w teatrze. Powiedział Babelowi, że teatr go nie interesuje, że to jest zabawa dla durni, ale w gruncie rzeczy chciał żeby Babel mu poradził, czy ma iść czy nie. Babel go namówił, żeby poszedł. Złodziej zdecydował pójść tylko na kilka minut, najwyżej na kwadrans, dla zaspokojenia ciekawości, bo przecież dobrze wie, że to jest strata czasu. O zegarku nie powiedział ani słowa.

Wieczorem Babel czekał na niego przed teatrem na ulicy. Złodziej nie wyszedł z teatru po kwadransie, ani nawet podczas przerwy. Został do końca przedstawienia, a kiedy Babel, który chciał się dowiedzieć jakie wrażenie zrobiło na chuliganie przedstawienie, i tylko dlatego czekał na ulicy, zapytał go o to, chuligan nie odpowiedział ani słowa. Był tak wzruszony, że nie mógł mówić. Dopiero po dłuższym milczeniu wyjął z kieszeni zegarek i oddał go Babelowi. Nie wyjaśnił, dlaczego to zrobił, powiedział tylko — jeśli dobrze zapamiętałem opowieść Babela — co następuje:

— Były tam tańce i śpiewali. Grała muzyka. Bardzo dobrze grała, i dobrze śpiewali, więc jednym słowem bierz swój zegarek i zmykaj do ciężkiej cholery*.

Rozważaliśmy w Mischorze tę historię. Zdawaliśmy sobie sprawę, że złodziej zwrócił Babelowi zegarek nie dlatego, że sens moralny przedstawienia, które widział, polegał na tym że nie należy kraść, że kradzież jest rzeczą zdrożną. Opera z pewnością takiego nakazu nie zawierała. Skłoniła jednak złodzieja do pewnego czynu — może nie bezpośrednio, ale pośrednio — a to jest przecież celem każdej propagandy. Opera była więc propagandą, tylko propagandą swoistego rodzaju. Nie zachęcała do uczciwości, ale samo zetknięcie ze sztuką obudziło w złodzieju drzemiące w nim dodatnie, czy „szlachetne” uczucia. Nie umiał ich on wyrazić i prawdopodobnie ich się wstydił, dlatego kazał Babelowi zmykać.

Z tej naszej analizy wyprowadziliśmy wnioski. Polegały one na tym, że sztuka może być wykorzystana w celach propagandy

* Babel napisał później opowiadanie „Di Grasso”, oparte na tym wydarzeniu. Ale treść opowiadania jest nieco inna. Jest to bardzo piękne opowiadanie, ale surowy jego materiał — prawdziwa historia — zrobił na mnie większe wrażenie.

tylko wówczas, jeśli chodzi o rozbudzenie w człowieku nie jego złych cech, tylko wyłącznie cech dobrych. Można to ująć jeszcze ścisiej. Najpiękniejsza powieść, najpotężniejszy utwór muzyczny czy obraz — mówię oczywiście o prawdziwej sztuce, nie o jej handlowych czy innych namiastkach — nie mogą skłonić nikogo do popełnienia łajdactwa. Prawdziwa sztuka może być motorem działania tylko w tym wypadku, jeśli się propaguje idee ogólnoludzkie i pozytywne, które będą zawsze altruistyczne, ponieważ egoizm nie znajdzie w nich dla siebie miejsca.

I jeszcze jedno: pozytywne dla każdego człowieka jest tylko to, co sam uważa za pozytywne, i to nie dlatego że ktoś go namówił, aby wyznawał takie czy inne zasady, lecz dlatego, że sam czuje, co jest dobre a co złe. Wpłynąć na to jego wewnętrzne nastawienie i zmienić je w tym czy innym kierunku z pewnością można, ale nie jest to rzeczą łatwą i żadna propaganda, jeśli chodzi o osiągnięcie celów negatywnych, nie może tego zrobić przy pomocy sztuki. Idei pieców krematoryjnych, stalinowskich obozów i masowych morderstw, jak w ogóle idei dyktatury totalistycznej nie można propagować przy pomocy powieści czy poematów, i dlatego w stalinowskiej Rosji, hitlerowskich Niemczech czy we Włoszech Mussoliniego literatura przestała istnieć.



Pamiętam że spory, o których piszę, toczyły się w Mischorze w roku 1927, bo łączą się one w moich wspomnieniach z trzęsieniem ziemi, które było na Krymie w tym roku.

Trzęsienia ziemi są na Krymie dosyć częste. Nie osiągają tej siły co np. w Japonii, ale trwają dłużej, zwykle kilka miesięcy. Nie znaczy to oczywiście, że ziemia trzęsie się cały czas. Wstrząsy podziemne następują jednak w ciągu takiego okresu codziennie albo też nawet kilka razy dziennie, każdy z nich trwa kilka, czasami kilkanaście sekund.

Trzęsienie ziemi zaczęło się w roku 1927 wczesną jesienią, w pełni sezonu, kiedy wszystkie miejscowości nadmorskie gościły dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy kuracjuszków z całej Rosji. Komunikacji lotniczej jeszcze wtedy nie było, na półwysep Krymski prowadziła tylko jedna linia kolejowa, i to tylko do Sewastopola, na samym szczycie półwyspu. Dalej jechało się samochodami. Po pierwszych wstrząsach zaczął się popłoch, a nie można było ewakuować wszystkich jednocześnie. Władze miejscowe zwróciły się wobec tego do kuracjuszy z wezwaniem, aby ci, którym się specjalnie nie spieszy, zobowiązali się piśmiennie, że wyjadą w ostatniej kolejności, po ewakuacji kobiet i dzieci.

Kirszon, ja i inni moi przyjaciele podpisali odpowiednie zobowiązania natychmiast i dosyć ochoczo. Udawaliśmy, że spełniamy w ten sposób nasz „obywatelski obowiązek”, do czego nawoływało wezwanie władz, ale istotną przyczyną była inna. Krym jest jednym z najpiękniejszych zakątków świata, było nam tam bardzo dobrze i przyjemnie, wezwanie władz było świetnym pretekstem dla przedłużenia pobytu. Nie groziło nam zresztą żadne niebezpieczeństwo. Podczas pierwszych wstrząsów, w nocy, kołysał się mocno wielki biały pałac, w którym mieścił się nasz dom odпочynkowy i który podobno dawniej należał do Wielkiego Księcia Mikołaja Mikołajewicza — ale nie wiem czy należał, bo to samo mówiono o kilku innych pałacach na Krymie. Kołysał się, ale się nie zawałił. Runął dopiero po jakimś tygodniu, nie wytrzymując dalszych wstrząsów. Mieszkaliśmy już wtedy w drewnianych domkach, bardziej bezpiecznych niż murowane, jako że drzewo przewyższa kamień i cegłę pod względem sprężystości. Wkrótce jednak zaczęły się walić i one i stało się oczywiste, że niebezpieczeństwem grozi każdy dach nad głową. Przeprowadziliśmy się więc na plac tenisowy, do czego krymski klimat doskonale się nadawał. Ustawiliśmy nasze łóżka rzędem z obu stron, w środku zrobiliśmy korytarz. Ziemia trzęsła się w dalszym ciągu, głośno, wydając ryk, którego nie można z niczym porównać, bo innego takiego dźwięku nie ma. Podczas trzęsienia ziemi powstaje on wskutek przesuwania się gdzieś w głębi ziemnych warstw. Ten ryk ziemi był denerwujący, denerwujące było także to, że ziemia w ogóle trzęsie się pod nogami, bo człowiek przyzwyczajony jest do tego, że jest ona czymś stałym, czymś na co można liczyć, i że niebezpieczeństwo płynie zawsze z czegoś, co się dzieje nad ziemią albo na jej powierzchni, a nie z jakichś podziemnych zjawisk. Po wstrząsach powstawały w ziemi szpary i szczeliny, ale nie wszędzie i nie zawsze. Mierzyłem je przy pomocy sznurka z kamieniem na końcu. Miały zwykle kilka metrów długości, szerokość ich nie przekraczała metra.

Na naszym placu tenisowym mieszkała między innymi pielęgniarka z jakiegoś szpitala w głębi Rosji: wysoka, koścista, z ostrymi rysami, w średnim wieku, brzydka i przykra w obejściu, o chropowatym głosie. Nazywaliśmy ją macochą, ponieważ wyglądała jak macocha z bajki. Mieszkał też, w innym rogu placu, buchalter z Rostowa. Miał żółtawą cerę, małe oczki i lisią twarz. Był nierozmowny i tchórzliwy. Drżał ze strachu na swoim łóżku jeszcze długo po każdym podziemnym wstrząsie i żegnał się szerokim gestem, albo się szeptem modlił.

Gniewał nas, i pielęgniarka też nas gniewała. Trudno mi

powiedzieć dlaczego. Może nas raziły jego modlitwy, a jej nieuprzejmość. Najpewniej jednak nasze do nich nastawienie tłumaczyło się po prostu ich mało pociągającą powierzchownością, ich, jak mówiliśmy, zatechłością.

I otóż którejs nocy ziemia zaczęła kołysać się i grzmieć, tym razem tak silnie, że musiałem trzymać się ramy łóżka, żeby z niego nie wypaść. Buchalter z Rostowa przeraził się, wyskoczył z łóżka i pobiegł prosto przed siebie. Poleciały za nim okrzyki oburzenia i drwin, ktoś go strofował za szerzenie paniki, ale buchalter już tego pewnie nie słyszał. Znikł w parku, wyglądał w swoim białym szlafroku jak szamoczący się z nocą upiór. Za chwilę wszystko wróciło do równowagi i rozległy się głosy, że swoją drogą trzeba go odszukać i zobaczyć, czy mu się nic nie stało. Ale wtedy właśnie sam wrócił, kulejąc. Okazało się że wpadł na brzegu szosy na stertę kamieni przygotowanych do jej reperacji, i zwichnął sobie nogę w kostce. Ale o tym dowiedzieliśmy się dopiero nazajutrz, a teraz obserwowaliśmy go w milczeniu, nikt mu już nie wymyślał kiedy się usadowił na swoim łóżku i zakrył rękoma twarz, bo wyglądał bardzo żałośnie. Po długiej chwili wstał, przywłókł się do łóżka pielęgniarki i coś jej szeptał. Pielęgniarka zerwała się, zbadała palcami jego zwichniętą nogę i ładnym, żeńskim, wdzięcznym ruchem objęła go jedną ręką i pocałowała. Noc była jasna, pełna księżycowego światła. Wszyscy w dalszym ciągu milczeli. Twarz pielęgniarki była w tej chwili zupełnie inna niż zwykle: tryumfująco piękna.

5.

*Sowkino. — Złożenie do archiwum „Pancernika Potiomkina”.
— Dalsze losy tego filmu i jego twórcy*

Eugeniusz Ionesco, znakomity dramaturg, wydał w końcu lat sześćdziesiątych „Journal en Miettes” („Okrucy pamiętnika”), w którym jest ciekawa uwaga, dotycząca względności czasu. Jest on zdaniem Ionesco w dużej mierze funkcją wieku. Jak długo trwa na przykład przerwa między dwoma lekcjami w szkole? Według zegara — tylko kwadrans, ale ile ciekawych rzeczy dzieje się w ciągu tego kwadransa, ile odbywa się zabaw na podwórku szkolnym, jak dużo się wtedy przeżywa! A później, z wpływem lat, czas staje się coraz krótszy, cała godzina nie ma żadnego znaczenia, nic ważkiego już się w niej nie mieści. Mijają dalsze lata i puste, bez znaczenia, bez wydarzeń stają się dni, tygodnie i miesiące.

Przypomina mi się to spostrzeżenie Ionesco, kiedy myślę o trzech czy czterech latach które spędziłem wówczas w Rosji. Były chyba w moim życiu najbardziej aktywne. Prócz pracy w WAPP miałem jeszcze wiele innych zajęć, a jednak na wszystko miałem dosyć czasu, wszystko się jakoś w nim układało.

A więc: pisałem książki, wydałem ich pięć czy sześć, większych i mniejszych. Pisywałem artykuły: o sprawach literackich i stale, co wtorek, wielki artykuł dla *Izwestii* o wypadkach międzynarodowych. W późniejszych czasach, jak zresztą i teraz, tego rodzaju artykuły były inspirowane, wyrażając stanowisko rządu. Wtedy nie były, nosiły raczej charakter informacyjny, i dlatego wymagały większego nakładu pracy, bo musiałem przeglądać dużo zagranicznych gazet, żeby zebrać materiał dla moich przeglądów. Pisałem je rok czy półtora, później przestałem, ale nie z powodu braku czasu, tylko dlatego, że mnie te ogólnopolityczne sprawy coraz mniej interesowały.

Natomiast bardzo mnie interesowała moja praca w Sowkino. Kino pociągało mnie od najwcześniejszych lat. Jeszcze jako sztabak w Łodzi chodziłem do wszystkich kin, których zresztą było wtedy tylko kilka: „Odeon”, naprzeciwko niego „Luna”, najbardziej eleganckie, na Piotrkowskiej, „Casino” i „The Bio Express”, którego nazwę czytało się właśnie „tche” i „bjo”, bo nikt nie przypuszczał, że się to czyta inaczej. Pamiętam do dziś dnia znakomite filmy skandynawskiej wytwórni „Nordisk”, przodującej wówczas na świecie, pamiętam wielką artystkę Astę Nilsen, brzydką, której oblicze przypominało trochę konia, ale która wzruszała widzów w każdym filmie do łez, może dlatego, że w każdym płakała choć raz, ale zwykle więcej razy. Ogromne łzy spływały po jej policzkach i bardzo mnie oburzyło, kiedy mój starszy brat Antoni powiedział mi, że łzy w filmach fabrykuje się z gliceryny. Byłem przekonany, że Asta Nilsen płacze prawdziwymi łzami. Pamiętam też dobrze pierwszy polski pełnometrażowy film, który się nazywał „Niebezpieczny kochanek” i którego scenariusz napisała sama Gabriela Zapolska. Premiera odbywała się w kinie „Casino”, film był oczywiście niemy. Ilustrowała go muzycznie „Humoreska” Dworzaka, którą grała orkiestra i którą wtedy pierwszy raz słyszałem.

W Paryżu, krótko przed wyjazdem do Moskwy, widziałem w jakimś zupełnie podrzędnym kinie napisany i reżyserowany przez Chaplina film „The Woman of Paris”, który wyświetlano przedtem w większych kinach, zdaje się że bez wielkiego powodzenia. Film tak mnie zachwycił, że nazajutrz poszedłem go znowu zobaczyć. A w Moskwie opowiedziałem o tym filmie A. Trajninowi, jednemu z kierowników Sowkino. Film sprawa-

dzono do Rosji i wyświetlano go w ciągu wielu lat. Stał się filmem klasycznym, w moskiewskiej Szkole Filmowej studenci analizowali każdą jego scenę, a występujący w tym filmie pierwszy raz Adolphe Menjou, z jego wąsikami i ironicznym uśmiechem, stał się niedoścignionym wzorem wielu aktorów sowieckich, którzy go naśladowali. (Film nazywał się w Rosji „Paryżanka”).

W taki sposób rozpoczęła się moja praca w filmie. Trajnin, po moim przyjeździe z Mińska, zaproponował mi, żebym został kierownikiem wydziału scenariuszy Sowkina, na co się zgodziłem.

Każdy film zaczyna się od scenariusza, więc moje stanowisko było niejako kluczowe. Scenariusze wszystkich filmów, które Sowkino produkowało, musiały przejść przez moje ręce. A produkowano ich coraz więcej. Kilka cyfr: przed rokiem 1923 w całym Związku Sowieckim nakręcano około 10 filmów pełnometrażowych* i około 20 krótkich rocznie. W roku 1928 wyprodukowano już 98 filmów pełnometrażowych i 73 krótkie. Tylko kilka z nich wykonała wytwórnia „Mieźrabpom”** i dwa lub trzy małe organizacje filmowe w poszczególnych republikach sowieckich (Ukraina, Gruzja, Armenia), wszystkie inne Sowkino.

Choć kino, jak mówiłem, zawsze mnie pociągało, nie miałem oczywiście pojęcia, jak się filmy robi, ani jaki scenariusz „wyjdzie” na ekranie, a który „nie wyjdzie”. Uczylem się na własnych błędach, spędzając więcej czasu w atelier niż za biurkiem. Kierownicy Sowkina mieli wtedy o sztuce filmowej jeszcze znacznie mniejsze pojęcie niż ja, zajmowali uprzednio mniej lub bardziej wysokie stanowiska w hierarchii sowieckiej, nic nie mając z żadną sztuką wspólnego. Ale Sowkino miało już świetnych reżyserów, znakomitych aktorów i doskonałych scenarzystów. Sowiecki Olimp już w tych czasach głosił hasło „dognania i przegnanania” Ameryki pod każdym względem i zapowiadał, że to wkrótce nastąpi. W dziedzinie filmowej hasło to — wprawdzie na krótko — zostało niewątpliwie urzeczywistnione, jeśli nie liczebnie, to jakościowo. W tych właśnie latach dwudziestych wyprodukowano w Rosji takie filmy jak „Pancernik Potiomkin”, „Burza nad Azją” („Potomek Dżingis-Chana”), „Matka”, „Arsenał”, „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, „Ziemia w niewoli”, „Polikuszka”, „Żywy trup”, „Trzecia Mieszkańska” i

* Pełnometrażowymi nazywają się filmy, których wyświetlanie trwa półtorej albo dwie godziny. Ich długość wynosi 1500-2000 metrów.

** Skrót słów „Mieźdunarodnaja Raboczaja Pomoszcz” — „Międzynarodowa Pomoc Robotnicza”. Ta organizacja należała do Kominternu i była stworzona przez Willi Münzenberga dla przysporzenia mu funduszy drogą sprzedaży nakręcanych w Rosji filmów za granicą.

wiele innych, przewyższających pod względem artystycznym filmy amerykańskie, niemieckie i francuskie (w innych krajach produkowano wówczas znikomą liczbę filmów). Filmy te powstawały jednak wyłącznie dzięki talentom ich twórców, którzy pracowali w niezwykle trudnych warunkach: atelier filmowe były źle wyposażone, w Rosji nie wyrabiano jeszcze surowego filmu, taśmę filmową trzeba było sprowadzać z Ameryki lub z Niemiec i płacić za nią walutą, a więc jej oszczędzano, itp. A prócz tego pokonywać trzeba było bardzo nieraz silny opór tych, którzy stali na czele przemysłu filmowego i którzy jego rozwój hamowali — nie ze złej woli ani nie na skutek partyjnych dyrektyw, bowiem partia do tych spraw początkowo mało się wtrącała, tylko dlatego, że sztuka filmowa i sztuka w ogóle była im obca, mało się na niej wyznawali i raziło ich wszystko, co odbiegało od schematu, od banału.

Jednym z takich ludzi był Konstantin Matwiejewicz Szwedczikow, kierownik Sowkina, człowiek osobiście bardzo uczciwy i raczej sympatyczny. Należał do partii od wielu lat, kiedyś, przed rewolucją, ukrywał się u niego przez krótki czas Lenin, który to fakt wpłynął pewnie na to, że Szwedczikow, po rewolucji, zajmował rozmaite wysokie stanowiska. Utrzymywałem z nim przyjazne stosunki i kilka razy zdołałem go przekonać — bo ostatnie słowo należało do niego — aby nakręcić ten czy inny film, który mu się wydawał, jak mówił, zbyt eksperymentalny. Udawałem się w tym celu do restauracji przy ulicy Twerskiej, gdzie Szwedczikow wieczorami grywał w bilard. U siebie w gabinecie był bardziej twardy. Nabrał jednak do mnie zaufania po historii z „Potiomkinem”, którą warto opowiedzieć.



Pracowałem w Sowkino dopiero od tygodnia czy dwóch, kiedy przyszło do mnie trzech ludzi. Żadnego z nich nie znałem. Jeden, niskiego wzrostu, z wysokim czołem i ogromną czupryną, miał piskliwy, prawie kobiecy głos. Wszystko w nim było okrągławe: twarz, ręce, nogi i nawet gesty. Był to Sergiusz Eisenstein. Razem z nim przyszli Edward Tisse, zruszczony Szwed, który był malarzem zanim został jednym z najzdolniejszych operatorów filmowych świata, oraz Grzegorz Aleksandrow, asystent Eisensteina. Zakończyli krótko przedtem film „Pancernik Potiomkin”, który Sowkino uznało za całkowicie nieudany. Pokazało go w małym, trzeciorzędnym kinie, bez żadnej reklamy. Film nie miał tam powodzenia. Po kilku dniach wycofany został z obiegu i Szwedczikow kazał go umieścić w archiwum na wieczne czasy.

Opowiedział mi to wszystko Eisenstein, prosząc abym film obejrzał; utrzymywał, że jest doskonały. Zapytałem, dlaczego w takim razie Szwedczikow wpakował go do archiwum.

— Z dwóch powodów, odrzekł Eisenstein. Po pierwsze dlatego, że go nie rozumiał, bo jest to film oryginalny i niepodobny do innych, a po wtóre dlatego, że teraz mają powodzenie filmy z pół-gołymi dziewczynkami. To jest teraz modne i to się podoba, a w moim filmie ich nie ma. Zrobiłem film poważny, dziewczynki mnie nie interesują.

W tym miejscu Aleksandrow zaczął się krztusić, nie mogąc opanować wybuchu śmiechu. Dopiero później, kiedy się dowiedziałem o specyficznych zainteresowaniach Eisensteina, zrozumiałem, o co mu chodziło.

Postanowiłem obejrzeć „Potiomkina” razem z Majakowskim. Napisy do filmu, bardzo efektowne, wyszły spod pióra poety Mikołaja Aszejewa, przyjaciela Majakowskiego, który był zawsze lojalny i uczynny względem swoich przyjaciół. Liczyłem na pomoc Majakowskiego, jeśli film trzeba będzie ratować, ciekaw też byłem, jakie wrażenie na nim robi, bo nie chciałem polegać tylko na swoim własnym zdaniu.

Oglądaliśmy „Potiomkina” w małej salce w Sowkino, na małym ekranie. Film był źle sklejonny, jego pokaz wciąż przerywało naprawianie taśmy. Nie mówię już o tym, że nie byłem jeszcze przyzwyczajony do oglądania niemych filmów bez ilustracji muzycznej. Wszystko to sprawiło, że film Eisensteina podobał mi się znacznie mniej niż później, kiedy go widziałem, wielokrotnie i w różnych krajach, w normalnych salach kinowych. Ale już wtedy zdawałem sobie sprawę, że Eisenstein zastosował mnóstwo zupełnie nowych, wiele ciekawych chwytów artystycznych, że niektóre jego sceny, jak na przykład scena na ulicznych schodach, są niesamowicie efektowne i że w ocenie filmu Sowkino z pewnością się omyliło. Co do Majakowskiego, to już wtedy uznał film za „całkowicie genialny” i zawołał:

— Idziemy do Szwedczikowa! Szkoda każdej chwili! Ta zbrodnia musi być pomszczona natychmiast!

Usiłowałem Majakowskiego przekonać, że lepiej poczekać do wieczora, jako że ze Szwedczikowem znacznie łatwiej jest się porozumieć przy stole bilardowym, ale mi się to nie udało. W gabinecie Szwedczikowa Majakowski pierwszy zabrał głos. Mówił głosem podniesionym, nie siadając, wystukując grubą łaską, z którą w tych czasach chodził, ostrzejsze wykrzykniki. Szwedczikow, całkowicie oszołomiony, próbował kilka razy coś mu odpowiedzieć, ale bezskutecznie. Nikt nigdy nie mógł nic powiedzieć kiedy Majakowski mówił. Zażądał wreszcie, aby Szwed-

czikow postać zaraz „Potiomkina” za granicę, gdzie się na tym filmie poznają i zapowiedział, że Szwedczikow przejdzie do historii jako zbrodniarz, mordujący dzieła sztuki, jeżeli tego nie zrobi. Po tym oświadczeniu, nie żegnając się, skierował się ku drzwiom.

— Chwileczkę, — rzekł Szwedczikow. — Czy już skończyliście? Bo jeśli skończyliście, to pozwólcie, że ja teraz powiem kilka słów.

Majakowski zatrzymał się w drzwiach i odpowiedział uroczyście, głosem tubalnym:

— Jeszcze nie skończyłem i w ciągu najbliższych pięciuset lat nie skończę. Szwedczikowie przychodzą i odchodzą, ale sztuka zostaje i żyje wiecznie. Żegnam.

I wyszedł*.

Zostałem ze Szwedczikowem sam na sam i próbowałem go skłonić przy pomocy argumentów bardziej rzeczowych i spokojnych, aby pozwolił pokazać film Eisensteina choćby przedstawicielom prasy. Odmówił kategorycznie. Dopiero w kilka miesięcy później, już nie pamiętam w jakich okolicznościach, „Potiomkin” znalazł się jednakowoż w Berlinie, gdzie wyświetlano go ze specjalnie skomponowaną muzyką niemieckiego kompozytora W. Meisla. Przyjęty został entuzjastycznie przez publiczność i prasę, powędrował do innych krajów i uznany został za jeden z najpotężniejszych filmów w historii. Pokazują go wszędzie do dziś dnia. Widziałem go znowu niedawno w Nowym Jorku. Jeszcze teraz, po upływie prawie pół wieku, robi wielkie wrażenie.

Dopiero po pierwszych zagranicznych sukcesach „Potiomkin” znalazł się znowu na ekranie kin moskiewskich i miał w Rosji takie same powodzenie jak wszędzie. Zapoznałem się wtedy z Eisensteinem bliżej i jednocześnie bardzo zaprzyjaźniłem z Edwardem Tisse. Któregoś dnia, u szczytu sławy, Eisenstein urządził u siebie w domu — jego mieszkanie składało się z jednego pokoju — „wieczorynkę”, zdaje się że z okazji otrzymania Orderu Lenina. Piliśmy jego zdrowie, po czym Eisenstein wygłosił bardzo patriotyczno-sowieckie przemówienie. Było niewątpliwie najzupełnie szczere. Mówił o tym, że jest szczęśliwy iż może pracować w kraju, gdzie sztuka została wyzwolona z pęt komercjalizmu, gdzie artysta, jak nigdzie na świecie, jest wolny, tworzy tylko dla narodu, zgodnie z tym, co mu mówi jego własne sumienie, i tak dalej.

Ale miodowe miesiące Eisensteina szybko minęły. Przystąpił

* Majakowski opisał później tę rozmowę w jednym z pism filmowych, którego nie mogłem jednak odnaleźć w bibliotekach.

do pracy nad realizacją następnego swojego filmu, który w Rosji nazywał się „Październik”, a w Ameryce „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”. Był on oparty na książce amerykańskiego komunisty — dziennikarza Johna Reeda, który był w Rosji podczas przewrotu bolszewickiego i napisał o nim książkę-reportaż, przełożoną później na wiele języków. W książce nie było ani słowa o Stalinie, było natomiast, siłą rzeczy, dużo o Trockim. W roku 1927, kiedy film był już nakręcony, Trocki ogłoszony został za wroga i Eisensteinowi kazano usunąć go z filmu. Eisenstein odmówił. Nie był trockistą, nie należał nigdy do partii, ale uważał że film o przewrocie październikowym bez postaci Trockiego byłby fałszerstwem historycznym, do którego nie chciał przykładać ręki. Film, wbrew jego woli i bez jego udziału, został pocięty i odpowiednio przerobiony przez dwóch anonimowych karierowiczów, mało znających się na sztuce filmowej w ogóle, i oczywiście zepsuty.

Szwedzиков wymógł jednak na Eisensteinie obietnicę, że nie będzie publicznie protestował przeciwko zniekształceniu jego filmu, co wówczas było jeszcze całkowicie możliwe. Kompromis z własnym sumieniem dla prawdziwego artysty nigdy nie jest łatwy i zawsze pozostawia szpetne blizny. To jest pewnie przyczyną, że filmy które Eisenstein nakręcał później, były znacznie słabsze od „Potiomkina”. Jego „Generalna linia” była próbą filmowego uzasadnienia stalinowskiej polityki rolnej, której Eisenstein wewnątrznie z pewnością nie popierał — co zresztą w filmie widać. „Aleksander Newski” jest wspaniałym, technicznie do dziś dnia pewnie nigdzie niedoścignionym widowiskiem, ale widowiskiem martwym, całkowicie bezdusznym.

„Aleksander Newski” wszedł na ekran w roku 1938. Nie byłem już wtedy od dawna w Rosji, to co o dalszych losach Eisensteina piszę przekracza ramy moich wspomnień osobistych. Ale o życiu i twórczości Eisensteina słyszałem od ludzi, którzy często się z nim w tych strasznych latach stykali.

O Eisensteinie podczas moskiewskich procesów i czystek często krążyły pogłoski, że został aresztowany. Nie były one prawdziwe. Stalinowi imponowało nie zmniejszające się powodzenie „Potiomkina” w Ameryce i w innych krajach, spodobał mu się też „Aleksander Newski”, może dlatego że był to film monumentalny, a dyktatorom podoba się zwykle wszelkiego rodzaju monumentalność. Po obejrzeniu „Aleksandra Newskiego” Stalin miał z Eisensteinem kilka długich rozmów, w rezultacie których Eisenstein podjął się realizacji filmu „Iwan Groźny”.

Dla nikogo kto widział ten film i kto jest choć pobieżnie obeznany z historią Rosji i z historią stalinizmu, nie może ulegać

žadanej wątpliwości że Stalin, przy pomocy tego filmu, zamierzał usprawiedliwić przed historią swoje panowanie i swoje morderstwa. Wszystkim wiadomo, że Iwan Groźny, najkrwawszy z rosyjskich carów, zamordował własnoręcznie swojego syna, że urządził masową rzeź w Nowgorodzie, w czasie której zginęły tysiące ludzi, że zorganizował pierwszą w Rosji policję tajną („Opryczniki”), wymuszającą zeznania przy pomocy wyrafinowanych tortur. Często, kiedy nie mógł zasnąć, Iwan Groźny kazał przyprowadzać więźniów do swojego pałacu, gdzie torturowano ich aż do śmierci w jego obecności. Otóż film miał wykazać, że Iwan Groźny robił to wszystko dla dobra Rosji, że był wielkim patriotą i że nie mógł postępować inaczej, ponieważ jego najbliżsi przyjaciele, wysocy dostojnicy państwowi, jak książę Andrzej Kurbski i inni, stali się jego wrogami i knuli przeciwko niemu spiski. W te spiski wciągnęli nawet jego żonę, którą zamordowali, kiedy się później ich knowaniom oparła.

Wiele epizodów filmu nawiązuje do stalinowskich metod usuwania przeciwników, choćby tylko potencjalnych, starając się te metody usprawiedliwić. Najbardziej charakterystyczny pod tym względem jest epizod końcowy. Stalina-Iwana Groźnego widzimy w tej scenie w chwili, kiedy rozmawia z „prostym chłopem” nazwiskiem Basmanow. Skarży mu się, że jest zupełnie sam, że nikt z jego „bojarów”, którym tak wierzył i którzy go zdradzili, już nie żyje. Basmanow odpowiada mu na to w te słowa:

„Nie opuścili cię jednak prości rosyjscy ludzie. Musisz się nimi otoczyć, niech to będą ludzie, pochodzący z najniższego stanu i wszystko ci zawdzięczający. Niech utworzą dokoła ciebie żelazną obręcz, wbij w nią ostre kolce, skierowane przeciwko twoim wrogom i wrogom Rosji”*.

„Iwan Groźny” wyświetlony został w Moskwie w styczniu 1945 roku. Prasa nie szczędziła Eisensteinowi pochwał, gazety zamieściły nie tylko entuzjastyczne recenzje o filmie, ale także nader pochlebne artykuły o twórczości Eisensteina w ogóle. Wynoszono go jednak pod niebiosą krótko, a później wszystko się urwało — i te same pisma i gazety poczęły drukować artykuły, coraz ostrzej krytykujące Eisensteina i „Iwana Groźnego”. Zarzucano mu formalizm, eklektyzm, propagowanie hasła „sztuka dla sztuki” i jeszcze szereg innych przestępstw. Chodziło oczywiście o zupełnie inne rzeczy. Ktoś na samym szczycie, prawdopodobnie sam Stalin, przyjrzał się filmowi uważniej i doszedł do wniosku, że pierwsze wrażenie było mylne. Film pozornie tylko rehabilitował Iwana Groźnego i wraz z nim Stalina i uspra-

* Scenariusz „Iwana Groźnego” był ogłoszony drukiem.

wiedliwał „ostre kolce”, których Stalin bynajmniej nie miał zamiaru wyrzec się na przyszłość. W istocie rzeczy był on przeniknięty atmosferą ucisku, beznadziejności i rozpacz. Robił przygnębiające wrażenie i Stalin podejrzewał, że Eisenstein stworzył tę atmosferę umyślnie. Nagonka prasowa przeciwko Eisensteinowi przybierała coraz ostrzejsze formy, zmuszając go do publicznego oświadczenia, w którym przyznał krytykom rację i napisał, że jego film jest pełen wad, zarówno ideologicznych jak i innych i że „przeinacza historyczne fakty”. To ostatnie zdanie miało oczywiście oznaczać, że je przeinacza niedostatecznie, że niedostatecznie wybiela Stalina i Iwana Groźnego.

Eisenstein obiecał, że naprawi te błędy w drugiej części filmu „Iwan Groźny”. Ta druga część nie weszła jednak nigdy na ekran. Władze kazały mu ją przerobić, nagonka przeciwko niemu jeszcze się wzmogła. Eisenstein przystąpił do przeróbki filmu. Podczas tej pracy zmarł nagle, w roku 1948, na atak sercowy.

Kiedy przeczytałem w gazecie wiadomość o jego śmierci, przypomniała mi się pewna z nim rozmowa w Moskwie, chyba w roku 1928. Na ścianie w jego pokoju wisały dwa zdjęcia tej samej kobiety. Na jednym z nich kobieta śmiała się, na drugim usta jej były wykrzywione płaczem. Zapytałem Eisensteina, czy to przeciwstawienie coś oznacza.

— Pewnie że oznacza — odpowiedział swoim zwykłym, z lekka ironicznym tonem. — Te dwie fotografie dowodzą, że między radością i rozpaczą nie ma wielkiej różnicy, przynajmniej zewnętrznie. Grymas ust i skurcz innych mięśni twarzy są na obu fotografiach prawie takie same. Dlaczego? Nie mam pojęcia dlaczego. Może dlatego, że między łzami i śmiechem nie ma uderzającego, od razu rzucającego się w oczy kontrastu, tak samo jak go nie ma, powiedzmy, między rewolucją i kontrrewolucją albo admirałem i kontr-admirałem.

— Między admirałem i kontr-admirałem nie ma z pewnością żadnej różnicy, — odezwał się ktoś w pokoju. — Admirał jest po prostu kontr-admirałem.

— Być może — rzekł Eisenstein. — Został kontra-admirałem, sam o tym nie wiedząc. Albo może i wiedząc...

Zmieniliśmy temat. Tego rodzaju rozmowy nie były w Moskwie już w roku 1928 całkiem bezpieczne.

6.

Prywatne życie rewolucjonistów. — Odplywowa fala w kinie.

„Kontr-admirał” z pewnością dobrze wiedział, co robi i do czego dąży. Kontr-rewolucyjny przewrót stalinowski w Rosji — bo niczym innym panowanie Stalina nie było — pochłonął wielokrotnie więcej ofiar niż rewolucja lutowa i bolszewicki przewrót październikowy razem wzięte. Stalin systematycznie mordował ideowych bolszewików, później wszystkich, którzy mieli jakąkolwiek styczność z rewolucją, następnie tych, których podejrzewał, że w przyszłości, z tych albo innych względów, mogą mu się przeciwstawić, jeszcze później miliony ludzi bez specjalnych powodów, tylko aby zastraszyć, sterroryzować innych, wreszcie kierowników morderstw, takich jak Jagoda czy Jeżow, bo za dużo wiedzieli, i całe narody, do których nie miał zaufania.

Ale wracam do moich wspomnień. Napisałem że Stalin dokonał kontrrewolucyjnego przewrotu i tak rzeczywiście było, ale mógł to zrobić tylko dzięki znużeniu i wrastającej apatii mas. Po burzliwym przypiływie, zmiatającym wszystko na jego drodze i wybuchającym falami aż do nieba, nastąpił odpływ, którego wycofujące się fale pluskały cichutko, jakby przepraszając za burzę, której odgłosy stawały się dalekim pomrukiem rzeczy minionych. Nastroje o których mówię ogarniały w drugiej połowie lat dwudziestych coraz większe ludzkie gromady i przenikały do środowisk rewolucjonistów ideowych i zawodowych, którzy też odczuwali zmęczenie i tęsknili do prywatnego życia, do zacisznego rodzinno-domowego ogniska. Uderzyło mnie to w Mińsku zaraz po przyjeździe z Paryża. Heltman i inni moi przyjaciele z 1917 roku w tym mieście, spędzali teraz wieczory w domu, z żonami i z dziećmi. Tego dawniej nie było, o życiu rodzinnym mało kto myślał, nie dlatego że nie było na to czasu — choć i to oczywiście odgrywało rolę — tylko dlatego że styl życia był inny, rodzinne ognisko w nim się nie mieściło. Było się zawsze z towarzyszami tej samej wiary, w dzień, wieczorem i często w nocy. Samemu z sobą przebywało się tylko wtedy, kiedy się czytało albo trzeba było napisać coś do druku; ja zresztą, jak prawie wszyscy, pisałem artykuły najczęściej w redakcyjnych pokojach albo dyktowałem je maszynistkom, a tylko książki beletrystyczne w odosobnieniu. Żony wyznawały tę samą wiarę, nie znałem w moim otoczeniu ani wśród bardzo dużej ilości osób z którymi się rzadziej lub częściej stykałem ani jednej, dosłownie ani jednej innej. A co się tyczy dzieci, to od niemowlęcego wieku przyzwyczajano je do spania twardym snem w pokojach pełnych gwaru i obłoków papierosowego dymu.

Odpywowa fala nie ominęła i Sowkina. Postanowiło ono produkować lekkie komedie „typu amerykańskiego” oraz filmy historyczne, obiektywne w tym sensie, że przedrewolucyjne dzieje Rosji nie miały być w nich traktowane zbyt krytycznie, przeciwnie, miano podkreślać w nich historyczne zasługi tych czy innych carów. Chodziło więc, mówiąc po prostu, o nawrót do wielko-rosyjskiego nacjonalizmu. Nacisk w tym kierunku szedł jednocześnie z góry i z dołu: ludzie istotnie domagali się filmów czysto rozrywkowych i eskapistycznych, o czym świadczyło powodzenie kasowe takich filmów w przeciwieństwie do innych, których twórcy szukali nowych dróg i osiągnęli wysoki artystyczny poziom: kasowe niepowodzenie „Potiomkina” w Moskwie nie było przypadkiem, a późniejszy jego sukces tłumaczył się głównie laurami, jakie zdobył on za granicą.

Nacisk z góry nie wyrażał się jeszcze w dyrektywach partii, nie ustalono jeszcze wyraźnego kursu w dziedzinie kina ani sztuki w ogóle. Chodziło raczej o zalecenia, wyrażane ostrożnie, najczęściej półgębkiem przez tych czy innych działaczy wysoko postawionych, w taki sposób, żeby można się było z tego w razie potrzeby wycofać. Ale te zalecenia padały w Sowkino na dobrą glebę. Odpowiadały one całkowicie nastawieniu Szwedczikowa. Iwan Groźny dopiero wiele lat później zajaśniał na sowieckich ekranach jako car „progresywny”, któremu tylko dobro Rosji leżało na sercu. Ale już wówczas Szwedczikow i kilku członków zarządu Sowkina forsowało realizację patriotycznych filmów, rysujących w bardzo pozytywnym świetle postacie Piotra Wielkiego, Katarzyny Drugiej, oraz *gierojów*-nadludzi Minina i Pożarskiego. Urok tych filmów miał polegać nie tylko na pokazie dworskiego przepychu i pięknych mundurów, lecz także na podniosłych dreszczach, którymi miały raczyć widza. Pamiętam że w jednym ze scenariuszy młody oficer, którego miłością wzgardziła jakaś księżniczka czy może nawet sama caryca, odbiera sobie życie w sposób mrozący krew w żyłach: wsadza głowę do klatki z lwem o tak ogromnej paszczy, że mu odgryza głowę w okamgnieniu. W innym scenariuszu któraś z caryc przechowuje w spirytusie głowę swojego kochanka, ściętą na rozkaz cara-małżonka.

Tępiłem te scenariusze jak mogłem, a kiedy nacisk z góry był zbyt silny i nie miałem innych środków, uciekałem się do ostatecznego: ogłaszałem treść ich w prasie, ośmieszając je. Realizacja historycznych dreszczowców stawała się wówczas niemożliwa. Może się wydać dziwne, że będąc pracownikiem Sowkino występowałem przeciwko jego polityce, podpisując artykuły własnym nazwiskiem, ale to w tych trochę dziwnych latach było całkiem możliwe. Moje osobiste stosunki ze Szwedczikowem były

zresztą w dalszym ciągu pełne kurtuazji, co też było wtedy możliwe.

Moja walka z Sowkino była czasami podłożem zabawnych epizodów. Pewnego dnia, kiedy przyszedłem rano do biura, ujrzałem na drzwiach mojego pokoju świeżo naklejony napis wielkimi drukowanymi literami: *bez dokłada nie wchodzi'* (nie wchodzić bez zameldowania). Takie napisy zdobyły już w Moskwie wiele drzwi w różnych urzędach, był to jeden z objawów szerzącej się biurokracji. Ten na moich drzwiach wykonany został w niewielkiej drukarni, mieszczącej się w gmachu Sowkino i służącej jego wewnętrznym potrzebom (afisze o nowych filmach itd.).

Dowiedziałem się że napisy naklejono na wielu innych drzwiach i że kazał je wydrukować N. Rafes, członek zarządu, osobistość w Moskwie dosyć znana. Ów Rafes zajmował uprzednio rozmaite wysokie stanowiska i był przez jakiś czas jednym z delegatów Kominternu w Chinach, skąd go odwołano, nie pamiętam już z jakich powodów. Rafes, może ze względu na swoje nie-bolszewickie pochodzenie (był niegdyś jednym z przywódców żydowskiej partii socjalistycznej Poalej-Syjon), a może w związku ze swoimi chińskimi przewinieniami które chciał zatrzeć, był w Sowkino promotorem nowego patriotyczno-historycznego kursu, i to promotorem niesłychanie gorliwym i dosyć zaczepnym. Wojowałem z nim i kiedy się dowiedziałem, że to właśnie on szerzy w Sowkino biurokratyczne obyczaje, postanowiłem zabić dwa zające jednym rzutem. Kazałem zdjąć napis z moich drzwi i zastąpić go przez inny, który na moją prośbę wydrukowano. Opiewał jak następuje:

Wchod dla wsiech bez dokłada — kromie towarzysza Rafesa.*

Nowy napis naklejono. Liczni pracownicy Sowkino przychodzili go oglądać. „Kino-Gazeta” przysłała fotografa, czytelnicy ujrzeli zdjęcie na jej łamach. Rafes poskarżył się Szwedczikowowi, ale Szwedczikow mu powiedział, że się do tej sprawy nie chce wtrącać. Rafes wniósł wtedy zażalenie do sekretarza dzielnicowego komitetu partyjnego, w którego zasięgu znajdowało się Sowkino. Był nim niejaki Riutin, robotnik, który mnie wezwał i usiłował skłonić abym napis zdjął, ale odmówiłem. Zrobiłem to dopiero po wizycie Henryka Waleckiego, który mnie czasami w Sowkino odwiedzał. Wszedł, jak zwykle, szybkim krokiem, choć z lekka utykając — pozostało mu to po ucieczce z więzienia w Polsce, podczas której został ranny w nogę — i z miejsca przystąpił do rzeczy:

— Bardzo dowcipny ten napis na waszych drzwiach. Może go nareszcie zdejmiecie, co?

* Wszyscy mogą wchodzić bez meldowania, oprócz towarzysza Rafesa.

— Dlaczego?

— Bo dowcipy tępieją, jeśli je przeciągać. Co wam Riutin powiedział?

— Napomknął głucho o ewentualnych represjach, których się nie obawiam, bo taki wypadek nie został przewidziany w żadnych kodeksach partyjnych ani innych. Nie przyszłście chyba specjalnie w tej sprawie?

— Wyobraźcie sobie że tak. Znam Rafesa jeszcze z Kominternu. Był u mnie wczoraj i opowiedział historyjkę, która was może zainteresuje. Dzwonił ode mnie z „Luxu” do swojego mieszkania, telefon nie odpowiadał. Powiedział mi, że w domu jest jego syn, który wie że to on dzwoni. Ma dziesięć lat. Umyślnie nie odpowiada, bo go nie lubi. Powiedział że nikt go nie lubi, nawet rodzony syn. Wystarczy?

Kiwnętem głową na znak, że wystarczy, wstałem i zdjąłem napis z drzwi.



W połowie lat dwudziestych, kiedy sytuacja w dziedzinie filmu się zaostrzyła, WAPP stworzył nową organizację, która się nazywała „Asocjacja Rewolucyjno Kinematografiji” (w skrócie ARK). Przystąpiło do niej wielu filmowców z Sowkino i z Mieźrabkomu, między innymi Eisenstein, Pudowkin, Dsiga Wiertow, Sergiusz Jutkiewicz i wielu innych reżyserów, scenarzystów, pisarzy i operatorów filmowych. Sekretarzem ARK został K. Jukow, który wystarał się o stałą salę dla ARK, w której wyświetlano nowe filmy, przed wyświetlaniem ich w kinach. Po pokazach w sali odbywały się bardzo nieraz długie dyskusje o tym czy innym filmie, w tej samej sali ARK urządzała zebrania, na które zapraszała reżyserów, aktorów i dekoratorów — którzy teraz w Warszawie nazywają się scenografami — zarówno filmowych, jak i teatralnych. Stała się wkrótce czymś w rodzaju jakobińskiego klubu, i tak ją też często nazywano, i to klubu potężnego z tego względu że WAPP, która ARK kierowała, rozporządzała nie tylko swoimi własnymi organami, ale także miała swoich ludzi w innych pismach. Dzięki temu walka, prowadzona przez ARK przeciwko szowinistycznym prądom Sowkina, znajdowała zwykle w prasie przychylny dla nas oddźwięk.

Metody tej walki musiały być oczywiście dostosowane do obowiązujących prawideł gry. Semantyka już wtedy odgrywała dużą rolę, słowa i pojęcia występowały w maskach. Nie mogliśmy bronić swoich postulatów inaczej, jak tylko z pozycji partyjnych i posługując się przyjętymi sloganami, takimi jak „marksizm-leninizm” (o stalinizmie nie było jeszcze wówczas

mowy), „hegemonia proletariatu”, i tak dalej. Nie chcę przez to powiedzieć, żeśmy w te slogany nie wierzyli. Wkładaliśmy tylko w nie inną, rewolucyjną według nas treść. Podobnymi sloganami posługiwała się w swojej polemice WAPP, co sprawiało że w oczach tych, którzy mało orientowali się w sytuacji, Wapowcy i Arkowcy często uchodzili za wyrazicieli partyjnego kursu, co nam było na rękę. Nasi przeciwnicy, walcząc tą samą bronią, starali się prześcignąć nas w używaniu nadzwyczaj rewolucyjnych sloganów. W rozmowach i stosunkach prywatnych nie były one zresztą przyjęte, rozmawiało się zwyczajnym ludzkim językiem, który coraz bardziej różnił się od języka pisanego, ściślej mówiąc drukowanego. Później, z biegiem lat, drukowane słowo stawało się szybciej jeszcze kamienne, puste i drętwe, dewaluacja słowa była już kompletna.

Przeglądałem niedawno pisma z tych czasów, w których odnalazłem moje artykuły o sprawach filmowych. Były gniewne, zaczepne i ostre. Moi oponenti wystawiali się znacznie bardziej powściągliwie. Uprzytomniłem sobie przy tej lekturze, na czym polegała moja nad nimi przewaga. Ja, obwarowując się odpowiednimi sloganami, mogłem jednak pisać dosyć otwarcie, oni nie mogli. Może to najlepiej pokazać na przykładzie.

Wszedł na ekran film „Ziemia w niewoli”, którego reżyserem był Fiodor Ocep. Ocep, reżyser bardzo utalentowany, pracował nie w Sowkino, tylko w tej drugiej, mniejszej znacznie wytwórni, w Mieżrabpomie. Może dlatego nie widziałem początkowo jego filmu. Poszedłem go zobaczyć dopiero po kilku tygodniach, kiedy w prasie ukazało się kilka artykułów, które go ostro krytykowały. Ocepowi zarzucano, że jego film jest przeniknięty mieszczańską ideologią, że całkowicie ignoruje wszelakiego rodzaju komunistyczne zasady, a zwłaszcza to że film — którego akcja toczyła się w latach przedrewolucyjnych — oczernia niemal że cały naród rosyjski, pomijając milczeniem „obiektywną progresywność” wielu stron życia w Rosji przed rewolucją*.

O ten ostatni zarzut właśnie chodziło, inne były przypięte dla ozdoby. Film bardzo mi się podobał. Był całkowicie wyprany z propagandy, zarówno komunistycznej jak i wielko-rosyjskiej. Napisałem więc artykuł, mówiąc że „Ziemia w niewoli” jest nie tylko filmem doskonale reżyserowanym i granym, lecz również rewolucyjnym, a to dzięki jego wysokiemu poziomowi artystycznemu. Dodałem to co zawsze myślałem i teraz myślę, a miano-

* Ocep wyjechał wkrótce potem za granicę i do Rosji już nie wrócił. Robił filmy we Francji i w Ameryce, ale były one zupełnie złe. Nie mógł się przystosować do merkantylnych metod Zachodu i kilka lat przed wojną popełnił samobójstwo.

wicie że każde dzieło sztuki jest rewolucyjne, a każda szmira kontrrewolucyjna, choćby nawet podpieraa się Marksem. Wreszcie, na końcu, bardzo już ostro i trochę z góry, zarzuciłem krytykom filmu *kwasnoj patriotizm** i wyraziłem nadzieję, że nigdy nie nastąpią w Rosji czasy, kiedy można będzie krytykować filmy z tej pozycji.

Nie wiem już czy sam w to wierzyłem czy nie, pewnie wówczas tak. W każdym bądź razie artykuł odniósł zamierzony skutek. W hierarchii sowieckiej, dzięki mojej przeszłości, a zwłaszcza osobistemu udziałowi w przewrocie październikowym, stałem o wiele wyżej niż moi oponenti. Nastraszyłem ich, jak również innych, ostrożnie dotychczas milczących, i wkrótce ku ucieście zachowującej neutralność gawiedzi, która czekała, co z tego wszystkiego wyniknie, w tych samych pismach ukazały się artykułiki, wychwalające „Ziemie w niewoli”.

Z podobnych hierarchicznych powodów mogłem nadal wojsować z Sowkino, zarządzając jego wydziałem scenariuszy. Moim dodatkowym atutem była tu jasno-zielona kartka: z mojego stanowiska, prócz Komitetu Centralnego partii, nikt mnie nie mógł zwolnić. Ten trochę dziwny, ale w ówczesnym ideologicznie przełomowym okresie dosyć częsty stan rzeczy sprawił, że Sowkino postanowiło nakręcić choć kilka nacjonalistyczno-kostiumowo-historycznych filmów niejako nielegalnie. A było to tak:

Od czasu do czasu, w odstępach nieregularnych, odbywały się w Sowkino posiedzenia, w których brali udział członkowie jego zarządu i kierownicy poszczególnych działów — razem jakieś osiem osób. I otóż pewnego dnia odbyło się takie posiedzenie, ale bez mojego udziału. Nie zawiadomiono mnie po prostu, że się odbędzie. Od sekretarki Szwedczikowa nie zdołałem się nawet dowiedzieć, o czym na posiedzeniu mówiono. Prowadziła ona zwykle na posiedzeniach protokół, ale tym razem, jak twierdziła, Szwedczikow jej również o posiedzeniu nie zawiadomił.

Ale w kilka dni później miałem już dokładne, prawie że stenograficzne sprawozdanie z tego tajnego posiedzenia. Przyniósł mi je w wielkim sekrecie jeden z jego uczestników. Powiedział mi też, że Szwedczikow zobowiązał wszystkich do zachowania absolutnej tajemnicy co do przebiegu posiedzenia. Autor sprawozdania nie miał nic przeciwko temu, abym je ogłosił czy też jakoś inaczej wykorzystał, ale musiałem mu solennie obiecać, że go nie wydam.

* Wyrażenie to powstało w wieku XIX-tym, kiedy rosyjscy super-patrioci bojkotowali herbatę i kawę, jako napoje obce, propagując picie kwasu, napoju rodzimego.

Właśnie wtedy Sowkino zwołało wielkie zebranie, na którym Szwedczikow zamierzał przypuścić wielki atak przeciwko wszystkim swoim oponentom. Jego pomysł w zasadzie nie był zły. Zebranie urządziła Podstawowa Organizacja Partyjna, czyli „jacejka” Sowkino, której członkowie, jako jego pracownicy, mieli znacznie więcej powodów aby gromić wszelakich warcholów niż aby narażać się naczałstwu. Ale miało to być zebranie otwarte, to znaczy że mogli w nim wziąć udział nie tylko członkowie partii, lecz również bezpartyjni, a także goście, o ile mieli coś wspólnego z kinem. Zaprosiłem z tego tytułu kilku pisarzy, Libiedinskiego, Majakowskiego, Kirszona i jeszcze innych, jako że pisywali scenariusze — Majakowski nawet sam kiedyś we własnych krótkich filmach występował — ale głównie do pomocy.

Zebranie było bardzo burzliwe, przyszło kilkaset osób. W odpowiedniej chwili zabrałem głos i opowiedziałem o planach Szwedczikowa, umyślnie trochę mgliście, chcąc żeby zaprzeczono temu co mówiłem: chodziło mi o wywołanie większego efektu. Tak się też stało. Ktoś z zarządu powiedział, że to są niedorzeczne plotki. Dopiero wtedy wyciągnąłem z kieszeni i ogłosiłem przepisany przeze mnie protokół tajnego zebrania. Omawiano na nim treść projektowanego filmu, której już nie pamiętam, jak również sposób jego zrealizowania. Polegał na tym, że w przyszłości niektóre filmy, i oczywiście ten, miały być nakręcane bez zatwierdzenia ich scenariuszy przeze mnie, pod pozorem decentralizacji. Dotyczyło to filmów, które, jak ten, miano nakręcać w Leningradzie, gdzie znajdowała się jedna z fabryk wytwórni Sowkino.

Zrobiła się wielka awantura. Szwedczikow zażądał abym powiedział, kto mi dał protokół, czego naturalnie nie zrobiłem, domagając się ze swojej strony żeby przyznał, że jest on ściśły. Wszyscy krzyczeli, później słyhać już było tylko gromowy głos Majakowskiego, który szczylił się tym że może przekrzyknąć każdego i na każdym zebraniu. Przewodniczący jacejki wreszcie zebranie zamknął.

Film o którym mówię nigdy nie został zrobiony. Po kilku dniach Szwedczikow wznowił ze mną kurtuazyjne stosunki dyplomatyczne, prosząc abym mu odpowiedział na jedno tylko pytanie: czy zdradził go Rafes, czy kto inny. Dałem mu słowo honoru, że kto inny. Nie wiem dlaczego podejrzewał Rafesa, chyba tylko dlatego że Rafesa nikt nie lubił, on też nie.

Istotny „zdrajca” nie został nigdy wykryty. Był nim niejaki Czwałjow, o którym warto powiedzieć kilka słów, jako o figurze dość w owych i późniejszych czasów charakterystycznej.

Czwałjow, jeszcze bardzo młody człowiek, miał rozbiegane

oczki, trochę sprytu i mnóstwo energii, skierowanej wyłącznie na zrobienie kariery. Mówił mało, cichym głosem, ze wrokiem, skierowanym zwykle w ziemię. Nie wiem dlaczego, ale podobnie wyglądało mnóstwo innych młodych ludzi w tym czasie, szybko wspinających się wzwyż po drabinie, do której dostęp umożliwiały im legitymacja członka partii. Czasy im sprzyjały, a ich papierowy komunizm pozwalał na przystosowanie się do każdego kierunku politycznego wiatru. Tego rodzaju typ młodych karierowiczów nie aspirował zresztą do wysokich stanowisk politycznych, chodziło im raczej, przynajmniej w pierwszej fazie, tylko o dobre i pewne posady, naturalnie coraz lepsze. Te osiągnięcia zależały w głównej mierze od tego, czy karierowicz wybrał sobie takiego protektora jak należało, pilnie bacząc, czy akcje protektora nie spadają na wyższej politycznej giełdzie. Takim protektorem był dla Czwałjowa Szwedczikow. Podlizywał mu się umiejętnie, bez żadnego peźnania, lecz przeciwnie, z pewną robioną „ludową” rubasznnością i niby to niezależnością. Obserwowałem go przez jakiś czas, jak się obserwuje dobrego aktora na scenie. Była to niewątpliwie wyższa szkoła jazdy.

Wiedziałem, że i on mnie obserwuje. Początkowo nie wiedziałem dlaczego, później się domyśliłem. Niepokoiło go, że wojsowałem bezkarnie przeciwko naczałstwu, usiłowałem zrozumieć, czym się to tłumaczy i prześladowała go obawa, że może postawić nie na tego konia co trzeba. Postanowił więc na wszelki wypadek się ubezpieczyć, co spowodowało jego wyczyn.

Wyjechałem z Rosji w końcu 1928 roku, ale tak się złożyło że dalsze losy Czwałjowa, również typowe dla tej epoki, są mi znane. Kiedy mi przyniósł protokół tajnego posiedzenia, był jednym z zastępców kierownika wydziału zagranicznego w Sowkino i na tej podstawie brał udział w posiedzeniu, ponieważ kierownik zachorował. Później powędrował wyżej. Został sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej w Sowkino oraz kierownikiem zagranicznego wydziału, a jeszcze później skierowano go do Berlina na jakieś poważne stanowisko w sowieckim Przedstawicielstwie Handlowym. Było to już w latach trzydziestych. W Berlinie podwinęła mu się jednak noga. Chcąc, może zbyt wcześnie, zdyskontować swój wzlot, przypuścił szturm do pewnej znanej sowieckiej aktorki, bawiącej w tym samym mieście, a kiedy ona atak odparła, uznał to za nieposzanowanie jego służbowej rangi i uciekł się do gwałtownych czynów i gróźb. Aktorka wiedziała, komu się poskarżyć, uczyniła to i Czwałjowa odwołano z Berlina i wyrzucono z posady. Jego młode lata pozwoliły mu jednak zacząć wszystko od początku: został w Moskwie studentem Akademii Handlu Zagranicznego.

Minął jeszcze rok czy dwa i jego gwiazda znowu zabłysnęła, tym razem oślepiającym blaskiem: Czwałjowa mianowano ministrem Handlu Zagranicznego. To się wydarzyło już w drugiej, najbardziej krwawej fazie czystek. O tym ostatnim w życiu Czwałjowa epizodzie opowiada w swojej książce, wydanej w Ameryce, Aleksander Orłow, o którym już mówiłem w związku ze śmiercią Semiona Firina. Orłow, zanim uciekł, był wysokim funkcjonariuszem GPU w Moskwie. Ministrów usuwano wtedy błyskawicznie, jednego za drugim, usuniętych rozstrzelowano, a ich następców spotykał ten sam los. Podobną operację, już po raz drugi czy trzeci, przeprowadzono w Ministerstwie Handlu Zagranicznego. Działo się to za czasów Jeżowa. Jeżow zapytał Stalina, kim teraz obsadzić wakujące stanowisko. Stalin powiedział mu, że Ministrem ma zostać byle jaki student Akademii Handlu Zagranicznego i polecił mu załatwienie tej sprawy natychmiast, biegiem. Tegoż wieczoru Jeżow pojechał do Akademii, wybrał kandydata i w nocy Czwałjow był już ministrem. Ale krótko, wszystkiego kilka miesięcy. Potem go zaaresztowano i ślad po nim zaginął na zawsze.



W marcu 1928 roku Komitet Centralny partii zwołał w Moskwie, z inicjatywy Stalina, wszechzwiązkową konferencję w sprawach filmowych. Wypowiadało się na niej, dosyć jeszcze swobodnie, wielu reżyserów i pisarzy, ale przygotowana przez K.C. rezolucja domagała się walki przeciwko „formalizmowi” z jednej i „lewicowym odchyleniom” z drugiej strony. Te słowa-maski były dla wszystkich zrozumiałe.

Od tego czasu, powoli ale nieubłaganie, opuszczała się kurtyna nad sowiecką sztuką filmową, aż wreszcie opadła do końca i w tej dziedzinie, podobnie jak w literaturze, zapanował mrok.

7.

Moje rosyjskie książki. — Konflikt z Gosizdatem i kłopoty z cenzurą

W ciągu niespełna czterech lat które spędziłem w Rosji po przyjeździe z Paryża wydałem, oprócz dwóch książek po polsku, pięć albo sześć po rosyjsku, ale dwie albo trzy były cieniutkie, każda z nich zawierała tylko kilka opowiadań. Wyszły one w wydawnictwie „Ogoniok” w Moskwie.

Kierował tym wydawnictwem Jefim Zozula, autor króciutkich opowiadań w przedrewolucyjnym *Satirikonie*, które czytywałem kiedy jeszcze chodziłem w Moskwie do gimnazjum. Zozula, co w literaturze rzadko się zdarza, stworzył zupełnie nowy typ opowiadań jakby szczątkowych — nazywały się one „Opowiadania niedonoszone” — pozwalających czytelnikowi dopełniać je własną fantazją. Czytałem te opowiadania z zachwytem i bardzo się ucieszyłem kiedy Zozula zaproponował mi wydanie mojej książki. Kiedy się z nim przy tej okazji zapoznałem zapytałem go, czemu sobie wybrał taki dziwny pseudonim.

— Wybrałbym pewnie lepszy, gdyby to ode mnie zależało — rzekł Zozula. — Jest to moje prawdziwe imię i nazwisko. Budziło zdziwienie, kiedy je wymieniałem w młodości, ale Awerchenko, redaktor *Satirikonu*, powiedział po przeczytaniu moich pierwszych bazgroł, że się doskonale nadaje na pseudonim, i tak już zostało. A młodość — dodał Zozula po polsku — spędziłem w tym samym mieście co pan, w Łodzi, tylko że już bardzo dawno z Polski wyjechałem.

Ale wracam do moich beletrystycznych utworów. Tylko dwie moje książki miałem później w rękę, a innych od czterdziestu lat nie widziałem. Nie wiem, co bym dzisiaj o nich powiedział. Pamiętam je trochę tak jakby to były opowiadania Zozuli: szczątkowo. Recenzje w prasie były przychylnie, owszem. Ale recenzenci, z czego zdawałem sobie sprawę, musieli pisać o moich książkach tak jak pisali, bo tak wypadało z rozmaitych względów, osobistych i politycznych. Wiktor Szklowski, którego zdanie bardzo ceniłem, nie pisał nigdy o moich książkach, ale wszystkie czytał. Powiedział mi kiedyś że mu się bardzo podobają, ale kiedy go przycisnęłem do muru przyznał, że nie tak znowuż bardzo.

— Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, że je piszecie na kolanie. Strasznie wam się spieszy. Po drugie dlatego, że są za kulturalne. Za dużo czytaliście, za dużo wiecie i piszecie tak, jakby czytelnik też dużo wiedział. A trzeba pisać tak, żeby to co się pisze weszło każdego chama. Łatwiej teraz piszecie, czy trudniej?

— Chyba łatwiej. W każdym zawodzie nabiera się wprawy.

— Mylicie się. W każdym, tylko nie w pisarskim.

Szklowski miał rację, ale zrozumiałem to dopiero po latach. Zrozumiałem, że pisarstwo jest pewnie jedynym zawodem, który z wiekiem i doświadczeniem staje się coraz trudniejszy. Chirurg, aktor, inżynier czy architekt, wszyscy oni wykorzystują nabyte w ciągu lat doświadczenie. Pisarz też zdobywa zawodową rutynę, ale marne jego widoki jeśli się na niej oprze. Spaskudzi to co

pisze, niewątpliwie spaskudzi, bo prawdziwym pisarzem można być tylko odkrywając dla siebie wciąż nowe horyzonty. I do tego jeszcze dochodzi rosnący z latami autokrytycyzm, to co się nam podobało w naszym pisarstwie w młodości nie wydaje się nam później ani tak znakomite, ani głębokie.



W związku z moimi rosyjskimi książkami przypominają mi się dwie sprawy, warte odnotowania. Pierwsza dotyczy mojej powieści „Koła” („Koljesa”), która wyszła w Moskwie nakładem Gosizdatu (Wydawnictwo Państwowe).

Była to pierwsza moja książka, wychodząca w tym największym i najpoważniejszym wydawnictwie. Treścią jej były dzieje moskiewskiego mieszczaucha, stojącego z dala od rewolucji, którego jej zębate koła porwały wbrew jego woli i który zginął z ręki takiego samego jak on człowieka, który też chciał stać na uboczu, ale go wchłonął rewolucyjny wir. Temat, jak mi się teraz wydaje, był trochę naciągnięty, bo chociaż podobnych wypadków było w Rosji mnóstwo, ja pisząc powieść przedstawiłem ten splot okoliczności jako coś, co musiało nastąpić, jako rodzaj zemsty, wywieranej przez historię na tych, którzy myślą że się przez nią prześlizną. Innymi słowy, przeobraziłem prawdę realną w prawdę artystyczną, a to są zupełnie odrębne prawdy.

Ale mniejsza z tym. Miałem z wydawnictwem zwykłą, drukowaną umowę, która między innymi punktami przewidywała, że autor musi zatwierdzić projekt okładki książki.

Jakiś miesiąc przed wyjściem powieści z druku przyszedł do mnie węgierski emigrant, grafik, któremu źle się w Moskwie powodziło. Ktoś go do mnie skierował. Pokazał mi swoje prace, bardzo dobre. Chciał zaprojektować okładkę do mojej książki. Napisałem kilka słów do kierownika Wydziału Graficznego Gosizdatu, prosząc go, żeby z Węgrem porozmawiał.

Węgra przyjęto w Gosizdacie niegrzecznie, niemal grubiańsko. Zdziwiło mnie to, a ponieważ sprawa poruszyła jedną z moich czulszych strun, wsiadłem natychmiast do służbowego samochodu Sowkino i pojechałem do Gosizdatu.

Kierownik Wydziału Graficznego przyjął mnie bardzo uprzejmie. Uśmiech, ukłon, serdeczny uścisk dłoni (nie znałem go przedtem). Owszem, był u niego ten Węgier. Tylko że...

— Tylko że co?

— My mamy swoich grafików. *Rosjan.*

Podkreślił to słowo, już bez uśmiechu, przeszywając mnie dosyć wyzywającym spojrzeniem i czekając, co mu na to powiem.

Powiedziałem mu kilka ostrych słów, może za ostrych, ale mnie poniosło. Powiedziałem między innymi, że Węgier-emigrant ma takie same prawo do pracy jak jego graficy-Rosjanie i zażądałem, żeby zamówił u Węgra okładkę, grożąc mu konsekwencjami, jeżeli tego nie zrobi.

To był z mojej strony błąd. Groźby ranią ambicję i pobudzają do dalej jeszcze idących działań. Zemścił się bardzo szybko. Wkrótce potem dostałem od niego list, w którym pisał, że wskutek niedopatrzeń, za które mnie przeprasza, nie przesłano mi do zatwierdzenia okładki, którą już wydrukowano, ale że jest bardzo dobra, więc z pewnością mi się spodoba. Załączył okładkę do listu i dodał, że książka jest już oprawiona.

Na rysunek okładki składały się rozmaite esy i floresy, a w środku jaśniała pięcioramienna gwiazda, oficjalne godło państwowe. To była jego zemsta. Rysunek miał odstraszyć czytelnika, określając z góry powieść jako propagandową.

Moja umowa z wydawnictwem przewidywała, że wszelkie związane z nią spory rozstrzyga sąd polubowny, składający się z przedstawicieli autora i wydawnictwa i wybranego przez nich rozjemcę. Moim przedstawicielem został Edward Tisse, były malarz. Rozprawy sądu trwały kilka dni i sprawa miała duży rozgłos. Poczytna *Wieczerniaja Moskwa* zamieszczała o niej dokładne sprawozdania. Występując w charakterze poszkodowanego, wyświetliłem jej szowinistyczne podłoże. Dwaj rzeczoznawcy-graficy orzekli, że okładka jest do niczego i że ją zrobiono bardzo pośpiesznie. Sąd, na żądanie Tissego wezwał również Chałatowa, kierownika Gosizdatu który nie był Rosjaninem tylko Tatarem. Wyglądał jak Tatar, mówił jak Tatar i nosił na głowie okrągłą tatarską czapkę. Zapewniał, że nic o tej sprawie nie wiedział i że w wydawnictwie, na czele którego stoi on, stary bolszewik i Tatar, nie może być mowy o dyskryminacji w stosunku do nie-Rosjan. Sąd nie zgodził się z nim i ogłosił wyrok, który był moim całkowitym zwycięstwem, ale tylko moralnym. Wyrok opiewał, że przyczyny natury szowinistycznej niewątpliwie odegrały w tej sprawie rolę, że Gosizdat należy potępić i ogłosić wyrok w prasie, ale że z drugiej strony zerwanie okładki, czego się domagał Tisse, byłoby związane z poważnymi stratami materialnymi dla państwa, więc niech już ta zostanie. Kierownika Wydziału Graficznego Chałatow przeniósł na inne stanowisko.

A teraz druga sprawa. Henryk Walecki dał mi temat do krótkiej powieści, którą zatytułowałem „Szklanka wody”. Temat był oparty na prawdziwym wydarzeniu:

Węgierski komunista-inteligent, który spędził kilka lat w Moskwie, wraca nielegalnie do Budapesztu i pracuje w partii

komunistycznej. Głównym powodem dla którego wraca jest to że w Budapeszcie mieszka dziewczyna, w której się zakochał jeszcze będąc studentem. Była to jego pierwsza i jedyna miłość, zresztą wzajemna.

Dziewczyna zesłała się w międzyczasie z robotnikiem-komunistą (sama też należy do partii). Przybysz z Moskwy postanawia usunąć rywala. Pod pozorem że śledzi go policja, usiłuje go skłonić do wyjazdu z miasta, a kiedy mu się to nie udaje, pisze anonimową denuncjację, która jednak — zanim jeszcze otrzymuje ją policja — wpada w ręce jego towarzyszy.

W powieści, dziejącej się częściowo w Moskwie a częściowo na Litwie, dokąd z pewnych względów przeniosłem akcję i gdzie komuniści również pracowali w podziemiu, zmieniłem trochę bieg wypadków. Przybysz z Moskwy pisze denuncjację, ale jej nie wysyła. Zbieg okoliczności sprawia, że w chwili kiedy ją napisał przychodzi do niego jeden z jego towarzyszy i donos czyta. Na tym powieść się kończy. Takie zakończenie wybrałem dlatego, że choć w rzeczywistości podziemny sąd skazał tego człowieka na śmierć, było to, z „powieściowego” punktu widzenia, już poza tematem. Tematem była wyłącznie psychologia przybysza z Moskwy, walka w jego duszy między miłością i łajdactwem. Sądziłem też że kara która go spotkała, uczyniłaby z powieści coś w rodzaju moralnej bajeczki. Woląłem żeby dalszy ciąg, taki czy inny, dopowiedział sobie czytelnik sam, bez popychania go przez autora w stosownym kierunku.

Moja powieść miała się ukazać w wydawnictwie „Robotnicza Moskwa”, stosunkowo niewielkim, drukującym tanie książki na kiepskim papierze, ale za to w wielkich nakładach (pierwsze wydanie miało wyjść w nakładzie 250.000 egzemplarzy).

Wydawnictwo książkę przyjęło, ale zatrzymała ją cenzura. Poszedłem więc do cenzury, gdzie się okazało, że zatrzymał powieść jeden z głównych cenzorów, niejaki N. Był on członkiem grupy, którą w Moskwie nazywano „szkółką Bucharina”. Składała się z młodych ludzi, którzy ukończyli tzw. „Instytut Czerwonych Profesorów”, gdzie przeszli teoretyczno-ideologiczne wykształcenie, trwające kilka lat.

N. trochę znałem i choć „zlikwidował” moją powieść, nie odczuwałem względem niego żadnej wrogości. Mogłem z nim spokojnie rozmawiać, a z tym jegomościem z Gosizdatu nie mogłem, ponieważ szowinistów uważam za najbardziej niebezpiecznych durni. Ich tytuł do chwały płynie z tego, że się urodzili w tym kraju, a nie w innym, a często wyłącznie z tego, że nie są obrzezani. Wiadomo, do czego to prowadzi.

N. usiłował mnie namówić, żebym zmienił treść mojej po-

wieści. Czasy, kiedy od pisarzy wymagano, aby komuniści w powieściach byli pod każdym względem bohaterami pozytywnymi jeszcze wtedy nie nadeszły, to nastąpiło dopiero później*. N. nie oponował przeciwko temu, że komunista denuncjuje swojego towarzysza, chciał tylko żebym inaczej powieść zakończył, żeby donosiciel poniósł zasłużoną karę. Ostatecznie, mówił, może się sam zastrzelić, ale musi koniecznie zginąć, bo inaczej książka zaniepokoi czytelników, a może ich nawet zdemoralizować. Nie jest też wykluczone, że podziąła na nich rozbrajająco. To ostatnie wyrażenie, bardzo wówczas modne, oznaczało w literacko-krytycznym żargonie że książka przedziurawi ideologiczną tarczę ochronną, bez której żaden komunista nie może się obejść.

— Dlaczego nie wydajecie tej książki w Gosizdacie? — zapytał. — Tam wam wydrukują 10 tysięcy egzemplarzy i już. Nie będę miał nic przeciwko temu. Ale wy koniecznie chcecie żeby wyszła w wydawnictwie masowym, a tego nie można zrobić.

A ja właśnie tego chciałem. Chciałem, jak każdy pisarz, żeby moja powieść przeczytało jak najwięcej ludzi. Spieraliśmy się długo, bo N. był przekonany że ma rację, a ja że jej nie ma. Powoływaliśmy się na wszelakie autorytety, na Marksa i Maupassanta, na Lenina i Balzaka, na Gorkiego i jeszcze na kogoś. Wreszcie wpadłem na dobry pomysł. Powiedziałem N., że ja też się chyba orientuję, co w literaturze jest rewolucyjnie pozy-

* W końcu roku 1949 wyszła w Moskwie powieść Walentyna Katajewa, zatytułowana „Niech żyje władza sowiecka”. *Prawda*, w niezwykle długim artykule M. Bubiennowa (16, 17 i 18 stycznia 1950 r.) zaatakowała Katajewa, zarzucając mu cały szereg przestępstw ideologicznych. Oto niektóre z nich:

1. Główny bohater powieści ma na imię Gawryił, ale przyjaciele i znajomi mówią do niego Gawrik (imię zdrobniałe). A jest to zasłużony komunista, więc jakim prawem? „Dawno minęły czasy”, pisze recenzent, „kiedy taka bezceremonialność zdradzająca brak respektu była u nas na porządku dziennym”.

2. Gawrik jest kawalerem. Dlaczego? — zapytuje recenzent. — Czyż nie jest rzeczą ogólnie wiadomą, że komuniści żenią się i mają dzieci, tworząc w ten sposób przyszłe komunistyczne kadry?

3. Na 208 pierwszych stronicach powieści Gawryił czy Gawrik nie dokonywuje żadnych bohaterskich wyczynów, a na 108 następnych dokonywuje tylko dwóch, z czego, zdaniem recenzenta, zdaje się wynikać, że Katajewa oczernia nie tylko swojego protagonistę, lecz całą partię.

4. Gawrik jest niskiego wzrostu, często chrząka i mówi cienkim głosem. Patriotyczni pisarze, zdaniem recenzenta, powinni pokazywać komunistów w najlepszym świetle nie tylko pod względem ideologicznym, ale i fizycznym, więc Katajewa i tu popełnia grubo błąd.

Należy dodać, że 25 lutego tegoż roku *Prawda* zamieściła list Katajewa, w którym przyznaje on całkowitą rację recenzentowi i obiecuje gruntownie przerobić powieść, biorąc pod uwagę wszystkie jego uwagi i zalecenia.

teczne a co nie i że to iż on jest cenzorem a ja autorem książki jeszcze nie dowodzi, iż myślę się ja a nie on. Zaproponowałem, aby nasz spór rozstrzygnęła osoba trzecia, której autorytet obaj uznajemy. Takim człowiekiem był Bucharin. Mało go znałem, ale dla N. Bucharin, z którym często się widywał, był pół-bogiem. N. zaniósł mu moją książkę, Bucharin ją przeczytał i stanął po mojej stronie. W jakiś czas później spotkałem Bucharina na jakimś zebraniu. Powiedział mi że książka bardzo mu się podobała i dlatego ją poparł.

— Ale gdybym był cenzorem — dodał z uśmiechem — to nie wiem, czy bym ją puścił. Na szczęście nie jestem. N. ma rację, że Agitrop* będzie miał z waszej książki mało pociechy, ale jeżeli będziemy karmili czytelników wciąż propagandową kaszką, to w końcu w ogóle przestaną czytać.

Książka wyszła bez żadnych zmian. Jakiś krytyk dopatrzył się w niej *upadoczniczestwa* (dekadentyzm, demoralizacja), ale takie twierdzenie nie pociągało jeszcze za sobą w tych latach żadnych skutków, było tylko poglądem krytyka i niczym więcej.

8.

Incydent z Panaitem Istrati. — Trzeba koniecznie w coś wierzyć. — Kobieta z naftą. — Pierścionek na robotniczym zebraniu

W pierwszych miesiącach 1928 roku przyjechał do Moskwy Panait Istrati, bardzo wybitny pisarz, Rumun z pochodzenia, ale piszący po francusku. Znałem go z Paryża. Znałem też jego biografię, można powiedzieć że literacką, bo jego nieudane samobójstwo przyczyniło się do jego pisarskiej sławy. Borykał się wiele lat z nędzą. Napisał powieść „Kira Kiralina” i posłał ją Romain Rollandowi. Rolland nie otrzymał manuskryptu i jego listu, mieszkał wtedy w Szwajcarii i gdzieś wyjechał. Istrati, zrozpaczony brakiem odpowiedzi, podciął sobie gardło brzytwą w hotelu w Nicei. Struga krwi wypłynęła na korytarz, uratowano go i znaleziono w pokoju kopię jego manuskryptu. Książka wyszła, miała wielkie powodzenie, przetłumaczono ją na wiele języków. Istrati stał się sławnym pisarzem. Pozostała mu na zawsze głęboka blizna na szyi, którą przykrywał szalikiem.

Nie należał nigdy do partii komunistycznej, ale był wielkim sympatykiem Związku Sowieckiego. Jego książki wydawano w Moskwie w dużych nakładach. Rosja, jak wiadomo, nie przystąpiła

* Wydział Agitacji i Propagandy Centralnego Komitetu partii.

do międzynarodowej konwencji literackiej, wskutek czego każdą wydaną za granicą książkę można wydać w Rosji, nie płacąc autorowi honorarium, i to samo dotyczy książek, wychodzących w Rosji: zagraniczni wydawcy mogą je drukować w tłumaczeniu albo po rosyjsku, nic autorowi nie płacąc i bez jego pozwolenia. Utało się mniemanie, że taki stan rzeczy wprowadzili bolszewicy, ale tak nie jest. Istnieje on od czasów Piotra Wielkiego, który uważał że Rosja więcej zyska na bezpłatnym wydawaniu zagranicznych książek, niż na odwrót*.

Rosja nie ma obowiązku płacenia honorarium autorom, których książki ukazały się za granicą, ale niektórzy pisarze otrzymują honorarium jak to się mówi ciepłą ręką — naturalnie pisarze o pewnym politycznym nastawieniu. Istrati niewątpliwie do tej kategorii należał. Jego przyjazd był w dużej mierze wywołany chęcią podjęcia dość poważnych sum za swoje książki. Nie zmienia to jednak faktu że przyjechał do Moskwy pełen entuzjazmu i wszystko mu się tam podobało. Po roku pobytu zmienił zdanie. Wrócił do Francji, gdzie wydał książkę „Na fałszywej drodze”, ostro krytykującą to co w Rosji widział.

Ale to nastąpiło później, a epizod który chcę opowiedzieć miał miejsce w początkowej fazie jego pobytu. Pisarze sowieccy urządzili zebranie, żeby go fetować. Wygłoszono odpowiednie przemówienia, a na końcu zabrał głos sam Istrati. Wszyscy myśleli, że podziękuje za wyrazy sympatii i hołdu i że na tym się skończy, ale Istrati miał inne zamiary. Powiedział że słyszał o nastrojach opozycyjnych, które przeliknęły do grup pisarskich, i że go to martwi, a nawet oburza. Obywatele sowieccy, mówił, a zwłaszcza pisarze powinni być wdzięczni partii komunistycznej za to co dla nich uczyniła i czyni, a kto uprawia opozycję, wszystko jedno z jakiego powodu, zasługuje na bezwzględne potępienie.

Istrati przemawiał po francusku, głosem podniesionym. Kiedy skończył, prosił mnie żebym przetłumaczył to co powiedział. Usiłowałem się z tego wykręcić pod pozorem że nie robiłem notatek, ale Istrati nastawał. Postanowiłem więc przetłumaczyć jego przemówienie po swojemu, przeinaczając je całkowicie. Po wiedziałem mniej więcej co następuje:

Pana! Istrati wyraża wdzięczność za miłe przyjęcie. Jest pełen podziwu dla pisarzy sowieckich, których książki czytał w tłumaczeniu, i dla wielkich osiągnięć, które tu widział. Nie wątpi, że to co jeszcze zobaczy też mu się bardzo spodoba.

* Związek Sowiecki przystąpił do konwencji, o której mowa, już po napisaniu tych słów.

We Francji, jego drugiej ojczyźnie, jak również w Rumunii, skąd pochodzi, wszyscy ogromnie się interesują Związkiem Sowieckim...

I tak dalej. Wygłaszałem jedno banalne zdanie za drugim, wysysając z palca to co Istrati jakoby powiedział. Zaczęły się rozlegać wybuchy śmiechu, początkowo tłumione i pojedyncze, później głośnie i ogólne. Trochę mnie to zaskoczyło. Nie przypuszczałem że tak dużo słuchaczy rozumie po francusku.

Przewodniczący, który też umiał po francusku, szybko zamknął zebranie. Istratiemu ktoś opowiedział co mówiłem. Był oburzony i zażądał wyjaśnień. Zabrałem go do Domu Herzena, usiedliśmy przy oddzielnym stoliku, i tam z miejsca przeszedłem do ataku. Powiedziałem mu że jego wystąpienie było aroganckie, bo nie miał prawa przemawiać do pisarzy w takim tonie i uczyć ich rozumu, nie mając pojęcia czym się tłumaczą opozycyjne nastroje. Istrati był oszołomiony, nic nie mówił, tylko słuchał. A ja, w miarę tego jak mówiłem, zacząłem zdawać sobie sprawę, że mówię jakby „z innych pozycji”. Nie, muszę to powiedzieć ściślej. Miałem takie wrażenie, jakby ktoś inny wypowiadał moim głosem myśli, do których jeszcze świadomie nie doszedłem.

Dobrze pamiętam tę chwilę. Nie była przyjemna. Mogę powiedzieć z czystym sumieniem, że nie jestem specjalnie tchórzliwy, ale wtedy strach uderzył we mnie z taką siłą jakby ktoś mnie trzasnął kamieniem między oczy. Wiem dobrze czego się bałem: utraty mojej wiary.

Wiele lat później przechodziłem w Londynie przez ulicę, z jednej strony na drugą, z dosyć wybitnym polskim komunistą, który po „polskim październiku”, jak wielu innych, zerwał w Warszawie ze stalinizmem, a później, stopniowo, odchodził coraz dalej od swojej przeszłości. Powiedział nagle, pośrodku ulicy, bez żadnego wstępu:

— Wie pan, ja teraz w nic nie wierzę. W żadne socjalizmy, ani w żadne ideologie, w ogóle w nic. Absolutnie.

I spojrział na mnie, już na przeciwległym trotuarze, z uśmiechem, który miał być wesoły, ale był raczej wyczekujący. Mówiliśmy przedtem o zupełnie innych sprawach, to co powiedział wyskoczyło z niego może nawet nieoczekiwanie dla niego samego, bo ludzie tego typu muszą czasami wypowiedzieć na głos to co ich dręczy.

— No i co? — zapytałem. — Jak się pan teraz czuje?

— Niech pan sobie wyobrazi, że doskonale. Niesłychanie lekko. Jestem szczęśliwy że się wyżyłem tych wszystkich bzdur.

Nie powiedziałem mu tego, ale mu nie uwierzyłem. Nie mogłem mu uwierzyć, bo każdy sądzi innych po sobie, a dla

mnie utrata wiary była i jeszcze jest największą tragedią w moim życiu. W tym samym mniej więcej czasie kiedy miała miejsce ta londyńska rozmowa napisałem w jednym z opowiadań:

... Prócz tego jest jeszcze radosne oczekiwanie, kiedy się idzie nocą wzdłuż toru kolejowego i niebo odbija się w szynach. Gdzieś daleko świeci się w oknie lampa, u ludzi których się nigdy nie widziało i nigdy nie zobaczy. Jest to lampa, w którą się wierzy. Bo wierzyć można nawet w lampę, byle tylko w coś wierzyć.*

Tak — byle tylko w coś wierzyć. To mi się zawsze wydawało najważniejsze ze wszystkiego. To co mi wtedy powiedział były komunista przy przechodzeniu ulicy słyszałem później jeszcze kilka razy, też od byłych komunistów. I czytałem w coraz liczniejszych książkach, dowodzących że nastąpił kres ery ideologii, wszystkich ideologii, wszędzie, na całym świecie. Może tak jest. Ale czym w takim razie zastąpić rdzeń, którym dla mnie była wiara, rdzeń, wokół którego i dzięki któremu ustawia się wszystko inne i nabiera barw i sensu? Bez tego rdzenia, nie na zewnątrz, ale we mnie samym, nic nie ma swojego miejsca, ani przeszłość, ani teraźniejszość, ani przyszłość, nawet pamięć wydarzeń się płacze, bo nie ma jej na co nanizować. I już zupełnie nie mieści mi się w głowie, że można wówczas chodzić lekkim krokiem.

To, co poczułem w czasie rozmowy z Panaitem Istrati było pierwszym sygnałem, wskazującym że załamuje się moja wiara. Później nastąpiły inne.

Pewnego dnia pomyślałem sobie że żyję w Moskwie jakby na marginesie, że od czasu przyjazdu z Paryża stykam się wyłącznie z pisarzami i z ludźmi, którzy należą do rządzących, albo w każdym razie „wyższych” sfer i którym dobrze się dzieje, że nie mam żadnego kontaktu z robotnikami i nie wiem, co oni myślą. Zatelefonowałem do Riutina, prosząc go aby mnie wykorzystał w charakterze prelegenta. Chciałem występować w fabrykach, mówiąc o życiu we Francji i w Niemczech i odpowiadając na pytanie robotników w tym względzie. Riutin, z którym byłem w złych stosunkach po tej historii z Rafesem, powiedział mi, że jego partyjny komitet dzielnicowy rozporządza dostateczną ilością stałych prelegentów, którzy nic innego nie robią i mają specjalne przeszkolenie.

Andrzej Siedowatych, jedyny prawdziwy proletariusz, którego w Moskwie znałem — ten sam, z którym razem uciekłem kiedy

* Opowiadanie „Po śmierci” w książce „Dziwne wypadki”.

nas prowadzono pod konwojem do Warszawy w 1920 roku — ustosunkował się do sprawy mniej biurokratycznie. Był, przed 1920 rokiem, tokarzem i teraz znowu pracował jako tokarz w tej samej fabryce. Zwolnił się z pracy i pojechał ze mną do sekretarza swojej partyjnej dzielnicy. Tam kazano nam czekać, wobec czego z lekka rozchylił palto. Za chwilę stanęliśmy przed obliczem sekretarza, któremu wyłożyłem moją prośbę. Długo się namyślał, nic nie mówiąc, więc Siedowatych znowu rozchylił palto, tym razem dosyć demonstracyjnie. Miał na piersiach pod paltem order Czerwonego Sztandaru, jedyne i bardzo rzadkie wówczas odznaczenie. Przypiął go sobie umyślnie, zwykle go nie nosił.

To podziałało. Przemawiałem na kilku robotniczych zebraniach, tak jak chciałem, bez przymusu, to znaczy że słuchaczy nie naganiano i nie kontrolowano kto przyszedł a kto nie. Raz przyszło tylko kilkunastu, innym razem kilkudziesięciu. Ale milczeli. Nie zadawali żadnych pytań, choć ich zachęcałem. Moje prelekcje kończyły się zawsze tak samo. Przewodniczący — bo musiał być przewodniczący — zapytywał:

— Czy są jakieś pytania? Proszę o stawianie pytań.

Następowała krępująca cisza. Trwała długą chwilę, po czym przewodniczący wygłaszał sakramentalną formułę:

— Pytań nie ma, wobec czego uważam zebranie za zamknięte.

Tylko raz było inaczej. Ktoś podniósł rękę.

— Ja chciałem towarzysza zapytać, dlaczego nosi pierścionek. Mnie się zdaje, że pierścionki są burżuazyjnym przytykiem.

Nosiłem wtedy pierścionek, zrobiony ze srebrnej monety. Sfabrykował go dla mnie w niemieckim więzieniu towarzysz celi. Najpierw przedziurawił monetę, później, w ciągu tygodni, szlifował obrączkę przy pomocy dwóch szpilek, wbitych w kawałek skóry. Powiedziałem, że to nie jest burżuazyjny pierścionek, tylko pamiątkowy, z więzienia, i objaśniłem, jak został zrobiony. Myślałem że to zainteresuje moich słuchaczy-metalowców, ale zainteresowało ich co innego.

— A ten samochód, który czeka na was na podwórku, też przywieźliście z zagranicy? — zapytał ktoś.

— Nie, to jest samochód Sowkino, gdzie pracuję. Mam prawo go używać tylko do załatwiania spraw służbowych, ale tu do was jest bardzo daleko, więc umówiłem się prywatnie z szoferem, żeby mnie przywiózł.

— A my chodzimy do roboty pieszo, bo do autobusu nie można się dostać — powiedział ktoś twardo.

W drodze powrotnej szofer mnie pocieszał, mówił, że to jakaś ciemna masa, żebyśmy się nie przejmowali. Powiedział mi też,

że robotników na mój odczyt zegnano, chociaż mi obiecywano, że tego nie będzie.

— Ale to wszystko jedno, wy do nich jak do ludzi a oni jak wilki.

Nic mu na to nie odpowiedziałem. Pomyślałem sobie że gdyby chciał być szczerzy, to by mi pewnie powiedział, że robotników mało obchodzi życie we Francji, bo nikt z nich nigdy do Paryża nie pojedzie, a tu, w Moskwie, źle im się żyje, źle jedzą, źle mieszkają i muszą drałować do pracy na piechotę. A ja opływam w dostatki. Zarabiam pisaniem tak dużo że nie mam na co wydawać pieniędzy, buchalter w Sowkino znowu do mnie telefonował żebym nareszcie odebrał w kasie moją pensję, bo znowu zapomniałem, jak zeszyłem razem, co wprowadza zamęt w jego rachunkowości. No a byt, jak wiadomo, narzuca świadomość.

Ściągnąłem z palca pierścioneł i schowałem go do kieszeni. Nosilem go stale, nie tylko wtedy podczas odczytu, ale było mi wstyd że kokietowałem nim robotników, jakby im mówiąc że za nich czy dla nich siedziałem po więzieniach. Pomyślałem sobie że to wcale nie jest takie pewne. Ani to, że sobie życzyli, abym ich uszczęśliwił, ani czy im to wyszło na dobre.

Błagają mi się w pamięci inne jeszcze wspomnienia z tych moskiewskich dni. Któregoś wieczoru przyszedł do mnie Jurij Libiedinski, chciał ze mną pójść do jakichś wspólnych przyjaciół. Powiedziałem mu że nie mogę, bo się wybierałem na spotkanie z grupą polskich komunistów, których wymieniono na aresztowanych w Rosji obywateli polskich. Spotkanie miało się odbyć w małej salce, nic o nim nie było w gazetach i sądziłem, że Libiedinskiego mało ono interesuje. Ku mojemu zdziwieniu postanowił na nie pojechać. Jeszcze bardziej mnie zdziwiło że sala była przepelniona. Na ulicy stało dosyć dużo ludzi, którzy nie mogli dostać się do środka. Chcieli zobaczyć przyjezdnych, grupa miała przyjechać wprost z dworca kolejowego.

Grupa wreszcie przyjechała, podejmowano ją herbatą z ciastkami, wygłoszono jakieś przemówienia. W sali, prócz nielicznych krewnych i przyjaciół przybyłych, byli tylko Rosjanie, przeważnie młodzi. Zapytałem jakiegoś studenta, skąd się dowiedział o tym spotkaniu, skoro w gazetach nie było o nim żadnej wzmianki.

— Pewnie że nie było, kogo teraz takie rzeczy obchodzą... Dowiedzieliśmy się bez gazet, bo nas obchodzą.

— Kogo — nas?

— Mnie i moich kolegów. I tych innych co przyszli. Dlaczego? No żeby zobaczyć *prawdziwych komunistów*...

Opowiedziałem później Libiedinskiemu o tej rozmowie. Okazało się, że przyszedł z tego samego powodu.

— Tak, oczywiście, w Moskwie jest dużo komunistów. Ale diabli wiedzą, dlaczego są komunistami i co myślą. A ci są już z pewnością prawdziwi. W Polsce za komunizm siedzi się w kryminalne, karierowiczów to nie pociąga. Ci co przyjechali mówią to co myślą, to działa odświeżająco...

Pamiętam jeszcze jedną sprawę, właściwie nawet nie sprawę, tylko całkowicie niemą scenę w autobusie. W Moskwie kursowały wtedy nowe autobusy, importowane z Anglii, wygodne, błyszczące lakierem i tak cicho sunące po asfalcie jak strumyk w lesie. Było ich jeszcze mało, chodziły tylko w śródmieściu. Przed południem, tak koło jedenastej, połowa miejsc świeciła pustką. Do autobusu chciała wsiąść kobieta z chustką na głowie, trzymająca w ręku dużą bańkę nafty. Konduktor na platformie pokręcił głową na znak że nie wolno, wpuścił innych pasażerów i autobus ruszył. Kobieta została na przystanku. Ale do autobusu wdarło się jej błagalne spojrzenie i błędziło po twarzach pasażerów. Opędzali się od niego jak mogli. Jeden starszy człowiek, szeroki w ramionach, z wystającą dolną szczęką, zaciął mocno usta, siedział nieruchomo i mówił bezgłośnie: Nie wolno. Musi być porządek. Nafta brzydko pachnie i płami. Inny leciutko kiwał głową, leciutko się uśmiechał, przelotnie. Tak, tak, widziałem. Trudno, skończyły się dawne czasy, kiedy każdy lał gdzie chciał. Niech idzie piechotą.

Nafty nie kupowało się wtedy łatwo. W śródmieściu trzeba było wystawać w kolejce, na krańcach miasta czasem sprzedawali, częściej nie. A bez nafty trudno było wyżyć, cała Moskwa gotowała na prymusach. Nie cała. W moim mieszkaniu funkcjonowała gazowa kuchnia.

9.

Wyjazd z Moskwy. — Trudność podjęcia decyzji. — Dziwny wypadek w automacie. — Zerwanie z ruchem

Przerwałem na jakiś czas pisanie tych wspomnień, usiłując odtworzyć sobie w pamięci, jakie przyczyny skłoniły mnie do zerwania z ruchem komunistycznym. Udało mi się odnaleźć bardzo stare papiery — kilka moich własnych prywatnych listów — z których wynika, że przypisywałem zerwanie temu, że zmienił on charakter i kierunek, kiedy został opanowany przez Stalina i stalinizm. Moja wiara zachwiała się w tym właśnie przełomowym czasie, więc to musiało być związane jedno z drugim, ale

to jest tylko objaśnienie częściowe, bo moje wątpliwości szły dalej, aż do samego źródła rzeczy. Kobieta z naftą z pewnością wpłynęła na moją decyzję, i moje wystąpienia w fabrykach w Moskwie, i dużo innych spraw. Pamiętam że któregoś dnia, sam w mieszkaniu, chodziłem po pokoju, prowadząc jedną z owych rozmów z samym sobą, które stawały się coraz dłuższe i coraz cięższe, i nagle przyłapałem się na tym, że mówię w myślach „oni”, a nie, jak zawsze, „my”. Pomyślałem wtedy, że jakieś moje drugie ja, silniejsze od świadomego, już rozstrzygnęło sprawę.

Nie wiem zupełnie, co było tematem moich rozważań w tej chwili, choć ją samą dobrze pamiętam. A gdybym usiłował te rozważania odtworzyć, to z pewnością roztopiłyby się w tym, co myślałem później, wiele lat później, albo co myślę teraz.

Mam jedno tylko, nie wiem czy wystarczające, objaśnienie dlaczego nie mogę wskazać — ani czytelnikowi, ani samemu sobie — bezpośrednich ani pośrednich przyczyn załamania się mojej wiary.

Wydaje mi się, że bardzo ważnych decyzji nie podejmuje się nigdy pod wpływem argumentów logicznych i rozumowych. Postanowienia tak powzięte obejmują tylko sprawy mniejszej wagi, choć zwykle ich wagę przesadzamy. Jeśli chodzi o sprawy naprawdę ważne, to argumenty żyją w nas w stanie mglistym, przybierając konkretną formę dopiero później, po fakcie. I dopiero później tłumaczą nam samym, dlaczego coś zrobiliśmy, usprawiedliwiając to i racjonalizując.

To jest taka ogólna uwaga, stosująca się do wszystkich, a więc i do mnie. Jest ona tym słuszniejsza im dłużej trwa okres poprzedzający decyzję, a u mnie trwał on bardzo długo. Głównie dlatego, że nie widziałem innego brzegu. To co we mnie narastało było wyłącznie negatywne. Nikła we mnie moja wiara, ale nie znajdowałem żadnej innej, która mogłaby ją zastąpić. Dlatego odkładałem decyzję wiele razy, chociaż wiedziałem, że ją będę musiał podjąć, bo nie zdołam stłumić w sobie siły, która mnie do tego parła. Są ludzie, którzy potrafią to zrobić którzy potrafią głosić idee, w które przestali wierzyć. Nie są pewnie gorsi od innych, są tylko inaczej wewnętrznie urażeni, albo też, drogą rozumowych dociekań, dochodzą do wniosku że powinni je nadal propagować. Są i tacy, którzy nie mogąc znaleźć wyjścia z wewnętrznego konfliktu, popełniają samobójstwo. Jednym z nich był Jurij Łutowinow, stary bolszewik, w którym przyjaźniłem się w Berlinie w dwudziestym drugim roku. Myślałem o nim często w ciągu ostatnich miesięcy, spędzonych w Moskwie i przypominałem sobie co mi powiedział krótko przed

swoim samobójstwem. „Nie widzę innego brzegu” — to były właśnie jego słowa. Myślałem też o pewnym wydarzeniu, dotyczącym mnie samego. Kiedy pracowałem w Berlinie w Zagranicznej Delegacji polskiego Komitetu Centralnego, polecono mi napisać artykuł dla polskiej podziemnej prasy komunistycznej o sytuacji w Niemczech. Rozumiało się samo przez się, że artykuł miał być optymistyczny, zapewniający robotników polskich że zwycięska rewolucja w Niemczech wybuchnie w najbliższym czasie. Nie wierzył w to ani Marchlewski, ani Warski, ani Walecki, ale uważali że taki artykuł trzeba napisać, i ja też tak uważałem, choć jak i oni w niemiecką rewolucję nie wierzyłem. Zebrałem dużo materiałów: dane statystyczne dotyczące kryzysu ekonomicznego, wzrostu cen, rozkładu w obozie burżuazji, i tak dalej. Można było z tego wykroić wszystko co się chciało. Wydawało mi się że to zrobię z łatwością, ale artykułu napisać nie mogłem. Zabrakło mi nie argumentów, ale słów. Argumenty mogłem sobie dobrać, ale słowa, zwykłe słowa, ściślej związane z tym co się na prawdę myśli i czuje niż robione, syntetyczne dowody kryły się gdzieś za górami, były nieuchwytnie.

Myśląc o tym artykule mówiłem sobie, że to była przestroga, wskazująca, że nie potrafię robić takich rzeczy, choćbym chciał. Ale nie mogłem się także zdecydować na zerwanie, które przecież oznaczało zerwanie z całym moim poprzednim życiem, więc zwlekałem. Nie docenia się zwykle łatwości, z jaką bliscy ludzie wyczuwają stany, podobne do tego jaki wtedy przeżywałem. Wydawało mi się że nikt nie wie co się ze mną dzieje, bo przecież nic nikomu nie mówiłem, dawałem wszystko w sobie. Wiedzieli. Takie rzeczy poznaje się z ruchów, z głosu, nawet ze sposobu chodzenia. Przed wyjazdem z Moskwy poszedłem pożegnać się z jednym z najbliższych moich przyjaciół, który był chory i leżał w szpitalu. Zapytałem go, co mu przywieźć z Berlina.

— Przywieźć? Chyba przysłać, bo przecież ty nigdy do Moskwy nie wrócisz.

Powiedział to bez żadnego nacisku, jako coś co nie ulega wątpliwości. Musiałem mieć głupią minę i zrobiła się przykra sytuacja, więc zmienił temat rozmowy.

Ale to było bezpośrednio przed moim wyjazdem za granicę, a jeszcze przedtem pojechałem do Eupatorii, na Krym. Choruję od urodzenia na astmę bronchialną, we wczesnym dzieciństwie miałem silne i częste ataki, ale astma często słabnie z wiekiem. Nie miałem od lat ataków, kiedy nagle mnie chwyciły w tym właśnie okresie. Duszę się każdej nocy, zawsze dokładnie

o tej samej godzinie, miałem też silne ataki dzienne. Były niewątpliwie związane z kryzysem, który przeżywałem.

Ataki astmy dały mi pretekst do odłożenia decyzji, a nawet zwolniły mnie od konieczności ciągłego o niej myślenia. Mówiłem sobie, że muszę się najpierw wyleczyć albo choć podleczyć, aby wykluczyć możliwość, że moja choroba może na nią wpłynąć.

W Eupatorii było specjalne sanatorium dla astmatyków. Pojechałem tam. Leczyłem się kilka tygodni, ataki osłabły, później znowu wróciły. Lekarze w sanatorium powiedzieli mi, że nic więcej nie mogą dla mnie zrobić, poradzili mi żebym pojechał do Niemiec, gdzie stosowano jakieś nowe metody i lekarstwa, których jeszcze nie było w Rosji. Pokazali mi artykuły w niemieckich pismach medycznych. Uchwyciłem się tej rady, bo wyjazd za granicę znowu pozwalał mi odłożyć decyzję, a prócz tego dawał możliwość pozostania za granicą, jeśli postanowię zerwać. Ale dobrze pamiętam że nie byłem jeszcze zdecydowany, że nie wiedziałem czy wrócę czy nie. Mój przyjaciel w szpitalu już to wiedział, ja nie.

Po przyjeździe z sanatorium do Moskwy okazało się, że jako „odpowiedzialny pracownik w rozporządzeniu K.C.” podlegam jego władzy również i w dziedzinie zdrowia. Przy K.C. istniała Komisja Lekarska, która takie sprawy rozstrzygała. Stawiłem się na nią, astma — a może jej skutki, tj. emfemema, czyli rozszerzenie płuc — sterczała we mnie widocznie bardzo uszszalnie, bo lekarz, po przyłożeniu stetoskopu do pleców, z miejsca ją wykrył, a inny potwierdził. I obaj orzekli, że skoro Eupatoria nie pomogła, najlepiej pojechać do Niemiec. Trzeci, starszy wiekiem, powiedział, że czego nie wyleczą w Moskwie, tego nie wyleczą i w Berlinie, zwłaszcza że astma jest w ogóle nieuleczalna, o czym wie najlepiej, bo sam na nią cierpi. I że wskutek tego nie widzi możliwości, aby Komisja Lekarska opłaciła moją kurację za granicą. Zwróciłem mu uwagę, że o to nie prosiłem i nie proszę.

— A no tak, zapomniałem że jesteście pisarzem.

Zwracając się do swoich kolegów, dodał tonem rozkazu:

— Minimum. Więcej nie trzeba, sam sobie poradzi.

Po kilku dniach motocyklista w czarnej skórze przywiózł mi kopertę z różnymi papierkami. Jeden z nich opiewał, że mam prawo zmienić 500 rubli na niemieckie marki według oficjalnego kursu. To właśnie było owo „minimum”. Kurs „wolnego rynku”, ogłaszany codziennie w gazetach, mało się od oficjalnego różnił.

Wyjechałem z Moskwy sam, pół roku przed wyjazdem rozszedłem się z żoną. Ale tu znowu szczelna zasłona wyrывa z mojej pamięci dnie, które go poprzedzały. Nie wiem jak je

spędziłem, ani kto mnie odprowadził na stację. Nie pamiętam też przyjazdu do Berlina, nie wiem również, gdzie w Berlinie początkowo zamieszkałem. Ale to co było później wyryło się w mojej pamięci aż nadto dokładnie. Leczyłem się w klinice jakiegoś profesora na Augsburgerstrasse, robił mi zastrzyki i ataki astmy ustały. Nie sądzę, żeby mnie tak błyskawicznie wyleczył, astma jest chorobą kapryśną, zjawia się i znika, i ze mną pewnie tak było.

Kiedy ataki astmy minęły, stanąłem znowu przed koniecznością podjęcia decyzji, nie miałem już żadnego pretekstu, by ją nadal odkładać. I wtedy zaczęły się straszne dni, tygodnie i miesiące. Przystałem widywać znajomych i przyjaciół, powiedziałem sobie że muszę być zupełnie sam, aby nic nie odrywało mnie od tej jednej myśli, od tej jednej sprawy. Spędzałem dni na ulicach i w parkach, w odległych dzielnicach miasta, żeby nikogo nie spotkać. Potem obostrzyłem reżym samotności, postanowiłem jadać tylko w automatach, bo w nich nie trzeba było z nikim rozmawiać, wrzucało się monety do stosownego otworu i zabierało talerz z jedzeniem. To postanowienie doprowadziło do kryzysu, do wypadku, którego nie mogę sobie do dziś dnia objaśnić, ale który z pewnością miał miejsce, dokładnie w takiej formie jak go pamiętam.

Było to w automacie na Joachimstallerstrasse. Wziąłem swój talerz z jedzeniem i postawiłem go na stoliku, przy którym nikogo nie było. Puste miejsca przy stoliku zajęto po chwili dwóch Niemców, jedli, jak i ja, w milczeniu. Naraz pomyślałem sobie, że jeden z nich zapyta drugiego, jak się ma jego siostra. Nie mówili przedtem o siostrze, nic nie mówili, usiedli dopiero przed chwilą. Powiedziałem sobie że przychodzą mi do głowy zupełnie niedorzeczne myśli, ale jednocześnie ogarnął mnie strach, jadłem szybko, żeby to pytanie nie padło, chciałem być już na ulicy i zwymyślać się za to na niczym nie oparte przypuszczenie. I wtedy jeden z Niemców powiedział to co przewidziałem:

— Jak się ma twoja siostra?

Wyszedłem z automatu. Nie od razu znalazłem drzwi wyjściowe, choć często tam jadałem. Pewnie chwiałem się na nogach, bo ktoś wziął mnie pod rękę i doprowadził do drzwi. Przeczulenie nerwów, myślałem, napięcie nerwów, które widocznie może wywołać takie rzeczy. Ale strach rósł, był to strach przed obłędem. Wiedziałem że halucynacje wzrokowe i słuchowe są zawsze objawem poważnej choroby umysłowej, a inaczej niż halucynacją nie umiałem wytłumaczyć tego co się stało. I jednocześnie wiedziałem, wiedziałem z absolutną pewnością, że to nie była halucynacja, że przewidziałem co ten człowiek powie.

W dzień albo dwa później zatelefonowałem do Jakubowicza, radcy Ambasady Sowieckiej w Berlinie. Powiedziałem sobie że nie mogę dłużej odkładać decyzji, bo to grozi obłędem. Był to ten sam Jakubowicz, który w swoim czasie wyprawił mnie z Moskwy do Rygi. Często go później spotykałem, utrzymywaliśmy przyjazne stosunki. Prosiłem go żeby zaraz do mnie przyjechał w ważnej sprawie. W przedpokoju, otwierając mu drzwi, powiedziałem:

— Będziemy mieli przykrą rozmowę.

Siedział u mnie pięć godzin. Nie pamiętam co mówił i co ja mówiłem. Pamiętam tylko, że rozmawialiśmy tak, jak się rozmawia w pokoju ciężko chorego: nie o jego chorobie, tylko o wszystkim innym. I tylko od czasu do czasu wracaliśmy do głównego tematu. Jakubowicz nie usiłował mnie przekonać, abym swoją decyzję zmienił, namawiał mnie tylko, abym ją jeszcze na jakiś czas odłożył i nie palił za sobą mostów. Pamiętam też że dotknął najbardziej bolesnego punktu, sprawy o której wciąż myślałem: że po zerwaniu będę zupełnie sam. I zaraz dodał, że musiałem i to wziąć pod uwagę. Odpowiedziałem mu, że na to nie ma rady.

Jakubowicz obiecał, że zaraz po powrocie do ambasady zawiadomi Krestinskiego i zatelefonuje mi, czy uzyskał jego zgodę na przesłanie pocztą dyplomatyczną do Moskwy listów, które mu wręczyłem, oficjalnych i prywatnych. Były one przeznaczone dla Komitetu Centralnego i dla moich przyjaciół w zarządzie WAPP. Powiedziałem mu, że jeżeli Krestinski listów nie prześle, będę musiał ogłosić moją decyzję w formie listu do redakcji jednego z berlińskich pism. Późnym wieczorem Jakubowicz zadzwonił, że listy zostaną przesłane. Dowiedziałem się później, że wszyscy adresaci je otrzymali.

Odszedłem więc, tak jak postanowiłem, w milczeniu. Tłumaczyło się to tym, że odchodząc nie widziałem „innego brzegu”. Zerwałem z ruchem, który sam budowałem, ale nie mogłem mu nic przeciwstawić. Uważałem, że nie mam wobec tego prawa występować publicznie ani w ogóle zajmować się w przyszłości polityką, w każdym razie aż do czasu, kiedy zobaczę wyraźnie „drugi brzeg”.

Dotrzymałem tej obietnicy danej samemu sobie. Po zerwaniu z ruchem komunistycznym w końcu lat dwudziestych nie napisałem w ciągu prawie dziesięciu lat ani jednego politycznego artykułu i nie brałem udziału w żadnym politycznym ruchu (później zostałem socjalistą). Jedyny wyjątek stanowi kilka listów do prasy, ogłoszonych wkrótce po zerwaniu. Musiałem je ogłosić dlatego, że wiadomości o moim zerwaniu przeniknęły w jakiś spo-

sób do gazet. Dziennikarze i korespondenci zwracali się do mnie, a ponieważ odmawiałem wszelkich informacji, wyszali z palca rozmaite niemądre sensacje. Jedna z gazet warszawskich zamieściła nawet całkowicie sfinansowany wywiad ze mną, choć z jej korespondentem nigdy nie rozmawiałem. Musiałem więc dementować te wymysły, stwierdzając jednocześnie że prawdą jest tylko to, że zerwałem z ruchem komunistycznym.



W kilka dni po rozmowie z Jakubowiczem przeprowadziłem się do pokoiku w innej dzielnicy miasta i zacząłem szukać pracy. Miałem jeszcze trochę pieniędzy — zmieniłem przed wyjazdem na „wolnym rynku” ruble na marki — ale już niewiele. Pierwszą pracę znalazłem łatwo. Zdałem odpowiedni egzamin i zostałem szoferem ciężarówki.

W jakiś miesiąc później spotkałem na ulicy w Berlinie starego polskiego komunistę, z którym siedziałem w więzieniu Mokotowskim w Warszawie i z którym mnie łączyły dosyć bliskie stosunki. Bezwiednie, nie myśląc co robię, ukłoniłem mu się. Spojrzał na mnie i nie odkłonił mi się.

Zrobiło to na mnie takie wrażenie, że długo nie mogłem przyjść do siebie ani w nocy zasnąć. Mówiłem sobie, że nie mógł mi się odkłonić, że powinienem być na to przygotowany, ale to nie pomagało. Pamiętam że w tym czasie wróciła myśl o Łutowinowie i o tym co on zrobił. Nie zrobiłem tego samego pewnie dzięki temu, że od lat nosiłem w kieszeni rewolwer. W ten sam sposób odzwyczaiłem się kiedyś od palenia. Miałem stale w kieszeni papierosy, mogłem zapalić *w każdej chwili*, i nie paliłem.

10.

Trud Syzyfa można interpretować rozmaicie

Te wspomnienia obejmują najważniejszy okres mojego życia. Nie wiem czy i kiedy napiszę ich dalszy ciąg.

Teraz, w ostatnim rozdziale, chcę podzielić się z czytelnikiem kilkoma uwagami, które są rezultatem rozmyślań, trwających wiele lat.

Nie znalazłem i już z pewnością nie znajdę „drugiego brzegu”. Ustrój kapitalistyczny odpycha mnie dziś tak samo jak w czasie kiedy jeszcze w szkole wstąpiłem do młodzieżowej organizacji

sojalistycznej. Może nawet odpycha mnie silniej, bo mieszkam od wielu już lat w Stanach Zjednoczonych, gdzie ten ustrój doprowadzony został do ostatecznej, całkowicie absurdalnej konsekwencji i skąd promieniuje on na inne kraje, których mieszkańcy ochoczo naśladowują to co w Ameryce się dzieje. W kraju w którym mieszkam, najpotężniejszym i najbogatszym na świecie, zasada indywidualnego bogacenia się za wszelką cenę zatrzała wodę w rzekach i oceanach i powietrze w miastach chemikaliami i wyziewami z fabryk. W stolicy tego kraju liczba napadów bandyckich na ulicach dochodzi do stu dziennie, a w Nowym Jorku przewyższa 70.000 rocznie. W tym samym kraju jest najwięcej na świecie narkomanów, nie tylko w cyfrach absolutnych, lecz i procentowo, a w Nowym Jorku podczas zajęć w szkołach średnich dyżurować musi w każdym gmachu uzbrojony policjant, co trochę ogranicza ilość napadów rabunkowych oraz handel narkotykami na terenie szkolnym, ale tylko trochę. Można dodać, że jest to kraj w którym stale rośnie ilość samobójców i w którym, według oficjalnych danych, każdy piąty lub szósty obywatel spędza krótszy lub dłuższy okres życia w zakładzie dla obłąkanych.

Wszystko to nie zdaje się świadczyć o szczęściu, który daje ustrój integralnej demokracji swoim obywatelom. Nie jestem jednak pewien, czy stworzenie ustroju, który by to szczęście wszystkim obywatelom zapewniał, jest w ogóle możliwe. Wydaje mi się że wszystkie ideologie, wszystkie ruchy, skierowane ku uszczęśliwieniu ludzkości lub choćby ku bardziej racjonalnemu urzędzeniu życia na ziemi zbankrutowały nie dlatego że były oparte na mylnych, w każdym wypadku inaczej mylnych, założeniach, lecz dlatego, że uszczęśliwić ludzkość jest tak samo trudno, jak zrozumieć sens życia. Nie ma ono prawdopodobnie żadnego sensu, nie uznaje żadnych przesłanek logicznych, i wskutek tego nie można znaleźć żadnej ogólnej recepty, żadnego absolutu na jego lepsze uformowanie. Myślę też że wszystkie wierzenia, społeczne czy religijne, są eskapizmem, najczęściej nieświadomym, są ucieczką od tej tragicznej prawdy. I coraz częściej mi się wydaje że najbardziej tym eskapizmem natężone są ruchy rewolucyjne, że ich siła pociągająca polega w dużej mierze na mglistej, przed samym sobą ukrywanej nadziei, że można przezwyciężyć najbardziej tragiczną z prawd, to jest śmierć. Stając się cząstką w masie, kroplą w potoku, który zawsze płynie, jak rzeka z gór, rewolucjonista łączy swoje życie z życiem przyszłych pokoleń, chce być pociskiem, skierowanym w przyszłość i przebijającym mur, którym jest śmierć i który tę przyszłość przesłania.

Tragiczne prawdy o których mówię staną się jednak mniej

tragiczne jeśli się nad nimi głębiej zastanowić. Wyobraźmy sobie młodzieńca który kocha się w dziewczynie. Jego miłość jest wzajemna i daje mu najwyższy rodzaj szczęścia. I przypuśćmy że ten młodzieniec powie sobie, że jego uczucia miłosne i wszystko co na nich buduje nie mają sensu, bo przecież dziewczyna zestarzeje się z biegiem lat i zbrzydnie, jej tryskające życiem oczy wyblakną i posmutnieją, a jej usta wykrzywią choroby, będące naturalną i nieuniknioną funkcją wieku i że przeminie również jego ku niej miłość. Wszystko to jest prawdą, nie ulega wątpliwości że tak właśnie będzie. A jednak jeśli odejdzie od dziewczyny aby uniknąć nieszczęść, które się na niego w przyszłości zwałą, to będzie idiotą.

Ten przykład brzmi może trochę prymitywnie i krańcowo, ale wybrałem go właśnie dlatego że jest prymitywny i dla każdego zrozumiały. Chodzi mi o to, że ważniejsze od tego co kiedyś nastąpi — nawet jeśli wiemy z całą pewnością że nastąpi — jest to, co teraz jest. Albo, rozszerzając tę myśl na sprawy ideologiczne: fakt że cel jest nieosiągalny jest mniej ważny niż droga, która do niego prowadzi.

I tu przechodzę do sedna rzeczy. Kiedyś, jeszcze zanim stałem się pełnoletni, uczono mnie — nie w szkole, tylko poza jej murami, co było bardziej brzemienne w skutki — że ludzkość stale kroczy naprzód, że dzieje się jej coraz lepiej, że jest coraz szczęśliwsza. Ten pogląd opierał się na mijających ustrojach w historii świata i zakładał, że ustrój feudalny był lepszy od niewolniczego, kapitalistyczny lepszy od feudalnego, socjalistyczny lepszy od kapitalistycznego, a komunistyczny — niby ostatnia stacja skąd pociąg dalej już nie idzie — będzie najlepszy i ostateczny.

Ta teoria nieubłaganego, przymusowego, niejako automatycznego postępu nie ma jednak żadnego pokrycia w historii. Jedyną rozsądną miarą postępu jest ludzkie szczęście, a niewolnicy czasów ustroju niewolniczego mieli się pewnie lepiej, niż więźniowie obozów koncentracyjnych Hitlera i Stalina. Rozwój nauk przedłużył życie ludzkie — w wiekach średnich przeciętna ludzkiego życia wynosiła trzydzieści lat — ale ten sam rozwój nauk umożliwił zgładzenie milionów ludzi w ciągu sekundy za pomocą wodorowych bomb, lub powolne ich zabijanie przy pomocy zatrucia powietrza, którym oddychają, ziemi, która ich żywi i wody, którą piją i w której gotują jedzenie. Gdyby zresztą samochody, telewizory i coraz szybsze samoloty wystarczały ludziom do szczęścia, to w Ameryce, gdzie ich jest najwięcej, nie byłoby tylu narkomanów ani tylu pacjentów w zakładach dla umysłowo

chorych i mieszkańcy amerykańskich miast nie baliby się wychodzić na ulicę po zapadnięciu zmroku.



Napisałem że to iż cel jest nieosiągalny mniej znaczy niż droga, która do niego prowadzi. To twierdzenie wydać się może paradoksalne, ale takie nie jest, co spróbuję wytłumaczyć. Najpierw jednak muszę je uściślić. Mówiąc o nieosiągalności celu miałem na myśli dłuższe okresy historyczne. Po Wielkiej Rewolucji we Francji zapanowała znowu reakcja, po obaleniu caratu w Rosji doszedł do władzy Stalin. Historia świata, po kroku naprzód, zawsze cofa się o krok wstecz. Ale na krótszych jej odcinkach możliwe jest czasowe polepszenie ludzkiego losu, zmniejszenie ucisku, większa sprawiedliwość społeczna i bardziej do równości zbliżony ustrój.

A teraz wracam do pozornego paradoksu, od którego zacząłem. W starożytnej Grecji słowo „idiota” — które pochodzi z greckiego — miało inne znaczenie niż teraz. Idiotą był wtedy człowiek, usiłujący żyć „prywatnie”, tylko dla siebie, niejako poza społeczeństwem. To się pewnie niektórym ludziom udawało, ale jest rzeczą wątpliwą czy im to przynosiło szczęście. Człowiek jest bowiem istotą czy zwierzęciem stadnym i nic nie czyni go bardziej nieszczęśliwym niż samotność, wyobcowanie, oderwanie od życia społeczeństwa, życie tylko dla siebie. Ruchy zmierzające do polepszenia nie swojej własnej, tylko ogólnej ludzkiej doli na świecie nie osiągały nigdy celu, który sobie stawiały, ale tylko one stwarzały ludzkie braterstwo, nie w osiągnięciu celu, lecz w samej o nie walce.

Podstawą tych rewolucyjnych ruchów była zawsze, jest i będzie nieakceptacja istniejących warunków życia, odmowa przystosowania się do nich, buntownictwo w najszerszym znaczeniu tego słowa. I były to oczywiście zawsze ruchy altruistyczne, wymagające poświęcenia się tych, którzy brali w nich udział. Prawdą jest, że mitologiczny Syzyf, który dźwigał na szczyt góry głaz, podejmując i niosąc go znowu za każdym razem kiedy głaz spadał, może symbolizować ruchy rewolucyjne w historii. Ale prawdą jest również że zainteresowania materialne nigdy nie odgrywały żadnej roli w najbardziej twórczej dziedzinie życia, w sztuce, ani w rozwoju nauk, a w innych dziedzinach odgrywały rolę minimalną i niczego istotnie dla ludzkości pożytecznego nie stworzyły. I niewątpliwą prawdą jest to, że w dziejach świata ludzie zawsze oddawali życie za altruistyczne idee i rzadko za

to, żeby mieć najpełniejszy żołądek, co chyba dowodzi że te idee bardziej odpowiadają ludzkiej naturze.

Teraz jeszcze słowo o syzyfowych trudach. Albert Camus w swoim eseju „Mit Syzyfa” napisał co następuje:

„Już sama walka, staczana przy wspinaniu się na szczyty, wystarcza by zapełnić ludzkie serce. Należy przypuszczać, że Syzyf był człowiekiem szczęśliwym”.

To też nie jest paradoks, choć na pierwszy rzut oka wygląda jak paradoks.



Na tych uwagach kończę moją książkę. Zdaję sobie sprawę, że wspomnienia moje nie są wielce odkrywczymi i że płomyk nadziei migocze w nich bardzo słabym blaskiem. Ale obiecałem czytelnikowi na początku moich wspomnień zupełną szczerłość. Mogę go zapewnić że pisałem je z myślą o dotrzymaniu tej obietnicy.

I N D E K S

- Aleksandrow, G. 334, 335
 Alibiegow, I. 123
 Altberg 221
 Alter, I 51
 Anusz 196
 Arosjew, A. 289, 290
 Asejew, M. 335
 Awerbach, L. 321, 322, 323, 327
 Awerczenko, A. 317, 349
- Babel, I. 316, 317, 327, 328
 Bache, V. 277
 Balzak, H. de 251, 353
 Bałujew, gen. 119, 120, 122, 150, 151
 Bańkowski, P. 226
 Barlicka, J. 194
 Barlicki, N. 194, 221
 Baryła, J. 96, 97, 104, 128, 138
 Basmanow 338
 Bauer, O. 277, 278
 Bebel, A. 88
 Bellamy, E. 90
 Berson, S. 96, 97, 105, 112, 123, 124, 125, 126, 137, 138, 144, 150
 Biegański 34
 Bielszowski 26
 Biernacki, J. 179, 180
 Bismarck 278
 Bittner, W. 235
 Błagonrawow, C. 302, 303, 305, 306, 308
 Bobiński, S. 116, 130, 210, 211
 Bogomołow, A. 286
 Bolesławski, A. 34
 Bortnowski, B. 82
- Bourdet, E. 284
 Boy 48, 314
 Börner, I., kpt. 217
 Brandler, H. 244, 269, 270
 Brisbane, A. 277
 Bronnen, A. 252, 253
 Brown, E. J., prof. 318
 Bubionnow, M. 353
 Bucharin, M. 224, 306, 319, 320, 322, 354
 Budionnyj, S. 317
 Budzyński, S. 177, 211
- Camus, A. 370
 Carr, W. 255
 Ceretelli, G. 102
 Chałatow, A. 351
 Chaplin, C. 29, 332
 Chitrow, I. 139
 Chruszczow, N. 305
 Cichocki, K. 126, 132, 223
 Ciszewski, J. 199, 200, 201, 271
 Czcheidze, G. 101
 Czechow, A. 27, 251
 Cziczerin, G. 127, 193, 213, 214, 215, 216, 217, 246, 253, 258, 286, 295, 302, 307
 Czwiałjow, A. 346, 347, 348
- Dan, T. 250
 Daniszewski, A. 213, 214
 Daves 279
 Dąbski, J. 212, 213, 214, 218, 221, 222
 Denike, G. 104
 Denikin, A., gen. 111, 217

- Deval, J. 284
 Dolecki, J. 104, 131, 132, 235
 Dostojewski, T. 71, 210
 Dowbór-Muśnicki, J., gen. 97, 99,
 141, 142, 143, 144, 145, 146
 Döblin, A. 251, 277
 Druker, por. 181, 182
 Duchonin, gen. 120, 125
 Dworzak, A. 332
 Dzierżyńska, Z. 303, 304, 306, 308,
 311
 Dzierżyński, F. 84, 87, 88, 89, 90,
 209, 256
 Dziura, S. 191, 194, 195

 Eastman, M. 293
 Eisenman, kpt. 160, 161
 Eisenstein, S. 334, 335, 336, 337,
 338, 339, 343
 Ercoli (Togliatti), P. 218
 Erenburg, I. 317
 Eyeck, E. 255

 Fadiejew, A. 243, 321, 323, 324
 Fidler (Truskier), F. 178, 199, 201
 Fiedorienko 207, 209
 Figner, W. 177
 Firin, S. 232, 271, 273, 348
 Flatau, E., dr. med. 17
 Floryński 290
 Frenkel, M. 34
 Freud, S. 27
 Fricke 199
 Frumkina, M. 124
 Frunze, A. 68, 73, 74

 Gaj, gen. 221
 Gard, R. M. du 251
 Gawalewicz, M. 32
 Gerlach, von, H. 277, 278
 Giżycki, W. 76
 Gładkow, F. 295, 324, 325, 326
 Goldman, A., dr. med. 79
 Gorki, M. 118, 197, 317, 318, 353
 Grabar, I. 225
 Grabski, W. 213
 Gromaszewski 126
 Grosser, C., dr. med. 271, 272, 273,
 274
 Grosz, G. 251
 Grzelszczak 116

 Guczkow, A. 110
 Gzowski, W. 234

 Habedank, H. 269
 Hanecki, J. 247, 248, 249
 Harden, M. 277
 Heltman, S. 96, 97, 105, 112, 113,
 126, 138, 139, 141, 150, 151, 210,
 309, 311, 312, 314, 340
 Herriot, E. 277, 279, 292, 293
 Hesse, H. 251
 Hibner, W. 196
 Hindenburg, von, gen. 65
 Hitler, A. 65, 251, 253, 257, 260,
 271, 279, 368
 Hołówko, T. 216
 Hugo, W. 281

 Ilf, I. 316
 Ionesco, E. 331, 332
 Istrati, P. 354, 355, 356
 Iwan Groźny 338, 339, 341

 Jachimowicz 273, 274
 Jakubowicz, M. 216, 217, 365, 366
 Jankowski, S. 213
 Jansen, K. 80
 Janusz 34
 Jaracz, S. 34
 Jarmułowicz, S., dr. med. 132
 Jeanot 286, 287
 Jelisejew 242
 Jermiłow, W. 321, 322
 Jesienin, S. 281, 315
 Jessner, L. 251
 Jeżow, M. 348
 Joffe, A. 127, 214, 216, 218, 221,
 222, 225, 226, 227
 Jukow, K. 343
 Junkers 255
 Jureniew 134
 Jusupow, F., ks. 81
 Jutkiewicz, S. 343

 Kac 207, 208, 209, 212, 312
 Kaganowicz, L. 326
 Kamieniew, L. 105, 320
 Kamiński, H. (Domski) 215, 271,
 272, 273
 Karachan, L. 127
 Karłowicz 197

- Karr 264
 Kasprzak, M. 84, 88, 89, 90
 Katajew, W. 353
 Kautsky, K. 275, 277, 278
 Kaźmierczak, sierż. 180, 188
 Kerr, A. 278
 Keylis 185
 Kiedrow, adm. 286
 Kiereński, A. 102, 109
 Kiernik, W. 213
 Kirow, S. 218
 Kirszon, W. 321, 322, 327, 329
 Knight-Peterson, W. 255
 Knorin, W. 114, 119, 121, 124, 127,
 129, 130, 139, 148
 Kohn, O. 26
 Kolwitz, K. 251
 Komarowski, J. 258, 259
 Kon, F. 209, 210, 211
 Korczak, J. 33, 37
 Korejsza, A. 82
 Kornilow, L., gen. 110, 111, 141,
 142
 Koroljow 107, 108, 143
 Koszutska, W. 177
 Kozłowski, gen. 241
 König, kpt. 167, 168, 169, 170
 Köstler, A. 245
 Krafft-Ebing 252
 Kramer, P. 168, 169, 170, 171, 173,
 174
 Krasny, J. 177
 Krassin, L. 289, 290, 291, 293, 294
 Krestinski, M. 258, 259, 260, 265,
 268, 302, 365
 Krumin, N. 221
 Krupp 255
 Krupska, N. 247, 248, 249
 Krygier, H. 235
 Krylenko, H. i M. 125, 143, 146,
 293
 Kryłow, gen. 111
 Krynicki, M. 311, 314
 Krześcińska, B. 102, 212
 Kujbyszew, W. 305
 Kulikowski, A. 82
 Kunitzer 26
 Kurbski A., ks. 338
 Kurcman, por. 112, 185, 186, 187,
 188, 189, 190
 Kuzmin 241
 Künstler 255
 Lane, R. 258, 260, 261
 Ledebour, G. 277, 278
 Lednicki, A. 224
 Lednicki, W. 83
 Leinert, R. 277, 278
 Lelewel 50, 54
 Lenin, W. 84, 101, 105, 109, 114,
 118, 119, 127, 128, 129, 130, 133,
 134, 135, 138, 184, 187, 212, 217,
 223, 236, 240, 242, 243, 247, 248,
 249, 250, 257, 264, 266, 267, 270,
 275, 276, 277, 278, 279, 280, 292,
 306, 317, 319, 353
 Lent, S. 81, 83
 Leszczyński, J. 104, 116, 126, 130,
 131, 132, 187, 210, 215, 220, 222,
 224, 225
 Liber 109
 Libiedinski, J. 308, 319, 321, 323,
 325, 346, 359, 360
 Liebknecht, K. 236
 Liński, A. 226, 227
 Litowski, O. 257
 Litwinow, M. 301, 302
 Lorenz, J. 220, 222, 224, 227
 Löbe, P. 277, 278
 Luksemburg, R. 84, 88, 89, 131,
 210, 236
 Lwow, G., ks. 68, 75
 Ładoś, A. 213, 222
 Łaganowski 82
 Łander, K. 114, 127, 130, 139
 Łapiński (Michalski), P. 104, 131
 Łazowert 81, 82, 84
 Łazowert, dr med. 81
 Łomonosow, prof. 260
 Łosjew, W. 34
 Łukasiewicz, J. 221
 Łukomski, gen. 111
 Łunaczarski, A. 109, 295, 321, 323
 Łutowinow, J. 360, 366
 Mackiewicz, J. 216, 217
 Majakowski, W. 281, 285, 288, 295,
 315, 317, 335, 336, 346
 Makłakow, N. 286
 Makłakow, W. 286
 Makowski 182
 Malinowski 112, 113
 Malzahn, von 254
 Mann, H. 251, 277

- Mann, T. 251, 275, 277
 Manuilski, D. 218
 Marchlewski, J. 207, 209, 210, 211,
 212, 214, 215, 216, 217, 223, 232,
 235, 236, 237
 Marks, K. 113, 133, 136, 137, 275,
 282, 345, 353
 Martow, J. 101, 241, 249, 250
 Matuszewski, I. 99, 152
 Maupassant, G. de 281, 353
 Menjou, A. 333
 Merlé, J. 283
 Miasnikow, A. 105, 119, 121, 123,
 124, 130, 139, 144, 148
 Michel, L. 177
 Mielewski 34
 Mieszkowski, A. 213
 Mikołajewski, B. 104
 Miliukow, P. 101, 102, 110, 117
 Miller, Z. 221, 223, 224
 Minin 341
 Mołotow, W. 301, 305, 306, 307,
 308, 314
 Moszyńska, J. 112, 312
 Mussolini, B. 251, 329
 Münzenberg, W. 279, 333
- Nagórski, Z. 99
 Nansen, F. 277
 Nelken, dr med. 191, 192, 194
 Nielsen, A. 332
 Niemojewski, A. 182
- Oboleński, L. 218
 Ocep, F. 344
 Okuszeko-Konarzewska 23
 Oldenburg, A. 225
 Olesza, J. 316
 Olski 82
 Orłow, A. 232, 348
 Orłow, N. 305
 Osietki, K. von 251
 Osłowski 199
 Ozimiński, J. 17
- Paets, A. 166, 171, 173
 Pagnol, M. 284
 Painlevé, P. 277
 Pallenberg, M. 252
 Panow 147
 Pański, A., dr med. 10
 Pański, A. 12, 35, 36, 42, 50, 149
- Pański, J. 12, 50
 Patek, S. 223
 Perl, F. 221
 Perno 123
 Petruszewicz, K. 115, 117, 127, 129
 Piatakow, G. 105
 Pierowska, Z. 177
 Pieszkowa, A. 197
 Pietrow, dr med. 126
 Pietrow, E. 316
 Pikiel, R. 119, 121, 124, 138, 139,
 150, 213
 Piłsudski, J. 149, 216, 217
 Pinkus, dr med. 106, 107
 Piskator, E. 251
 Platten, F. 101
 Poincaré, H. 279
 Polak, J., dr med. 30
 Połomski, J. 45
 Poznański, K. 221
 Pożarski 341
 Proust, M. 251
 Próchniak, E. 209
 Prus, B. 28, 312
 Pudowkin, W. 343
- Radek, K. 130, 131, 187, 246, 249,
 250, 270, 271, 272, 273, 274
 Rafes, N. 342, 343, 346
 Rakowski, C. 286, 287
 Rappaport, K. 282
 Raskolnikow, F. 109, 110, 132, 323
 Rasputin, G. 81
 Ratheau, W. 262, 263
 Reed, J. 337
 Reicher (Rwal), G. 190
 Reinhardt, M. 251
 Reissner, Ł. 132
 Rembal 38, 39, 40, 41, 42, 48
 Remle 168, 172
 Remmele, H. 269
 Remniew, por. 122
 Riazanow, D. 130, 133, 134, 135
 Riutin 342, 357
 Rogoziński, por. 126
 Rolland, R. 277, 278, 312, 354
 Rosenberg, A. 259
 Rosenblat, J. 221, 223, 301
 Rozenberg 220
 Rozengolc, A. 68
 Rozenes 25
 Rożkow, M. 276, 277
 Rubinstein, M. 121
 Rudnicki, K. 190, 191

- Rybacki, M. 199
 Rygier, H. 50
 Rygier, L. 52
 Rykow, A. 105, 250
- Sackheim 12
 Sandmeier, M. 59
 Scheibler 26
 Schlageter, L. 270, 271
 Seekt, H., von, gen. 259
 Selezniow, W. 115
 Sempołowska, S. 197, 223
 Serge, W. 244
 Shaw, G. B. 277
 Sjedowatych, A. 207, 209, 257, 358
 Skobielew, N. 102
 Skriabin, A. 305, 306
 Skrzyński, A. 253
 Sliwkin, A. 231, 232, 233, 234, 271
 Sławiński, A. 96, 97
 Słonimski, A. 44
 Solc, A. 224
 Sołżenicyn, A. 251
 Sonier, A. 223, 225
 Sonkin 120, 311
 Sorel, J. 90
 Stalin, J. 220, 232, 241, 251, 256,
 257, 271, 305, 311, 315, 318, 320,
 321, 322, 324, 325, 326, 337, 338,
 339, 340, 348, 360, 366, 369
 Staniszewski, sierż. 202
 Stassowa, H. 232, 233, 243
 Stendhal, H. 90, 308
 Stern 119
 Stiekłow, J. 68, 245, 259, 277, 278,
 280, 283, 295, 302
 Strasburger, H. 221
 Stresemann, G. 258, 261, 262
 Strzelecki, E. i M. 34
 Suchanow, M. 114, 118
 Surkow, A. 321
 Suwarin, B. 307
 Swierdłow, J. 127, 128, 129, 132
 Szatow 67
 Szemiakin 220
 Szeps, S. 24
 Szlajpanikow, A. 134, 135, 289, 290
 Szkłowski, W. 349
 Szwiedczikow, K. 334, 335, 336, 337,
 341, 342, 345, 346, 347
- Tenbrock, R. 255
 Tereszczenko, J. 102
 Tichmieniew, dr med. 126
 Tiomkin, D. 281
 Tisse, E. 334, 336, 351
 Tołstoj, A. 316
 Tołstoj, L. 28, 251, 301, 326, 327
 Tomski, A. 320
 Traubenberg, von, gen. 74
 Trocki, L. 109, 133, 135, 136, 148,
 187, 212, 241, 317, 319, 320, 324,
 337
 Tuchaczewski, M. 213, 214, 222, 241
 Tucholski, K. 251
 Tuwim, I. 11
 Tuwim, J. 25, 45
- Ulbricht, W. 269
 Unszlicht, J. 104, 106, 209, 214
- Valentin, A. 262
- Walecki, H. 37, 189, 190, 231, 232,
 233, 236, 237, 243, 244, 342, 352
 Wałajtys 321, 322
 Warejkis 320
 Warski, A. 232, 235, 236, 237
 Wasiljew 241
 Waszkiewicz, L. 213
 Wąsowski, B. 305, 311, 312
 Weinstein, A. 124
 Weinstein, M. 170, 172, 173, 175
 Weiss, A. 205, 206, 209
 Wells, G. 325
 Wertheim 19
 Wiertow, D. 343
 Wiśniewski 82
 Witecki, kpt. 245
 Wojewódzki, S. 202
 Wojtyga, A. 81, 82
 Wolin, B. 289, 290
 Wołodarski, B. 99, 100, 132
 Woroiński, A. 295
 Woroszyłow, K. 241
 Worowski, W. 223
 Wrangel, gen. 224
 Wróblewski, W. 189, 190, 238
- Zapolska, G. 332
 Zaremba 163

Slisz, A. 113

Zaremba, Z. 96
Zawadzki, gen. 183
Zawadzki, prof. 22
Zeigler 265
Zelwerowicz, A. 34
Zieliński 10
Zinowiew, G. 105, 124, 241, 320
Zola, E. 281
Zoszczenko, M. 316

Zozula, J. 349
Zweig, S. 251

Żdanow, W. 102, 103
Żeromski, S. 25, 199, 210, 281
Żurkiewicz, A. 302

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ I

1. — *Dzieciństwo. — Stryj spod Piotrkowa. — Ojciec i jego pacjenci. — Listy w skrytce starego biurka* 9
2. — *Kij, przywieziony z letniska. — Chleb z kawałkiem czekolady* 13
3. — *Święta w Warszawie. — Wuj Edward i jego kometa* 16
4. — *Szkoła. — Skomplikowane oszustwa. — Dyskusja o matematyce. — Spotkanie w piekarni* 21
5. — *Życie przez pryzmat powieści* 26
6. — *Korso na Piotrkowskiej. — Hela. — Pierwsze wydrukowane opowiadanie* 29
7. — *„Maciej był uczciwy jak każdy Polak”. — Pan Łosjew. — Teatr na Cegielnianej* 33
8. — *Aresztowanie Antoniego. — Krystalizacja poglądów na świat i życie. — Rembal i jego poddasze. — Rembal w żandarmskim mundurze* 35
9. — *Kółko młodzieżowe. — Argumenty w sprawie Szwedów. — Wszystkie systemy filozoficzne powstają z racji uczuciowych* 40
10. — *Towarzysz Zygmunt. — Język łódzkich handlowców. — Rozczarowanie po pierwszym zebraniu kółka* 46

11. — *Czerwony Dwór. — Wystrzał w jadalni. — Nienawiść do rodzinnego miasta. — Wybuch wojny. — Wyjazd z Łodzi* 50
12. — *Naruszona chronologia. — Dzień w Łodzi po pół wieku. — Poszukiwanie samego siebie* 55

CZĘŚĆ II

1. — *Szkoła Wróblewskiego. — Moskwa. — Pełna samodzielność. — Zostaję szoferem* 65
2. — *Związek Ziemstw. — Baza w Połoczanach. — Obiady z generałem* 68
3. — *Frunze i inni. — Strajk w pasie przyfrontowym. — Rozmowa z księciem Lwowem* 73
4. — *Moskwa. — Wuj Dionizy. — Śmierć wuja Bernarda. — Oleńka* 76
5. — *Szkoła w Moskwie. — Dwóch Łazowertów. — Trzydniowy bojkot w szkole* 80
6. — *Rewolucja lutowa. — Sprawność tłumy. — Spotkanie z Dzierżyńskim. — Róża Luksemburg i Marcin Kasprzak* 84

CZĘŚĆ III

1. — *Świadectwo dojrzałości. — Wyjazd do Mińska. — Polskie Zjednoczenie Socjalistyczne. — Moje przemówienia na wiecach. — Dwa rodzaje tęsknoty* .. 95
2. — *Powrót Lenina. — Dymisja Miljukowa. — Polscy esdecy w Piotrogradzie. — „Skakuny” i walka z nimi* 101
3. — *Powstanie Korniłowa i jego skutki* 109
4. — *„Polska Prawda”. — Mińscy bolszewicy przed przewrotem. — Wybory do Konstytuanty* 111

5. — *Rozmowa z Głównodowodzącym Frontem Zachodnim. — Dentysta Sonkin i jego przepowiednie. — Przewrót bolszewicki. — „Dzika Dywizja” w Mińsku* 118
6. — *Wybory do rad żołnierskich na froncie. — Pertraktacje z Niemcami. — Zawieszenie broni na froncie zachodnim. — Rokowania* 124
7. — *W Komisariacie do Spraw Polskich w Piotrogradzie. — Leszczyński, Bobiński i inni. — Incydent z Karolem Radkiem. — Starcie Lenina z Rjazanowem* 130
8. — *Rozmowa z Trockim. — Mińsk nie zgadza się na utworzenie CzeKa. — Konflikt z Radą Miejską i jej zwycięstwo* 135
9. — *Dwie wizyty u Dowbora-Muśnickiego. — Dowbór wypowiada wojnę Rosji* 141
10. — *Zerwanie rokowań w Brześciu. — P.O.W. przejmuje władzę w Mińsku. — Wejście Niemców do miasta. — Władze niemieckie aresztują mnie w Kownie* 146

CZĘŚĆ IV

1. — *Więzienie w Kownie. — Pomoc z nieoczekiwanej strony. — Więzienie na Łukiszkach. — Wiadomość o śmierci ojca*..... 157
2. — *„Schutzhaftgefangener”. — Obóz w Albertynie. — König i Kramer. — Rozkład armii niemieckiej* .. 163
3. — *Rewolucja w Berlinie. — Żołnierze niemieccy fetują nas w obozie. — Jesteśmy wolni. — Rachunek Kramera* 170
4. — *Podróż i przyjazd do Warszawy. — Wera Kozłowska. — Aresztowanie przez władze polskie* .. 175
5. — *Wstępuję do wojska. — Moja służba w Komendzie Miasta w Warszawie. — Powtórne aresztowanie* .. 180
6. — *W Dziesiątym Pawilonie. — Porucznik Kurcman. — Spotkanie z Waleckim* 185

7. —	<i>Szpital Ujazdowski. — Wariaci i symulanci. — Złodziej Szymon Dziura i jego obrażona godność. — Tyfus</i>	191
8. —	<i>Więzienie Mokotowskie. — Pogoń za pociągami. — Głodówka. — Białystok, potem znowu Mińsk. Ucieczka</i>	196
9. —	<i>Na wolności. — Las i wilki. — Towarzysz Kac. — „Sztandar Komunizmu”. — Marchlewski i inni. — Wyjazd do Rygi</i>	207
10. —	<i>Pertraktacje w Rydze. — Sowieccy delegaci. — Dwie fazy rokowań. — Rozejm i traktat pokojowy</i>	218

CZĘŚĆ V

1. —	<i>Albert Sliwkin. — Okrężna droga do Berlina. — Fałszywe paszporty i ich wady. — Delegacja Zagraniczna K.C. w Berlinie. — St. Blasien</i>	231
2. —	<i>Powstanie w Kronsztacie i jego skutki. — Nowa Polityka Ekonomiczna (NEP). — Spotkanie z Leninem w Kremlu</i>	240
3. —	<i>Uwagi o literaturze w czasach przelomowych. — Konferencja w Genewie. — Układ w Rapallo, jawny i tajny oraz kulisy tego układu</i>	250
4. —	<i>Rząd niemiecki domaga się odwołania mnie z Berlina. — Rozmowa ze Stresemannem</i>	258
5. —	<i>Powstanie w Hamburgu. — Rozpoczęta rewolucja zostaje odwołana</i>	266
6. —	<i>Radek wyciąga rękę do niemieckich faszystów. — Jego spór z polskimi komunistami</i>	270
7. —	<i>Śmierć Lenina. — Listy Karla Kautskiego, Tomasa Manna i innych. — Wyjeżdżam z Niemiec</i> ..	275
8. —	<i>Rozczarowanie Paryżem. — Wyobrażenia, realniejsza od prawdy. — Rozczarowanie mija. — Paryż w czasie, kiedy wszystko było lepsze</i>	280
9. —	<i>Dziwna depecha z Moskwy. — Mieszkam sam w gmachu ambasady. — Włodzimierz Majakowski</i>	285

10. — *Posiedzenie u Krassina. — Nieudane kroki na polu dyplomatycznym. — Były lokator okrągłego pokoju. — Wyjazd do Moskwy* 289

CZĘŚĆ VI

1. — *Moskwa. — Krótka rozmowa z Litwinowem i dłuższa z Mołotowem. — Niezamierzony wyjazd do Mińska* 301
2. — *Mińsk. — Gazeta bez czytelników. — Moja pierwsza powieść i uwagi o pisaniu powieści* 309
3. — *Dom Herzena. — WAPP i inne organizacje pisarskie w Moskwie* 315
4. — *Rozmowy ze Stalinem. — Propaganda i sztuka. — Trzęsienie ziemi na Krymie* 321
5. — *Sowkino. — Złożenie do archiwum „Pancernika Potiomkina”. — Dalsze losy tego filmu i jego twórcy* 331
6. — *Prywatne życie rewolucjonistów. — Odptywowa fala w kinie. — Metody walki i słowa-maski. — Krótki żywot pewnego karierowicza* 339
7. — *Moje rosyjskie książki. — Konflikt z Gosizdatem i kłopoty z cenzurą* 348
8. — *Incydent z Panaitem Istrati. — Trzeba koniecznie w coś wierzyć. — Kobieta z naftą. — Pierścionek na robotniczym zebraniu* 354
9. — *Wyjazd z Moskwy. — Trudność podjęcia decyzji. Dziwny wypadek w automacie. — Zerwanie z ruchem* 360
10. — *Trud Syzyfa można interpretować rozmaicie* 366
- INDEKS NAZWISK 371

**A C H E V E D ' I M P R I M E R
L E 1 5 F E V R I E R 1 9 7 7
S U R L E S P R E S S E S D E
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,
P A R I S (X V I I I ^e)**

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1977

dar Gt. Uredin Gt,
Lwa

